

Lisa Jackson
CHŁÓD SERCA

Robin Rue, nadzwyczajnej agentce. Dzięki za wszystko!

Prolog

Zobaczył ją.

Prawie biegła, z pochyloną głową i palcami zaciśniętymi na kapturze płaszcza. Spieszyła po ciemku do małego kościołka.

Wybraniec czekał, ukryty pod magnolią. Poczul, że krew zaczyna szybciej krążyć w jego żyłach, gdy z nerwami napiętymi jak struny czaił się w ciemnościach.

Jakże łatwo byłoby ją teraz złapać. Mógłby ją dogonić trzema susami i zaciągnąć w krzaki. Jej ojciec czeka w kościele. Ta myśl bardzo mu się spodobała.

Ale czas tej dziewczyny jeszcze nie nadszedł. Są inne.

Przystanęła pod okapem przed głównym wejściem, zrzucając z głowy kaptur i potrząsając włosami. Długie i kręcone, błyszczały w świetle lampy kusząca miedzią. Wybraniec przelknął ślinę i poczuł ukłucie między nogami.

Pożądał j ej.

Boleśnie.

Sam jej widok wyostrzał zmysły. Słyszał głośnie bicie swojego serca, czuł pulsowanie krwi, wyczuwał nieprzyjemny odór Missisipi, która -ciemna i leniwa - wiła się przez miasto. Samochody piszczały na mokrych ulicach, a na każdym rogu czaił się grzech.

Kiedy znikła w środku, skrył się głębiej w gęstych zaroślach, bliżej okna z uszkodzonym witrażem. Stłuczony fragment zastąpiono zwykłym kawałkiem szkła, miał więc doskonały widok na wnętrze kościoła. Pochylony przy oknie, widział, jak przeszła między ławkami, przeżegnała się i usiadła obok ojca. Teoo skurwysyna gliniarza.

Wymienili parę słów, zanim zajęła miejsce. Miała znudzony wyraz twarzy. Wolałaby być gdzie indziej, nie na wieczornej mszy z ojcem. Potrząsała głową, przyglądała się ludziom, którzy wchodzili do kościoła obgryzała paznokcie. W kościele paliły się dziesiątki świec.

Wybraniec przeniósł wzrok na gliniarza.

Na wroga.

Dobrze zbudowany wysoki mężczyzna, z kwadratową szczęką, głęboko osadzonymi oczami i zmęczoną twarzą, wyglądał na swoje ponad czterdzieści lat. Rick Bentz ze zszarganą reputacją, którą ostatnio zdołał trochę podreperować. Jego dawne grzechy zostały zapomniane, a nawet wybaczone. W czarnym garniturze i wykrochmalonej koszuli wydawał się bardziej nie na miejscu niż jego córka. Zdecydowanie nie pasował do domu bożego.

Bentz rozluźnił węzeł krawata i szepnął coś córce do ucha. Natychmiast przestała obgryzać paznokcie i wyprostowała się. Wyzywająco spłotła ręce i wyprężyła piersi. Jej biała skóra kontrastowała z turkusem jedwabnej sukni.

Wybraniec wyobraził sobie to, co ukryte było pod lśniącem materiałem... Różowe sutki, dziewicza skóra, a niżej ciemne gniazdo włosów tak sam miedzianych, jak loki opadające na jej ramiona.

Myślał o niej jak o księżniczce.

Była dumą i radością ojca.

Zgrabna, wysportowana, inteligentna i... trochę niegrzeczna. Zbuntowana. Widać to było w jej oczach. Już to znał. I słyszał jej głęboki seksowny śmiech.

Dużymi zielonymi oczami spojrzała w stronę okna. Wybraniec znieruchomiał.

Wydeła arogancko usta.

Jego członek zareagował natychmiast.

Wyobraził sobie, co mogłyby zrobić takie usta, przy odpowiedniej zachęcie... Zamknął oczy, czując chłodną pieszczotę deszczu, padającego za kołnierz, dłonią sięgnął do krocza.

Osiągnął pełną erekcję. Twardą. Pulsującą. Pełną oczekiwania.

Już niedługo, księżniczko, pomyślał. Niedługo. Ale najpierw muszę się zająć innymi. Potem przyjdzie twoja kolej.

Bądź cierpliwa.

Biip! Biip! Biip!

Otworzył oczy na dźwięk budzika w zegarku. Wyłączył go i zmełł w ustach przekleństwo. Niedopatrzenie. Tak do niego niepodobne. Zły na siebie, rzucił ostatnie spojrzenie na wnętrze kościoła i zobaczył, że księżniczka wciąż spogląda w okno. Jakby wiedziała, że on tam jest.

Szybko wyskoczył spod drzewa i ruszył przez kurtynę deszczu. Za długo tu był. Wściekły na siebie, przemierzył długimi krokami mokry trawnik, za rogiem skręcił w wąską alejkę, przebiegł trzy przecznice, a potem zawrócił na parking przed opuszczonym, zabitym deskami budynkiem, w którym był kiedyś warsztat samochodowy.

Spocony, nie z wysiłku, lecz ze zdenerwowania, wszedł do starego samochodu z przyciemnionymi szybami. Zdjął sportowe ubranie i rękawiczki i schował je, porządnie poskładane, do skórzanego worka.

Wkrótce nadejdzie pora.

Wkrótce Rick Bentz straci to, co ma najcenniejszego.

Najpierw jednak musiał poznać ryzyko i poczuć prawdziwy strach. Ponury, przygniatający strach, który będzie go trawił, gdy zrozumie, że żadne jego działania, żadne miejsce, żadna świętość nie są już bezpieczne,

Na twarzy Wybrańca pojawił się cień uśmiechu, gdy wyciągał z worka ręcznik. Szybkim ruchem wytarł twarz i szyję. Potem przejrzał się w lusterku. Patrzyły na niego niebieskie oczy. Głodne oczy. Niejedna kobieta, głupia na tyle, aby sądzić, że potrafi go uwieść, nazwała je „namiętymi”.

Ale... Zauważył błysk cienia w lusterku. Jakby ktoś go obserwował. Odwrócił głowę i wbił wzrok w tylne okno, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie jest to odbicie kogoś, kto zagląda do samochodu. Wytężał wzrok, chcąc dojrzeć coś przez deszcz i zaparowaną szybę.

Nic się jednak nie poruszyło.

Na opuszczonej ulicy nie było nikogo. A jednak poczuł... czyjąś obecność. Nie po raz pierwszy. Lecz za każdym razem wrażenie było silniejsze. Pot spływał mu po skroniach. Serce waliło jak młotem.

To jakaś paranoja. Spokojnie. Nic się przecież nie dzieje.

W tej wyludnionej części miasta nie było nikogo, kto mógłby cokolwiek zobaczyć tego ponurego wieczoru przez przyciemnioną szybę samochodu.

Musi się uspokoić. Uzbroić w cierpliwość. Wszystko zaplanowane.

Koszmar Ricka Bentza już się zaczął.

Tylko on jeszcze o tym nie wie.

Rozdział I

Potrzebujesz kobiety - stwierdził Reuben Montoya, zatrzymując policyjny samochód przed domem Bentza.

- Może pożyczę od ciebie?

Bentz sięgnął do klamki. Na pewno nie potrzebował rad od młodego policjanta, który miał więcej testosteronu niż rozumu, czego dowodem był choćby kolczyk w uchu i przystrzyżona kozia bródka. Policjant był bardzo elegancki, ale brakowało mu doświadczenia. I nie wiedział, że nie powinien wtrącać się w sprawy innych.

- Ja ostatnio spotykam się tylko z jedną kobietą- oznajmił Montoya, a Bentz prychnął z niedowierzaniem:

- Akurat.

- Naprawdę.

Montoya zaciągnął ręczny hamulec i sięgnął do kieszeni po papierosy.

- Niech ci będzie.

- Mógłbym cię z kimś umówić.

Montoya, niespełna trzydziestoletni, miał gładką brązową skórę, zabójczy uśmiech i dość ambicji, aby wyrwać się z biednej latynoskiej społeczności i dostać stypendium sportowe na uniwersytet. Nie tylko dawał z siebie wszystko w futbolu, lecz także w każdym semestrze trafiał na listę dziekana. Kiedy jednak skończył studia ze znakomitymi widokami na karierę zawodową, postanowił zostać policjantem.

Dziwne.

Montoya wytrząsnął z paczki papierosa z filtrem, zapalił i wydmuchał chmurę dymu.

- Znam jedną miłą starszą panią, przyjaciółkę matki...

- Przestań. - Spojrzenie Bentza wyraźnie kazało się zamknąć. - Daj spokój. Nie mam z tym żadnych problemów. Montoya nie dawał za wygraną.

- Masz problemy. Mieszkasz sam, nigdzie nie wychodzisz i zapracowujesz się na śmierć, czego nikt nie docenia. Oto twoje życie.

- Przypomnę o tym, kiedy przyjdzie pora następnej podwyżki - powiedział Bentz i wysiadł z samochodu. Był chłodny wieczór; wiatr znad rzeki niósł powiew zimy.

- Mówię tylko, żebyś zaczął żyć. Dzieciak wyjechał na uczelnię i powinienes się wreszcie wyluzować.

- Cały czas to robię.

- Guzik prawda.

- Dobranoc, Montoya.

Trzasnął drzwiami samochodu i wszedł do budynku. Kobieta. Tak, akurat to by rozwiązało jego problemy. Wziął wieczorną gazetę i pocztę, a potem wszedł na pierwsze piętro. Co taki Montoya wie?

Gówno. Tyle wie.

Bentz już dawno się przekonał, że kobieta oznacza kłopoty. I nauczył się tego od nie lada mistrzyni.

Jennifer.

Piękna.

Inteligentna.

Cholernie seksowna.

Jego żona.

Jedyna kobieta, której oddał serce, jedyna, której pozwolił je złamać. A ona to zrobiła. Więcej niż raz. Z tym samym przeklętym facetem.

Otworzył drzwi i zapalił światło.

Zranisz mnie raz, twoja wina.

Zranisz mnie dwa razy, moja wina.

Rzucił klucze na biurko, zdjął marynarkę i ściągnął krawat. Marzył o piwie i papierosie. Mógł żyć bez kobiety, ale zrezygnował ze wszystkich tych trzech rzeczy. Żadnych wiadomości na automatycznej sekretarce. Montoya miał rację. Jego życie towarzyskie praktycznie nie istniało. Ćwiczył boksowanie na worku treningowym, który wisiał w nieużywanej sypialni, nie grał w kregle, nie należał do klubu golfowego. Dawno temu przestał żeglować i polować. W tym samym czasie zrezygnował też z whisky i pokera na duże stawki.

Podwijając rękawy, podszedł do lodówki i spojrzał smętnie na jej nędzną zawartość. Nawet zamrażalnik, gdzie zwykle trzymał gotowe mrożone dania do odgrzania w mikrofalówce, był pusty. Wziął puszkę piwa bezalkoholowego i

włączył telewizor. Sprawozdawca sportowy zaczął recytować wyniki meczów na tle szybkich przebitek z najważniejszych spotkań.

Usiadł w fotelu i pomyślał, że Montoya grubo się myli. Życie towarzyskie nie jest mu potrzebne. Ma pracę i Kristi, nawet jeśli wyjechała na uczelnię do Baton Rouge. Spojrzał na zegarek i pomyślał, że mógłby do niej zadzwonić, ale dzwonił w niedzielę i wyczuł, że to ją zirytowało. Denerwowała się, że wtrąca się w jej właśnie zdobytą niezależność i chce ją sprawdzać.

Wrócił do oglądania telewizji. Na ekranie pokazywano najważniejsze momenty poniedziałkowego meczu Saintsów. Postanowił wyjść po kanapkę do pobliskiego sklepiku, a potem zająć się papierkową robotą. Musiał napisać kilka raportów. Kilka starych niezakończonych spraw wciąż wisiało mu nad głową i chciał przejrzeć notatki, żeby sprawdzić, czy coś nie umknęło jego uwagi, kiedy je wcześniej wielokrotnie czytał.

Miał mnóstwo roboty.

Montoya się mylił. Bentz nie potrzebuje kobiety.

I był pewien, że i on nie jest potrzebny nikomu.

Olivia nie lubiła tego adwokata. I wiedziała, że nigdy go nie polubi. Nie mogła sobie wyobrazić, jak babka zaufała komuś tak ewidentnie nieuczciwemu. Ramsey John Dodd, który chciał, aby mówiono do niego RJ, był śliski jak pieczona kura babki Gin, ale o wiele tłustszy.

- ...Sprawa spadkowa jest załatwiona, podatki i opłaty uregulowane, wszyscy spadkobiercy dostali to, co im się należało. Jeśli chcesz sprzedać dom, to teraz jest najlepsza okazja.

Ramsey John, siedząc za wielkim biurkiem we wnęce, którą nazywał biurem, złożył dłonie i stukał palcami o palce. Za jego plecami, między żaluzją a jedynym oknem w dusznym pomieszczeniu, brzęczała sfrustrowana mucha, tłukąc się o szybę.

- Nie jestem pewna, czy chcę się wyprowadzić.

- Jeśli się zdecydujesz, mogę ci polecić dobrego pośrednika. Akurat.

- Wally jest naprawdę świetny.

- Dam panu znać. - Wstała szybko, żeby zakończyć rozmowę i ukryć fakt, że kłamie w żywe oczy. Nie miała zamiaru robić jakichkolwiek interesów ze znajomymi RJ Dodda.

Wzruszył ramionami w przyciasnym garniturze, jakby mu na niczym nie zależało, ale Olivia wyczuła, że jest rozczarowany. Niewątpliwie dostawał swoją dółę od każdego narajonego kumpłowi klienta.

- Dziękuję za pomoc.

-Nie ma za co.

Niechętnie uściśnęła spoconą dłoń.

Babka wyczuwała oszusta na kilometr. Więc dlaczego załatwiała interesy z tym typem? Przypuszczalnie był tani. A poza tym był też siostrzeńcem jednej ze znajomych babki.

- Jedna rzecz mnie niepokoi... - zaczął RJ, z trudem wystając ze skrzypiącego krzesła.

- Co takiego?

- Jakim cudem ty odziedziczyłeś dom z całą zawartością, a twoja mama dostała tylko pieniądze z ubezpieczenia?

- Jest pan prawnikiem. Proszę mi to wytłumaczyć.

- Virginia nie chciała mi tego wyjawić.

Olivia uśmiechnęła się blado. Nie rozumiała, dlaczego ją wypytuje.

- Zapewne babka mnie lubiła bardziej. Napiął mięśnie kwadratowej szczęki.

- Być może. Nie znałem jej dobrze, ale wyczułem, że była dziwną kobietą. Niektórzy ludzie w tej okolicy twierdzą, że była kapłanką wudu. Przepowiadała ludziom przyszłość z kart tarota i herbacianych flisów. Miała widzenia.

- Nie można wierzyć we wszystko, co się słyszy - odparła Olivia.

- Podobno odziedziczyłeś jej talent.

- Chce się pan dowiedzieć, czy jestem psychiczna?

- Mów do mnie RJ - przypomniał z uśmiechem, odsłaniając złoty ząb. -Nie musisz się od razu denerwować.

- Niech pan spyta moją matkę.

- Bemadette twierdzi, że nie odziedziczyła tego daru, jeśli tak to chcesz nazwać, ale ty tak.

- Rozumiem. Przeskok o jedno pokolenie. Oczywiście. Olivia uśmiechnęła się, jakby chciała powiedzieć, że tylko idiota wierzy w takie rzeczy. Nie miała zamiaru potwierdzać ani zaprzeczać. Za dobrze wiedziała, że o niej plotkowano, ale to nic nie obchodziło Ramsey'a Dodda. I miała nadzieję, że nigdy go nie będzie obchodzić.

- Posłuchaj. - Obszedł biurko zręcznie, niż można by się spodziewać po mężczyźnie jego tuszy. - Dam ci jedną radę. Za darmo. - Porzucił swój normalny, napuszony styl. - Wiem, że twoja babka miała o tobie wysokie mniemanie. Wiem też, że była... niezwykłą kobietą, którą z powodu wizji uważano na dziwaczkę. Niektórzy bezgranicznie jej ufali. Moja ciotka także. Jednak powszechnie sądzono, że zajmowała się czarami albo była szalona. To na pewno nie ułatwiało jej życia i na twoim miejscu nie przechwalałbym się tymi wizjami.

- Zapamiętam to sobie.
- Twoja babka też byłaby tego zdania.
- Coś jeszcze?
- Nie. To wszystko. Uważaj na siebie.
- Dobrze. Dziękuję za pomoc.

Włożyła żółtą kopertę, którą jej dał, do plecaka.

- Miło mi było z tobą współpracować. Jeśli zmienisz zdanie co do sprzedaży domu, zadzwoń, a ja skontaktuję się z Willyrn...

Nie czekała, aż ją odprowadzi do drzwi, i sama wyszła przez wyłożony boazerią sekretariat, gdzie sekretarka siedziała za biurkiem stojącym na wytartym dywanie między trzema pokojami. Z drzwi pozostałych dwóch zdjęto tabliczki z nazwiskami. Puste miejsca mówiły same za siebie. Babka miała dziwne pomysły.

Przeszła przez parking i wsiadła do samochodu. RJ wiedział o tym, że była na policji. Fantastycznie. Przypuszczalnie wszyscy już wiedzieli, wraz z jej szefową z Trzeciego Oka i na uniwersytecie.

Cudownie. Wrzuciła bieg w starym fordzie i wyjechała z parkingu. Nie chciała myśleć o swoich widzeniach, o przebłyskach czegoś złego, co czasem bardziej czuła, niż widziała. Chaotyczne kalejdoskopowe fragmenty strasznych wydarzeń, które wciskały jej się w mózg i od których dostawała gęsiej skórki. Tak ją niepokoiły, że poszła na miejscowy posterunek policji.

Gdzie wzięto ją za wariatkę i wyśmiano.

Na samą myśl o tym zrobiło jej się gorąco. Włączyła radio i trochę za szybko ścieła zakręt. Opony zaprotestowały piskiem.

Czasem fakt, że jest wnuczką Yirginii Dubois, przynosił więcej szkody niż pożytku.

- Wybacz mi, ojczy, moje grzechy - szepnęła naga kobieta. Nie mogła mówić głośniej ani krzyknąć, ponieważ na szyi miała ciasną obrozę. Klęczała przykuta do umywalki i z pewnością nie zdawała sobie sprawy z ogromu własnych grzechów, ani dlaczego musiała zostać ukarana, żeby odnaleźć zbawienie.

- Powiedz mi - szepnął Wybraniec - za jakie grzechy?

- Za... za... - starała się coś powiedzieć, wytrzeszczając przerażone oczy. Jednak nie żałowała wystarczająco mocno. Bała się. Usiłowała wymyślić coś, co by go przekonało, aby ją uwolnił. Po policzkach spływały jej łzy. - Za wszystkie moje grzechy - wykrztusiła z rozpaczą, starając się sprawić mu przyjemność, nie wiedząc, że to nie jest możliwe. Że jej przeznaczenie musi się dopełnić.

Drżała ze strachu i zimna, ale to się miało wkrótce zmienić. Smużka dymu przedostała się do małej łazienki przez wywietrznik. Za chwilę buchną płomienie. Nie ma za dużo czasu.

- Proszę - wychrypiała. - Proszę mnie puścić, na miłość boską.

- Co ty możesz wiedzieć o miłości Boga?! - krzyknął, a potem, powstrzymując gniew, położył rękę w rękawicze na jej głowie, jakby chciał ją uspokoić. Przez wybite okno, gdzieś na ulicy usłyszał warkot samochodu. Musi kończyć. Teraz. Zanim ktoś zauważy ogień.

- Jesteś grzesznicą, Cecylio, i musisz odpokutować za grzechy.

-To jakaś pomyłka! Nie jestem... Nie jestem Cecylią. Proszę mnie uwolnić. Obiecuję, że nikomu nie powiem. Nikt się o niczym nie dowie, przysięgam.

Złapała za brzeg alby. Zrozpaczona. I nieczysta. Kurwa. Jak one wszystkie. Spojrzał na radio, stojące na parapecie i szybko przekręcił gałkę. Z głośników popłynęła znajoma muzyka, rozległ się zmysłowy kobiecy głos.

- Mówi doktor Sam, z ostatnim przesłaniem na dzień dzisiejszy, w rocznicę zabójstwa Johna F. Kennedy'ego, jednego z naszych najznakomitszych prezydentów... Uważajcie na siebie, mieszkańcy Nowego Orleanu. Dobranoc, niech was Bóg błogosławi. Niezależnie od dzisiejszych kłopotów, zawsze jest jakieś jutro... Życzę wam słodkich snów...

Pokręcił gałką, zmieniając stacje, aż znalazł to, czego szukał: muzykę organową. Brzmiała wspaniale. Jakby odbijała się echem w katedrze.

Teraz mógł to zrobić.

Kurwa przyglądała się, jak zza zasłony prysznicza wyciąga miecz.

- O, Boże, nie! - W panice szarpała za łańcuch obroży, zaciskając ją coraz mocniej.

- Za późno - oznajmił stanowczym spokojnym głosem, choć w środku drżał, lecz nie ze strachu, a z niecierpliwości. W żyłach krążyła adrenalina, jego ulubiony narkotyk. Kątem oka dostrzegł płomienie liżące wywietrznik. Nadszedł czas.

- Nie, proszę... Boże... Nie! - Bezszykownie usiłowała schować się za podnóżkiem umywalki, gdy tymczasem obroża na szyi zaciskała się coraz mocniej, a ręce i nogi krwawiły od więzów. — To jakaś pomyłka!

Czuł w mózgu pulsowanie krwi. Przez moment miał wrażenie, że coś dotknęło jego karku, niczym oddech szatana. Rzucił okiem w lustro, badając połyskującą powierzchnię, patrząc na swoją twarz schowaną za czarną przylegającą kominiarką i czując, jakby ktoś obserwował go zza lustro. Był świadkiem tego, co robi.

To przecież niemożliwe.

Pot spływał mu po twarzy, gdy uniósł rękę z mieczem tak wysoko, że aż go zabolą. Dym utrudniał oddychanie. Kiedy złapał ją drugą ręką za włosy, przeszło go pożądanie. Wpatrywał się w zgrabną szyję z obrożą. Jego erekcja była niemal bolesna. Ach, z jaką rozkoszą wszedłby w nią, posmakował przed odpuszczeniem jej grzechów. To jednak nie należało do jego misji. Odmówienie sobie zakazanej przyjemności było jego własnym poświęceniem.

- Za twoje grzechy, Cecylia - powiedział wolno. - W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego oddaję twoją duszę Bogu.

Rozdział 2

- Nie!

Olivia otworzyła oczy. Jej krzyk odbił się echem w niewielkiej sypialni. Pies zaszczekał głośno.

- O, Boże, nie!

Serce waliło jej jak oszalałe, po ciele spływał pot. Sen był tak wyraźny, jakby była świadkiem morderstwa. Znów. Boże, znówu jej się to przydarzyło.

Wizja była niezwykle realistyczna. Nadal czuła zapach dymu, w jej uszach rozbrzmiewała dziwna muzyka organowa. Miała sucho w ustach, a gardło bolało od krzyku. Otepiający ból głowy zaczynał się u podstawy czaszki i rozprzestrzeniał na skronie.

Rzuciła okiem na zegarek. Piętnaście po trzeciej. Drżącymi rękami odgarnęła włosy z twarzy.

Kundel babki, który leżał w nogach starego łóżka, podniósł łeb i spojrzał na nią uważnie. Ziwnął i jeszcze raz ostrzegawczo zaszczekał.

- Chodź tu. - Poklepała poduszkę. Hairy S się przeciągnął. Składał się wyłącznie z postrzępionych kawałków futra, szarobrazowego z białymi plamami, i krzaczastych brwi wskazujących na jakieś bardzo dalekie pokrewieństwo ze sznaucerem. Zaskomlał i podczołgał się na poduszkę koło Olivii. Przyciągnęła go do siebie, czując potrzebę bliskiego fizycznego kontaktu. Przejechała dłonią po szorstkim futrze, żałując, że nie może powiedzieć: „Wszystko będzie dobrze”. Wiedziała, że nie będzie. Schowała twarz w psim futrze i próbowała się uspokoić. Może to jakaś pomyłka... Może tylko zły sen... Może... Nie. Dobrze wie, co oznaczają te wizje.

Usiadła na łóżku, z psem w objęciach. Wciąż się trzęsła, a głowa bolała ją coraz bardziej. Hairy S wyślizgnął się z jej ramion.

- Wszystko przez ciebie, babciu - mruknęła. Przez otwarte okno dobiegały hałasy nocy; szelest wiatru w gałęziach drzew i szum wielkich ciężarówek na odległej autostradzie.

Pomasowała skronie. Dlaczego ja? Dlaczego? Wizje zaczęły się już w dzieciństwie, ale wtedy były mniej określone i nie tak częste. W tych rzadkich chwilach, gdy jej matka mieszkała z nimi między jednym mężem a drugim.

Bernadette nigdy nie wierzyła, że jej córka odziedziczyła po babce ten szczególny dar.

- To zbieg okoliczności - mówiła często córce. Albo: - Zmyślasz, żeby zwrócić na siebie uwagę. Skończ z tym, Liwie, i przestań słuchać babci. Ona ma nie po kolei w głowie i uważaj, żeby... Słuchasz, co do ciebie mówię? - Potrząsała córką, jakby chciała wyrzucić demony z jej głowy. - Uważaj, bo ciebie też to spotka i nie będzie to jakiś idiotyczny dar, jak twierdzi babcia, lecz dotyk diabła. Szatan nigdy nie śpi. Słyszysz? Nigdy!

Kiedyś Bernadette wycelowała czubek długiego czerwonego paznokcia w koniec nosa starszej córki. Były w kuchni, gdzie zapach smażonego boczku, dymu i tanich perfum wniknął na zawsze w sosnowe szafki, poźółkłe ze starości. Koło starego testera, na rogu blatu, stał wiatraczek, który mełł gorące powietrze w małym, skąpo umeblowanym wnętrzu.

Tamtego dnia Bernadette wróciła właśnie z dziennej zmiany w restauracji Charlene, przy parkingu dla ciężarówek, niedaleko autostrady. Stała boso na popękany linoleum, w białej bluzce i czarnej spódnicy kelnerki. Spod bluzki wystawało ramiączko stanika, w głębokim rowku między piersiami leżał mały złoty krzyżyk na łańcuszku.

- Posłuchaj, dziecko - powiedziała poważnie i z przejęciem -ja nie żartuję. Wszystkie te bzdury i aluzje do wudu to jedno wielkie gównno. Twoja babka uważa się za jakąś cholerną kapłankę, czy coś równie głupiego, ale tak nie jest. To, że w jej żyłach płynie jakaś resztką tubylczej krwi, nie robi z niej... wróżki, prawda? Nie ma w sobie niczego nadzwyczajnego i ty też nie. Słyszysz?

Bernadette wyprostowała się, obciągnęła krótką czarną spódnicę i westchnęła.

- Jasne, że nie - dodała, jakby bardziej chciała przekonać samą siebie niż córkę. - Idź teraz na dwór pojeździć na rowerze albo na desce, dobrze?

Wzięła z lady paczkę virginia slims, wytrząsnęła jednego papierosa i szybko zapaliła. Wypuszczając dym nosem, stanęła na palcach i sięgnęła do górnej szafki, skąd wyjęła małą butelkę whisky.

- Mamę strasznie boli głowa - wyjaśniła, nalewając alkohol do małej szklaneczki i wrzucając kostki lodu. Drink był jej nagrodą za ciężką całodzienną pracę, gdy musiała znosić obłe spojrzenia, uwagi i szczypanie w tyłek. Napiła się, oparła wygodniej o ladę i znów spojrzała na córkę.

- Dziwne z ciebie dziecko, Liwie - stwierdziła z westchnieniem. -Bardzo cię kocham, wiesz o tym, ale jesteś inna.

Z papierosem w ustach złapała Olivię za brodę. Kręciła jej głowę w prawo i w lewo, studiując jej profil zmrużonymi oczami.

- Jesteś dość ładna - przyznała wreszcie, prostując się i strząsając popiół do zlewu. - Jeśli przestaniesz opowiadać o tych bzdurach, znajdziesz sobie porządnego faceta, może nawet bogatego. Tylko nie strasz wszystkich tym głupim gadaniem, słyszysz? Bo normalny facet nie zechce mieć z tobą do czynienia. - Obróciła w dłoniach szklaneczkę, obserwując kostki lodu. - Wierz mi, wiem, co mówię. - Na jej ustach, z resztkami szminki, pojawił się smutny uśmiech. - Któregoś dnia, skarbie, wyniesiesz się z tej dziury. - Machnęła ręką, ogarniając gestem cały dom babki. - Przeprowadzisz się do ładnego domu, takiego, jaki miała ta cholerna Scarlett O'Hara. - Uśmiechnęła się szerzej, pokazując proste niewiarygodnie białe zęby. - I wtedy zajmiesz się swoją mamą, słyszysz?

Olivia, wspominając tę scenę, westchnęła ciężko. Ach, mamo, gdybyś wiedziała... Zrobiłaby wszystko, aby uspokoić demony w głowie. Ostatnio wizje, które kiedyś w sobie tłumiała, wracały ze zdwojoną siłą.

Odkąd wróciła do Luizjany.

Musi coś zrobić z tymi koszmarami. I z tym, co widziała we śnie.

Ta kobieta nie żyje, Olivio. Nie możesz jej pomóc. Nikt ci nie uwierzy. Wiesz o tym. Już wcześniej usiłowałaś powiedzieć o wszystkim policji. Próbowалаś przekonać rodzinę, przyjaciół, nawet cholernego narzeczonego. Wtedy nikt ci nie uwierzył. Teraz też nikt nie uwierzy.

Poza tym to był tylko sen. Tylko sen.

Powoli zsunęła się z łóżka, ciągnąc za sobą kapek, i otworzyła drzwi na werandę. Wyszła na wczesny zimowy poranek. Za nią wybiegł pies. Pod bosymi stopami czuła gładkie deski. Znad spokojnych bagien unosiła się mgła, a wielkie cyprysy stały na straży leniwej wody, która przepływała za domem. Olivia położyła rękę na poręczy. W stronę bagien pobiegło jakieś nocne zwierzę, szeleszcząc suchymi liśćmi i łamiąc cienkie gałązki. Olivia dostała na ramionach gęsią skórę. Spoglądając na nieruchomą ciemną

wodę, usiłowała wyrzucić z głowy sen, ale on wciąż tam tkwił, wczepiony pazurami, wbity w mózg, zdecydowany pozostać.

To było coś więcej niż nocny koszmar.

Olivia nie miała najmniejszych wątpliwości.

Nie pierwszy raz „ogłądała” czyjąś śmierć. Wizje przychodziły i odchodziły przez lata, ale za każdym razem, kiedy przyjeżdżała tutaj, do krainy bagien, pojawiały się regularnie. Dlatego tak długo nie wracała.

A teraz znów znalazła się w Luizjanie. W stuletnim domu babki. Koszmary powróciły, wraz z oślepiającą, raniącą duszę wściekłością, która ją przerażała.

- To wszystko twoja wina — mruknęła, jakby babka, ta wielbicielka wudu, mogła ją słyszeć.

Olivia zacisnęła palce na poręczy i znów przed oczami stanęło jej morderstwo. Widziała je tak wyraźnie, jakby była tam, w małej łazience. Zamaskowany ksiądz, w oparach dymu, uniósł miecz i opuścił go na dół, nie raz, lecz trzy razy...

Mocno zacisnęła powieki, jednak wizja nie chciała odejść. Ksiądz! Sługa boży!

Musi coś zrobić. Natychmiast.

Zamordowano dziś kobietę. W bardzo brutalny sposób.

Olivia odruchowo zrobiła na piersi znak krzyża. Potarła ramiona i mocniej owinęła się kapą. Listopadowy wiatr wzdychał w gałęziach nad jej głową, a w powietrzu unosił się wilgotny zapach bagien. Nie mogła udawać, że nic się nie stało, choć wiedziała, że nikt, ale to absolutnie nikt jej nie uwierzy.

Szybko odwróciła się i weszła do domu. Hairy S deptał jej po piętach, stukając pazurami po drewnianej podłodze. Podeszła do biurka, zapaliła małą lampkę i zaczęła przeszukiwać przegródki, wyrzucając pióra, kartki z notesu, naporstki i stare gumki, aż znalazła to, czego szukała: wycinek z gazety. Artykuł z „Times-Picayune”, który ukazał się po serii morderstw w Nowym Orleanie. Wynikało z niego, że człowiekiem, który rozwiązał zagadkę dziwnych zabójstw, był policjant Rick Bentz. To on wykrył związek między morderstwami a doktor Sam, Samantą Leeds, prowadzącą radiową audycję *Wyznania o północy*.

Ten sam program, który Olivia słyszała w swoim śnie.

Wzdrygnęła się, przeglądając artykuł, który przed kilkoma miesiącami wycięła z gazety.

Bentz i jego partner Ruben Montoya rozwiązali zagadkę Różańcowego Zabójcy. Ojciec John zabijał prostytutki na ulicach Nowego Orleanu. Ojciec John. Morderca, który miał obsesję na tle doktor Sam i jej

programu, sadysta, zmuszający swoje ofiary do wkładania rudej peruki, aby wyglądały jak ona, morderca, który pisał dialogi dla swoich ofiar, nalegając, żeby żałowały za grzechy... Tak jak ksiądz z jej wizji, żądał od ofiary błagań o łaskę i wybaczenie.

Krew zastygła jej w żyłach.

Najpierw mężczyzna, który nazwał siebie Ojciec John, a teraz ksiądz.

Musi jak najszybciej porozmawiać z detektywem Bentzem. Nikt inny na policji na pewno jej nie wysłucha, już uważają ją za wariatkę. Z drugiej strony, była do tego przyzwyczajona. Może ten Bentz okaże się inny? Może jej uwierzy...

Będzie musiał.

Zdjęła kapę, włożyła dzinsy i bluzę, które wcześniej przewiesiła przez poręcz łóżka i złapała fiolkę ibuprofenu z nocnego stolika. Połknęła bez popijania cztery tabletki z nadzieją, że pomogą na ból głowy. Musi myśleć jasno, tłumaczyć...

Przewiesiła przez ramię torebkę, wsunęła na nogi mokasyny i zbiegła po schodach. Hairy S zszedł za nią. Przechodząc obok regału z książkami we wnęce, blisko drzwi wejściowych, poczuła powiew, muśnięcie na skórze. Coś diabelskiego.

Znieruchomiała. Wyrzała przez okno. Pies zawarczał, zjeżył sierść na karku. Przez otwarte okno nadal słyszała szelest suchych liści, podmuch wiatru w kruchych gałązkach. Czy tylko to sobie wyobraziła, czy ktoś tam był... Podglądając ją w ciemności?

Ogarnął ją strach. Podeszła bliżej do okna, wyteżyła wzrok, starając się przeniknąć mgłę i ciemność, ale nikogo nie zobaczyła. Noc nagle się uspokoiła, wiatr ustal.

Zamknęła okno i opuściła żaluzje. Nie czas na irracjonalne obawy. Ale przy regale znowu poczuła to lodowate dotknięcie.

Przezań, Liwie. Przesadzasz.

Oddychała z trudem, czuła gęsią skórę, jakby w pokoju ktoś jeszcze był. Zauważyła swoje odbicie w lustrze obok regału i zadrżała. Miała potargane włosy, bladą twarz, zbielełe wargi. Wyglądała dokładnie tak, jak się czuła.

Jednak musi wyjść... Wyciągnęła z torebki pęk kluczy i zacisnęła palce na najdłuższym i najostrzejszym, jakby to był nóż. Hairy S ruszył za nią do drzwi, z opuszczonym ogonem.

- Zostajesz w domu - powiedziała, ale kiedy otworzyła drzwi, kundel wyskoczył na dwór i przez sterty liści dopadł do samochodu. Olivia zamknęła za sobą drzwi, obejrzała się przez ramię i też pobiegła do auta, gdzie czekał, skomląc i podskakując, Hairy S.

- W porządku, wsiadaj. - Otworzyła drzwi i pies wskoczył do kabiny, zajmując, z wywieszonym językiem, swoje ulubione miejsce na siedzeniu pasażera i opierając łapki na desce rozdzielczej. - To nie jest przejazdka dla przyjemności - ostrzegła Olivia, wrzucając wsteczny bieg. Światła reflektorów omiotły dom. Nie widziała nikogo zaczajonego w cieniu, nikogo chowającego się za wiklinowymi meblami na werandzie. Może jej wybujała wyobraźnia znów ją oszukała?

Z pewnością.

Ale serce nadal tłukło się jak ptak w klatce.

Wrzuciła bieg i stary ford skoczył do przodu. Żwir prysnął spod kół. Alejka była długa, wiła się między cyprysami i prowadziła przez mały most do głównej drogi.

Do Nowego Orleanu miała dobre dwadzieścia minut jazdy. Przekroczyła dozwoloną prędkość, choć nie miała ochoty na spotkanie z żadnym innym policjantem. Chciała tylko Bentza. Na pewno nie przyszedł jeszcze do pracy, ale Olivia postanowiła zaczekać. Ile będzie trzeba.

Kiedy droga skręciła na południe, zauważyła blask światła, który urósł do bladej poświaty na horyzoncie, pomarańczowej mgielki, widocznej przez cyprysy i dęby.

Coś ścisnęło jawn żołądku.

Pożar.

Wielki Boże!

Wiedziała, że gdzieś w tym piekle znajduje się ciało kobiety. Kobiety z jej snu.

Rozdział 5

- Uch! -jęknął ponuro Reuben Montoya.

Bentz podniósł głowę znad sterty papierów. Montoya wszedł do pokoju z dwoma kubkami kawy.

Jeden podał Bentzowi i oparł się biodrem o metalową szafkę. Jak zwykle miał na sobie czarną skórzaną kurtkę i czarne dżinsy. Powędrował spojrzeniem przez półotwarte drzwi i drugi pokój, a potem na korytarz i na schody.

- Co jest? - spytał Rick zza biurka i góry papierów, która nigdy nie malała. W Nowym Orleanie popełniano dużo przestępstw.

- Kłopoty.

- Zawsze mamy kłopoty.

- Nie rozumiesz, ta wariatka znowu się zjawiała.

- Znowu? - powtórzył Bentz, wyglądając przez drzwi na obiekt zainteresowania Montoi: drobną kobietę z potarganymi złotymi lokami, białą gładką skórą i zdecydowanym wyrazem twarzy. W wyblakłych dzinsach i starej bluzie z logo drużyny Nowego Orleanu zmierzała wprost do pokoju Bentza.

- Wcześniej zgłaszała się do Brinkmana, twierdząc, że ma dar jasnowidzenia i widzi morderstwa, nim się wydarzą- wyjaśnił Montoya.

- Co mówi Brinkman?

- To co zawsze. „Bzdury”. Nie wierzy w takie historie. W tym momencie Olivia weszła do pokoju. Z zaczerwienionymi policzkami i spiczastą brodą wysuniętą do przodu. Bentz miał wrażenie, że jest zła i zdeterminowana. Spojrzała wprost na niego oczami koloru whisky.

- Detektyw Bentz? - spytała, nawet nie patrząc w stronę Montoi.

- Tak, jestem Bentz.

- To dobrze. Muszę z panem porozmawiać.

Bentz podniósł się z krzesła. Gestem dłoni wskazał Montoyę.

- To jest oficer Reuben Montoya, mój partner.

- Reuben D. Montoya - poprawił go Montoya. - Używam imienia Diego.

Bentz uniósł brew. Diego? Od kiedy? Ach, tak, odkąd piękna kobieta weszła do pokoju. Montoya określił ją wprawdzie jako wariatkę, ale był wyraźnie zainteresowany. Zawsze się tak zachowywał w obecności atrakcyjnej kobiety. Niezależnie, jak widać, od jej kondycji psychicznej. I mimo swoich opowieści, że spotyka się tylko z jedną kobietą. Męski radar Montoi działał zawsze.

Olivia ledwo rzuciła okiem na Montoyę, podając rękę Bentzowi.

- Czytałam o panu w „Timesie” - powiedziała.

Fantastycznie. Kolejna obywatelka, która uważa go za cholernego bohatera. Trzeba przyznać, że patrzyła wprost na Bentza i nie zwróciła najmniejszej uwagi na Montoyę. Zaskoczyła go silnym uściskiem dłoni.

- Nie można wierzyć we wszystko, co piszą w gazetach - mruknął.

- Ja na pewno nie wierzę we wszystko. Gestem wskazał krzesło.

- Co panią do nas sprowadza?

- Morderstwo.

Przynajmniej wali prosto z mostu. Spod sterty niedokończonych raportów wyciągnął notatnik.

- Kogo zamordowano?

- Kobieta. - Opadła na krzesło. Zauważył ciemne smugi zmęczenia pod oczami i zmarszczki w kącikach ust. Poczł lekki zapach jaśminu. -Nie wiem. On nazywał ją Cecylią, ale mówiła, że ma na imię inaczej i... Nie powiedziała jak.

- Komu nie powiedziała?

- Mordercy. - Spoglądała na niego, jakby był niesłuchanie tępy.

- Chwileczkę, zacznijmy jeszcze raz - zaproponował. - Była pani świadkiem morderstwa, tak? Była pani przy tym? Zawahała się, nim odpowiedziała.

-Nie...

-Nie?

- Ale je widziałam.

Cudownie. Tego właśnie potrzebował na sam początek dnia. Bentz kliknął długopisem.

- Gdzie miało miejsce to morderstwo, pani...?

- Benchet. Nazywam się Olivia Benchet i nie wiem, gdzie to się stało... Ale widziałam zabójstwo kobiety, mniej więcej dwudziestopięcioletniej. - Zbladła i głośno przełknęła ślinę. - Miała jasne włosy do ramion, niebieskie oczy, kilka piegów i... twarz w kształcie serca. Była szczupła, ale nie przesadnie chuda... Zgrabna, jakby chodziła na siłownię... O, Boże!

Olivia zamknęła oczy, głęboko wciągnęła powietrze, po czym powoli je wypuściła. Po chwili otworzyła oczy. Była spokojniejsza, bardziej opanowana. Ponownie poczuł zapach jaśminu.

- Chwileczkę. Jeszcze raz. Słyszała pani, że zwracał się do tej kobiety po imieniu i widziała pani, jak ją zabił, lecz nie było pani przy tym?

Montoya nazwał ją wariatką. Teraz się uśmiechał, jak kot z Cheshire, z radości, że tak dokładnie wszystko przewidział.

- Zgadza się.

- Czy to był film?

- Nie. Chyba muszę najpierw coś wyjaśnić - dodała pospiesznie. Przydałoby się, pomyślał. Pochyliła się do przodu i poruszyła dłońmi, jakby chciała coś złapać. Zaczyna się, jęknął w duchu Bentz. Teraz się okaże, że to wszystko nie trzyma się kupy, ale ona będzie usiłowała nas przekonać, że ta niesamowita historia jest prawdziwa. Niewątpliwie to wariatka, jak twierdził Montoya.

- Widzę wydarzenia, tuż przed tym, nim nastąpią, albo kiedy się dzieją. W głowie. Choć mnie przy tym nie ma. Wiem, że to brzmi dziwnie, nawet nienormalnie, ale to prawda.

- Ma pani zdolności nadprzyrodzone? - powiedział Bentz, a w myślach dodał: „Albo jest pani chora psychicznie”.

- Nie wiem, czy tak to można nazwać. Uważam, że to w pewnym sensie postrzeganie pozazmysłowe.

- W pewnym sensie?

- Miewam dłuższe okresy bez żadnych wizji, ale dziś w nocy, we śnie, to było bardzo realne. Tak, jakbym tam była. Coraz lepiej. Spała. Fantastycznie.

- A więc to wszystko się pani śniło?

- To było coś więcej.

- A inne pani sny? Zawsze się sprawdzają?

- Nie, jasne, że nie! - Uniosła ręce w górę. - Już mówiłam, że zdaję sobie sprawę z tego, jak to brzmi, ale proszę mnie wysłuchać. I niech pan mnie z góry nie przekreśla. Tłumaczę panu, że te „sny”, jeśli chce je pan tak nazwać, są inne. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Są więcej niż realistyczne. Więcej niż surrealistyczne.

Bentz masował kark, przyglądając się kobiecie. Mówiła z przekonaniem. Na pewno nie kłamała. Niezależnie od tego, co chciała mu wcisnąć, sama w to wierzyła.

- Obudziłam się i wciąż czułam zapach dymu, czułam żar, słyszałam jej wołanie o pomoc. To znaczy byłam tam. Nie fizycznie, ale...

- Duchowo? - podsunął.

- Mentalnie? Albo telepatycznie? — zasugerował Montoya.

- Wszystko jedno, jak pan chce to nazwie - powiedziała poirytowana.

- Nie wiem, jak to nazwać.

- Ja też nie - przyznała. - Wiem... To znaczy rozumiem, że działa pan w oparciu o fakty. Rzeczywiste dowody. Nie mam nic przeciwko temu, ale z drugiej strony jestem pewna, że miał pan do czynienia z ludźmi, którzy mają nadprzyrodzone zdolności psychiczne albo inny poziom wrażliwości. Czytałam, że policja korzysta z pomocy jasnowidzów w wyjaśnianiu najtrudniejszych spraw.

- Wtedy, kiedy nie ma żadnych innych możliwości ani dowodów - przyznał. - Kiedy jest ciało albo się kogoś szuka, a wszystkie konwencjonalne metody nie przyniosły rezultatów.

- W tym nie ma nic konwencjonalnego.

- Amen - dodał Montoya.

Olivia rzuciła mu przez ramię podejrzliwe spojrzenie.

- Moja babka miała ten sam dar, a matka już nie. Mam szczęście, co? - uśmiechnęła się ironicznie.

Zmarszczyła czoło, ściągnęła brwi i opadła na oparcie krzesła, jakby była kompletnie wykończona.

- Czy to jest dziedziczne?

- Nie mam pojęcia. I nie zawsze zdarza się w nocy, we śnie. Czasami w środku dnia, kiedy na przykład jadę autostradą.

- To może być niebezpieczne.

- Jest. A poza tym jest... męczące. Zwłaszcza kiedy się komuś o tym opowiada i stara się, żeby zrozumiał. Uwierzył.

- Dla nas, zwykłych śmiertelników, to duża rzecz - powiedział Bentz. Siedzący za jej plecami Montoya starał się przybrać neutralny wyraz twarzy, ale w jego ciemnych oczach czał się złośliwy błysk.

- Przyznałam przecież, że sama wiem, jak to głupio brzmi - powiedziała, jakby wyczuwała sceptycyzm policjantów.

Wydawała się bardzo drobna i niepasująca do tego miejsca, w którym, mimo wczesnej pory, panował ruch i gwar. Przez uchylone drzwi Bentz widział przechodzących korytarzem policjantów i cywilów, słyszał fragmenty rozmów i urywany śmiech, obserwował prowadzonych na przesłuchanie podejrzanych. Ta kobieta zdecydowanie tu nie pasowała. Nie była policjantką, przestępczynią ani, jak podejrzewał, ważnym świadkiem.

Zgarbiona na krześle, potarła ramiona, jakby przemarła do szpiku kości, choć w pokoju było tak gorąco, że Bentz uchylił okno. Do środka wdarły się hałasy miasta - kroki i rozmowy przechodniów, pisk opon, warkot silników, gruchanie i trzepot gołębih skrzydeł.

- Nie powinnam była tu przychodzić - powiedziała na wpół do siebie. - Wiedziałam, że nikt mi nie uwierzy, ale musiałam spróbować.

- Detektywie Montoya, proszę przynieść kawę dla pani Benchet.

- Nie, dziękuję - zaprotestowała, ale Montoya już wyszedł z pokoju. Olivia pochyliła się do przodu, jakby teraz, w cztery oczy, mogła być z nim szczerą.

- Musi mi pan uwierzyć. Dziś wczesnym rankiem zamordowano kobietę. W bardzo brutalny sposób. Widziałam to.

- Ale nie było pani przy tym.

- Nie, widziałam to w głowie.

- W czasie snu - podkreślił.

- To nie był sen! - stwierdziła stanowczo, nie tyle zła, co zdesperowana. - Potrafię to odróżnić. - Montoya wślizgnął się do pokoju z kawą w papierowym kubku. - Ksiądz ją torturował i...

- Ksiądz? - powtórzył Montoya, podając jej kawę. Nie był już tak pewny siebie. - Zabójcą był ksiądz?

- Tak, miał na sobie albę.

Bentz skrzywił się, gdy zrozumiał, dlaczego wybrała właśnie jego. Odłożył długopis na biurko i oparł się wygodniej.

- Czytała pani o tym, że Montoya i ja rozwiązaliśmy w zeszłym roku sprawę seryjnego zabójcy i myślała pani, że i tym razem coś poradzimy. Bo jesteśmy specjalistami od zabójstw na tle religijnym, a pani widziała księdza.

Starał się, by nie zabrzmiało to sarkastycznie.

- Miałam taką nadzieję - przyznała tak zwyczajnie, że odczuł nagłą potrzebę, aby jej uwierzyć. Jednak wiedział, że to niemożliwe.

Rozdział 4

Wariatka. Zwyczajna wariatka. Nie chciał tak o niej myśleć, bo wierzyła w to, co mówi, ale Bentz doszedł do wniosku, że Montoya miał rację. Olivia Benchet, kobieta intrygująca, była chora umysłowo. Ładna, z potarganymi jasnobrązowymi włosami i pełnymi wargami. Ale chora umysłowo. Siedziała naprzeciwko niego, raz drobna i wrażliwa, raz zła i twarda, ożywiona i zdesperowana. Rozpaczliwie pragnąca, by jej uwierzył. Nic z tego.

- Skąd ten ksiądz zabójca miał wiedzieć, że go pani obserwuje? Widział panią? - spytał Reuben.

- Nie wiem. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale przysięgam, że na mnie patrzył.

- Jak mógł panią widzieć? - dopytywał się Montoya. - Przecież pani tam nie było, prawda? W tym czasie była pani w domu swojej babki... I coś pani widziała, jakby przez mgłę.

- Pomieszczenie było zadymione, ale mogłam widzieć, co się dzieje. Miałam wrażenie, jakbym patrzyła przez szkło, przezroczysty plastik, może przez okno... - Westchnęła zniechęcona, odstawiła niedopitą kawę na biurko i odgarnęła włosy z oczu. - Zdaję sobie sprawę, że nie chce mi pan uwierzyć i byłoby łatwiej, gdybym po prostu znikła, ale wiem, że to się stało. - Spojrzała Bentzowi w oczy. - Ręczę własną głową.

Bentz spojrział na swoje notatki. Z sąsiedniego pokoju słyszał dzwoniące telefony, odgłosy rozmów, stukanie klawiszy komputera i wiedział, że traci czas. Postanowił jednak wysłuchać ją do końca.

-Dobrze, proszę mówić dalej. Powiedziała pani, że ksiądz zdjął szaty. I co dalej? Dokąd poszedł?

- Wyszedł. Przez drzwi tego pomieszczenia.

- Nie poszła pani za nim?

- Chyba bym nie mogła. To tak nie działa.

- A jak?

- Nie wiem. Zazwyczaj widzę tylko przebłąski. Kawalki, których nie umiem połączyć w całości. Tym razem obraz był bardziej kompletny, ale... Ale wtedy... Obudziłam się.

Bardzo wygodnie, pomyślał Bentz, a kiedy znów się odezwał, starał się, aby jego ton był jak najbardziej obojętny.

- Czy pamięta pani coś jeszcze? Na przykład, czy było tam coś charakterystycznego, co pozwoliłoby nam zidentyfikować ten dom albo mieszkanie, w którym to się zdarzyło?

- Dom się palił - warknęła. - To chyba pomoże zawęzić poszukiwania.

Nie dał się sprowokować.

- Jest pani pewna, że to było w Nowym Orleanie?

- Grało radio. Rozpoznałam jeden z programów. To musiało być gdzieś w pobliżu i... Nie potrafię tego wytłumaczyć, miałam jednak wrażenie, że to się działo w mieście lub w okolicy... Och, Boże. - Westchnęła i pokręciła głową. - Pan mi nie wierzy, prawda?

- Usiłuję uporządkować to, co pani mówi i wyłowić fakty. Udało jej się zaleźć mu za skórę. Z jednej strony była absolutnie pewna tego, co widziała, z drugiej, sama przyznawała, że to, co mówi, jest niewiarygodne. W jednej chwili była bliska płaczu, w drugiej - wściekła jak osa. Miał wiele pytań, ale nie chciał jej nimi zasypywać zbyt gwałtownie. Wierzył ponadto, że jeśli kłamie, sprawdzi się stare powiedzenie:

„Daj człowiekowi wolność, a sam się powiesi”.

- A zatem - powiedział łagodnie Bentz - wie pani, że jakiś ksiądz, którego nie potrafi pani zidentyfikować, zamordował jakąś kobietę, niemal ścinając jej głowę, w budynku, którego nie potrafi pani opisać, tym niemniej ma pani wrażenie, że to zdarzyło się tutaj. W Nowym Orleanie.

Opuściła wzrok na dłonie.

- Tak. Nie potrafię powiedzieć, gdzie konkretnie. Wiem jednak, że to się zdarzyło dziś nad ranem.

- Bo o tej porze się pani przyśniło. Zaczerwieniła się.

-Nie... Zakładam, że mam wizje w tym samym czasie, gdy coś się dzieje, ale nie jestem pewna. Jak już wspomniałam wcześniej, w tej przeklętej

łazience grało radio i gospodyni nocnego programu *Wyznania o północy*, doktor Sam, mówiła, że to ważny dzień w naszej historii 4 dzień, w którym zamordowano prezydenta Kennedy'ego. To dziś, dwudziestego drugiego.

- Jasne - potwierdził Montoya.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

-Niewierni

- Proszę posłuchać. - Wycelowała w niego palec i obrzuciła rozgniewanym spojrzeniem złotych oczu. - Już tu kiedyś byłam. Rozmawiałam z detektywem Brinkmanem, który za każdym razem mnie wyśmiewał. Kiedy przeczytałam o was dwóch, pomyślałam, że może będziecie - Że może mi pomożecie. Że może potraficie znaleźć jakiś sposób aby to, co się zdarzyło dziś rano, więcej się nie powtórzyło.

- O ile coś się faktycznie wydarzyło.

- Przysięgam na grób babki! - wykrzyknęła z przekonaniem.

- Chyba że to był tylko koszmarny sen...

- W żadnym wypadku. Umiem je rozróżnić.

- Czy jest coś jeszcze, o czym mogłaby nam pani powiedzieć? Olivia westchnęła głęboko.

- Nie. Nic więcej nie przychodzi mi do głowy. Nie teraz. Najwyższy czas kończyć, pomyślał i uśmiechnął się, choć ^{me} miał na to ochoty.

- Proszę posłuchać, Olivio, niewiele mogę zdziałać. Nie n^{ogę} zacząć śledztwa w sprawie morderstwa, jeśli nie mam ciała czy jpr^{oaj}-mniej zgłoszenia o zaginięciu kobiety, której opis zgadzałby si^c z P³! opisem. Właściwie opowiedziała mi pani jedynie o swoim niep^{m7})¹-nym śnie.

- Nieprzyjemnym? - powtórzyła. - Nieprzyjemnym? Nie l⁰⁰? na policję za każdym razem, gdy śnią mi się koszmary. Przynajmniej mógłby pan spróbować coś sprawdzić, zaczynając od pożaru.

Montoya, który stał przy szafce z segregatorami, podrapał si[^] P^o brodzie.

- Był pożar. Stary dom, niedaleko City Park, chyba na bocaWJ ulicy od Esplanade.

Bentz spojrział wściekły na partnera.

- Skąd wiesz?

- Słucham, rozglądam się i ciężko tyram - uśmiechnął się N[^]ontoya. Gówna prawda, pomyślał Bentz. Czasem Montoya *doprowadzał* go do szału.

- Znalezione kogoś w środku?

-Nie wiem. Kiedy slyszalem o pozarze, nadal usilowano go ugasic. Bentz spojrzal na Olivie.

- W porzadku, sprawdzimy to.

- Dobrze. - Poczula ulge. - Wiem, ze wolałby pan potraktowac mnie jak wariatke, ale prosze tego nie robic.

Wyłączyl magnetofon i wstal, konczac rozmowe.

- Dziękuję, że pani przyszła. Jak już mówiłem, zbadamy sprawę i damy pani znać, jeśli coś znajdziemy.

- O nic więcej nie proszę. - Wyjęła z torebki portfel, a z niego wizytówkę:

OLIVIA BENCHET

KRYSTAŁOWY PRYZMAT

CIEKAWOSTKI, NEW AGE, SPIRYTYZM

Numer telefonu i adres w Tucson, w Arizonie, został wykreślony, a na jego miejsce wpisano miejscowy numer. Przesunęła wizytówkę po blacie biurka, obok podwójnej ramki, z której, z dwóch zdjęć, uśmiechała się córka Bentza, Kristi.

- Ładna - zauważyła Olivia, spoglądając na fotografie. - Pana córka?

- Tak. - Wziął wizytówkę. - Będę z panią szczerzy. Na razie przyszła pani do mnie z czymś, co jest szukaniem wiatru y/ polu, jeśli jednak się o czymś dowiem, jeśli trafi do mnie opis jakiejś zaginionej kobiety, podobny do pani opisu, jeśli... okaże się, że w pożarze ktoś zginął... Skontaktuję się z panią.

Skinęła głową i zawahała się, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze. Montoya też to zauważył, bo wyprostował się lekko i zapytał:

- Coś jeszcze panią gnębi?

Spojrzała najpierw na Montoyę, potem na Bentza.

- Na pewno będzie pan rozmawiał o mnie z detektywem Brinkmanem. Sama bym to zrobiła na pana miejscu. Jestem pewna, że ten człowiek już wcześniej zabijał. Nie miałam takiej jasnej wizji, jak dziś w nocy, były to raczej fragmenty, kawałki szkła, a nie całe okno. Wyczułam jednak i nie umiem tego wyjaśnić, że ten mężczyzna, ksiądz, nie tylko zabijał już wcześniej, lecz wypełnia jakąś misję. Mści się. Nie przestanie, dopóki ktoś go nie powstrzyma. Jest kilka ofiar, dwie, trzy, może więcej... Nie wiem dokładnie jak, ale wiem, że zostały zabite. W okrutny sposób. - Przygryzła dolną wargę i zmrużyła oczy. - W tym mieście jest coś bardzo złego. Diabelskiego. W nocy widziałam odrażające morder

stwo. Ta jego misja jeszcze się nie skończyła. Prawdopodobnie to dopiero początek.

Proszę, kompletna wariatka. Bentz miał już dość, ale Olivia Benchet znów spojrziała na zdjęcia jego córki. Na pierwszej fotografii Kristi miała niecałe sześć lat i uśmiechała się szeroko, stojąc w drzwiach przedszkola, żeby pokazać dziurę po górnej jedyńce. Druga fotografia, zrobiona w zeszłym roku, przedstawiała ładną, spokojną siedemnastoletnią dziewczynę. Uśmiechała się, ale w jej orzechowych oczach widać było błysk przekory, a uniesiona wyzywająco broda zapowiadała bunt.

- Sam jest pan ojcem, a w tym mieście grasuje jakiś potwór, który zabija kobiety. Jakby się pan czuł, gdyby morderca wybrał pańską córkę? - Wskazała podwójną fotografię. - Młoda kobieta, którą zabił dziś nad ranem, jest czyjąś córką, prawdopodobnie czyjąś siostrą lub matką. — Wpatrywała się w niego błagalnie. - Mam nadzieję, że się pan do mnie odezwie, kiedy się pan przekona, że mówię prawdę, ponieważ jest szansa, że mogłabym panu pomóc.

Obszedł biurko i szerzej otworzył drzwi, dając jej do zrozumienia, że powinna już iść.

- Skontaktujemy się z panią, jeśli będzie trzeba.

- Prosiłam, żeby mnie pan nie traktował jak idiotki - przypomniała mu, zaciskając usta. - Dzięki Bogu nie potrafię czytać w myślach, ale widzę wyraz pańskich oczu - dodała i wyszła.

- Oho - mruknął Montoya.

Na korytarzu niejeden policjant odwrócił się za Olivia. Szła sztywno wyprostowana, z wysoko uniesioną głową. Bentz nie odrywał od niej wzroku, choć ona ani razu się nie obejrzała. Z niepokojem zauważył, że nadal czuje zapach jej perfum.

Montoya gwizdnął przeciągle.

-Co za... problem.

- Mhm.

Bentz trzymał w ręku wizytówkę, którą mu dała. Spoglądał za Olivia, dopóki nie zniknęła na schodach. W duchu dał sobie kopniaka. Nie jest przecież napalonym młodzieniaszkiem. Takim jak Montoya. Owszem, Olivia Benchet jest atrakcyjną kobietą, ale bez przesady, nie ona jedna. W dodatku nie wszystkie, na szczęście, mają nie po kolei w głowie. Po-stukał wizytówką o odciski na dłoni.

- Jeszcze jedna piękna nawiedzona - stwierdził refleksyjnie Montoya. -Nie brak ich tutaj.

- Amen - powiedział Bentz. - Choć ona przez jakiś czas mieszkała w Tucson.

- Im też nic nie brakuje. To chyba tam ciągle ktoś widzi UFO.

- W Roswell, w Nowym Meksyku.

- Blisko. - Montoya zapiął suwak skórzanej kurtki i postawił kołnierz. - Za dużo pustynnego słońca, jeśli chcesz wiedzieć.

-Nie chcę.

Montoya zignorował słowa Bentza, dopił kawę i zgniótł kubek.

- Mają ugotowane mózgi. Widziałeś te czaszki krów? To od słońca. Wypala mięso i szare komórki.

-Nawet jak żyją?

- Zaczyna się powoli. - Montoya uśmiechnął się zabójczo i wrzucił kubek do kosza.

- O której był ten pożar? - spytał Bentz, żalując, że nie może tak po prostu zapomnieć o Olivii Benchet.

- Weześnie rano. O trzeciej czy czwartej.

To się zgadzało z historią Olivii. *Wyznania o północy*, popularna audycja doktor Sam, trwa w niektóre dni dłużej. W piątki kończy się o trzeciej nad ranem.

- Ksiądz - mruknął Montoya. - Nie wierzę.

Bentz też nie wierzył. Mimo że miał coś niecoś za złe Kościołowi katolickiemu i pewnemu księdzu. Wredny typ, wyczyniał różne rzeczy, w sutannie i bez. Bentz był jednak przekonany, że dobry pasterz nie popełniłby morderstwa. Tego akurat był pewien.

Zadzwonił telefon. Bentz podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

- Bentz.

- Cześć, Rick. Mówi Stan Pagliano.

Bentz poczuł na plecach zimny dreszcz. Mniej więcej raz na pół roku grywał ze Stanem w karty. Stan także samotnie wychowywał córkę w wieku Kristi. I pracował w miejskiej straży pożarnej.

- Co się stało? - Obszedł biurko, naciągając sznur telefonu.

- Pracowałem przez pół nocy. Trafił nam się fatalny pożar, niedaleko Bayou St. John. Mały dom, ale za późno nas zawiadomiono.

- Ktoś zginął?

- Tak, to, co z niej zostało... Wydaje nam się, że to była kobieta. Trudno powiedzieć. Niewiele zostało. Lekarz i ekipa śledcza są na miejscu, ale pomyślałem, że może zechcesz się tam pokreć. Wiesz, Rick, to nie był pożar od niedopalka papierosa. Wygląda na podpalenie, a kobieta nie mogła uciec. Była przykuta do umywalki, człowieku. Przykuta za ręce i za nogi. Miała też coś na szyi. Prawie całe ciało się spaliło, ale jej... głowa. - Stan odetchnął głęboko i Bentz wiedział, co zaraz usłyszy. -Prawie odcięta od tułowia. Okropność.

Bentz zadrżał i rzucił okiem na drzwi. Szkoda, że nie może zawołać Olivii Benchet z powrotem.

- Są tam też inne rzeczy. Ekipa wszystko sprawdzi, ale nie zaszkodzi, jak się rozejrzysz, nim wszystko zabiorą i spakują.

-Już jadę.

Ścisnęło go w żołądku, gdy Stan podawał adres. Odłożył słuchawkę i sięgał po marynarkę, gdy napotkał wzrok Montoi.

- Ktoś zginął w pożarze przy Esplanade. Przypuszczalnie kobieta. Spalona, z rękami i nogami przykutymi do umywalki i z prawie odciętą głową.

- O, cholera! - mruknął Montoya, wciągając powietrze. Bentz włożył pistolet do kabury.

- Właśnie. Cholera.

Rozdział 5

Risti Bentz wyszła z olimpijskiego basenu. Trzy kilometry. Najdłuższy dystans, jaki przepełnęła w ostatnim półroczu. Czowała się świetnie. Zdjęła ręcznik z haczyka nad ławkami pod ścianą i odetchnęła głęboko. W nosie miała chlor, a w uszach wodę, choć słyszała dalekie głosy kilku innych porannych pływaków. Pani Carter, trenerka o męskim wyglądem, w dresie i z gwizdkiem na szyi, chodziła naokoło basenu, zbierając deski do skoków i zapomniane gogle.

Przez zamglone okna Kristi widziała pędzących na zajęcia studentów, skracających sobie drogę przez czworokątny dziedziniec obok sali gimnastycznej. Zerknęła na zegar.

Cholera. Za piętnaście ósma. Jeśli się nie pospieszy, spóźni się na zajęcia. Zaczęła się wycierać i kątem oka spostrzegła za oknem coś ciemnego. Odwróciła się i zobaczyła wysokiego mężczyznę, który zaglądał do środka. Dlaczego nie wszedł przez drzwi?

I co ją to właściwie obchodzi? Niech sobie zagląda. Przypuszczalnie podnieca go oglądanie dziewczyn w kostiumach kąpielowych.

Obrzydliwy zboczeniec.

Owinęła się ręcznikiem, pobiegła do szatni i wzięła szybki gorący prysznic. Wkładając dzinsy i sweter, nie pamiętała już o podglądaczu. Prędko związała włosy w koński ogon, pociągnęła usta szminką i rzęsy tuszem, złapała plecak i pobiegła na zajęcia. Większość studentów była już w salach. Jedynie kilka osób pędziło betonowymi ścieżkami, które przecinały

trawniki między starymi budynkami z cegły. Rzuciła okiem na Adam's Hali, gdzie miała zajęcia z angielskiego z doktorem Northrupem i z psychologii z doktorem Sutterem. Obaj, jej zdaniem, byli trochę zakręceny. I jacyś tacy... Northrup uważał Szekspira za Boga, a Sutter zadawał całe tony prac domowych. Tony! Gdyby zapisała się wcześniej, miałaby zajęcia z kimś innym, ale, jak zwykle, zostawiła wszystko na ostatnią chwilę i wylądowała u Northrupa, Suttera i doktora Franza, kolejnego wariata.

Pobiegła na swoje ulubione zajęcia. Filozofia religii. Nie interesował jej sam temat ani zręczliwy profesor, doktor Zaroster, który był równie stary, jak książki, z których uczył, lecz jego asystent Brian Thomas, ze studiów doktoranckich. To dla niego wstawiała wcześniej i nigdy nie opuszczała zajęć. Gdyby doktor Sutter albo doktor Franz mieli takich asystentów jak Brian, może ich zajęć też by nie opuszczała.

Kristi uśmiechnęła się na myśl o Brianie. W trakcie dyskusji w grupach zwrócił na nią uwagę i to jej pochlebilo. Wysoki, z gęstymi włosami i boskim ciałem, często rzucał jej nieśmiałe uśmiechy. Od czasu do czasu przyłapywała go, jak się jej przyglądał podczas wykładów i szybko odwraca wzrok, gdy na niego spojrzała. Jakby nie chciał, żeby to zauważyła.

Pospieszenie weszła do auli i zeszła po schodkach, aby zająć miejsce z przodu audytorium. Zaroster właśnie otwierał książkę. Gderliwy profesor rzucił Kristi zirytowane spojrzenie.

Wielkie rzeczy. Spóźniła się najwyżej dwie minuty. Chciała mieć dobre wejście. Żeby Brian ją zauważył... Ale go nie było. Kristi wyjęła notatnik i długopis. Pozostali studenci pośpiesznie robili notatki, kilku miało nawet palmtopy, do których wprowadzali dane. Zaroster wykladał piskliwym głosem, przerzucając kartki jakiegoś zakurzonego tomu.

Obejrzała się ukradkiem i zobaczyła go. Z tyłu auli, na samej górze, rozdawał testy. Zapewne była o tym mowa, nim przyszła.

Och, da sobie radę. Test o Buddzie nie może być trudny.

Znów się obejrzała i dostrzegła, że Brian jej się przygląda. Uśmiechnęła się. Ku jej zdumieniu, odpowiedział uśmiechem.

Serce zabiło jej mocniej. Poczzerwieniała i na moment spuściła wzrok. Był o tyle od niej starszy. Przepuszczalnie bliżej trzydziestki niż dwudziestki.

No i co z tego?

AJay?

Przez moment poczuła wyrzuty sumienia. Jay był jej chłopakiem. Kiedyś. Odkąd wyjechała z Nowego Orleanu i zaczęła studia, ich stosunki bardzo się pogorszyły. Spojrzała na obrączkę. Obrączkę obietnicy. Taką, którą daje się przed zaręczynami. Teraz wydawało jej się to głupie. Dziecinne.

Zsunęła jaz palca, gdy stary Zaroster wciąż przynudzał, i schowała do kieszeni. Zaryzykowała jeszcze jedno spojrzenie przez ramię. Brian był już tylko dwa rzędy za nią i wciąż rozdawał testy. Tym razem nie podchwyciła jego wzroku, ale się tym nie przejęła.

Wiedziała, że prędzej czy później zaproponuje jej spotkanie. Mogła się założyć.

W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach mokrego popiołu i spalonego drewna.

Bentz przyglądał się miejscu zbrodni, a wypalona skorupa domu tliła się w świetle poranka. Kilka poczerniałych belek, odgrodzonych żółtą taśmą i zlanych wodą z węży strażackich, leżało wokół ruin komina. Parę krzaków mirtu i drzew dębu przed domem nosiło ślady przypalenia, podobnie jak osmalone ogniem ściany i dachy sąsiednich domów.

Bentz wpatrywał się w mokre śmierdzące ruiny, pocierając ręką kark. Ekipa śledcza już zabrała się do pracy, starannie przeglądając pobojowisko, a fotograf i pracownik z kamerą wideo utrwalali ślady na taśmie i kliszy. Umundurowani policjanci nie dopuszczali gapiów, a samochody policyjne, niektóre z migającym światłem na dachu, parkowały na ulicy, blokując dostęp do spalonego domu. Jedna ekipa telewizyjna wciąż filmowała, inna pakowała sprzęt do samochodu.

To dobrze, dziennikarze zawsze przeszkadzają.

Ofiara została obejrzana, sfotografowana i wywieziona w czarnej torbie. Bentz już ją widział i omal nie zwymiotował. W ciągu dwudziestoletniej pracy w policji oglądał najróżniejsze rzeczy, ale z czymś takim nie miał jeszcze do czynienia.

Na miejscu został jeden wóz strażacki. Kilka samochodów policyjnych i jedna furgonetka stały bezładnie wokół spalonego domu. Niektórzy sąsiedzi jeszcze nie odeszli, gapili się, zadawali pytania, rozmawiali, a zimowe słońce wyzierało zza ciężkich szarych chmur wiszących nad miastem. Bentz porozmawiał z paroma policjantami i lekarzem sądowym, i nadal nie mógł zrozumieć, jakim cudem Olivia Benchet o wszystkim wiedziała.

Ze szczegółami.

Jakby przy tym była. Bentz znalazł w kieszeni gumę do żucia i odpakował kawałek. Co to miało znaczyć? Jeśli jej tu nie było, nie zaglądała przez okno, to jak mogła wiedzieć, co się zdarzyło?

Podszedł do niego Stan Pagliano. Twarz miał umazaną sadzą i brudem, a zmarszczki na czole wydawały się głębsze niż zwykle.

- To naprawdę paskudne, człowieku - powiedział. - Zresztą wszystkie morderstwa są okropne.

- Co się stało? - Bentz rozmawiał z policjantami, ale chciał poznać zdanie Stana.

- Tak, jak ja to rozumiem, sąsiad wstał w nocy do ubikacji, wyjrzał przez okno i zobaczył płomienie. Nim dostaliśmy wezwanie, było już za późno na uratowanie domu. Pierwszy samochód przyjechał po trzech minutach, ale cały dom stał w płomieniach. Mieliliśmy szczęście, że udało nam się ocalić sąsiednie. - Pokazał na parterowe domy, większość z identycznymi dwiema sypialniami z dekoracyjnymi podporami, czterospadowym dachem, drzwiami z każdej strony i wąskimi oknami między nimi. - Wydaje się, że pożar wybuchł w małym pomieszczeniu z tyłu, gdzie był stary piec i jakoś przeniósł się przez jeden z wentylatorów, jakby go przyciągało coś, co się powoli paliło w łazience... Dziwne. - Spojrzał na Bentza ciemnymi oczami. - I jeszcze ta ofiara, przykuta do umywalki. Na litość boską! Co za zboczeniec mógł zrobić coś takiego?

Sięgnął pod żółtą kurtkę i wyjął pogniecioną paczkę papierosów. Podsunął Bentzowi, ale ten pokręcił głową, choć bardzo chciało mu się palić.

- Ach, prawda, rzuciłeś, tak? - Stan przytknął płomień zapalniczki do papierosa i zaciągnął się głęboko. - Wiesz, Bethie od dawna nalegała, żebym przestał palić. Ciągłe opowiadała o tym, jakie papierosy są szkodliwe, wiesz, to, co im mówią w szkole, a potem któregoś dnia, w zeszłe wakacje, upuściła torebkę i zgadnij, co z niej wypadło? Paczka mariboro lights. - Wypuścił z ust kłąb dymu. - Wyobrażasz sobie?

- Dorastają i zaczynają rozumieć, ile kitu im wciskaliśmy - stwierdził Bentz, obserwując Montoyę, który rozmawiał z ludźmi zgromadzonymi na ulicy. Z sąsiadami.

- Na dziewięćdziesiąt procent ofiara była młodą kobietą. Moim zdaniem niewiele starszą od Kristi czy Betty Ann. — Bentzowi zabrzmiały w uszach słowa Olivii Benchet: „Jest pan ojcem... Co by pan czuł, gdyby zabójca wybrał pańską córkę?”

- Hej, Stan, chodź no tutaj! Pomóż! - zawołał jeden ze strażaków.

- Idę. - Jeszcze raz zaciągnął się głęboko i kiwnął Bentzowi głową. - Później porozmawiamy. - Rick?

- Tak?

- Złap tego drania, dobrze?

- Tak.

Stan poszedł do kolegów.

Montoya skończył przepytawać sąsiadów i przeszedł między zaparkowanymi samochodami, przeskakując kałużę.

- Co powiedział lekarz? - zapytał.

- Przyśle nam raport, ale z tego, co stwierdził wynika, że nasz „świadek”, jeśli można ją tak nazwać, doskonale wiedziała, co się stało.

- Ciekawe, co? - mruknął Montoya.

-Uważam, że musimy ją sprawdzić bardzo szczegółowo i pod każdym względem. - Włożył zaciśnięte w pięści dłonie do kieszeni spodni. -Ona musi coś wiedzieć. - Zmarszczył brwi. Olivia Benchet wydawała się niezwykle zdeterminowana. I niewinna. Ciekawe, co wynajdzie w jej życiu? Przypuszczalnie nic, co by mu się spodobało. - Jeszcze raz z nią porozmawiam, a ty sprawdź resztę. Babkę, matkę, faceta, czy była mężatką, ile razy, gdzie chodziła do szkoły, i tak dalej.

- W porządku. - Montoya skinął głową.

- Czego się dowiedziałeś? K-toś z sąsiadów coś widział? Montoya prychnął.

-Niewiele. Nikt nie zauważył niczego podejrzanego, a jeśli zauważył, to nie mówi. Oprócz faceta, który wstał do ubikacji, z tego różowego domu - pokazał ręką na dom sąsiadujący ze spalonym - nikt z sąsiadów nawet nie wyjrzał przez okno, dopóki nie usłyszeli syreny strażackiej. Wtedy poczuli zapach dymu i spostrzegli, że na dworze jest mroźno, jak przy wybuchu atomowym. -Zniesmaczony pokiwał głową. - Sąsiad, który zauważył pożar, Elvin Gerard, zobaczył płomienie, obudził żonę Lois i zadzwonił na 911. Koniec historii. I jeszcze mówi, że dom na ogół ktoś wynajmował, ale od miesiąca stał pusty.

- Ale ktoś tu był dziś w nocy.

- Aha. - Montoya przerzucił kartki notesu. - Gerard mówi, że kiedyś ten dom należał do starszego małżeństwa Jałinskysów. Najpierw umarł on, a ona niedługo po nim. Ich dzieci wynajmowały odziedziczony po rodzicach dom za pośrednictwem miejscowej agencji Benchmark Realty. Ostatnio nikogo tu nie widziano, oprócz kogoś z agencji, kto pokazywał dom potencjalnym klientom, i firmy, która sprzątała po poprzednich lokatorach.

Strażacy zaczęli związać węże, sąsiedzi powoli się rozchodzili i nawet ostatnia ekipa telewizyjna pakowała sprzęt. Policjant likwidował barykadę na ulicy i ręką ponaglał przejeżdżające samochody, których kierowcy wyciągali szyje, żeby coś zobaczyć.

- Sprawdź w Benchmark listę osób, które chciały wynająć dom - powiedział Bentz. - Coś jeszcze?

- Tak. Może. Jedynym punktem zaczepienia, jaki mamy, jest to, że jeden z sąsiadów nakręcił kamerą wideo pożar, kiedy przyjechali strażacy.

- Masz tę kasetę? — zainteresował się Bentz.

- Mhm. Facet chętnie ją dał. - Montoya sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął kasety. - Pewnie będziemy musieli obejrzeć wycieczkę Hender-sonów do Disney Worldu, ale w końcu zobaczymy pożar.

- Może będziemy mieli szczęście i coś na tej kasecie znajdziemy. -Bentz sam nie wierzył w to, co mówi. Zanim zaspany sąsiad zaczął kręcić morze ognia, zabójcy już dawno tu nie było, chyba że lubi rozkoszować się oglądaniem swojego dzieła. Czasem się tak zdarzało i wtedy policja miała szczęście. Ale trudno było na to liczyć. Na razie najpoważniejszym śladem, jaki mieli, była Olivia Benchet. Bentz przyglądał się zmrużonymi oczami wypalanej, zalanej wodą ruinie i myślał o niesamowitej historii Oli vii - naga, przykuta ofiara, ksiądz z radiem i mieczem, rocznica zabójstwa Kennedy'ego.

- Sprawdzę raporty o zaginionych osobach, może uda mi się wykonywać, kim jest ofiara, a potem jeszcze raz porozmawiam z panią Benchet.

-Nie wierzysz chyba w te bajki o wudu i wizjach - powiedział Montoya z ironicznym uśmiechem.

- Jeszcze nie. - Ruszyli do samochodu. - Musimy ją rozgryźć. Porozmawiaj z Brinkmanem. Wyciągnij z niego wszystko, co wie, nawet nieistotne szczegóły. Musi mieć jakieś notatki czy akta. I sprawdź, czy rozmawiała z kimś innym tutaj, w mieście albo w okolicy. Zachowuje się tak, jakby wiedziała o innych morderstwach, więc spróbuj to zweryfikować. Ja się skontaktuję z FBI. Mogą to sprawdzić w swoim komputerze.

-Będą chcieli się tym zająć, jeśli znajdą jakieś powiązania.

- Dobrze.

- Wydawało mi się, że nie lubisz pracować z agentami federalnymi. Wyminęli ostatnich strażaków z węzami.

- Jak się do mnie nie wtrącają, to nie mam nic przeciwko. Doszli do samochodu i Bentz usiadł na miejscu dla pasażera. Zamierzał poruszyć niebo i ziemię, żeby wykryć, o co chodzi z tą dziwną kobietą.

- Może powinniśmy sprawdzić tutejszych księży? - zasugerował Montoya, siadając za kierownicą.

- Może. I przy okazji okaże się, że któryś był notowany za morderstwa i podpalenia - zażartował Bentz. Montoya zaśmiał się i ruszył.

- Wizja tej wariatki była bardzo precyzyjna, co?

- Albo maczała w tym palce.

- Tak myślisz?

Bentz przypomniał sobie rozpacz w oczach Olivii, jej strach, sposób, w jaki przygryzała dolną wargę, kiedy opowiadała swoją historię. Pokręcił głową.

- Sam nie wiem, co myśleć.

Montoya wycofał samochód i wyjechał na drogę.

- Jeśli miała z tym coś wspólnego, to dlaczego do nas przyszła? Nie, to się kupy nie trzyma.

Bentz zgadzał się z Montoya, choć zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. Nie zamierzał niczego zostawić przypadkowi.

- Zobaczymy.

- Sprawdzę wydział samochodowy, ubezpieczenia i dane demograficzne.

- Gdy będę miał podstawowe informacje i raport lekarza, zaproszę ją na rozmowę.

-Naprawdę trafiła, człowieku. Dokładnie. Założę się, że znajdziemy spalone resztki radia i jakiś łańcuszek na prysznicu, tak jak mówiła. -Montoya przez moment spoglądał mu prosto w oczy. - Coś z nią jest nie tak.

- Jasne, Diego.

- Hej, nie śmieję się, ja teraz naprawdę używam tego imienia - rzucił Montoya, skręcając w boczną ulicę.

- Dlaczego?

- To moje dziedzictwo.

- Głupoty. - Bentz wyglądał przez okno. - Diego - prychnął.

-Nie sądzisz, że to dobrze brzmi?

- Niech ci będzie.

Bentzowi było wszystko jedno. Żując gumę bez smaku, spojrzął na kasetę wideo. Ciekawe, co na niej znajdują? Przypuszczalnie nic. Chyba że obraz kogoś uciekającego czy kogoś w tłumie gapiów, nieznanego sąsiadom, kto mógłby być zabójcą, obserwującym efekty swoich działań. A może to ktoś z sąsiadów? Tak czy inaczej, Olivia Benchet była ich najlepszym tropem. I jedynym.

Rozdział 6

"Telefon zadzwonił, gdy Olivia otwierała drzwi. Rzuciła torbę na stół i w kuchni i złapała słuchawkę. Hairy S podreptał do dużego pokoju.

- Halo - powiedziała, trzymając słuchawkę między twarzą a ramieniem i jednocześnie zdejmując przykrycie z klatki. Papuga Chia nastroszyła zielone pióra i gwizdnęła głośno.

- Liwie? - Zwykle ożywiony głos Sary był cichy i poważny. To oznaczało tylko jedno: problemy z mężem. Znowu. Leo Restin miał kłopoty z dotrzymywaniem wierności małżeńskiej. Duże kłopoty. Słowo „monogamia” nie figurowało w jego słowniku. Nie potrafił trzymać rąk przy sobie. Miał czelność podrywać nawet Olivie, współniczkę własnej żony. Te niechciane zaloty Lea były jednym z powodów jej wyjazdu z Tuc-son. Mówiła mu, żeby się odczepił i straszyla, że wszystko powie Sarze, ale to nic nie dało. Obrzydliwy typ.

- Co się stało? - spytała Olivia, puszczając oko do Chii.

- Chodzi o Leo.

To ci dopiero nowina.

- Znow zniknął.

To zazwyczaj oznaczało, że ma nową kobietę. Olivia, nawijając sznur od telefonu na palec, wpatrywała się przez okno w mgłę unoszącą się nad bagnami.

- Zawsze to samo, eo? - Sara milczała. - Wiesz, co powinnaś zrobić? Sara westchnęła.

- Nie uznaję rozwodów, Olivio. Wiem, że to głupie, aleja go wciąż kocham.

- On cię wykorzystuje.

- Muszę poczekać, aż Leo wydorosleje. Może tak czekać wieki.

- Leo ma trzydzieści pięć lat - przypomniała Olivia. - Jak długo chcesz jeszcze czekać?

- Nie wiem. Ja go naprawdę kocham. - Głos Sary lekko drżał. - Wiem, że to żalosne, jakbym była jedną z tych przegranych kobiet, co zawsze wszystko wybaczą facetom, bo ich kochają. Ale mnie naprawdę na nim zależy i... Nie wiesz, jaki on jest uroczy, gdy jesteśmy sami.

- Dlatego podoba się tylu kobietom. Sara wciągnęła powietrze.

- Przepraszam, nie powinnam tego mówić - powiedziała szybko Olivia. - Nienawidzę, kiedy tak cierpisz. Jeśli mu pozwolisz, stale będzie to robił.

- Wiem, wiem, ale w mojej rodzinie nikt się nigdy nie rozwiódł. Byłabym pierwsza.

- Czy inne kobiety też musiały znosić takie upokorzenia?

- Chyba tak. Nie wiem. Kiedyś mi się wydawało, że ludzie biorą ślub i żyją szczęśliwie aż do śmierci. Och, oczywiście czasem się kłóć albo nawet na chwilę rozstają, lecz w końcu wszystko się jakoś układa.

- W bajkach.

- Rozwód nie jest łatwy.

- I dobrze. Branie ślubu też powinno być trudniejsze. Sara się roześmiała.

- Może. A co u ciebie?

- Nic specjalnego - odparła Olivia, nie chcąc opowiadać przyjaciółce o swoich wizjach. Sara, mimo flirtu z New Agę, była katoliczką. Chwilowo nie praktykowała, ale, jak wyczuwała Olivia, była gotowa do powrotu na łono Kościoła. Tak jak ona sama?

- Ten dom będzie trudniej sprzedać, niż myślałam. — Rozejrzała się, spoglądając na lśniące drewniane ściany i podłogi. Miały ponad sto lat. Z wysokich okien z wąskimi szybami rozciągał się wspaniały widok na bagna. Dom nie był ocieplony, a instalacje wodno-kanalizacyjna i elektryczna, które założono wiele lat temu, były przestarzałe i niebezpieczne. - Muszę tu jeszcze dużo zrobić, nim będę mogła go sprzedać. A poza tym nie jestem wcale pewna, czy tego chcę. Należy do mojej rodziny od lat.

- A więc jeszcze nie wiesz, czy zostajesz w Nowym Orleanie?

- Wiem, że zostanę tu do końca studiów. A potem... Kto wie?

- Nadal pracujesz w tym sklepiku na placu?

- W czasie wolnym od zajęć.

Oparła się o ladę i pomyślała o dziwnej klienteli Trzeciego Oka. Sklep, mieszczący się w małej dziurce przy Jackson Square, reklamował się, że oferuje wszystko, od suszonych głów aligatorów do przedmiotów religijnego kultu, New Agę i wudu, połączone z chrześcijaństwem.

- A jak idą interesy w Tucson?

- Fantastycznie - powiedziała z entuzjazmem Sara, jakby sama w to wierzyła. - Poznałam nową artystkę, która będzie prezentowała swoją sztukę we wnęce z tyłu. W sprzedaży wysyłkowej mam nowe kryształowe wisiory, które się obłędnie sprzedają. Ale tęsknię za tobą. Bez ciebie jest inaczej.

- Zatrudniłaś przecież kogoś.

- Zatrudniłam dziewczynę, a nie partnerkę. Ma tatuaże na rękach, a w nosie, w brwiach i gdzie popadnie nie tylko kolczyki, lecz agraiki! Wyobrażasz sobie? Wygląda, jakby pracowała u krawca, a nie w sklepie New Agę.

Olivia roześmiała się. Pierwszy raz tego dnia.

- Uwważaj, Saro. Zdradzasz parafialne pochodzenie.

- Broń Boże!

- Niedługo zaczniesz nosić do pracy plisowaną spódnice, sweterek i podkolanówki.

- Bardzo śmieszne.

- Też tak uważam.

Olivia rzuciła okiem na zniszczony wyplatany fotel, stojący obok donicy z błyszczącymi nieustannie rozrastającymi się liśćmi rododendrona.

- Dzwoni drugi telefon, muszę kończyć...

- Do usłyszenia - rzuciła Olivia, która wiedziała, że Sara chce koniecznie sprawdzić, kto dzwoni. Wieczna optymistka, prawdopodobnie myśli, że to krambny Leo, zmęczony nową kobietą i gotów na kolana błagać swą świętą cudowną żonę o wybaczenie.

Hairy S zaszczekał i zaczął nerwowo kręcić się przy tylnych drzwiach.

- Chcesz wyjść? - spytała Olivia, otwierając drzwi. Pies wybiegł na dwór. Na horyzoncie zbierały się burzowe chmury, w powietrzu wisiał deszcz. Pies przebiegł przez werandę i znikł w kępie wysokich traw i cyprysów, obwąchując ziemię w poszukiwaniu wiewiórek, oposów czy błotnych ptaków, które mogłyby wystraszyć.

Olivii zaburczało w brzuchu. Już dziesiąta rano, a ona jest na nogach od siedmiu godzin, egzystując wyłącznie na kawie i adrenalinie. Otworzyła lodówkę i skrzywiła się na widok dwóch jajek, kawałka sera, połowy bochenka chleba i butelki keczupu.

- Pora na omlęt - oznajmiła, gdy usłyszała, że Hairy S wrócił. - Ty też coś zjesz?

Otworzyła spiżarnię, gdzie pod trzema półkami przetworów z brzoskwiń, moreli i gruszek, zrobionych przez babkę, leżało pół torby psiego jedzenia. Na myśl o babce Olivie ogarnął smutek. Tak ciężko jest stracić kogoś, kto kochał cię bezwarunkowo.

Odmierzyła porcję jedzenia do psiej miski, nasypała ziaren do klatki i pogłaskała gładkie zielone pióra papugi.

- Prawda, że jest piękna? - powiedziała babka, kiedy przyniosła papugę do domu. - Paskudzą! Jak wszyscy więźniowie, ale Wanda była mi winna pieniądze i zaferowała Chię.

Od tej chwili Chia stała się domownikiem.

- Wiesz, babcia miała rację. Jesteś piękna - powiedziała Olivia do papugi, która wyprostowała błyszczące skrzydła i dziobnęła kilka ziaren z miseczki.

Olivia włączyła radio i włożyła do testera dwa kawałki chleba. Włączyła kuchenkę i wymieszała jajka. Pies w tym czasie połknął swoje jedzenie. Patsy Cline śpiewała o straconej miłości.

Jasne, tylko tego mi potrzeba do szczęścia, pomyślała Olivia, trąc na tarce ser. Ostatnie nuty piosenki przycichły i „Ramblin” Rób, didżej, zaczął opowiadać o jakimś starym klasycznym kawałku country, nagra

nym tuż przed śmiercią artystki. Jego głęboki baryton miękko płynął z głośników. Mówił tak, jakby znał osobiście wszystkich swoich słuchaczy. Olivii nawet się to podobało.

W ciągu tych kilku krótkich miesięcy, odkąd wróciła do Luizjany, nauczyła się rozpoznawać głosy niektórych lokalnych spikerów i didże-jów. Najczęściej słuchała stacji WSLJ, tej samej, w której Samanta Leeds, | czyli doktor Sam wygłaszała swoje nocne porady, tej samej, którą „słyszała” w nocy podczas wizji.

Przeklętej wizji.

Za każdym razem, kiedy myślała o strasliwym morderstwie, czuła w duszy lód. Przestań. Przestań o tym myśleć. Ale nawet teraz przez głowę przeleciało jej wspomnienie ofiary błagającej o litość. Rozkojarzona, przejechała knykциями po tarce.

- Au! Cholera!

Trysnęła krew i Olivia szybko włożyła palce do ust, a po chwili odkręciła kran i zaczęła chłodzić rękę zimną wodą.

- Jestem idiotką- poinformowała psa. - Skończoną idiotką. Nie mogła zapomnieć o wizji. Miała nadzieję, że pomoże jej rozmowa z policją, ale oczywiście wątpliwości Bentza zupełnie wytraciły ją równowagi. Czytając o nim w gazecie, myślała, że będzie inny, bardziej wrażliwy, tymczasem zachował się prawie tak samo jak Brinkman.

- Kretyn - mruknęła.

Może wątpliwości Bentza były uzasadnione? Może to był tylko sen, bardzo zły, straszny koszmar senny?

- Akurat, a ja jestem królową Anglii -jęknęła, owijając rękę papierowym ręcznikiem. Udało jej się wsypać startą mozzarellę do jajek. Grzanki wyskoczyły z tosterka.

Olivia położyła je na talerzu i sięgała po margarynę, kiedy usłyszała wiadomości:

s - ...Dziś w nocy, w pożarze zginęła kobieta, której "jeszcze nie zidentyfikowano. Pożar wybuchł około trzeciej / nad ranem niedaleko Bayou St. John...

Wysłuchiwała krótkiej relacji, bezsilnie opierając się o stół. Media nie miały wiele do powiedzenia. Pożar. Zmarła kobieta. Podejrzenie podpalenia. Nic o morderstwie. Nic o mordercy, który uciekł w noc. Ale Rick Bentz wiedział. I na pewno się do niej odezwie. Tyle wiedziała bez uciekania się do sił nadprzyrodzonych.

Rozdział 7

W agencji wynajmu i handlu nieruchomościami Bentz niewiele się dowiedział. Pojechał tam, kiedy przesiadł się do własnego samochodu na policyjnym parkingu. Oscara Cantrella, właściciela Benchmark Realty, nie zastał. Jego sekretarka Marlene, postrzelona brunetka w okularach w czerwonych oprawkach, zapewniła Bentza, że dom, który się spalił, stał pusty od września, gdy wyprowadzili się z niego studenci uniwersytetu Tulane, nie płacąc czynszu za ostatnie miesiące.

- Wynajmowanie studentom to zawsze strata forsy - poinformowała Marlene i dodała, że pięciu chłopaków, którzy wynajmowali dom, nieustannie bankietowało i narobiło szkód, których nie pokrywa ubezpieczenie. Właściciele domu, brat i siostra, mieszkający w różnych stanach, zastanawiają się, czy go nie sprzedać.

Marlene mówiła tak, jakby brakowało jej tchu, cały czas żując gumę i żywo gestykulując.

- Zajmujemy się wszystkim, bo właściciele mieszkają poza granicami naszego stanu. Wes, brat, mieszka w Montgomery, a Mandy, która wyszła za mąż i teraz nazywa się Sieverson, w Houston. Za skarby świata nie potrafią dojść do porozumienia. - Strzeliła gumą. - Mandy chciała podnieść trochę standard domu, który w gruncie rzeczy składa się z dwóch części, ale Wes nie zgodził się dać ani centa. - Ciemne, mocno zarysowane brwi podjechały w górę, nad czerwone oprawki, jakby chciała się z nim podzielić swą niezwykłą mądrością. - Ledwie pochowali matkę, a on już dzwonił i pytał o możliwość sprzedania domu. Mówię panu, mocno naciskał, ale Mandy się nie zgodziła. Wyszła za mąż, jak już mówiłam, i traktuje dom po rodzicach jako inwestycję. Wes to zupełnie inna historia. Mówię panu, dostał szalu, kiedy ostatni lokatorzy wyprowadzili się cichcem, bez płacenia. Naprawdę się wściekł i domagał się, żeby szef wyrównał stratę. - Przewróciła oczami i zamokła. - Jeszcze czego.

- Poproszę o listę chętnych, którzy dzwoniли w sprawie wynajmu domu, odkąd stoi pusty oraz tych, którzy robili tam jakieś naprawy lub sprząkali.

- Nie ma problemu - zapewniła Marlene, stukając palcami w klawiaturę komputera. - Za sekundę. Mamy akta każdej nieruchomości, coś w rodzaju dziennika. - Stara drukarka drukowała strony do wtóru rytmicznego żucia gumy i po kilku minutach sekretarka, znacznie bardziej operatywna, niż się to na początku wydawało, wręczyła mu wydruk.

Odpowiedziała jeszcze na kilka pytań, ale poza tym, że znała sporo plotek, w gruncie rzeczy niewiele mogła pomóc. Bentz zapisał sobie, żeby sprawdzić, czy przypadkiem właściciele domu nie wpadli ostatnio do miasta i nie postanowili podpalić swojej własności, aby zarobić na ubezpieczeniu.

Tyle że koncepcja z ubezpieczeniem nie wyjaśniała, dlaczego ktoś torturował i zabił tam kobietę. Nieustannie chodziły mu po głowie słowa Stana Pagliano: „Była przykuta za ręce i nogi... Ale jej głowa... Prawie odcięta od ciała”.

Później Stan spytał go, co za zbrodzenie mógł popełnić taką zbrodnię.

Bentz nie wiedział.

Był jednak ktoś, kto mógł wiedzieć.

Olivia Benchet. Ta pani znała wszystkie szczegóły.

- Mówię ci, że to wariatka - stwierdził Brinkman, kiedy Bentz złapał go na korytarzu, przy pokojach przesłuchań. - Rozmawiałem z nią dwa razy i za każdym razem wciskała mi te bzdury o morderstwach, jakie widziała, o wizjach zabójstw. Nie potrafiła jednak powiedzieć niczego konkretnego. Gdzie jest ciało. Gdzie to się odbyło. Gdzie jest narzędzie zbrodni. Nic. Jeśli chcesz wiedzieć, a najwidoczniej chcesz, bo mnie pytasz, ona nie ma wszystkich kółek. Jeździ na jednoślądzie.

Bentz nie miał ochoty słuchać marnych dowcipów.

- Chcę zobaczyć raporty - powiedział, kiedy podeszli do schodów. - Tym razem jest miejsce zbrodni, ciało i miecz.

- Słyszałem. Koło Esplanade, tak?

- Zgadza się.

* - O Jezu! I ona ci o tym opowiedziała? - Brinkman pokręcił głową. Wianuszek czarnych kosmyków otaczał piegowatą łysinę, w której odbijały się lampy. Weszli na górę, stukając butami. Kilku policjantów szło na dół.

- Dlaczego uważasz, że wcześniej przychodziła z jakimiś bzdurami, jeśli tym razem wszystko się zgadza?

- Fart wariata? Nie mam pojęcia. - Brinkman wszedł do recepcji, otoczonej pokojami. - Muszę jednak przyznać, że mnie zaintrygowała. Wydawała się strasznie pewna siebie. Trochę o nią popytałem. Okazuje się, że pochodzi z rodziny wariatów. Jej babka twierdziła, że jest kapłanką wudu, czy kimś w tym rodzaju, tylko dlatego, że miała w sobie krew murzyńską, matka miała czterech czy pięciu mężów, a ojciec spędził większość życia w więzieniu stanowym Missisipi...

- Co takiego? - zdziwił się Bentz.

- Nie wiedziałeś? Stary Reggie Benchet zadźgał faceta - wyjaśnił Brinkman, poprawiając okulary. Uśmiechnął się, kiedy zdał sobie sprawę, że przekazał koledze nową informację. - To wszystko jest w moim raporcie. Reginald Benchet wyszedł na początku roku.

-I?

- O ile wiem, żyje uczciwie. - Brinkman znów się uśmiechnął. - Wzorowy obywatel. Odnalazł Boga, czy coś takiego. Prześlę ci raport i sam zdecydujesz, na ile możesz wierzyć Olivii Benchet. Jeżeli wiedziała, co się działo, kiedy zamordowano dziewczynę, założę się, że miała w tym jakiś udział... Chociaż nie, ona nie jest typem morderczyni. Już wiem. - Brinkman pstryknął grubymi palcami. - Ona to widziała. We śnie.

- Tak mówi.

- A ty to kupujesz? Jeśli tak, to ja mam działkę na Florydzie...

- Dobra, dobra, Brinkman, przyślij mi ten raport - rzucił zirytowany Bentz. On też nie kupował teorii wizji, ale nie potrafił uwierzyć, że ta kobieta mogła być zamieszana w morderstwo. - Może powinniśmy uwierzyć jej na słowo?

-O Jezu, teraz ty gadasz jak mięczak.-Pokręcił łysagłową i prychnął ironicznie. - Właśnie gdy zacząłem myśleć, że mimo wszystko jesteś sensownym gliniarzem.

- Czekam na raport - warknął Bentz.

- Wybacz mi, Ojcze, bo zgrzeszyłem.

Wybraniec klęknął przed ołtarzem i w lśniącym kielichu zobaczył swoje zniekształcone odbicie. Świece migotały, a przez ściany jego marnego sanktuarium czuć było zapach rzeki. Błotnisty i wilgotny. Płynęła nieustannie i nie można było zmienić jej biegu. Wiele ich łączyło -jego i Missisipi. Oboje mieli sekrety, których nikt nie potrafił odkryć.

- Jestem zbyt dumny, Ojcze, i... - Przełknął głośno ślinę, wiedząc, że musi wyznać swój straszny grzech. - Pożądałem tych kobiet i choć czuję twoją moc, Ojcze, moje... moje ciało jest słabe. Takie słabe. Modłę się o twoją siłę i o wybaczenie...

Zamknął oczy i udało mu się usłyszeć głos Boga, zadający pokutę.

Wyszeptał ledwo słyszalne „amen”, przeżegnał się, wstał z klęczek i podszedł do szafy, w której wisiały alby... Dziś o jedną mniej. Ulubioną. Zostawił ją, żeby spłonęła. Przez tę dziwkę.

Miał także jej zdjęcie. Wyjął je z szafy i starannie przyczepił do wiszącego na ścianie kalendarza, przy dacie dwudziestego drugiego listo

pada, dnia świętej Cecylii. Ach, tak mu zaufała... Dopóki nie było za późno. Teraz już o tym nie myślał. Nie mógł. Musiał odbyć pokutę. Podeszedł do szafy.

Delikatnie odsunął ubrania i przekręcając zamek szyfrowy, otworzył najskrytsze miejsce, gdzie trzymał wszystkie swoje skarby. Długie pasmo jasnych włosów dodał do innych cennych rzeczy, takich jak włosy i paznokcie, a potem, spośród medalików i łańcuchów, wyjął narzędzie pokuty.

Mały lekki pejczyk z ostrymi kamieniami, przywiązanymi do cienkich rzemyków, błyszczącymi szlachetnymi kamieniami, które cięły jak brzytwa, zostawiając niewielkie nacięcia na naskórku, niezbyt krwawiące, ale bolesne, przypominające, że jak wszyscy śmiertelnicy, narodził się obciążony grzechem pierwotnym.

Wybraniec zdjął ubranie i nagi znów ukląkł przed ołtarzem, ze spuszczoną głową odprawiając pokutę.

Nie za zabójstwo. Teraz rozumiał. To było konieczne. Jak zawsze. Wola boża. Przecież nawet przemoc została narzucona z góry. Wykonywał tylko polecenia Świętego Ojca, żeby w wybrany dzień uwalniać ziarnie od kolejnego grzesznika.

Jednak odczuwał pożądanie, ten intensywny surowy głód, który nawet teraz krążył w jego żyłach. Gorący. Ciemny. Pożądliwy.

Nie mógł być słaby. Odetchnął głęboko. Przygotował się. Uniósł wysoko pejcz i zamachnął się.

Trzask!

Skórzane palce uderzyły go w ramię. Zesztywniał.

Poczuł cudowne uczucie bólu. Krew zaczęła krążyć szybciej. Gorąco skupiło się w kroczu.

Uniósł pejcz i znów się zamachnął.

Trzask!

Ostre kamyki cięły skórę jak ukąszenia setek os. Zrobił głęboki wdech.. Czuł spływającą po plecach krew. To wystarczy, aby obmyć się z grzechu.

Jeszcze raz. Mocno.

Trzask!

Członek zadrzał od narastającej erekcji. Wspaniale. Boleśnie.

Pomyślał o kobiecie. O tym, jak jej jasne loki opadały na gładką białą szyję. Cecylia. Kurwa. Córka Szatana. Była doskonała... Zgrabna... I ta gładka szyja, dopraszająca się... Miecza czy ust? Wyobraził sobie, że w nią wchodzi, kiedy cała drży i błaga o litość. Wbija zęby w jej szyję. Jest gorąca, wilgotna. Nawet teraz widział jej duże piersi zwisające

tak nisko, że brodawkami niemal dotykała podłogi. Tak chciał je pogłaskać, uszczypnąć, słyszeć jej krzyk, kiedy wchodził głębiej.

Grzesznik! Profan! Jesteś słaby, bo jej pożadasz!

Mocne uderzenie pejcza.

Trzask!

Ból przeszył całe ciało. Wciągnął ze świstem powietrze.

Jeszcze raz. Rzemyki cięły powietrze.

Trzask!

Ciało przeszył skurcz.

Tak, ta kurwa zasłużyła na śmierć.

Poniósł rękę. Przygotował się. Zamachnął.

Trzask!

Z oczu popłynęły łzy, gdy jego ciało obmyło święte światło. Będzie walczył z pożądaniem, ze słabością, i będzie dalej zabijał, żeby usunąć z ziemi kurwy szatana.

Taka jest wola boża.

Rozdział 8

Olivia usłyszała chrzęst opon na podjeździe. Wyjrzała przez okno wychodzące na drogę w chwili, gdy Rick Bentz wysiadał z policyjnego samochodu. Nawet przy obrośniętych mchem dębach wydawał się dużym mężczyzną, muskularnym, z głęboko osadzonymi oczami i cynicznym wyrazem twarzy. Miał na sobie marynarkę, luźną w pasie i ciasno opinającą ramiona, zwykłe spodnie i białą koszulę. Oraz kaburę pod pachą. Zobaczyła błysk gładkiej skóry i kolbę pistoletu.

Jest nawet dość przystojny, przyznała niechętnie. Gęste brązowe włosy i kwadratowa szczeka miały swój urok. Podobnie jak zmarszczki na twarzy i siwizna na skroniach. Ale oprócz broni błysk twardych oczu i widoczna w rysach determinacja przypominała jej o tym, że jest gliniarzem.

Zakazany owoc.

Nie żeby jej zależało. Chociaż zauważyła, że nie ma obrączki. Czytała gdzieś, że jest rozwiedziony i że jego żona nie żyje.

Zrezygnowała z mężczyzn po ostatnim fiasku przy ołtarzu. Poza tym Bentz nie był w jej typie.

Otworzyła drzwi, nim zapukał, a Hairy S wypadł z kuchni i zaczął szczekać jak opętany.

- Przestań! - krzyknęła Olivia i pies, ku jej zdumieniu, posłuchał. Olivia spojrzała na Bentza. - Znalazł ją pan, tak?

- Znaleźliśmy kogoś.

O Boże! Gdzieś bardzo głęboko nosiła w sobie iskierkę nadziei, że to nieprawda. Że, tak jak uważał ten policjant, po prostu miała straszny sen. Niestety, nadzieja była płonna.

- To ta kobieta, o której panu opowiadałam. Ta z pożaru.

- Chciałbym z panią o niej porozmawiać. Nareszcie.

- Proszę wejść.

Otworzyła szerzej drzwi i pies wyskoczył na dwór.

- Dziękuję. - Z rękami w kieszeniach wszedł do środka, omiatając g wzrokiem półkę z książkami, kwiaty w doniczkach, starą kanapę i krzesła. - Musimy wrócić do pewnych spraw, o których mówiła pani wcześniej.

- Nie ma problemu. Mam teraz czas, dopiero koło czwartej jestem umówiona z moim profesorem.

- Tak późno? W piątek po południu?

W kuchni wydawał się nawet wyższy. Zajmował dużo miejsca w nie-| wielkim pomieszczeniu z niskim sufitem i poźółkłymi ścianami z sosnowego drewna. Miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt i musiał się schylić, żeby nie uderzyć głową w latarnię sztormową, zwisającą z sufitu, której babka Gin nie chciała się pozbyć. To na wypadek, gdyby odcięto jej elektryczność. Chia wrzasnęła, chodząc po drążku w klatce i z niepokojem obserwując intruza.

- Cicho, Chia! - rozkazała Olivia. - To kolejna sierota po babce. Nie lubi, gdy się na nianie zwraca uwagi. I zawsze ma coś do powiedzenia.

- Typowa kobieta.

- Co? - Olivia spojrzała na niego, mrużąc oczy.

- To był dowcip - wyjaśnił.

- Kiepski.

- Owszem. A zatem ma się pani później spotkać z profesorem?

- Tak, z doktorem Leedsem z Tulane.

Poczuła się tak, jakby nagle włączyła klimatyzację. Atmosfera w kuchni znacznie się ochłodziła. Miała wrażenie, że całe poczucie humoru Bentza wyparowało.

Dostrzegła błysk w jego stalowych oczach.

- Zna go pan?

- Spotkaliśmy się. - Z kieszeni wyjął ten sam mały dyktafon, którego używał w biurze. - To nie potrwa długo.

Położył dyktafon na kuchennym stole, gdzie usiłował zakwitnąć kaktus kupiony na Święto Dziękczynienia. Powiedział do małego mikrofonu, że kontynuuje rozmowę, podał datę i godzinę, przeliterował nazwisko Olivii i zaznaczył, że jest u niej w domu. Nie usiadł jednak przy stole, lecz oparł się o blat.

- Mówiła pani, że niedawno z powrotem przeprowadziła się do Lu-izjany. Kiedy? W lecie?

- Tak, przyjechałam pod koniec lipca, gdy babka zachorowała. Wskazała na jedno ze zdjęć w ramach, które powiesiła na ścianie koło wyjścia na tylną werandę.

- To my. Dawno temu.

Na fotografii babka, z siwymi włosami zaplecionymi w warkocz, huśtała bosonogą Olivię. Olivia, mniej więcej pięcioletnia, miała na sobie wystrzępione szorty i bawełnianą koszulkę. Z zachwytem odchyliła do tyłu głowę. Słoneczne światło przeświecało przez drzewa i kładło się jasnymi plamami na suchej trawie. Za nimi widać było kwitnący żywopłot z różowymi kwiatami. Jediną ciemną plamą był zarys cienia na dole zdjęcia.

- Kto robił tę fotografię? Olivia zeszywniała.

- Mój ojciec. To jeden z tych niewielu razy, kiedy raczył się pokazać.

- Nie zajmował się panią? Wzięła głęboki oddech.

- Ojciec? Nie był typem opiekuńczego tatusia i rzadko tu bywał. Na ogół wychowywała mnie babka. - Nie lubiła rozmawiać o rodzinie. -Och... Najmocniej przepraszam... Napije się pan kawy? Albo... Chyba nie mam nic innego.

- Jeśli pani też się napije.

- Z wielką chęcią. To jest... strasznie denerwujące.

Ku jej zdziwieniu, uśmiechnął się, pokazując na moment białe zęby.

- Wiem. Jasne. Chętnie napiję się kawy.

Wiedziała, że chce ją uspokoić i nie miała nic przeciwko temu. Musi być spokojna. Stając na czubkach palców, usiłowała dosięgnąć górnej półki jednej z szafek, gdzie trzymała „porządne”, nieużywane na co dzień naczynia. Bentz pomógł jej zdjąć dwie porcelanowe filiżanki.

- Dziękuję. - Postawiła filiżanki na blacie i zajrzała do szklanego dzbanka z dawno zaparzoną kawą, wciąż grzejącego się w ekspresie. -Zapytał pan o moją rodzinę, a na ten temat nie lubię mówić. Dziadek zginął w czasie wojny. Babka nie wyszła drugi raz za męża. Przez całe życie opiekowała się innymi.

- To znaczy kim?

-Głównie mną. Moją matką, jeśli była w pobliżu. Moją siostrą Chandrą, dopóki nie umarła. Miała wtedy dwa lata. Utopiła się w brodziku -wyjaśniła. Zawsze, gdy ktoś pytał ją o rodzinę, używała tych samych słów. Wypadek. Proste. A wcale takie nie było. Może śmierć nigdy nie jest prosta?

- Gdzie jest teraz pani matka?

- Dobrze pytanie. - Nalala kawy do filiżanek. - Wydaje mi się, że aktualnie przebywa w Houston, z mężem Jebem Martinem, który, prawdę mówiąc, jest skurwysynem.

- Nie lubi go pani? Wzruszyła ramionami.

- Zapewne jest taki sam jak wszyscy, ale nie, nie lubię go i w ogóle nie rozumiem, co to ma wspólnego z tym, co się zdarzyło dziś nad ranem.

- Może nic. Ale niecodziennie ktoś wpada do mnie, twierdząc, że był świadkiem morderstwa.

Nie zaprotestowała. Przynajmniej słuchał. Podała mu kawę.

- Mam mleko, ale nie mam cukru.

- Może być bez cukru.

- Odziedzyczyłam ten dom i jeszcze nie wiem, jak długo tu zostanę. Bentz podszedł do okna i wyrżał na bagna, słońce przefiltrowane przez drzewa, zamuloną wodę i niewielkie podwórko.

- A pani ojciec?

Zamknęła oczy. Równie dobrze mogła to w końcu powiedzieć.

- Nie odzywał się od lat. Siedzi w więzieniu, chyba w więzieniu stanowym Missisipi. Kiedy go widziałam ostatni raz, chodziłam do podstawówki.

Oczekiwała kolejnych pytań o ojca, na szczęście policjant zmienił temat.

- A co z Tucson?

- A co ma być?

- Dlaczego pani stamtąd wyjechała?

- Już mówiłam. Babka zachorowała, a ja w międzyczasie zapisałam się na studia. Zostałam przyjęta na uniwersytet w Tulane, co uznałam za przeznaczenie, więc się tu przeprowadziłam. Moja partnerka odkupiła ode mnie udziały w sklepie.

Pies zapiszczał pod drzwiami i Olivia uchyliła je, aby mógł wejść. Hairy S wpadł do środka jak futrzany pocisk. j - Pies babki - wyjaśniła Olivia, nim Bentz zdążył zapytać. - Też go odziedzyczyłam. Nazywa się Hairy S po ulubionym prezydencie babki, choć trochę inaczej się pisze.

- Nie wygląda na psa obronnego.

- *A u contraire**, proszę pana. To ostry pies, prawda, skarbie? - spytała, drapiąc psa za uchem.

- Zazwyczaj doradzam rottweilera albo pit bulla.

- Dziękuję, zostanę z Hairym.

- I z ptakiem.

- Oczywiście.

Rozejrzał się po niewielkim wnętrzu.

- Mieszka pani na odludziu i miewa koszmarnie sny. Nie boi się pani? Mówiła pani, że zabójca chyba wyczuł pani obecność. Nie obawia się pani, że może się tu zjawić?

- Raczej nie wie, kim jestem.

- Jeszcze nie wie.

Przypomniała sobie wrażenie, że ktoś obserwuje ją przez okna, wrażenie zimna, które ją przenikało.

- Staram się nie żyć w strachu. Mam psa, strzelbę babki i zawsze zamykam drzwi na klucz. Jestem ostrożna. Przecież tu dorastałam. To mój dom.

- Nie zaszkodziłby system alarmowy.

- Być może - przyznała. - Zastanowię się.

- Niech pani to zrobi. - Bentz odsunął jedno z krzeseł z wyplatany oparciem, i usiadł przy stole. - Dobrze, porozmawiajmy o ostatniej nocy - zaproponował, wyjmując z kieszeni marynarki mały notes. - Czy ktoś może potwierdzić, że była pani tutaj?

- Tutaj, w domu...? Nie. Byłam sama. Hej, chwileczkę! - zawołała z niedowierzaniem. - O co panu chodzi? Czy potrzebuję alibi?

- A jak pani uważa?

- Nie. To ja z tym do pana przyszłam, prawda? Właśnie powiedziałam, że mieszkam sama. Z psem.

- Ja tylko ustalam fakty. Poszła pani spać, jak zwykle, i...

- I spałam jakieś trzy godziny. - Obrzuciła go wściekłym spojrzeniem i zajęła miejsce po drugiej stronie stołu. - Nie wiem, jak mam to wyjaśnić. Jako dziecko miałam te... sny czy wizje... Coś się działo... Ale nie przez cały czas i... inaczej.

Wyjrzała na dwór i zmarszczyła brwi. Ile razy usiłowała wytłumaczyć to, co widziała, tyle razy jej nie wierzono, wyśmiewano, nazywano wariatką. Rick Bentz nie różnił się od innych, których bezskutecznie usiłowała przekonać.

* *Au contraire* (franc.) - wprost przeciwnie (przyp. red.).

Przyjrzał jej się szarymi oczami.

- Przyszłam na posterunek, żeby panu pomóc. Zakładam, że teraz | przyszedł pan tutaj w tym samym celu, że po znalezieniu tej kobiety potrzebuje pan mojej pomocy. Nie mogę dodać nic więcej do tego, co już

mówiłam. [i - Niech mi pani opowie o mordercy.

- Zastanawiałam się nad tym - odparła, starając się opanować gniew. Jak ten facet śmiało sugerować, że... Odetchnęła głęboko i powiedziała sobie, że musi przez to przejść. - Jak już mówiłam, był ubrany jak ksiądz i domagał się, aby kobieta wyznała swoje grzechy. Jednak nie jestem pewna, czy naprawdę był księdzem. To znaczy nie wiem, czy tylko się nie przebrał.

- Nie widziała pani jego twarzy, ponieważ miał kominiarkę, ale słyszała pani jego głos?

- Tak. Na tle muzyki organowej z radia.

- Rozpoznałaby pani ten głos, gdyby znów go usłyszała?

- Nie wiem - przyznała Olivia, myśląc gorączkowo. - Mówił szeptem.

Bentz zmarszczył czoło.

- Ile miał wzrostu? Widziała go pani, kiedy zdjął kościelne szaty? Jak wyglądał?

- Był wysportowany. Miał chyba z metr osiemdziesiąt, ale tylko zgaduję. Nie był ani gruby, ani bardzo chudy. Nie wyglądał na biegacza. Może to z powodu tej kominiarki, ale pomyślałam... Miałam wrażenie, że był zbudowany jak narciarz albo pływak, ponieważ miał szerokie ramiona i wąską talię i biodra.

- Wydawało się pani, że na panią patrzy?

- Tak. Podniósł głowę i wpatrywał się.

- Jednak pani tam nie było - uściślił Bentz, podnosząc filiżankę i upijając łyk kawy.

- Nie, jakby wyczuwał moją obecność.

-I miała pani z nim... co? Połączenie telepatyczne? Pokręciła głową.

- Chciałabym to wiedzieć albo zrozumieć... Po takiej wizji boli mnie głowa i jestem wykończona.

- Ile razy się to pani przydarzyło?

- Dużo. Nigdy jednak tak wyraźnie. - Piła kawę, nie czując smaku.

-Jakiego koloru miał oczy?

- Nie widziałam - przyznała z westchnieniem. - W pomieszczeniu było pełno dymu, a on mrużył oczy...

- Mimo że go pani widziała, nie pamięta pani niczego, po czym można by go rozpoznać, tak? - podsumował zirytowany.

- Tak. - Zaciśnęła zęby. Bentz niby ją wypytywał, a w gruncie rzeczy nadal jej nie wierzył. - Uważa pan, że zmyślam?

- To wszystko jest dość naciągane.

- To skąd znalazłbym tyle szczegółów? Pochylił się i po raz pierwszy dostrzegła kolorowe cętki w jego szarych oczach i zmarszczki w kącikach ust.

- Oto jest pytanie, co? Skąd pani tyle wie?

- Już mówiłam, ale pan najwyraźniej mi nie ufa. Wydaje się panu, że jestem jakoś zamieszana w to makabryczne morderstwo i że byłam na tyle głupia, żeby polecieć na policję, gdzie mnie wyśmieją i zaarrestują.

- To też jest naciągane.

- To dlaczego pan tu przyjechał?

- Chcę poznać prawdę.

- Nie bardziej niż ja — odparła ze złością. Jak ostatnia idiotka myślała, że jej uwierzy. Że jej zaufa i wykorzysta jej zeznanie.

- Czy ma pani jeszcze coś do powiedzenia? - spytał. Na jego skroni pulsowała żyłka.

- Czy chce pan jeszcze o coś zapytać?

- Na razie nie, ale może będę miał później jakieś dodatkowe pytania.

- Oczywiście - rzuciła z sarkazmem, choć wiedziała, że nie powinna go prowokować.

Wyłączył magnetofon i wsunął do kieszeni.

- Jeśli coś się pani przypomni...

- Niech mi pan wierzy, że panu pierwszemu o tym powiem. Zamknął notes.

- Wie pan, miałam nadzieję, że mi pan uwierzy.

- To, czy pani wierzę, czy nie, nie ma znaczenia - powiedział, wstając. - Chodzi o to, czy potrafi mi pani podać informacje, dzięki którym będę mógł złapać tego zbrojeńca. Zanim znów kogoś zaatakuję. Może powinna pani lepiej planować swoje wizje. Żeby je mieć przed morderstwem, a nie po. To by mi pomogło.

Rozdział 9

Dobra, puszczaemy to - powiedział Montoya, wkładając kasetę do małego odtwarzacza wideo, który stał na szafce w pokoju Bentza. Jak zwykle miał na sobie skórzaną kurtkę i śmierdział papierosami. - To jest kopia wideo nakręconego przez Hendersona. Przeniosłem film z dysku kamery na kasetę wideo i na CD, więc możemy odtworzyć film także na komputerze. Oryginał oddałem do Dowodów.

Bentz wstał z krzesła i obszedł biurko, gdy Montoya naciskał odpowiednie guziki i na ekranie pojawił się widok pożaru. Obraz trochę drgał i miejscami był zamazany, gdy kamera fotografowała ulicę, na której pojawiali się sąsiedzi i gapie. Fragmenty rozmów i okrzyki przerażenia przeplatały się z odgłosami ulicznego ruchu. Z głośnym trzaskiem pękła szyba w oknie. „O, Jezu!” - krzyknął kamerzysta, gdy płomienie sięgnęły dachu. „Moniko, na litość boską, pilnuj dzieci... Mówię... Nie, zabierz je do domu. Już! Mogą potem obejrzyć kasetę. Szybciej!” Jakieś młode głosy narzekały, zapłakało dziecko, ale autor filmu przez cały czas filmował pożar. Czarny dym szedł do góry, gdy rozległy się syreny. Kamera przesunęła się na wóz strażacki z migającymi światłami, który nadjeżdżał ulicą. Za nim jechał drugi samochód strażacki, karetka i samochody policyjne. Z samochodów wyskoczyły ekipy ratownicze. „Odsunąć się!” - wołał policjant, gdy strażacy rozciągali węże. „Czy możecie wejść do środka?... Tutaj!” - krzyknął z oddali Stan Pagliano. Bentz przyglądał się, jak strażacy, walcząc z płomieniami, wchodzi przez drzwi, żeby sprawdzić, czy ktoś jest w środku.

Zacisnął zęby, gdy przypomniał sobie o kobiecie zamkniętej w pułapce... Przykutej łańcuchem do umywalki. Strażacy biegali i wydawali rozkazy, samochody policyjne z migającymi światłami obstawiły odgradzony teren, a przy nich zbierał się coraz większy tłum. Teraz, pomyślał Bentz, wpatrując się w niewyraźne postacie.

- Dobra, tych dwoje - powiedział Montoya, wskazując na starszą parę. - To są Gerardowie. Oni wezwali straż. Mieszkają w sąsiednim domu, a ten - pokazał na łysiejącego mężczyznę po trzydziestce - mieszka na sąsiedniej ulicy.

Pod jednym z drzew kuliła się jakaś rodzina i drobna kobieta z psem. Stali tam też jacyś inni ludzie, przeważnie niewyraźni, gdyż kamerzysta koncentrował się na pożarze.

-Niewiele tu widać - stwierdził Montoya, popijając kawę z papierowego kubka i gapiąc się w ekran.

-Zaczekaj. - Kamera pokazała ludzi, zatrzymując się na chwilę na grupce nastolatków, trzech chłopakach i dziewczynie wpatrujących się w ogień, a potem na ludziach stojących w cieniu. - Cofnij - burknął Bentz. Tuż za zasięgiem światła latami zauważył jakąś postać, zbyt daleko w cieniu, aby oświetliła ją piekielna łuna pożaru. Montoya cofnął taśmę i znów nacisnął guzik. Postacie na ekranie poruszyły się. - Stop. Tam.

Montoya zatrzymał obraz. Widok był zamazany, ale można było odróżnić pojedynczą postać, zbyt niewyraźną, aby stwierdzić, czy to kobieta, czy mężczyzna.

- A ten facet? - Bentz pokazał na ekran, gdzie ktoś chował się w cieniu za drzewem.

-Co z nim?

- Chyba tylko on jeden jest tu w pojedynkę. Zupełnie sam. Montoya spojrzął na ekran, mrużąc oczy.

- Może innych akurat nie objęła kamera. - Pokazał na ekran. - Widzisz tam, z lewej? Tam może stoi ktoś, kogo Henderson akurat nie sfilmował.

- Może. A może nie.

- Może po drugiej stronie ulicy też są ludzie, których Henderson po prostu nie objął kamerą.

-Na razie mamy tego. Oznacz ten kadr, a potem powiększ i popraw ostrość, jeśli to możliwe. - Bentz zmrużył oczy, wpatrując się uważnie w zamgloną postać. Czy to mógł być on? Czyżby dopisało im szczęście? Sam w to nie wierzył, nie wierzył w ślepy traf, choć na razie nic więcej nie mieli. - Przy okazji zrób powiększenie każdego kadru z gapiami. Nasz facet będzie się starał wtopić w tłum i w żaden sposób się nie wyróżniać.

- Każę zrobić kopie papierowe i cyfrowe. - Montoya znów uruchomił kasetę i w milczeniu obejrzel film do końca. Nie było tam zbyt wiele. Carl Henderson nastawił obiektyw na palący się dom i następne ujęcia pokazywały strażaków z węzami i wielkie gejzery wody wlatujące ponad dach w próbach ugaszenia pożaru.

Kiedy film się skończył, Montoya wyjął kasetę z magnetowidu i schował do kieszeni.

- Jak najszybciej dostarczę ci zdjęcia. Rozmawiałeś jeszcze raz z naszym najlepszym świadkiem? Z tą wariatką?

- Z Olivią Benchet? Tak.

Bentz nie przeczył, że Olivią jest stuknięta, ale denerwowało go, gdy Montoya mówił to głośno.

-I co?

- Wróciła do Luizjany, ponieważ jej babka zachorowała. Oliwią przyjechała tu, żeby się nią opiekować. Babka umarła, a Oliwią została. Pisze pracę magisterską w Tulane.

- Co studiuje? Wudu? Tym się zajmowała jej babka, nie?

- Blisko. Psychologię.

Bentz sprawdził wszystko, skontaktował się z uniwersytetem i dostał wyciąg z indeksu i rozkład zajęć od niezbyt uprzejmej kierowniczkę dziekanatu.

- Psychologię? Znowu? Myślałem, że skończyliśmy z psychologami, kiedy zamknęliśmy sprawę Różańcowego Zabójcy.

- Choroby psychiczne są ostatnio bardzo popularne.

- To trzeba brać prozac. Nie tracić czasu na gadanie z psychiatrą, tylko wziąć pigułkę. Tak jest znacznie prościej. - Montoya poprawił kołnierz kurtki. W jego uchu błyszczał brylantowy kolczyk. Cholerny dandys. - Jeśli chcesz wiedzieć, to oni wszyscy wybrali ten zawód, bo czegoś im brakowało w głowie. Idą do psychologa, spodoba im się leżenie na kanapce i gadanie o sobie, i za chwilę mamy pełno lekarzy od głowy, zakładających prywatne praktyki albo dających rady przez radio. Jezu, tylko pomyśl. Psycholożka, która uważa, że ma - zrobił w powietrzu palcami znak oznaczający cudzysłów - „wizje”. To dobre. W dodatku jej babka była kapłanką wudu. Tak mówiła, nie? Akurat tego nam trzeba. Następnym razem zamorduj ą kogoś i zostawiaj przy zwłokach parę zarżniętych kurczaków.

- Nawet nie zaczynaj - ostrzegł poirytowany Bentz.

- Sam zobaczysz.

- Posłuchaj, jednym z jej profesorów jest Jeremy Leeds.

- Naprawdę? - Choć raz coś zaskoczyło Montoyę. - Świat jest mały.

- Czasami za mały.

- Masz coś o niej?

- Wstępne informacje. Sam trochę pozbierałem i mam notatki Brink-mana.

- Bentz znów usiadł i przerzucił papiery. - Informacje o studiach się zgadzają. Wygląda na to, że nigdy nie wyszła za mąż, chociaż mało brakowało. Jakieś sześć lat temu zostawiła faceta przy ołtarzu i prysnęła do Tucson. Ten człowiek, Ted Brown, wściekł się, pojechał za nią, a potem na złość ożenił się z inną. Jego małżeństwo nie przetrwało roku.

Pani Benchet nie miała kłopotów z prawem oprócz paru mandatów za przekraczanie szybkości i jakiś strajk w obronie praw zwierząt. Parę lat temu w Phoenix. - Spojrzał na Montoyę. - Rozmawiałem z policją w Tucson. Pomyślałem, że może się czegoś dowiem, ale albo nie miała tych wizji na pustyni, albo nie zwierzała się policji.

- A więc jak wyjeżdża na zachód, to jej przechodzi.

- Albo po prostu o tym nie mówi.

-To nie byłoby typowe - stwierdził Montoya, opierając się o biurko. -Co jeszcze?

- Imiała się różnych zajęć, żeby zarobić na studia, od kelnerowania do urzędniczki w firmie ubezpieczeniowej. Na boku zajmuje się sztuką. Sprzedała wspólnicze swój udział w sklepie z artystycznymi upominkami w stylu New Agę w Tucson. Kiedy tu przyjechała, naturalną koleją rzeczy wylądowała w tym idiotycznym sklepie dla turystów. Trzecie Oko na Jackson Square.

- Twierdzi, że nienawidzi tych wizji odziedziczonych po babce, ale trzyma się New Agę i tych spirytualistycznych głupot. - Montoya skrzywił się. - To mi nie pasuje. Ani to, że nie jest mężatką, a przynajmniej nie ma jakiegoś faceta. Taka ładna kobieta? O co tu chodzi?

-Nie wiem.

-Nie pytałeś?

-Nie. O ucieczce sprzed ołtarza dowiedziałem się po rozmowie, z notatek Brinkmana.

Montoya uniósł brew.

- Myślałem, że jej wolny stan będzie pierwszą rzeczą, o którą zapytasz. Widziałem, jak na nią patrzyłeś. Nie mogłeś od niej oczu oderwać i wcale ci się nie dziwię, niezła babka. A jaki tyłek...

- Patrzyłem na nią, bo przyszła tutaj z dziwnymi opowieściami, które okazały się prawdą - przerwał mu Bentz.

- Niech ci będzie - mruknął Montoya, uśmiechając się szeroko, co znowu zirytowało Bentza.

- Odpieprz się, Diego. To wariacka.

Choć, prawdę mówiąc, młody policjant miał rację. I obaj o tym wiedzieli. Olivia Benchet pełna była sprzeczności. Stanowiła zagadkę. Bardzo ciekawą. Nie mógł przestać o niej myśleć. Przez cały dzień, gdy zajmował się morderstwem z Bayou St. John oraz innymi sprawami, które wymagały jego uwagi, rozmyślał o złości, jaką widział w złotych oczach i rozpaczy na jej twarzy. Kiedy wrócił do pracy, przeczytał wszystko, co dostał od Brinkmana i sprawdził parę informacji.

Instynkt mówił mu, że jest stuknięta, ale sama wierzyła w te swoje kłamstwa, iluzje, wizje czy jak je tam chciała nazwać.

I choć sam nie wiedział dlaczego, też chciał jej wierzyć. Może dlatego, że nie mieli żadnych innych poszlak. Nie wyobrażał sobie, że mogła brać udział w morderstwie i podpaleniu, więc co pozostaje? To, że mówi prawdę.

Znalazł otwartą paczkę gumy owocowej, odwinął papierek, zgiął listek gumy na pół i włożył do ust. To nie to samo, co papieros, ale musi wystarczyć. Na razie.

- W raporcie Brinkmana jest coś jeszcze. Nie wiem, czy to ważne. Ojciec Olivii odsiadywał wyrok w więzieniu stanowym Missisipi. Morderstwo drugiego stopnia. Zabił partnera od interesów, który podobno go oszukiwał.

Montoya gwizdnął przeciągle.

-I już wyszedł?

-Tak, w styczniu, po dwudziestu dwóch latach. Wypuścili go wcześniej za dobre sprawowanie.

- O Jezus! Niezupełnie jak we *Frankie i Johnny*, co? Pytałeś ją o to?

-Jeszcze nie. Pomyślałem, że najpierw sam poszukam. Robiła aluzję do faktu, że od dawna nie widziała ojca.

- Jasne, siedział w pace - rzucił Montoya. - Gdzie jest teraz?

- W Lafayette. Pracuje w myjni samochodowej i regularnie melduje się kuratorowi.

- Przykładowy obywatel.

- Zgadza się. Ale i tak się nim zajmiemy. Wpisz go na listę osób do sprawdzenia. Dowiedz się, czy ma alibi.

Montoya sięgnął po papierosy, zastanowił się i schował je z powrotem do kieszeni.

- To wszystko jest coraz dziwniejsze. Ale pogadam sobie z jej ojcem. Czy Olivia powiedziała ci coś więcej o tych swoich wizjach? — dopytywał się. - To nie był pierwszy raz, prawda? Sama tak mówiła, gdy tu przyszła. A te inne?

- Podobna żadna poprzednia nie była tak wyraźna, jak ta. Dziś nie rozmawiałem z nią o tamtych wcześniejszych, ale możesz zobaczyć raport Brinkmana. Jest tam coś o kobiecie w jaskini z hieroglifami. Masz. — Wyszukał raport Brinkmana i rzucił go Montoi.

Zadzwonił telefon i Bentz złapał za słuchawkę po pierwszym dzwonku.

- Bentz.

- Cześć, tato.

Na dźwięk głosu Kristi zawsze się uśmiechał.

- Cześć, mała, co jest?

Uniół palec wskazujący, aby pokazać Montoi, że przez chwilę będzie rozmawiał. Partner mrugnął znacząco, jakby dzwoniła jakaś „gorąca babka”, ale właściwie zrozumiał jego gest i wyszedł, zabierając raport Brinkmana.

- Mam wolną godzinę i pomyślałam, że do ciebie zadzwonię i powiem, jaka jest sytuacja - poinformowała Kristi. - Ostatnie zajęcia przed Świętem Dziękczynienia kończą się we wtorek o czwartej i możesz po mnie wtedy przyjechać.

Bentz przerzucił kartki w kalendarzu, zdumiony, że czas tak szybko leci.

- Mogę być o szóstej, ewentualnie trochę wcześniej, jeśli włączę światła i syrenę.

- Świetny pomysł - stwierdziła ironicznie. - Wiesz, że nie musisz po mnie przyjeżdżać. Złapię jakąś okazję.

- Kiedy chcę, skarbie. To żaden problem. Do Baton Rouge nie jest tak daleko. Poza tym chętnie obejrzę sobie miejsce, za które płacę.

- Ale jeśli jesteś zajęty...

Spojrzał na stertę papierów na biurku i tablicę ogłoszeń na ścianie za sobą ze zdjęciami ofiar zabójstw, które nadal czekały na rozwiązanie.

- Przyjadę - rzucił automatycznie, zanim zorientował się, że może ona wcale nie chce, żeby po nią przyjeżdżał. Pochylił się do przodu i spojrzał na jej zdjęcie. Dziecka i kobiety. - Chcesz, żebym przyjechał, prawda?

- No, tak, jasne, ale tu będzie straszne zamieszanie, bo wszyscy wyjeżdżają i w ogóle. I mam coś do zrobienia, więc może nie będę tak wcześniej gotowa. Pomyślałam, że może przyjazd nie byłby ci na rękę.

- Albo tobie - dodał, słysząc w jej głosie urazę.

Nalegał, by jak najwcześniej zgłosiła się do korporacji studentek. Chciał mieć pewność, że będzie miała oparcie w Ali Saints College i nie będzie się upierała, w wieku osiemnastu lat, by wynająć samodzielne mieszkanie. Chciał, aby dorastała i się usamodzielniała, ale także, żeby była bezpieczna. Kątem oka widział zdjęcie zmasakrowanej kobiety. Doskonale wiedział, jak bardzo świat jest niebezpieczny. Dlatego wydał masę forsy na lekcje taekwondo i strzelania.

- Tak... No, myślałam, że ci powiem.

- Do zobaczenia w przyszłym tygodniu. Jeśli byłoby ci wygodniej przyjechać z przyjaciółmi, daj mi znać - dodał, podając jej gałązkę oliwną.

- Dobrze, ale... - Westchnęła głośno i wyobraził sobie, jak niecierpliwie odgarnia z oczu kosmyk rudobrazowych włosów. - Chodzi o to, że mam koleżankę, Mindy, i ona... Wiesz, jej mama jest sama i w dodatku tak się składa, że jest policjantką. I ona przyjeżdża po Mindy. Przed powrotną podróżą do Shreveport wybierają się na obiad i, oczywiście, Mindy uważa, że byłoby suuuuper, gdybyście się spotkali.

- Ale ty tak nie uważasz?

- Mindy jest głupia. A jej matka jest policjantką. Boże, możesz sobie to wyobrazić? Wy dwoje razem? Bentz się roześmiał.

-Nie przejmuj się. Przyjadę po ciebie i nie będę się z nikim spotykał. Powiedz Mindy, że muszę od razu wracać albo że kogoś mam... Albo coś.

- Ty? Masz kogoś? W znaczeniu kobieta?

-Tak.

- Przecież... nie masz.

- Skąd wiesz?

Zapadła cisza, a potem Kristi zachichotała nerwowo.

- Akurat. Przecież nigdy nie masz czasu. Przestań, tato, jesteś ożeniony ze swoją pracą.

Znów się zaśmiała głębokim zalotnym śmiechem, który przypominał mu śmiech jej matki.

Śmiech Jennifer Nichols zwrócił jego uwagę, kiedy sam był prawie dzieciakiem, ledwo skończył szkołę, i tak już zostało. Dla niego była pięknoscia- z długimi ciemnymi włosami, figlarnymi oczami i ciętym językiem. Natychmiast się sobie spodobali i nawiązali namiętny romans. Miała charakterek, ale potrafił ją utemperować. Oświadczył się zaledwie po pięciomiesięcznej znajomości, a ona przyjęła oświadczyzny. Miała wprawdzie wątpliwości, czy powinna wychodzić za gliniarza, ale wyobrażała sobie, że namówi go na studia prawnicze. On sądził, że poskromi jej temperament. Oboje się mylili. Wyczuł to już na ślubie, kiedy szła przez środek katedry w koronkowej białej sukni, ledwo dziewięć miesięcy po poznaniu. Welon nie krył jej hardo uniesionej brody i Bentz, oczarowany, wiedział, że nie mająprzed sobąłatwej drogi. To mu jednak nie przeszkadzało. Za bardzo j ą kochał. Nawet w trudnych czasach. Nawet, kiedy go zdradziła...

- Jaka kobieta chciałaby się zaangażować w związek z gliniarzem od zabójstw? - spytała Kristi.

- Uważasz, że twój stary nie ma życia towarzyskiego?

- Wiem, że nie ma.

- To może powinienem poznać matkę twojej koleżanki.

- Jasne. To byłoby naprawdę super, tato - prychnęła ironicznie. -Daj spokój - mruknęła, a potem wykrzyknęła ze złością: -Niech to szlag trafi!

- Co się stało?

- Zapomniałam wziąć głupi referat semestralny. Cholera, tato, muszę lecieć do pokoju.

Rozłączyła się, ale Bentz jeszcze przez moment nie odkładał słuchawki. Spojrzał na jej zdjęcie na biurku, z którego uśmiechała się do niego jako absolwentka szkoły średniej. Tak szybko dorosła. Szybciej niż inni. Kristi za dużo widziała w ciągu swoich osiemnastu lat. Jej dzieciństwo za wcześnie się skończyło. I to wszystko z jego winy. Jego i Jenni-fer.

Jaki dzieciak byłby normalny, gdyby przeszedł tyle, co ona? Nie tylko pogrzebała matkę i obserwowała, jak ojciec wydobywa się z alkoholizmu, lecz także musiała sobie poradzić z kłamstwami, jakimi rodzice częstowali ją od samego początku.

„Niezupełnie jak we *Frankie i Johnny*”, powiedział Montoya. Czyżby nie wiedział, że w życiu nie ma happy endów?

Rozdział 10

Do pokoju wparowała Melinda Jaskiel, bezpośrednia przełożona Ben-tza. To dzięki niej dostał pracę w policji. Nigdy nie widział jej w innym ubraniu niż garsonka. Z krótko obciętymi włosami, w okularach i zasadnicza, była służbistką w każdym calu. Wyportowana rozwódka w średnim wieku rządziła podwładnymi żelazną ręką w giemzowej rękawiczce.

- Opowiedz mi o morderstwie na Esplanade. - Skrzyżowała ręce na piersiach i oparła się ramieniem o framugę drzwi. - Czytałam wstępny raport i słyszałam plotki, że masz „naoczego” świadka, którego przy tym nie było.

- Tak to mniej więcej wygląda.

- Jak myślisz, czy ta kobieta naprawdę miewa wizje? Ma jakieś zdolności parapsychiczne?

- Wie dokładnie, co się tam wydarzyło. Chyba że jakoś to odgadła. Melinda uśmiechnęła się ironicznie.

- Jesteś mistrzem nieudomówień, co, Bentz?

- Wiesz, że zawsze staram się chronić, służyć i odsiewać bzdury.

- I dobrze ci to idzie.

-Nie przykładam wielkiej wagi do takich bredni. I nie wierzę w zdolności parapsychiczne.

- Może powinieneś podchodzić do tego bardziej otwarcie? Zdarzały się sprawy, przy których jasnowidze pomogli policji.

- Tak, wiem — przyznał niechętnie.

Miał kiedyś partnera w Los Angeles, który pracował z taką kobietą. Pomogła mu w kilku sprawach, ale nie potrafiła przewidzieć, że dzieciak wyceluje w niego pistolet-zabawkę, a Bentz, który myślał, że dwunastolatek chce zastrzelić jego partnera, go wyeliminuje. Nie, cholerna psychiczna przed tragedią nie pisnęła ani słowa. Bentz został zawieszony, a potem prędko doszedł do wniosku, że jego najlepszym przyjacielem jest Jack Daniels. I tak zakończył karierę w Mieście Aniołów. Miał szczęście, że Melinda Jaskiel dostrzegła coś szczególnego w załamany gliniarzu i wzięła go do służby, kiedy reszta policji w kraju nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

- Wiesz, co się dzieje, gdy masz zbyt otwarty umysł? - zapytał.

- Mógł ci wypadnie? Słyszałam to, Rick. Bentz się uśmiechnął.

- Chciałem powiedzieć, że zarzucą ci, że jesteś oszołomem, że nie masz własnego zdania.

- Wątpię, żeby to był twój problem. - Pokręciła głową. - Od kiedy zależy ci na opinii innych?

Uśmiechnął się szerzej i mrugnął.

- Nie innych, Jaskiel. Na twojej.

- Zachowaj to dla kogoś, kto ci uwierzy. Co robisz w tej sprawie? Zdał jej sprawozdanie, poczynając od wizji, opowiadając o kasecie, a na informacji z Benchmark Realty i raporcie Brinkmana z poprzednich wizyt Olivii na policji kończąc.

- Olivia Benchet wie więcej, niż powinna. I jestem ciekaw dlaczego... - Uniósł rękę. - Poza tym, oczywiście, że jest „psychiczna” i „widzi” morderstwa.

Melinda uśmiechnęła się lekko.

-A ma alibi?

- Tylko w postaci psa, a on nie chce nic powiedzieć.

-Poważnie.

- Była w domu. Spała. Wizja ją obudziła.

Melinda zastanawiała się przez moment i niczego nie wymyśliła.

- Zakładam, że ją dokładnie sprawdzisz.

- Jasne.

- Proszę o informacje na bieżąco. Daj mi znać, jak dostaniesz raport na temat dowodów i ekspertyzę lekarza. - Odwróciła się do drzwi, ale coś jej się przypomniało. - Aha, Bentz, nie zabawiaj się w policjanta twardziela, dobrze? Musimy robić wszystko według zasad.

- Nawet by mi to nie przyszło do głowy.

- Mnie nie czaruj.

- Dlaczego?

- Bo się przejedziesz na molestowaniu seksualnym.

- Sama wiesz, że to lubisz. Poza tym ty tutaj rządzisz.

- Lepiej o tym nie zapominaj. I potraktujmy naszego świadka w tej sprawie, panią Benchet, poważnie, dobrze? To, co mówi, jest bardzo dziwne i być może wpuszcza nas w maliny, ale, z drugiej strony, może ma jakieś wizje. Zajmij się tym.

Jaskiel poklepała futrynę drzwi i wyszła.

- Tak jest - mruknął pod nosem Bentz. A zatem ma wierzyć we wszystko, co mu podsuwa Olivia Benchet? Ma uwierzyć w jakieś nadprzyrodzone zdolności. Jak? Była związana z mordercą? Z ofiarą? Z domem, w którym to się wydarzyło? Dlaczego „zobaczyła” akurat to morderstwo? Dlaczego nie inne? Czy spowiadała się u tego księdza? Może on jej się przyznał? Jaki tu jest związek? Bentz przeciągnął się i podrapał po brodzie. Otwarty umysł. Cholera! Nie miał do siebie pod tym względem zaufania. Miałby uwierzyć, że jakaś kobieta „zobaczyła” morderstwo, które zdarzyło się daleko od niej?

Bentz ci nie wierzy. No to co?

Chyba cię to nie dziwi, prawda?

Olivia mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy, jadąc Garden District na uniwersytet. Początkowo miała nadzieję, że oficer Bentz jej zaufa, że wyczuje jej rozpacz, ale był taki sam, jak wszyscy. Faceci są beznadziejni, pomyślała z obrzydzeniem, zatrzymując samochód przed skrzyżowaniem na uniwersytet. Obok przejechał autobus. Nie, to niesprawiedliwe. Spotykała też kobiety niedowiarków. Poczynając od własnej matki.

Było późne popołudnie, budynki uniwersytetu rzucały długie cienie. Zaparkowała na wyznaczonym miejscu i pobiegła na wydział psychologii. Ciągle miała przed oczami Bentza, ale postanowiła zapomnieć, przynajmniej chwilowo, o jego przystojnej, poranej zmarszczkami twarzy i o morderstwie. Wbiegła na pierwsze piętro do gabinetu doktora Jeremy'ego Leedsa, jej profesora i, jak na ironię, byłego męża doktor Sam, radiowej psycholożki ze stacji WSLJ. Olivia nie lubiła tego człowieka. Myślał głównie o sobie, ale został jej przydzielony jako doradca i przez rok musi się z nim przemęczyć.

W sekretariacie nie było nikogo, poszła więc krętym korytarzem i zapukała do drzwi Leedsa. Cisza. Zastukała ponownie. Bolały ją knykcie palców, które obtarła na tarce.

; - Doktorze Leeds? - powiedziała w tej samej chwili, gdy usłyszała ; kroki na korytarzu.

y - Olivia! Przepraszam za spóźnienie. - Uśmiechał się szeroko. Przepraszająco. Miał czterdzieści parę lat, wyraziste rysy twarzy, długi prosty nos i starannie przy ciętą brodkę. Otworzył drzwi i przepuścił ją przodem. Nosił wyczyszczone na glanc buty i marynarkę, która wyglądała na bardzo drogą. Na jego widok Olivii zawsze nasuwało się słowo „elegancki”. Elegancki i sztuczny, ponieważ było w nim coś fałszywego. Nic konkretnego, ale jednak coś. - Musiałem złapać kolegę, doktora Suttera. Pracuje tylko na część etatu, a zaczyna się weekend, wie pani, i miałem szczęście, że go jeszcze zastałem. - Leeds grzebał w kieszeniach w poszukiwaniu kluczy i trajkotał, jakby chciał ukryć zdenerwowanie. - Na wiosnę razem z doktorem Sutterem organizujemy seminarium, które może panią zainteresować. Słyszała pani o nim? Ach! - Leeds znalazł klucze. Olivia wzruszyła ramionami. Znała Suttera tylko ze słyszenia. Podobno był wymagającym profesorem. Leeds włożył klucz do zamka i otworzył drugie drzwi.

- W każdym razie, zaczęliśmy rozmawiać i tak zeszło. Obawiam się, że jestem roztargnionym profesorem.

Olivia miała inne zdanie. Jeremy Leeds był ostry jak brzytwa. I miał w sobie coś zbyt gładkiego. Zimnego. Czują to, stojąc obok.

- Proszę wejść.

Usiadła na krześle koło małego okna i otworzyła teczkę z notatkami, które zrobiła dwa dni temu. Zanim jej życie całkiem się odmieniło. Doktor Leeds wślizgnął się na krzesło za biurkiem, na którym, w przeciwieństwie do biurka Bentza, panował idealny porządek. Z jednej strony stał kalendarz, z drugiej pojemnik na cygara. Na ścianach niewielkiego pokoju wisiały dyplomy i obrazy.

- Co pani tam ma? - spytał, wskazując notatki. - Wstęp do pracy magisterskiej? - Wsunął na nos okulary w drucianej oprawce.

- Zaledwie zaczątek pomysłu.

- Ach, tak? - zainteresował się i uniół brwi. - Chce pani, żebym to przejrzał?

- Właściwie to chciałam to z panem omówić. Jeszcze nic nie napisałam.

- Oczywiście. - Rozparł się na krześle, złączył palce i czekał.

- Chciałabym napisać pracę o nieprzewidywalności psychologii w odniesieniu do religii.

- Naprawdę? - Przestał się uśmiechać.

- Myślę o psychologii modlitwy i pokucie w ujęciu teologii judeo-chrześcijańskiej.

- To skomplikowane. Nie sądzi pani, że lepiej byłoby zająć się po prostu teologią albo filozofią?

- Wydaje mi się, że wybrałam dobry temat. Taki, który mnie interesuje - dodała, nie zamierzając niczego tłumaczyć. - Prowadzi pan zajęcia ze studentami pierwszych lat z psychologii zbrodni i psychologii karnej i chciałabym na nie chodzić, jeśli to możliwe.

- Tak, tak, to nie problem. - Kiwnął głową, zastanawiając się nad jej propozycją. - Coś pani powiem, niech pani przygotuje zarys pracy i od tego zaczniemy. Co pani na to?

Kapitałnie, pomyślała, ale powiedziała tylko:

- Dobrze. Zadzwoń, jak coś napiszę i umówimy się na spotkanie.

- Świetnie, świetnie. - Wstał, dżentelmen w każdym calu, a Olivia wyszła z poczuciem, że przynajmniej jeden fragmencik jej życia wrócił na swoje miejsce. Od dawna borykała się z koncepcją pracy. Morderstwo, które widziała, sprawiło, że potrafiła się bardziej skoncentrować.

Zbiegła schodami i wyszła na dwór, gdzie zmrok zmienił się w noc. Chociaż nie było jeszcze piątej, ciemność zasnęła miasto, a zapalone latarnie sprawiały, że ulice wyglądały trochę niesamowicie. Olivia zawsze uważała, że masywna, wapienna fasada Gibson Hall wygląda jak część średniowiecznego zamku, a teraz, po ciemku i w deszczu, który właśnie zaczynał padać, wydawała się jeszcze bardziej imponująca.

Przeszła przez trawnik na parking, odszukała samochód i usiadła za kierownicą. Nie była sama, wokół kręcili się studenci, ale mimo wszystko czuła się odizolowana od reszty ludzi. Przekręciła kluczyk i wyjechała z parkingu. Zdając sobie sprawę, że prawdopodobnie popełnia duży błąd, ruszyła w stronę śródmieścia. Z jakiegoś makabrycznego powodu, którego sama nie rozumiała, czuła się zmuszona przejechać obok miejsca morderstwa.

Morderców zawsze ciągnie na miejsce zbrodni.

Deszcz rozpadał się na dobre i wielkie krople bombardowały ulice i tak szybko zalewały szyby samochodu, że wycieraczki nie nadążały zbierać wody. Tylne światła samochodów jadących przed nią rozmazywały się na przedniej szybie, gdy sunęła na drugą stronę Canal Street i przez French Quarter, gdzie przechodnie pod parasolami zapełniali tłumnie chodniki, wylewając się na jezdnię. Włączyła radio. Na WSLJ grali jazz, co działało jej na nerwy. Może to przemęczenie i zdenerwowanie. Nie mogła znieść myśli o improwizacjach i riffach. Znalazła stację z muzyką country i nastawiła głośniej.

Lepiej słuchać o tęsknocie i złamanych sercach.

Wcale nie lepiej. Wyłączyła radio.

Jadąc wschodnią stroną City Park, rozglądała się uważnie, aż znalazła miejsce, które rozpoznała i skręciła w wąską uliczkę prowadzącą do wypalonego budynku. Niewiele zostało, pomyślała, parkując przy krawężniku i wysiadając z samochodu.

Policyjna taśma oddzielała część podwórka, ruiny i popioły. Buty, które miała na nogach, w żaden sposób nie chroniły jej przed płynącymi ulicą strumieniami wody, a przy jej kurtce nie było kaptura. Narzuciła ją jednak na ramiona i przeszła na drugą stronę ulicy, gdzie stanęła, wpatrując się w zalaną wodą czamurinę. Deszcz padał jej na twarz i włosy, gdy myślała o swojej wizji. Ofiara, ta przerażona kobieta z jasnymi włosami, zginęła tutaj straszną śmiercią, gdzieś we wnętrzu wypalonego domu. Z rąk księdza.

- Kim jesteś, ty potworze? - szepnęła, drżąc.

Miała nadzieję, że jeśli tu przyjedzie, stanie prawie w tym samym miejscu, gdzie to się zdarzyło, może znów go zobaczy, choć na mgnienie oka, może jakoś go wyczuje i zdobędzie jakiś ślad, który doprowadzi do identyfikacji. Za jej plecami przyjeżdżały samochody, ale deszcz zagłuszał hałasy miasta, lejąc się z nieba i kapiąc z drzew.

Zamknęła oczy. Wsłuchiwała się w bicie własnego serca. Coś czuła. Ukłucie, które przeszło ją zimny m dreszczem, jakby morderca przeszedł tuż obok.

- Chodź, chodź - powiedziała, unosząc w górę twarz i zamykając oczy. Mimo ostrych uderzeń deszczu usiłowała coś zobaczyć, coś usłyszeć, coś...

- Widzi pani coś?

Omal nie wyskoczyła ze skóry. Odwróciła się z zaciśniętymi pięściami.

Tuż za nią, w ulewie stał Bentz.

- O, Boże, ale mnie pan wystraszył - wyszeptała. Serce waliło jej jak młotem. - Nie... Nie widzę niczego oprócz gruzów.

Skinął głową. Miał bej sbolpwą czapkę z logo nowoorleańskiej policji i kurtkę od deszczu.

- Co pani teraz robiła? Zacerwieniła się zażenowana.

- To było coś w rodzaju ćwiczenia. Pomyślałam, że jeśli znajdę się na miejscu zbrodni, to bardziej go wyczuję.

- Zabójcę?

- Aha. - Rzuciła okiem na dzipa zaparkowanego tuż za jej autem. - Przyjechał pan tu za mną?

-Nie. Wracalem do domu i postanowilem tu zajrzec. Takze chcialem rzucic na to swiezym okiem, moze cos wyczuc, kiedy jest spokojniej. Mniej wyzej tak jak pani. — Obrzucil ja szybkim spojrzeniem. - Zmokla pani.

Usmiechnela sie.

- Juz wiem, dlaczego zostal pan policjantem. Jest pan bardzo spozregawczy. - Krople deszczu zwisaly z jej rzęs i kapaly z nosa. - Przed panem nic sie nie ukryje, co?

- Mam nadzieje - odparl, usmiechajac sie lekko. Usmiech byl naturalny i, jak zaczelą sobie zdawac sprawe, nie zdarzal sie zbyt czesto. -Zapraszam pania na kawę albo na obiad, nim pani calkiem przemoknie.

- Chce sie pan ze mna umowic na randke? - wyrwalo jej sie, zanim zdazyła pomyslec. .

Tez cos, Liwie, nie badz gaska. Randka? Alez z ciebie romantyczna naiwniaczka.

Starla krople deszczu z policzka.

- Czy tez chce mnie pan dalej wypytywac, poniewaz wreszcie dotarlo do pana, ze jestem jedynym zrodlem informacji?

- Jak pani chce. Znam knajpe, gdzie mozna dostac fantastyczne krewetki po kreolsku i te pikantne, zakrecane frytki - powiedzial i zakrecil palcem. - To straszna dziura, ale jedzenie jest doskonałe.

Nie wierzyła, ze mowi powaznie.

- Do glowy mi nie przyszlo, ze lubi pan zakrecane frytki.

-A podobno ma pani nadprzyrodzone zdolności. I co?

- Czy pan ze mna flirtuje, Bentz? Jego usmiech znikl.

- Chcialem z pania porozmawiac w jakimś suchym miejscu. Znowu stal sie bardzo zasadniczy. Szorstki. Jakby niechcący urazila jego męskie ego. Śmieszne, nie wydawal sie typem mężczyzny, który miałby problemy z ego... Z drugiej strony nie wydawal sie tez typem mężczyzny, który lubiłby zakrecane frytki.

-Dobrze. Dokąd?

- Pojedziemy moim samochodem. - Poprowadzil ja do dzipa;

Pomyślala, ze popelnia kolejny blad.

- Mogłabym jechać za panem.

- Tam nie ma duzo miejsca do parkowania.

- W porzadku.

Otworzył drzwiczki dzipa, a ona wsiadła. Samochód wygladal jak kazdy inny, z napędem na cztery kola, bez pistoletu na widocznym miejscu, bez siatki czy szyby oddzielajacej tyl samochodu, bez kajdanek wy

stających ze schowka. Jednak z tyłu leżał błyszczący płaszcz przeciwdeszczowy z logo policji, a Bentz miał przy sobie broń.

Jechał przez zalane deszczem ulice z wprawą kogoś, kto przywykł do jeżdżenia w trudnych warunkach. Przejechali przez Esplanade do Quarter i do St. Peter, gdzie zaparkował dżipa na małym parkingu, wciskając go między dwa inne samochody.

- To nie Ritz.

- Bardzo dobrze. Nie jestem ubrana jak do Ritza.

Schylając głowy pod ociekającą deszczem markizą, weszli do wąskiej restauracji, pachnącej przyprawami. Za długą ladą kucharze pocili się nad garnkami z gotującymi się krewetkami i przyskającymi tłuszczem drucianymi koszykami frytek. Bentz zaprowadził ją do stolika z tyłu, obok baru, gdzie butelki piwa stały w metalowych baliach z lodem. Odsunął jej jedno z krzeseł. Ze swojego miejsca widziała oszklone drzwi, które wychodziły na tylne podwórko za restauracją.

Bentz usiadł naprzeciwko niej. Stolik nakryto obrusem w biało-czer-woną kratkę.

- Dwa razy - rzucił, kiedy podszedł kelner.

- Dwa razy? - powtórzyła Olivia.

- Zawsze jem to samo. Będzie pani smakowało.

- Nie mam wyboru? Bentz uśmiechnął się.

- Następnym razem.

Jakby miał być jakiś następny raz.

- Dobrze.

- Chce pani coś do picia? Piwo?

- Jasne.

- A dla mnie to, co zawsze - powiedział kelnerowi, który nawet z ostrzyżoną głową był stanowczo za młody, aby podawać napoje alkoholowe. Kelner wrócił po chwili z dwiema otwartymi butelkami. Piwo Bentza było bezalkoholowe.

- Wciąż na służbie? - spytała.

- Zawsze. Na zdrowie. - Stuknął długą szyjką butelki o jej butelkę i pociągnął duży łyk.

- Co pan chce wiedzieć? - zapytała. Wokół panował hałas, słychać było szcęk sztućców i rozmowy. - Nie jest pan chyba przydzielony, żeby mnie szpiegować, czy coś takiego?

- Niezupełnie.

Znów napił się piwa. W miękkim świetle naftowych lamp z czerwonymi kloszami wyglądał mniej groźnie, bardziej łagodnie. Był na

swój szorstki sposób przystojny, a w ciemnych oczach krył się ciepły uśmiech.

- Kazano mi mieć „otwarty umysł” w związku z panią. Tak to sformułowano. Kiedy wpadłem na panią na miejscu zbrodni, pomyślałem, że właśnie tak zrobię. Wysłucham, co pani ma do powiedzenia.

-1 sprawdzi pan, przy okazji, co mnie kręci? Znów błysk enigmatycznego uśmiechu.

- Jakoś nie wydaje mi się to możliwe. Gdzieś za jej plecami rozległ się dźwięk tłuczonego szkła i metalu uderzającego o twardą podłogę z cegieł.

- Ojjoj - mruknął Bentz, unosząc brwi.

Olivia odwróciła się i zobaczyła tacę z rozbitym szkłem, porozrzucone sztucce, spienione piwo spływające strumykami przez szpary w podłodze i mnóstwo krabów, krewetek i langust, rozsypujących się pod stolikami, między nogami gości.

-Niech pan uważa, one uciekają- szepnęła Olivia.

Bentz się roześmiał.

Przerażona kelnerka, która najwidoczniej upuściła tacę, patrzyła ze strachem na barmana. Duży czarny mężczyzna rzucił jej ręcznik, a pomocnik kelnera pobiegł po szczotkę i ścierkę.

- Gładki ruch - mruknął rozbawiony Bentz.

- Dziewczyna jest przerażona.

- Przejdzie jej. Też to raz zrobiłem. To była moja pierwsza praca, jeszcze chodziłem do szkoły. Nie tylko upuściłem tacę z drinkami, lecz także wylałem ich zawartość na gości w klubie country. Chyba każda z tych dam miała na sobie jedwabną suknię. W każdym razie to był mój pierwszy i ostatni dzień w tej pracy. Boże, zupełnie o tym zapomniałem.

Pociągnął łyk piwa.

Olivia nie chciała myśleć o nim jako o niezgrabnym nastolatku czy kimkolwiek innym od policjanta.

- Od pomocnika kelnera do gliniarza w dwóch prostych ruchach?

- Nie całkiem. - Lekko przygryzł wargi. - Po drodze miałem różne doświadczenia.

Nie powiedział nic więcej i Olivia zastanawiała się, czy w wyniku tych doświadczeń pił teraz bezalkoholowe piwo. Kelner przyniósł dwie porcje krewetek w wiaderkach i dwie ogromne porcje frytek. Krewetki miały jaskrawoczerwony kolor, a frytki, tak jak obiecywał, były poskręcane i posypane jakąś słoną, ostrą przyprawą. Bentz wysypał swoje krewetki na wyłożoną papierem tacę, odłamał główkę jednej z nich, obrał i wrzucił resztki do wiaderka, a mięso wsunął do ust.

Olivia zrobiła to samo, brudząc palce przyprawami i tłuszczem z frytek.

| Tak jak mówił Bentz, jedzenie było fantastyczne. Może w tym człowieku tkwiło coś więcej, niż można zobaczyć na pierwszy rzut oka? Może ten szorstki policjant ma subtelną duszę?

Tak, tak, jedzenie krewetek rękami nie jest chyba dowodem szczególnego wyrafinowania. Musisz się pogodzić z faktem, że to brutalny mężczyzna, Liwie. W dodatku podejrzliwy gliniarz. Pamiętaj. Nadal uważa, że jesteś zamieszana w to morderstwo. Tylko jeszcze nie wie, w jaki sposób. On wierzy w to, co można zobaczyć, dotknąć, usłyszeć i powąchać... Nie ufaj mu ani przez chwilę!

- Proszę mi opowiedzieć o swoim „darze” - zaproponował, kończąc niby-piwo. Kelner postawił na stole następne dwie butelki. - Kiedy się pani o nim dowiedziała? Już jako dziecko? To znaczy, czy to jest wrodzone, czy ujawniło się przypadkowo? - Przelamał kolejną skorupkę.

- Pyta pan, czy jako dziecko upadłam na głowę? Czy też może zemdlalam w szkole i kiedy się ocknęłam, okazało się, że nagle widzę wy-' darzenia, z którymi nie mam nic wspólnego? | -A było tak?

^, - Nie - warknęła. Zaczynała być zła. - Ale większość ludzi tego się | właśnie spodziewa. | - Hej, chwila, moment. - Podniósł rękę. - Nie chciałem pani urazić.

Wydawało się, że mówi szczerze i Olivia poczuła się trochę głupio, że tak na niego napadła.

- Przepraszam... To taki odruch. Trudno mi wyjaśnić, ale tak, miałam te widzenia już jako dziecko. Babka Gin mówiła, że to dar, a matka twierdziła, że to wszystko bzdury i że nie powinnam się do niczego przyznawać. Chyba jako dziecko wstydziła się własnej matki. Wciąż przychodzili ludzie i babka, mimo że była bardzo religijna, wróżyła im z kart tarota i z herbacianych liści. Bemadette, moja matka, uważała, że to dziwaczne. Zresztą takie było. Ale to zawsze stanowiło część życia babki i tak to rozumiałam. Nie mogłam jedynie zrozumieć, dlaczego mnie też się przytrafiło.

-Nie akceptuje pani swoich nadprzyrodzonych zdolności, a zajmuje się pani rzeczami związanymi z New Age i wudu.

- Wiem. Nienawidzę mojego daru, ale jestem nim w jakiś dziwny, prawie makabryczny sposób, zafascynowana.

- Brinkman wspomniał, że mówiła pani o innych morderstwach.

- Rozmawiał pan z nim?

- Musiałem. Czy to dla pani problem?

- Nie, wcale nie. - Wzięła krewetkę, ale po chwili odłożyła ją do wiaderka.
- Myślałam, że już to wytłumaczyłam. Już przedtem byłam na policji. Nikt, a zwłaszcza oficer Brinkman, nie traktował mnie poważnie. Pan też nie.

- Próbuję - mruknął i obrał kolejną krewetkę. - Proszę jeszcze raz mi o wszystkim opowiedzieć.

- Jestem pewna, że znajdzie pan te informacje w raporcie Brinkma-na.

- Ale chcę usłyszeć to od pani. - Oparł się wygodniej, wytarł usta i spojrzał jej w oczy. - Bez magnetofonu. Bez notatek. Niech mi pani powie, co pani widziała.

Zawahała się.

- Proszę, Olivio. Pani to zaczęła.

Zauważyła opadające na czoło włosy i kurze łapki wokół oczu, jakby często je mrużył.

- Ma pan rację. Dobrze... No... Od czego by tu zacząć? Może od zeszłego lata. Pamiętam, że zdarzyło się to mniej więcej w tym samym czasie, kiedy umarła babka. Latałam wtedy tam i z powrotem z Tucson do Luizjany i za każdym razem, kiedy tu wracałam, miałam te koszmary. Bardziej chaotyczne niż ostatni, ale niezwykle intensywne.

Obserwowała go i nie zauważyła niczego szczególnego. Jadł, słuchał, popijał piwo i ani razu nie sięgnął po notes i długopis. Może uważał, że zmyśla. A może zaczynał jej wierzyć.

- Proszę mówić dalej. O czym był ten sen?

- Różnił się tym, że się powtarzał. Był bardzo niewyraźny w Tucson i bardzo żywy, gdy tu wracałam. Nie miałam wizji, że kogoś brutalnie mordują, tak jak teraz... Raczej krótkie obrazy, mniej więcej co drugi dzień, ofiary, którą zagłodzono na śmierć. Ta kobieta znajdowała się w jakiejś krypcie, krzyczała i płakała. Na ścianach widniały symbole, niewyraźne obrazki i napisy, których nie mogłam odczytać... Kobieta słabła z każdym dniem. Czułam to. I jego. Jego obecność. - Olivia spojrzała na Bentza. Przestał jeść i intensywnie się w nią wpatrywał, jakby czekał na jakąś nieścisłość, jakieś kłamstwo.

- Morderca?

-Tak. Ten, kto ją porwał i zamknął, przychodził, świecił latarką jej przerażone oczy i wychodził. Dlatego widziałam tylko fragmenty tego pomieszczenia. On... Zostawił tam jakąś fiolkę... Przypuszczalnie, aby ją drażnić. To mogła być woda albo może jakaś trucizna, która mogłaby skrócić jej mękę, ale nie mogła jej dotrzeć. Ona też była przykuta łańcuchem. - Olivia zadrżała. - Poprzedniej nocy kobieta zginęła gwałtownie-

; na śmiercią, a tu było odwrotnie, przynajmniej na początku... W pewnym sensie gorzej... Okropne czekanie, aż ofiara pozostawiona w ciemności umrze z głodu lub pragnienia.

-I tak się stało...

- Tak, ale... To widziałam niewyraźnie, ale było chyba coś jeszcze. Gdzieś na przełomie lipca i sierpnia. Pamiętam, bo babka była już bardzo chora. Poleciałam do Tucson, zlikwidowałam mieszkanie i wróciłam tu samochodem w ciągu pięciu dni. W tym czasie coś się zmieniło. Miałam obrazy czegoś okropniejszego.

- Czego? Nabrała powietrza.

- Wydaje mi się, że w końcu... obciął jej głowę. Bentz przygryzł wargi.

- Tak samo, jak poprzedniej nocy.

- Tak - szepnęła. - Tak samo, jak poprzedniej nocy. Bentz sam już nie wiedział, co myśleć. Czy ta kobieta to wariatka? Chora psychicznie? Czy też w jej opowiadaniach jest ziarno prawdy? Kiedy tak siedziała naprzeciwko niego, wyglądała całkiem normalnie, ze skręconymi od deszczu włosami, palcami tłustymi od jedzenia, uniesionymi w górę brwiami i zaciśniętymi ustami. Najbardziej jednak przemawiały do niego jej oczy, których wyraz skłaniał go, aby jej uwierzyć, zwłaszcza że krył się też w nich cień rozpacz.

- Czy mogłaby pani narysować mi te symbole? - spytał.

- Z pamięci nie, aleje zapisałam. Każdej nocy, gdy miałam to widzenie, notowałam to, co udało mi się zapamiętać. Mam w domu. Mogłabym je panu podrzucić w poniedziałek, w drodze do pracy.

- Czy mogę jutro po nie podjechać?

- To kawał drogi.

Uśmiechnął się i skinął na kelnera, gestem zaznaczając, że chce rachunek.

- Jestem kawalerem. Na jutro mam zaplanowane tylko pranie i mecz w telewizji.

-Niech będzie. - Wzięła krewetkę i Bentz przyglądał się, jak ją obiera i wkłada do ust. - Coś jeszcze? - spytała, oblizując tłuszcz z warg, co wyglądało niemal prowokacyjnie. Idiotyczne. Choć było w niej coś lekko uwodzicielskiego, co go fascynowało. Jak u Jennifer.

- Tak, parę rzeczy. Chciałbym dostać listę wszystkich osób, jakie pani zna. Rodzina, przyjaciele, ludzie, z którymi pani pracuje czy pracowała, koledzy z uniwersytetu.

- Myśli pan, że to chodzi o kogoś z moich znajomych?

- Na tym polega problem. Nie mam pojęcia, kto jest w to wplątany, ale jeśli uwierzę w to, co pani mówi, to musi być pani jakoś związana z zabójcą, prawda? Coś musi być między wami... To znaczy zakładam, że to tak działa. Nie jak grom z jasnego nieba. I nie widzi pani przypadkowych morderstw. Czy pani zdaniem to, co pani widzi, jest dziełem jednego człowieka?

Skinęła głową.

- Czasami... - Urwała.

Hałas w restauracji przybrał na sile. Kelnerki wykrzykiwały zamówienia, ludzie rozmawiali, z ukrytych głośników płynął cichy jazz, dzwoniły sztućce i talerze na tacach.

- Czasami co?

- To brzmi nieprawdopodobnie, ale czasami mam takie uczucie... jakby ktoś wrzucał mi za kołnierz kawałki lodu. Czuję, że on jest blisko... Że idę po jego śladach... - Musiała dostrzec zwątpienie w jego wzroku, bo umilkła i upiła łyk piwa. - Mówiłam, że to brzmi idiotycznie.

- Ale może pomóc. Niech się pani zastanowi. Kto może być tym łącznikiem? W jaki sposób ta telepatia, czy co to jest, działa?

- Wiem tylko, że wszystko bardzo się zintensyfikowało, odkąd przyjechałam do Nowego Orleanu i morderstwa mają miejsce tutaj, a więc to musi być ktoś, kto jest blisko.

- Zgoda - powiedział i chociaż nie był człowiekiem strachliwym, poczuł cień obawy. Kimkolwiek był morderca, występował tu jakiś element niematerialny i przez to bardziej niebezpieczny.

Bentz zapłacił rachunek i odwiózł Olivię do samochodu przy zwęglonych zgliszczach. Deszcz ustał, ale miejsce zbrodni nadal było ponure.

- Mówiła pani, że się tu zatrzymała w nadziei, że wyczuje pani, co się stało, tak?

Skinęła głową, wysiadając z dżipa. Bentz schował kluczyki do kieszeni i oparł się o zderzak.

- I co... Czuje pani coś?

- To nie jest to samo, co sygnał radarowy - wyjaśniła, ale podeszła bliżej do taśmy i spojrzała na to, co zostało z wygodnego bliźniaka. - Nie... Nic. - Pokręciła głową i zmarszczyła brwi. - Jeśli coś poczuję, dam panu znać. Dziękuję za kolację.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł automatycznie. Spojrzała na niego ostro, jakby zarzucała mu, że kłamie.

- Dla pana to była praca i mam wrażenie, że tak jest z panem zawsze. Wsiadła do samochodu, włączyła silnik i ruszyła wąskimi uliczkami. Po chwili widział tylko tylne czerwone światła.

Bentz usiadł za kierownicą dżipa i przekręcił kluczyk. Mógł jechać za nią. Upewnić się, czy pojechała prosto do domu. Przez moment rozważał tę opcję. Czemu nie? Jaskiel dała mu na to pozwolenie. Mógł poświęcić parę godzin ze swojego wolnego czasu.

Ruszył powoli. Przeszkadzało mu nie to, że miałby ją śledzić, lecz fakt, że był nią zainteresowany. Nie tylko ze względu na morderstwo. Była cholernie seksowna. I stuknięta. Wariatka.

Z drugiej strony wiedziała o zabójstwie więcej niż ktokolwiek inny. I czy mu się to podoba, czy nie, musi jej wierzyć.

Rozdział 11

Zadzwonił telefon. Jeden, dwa, trzy dzwonki. Hałas przebijał się przez zaspany umysł Kristi. Jęknęła spod kołdry w swoim pokoju w akademiku. Nie miała ochoty wstawać. Spojrzała na zegarek. Wpół do jedenastej. Sobota. Co za kretyn dzwoni o tej porze? Tata, pomyślała, i głębiej zakopała się pod kołdrą, czekając, aż włączy się automatyczna sekretarka.

- Cześć, tu Kristi. Wiesz, co masz zrobić. Po sygnale nastąpiła chwila wahania, a potem męski, głęboki głos powiedział:

- Hej, mam nadzieję, że to numer Kristi Bentz. Mówi Brian Thomas. Może mnie nie pamiętasz, ale jestem asystentem doktora Zarostera i...

Kristi wyskoczyła z łóżka i złapała słuchawkę.

- Cześć - powiedziała bez tchu. - Wiem, kim jesteś. - Boże, kto by nie wiedział!

Nie podniecaj się tak, na pewno dzwoni, żeby powiedzieć, że oblałeś wczorajszy test z Buddy.

- A więc słuchasz, kto dzwoni.

- Nie... Ja... Jeśli chcesz wiedzieć, to jeszcze nie wstałam, ale teraz już tak.

- Zarwana noc? - zapytał.

- Tak, ale siedziałam w bibliotece. - Zachichotała i wróciła do łóżka. Oboje wiedzieli, że to nieprawda, nie chciała jednak się przyznać, że była na imprezie i wypila więcej, niż powinna. Bolała ją głowa i strasznie chciało jej się pić. - Co słyhać? - spytała zachęcająco, mimo bólu głowy.

- Może chciałabyś gdzieś wyjść?

Otworzyła usta i gwałtownie się wyprostowała. Chce ją gdzieś zaprosić? Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi, ale nie zamierzała niczego okazać. O ile się uda. Wiedziała, że zadzwoni, ale nie spodziewała się, że tak szybko.

- Posłuchaj, właściwie nie powinienem tego robić, bo chodzisz na zajęcia do Zarostera, ale co to komu przeszkadza. Właśnie!

- Jeśli ci nie odpowiada, wiesz, dlatego, że jestem asystentem...

- Nie! To znaczy chętnie się z tobą spotkam.

- Fajnie - stwierdził z ulgą.

-Gdzie? Kiedy?

-Dziś wieczorem, koło siódmej. Kolacja i nocne kino. Co zechcesz. O ile masz czas.

Nie wierzyła własnemu szczęściu. Spotkanie z Brianem Thomasem! Podobał jej się od pierwszych zajęć.

- Fantastycznie.

- Przyjadę po ciebie... Mieszkasz w Cramer Hali, tak?

- Skąd wiesz?

- Na wydziale teologii wiemy wszystko - zażartował. - Dzięki kontaktom z Bogiem.

-Mhm.

- Mam prawo wiedzieć. Zajrzałem do twojej teczki. Jesteś DG.

- Tak, zgłosiłam się do korporacji Delta Gamma - przyznała, ale Brian wiedział więcej, niż należy i to ją zaniepokoiło. Może powinno jej pochlebiać jego zainteresowanie, ale raczej nie była zadowolona, że grzebał w jej aktach. - Myślałam, że to są poufne informacje - powiedziała.

- Są, lecz niektórzy z nas, ci uprzywilejowani, znają kody dostępu.

- Ach, tak? - Nawet nie był profesorem. To nie w porządku. - Jesteś jednym z tych uprzywilejowanych?

Ma o sobie wysokie mniemanie. A ona go brała za nieśmiałego. Przyszło jej do głowy, że może to wcale nie jest Brian, tylko jakiś głupek, któremu się wydaje, że się jej podoba. Brian zwykle zachowywał się poważnie.

Kto by to mógł być i dlaczego ma dostęp do akt studentów?

- Przyjadę o siódmej. Był szalenie pewny siebie.

-Dobrze...

Rozłączył się, a Kristi z radosnym uśmiechem opadła na poduszkę. Nie mogła uwierzyć, że zadzwonił. Na zajęciach robił wrażenie bardzo opanowanego. Poważnego. A przez telefon...

Rzuciła okiem na tablicę nad biurkiem. W jednym rogu wisiało zdjęcie jej i Jaya, zrobione w zeszłym roku, na zabawie na zakończenie szkoły. Ona miała na sobie długą czarną suknię, on - smoking. Pozowali do zdjęcia a Kristi, przechylona do tyłu, z uniesioną nogą, trzymała w zębach różę. Tamtej nocy przysięgała, że go kocha. I kochała. Ale to już minęło... Jay został w Nowym Orleanie, planując przejęcie firmy dekarńskiej ojca. Na razie jako jeden z robotników pokrywał dachy smołą, przybijał dachówki i, generalnie rzecz biorąc, zaczynał karierę od podstaw. Chciał, aby Kristi rzuciła studia i wyszła za niego za męża, ale udało jej się go przekonać, że jest za młoda.

Od tego czasu ich stosunki stały się chłodniejsze.

Rozważała zerwanie. Jeszcze tego nie zrobiła, ponieważ nie była pewna, czy to dobry pomysł.

Poranny telefon wszystko zmienił.

Odrzuciła kołdrę i zauważyła, że jej współlokatorce Lukrecji nie ma już w pokoju. Jak zwykle. Lukrecja była typowym molem książkowym i bardzo przeżywała wszystkie testy i egzaminy. Albo siedziała w bibliotece, albo uczyła się w pokoju. Nigdzie nie wychodziła. Nigdy. Jakby była w więzieniu.

Kristi przeciągnęła się i pomyślała, że mogłaby pójść na basen. Później miała pewne obowiązki na rzecz korporacji, a kiedyś musiała też usiąść do książek - w najbliższych dniach mijał termin oddania referatu u Suttera. Bała się spóźnić, ten człowiek był dziwny. Kilka razy przyłapała go na tym, jak intensywnie się w nią wpatruje, jakby była jakąś zagadką, psychologiczną enigmą. Pod tym względem dorównywał doktorowi Northrupowi. Ten był niesamowity. I też ją obserwował. Jakby chciał przyłapać ją na oszustwie. Aż się wzdrgnęła. I jęknęła, bo prawdopodobnie czekał ją test na zajęciach u Northrupa. Ale potem... Znowu spojrzała na zegarek i uśmiechnęła się. Za dziewięć godzin znajdzie się w niebie.

Zgodnie z obietnicą Bentz zjawił się koło drugiej po południu. Oli-via zamiatała ptasie piórka i nasiona, gdy Hairy S zaczął głośno szczekać. Oparła szczotkę i szufelkę o tylne drzwi, weszła do kuchni i wyjrzała przez okno. Przed domem zatrzymał się dżip Bentza. Liście wirowały w słońcu, a nad drzewami płynęły chmury. Pies ani na moment nie przestawał szczekać.

- Cicho! - zawołała, ale Hairy S skakał na drzwi i ujadał. Bentz zgasił silnik i wysiadł z samochodu. Olivia z trudem go rozpoznała. Znikły wyprasowane spodnie, wykrochmalona biała koszula, krawat i marynarka.

Bentz miał na sobie wytarte dżinsy, sweter i sportowe buty. Wiatr potargał mu włosy i wyglądał raczej jak ojciec, który wybiera się na szkolny mecz syna, a nie jak zmęczony życiem gliniarz.

Gdy wszedł na schodki, Olivia wzięła na ręce ujadającego i warczącego psa, i otworzyła drzwi.

- Czy on nigdy nie przestaje? - spytał Bentz.

- Dopiero, gdy kogoś lepiej pozna. - Hairy S nie spuszczał oczu z Bentza, wyrывая się z jej objęć i szczekając, jakby chciał rozerwać policjanta na kawałki.

- Jak długo to trwa?

- Na pewno dłużej niż parę dni. Chciał jest taka sama, więc na pana miejscu nie zbliżałabym za bardzo nosa do klatki. - Hairy S nadal hałasował. - Przestań!
- zawołała i pies, lekko skarcony, zadowolili się warknięciem. Olivia postawiła go na podłodze. Natychmiast zaczął obwąchiwać nogawki Bentza. - Więcej szczeka, niż gryzie.

- Ale na papugę powinienem uważać.

- Niech się pan sam przekona.

- Wierzę pani na słowo.

- Słusznie. Robił pan pranie? - spytała, pozwalając sobie na drobną złośliwość.

- Tak. - Uśmiechnął się, a uśmiech rozjaśnił mu oczy. - I nawet udało mi się rozładować zmywarkę. Ale nie zdążyłem przelecieć mieszkania odkurzaczem, cholera!

- Bardzo śmieszne.

- Też tak myślę.

Nie mogła się powstrzymać, aby nie odwzajemnić uśmiechu.

- Dziwię się, że pan przyjechał. Jest tyle ciekawszych rzeczy do roboty...

- Chyba już wykorzystałem wszystkie opcje.

- A ryby, polowanie, golf... I mówił pan coś o meczu futbolowym.

- Słuchałem po drodze przez radio. Nasza drużyna potrzebuje pomocy.

- Jak zwykle.

- Mhm. Ma pani przed sobą zagorzałego kibica.

- Zapamiętam to sobie. Proszę wejść.

Weszli do kuchni. We własnym domu czuła się w jego obecności trochę swobodniej. Może dlatego, że był inaczej ubrany, może dlatego, że nie przyjechał z oficjalną wizytą, a może już się do niego przyzwyczajała? Z trudem przypominała sobie, że zaledwie czterdzieści osiem godzin temu był dla niej jedynie nazwiskiem w gazecie. Teraz stał się... częścią jej życia.

Daj sobie spokój. To gliniarz. Wykonuje swoją pracę. Koniec dyskusji.

¹¹¹ - Ten napis? - spytał, opierając się o blat w kuchni.

- Ach, tak, mam na górze. Chwileczkę. - Pobieгла schodami do sypialni. Hairy S, wiemy jak zawsze, pędził przed nią. Z szuflady nocnej szafki wyjęła kilka kartek. Na jednej spisała poprzedniego wieczoru wszystkich znajomych, którzy mieszkali w promieniu osiemdziesięciu kilometrów, drugą był wydruk z komputera. Były to zapiski, które zrobiła tej nocy, kiedy umarła babka. Na innej kartce narysowała dziwne znaki, jakie widziała we śnie. Teraz, gdy spojrzała na nic nieznaczące litery i rysunki, jej dobry nastrój prysł i poczuła ten sam zimny dreszcz, jaki zawsze towarzyszył wspomnieniom wizji.

- Nie myśl o tym - powiedziała sobie» idąc na dół z biegającym pod nogami psem.

- Jest bardzo lojalny, prawda? - zauważył Bentz.

- Bardzo. - W przeciwieństwie do mężczyzn, których znałam. - Tu są te symbole i lista moich znajomych i krewnych. - Podała mu kartki. Usiadł na kuchennym krześle i natychmiast zaczął czytać.

- To właśnie widziała pani na ścianach krypty w swoich snach, tak?

- To, co zapamiętałam, kiedy się budziłam. Staęła za nim, patrząc mu przez ramię i aż zadrżała, gdy przypomniła sobie cierpienie ofiary.

-Niech mi pani jeszcze raz o tym opowie.

- Dobrze. To, co pamiętam. Ale te sny, jeśli chce je pan tak nazywać, nie były zbyt wyraźne. Przynajmniej nie na początku. - A przecież pamiętała je doskonale. - W zasadzie śniło mi się stale to samo, z lekkimi wariacjami.

Potařła ramiona i wyjrzała przez okno. Zimowe słońce przeświecało przez nagie gałęzie i iskrzyło się w ciemnej wodzie, ale dzień nagle stał się zimny i martwy, pełen cieni. Ile razy myślała o tej przerażonej kobiecie zamkniętej w grobie? W ciągu ilu nocy ten obraz stawał się koszmarem, który nieustannie ją nawiedzał?

-Najgorszy sen przyśnił mi się wtedy, kiedy jęzabił. Tej samej nocy umarła babka. Jedenastego sierpnia. Wszystko to opowiedziałam oficerowi Brinkmanowi, choć nic z tego nie wynikło. - Przez moment patrzyła

B mu w oczy, a potem odwróciła wzrok. - Ta sama stara historia. Nie ma ciała, nie zgłoszono zaginięcia, nie ma świadków... Tylko ja. Wariatka. - Uważa się pani za wariatkę?

Uśmiechnęła się kącikiem ust. Tym razem, kiedy spojrzała na niego, Już nie odwróciła wzroku.

- A pan co myśli? Kiedy nie odpowiedział, jej uśmiech zmienił się w ironiczny grymas.

- Sama zgadnę. Mam nie po kolei w głowie? Brak mi piątej klepki? Nie wszyscy w domu? Znam te wszystkie określenia. Niech mi pan wierzy, nie jestem jedną z tych idiotek, co lecą na policję, żeby zwrócić na siebie uwagę. I pan to wie, ponieważ dziewczyna w spalonym domu została zamordowana dokładnie tak, jak to opisałam. I zdarzyło się przynajmniej jeszcze jedno morderstwo. Może więcej. Ktoś zginął w ciemnościach z tymi... - Pokazała na kartkę, którą miał przed sobą. - Z tymi cholernymi hieroglifami.

- Dobrze, dobrze. Zacznijmy jeszcze raz. Proszę się uspokoić. Przepraszam. Przecież tu jestem, prawda? I słucham pani. Usiłuję wykombinować coś sensownego.

Krew się w niej gotowała, ale skinęła głową, usiłując opanować gniew.

- Dobrze... Co to jest, pani zdaniem? - spytał, podnosząc kartkę z rysunkami. - Widziałem je w raporcie Brinkmana, ale nic mi nie mówiły. Jakies bazgroły. Jak pani sądzi?

Pochyliła się nad jego ramieniem i przeklęła się w duchu, gdy poczuła zapach wody po goleniu. Wskazując palcem na symbole, powiedziała:

- Nie jestem pewna, co oznaczają. Niech pan pamięta, że widziałam je tylko przelotnie, gdy omiatał pomieszczenie światłem latarki. - Wpatrywała się w rysunki, które знаła na pamięć. - Wydaje mi się, że pierwszy przedstawia kotwicę, a te... - Pokazała palcem kilka kresek. - To są chyba trzy strzały, z wygiętą kreską u góry, jakby łukiem albo płomieniem. Przynajmniej takie mam wrażenie... - Dotknęła następnego rysunku. - Wydaje mi się, że to kwiat, ale reszta... Nie wiem. To - dotknęła czubkiem palca kilku liter - jest jakiś napis, lecz widziałam je tylko przelotnie. Spróbowałam je zapisać w takiej kolejności, w jakiej były napisane na ścianie, choć nie jestem pewna, czy mi się to udało.

Odczytała dziwny napis, który próbowała już odcyfrować wiele razy:

UJM... NA... PA... E... CU... FL....

- Lum-na-pa-e-cu-fi — przeczytał.

- Brakuje niektórych liter. Setki razy usiłowałam wypełnić puste miejsca. Świecący, świetlisty... Napa... Jak Napa Valley w Kalifornii... Czy ja wiem? To może być w obcym języku albo część akronimu, albo... Nie wiem. Może to zwykły bełkot. - Spojrzała nad jego ramieniem na części słów i nie znalazła w nich więcej sensu niż za pierwszym razem. Mrużąc oczy, pochyliła się do przodu i dotknęła piersiami swetra Bentza. Kiedy poczuła napięte mięśnie jego pleców, szybko się cofnęła.

Zażenowana, odsunęła krzesło i usiadła za stołem. Wskazała na kartkę.

- To przypomina szaradę z niedzielnej gazety, tyle że nie można zajrzeć na ostatnią stronę i sprawdzić rozwiązania. Lekko zmrużył oczy i spojrzął na nią poważnie.

- Czy mogę to wziąć? Rysunki i napisy są wyraźniejsze niż na kopii Brinkmana.

- Proszę bardzo.

- Miała pani jakieś inne wizje?

Wpatrywał się w nią, jakby usiłował oddzielić kłamstwa od prawdy, gładki rozsądek od ostrych kawałków szaleństwa.

- Od czasu do czasu.

- Każde inne?

- Tak. I niewyraźne.

- Z tym samym zabójcą?

- Nie wiem... Ale chyba tak, ponieważ nie widzę każdego popełnianego morderstwa, nawet nie każdego w tym mieście, jedynie niektóre, i czasem są tak realistyczne, że cierpnie mi skóra.

Skinął głową i wziął drugą kartkę.

- Nazwiska, adresy i numery telefonów. - Podniósł głowę. - Bardzo porządnie to pani zrobiła.

- Chciałabym, żeby pan złapał tego drania. Czy... Czy nadal będzie mnie pan śledził? Tak jak wczoraj wieczorem?

W drodze do domu widziała jego dżipa we wstecznym lusterku.

- Może chciałem się tylko upewnić, że bezpiecznie dotarła pani do domu.

- A może to tylko wykręt.

- Dobrze, będę z panią szczerzy.

- Przydałoby się.

- Chciałem się przekonać, dokąd pani jedzie, a poza tym zaczynam pani wierzyć i zaczynam się denerwować. Nie żartowałem, kiedy mówiłem o systemie alarmowym i ostrym psie.

- Zamierza pan zostać moim osobistym ochroniarzem? - spytała, przechylając głowę i wpatrując się w niego uważnie, jakby chciała go rozszyfrować.

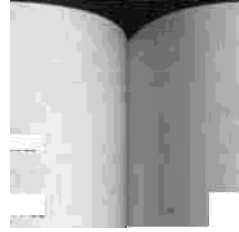
- Moja szefowa mogłaby mieć coś przeciwko temu, choć jest pani bardzo cenna. Z tym darem i w ogóle.

- Co „w ogóle”, detektywie Bentz?

Złożył kartki i schował je do kieszeni dżinsów.

- Mogłaby pani pominąć tego detektywa?

- To jak mam do pana mówić?



- Mam na imię Riek, ale większość ludzi nazywa mnie Bentz. Zdała sobie sprawę, że była to swego rodzaju gałązka oliwna i uznała, że może ją przyjąć.

- W porządku, Bentz, pod warunkiem że będziesz do mnie mówił Olivia albo Liwie.

- Zgoda.

- Wreszcie mi uwierzyłeś? - spytała, a on uśmiechnął się półgębkiem i coś błysnęło w jego oczach.

- Powiedzmy, że mam otwarty umysł.

-I to cię zabija. Uśmiechnął się szerzej.

- Otwarty umysł nie jest mój a największą zaletą. Dziękuję za pomoc — dodał, wstając.

Odprowadziła go do drzwi. Hairy S wypadł na dwór, ujadając, tropiąc jakieś niewidzialne stworzenie.

- Dam ci znać, jak znajdziemy kogoś uwięzionego w krypcie.

- Mam nadzieję, że to nie będziesz ty, ale ktoś inny na pewno któregoś dnia ją znajdzie.

- Może do tej pory złapiemy tego człowieka. - Zawahał się i przez moment myślała, że poda jej rękę, weźmie w ramiona lub pocałuje. Ale on tylko kiwnął głową. - Odezwe się.

Wsiadł do samochodu, wycofał go na miejsce, z którego mógł zawrócić i odjechał wyboistą drogą, znikając za kępą cyprysów i dębów. Stojąc w drzwiach, myślała, jak długo uda mu się utrzymać otwarty umysł, a potem doszła do wniosku, że to nie ma żadnego znaczenia.

To ona ma wizje.

Ona musi wykryć, skąd się biorą. W przeciwnym razie nikt nigdy nie będzie jej traktował poważnie. Skrzyżowała ręce na brzuchu, zastanawiając się, dlaczego tak jej zależy, aby Rick Bentz jej wierzył. W końcu to jeszcze jeden gliniarz, który myśli, że wie wszystko. I nie ma znaczenia, że pod twardą cyniczną skorupą dostrzegła coś głębszego. Albo że zwróciła uwagę na jego szerokie ramiona i wąskie biodra. Kto by się przejmował, że ten mężczyzna przedstawia sobą coś więcej, niż to widać na pierwszy rzut oka? Nie może

sobie pozwolić, by się jej spodobał. Związek z nim byłby bardzo dużym błędem.

Bardzo dużym.

Nie może też siedzieć i czekać, aż Rick Bentz, albo inny policjant, potraktuje ją poważnie. Będzie musiała sama znaleźć jakiś dowód, ślad, powiązanie czy coś w tym rodzaju. Zanim morderca znów uderzy.

Postanowiła zacząć od kościoła świętego Łukasza.

Rozdział 12

Olivia zaciągnęła hamulec i spojrzała przez przednią szybę na kościół. Był większy, niż się spodziewała - z pobielonymi ścianami, oknami z witrażami, pojedynczą iglicą wieży i dzwonnica, wznoszącą się obok kościoła. Wybrała świętego Łukasza ze względu na bliskość French Quarter. Dwustuletni bastion katolickiej wiary, niedaleko Esplanade, był kościołem położonym najbliżej miejsca zbrodni. I wydawał się logicznym początkiem, gdy szukało się księdza-mordercy.

- Głupie zajęcie - mruknęła do siebie, wysiadając z samochodu, i mocniej zawiązała pasek płaszcza. Miała nadzieję, że gdzieś w biurze parafialnym czy w przedsionku znajdzie jakieś informacje o kościele i jego księżach oraz coś o innych kościołach w mieście.

Była sobota. W przedsionku nikogo nie znalazła. Pchnęła główne drzwi, które otworzyły się bez trudu. Kościół, mimo że wielki, zachęcał do wejścia. Sklepienie znajdowało się co najmniej dwa piętra nad posadzką i udekorowane było mozaikami obramowanymi złotem. Nawę oświetlały słabe lampy i dziesiątki świec, których płomienie migotały na tle kamiennych ścian. Większość ciemnych ław świeciła pustkami. Gdzieś tam tylko siedział ktoś zatopiony w modlitwie.

Olivia przystanąła, patrząc na ołtarz i coś się w niej poruszyło. Potrzeba wiary? Nigdy nie była szczególnie religijna, ale chodziła z babką na mszę w niedzielę, gdyż babka bardzo nalegała.

„Kiedy masz za dużo kłopotów, trzeba porozmawiać z Bogiem. Odwiedzić jego dom”, mawiała, ściskając Olivie za rękę.

A teraz przysła tu na przeszpiegi, a nie po to, by się modlić.

Szybko się przeżegnała i zaczęła szukać jakiegoś biura czy choćby półki z informacją godzinach nabożeństw. Postanowiła, że jeśli nie znajdzie tu niczego interesującego, pojedzie do katedry świętego Ludwika przy Jackson Square. To była najstarsza i najbardziej znana świątynia w mieście, oddalona zaledwie o kilka ulic od jej miejsca pracy. W ostateczności był jeszcze Internet.

Ojciec McClaren na widok kobiety pośpiesznie wchodzącej do przedsionka poczuł zakazane uczucie, które prędko w sobie stłumił. Miała potargane wiatrem, wilgotne, kręcone włosy, zaczerwienioną twarz i ładne, pełne usta. Przeżegnała się, jakby była zdenerwowana czy zakłopotana. Nie przypominała zwykłych parafian, którzy codziennie przychodzili do kościoła.

Nawet w przyćmionym świetle zauważył, że ma dziwnie złote oczy i nerwowo przygryza dolną wargę. Wyglądała, jakby czegoś szukała. Albo kogoś.

Jeszcze jedna zagubiona dusza, która wpisze się do księgi gości, którą z wielbnyim O'Harapolożyli przy drzwiach.

- Czy mogę pani pomóc? - spytał, podchodząc bliżej.

- Wydaje mi się, że chciałabym porozmawiać z księdzem. Była lekko zdyszana. Zauważył kilka piegów na jej nosie.

- Wydaje się pani?

- Tak. Nie. To znaczy jestem pewna, że tak - powiedziała zdenerwowanym głosem. Był do tego przyzwyczajony.

- Jestem księdzem - oznajmił. Spojrzała na niego, jakby stwierdził, że jest kosmitą albo jakby chciał ją poderwać w barze. - Naprawdę. Jestem ojciec James McClaren.

Najwyraźniej nie należała do parafii.

- Och. - Zmarszczyła brwi i zawahała się, jakby przestraszyło ją to, co powiedział. Dziwne. - Nie wiedziałam, że w kościele można chodzić w dzinsach - wyjaśniła, nadal przyglądając mu się podejrzliwie.

- Przypuszczalnie nie jest to najlepszy pomysł - przyznał, dotykając wyblakłych lewisów. - Szedłem na skrót do klasztoru. Nie miałem pojęcia, że kogoś spotkam, a Bogu to na pewno nie przeszkadza.

Uniosła brwi. Najwyraźniej nie spełniał jej oczekiwań. Jak zwykle.

- Czy przysłała pani pogodzić się z Bogiem? - zapytał, wskazując na konfesjonały przy ołtarzu. - Ojciec O'Hara ma dyżur i zaraz go poproszę.

- Nie - zaprzeczyła pospiesznie. - Nie przyszedłem do spowiedzi. Muszę z kimś porozmawiać.

Wpatrywała się w niego oczami koloru whisky z gęstymi ciemnymi rzęsami. Miała wystające kości policzkowe. Była piękną kobietą.

Kobiety to zmora jego życia. Zwłaszcza piękne kobiety.

- Czy mogę z księdzem porozmawiać? - spytała, powściągając widoczną niechęć. - Kiedy będzie ksiądz miał chwilę czasu?

- Choćby teraz - zaproponował. Bardzo chciał myśleć, że to powołanie, specjalny cel, umowa z Bogiem i Kościołem sprawiły, że zaakceptował jej prośbę, wiedział jednak, że w grę wchodziła też inna, niezbyt honorowa przyczyna. - Nie spieszy mi się. - Dotknął lekko jej ramienia i wskazał podwórzec. - Możemy porozmawiać teraz, jeśli nie będzie pani przeszkadzało, że zabawię się w złotą rączkę. Jedna z rynien w budynku klasztornym się zatkała, a nasz pomocnik ma grypę. Jedną chwileczkę.

Olivia postanowiła mu zaufać, choć była trochę zdenerwowana. Przecież na własne oczy widziała, jak sprawny fizycznie ksiądz zabił tę biedną kobietę.

Nie możesz podejrzewać każdego wysportowanego księdza, którego i spotykasz. Jaka jest szansa, że to właśnie potwór z twojego snu?

Poza tym chciała z kimś porozmawiać o swoim darze i o tym, jak bardzo jej doskwiera. Nie zamierzała opowiadać o morderstwach ani o tym, że w swojej wizji widziała księdza, który zabił niewinną kobietę, ale w jakiś sposób potrzebowała dotknięcia Kościoła, rozmowy z kapłanem, kontaktu z religią.

Ojciec James poprowadził ją obok ostatniego rzędu ławek do budynku klasztornego, gdzie zadaszona weranda otaczała marmurowy podwórzec z fontanną i marmurowym posągami Madonny z Dzieciątkiem. Wiał zimny wiatr, nad miastem wisiały ciemne chmury.

- To nie potrwa długo - obiecał, wyjmując z zamykanego schowka szczotkę, parę rękawic, wiadro i drabinę. Przyglądała mu się, przytrzymując włosy, jak stawia drabinę koło rogu z rynną, wkłada rękawice, wchodzi na drabinę i zaczyna wyciągać z rynny mokre liście i śmiecie.

- Brudna robota - stwierdził, wpychając trzonek szczotki do rynny. - Ale praca boża nigdy się nie kończy.

Spojrzał w dół i uśmiechnął się do niej. Miał fantastyczny uśmiech. Białe zęby na tle popołudniowego zarostu kwadratowej szczęki przypominały reklamę mariboro. Ten mężczyzna jest stanowczo zbyt przystojny jak na księdza.

Miała wrażenie *deja vu*, jakby już go gdzieś widziała. Głupi pomysł. Na pewno by go zapamiętała.

Skończył czyścić rynnę. Starła się nie zwracać uwagi na to, jak dzinsy opinają mu się na siedzeniu, gdy schodzi z drabiny. Co jej się stało? Jej libido, tak długo uspięne, nagle zanadto się ożywiło. I reagowało na niewłaściwych mężczyzn.

- Jeśli jest pani zimno, możemy wejść do środka, aleja lubię to miejsce. Na powietrzu ma się wrażenie, że jest się bliżej Boga.

Złożył drabinę i schował ją razem z rękawicami i wiadrem do schowka.

- Jeśli będzie ksiądz miał za mało pracy w kościele, zawsze może sobie dorobić jako fachowiec - zauważyła, gdy zamykał drzwi na klucz.

Roześmiał się i przecesał palcami prawie czarne włosy, odgarniając je z czoła.

- To niezbyt świątobliwe zajęcie. O czym chciała pani porozmawiać?

- Nie uwierzy ksiądz.

- Niech pani spróbuje. - Znów się uśmiechnął. - Mnie już nic nie zdziwi.

- Dobrze - westchnęła, gdy ruszyli brzegiem podwórca, pod daszkiem.

Zapach Missisipi unosił się nad dwustuletnimi murami kościoła. -

Nazywam się Olivia. Olivia Benchet. Przeprowadziłam się tu parę miesięcy temu, żeby opiekować się babką przed jej śmiercią. Odziedziczyłam po niej dom i coś jeszcze. To podobno dar, coś w rodzaju zdolności postrzegania pozazmysłowego.

- Coś w rodzaju?

- Mam wizje, proszę księdza. Czasami są straszne. - Włożyła ręce do kieszeni, zastanawiając się, ile może mu powiedzieć. Suche liście wirowały nad kamiennym podwórcem klasztoru. - Czasami te wizje sprawiają, że tracę wiarę. - Spojrzała na niego z ukosa, ale on patrzył wprost przed siebie, marszcząc brwi. Od zimna miał lekko czerwony nos.

- Wszyscy od czasu do czasu wątpimy. Nawet księża.

- Czy księża grzeszą? - spytała.

- A jak pani myśli? - Zaciśnął usta. - Niestety, jesteśmy tylko ludźmi. Nie była tego taka pewna. Człowiek, którego widziała w swoich wizjach, nie był człowiekiem, lecz potworem. Uosobieniem zła przebranym w piękne szaty.

Nagle z chmur połały się strugi deszczu. Wielkie krople kapały na dach i bulgotały w rynnach.

- Wierzy mi ksiądz, że mam te „widzenia“?

-Niezmierzone jest działanie Boga.

- To nie jest odpowiedź.

- Nie, raczej nie. Zużyty banał. - Zatrzymał się w drzwiach kaplicy. -A to? Bóg wszystkim nam daje jakieś dary. Niektóre możemy widzieć, dotknąć czy też, inaczej mówiąc, udowodnić. Inne są nieuchwytnie, ale nadal są darami. Mamy szczęście, jeśli potrafimy rozpoznać to, co mamy.

- A jeżeli uważam mój dar za przekleństwo?

- To powinna pani spróbować spojrzeć na to inaczej. Odwrócić to, co pani ma. Bóg chce, żeby dary, które nam daje, wykorzystać dla innych ludzi oraz na jego chwałę. Założę się, że jeśli pani dobrze poszuka, znajdzie pani w swoich wizjach coś pozytywnego.

- To byłoby bardzo trudne.

- Jestem pewien, że pani potrafi - powiedział z zachęcającym uśmiechem, który zabłysł nawet w oczach.

Gdyby tylko wiedział. Kusilo ją, aby mu opowiedzieć, co widziała, lecz powstrzymała się.

- Spróbuję - obiecała, zastanawiając się, czy kłamie w żywe oczy kapłanowi. - Czy oprócz księdza i księdza O'Hary jest tu ktoś jeszcze?

- W tej chwili nie. Czasami odwiedzają nas księża, którzy odprawiają nabożeństwa. I raczej nazywamy go wielbnyim O'Harą. Czasami bywa na tym punkcie przeczulony.

- Och, będę pamiętała. A czy zna ksiądz innych księży z Nowego Orleanu?
Z innych parafii?

- Oczywiście. - Uśmiechnął się z rozbawieniem. - Dlaczego pani
pyta?

- Z ciekawości - odparła i nie kłamała. Bardzo chciała zaufać temu
przedstawicielowi Boga na ziemi, ale wiedziała, że gdyby wyznała mu straszną
prawdę, tylko by go do siebie zraziła. Teraz potrzebowała przyjaciela. Kogoś, z
kim mogłaby rozmawiać. - Dziękuję, że poświęcił mi ksiądz czas - dodała,
wyciągając rękę.

Podał jej zimną dłoń.

- Niech pani przychodzi za każdym razem, gdy będzie miała pani jakiś
pytania, Olivio. I... może zechce pani przyjść czasem na mszę. Rozmowa ze
mną to jedno, ale może lepiej porozmawiać bezpośrednio z Bogiem?

- Mogę to robić w domu, prawda?

- Oczywiście, ale dom Boga zaprasza do siebie wszystkich. -Uśmiechnął
się i poczuła się lepiej. - Proszę. - Wyjął z kieszeni portfel, a z niego
wizytówkę. - Zapraszam panią, drzwi świętego Łukasza są zawsze otwarte. -
Położył wizytówkę na jej wyciągniętej dłoni. - Będę na panią czekał.

Bez przesady, pomyślała, obracając w palcach kartonik.

-Nie spodziewała się pani, że księża mają wizytówki, prawda? Albo że
używają Internetu. Nie wszyscy, ale mnie jest tak łatwiej. A wizytówki można
zrobić na komputerze w jednej chwili.

Roześmiała się, bardziej odprężona, i schowała wizytówkę do torebki.

- Dziękuję.

- Proszę mi nie dziękować. To działanie siły wyższej.

Ojciec James przytrzymał jej drzwi i przyglądał się, jak idzie na parking
do czerwonego ford. Była interesującą kobietą. Niespokojną. Piękną. I
oszukiwała go. No, nie tyle oszukiwała, co coś ukrywała. Widział to w jej oczach.
Ciekaw był dlaczego, ale starał się jej nie osądzać. Nigdy. Żaden złowiek nie
powinien być sędzią bliźniego swego.

Dawno temu nauczył się, że sąd należy zostawić Bogu.

Przecież sam wie, co to grzech.

Zna pokusy diabła.

Wie, jak trudno jest nie upaść.

Pomyślał, że musi uważać, bo grzech łatwo znajduje drogę do jego drzwi,
a on szybko te drzwi otwiera. Obiecał Bogu i sobie, że to się już nigdy nie
zdarzy.

Miał nadzieję, że zdoła dotrzymać tej obietnicy.

Z Internetu nic nie wyszło. Olivia wyłączyła laptop i rozmasowała kark, a potem napiła się zimnej herbaty z filiżanki stojącej na stoliku obok starej kanapy babki. Właściwie czego się spodziewała? Że wszyscy księża w stanie Luizjana będą mieli swoje biografie ze zdjęciami na stronie www.Myksiezazpotudnia.com? A gdyby nawet znalazła w Intemecie fotografie i informacje biograficzne, czego by to dowodziło? I tak nie rozpoznałaby tego mężczyzny. Może to wcale nie był ksiądz? Może tylko włożył albę, w którą przebierał się na ostatki? I zostawił ją, by spłonęła?

To miało więcej sensu.

Przestań, nakazała sobie, zaniósła filiżankę do kuchni i wstawiła ją do zlewu. Było późne popołudnie, słońce zachodziło szybko, nad bagna nadciągała ciemność. Deszcz ustał, ale ciemne chmury nadal sunęły po niebie, nadając dniu ponury nastrój. Hairy S zwinął się w kłębek na dywaniku koło tylnych drzwi. Podniósł głowę i parę razy uderzył ogonem o podłogę, po czym ziewnął szeroko i znów położył łeb na przednich łapach. Chia zagwizdała cicho i wylała sobie wodę z miseczki na głowę.

Olivia rzuciła okiem na krzesło z trzciniowym oparciem, gdzie parę godzin temu siedział Rick Bentz. Duży mężczyzna zmęczony życiem. Ale gdy się uśmiechał, przeistaczał się w przystojnego zdeterminowanego człowieka z inteligentnymi oczami i poczuciem humoru. To jej się podobało. Interesujący mężczyzna, ale nie dla niej. Był policjantem i jego zainteresowanie wynikało z kwestii czysto zawodowych. Poza tym uważał ją za stukniętą. Widziała to w jego oczach.

I jeszcze ten ojciec James McClaren. Przystojny jak aktor z Hollywood, z niebieskimi oczami i śladami siwizny na skroniach. Ten to dopiero był nieodstępny! Ksiądz, który poświęcił życie Bogu i ślubował celibat. Co za strata, myślała, gdy przypominała sobie, jak wchodził po drabinie, a ona nie mogła oderwać oczu od jego pośladków i ud...

- Za długo jesteś sama, Benchet -jęknęła z niedowierzaniem. Ostatnio jej libido zdecydowanie nadrabiało stracony czas. W dodatku po fiasku przed ołtarzem przysięgła sobie, że koniec z facetami. A teraz dopadały ją niedorzeczne erotyczne myśli o dwóch mężczyznach, z którymi nie mogła się nawet spotykać towarzysko, a co dopiero planować jakąś przyszłość. - Bentz ma rację, jestem wariatką - mruknęła.

Hairy S zerwał się i warknął.

- Co się stało?

Zaczął szczekać jak oszalały i pognał do drzwi z takim jazgotem, że mógłby obudzić umarłych w trzech parafiach.

- Przestań! - zawołała Olivia i ruszyła za nim, spodziewając się dzwonka. Uśmiechnęła się w duchu. To pewnie Bentz. Wrócił z jakimś pytaniem.

Kiedy jednak wyjrzała przez okno, nie zobaczyła nikogo. Hairy nadal szczekał, podskakując do okna i zachowując się tak, jakby po drugiej stronie drzwi ktoś był.

Olivia poczuła gęsią skórkę. Wyjrzała przez okno tak, żeby zobaczyć całą werandę. Nic. Nawet śladu cienia. Pomyślała o strzelbie babki, schowanej pod schodami.

„Na wszelki wypadek - mówiła babka - nigdy nic nie wiadomo. Ludzie nie są już tacy, jak dawniej. Wstydzę się tego, ale im nie ufam”.

Ja też nie, pomyślała teraz Olivia. Przypomniała sobie ostrzeżenia Bentza. Poszła do schowka, wyjęła strzelbę, znalazła pudełko z amunicją na półce nad płaszczami, załadowała broń i odbezpieczyła. Z mocnym postanowieniem zainstalowania od przyszłego tygodnia alarmu, podeszła do drzwi i lekko je uchyliła. Na zewnątrz panowała cisza. Ani śladu wiatru, skrzeku żab czy brzęczenia owadów. Świat zamarł. Wyszła na werandę, a Hairy S, trzymając się blisko niej, zaczął warczeć, jakby się czegoś bał.

- Nic się nie dzieje - powiedziała do psa, choć nawet jej głos zabrzmiał fałszywie. Bezpodstawnie uspokajająco. Pies zaskomlał.

- Chodź tutaj. - Wolną ręką podniosła psa ze zniszczonej podłogi werandy, wpatrując się w mrok. Nie wiedziała, czy widzi poruszające się cienie, czy to tylko blik zanikającego światła. Powietrze było chłodne i nieruchome, chmury ledwo widoczne i też nieruchome. Zacisnęła palce na karku psa, który zadrżał i zaskomlał. - Wracamy - szepnęła, wycofując się do domu, zamykając za sobą drzwi na klucz i zastanawiając się, czy w ogóle potrafiłaby do kogoś strzelić.

Na ogół się nie bała i mieszkanie samej jej nie przeszkadzało, ale dziś żałowała, że nie ma przy niej nikogo. Kogoś dużego, silnego i odważnego. Oczami wyobraźni ujrzała twarz Ricka Bentza. On był duży. Silny. Stanowczy. I nosił broń. James McClaren. Miał za sobą Boga. To lepsze niż broń.

- Idiotka - mruknęła, kręcąc głową. Czyżbym tak bardzo potrzebowała mężczyzny? - pomyślała, chowając strzelbę do schowka. W życiu. Nie miała zamiaru podpierać się teorią o silniejszej płci. Wystarczyło spojrzeć na mężczyzn w jej życiu - ojciec morderca i narzeczony oszust.

Były inne krótkotrwałe związki, a każdy facet miał poważne wady, z którymi nie potrafiłaby żyć ani iść na kompromis. Oczywiście nie wszyscy mężczyźni, z którymi się spotykała, deklarowali wielką miłość. Oprócz Teda. Ale nie była zainteresowana.

A teraz?

Dlaczego wciąż myśli o gliniarzu i o księdzu? Potrzebujesz terapii, Olivio. Naprawdę. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze nad półką książkami. I znów to poczuła.

Zimno. Jak czarny lód, oszukańczo łagodne, wciągało, obiecując fałszywe bezpieczeństwo. Zobaczyła je za swoim odbiciem w ciemności... Usłyszała odgłosy nocy, poczuła puls... Ból... Pożądanie, które przebiegło przez jej żyły...

- O, Boże - szepnęła, drżąc, gdy rozpoznała zapach polowania, atak czarnej adrenaliny na myśl o zabójstwie. Serce waliło jej jak młotem. W uszach czuła szum krwi. -Nie... Nie... - Ugięły się pod nią kolana i oparła się o stół, wyczuwając czubkami palców wytarte brzegi Biblii babki. Jednak jej oczy nadal wpatrywały się w lustro i widziały jedynie nieprzeniknione ciemności.

Patrzyła oczami potwora.

Znów wyruszył na polowanie.

Rozdział 15

Gnojek - syknęła Kristi, spoglądając na zegar. Siódma trzydzieści pięć i ani śladu Briana. Miała na sobie czarne obcisłe dżinsy i czerwony sweter, który odsłaniał skrawek brzucha, gdy unosiła ręce. Spędziła prawie godzinę na malowaniu się i czesaniu, choć zwykle zajmowało jej to dziesięć minut. A on wystawił ją do wiatru.

Wściekłym wzrokiem wpatrywała się w telefon, usiłując zmusić go, by zadzwonił.

Do pokoju weszła Lukrecja z puszką coli i białą papierową torbą z pobliskiego meksykańskiego barku. Czarne loki tańczyły wokół jej twarzy.

- Jeszcze tu jesteś? - zdziwiła się, rzucając na podłogę mokrą kurtkę. - Myślałam, że masz gorącą randkę.

-Ja też.

-Nie przyszedł?

- Jeszcze nie.

- Może zadzwoń i spytaj, co się stało. Ma komórkę? Otworzyła torbę, zajrzała do środka i wyciągnęła taco, zawinięte w kolorowy papier.

-Nie wiem. Nie znam jego numeru - powiedziała Kristi, marszcząc brwi. Zawsze sprawdzała, kto dzwoni, ale numer Briana był chyba numerem budki telefonicznej. Usługa, na którą nalegał jej paranoiczny ojciec--policjant, wcale się nie sprawdziła.

- Może zachorował - zasugerowała Lukrecja, odwijając taco. A może cię nabrał. Przypuszczalnie domyślił się, że wpadł ci w oko i zabawił się z głupiutką studentkąpierwszego roku, zainteresowanątrzy-dziesięcioletnim doktorantem. Spójrz prawdzie w oczy, Kristi, on nie ma zamiaru się zjawić.

- To mógł zadzwonić.

-Nie jest aż tak późno. Coś mogło mu przeszkodzić. Korki... Boja wiem...

Lukrecja napiła się coli i usiadła przy biurku.

- Ale powinien zadzwonić - stwierdziła obrażona Kristi.

- To znaczy, że jest niepoważny. Ja na twoim miejscu trzymałabym się Jaya. Przynajmniej cię kocha. Tyle to Kristi sama wiedziała.

- Jay jest dobry, ale nudny.

- Ale jest lojalny. - W przeciwieństwie do ciebie. Tego Lukrecja nie powiedziała na głos, ale Kristi wyczytała to w jej oczach. Lukrecja miała tylko jednego chłopaka i zamierzała się go trzymać. Studiowali na różnych uniwersytetach, rzadko się widywali, wydawali setki dolarów na telefony, ale ciągle byli razem. Lukrecja spędzała każdy weekend na nauce, chyba że akurat spotykała się ze swoim chłopakiem.

Co, zdaniem Kristi, w ogóle nie było zabawne.

- Aha, ktoś do ciebie dzwonił. - Lukrecja zajrzała do szuflady i znalazła mały kawałek papieru. - Jakiś facet. Nazywa się Willie Davis.

Kristi jęknęła.

- Opowiadałam ci o nim. Siedzi za mną na zajęciach z psychologii i czuję, jak się na mnie gapi. - Wzięła kartkę i zmiała ją. - Jest nieszkodliwy, ale mnie nie interesuje. To dureń, któremu się podobam. Jedyne, co jest w nim dobre, to to, że doktor Sutter ma coś przeciwko niemu. Wiecznie wyrywa go do odpowiedzi i dzięki temu ja mam spokój. - Wrzuciła papier do kosza. - Jeśli znowu zadzwoni, powiedz, że mnie nie ma albo że wyjechałam, albo żeby się odczepił, cokolwiek.

- Znudziło mi się kłamać za ciebie. - Lukrecja pokręciła głową. - Sama mu powiedz.

- Dobrze - warknęła Kristi, zła na koleżankę, a przede wszystkim na Briana. Co za palant. Dlaczego nie przyszedł? Zirytowana złapała kurtkę. — Wychodzę.

- Bez Briana? - Lukrecja odgryzła kolejny kawałek taco i spojrzała na Kristi okrągłymi oczami.

-Bez.

- Nie powinnaś wychodzić sama. Przepisy...

- Są po to, żeby je łamać. Wychodzę. Sama.

- Ale... Ale co mu powiedzieć, jak zadzwoni? Żeby się wypchał.

- Że wyszłam - rzuciła i wybiegła z pokoju. Po drodze włożyła kurtkę i ruszyła korytarzem w kierunku schodów. Kiedy doszła do drzwi wychodzących na klatkę schodową, usłyszała telefon, nie miała jednak zamiaru zawracać, żeby sprawdzić, czy to do niej. Jeśli zadzwonił, to świetnie. Jakoś przeżyje fakt, że Kristi nie będzie siedziała i na niego czekała.

Nawet jeżeli był najbardziej seksownym facetem na uczelni.

Obserwował ją z cienia. Widział, jak wypadła przez oszklone drzwi Cramer Hali i przeszła przez ulicę. Była doskonała, z długimi zgrabnymi nogami i umięśnionym ciałem pływaczki. Kiedy biegła, jej włosy powiewały, błyszcząc w niebieskim świetle lamp lekkim odcieniem czerwieni. I była sama. Tak, jak się spodziewał.

Kristi Bentz miała niebawem zostać świętą Łucją.

O ile będzie w stanie czekać tak długo.

Mgła wisiała nisko, podnosząc się z trawy i krzaków, tworząc gęstą przesuwającą się zasłonę. Chmury przesłoniły księżyc.

Chciał jej. Dziś wieczorem. Na trzynastego grudnia musiałby stanowczo za długo czekać.

Podążając bezszelestnie jej tropem, w bezpiecznej odległości, rozmyślał o tym, jak ją schwytać... Przetrzywać do odpowiedniej pory... Przedłużyć podniecenie. Dzień jej wyzwolenia był wyznaczony. Trzynastego grudnia, za trzy tygodnie. Czy wytrzyma tak długo? Czy poświęcenie innej go usatysfakcjonuje? Bo jest jeszcze jedna... Ale ta... Tej chciał. Fakt, że jest córką Bentza, jego księżniczką, jeszcze bardziej go podniecał.

Prześlizgnął się w ciemnościach.

Będzie dla niego wyzwaniem. W przeciwieństwie do innych córka gliniarza ma ogień i siłę. Wyobraził sobie, co jej zrobi. Z pewnością Bóg wybaczy mu jeden grzech, z pewnością wybaczy mu jedno dotknięcie... Miękkiego gibkiego ciała i twardych mięśni... Obserwował ją na basenie, gdy pływała, i później, w tych perfekcyjnych chwilach, kiedy wychodziła z wody i obciągała kostium na jędrnych pośladkach. Odnotował długość nóg, przyglądał się, jak potrząsa mokrymi włosami.

Jego członek zeszywniał. Czy jest dziewicą? Czy też zgrzeszyła? Kolejna kurwa? Czy będzie pierwszy, gdyby złamał przyrzeczenie i ją posiadł?

Na myśl o zakuciu jej w kajdanki, uwięzieniu, dotykaniu i pieszczaniu, aż jęknął. To nie jest część planu. Ona nie jest tą wybraną. Jeszcze nie. Nie mógł wytrzymać. To syrena, bezwstydnica, a on jest słaby... Taki słaby.

Przebiegła alejką między męskimi i żeńskimi akademikami, przeszła na drugą stronę ulicy i wcale się nie zatrzymała. Szedł za nią, gdy skręciła za róg, przyciągana blaskiem neonów w oknach popularnego miejsca spotkań młodych ludzi, gdzie rzadko sprawdzano, czy są pełnoletni.

Jeden neon reklamował pulsującymi niebieskimi literami popularne piwo; drugim był różowy kieliszek martini z oliwką, kusząco przechylony. Zachęcający.

Bezczelnie weszła do baru, mimo że nie jest pełnoletnia, a jej ojciec to gliniarz.

- Pst, pst - szepnął. Krew szybciej krążyła mu w żyłach i nadal miał erekcję. - Bardzo niegrzecznie.

Nawet nie obejrzała się przez ramię.

Wszedł za nią do baru.

Bentz zignorował otwarty karton z pizzą. Wcześniej, oglądając telewizję, zjadł trzy kawałki i wypił piwo, a raczej to, co teraz nazywał piwem. Wciąż rozmyślał o Olivii Benchet i sprawie nieznaney kobiety, która zginęła w pożarze.

Skontaktował się z policją w Lafayette. Mieli porozmawiać z Reg-giem Benchetem i oddzwonić. Na razie nie zadzwonili.

Bentz zrezygnował z prób odczytania symboli, które zapisała Olivia i przefaksował je policyjnemu szyfrantowi. Kopię listy z nazwiskami jej znajomych i rodziny dał jednemu z cywilnych pracowników policji, ale sam też się nią zajął, poznając ludzi, z którymi była blisko.

Z nogami na stoliku rzucił okiem na telewizor i wrócił do papierów rozłożonych na kanapie. Znał Jasnowidzów", którzy pracowali dla policji

w Los Angeles, ale oni zaczęli od przyjscia na miejsce zbrodni lub zajęcia się ubraniami czy otoczeniem podejrzanych. Nigdy nie miał do czynienia z kimś, kto faktycznie patrzył na zbrodnię oczami mordercy. Albo na przykład przez lustro, makabryczną parodię czarodziejskiego lusterka z *Królewny Śnieżki*.

Nie potrafił znaleźć w tym wszystkim sensu. A z drugiej strony wierzył Olivii. Tylko nie znał logicznego wytłumaczenia. Jednym uchem słuchał ostatnich wyników bejsbolu, koncentrując się na liście. Miała dziwną rodzinę, zwłaszcza ojciec wymagał szczegółowego sprawdzenia. Wyszedł za dobre sprawowanie po wielu latach odsiadki za morderstwo. No i były narzeczoney Ted Brown, obecnie rozwiedziony, który pracował na kolei i mieszkał po drugiej stronie rzeki w Gretna. Miał parę przepychanek z prawem. Trzy razy wzywano policję do jego mieszkania z powodu awantur rodzinnych. Dwa razy z żoną i raz z dziewczyną. Podobno groził nożem, ale za każdym razem kobiety wycofywały oskarżenie.

Miły facet, pomyślał Bentz, zastanawiając się, jakim cudem Olivia o mało nie wyszła za niego za męża. Ted Brown aż się prosił o sprawdzenie. Porzuceni kochankowie często stają się nieprzyjemni.

Ciekawe, czy Olivia utrzymuje z nim jakiś kontakt? I czy dawna bliskość wystarcza, jeśli to on jest zabójcą. To najbardziej interesowało Bentza: co łączy Olivię Benchet z mordercą? Kto to jest? Dlaczego ona go widzi i czy to działa w obie strony? Dlaczego nie widziała go przy innych okazjach, jedynie przy zabójstwach? Czy zabójca zna jej nazwisko? Jeżeli wie kim jest, Olivia może być w ogromnym niebezpieczeństwie.

Nerwowo pstryknął długopisem. Nie spodobały mu się wnioski, do jakich doszedł. Na liście znalazł nazwisko matki Olivii. Bemadette Du-bois Benchet Martin. Zakreślił je długopisem, bo nazwisko nie było kompletne. Brinkman twierdził, że matka Olivii była pięciokrotną mężatką, a więc brakowało paru nazwisk. Będzie musiał to sprawdzić. A to dziecko, które utonęło? Siostra Chandra?

Do listy Olivii Bentz dodał trzy zmarłe osoby: Chandrę oraz dziadków, Yirginię i Montciiffa Dubois. Byli drudzy dziadkowie, których jeszcze nie odnalazł, wujowie, ciotki i kuzyni, z którymi zamierzał się skontaktować. Liczył się każdy członek rodziny, choć sam nie bardzo wiedział, dlaczego Olivia miałaby być genetycznie powiązana z zabójcą. Ale miało to jakiś sens.

A przyrodni bracia? Przyrodnie siostry? Jeśli Bemadette tyle razy wychodziła za męża, to na pewno było jakieś rodzeństwo. Reggie także mógł spłodzić kilkoro dzieci.

Cholera, w ten sposób można ciągnąć to wszystko miesiącami, a Bentz chciał złapać drania, nim ten zdąży skrzywdzić jeszcze kogoś. Nim się zorientuje, że Olivia Benchet widzi to, co on robi.

Sprawozdawca sportowy przeszedł od koszówki do wyników futbolu i szans miejscowej drużyny. Bentz z namysłem postawił znak zapytania przy Chandrze, jedynej siostrze Olivii. Coś mu tu nie pasowało i przeczucie czy intuicja podpowiadały, że nie zna całej historii.

I ten spalony dom z uwięzioną ofiarą. Policja zaczęła sprawdzać ludzi, którzy zgłaszali się do biura nieruchomości, ale, jak na razie, nic konkretnego z tego nie wynikło.

Jak najszybciej muszą coś znaleźć.

Zabrzączał pager. Bentz spojrzął na ekranik i rozpoznał numer Olivii Benchet. Wiedział, że jeśli dzwoni, to musi być coś ważnego. Wyłączył dźwięk telewizora, złapał bezprzewodową słuchawkę i wystukał jej numer.

Podniosła po pierwszym dzwonku.

- Halo?

- Mówi Bentz.

- On znów poluje - powiedziała drżącym głosem.

- Co? - Bentz zerwał się na równe nogi, chwytając marynarkę, broń i klucze.

- Znów go wyczułam. Poluje. Właśnie w tej chwili.

- Gdzie?

- Nie wiem - przyznała. - Widziałam tylko fragmenty. Chodzi za jakąś dziewczyną. Nie widziałam jej twarzy. Było za ciemno, ale... Boże, on chce ją porwać. I sam nie wie, czy ma to zrobić dziś, czy poczekać. Nie mam pojęcia, co to znaczy, lecz obawiam się, że zabije ją dziś w nocy. Chyba że go powstrzymamy.

Rozdział 14

C^ prawdź, czy wszystkie drzwi są dobrze pozamykane. Zaraz będę. Za-^-) dzwonię z samochodu z komórki. - Bentz wybiegł z mieszkania, zapinając kaburę pistoletu i wsuwając ręce w rękawy marynarki.

Ramieniem otworzył drzwi klatki schodowej, przebiegł do samochodu i w ciągu pięciu minut był w drodze do domu Olivii. Zadzwoił na komórkę Montoi, zostawił mu krótką wiadomość i ruszył w stronę autostrady. Przy wyjeździe z miasta zadzwonił do Olivii.

- To ja — powiedział, włączając się w cienki strumyk wieczornego sobotniego mchu. - Zaczynj jeszcze raz od początku. Powiedz, co widziałaś.

- Byłam tu sama i... Spojrzałam w lustro... Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale nagle nie widziałam już swojego odbicia, lecz coś za nim. Jakbym spoglądała przez drugą parę oczu. Jego oczu. - Mówiła spokojniej niż za pierwszym razem, choć wciąż była roztrzęsiona. Wysłuchał, co się stało, powiedział jej, żeby czekała i nacisnął na gaz.

Zwykle jechał do niej ponad pół godziny. Tym razem już po dwudziestu minutach dżip podskakiwał na wyboistej drodze do jej domu, wyrzucając błoto spod kół. Na przedniej szybie i światłach tańczyły mokre liście. Siedział za kierownicą spięty i skupiony. Jeszcze parę dni temu nawet nie odezwałby się do tej kobiety, a dziś jechał jak wariat, bojąc się o jej bezpieczeństwo, przekonany, że mówi prawdę.

Zobaczył jej dom za drzewami, z ciepłym światłem w oknach. Kiedy dżip stanął, Olivia zapaliła światło na werandzie i otworzyła drzwi. Pies wybiegł na dwór, szczekając, zrobił parę kółek i podlał drzewo. Olivia stała nieruchomo na werandzie. Tętno Bentza wyraźnie przyspieszyło. Boże, ależ ona jest piękna, z tymi długimi nogami, rozwianymi włosami i zmartwionymi oczami. Wysiadł z samochodu i po dwóch schodkach wbiegł na werandę. Olivia rzuciła mu się w ramiona.

- Dziękuję, że przyjechałeś. - Pachniała jaśminem i trzymał ją w objęciach dłużej, niż powinien.

- Wszystko w porządku?

-Tak... Chyba tak... Wejdz.

Opuścił ręce i zauważył, że się zaczerwieniła, jakby zawstydził ją ten wybuch emocji. Zagwizdała na psa, który pędem wpadł do domu i rzucił się do kuchni. Olivia zamknęła drzwi na klucz i podeszła do niskiego regału z książkami, gdzie na górnej półce leżała Biblia w skórzanej zniszczonej oprawie. Na ścianie nad regałem wisiało fazowane lustro w ciemnej ramie.

- Tutaj to zobaczyłam - powiedziała, wpatrując się w lustro i przelękając ślinę. Bentz, stojąc za nią, widział tylko ich wspólne odbicie. Górował nad nią o dobre kilkanaście centymetrów.

- A teraz?

- Nic. Jedynie ty i ja. - Uniosła do góry ciemne brwi. - Ale nie było tak jasno - powiedziała i zgasiła górne światło. W korytarzyku natychmiast zrobiło się ciemno. Znów oboje spojrzeli w lustro i Bentz usłyszał, jak wciągnęła powietrze i zobaczył, że sztywnieje. Dotknął lekko jej ramienia, ofiarowując oparcie i pomoc. -Nic nie ma... - stwierdziła w koń

cu, rozluźniając się. -Nic. - Pokręciła głową i westchnęła. - Powinnam była wiedzieć. To nie jest coś, co mogę przywołać. Po prostu się dzieje. -Odgarnęła włosy z czoła i spojrzała mu w oczy w lustrze. - Przepraszam. Przejechałeś taki kawał drogi po nic.

- Może nie. Omówmy to jeszcze raz. Jeśli dokładnie mi wszystko opowiesz i pokażesz, co się stało, czegoś się dowiemy.

Uśmiechnął się lekko, a Olivia odwróciła się, muskając ramieniem jego pierś. Zapach jaśminu działał na niego drażniaco i prowokująco.

- Skoro tak uważasz...

- Nie wiem, co myśleć.

- Ja też nie - przyznała. - Chyba możemy spróbować. - Weszła na schody, a Hairy S wyskoczył przed nią. - Byłam tutaj.

Stare schody zaskrzypiały pod jego stopami. Przez cały czas usiłował nie gapić się na jej pośladki w obcisłych dżinsach. Przeniósł wzrok na górne piętro, gdzie znajdował się mały korytarzyk, niewielka łazienka i dwie sypialnie. Przechodząc, zajrzał do większego pokoju, z oknami wychodzącymi na tył domu. Pod jedną ścianą stało łóżko z baldachimem, a balkonowe drzwi prowadziły na werandę. Poza tym stała tu komoda i biurko. Olivia zaprowadziła go do drugiego pokoju, mniejszego, bardziej przytulnego, z podwójnym łóżkiem, małą kanapką, komódką i biurkiem, na którym stał laptop. Regały na ścianach wypełniały książki.

- Byłam tutaj i pracowałam na komputerze - wyjaśniła. -Nic się nie działo. Potem zeszedł na dół... - Znow poszedł za nią, tym razem wpatrując się w rozjaśnione słońcem włosy. -.1 kiedy przechodziłam tędy... - znow spojrzała w lustro i wyciągnęła rękę, dotykając palcami okładki Biblii na górnej półce regału -. .coś poczułam. - Zadrżała, jakby zrobiło jej się zimno. Teraz jej nie dotknął, pozwalając, by wbiła wzrok w lustro, odtworzyła, co się stało, spróbowała na nowo nawiązać kontakt z potworem krążącym po ulicach Nowego Orleanu.

Nie wiedział, kiedy zaczął jej wierzyć, lecz mimo jego głębokiego sceptycyzmu udało jej się przekonać go, że w jakiś sposób miała kontakt z mordercą.

On musi ten kontakt wyjaśnić i sprecyzować.

- Nie czuję go - szepnęła. - Odszedł. - Pokręciła głową i westchnęła, zwracając się twarzą do Bentza. - Ale wcześniej tak. Czułam go.

- Wiem.

Spojrzał jej w oczy i coś się w nim poruszyło. Mur, nad którym tak ciężko pracował, zawalił się w jednej chwili. Była tak szczerą i poważną. Jej złote oczy przepełniało zmartwienie, a rysy twarzy miała ściągnięte | niepokojem.

- Wierzysz mi?

- Tak, wierzę, że coś widziałaś. Nie wiem, co to było, co to znaczy i jak działa, ale wydaje mi się, Olivio, że jesteś jakoś powiązana z mordercą.

- O, Boże - szepnęła. - Jak?

- To musimy odkryć.

Chciał ją pocieszyć, objąć i mocno uściskać. Pocałować w czoło, może nawet przelotnie w usta. Jednak udało mu się powstrzymać. Już i tak za bardzo się zaangażował.

Ku jego zdumieniu, Olivia przejęła inicjatywę i, stając na palcach, pocałował go w policzek.

- Dziękuję, że przyjechałeś - szepnęła ochryple, a potem, znów zawstydzona, odchrząknęła. - Usiądź - zaproponowała, wskazując pokój. — Przyniosę ci coś do picia.

Hairy S zbiegł po schodach. Bentz usiadł na skraju kanapy. Olivia zajęła miejsce na drugim jej końcu. Pies wskoczył na poduszki między nimi, zakręcił się trzy razy i położył. Bentz zadał jej wiele pytań, na które odpowiedziała, ale niczego się nie dowiedział.

-Nie masz pojęcia, kto to jest? Nie znasz tej kobiety, którą szpiegował?

- Nie, widziałam ją tylko z tyłu. Biegła, i miałam wrażenie, że jest młoda. Szedł za nią jakimś alejkami, których nie rozpoznałam, obok dużych budowli, w kierunku centrum handlowego. Nie rozpoznałam tego miejsca - przyznała. - Kobieta weszła do baru. Przez moment widziałam neon: różowy kieliszek martini.

To już jest coś.

- Tu są setki barów.

-Nie jestem nawet pewna, czy to było w Nowym Orleanie.

- A gdzie?

- Nie wiem. - Pili kawę, Bentz zadawał pytanie po pytaniu, starając się naprowadzić ją na myślenie o wizji, o rodzinie, ojej „darze”. Nic to nie dało. Zadzwoiła jego komórka.

- Dostałem twoją wiadomość - powiedział Montoya. - Co jest? Bentz wyjaśnił, a Montoya zaklął pod nosem.

- Wygląda na to, że będzie kolejne.

- Miejmy nadzieję, że nie. Tym razem nie widziała morderstwa, tylko polowanie.

- Wystarczy - mruknął Montoya. - Widziała już wcześniej, jak polował?

-Nie pytałem.

- A więc teraz ma więcej obrazków. Może to dobrze. Może zobaczy coś istotnego, nim morderca znów uderzy.

Montoya też już wierzył Olivii. Musiał. Nie mieli innych śladów. Bentz się rozłączył, zadał Olivii jeszcze kilka pytań, i - pewien, że się uspokoiła i że jest bezpieczna - postanowił wyjść.

- Możesz dzwonić, kiedy zechcesz - powiedział, idąc do drzwi. Uśmiechnęła się lekko.

- Dobrze.

- I założę sobie system alarmowy. — Siegnął do klamki i zawahał się. - Byłbym dużo spokojniejszy.

- Martwisz się o mnie? - spytała rozbawiona.

-Tak.

- Bo jestem jedynym świadkiem? - Flirtowała z nim.

- Właśnie - potwierdził. Olivia z powątpiewaniem uniosła brwi. — Poza tym nie chciałbym, żeby coś się stało temu zgrabnemu tyłczkowi. Roześmiała się.

- A reszta?

- Samo przez się wiadomo.

-Nieży z ciebie podrywacz, Bentz.

- Staram się. - Otworzył drzwi, znów się zawahał i, wiedząc, że robi błąd, mruknął: - Do diabła! - I wziął jawnie ramiona. Schylił się i mocno pocałował, podnosząc w górę. Kiedy stawiał ją na podłodze, nie mogła złapać tchu. - Nie drażnij się ze mną, Benchet - powiedział, mrugając. -I porządnie zamknij drzwi.

Olivii kręciło się w głowie. Patrzyła, jak wsiada do dżipa, a potem zamknęła drzwi i zasunęła zasuwę. Oparła się o drewniane drzwi, zastanawiając się, dlaczego go sprowokowała.

Bo jesteś sama i się boisz, a Rick Bentz jest cholernie seksowny. Usłyszała silnik dżipa, który powoli ucichł. Dom nagle stał się pusty. Już nie taki przytulny.

Nie możesz się w nim zakochać, powiedziała sobie. To niemożliwe. Boisz się, a on jest dużym mężczyzną, silnym, kimś, na kim możesz się oprzeć.

To było to. Kiedy jednak dotknęła czubkami palców warg, jeszcze raz przeżyła pocałunek i z poczuciem klęski zdała sobie sprawę, że oszukuje sama siebie.

Jeśli nie będzie uważała, wmówi sobie, że jest zakochana w policjancie Ricku Bentzu, a to byłoby nieszczęście.

Kristi, potwornie wściekła, piła dmgie piwo. Spotkała w barze znajomych i udawała, że nie jest zła, ale kiedy zobaczyła Briana, idącego między stolikami w jej stronę, odwróciła się i wyjrzała przez okno.

-Nie oglądaj się teraz - szepnęła Mariannę, zaciągając się papierosem. - Ale idzie tu ktoś, kto będzie przeproszał.

-Niech się udławi swoimi przeprosinami.

- Daj człowiekowi szansę i go wysłuchaj - powiedziała Jennie, biorąc garść precli.

- Kristi? - Brian miał głęboki głos. Poczula jego palce na ramieniu i wzdrygnęła się. - Musimy porozmawiać.

Wciąż wściekła, odwróciła twarz w jego stronę i napiła się piwa.

- O czym?

- Dlaczego się spóźniłem.

-Nie spóźniłeś się. W ogóle nie przyszedłeś.

- Przyszedłem. Jakies pięć minut po twoim wyjściu. Pomyślałem, że tu cię znajdę.

-Jak?

- To popularny bar. - Lekko pochylił się w jej stronę. Miał mokrą twarz i pachniał pizmową wodą po goleniu i deszczem. - Zepsuł mi się samochód.

- Mogłeś zadzwonić.

- Wyczerpała mi się bateria w komórce. Akurat, kiedy dzwoniłem po pomoc drogową.

- Są budki telefoniczne.

- Nie sądziłem, że aż tak się spóźnię. - Rzucił okiem na jej dwie koleżanki, które uśmiechały się pod nosem i beczelnie na niego gapiły. -Chodź... Zapraszam cię na kolację.

- Chyba zostanę tutaj. Uśmiechnął się krzywo.

- Chcesz mnie ukarać, co?

- Zasłużyłeś.

- Daj mi szansę, żebym mógł odpokutować.

-Nie.

Mariannę zgasiła papierosa.

- Daj człowiekowi szansę, Kristi.

Kristi spojrzała na nią zmrużonymi oczami.

- Wiesz co - zaproponował Brian - zagrajmy w strzałki albo w bilard. Ty wybierasz. Jak wygram, pójdziemy na kolację.

- A jeśli ja wygram? - spytała Kristi.

- To wyznaczysz mi karę.

- To może się okazać niebezpieczne - powiedziała, już nie taka zła. On jest fantastyczny. - Mam bujną wyobraźnię. Mogłabym cię upokorzyć. Coś zabłysło w uwodzicielskich oczach Briana.

- To może przegram celowo. Kristi się roześmiała.

- W porządku. - Dopiła piwo i wstała, czując lekki zawrót głowy.

- Uważaj - ostrzegła go Mariannę. - Ona jest naprawdę dobra.

- Ja też - zapewnił Brian.

Kristi podeszła do tablicy i wzięła garść strzałek.

Miała dziwne uczucie, że oprócz koleżanek obserwuje ją ktoś jeszcze. Rozejrzała się po barze. Paru facetów grających w bilard spojrzęło ' na nią przelotnie, a barman przyglądał jej się tak, jakby nagle zwątpił w jej fałszywy dowód tożsamości, ale nie było w tym nic złowieszczonego. Mimo to nie mogła się pozbyć niepokojącego uczucia.

-Jeszcze jedno.

-Tak?

Brian złapał ją za rękę i mocno ścisnął. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że jest od niej o tyle wyższy.

- Jedna zasada.

- A, to teraz mamy zasady? Świetnie. Co takiego?

-Jeśli przegram, choć wcale nie zamierzam, nie możesz mnie poprosić, żebym ci zmienił stopień z zajęć u Zarostera. Podobasz mi się, ale nie będę ryzykował przyszłością. Z filozofii sama musisz dawać sobie radę.

- O, cholera, a ja myślałam, że mam szansę na piątkę.

- Mówię serio.

- Dobrze, ale poza tym wszystko jest dozwolone? - upewniła się. Rozluźnił palce i lekko pogłaskał japo rękę.

- Tak jest - powiedział. Ten ognik w jego oczach znowu się pojawił. - Absolutnie wszystko.

Rozdział 15

Bentz przez całą niedzielę pracował nad sprawą. Skontaktował się z kolegami na dyżurze. Na nadbrzeżu członkowie gangu pobili się nożami, a niedaleko lotniska ktoś potrącił przechodnia i uciekł z miejsca wypadku. Policja nie dostała meldunku o morderstwie, który sugerowałby, że zabójca z wizji Olivii Benchet znów działał.

Z drugiej strony, nie widziała morderstwa, a jedynie mężczyznę, który śledził młodą kobietę.

Sprawdził inne kontakty, porozmawiał z ludźmi, którzy oglądali wcześniej dom przy Bayou St. John i skonfrontował osoby widoczne na kasecie wideo Carla Hendersona z listą świadków pożaru. Nie zidentyfikowano tylko trzech osób - młodej pary i mężczyzny w cieniu.

Policja w Lafayette przeprowadziła rozmowę z Reggie Benchetem i miała mu przefaksować raport, ale nic nie wskazywało na to, że Reggie był w Nowym Orleanie w czasie ostatniego zabójstwa, choć jeszcze sprawdzali jego alibi.

Bentz sporządził listę firm specjalizujących się w neonowych reklamach i drugą- okolicznych barów. Może ktoś zapamiętał różowy kieliszek martini, chociaż ostatnie widzenie Olivii nie miało nie wspólnego z morderstwem.

Na razie.

Bentz miał także listy kościołów i pracujących w nich księży.

Zmęczony papierkową robotą i śladami, które prowadziły donikąd, zrobił sobie przerwę i poszedł poćwiczyć do pokoju Kristi. Rozebrany do szortów ze złością walił w skórzany worek. W ten sposób wyrabiał mu-skuły, odreagowywał stres i przez ostatnie pół roku stracił osiem kilo. Stał się tak wysportowany, że nie znosił samego siebie.

Nie pił.

Nie palił.

Nie zadawał się z kobietami.

Chyba żeby liczyć Olivię Benchet, którą poznał przed paroma dniami i raz pocałował. To był fantastyczny pocałunek. Ale nie można tego nazwać związkiem.

Pot spływał mu po plecach. Prowadził się jak ksiądz. Montoya zarzucił mu brak życia towarzyskiego i, prawdę mówiąc, młody byczek miał rację.

- Cholera! - mruknął Bentz i zaczął uderzać z jeszcze większym zacięciem. Ciężko dysząc, oparł się o worek i kołysał lekko razem z nim, dopóki nie złapał tchu. Rozejrzał się po pokoju. Oprócz worka pokój był taki, jakim zostawiła go Kristi - z podwójnym łóżkiem, niebieską kapą i niebieskimi zasłonami. Pachniało kurzem i Bentz postanowił pójść na całość. Wyrzucić kurze i przejechać odkurzaczem, może nawet postawić na stoliku koło łóżka bukiet kwiatów. Spojrzał na stolik i zmarszczył brwi na widok zdjęcia Jennifer.

Zdjęcie, zrobione dawno temu i lekko wyblakłe, przedstawiało je obie. Kristi miała wtedy jakieś siedem lat, a fotografię zrobiła jedna z przy

jaciółek Jennifer, gdy matka z córką wysiadały z kolejki górskiej. Miały zaczerwienione twarze, rozwiane włosy i błyszczące oczy. To śmieszne, ale nie czuł już gniewu, tylko głęboki smutek. Ich małżeństwo było, oczywiście, od początku skazane na niepowodzenie. Jennifer cierpiała jako żona policjanta, przesadnie ambitnego i spędzającego długie godziny poza domem. Wyczuwał coś niepokojącego od zarania ich wspólnego życia, ale myślał, że wszystko jakoś się ułoży. Nie widział znaków ostrzegawczych, dopóki Jennifer, zapłakana, w ósmym miesiącu ciąży, nie potrafiła już dłużej udawać i powiedziała, że to nie jest jego dziecko.

Nigdy w życiu nie czuł takiego bólu. A kiedy się dowiedział, kim był ten skurwysyn... Nic dziwnego, że zaczął pić. Jasne, przyjął Kristi jak własną córkę, zdeterminowany od momentu, gdy ją zobaczył w szpitalu, że wychowa ją jak swoje dziecko, lecz brak zaufania głęboko się w nim zakorzenił. Małżeństwo stało się jedynie pustą skorupą tego, czym powinno być. Bentz spędzał długie godziny w pracy albo w barze, niedaleko swojego komisariatu w Los Angeles. Wmówił sobie, że robi dobrze, ale teraz nie był już tego taki pewien. Nigdy nie zapomniał zdrady żony i nigdy jej naprawdę nie wybaczył. Nawet gdy zmarła. Teraz jednak mógł spojrzeć na wszystko z dystansu i nie czuł już tak silnych emocji. Jennifer nie żyła, a Kristi, bez matki, czuła się jeszcze bardziej porzucona i jeszcze bardziej się przeciwko niemu buntowała.

Może teraz, kiedy nie mieszkają już pod jednym dachem, jej bunt któregoś dnia złagodnieje? Jeśli oboje potrafią powściągać swoje charakterki i ostre języki. Wyszedł z pokoju i poszedł pod prysznic. Tak, pomyślał, na pewno kupię kwiaty.

Tymczasem praca czekała.

W Trzecim Oku, w niedzielę przed Świętem Dziękczynienia, panował spokój. Olivia obsłużyła kilku klientów, uzupełniła towar na półkach, odkurzyła niektóre przedmioty i wzdłuż półek i szafek rozwiesiła złotą lametę. Gapily się na nią głowy aligatorów ze szklanymi oczami, świece z dziewiczymi knotami stały na baczność, a lustra odbijały jej postać, gdy weszła na stołeczek, rozwieszając błyszczącą dekorację. Błyskały piramidki New Age, książki zbierały kurz, a z sufitu zwisały lalki wudu i ozdoby choinkowe. Przedmioty kultu religijnego leżały pochowane w szufladach i skrytkach starych biur, stały na stołach, toaletkach i maszynach do szycia, które służyły jako miejsca do eksponowania towaru. Określenie „eklektyczne” nie obejmowało bogactwa oferowanych przedmiotów.

O czwartej Tawilda, która wróciła z przerwy na kawę i papierosa, namówiła ją, żeby chwilę odpoczęła. Tawilda była chudą jak trzcina Murzynką. Nosiła sari w jaskrawych kolorach i wplatała barwne koraliki w cienutkie warkoczyki, splecione z długich włosów. Z wystającymi kośćmi policzkowymi i mnóstwem bransoletek była równie egzotyczna jak większość przedmiotów w sklepie.

- Poradzę sobie przez parę minut. Idź, odetchnij świeżym powietrzem - powiedziała, wchodząc na zaplecze przez kurtynę z koralików. Po chwili wróciła bez płaszcza i torebki. Koraliki znów zatańczyły.

- Idź. Dam sobie radę. Olivia potrzebowała oddechu.

- Wróć za piętnaście minut. Tawilda machnęła ręką.

- Daj spokój. Wróć za dwadzieścia albo za pół godziny. Dziś nikt nic nie kupuje. Na pewno nie zginę od nadmiaru klientów.

- Skoro tak mówisz...

Olivia wzięła kurtkę i torebkę i wyszła ze sklepu. Po drugiej stronie był Jackson Square. Żelazny płot otaczał zadbane trawniki, a ścieżki spotykały się u stóp pomnika Andrew Jacksona. Park Olivii nie interesował. Ciśniej otuliła się kurtką i szybko poszła do katedry świętego Ludwika. Na ulicy było niewiele przechodniów, a wiatr znad Missisipi był zimniej-szy niż zwykle. Nad placem fruwały gołębie, a samotny trębacz grał bluesa na rogu ulicy. Obok leżał otwarty futerał.

Katedra z trzema imponującymi wieżami, wbijającymi się ostro w ciemność, była nie tylko wspaniałą budowlą, lecz także najstarszą czynną katedrą w Ameryce, dwukrotnie przebudowywaną i, zdaniem Olivii, centrum katolicyzmu w Nowym Orleanie.

Weszła do środka, gdzie wysokie łuki i witrażowe okna otaczały nawę. Rzuciła okiem na ołtarz i wmiszała się w tłumek turystów przy wewnętrznych drzwiach. Kilkoro najbardziej pobożnych klęczało w pierwszych ławkach, ze schyłonymi głowami. Wysoki mężczyzna w płaszczu przeszedł obok i ich oczy spotkały się na moment.

- Leo? - zawołała Olivia, gdy pospiesznie ją minął. Czyżby zaginiony mąż Sary Restin był tutaj, w Nowym Orleanie? Niemożliwe. Zrobiła krok naprzód, aby pójść za nim, ale szybko wyszedł z kościoła.

- Liwie? - usłyszała cichy głos.

Olivia zmartwiła na dźwięk głosu matki. To też przecież nie było możliwe. Bemadette mieszka w Houston.

Lekki dotyk ręki sprawił, że o mało nie wyskoczyła ze skóry. Spojrzała na kobietę, która ją urodziła, bledszą niż pamiętała, w pelerynie do

kostek i botkach na wysokich obcasach. Bemadette schowała włosy pod kapeluszem z szerokim rondem, a oczy ukryła za ciemnymi okularami. Olivie zamurowało. Nie widziała matki od pogrzebu babki.

- Co ty tu robisz?

- Szukam ciebie - odparła lekko zadyszana Bemadette. - Wszłam do sklepu i ta czarna dziewczyna powiedziała, że właśnie wyszłaś. Pobiełam za tobą i na szczęście zobaczyłam, jak tu wchodzisz.

-Ale dlaczego...?

- Chodźmy na kawę, czy coś takiego.

- Ja muszę wracać do pracy, mammo.

- Ta dziewczyna powiedziała, że przypilnuje sklepu. Liwie, to jest naprawdę ważne,

I pewnie było, bo inaczej matka by się tu nie zjawiała. Olivia wyszła z kościoła ze swoją matką, kobietą, której prawie nie znała, nie rozumiała i chyba nawet nie lubiła. Jeśli zaś chodzi o miłość, cóż, relacja matka-córka była dość niesprecyzowana. Zimny powiew wiatru zapadł jej w duszę. Jako dziecko Olivia pragnęła aprobaty matki, odrzucała ją jako nastolatka, marzyła o akceptacji jako dwudziestolatka, a teraz zrozumiała i przyjęła do wiadomości fakt, że Bemadette Dubois Benchet, plus te wszystkie dodatkowe nazwiska, nie potrafi dawać, ani prawdopodobnie przyjmować, bezwarunkowej miłości. Tej koncepcji Bemadette zwyczajnie nie pojmowała.

Znalazły kawiarnię, w której podawano kawę i alkohol przez cały dzień. Muzyk w kącie grał jednocześnie na harmonijce i na gitarze smutną melodię. Prosto z serca. Bernadette zdjęła kapelusz, powiesiła go razem z zakietem na belce oddzielającej boksy i usiadła naprzeciwko córki. W migoczącym świetle lampy sztormowej jej długie ciemne włosy przybrały odcień miedzi. Nie zdjęła ciemnych okularów.

- Co u ciebie, Liwie?

- Wszystko w porządku.

- W szkole dobrze ci idzie?

- Nie najgorzej, A u ciebie? Matka uśmiechnęła się blado.

- U mnie też. Wiem, że byłaś bardzo związana z babką i ciekawa jestem, jak się teraz miewasz.

-Brak mi jej.

- Wiem. - Bernadette skinęła głową. - Wyobraź sobie, że mnie też. Była... wyjątkowa. I te jej głupstwa z kartami tarota i czytaniem w myślach...

Zjawił się kelner i zamówiły kawę z mlekiem i specjalne nowoorle-ańskie ciastka.

- Nie mam dużo czasu.

Bemadette skinęła głową i zacisnęła usta, jakby teraz, kiedy Olivia chciała jej wysłuchać, nie była pewna, czy ma ochotę jej się zwierzyć.

- Co robiłaś w katedrze?

- Rozglądałam się.

- Nie przypominam sobie, żebyś była szczególnie religijna.

- Może mi się odmieniło - ucięła Olivia. Kelner przyszedł do ich boks z dużą tacą. Olivia milczała, gdy je obsługiwał. Dopiero kiedy postawił na stoliku kawę i koszyk z ciastkami obsypanymi cukrem pudrem powiedziała: - O co ci chodzi, Bemadette?

Matka odetchnęła głęboko. Postukała czubkami palców w blat stolika.

- Twój ojciec się do mnie odezwał - szepnęła. W kącikach ust pojawiły się zmarszczki.

„Dawca spermy”. Super. Olivia zeszywniała na samą myśl o człowieku, który był jej biologicznym ojcem.

- Ach, tak? Czego chciał? - Upiła łyk kawy. Muzyk skończył grać i klienci zaczęli bić brawo. - Wiem. Pieniędzy.

- Też. Tak jak zawsze. - Bemadette wzięła ciastko i rozerwała je na dwie części. - Tym razem chodzi o coś więcej. Chce się z tobą zobaczyć. Olivia o mało się nie zakrztusiła.

- Nie żartuj.

- Naprawdę. Dzwonił w zeszłym tygodniu.

- Myślałam, że wciąż siedzi w więzieniu - powiedziała z goryczą Olivia.

To, że ojciec odsiadywał wyrok i nikt jej o tym nie powiedział, nadal ją nurtowało. Dowiedziała się od „przyjaciółki”. Connie Eamhardt z radością zdradziła jej tę tajemnicę, kiedy były w gimnazjum. Babka Gin i Bemadette wolały powiedzieć jej, że Reggie Benchet przebywa gdzieś na krańcach świata jako żołnierz, niż przyznać, że siedzi w więzieniu stanowym Missisipi. Za napad z bronią w rękę. Napad i morderstwo.

- Wyszedł pierwszego stycznia. Zadzwoił do mnie parę miesięcy temu. Jeb się dowiedział i miałam za swoje.

Wykrzywiła błyszczące usta i w miękkim świetle Olivia zauważyła, że matka ma grubszą niż zwykle warstwę makijażu, zapewne ze względu na wiek. Wprawdzie nadal była piękna, ale nie mogła zatrzymać czasu, który zostawiał na jej twarzy zmarszczki i przebarwienia.

- Reggie znikł na jakiś czas, lecz teraz znów wrócił - ciągnęła Bemadette, skubiąc ciastko. - W ciągu ostatnich dwóch tygodni dzwonił trzy razy i upiera się, że chce się z tobą zobaczyć. Ma teraz tylko ciebie.

- Nie ma mowy. - Olivia pokręciła głową i odsunęła kawę. - Porzucił cię, mnie i Chandrę, zabił kogoś i skończył w więzieniu. Na litość boską, mato, na co zasłużył. Mnie nie interesuje. Wyobraź sobie, że mam własne życie. I sprawy, którymi muszę się zająć.

- I dlatego przyszedłeś do katedry?

Olivia nie była w stanie zaufać matce. Robiła to w dzieciństwie i reakcje Bemadette tylko pogarszały sprawę.

- Każdy czasem potrzebuje Boga - wykręciła się i spojrzała na zegarek. - Powinam już iść.

- No, dobrze, ale muszę ci powiedzieć, że dałam Reggiemu twój numer.

- Co takiego?

- Ma do tego prawo - upierała się Bemadette. - Jest twoim ojcem.

- Chciałaś, żeby się odczepił.

Bemadette zeszywniała i choć Olivia nie widziała jej oczu, skrytych za ciemnymi szklami, wiedziała, że w zielonych źrenicach błyszczał gniew.

- Odsiedział wyrok i spłacił dług społeczeństwu. Ma prawo...

- A ja, Bemadette? Ja nie mam żadnych praw?! - krzyknęła i zamilkła. Tym argumentem niczego nie wskóra. Hamując wściekłość, zmieniła temat. - Dlaczego ciemne okulary? Już się zmierzcha, a w tej kawiarni, też nie jest jasno. Dlaczego nosisz ciemne okulary?

» Bemadette zignorowała jej pytanie, zaciskając usta. Jednak po chwili westchnęła.

- Powinam się była spodziewać po tobie takiej reakcji. Myślałam, nie, miałam nadzieję, że może wydorosłaś, Liwie. Myliłam się.

Tylko tak dalej, pomyślała Olivia. Pamiętała, że matka zawsze się kłóciła, zawsze nacierała, zawsze uważała atak za najlepszą obronę.

- Nie wiem, po co straciłam tyle czasu. No, ale powiedziałam ci o prośbie Reggiego. Teraz wszystko zależy od ciebie.

- Musisz przyznać, że nie był wzorowym ojcem...

- Obie to wiemy. Przekazałam ci wiadomość i tyle. Wstała energicznie i zaczęła szukać portmonetki.

- Ja zapłacę - zaproponowała Olivia, ale Bemadette nie słuchała. Znalazła dwudziestodolarowy banknot i rzuciła na stół.

- I jeszcze jedno, Olivio - dodała lodowato. - Odchodzę od Jeba. Nie powinno jej to dziwić, bo matka nie dość, że miała okropny gust, jeśli chodzi o mężczyzn, to w dodatku uważała, że musi za nich wychodzić za mąż, po czym się rozwodziła, gdy mijała pierwsza miłość. Zdaniem Olivii matka sądziła, że gdyby znalazła właściwego partnera, żyłaby

długo i szczęśliwie, ale, jak na razie, każdy z jej książąt okazywał się żabą. Albo potworem.

- To chyba dobry pomysł.

-Mam... Mam nadzieję. - Bemadette wciąż stała, ale jej gniew minął.

- Jest jakiś powód?

- Nie układa nam się. - Jej dolna warga zadrżała, co zupełnie nie było w stylu matki. -1 jest coraz gorzej. Dowiedział się, że go oszukałam w kwestii spadku.

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytała Olivia, chociaż wcale nie chciała wiedzieć.

- Żeby coś mieć. Coś własnego.

Bemadette przelknęła ślinę i wsunęła włosy pod kapelusz. W tym momencie światło się zmieniło i Olivia pod grubą warstwą pudru zobaczyła siniak na policzku.

- Mamo? - spytała ze strachem.

Bemadette gwałtownie podniosła głowę. Olivia od lat się tak do niej nie zwracała.

-Co?

- Co się dzieje? - Olivia wstała i spojrzała uważnie na policzek matki. Siniak. Jakby Bemadette o coś się uderzyła. Albo ktoś ją uderzył.

- Zdejmij okulary.

- Nie, nie teraz.

Olivia zrobiła to za nią. Wprawdzie matka się cofnęła, ale Olivia złapała za oprawkę i ściągnęła okulary.

- O, Boże, uderzył cię - wycedziła ze złością. Bemadette miała zapuchnięte, podbite i przekrwione oczy.

- Nic mi nie będzie.

- Zwariowałaś? - wybuchła Olivia. - Nie możesz tak mówić! Ten skurwysyn powinien trafić do więzienia. To sprawka Jeba, prawda? Dlatego chcesz od niego odejść.

- Muszę już iść - powiedziała Bemadette. — A ty się spóźnisz do pracy.

- Do diabła z pracą!

Matka chciała odejść, ale Olivia złapała ją za łokieć. Klienci przy sąsiednich stolikach umilkli i przyglądali im się z ciekawością.

- To jest czynna napaść. Musisz pójść na policję. Musisz złożyć doniesienie. Znam gliniarza, który...

- Nie wybieram się na policję, Liwie.

-Ale ten łobuz...

- Ciii. To mój problem. Dam sobie radę - stwierdziła Bemadette, osuwając ciemne okulary na złamany nos. - Ty pomyśl o ojcu, dobrze? *ile rób scen.* - Wyszarpnęła rękaw z palców Olivii i pospiesznie, z opuszczoną głową, wyszła przez oszklone drzwi.

- Wszystko w porządku? - spytał nerwowy drobny mężczyzna z cienkim wąsikiem, który siedział przy sąsiednim stoliku. Szybko zamrugał oczami.

- Świetnie. Wszystko świetnie - odparła Olivia, choć nie wierzyła w własne słowa. Dziś nic nie było świetnie. Zupełnie nie.

Rozdział 16

W | niedzielny wieczór zaledwie paru studentów siedziało nad książ-|
karni w bibliotece. Ci najbardziej wytrwali. Albo ci, którzy nie Imające ze sobą
zrobić, pomyślała Olivia, zakładając książkę i prostując |się. O szóstej
zamknęła sklep i pojechała na uniwersytet, gdzie spędziła Itrzy godziny na
nauce, starając się zapomnieć o spotkaniu z matką i prze-Ikonać samą siebie,
że nie ma żadnego wpływu na problemy Bemadette Iz jej aktualnym mężem. I
A może ma?

I Czyżby matka przyjechała do Nowego Orleanu nie po to, by jej opo-
lwidzieć o ojcu, lecz żeby usiłować naprawić złe stosunki między matką la
córką? Nie dałaś jej żadnej szansy, odzywało się jej sumienie. Katolic-Ikie
wychowanie. Dzięki babce. Matka z pewnością nie miała z tym nic I
wspólnego.

| Zatrzymała się przy biurku bibliotekarki, aby wypożyczyć do domu | dwie
książki na temat psychologii socjopatów i przypomniała sobie ostatnie
spotkanie z matką. Na pogrzebie babki Gin.

| Był parny i duszny dzień, gorące powietrze przyklejało się do skóry. |
Bemadette, siedząc na mszy żałobnej, trzymała się na dystans, ale nie | było w
tym nic dziwnego. Wysłuchiwała mszy, rzuciła różę na trumnę babski, przyszła
do domu, gdzie zeszła się daleka rodzina i kilkoro przyjaciół, ale głównie
trzymała się na uboczu, paląc jednego papierosa za drugim na tylnej werandzie
i popijając niekończącego się drinka. Wydawała się zatopiona w myślach i
kiedy Olivia zagadnęła ją parę razy, była wyraźnie | przygaszona. Spod
czarnego welonu spływały łzy.

Dopiero teraz Olivia zdała sobie sprawę, że matka przez cały czas nie zdjęła kapelusza z czarną woalką, żeby nie pokazywać siniaków.

Idąc do samochodu, Olivia znów poczuła wyrzuty sumienia. Wieczór był chłodny, zima wciąż wisiała nad miastem. Na terenie uniwersytetu kręciło się niewielu studentów. Przechodzili pospiesznie w dwu- i trzyosobowych grupkach. Tylko Olivia szła samotnie i, po raz pierwszy w życiu, ją to zaniepokoiło. Nie tyle ze względu na późną porę i sny, lecz dlatego, że prowadziła samotne życie, podczas gdy większość ludzi łączyła się w pary.

Śmieszne. Wystarczyło pomyśleć o matce, o jej przyjaciółce Sarze czy o Tedzie, za którego omal nie wyszła, aby wiedzieć, że lepiej jej jest samej. Dwaj mężczyźni, którzy spodobali jej się w ciągu ostatnich paru lat, to zmęczony życiem gliniarz i ksiądz. Dlaczego?

To kwestia świąt. Podczas świąt wszystkim trochę odbija. Wtedy jest najwięcej samobójstw.

Postawiła kołnierz kurtki. Z jednego z otwartych okien akademika dobiegły ją dźwięki muzyki, z innego - śmiech.

I co z tego, że jesteś sama? I dlaczego zawsze podobając! się faceci, którzy nie są do wzięcia? Bo tak naprawdę nie chcesz się angażować. Wiesz, Liwie, sama jesteś kandydatką do badań psychologicznych... Albo dobrym przykładem bohaterki tych beznadziejnych talk-show. *Kobiety, które kochają mężczyzn, którzy nie mogą ich kochać, bo są żonaci ze swoją karierą.*

- Idiotka - mruknęła, idąc ścieżką między drzewami. Tu było jeszcze ciemniej i była zupełnie sama. Wszyscy studenci znikli w akademikach. I co z tego? Przyspieszyła kroku.

Klik, klik, klik.

Odgłos dobiegał z tyłu.

Jej serce zamarło na moment.

To nic. To tylko wybuchała wyobraźnia.

Obejrzała się przez ramię na ciemne krzaki otaczające budynki. Nikogo.

Przestań, powiedziała sobie. Nie masz się czego bać.

Znów jednak usłyszała ten dźwięk i zaczęła biec.

- Hej! Uwaga! Z prawej! - zawołał szorstki głos.

Skoczyła w lewo, na parking.

Z ciemności wyjechał rowerzysta i przemknął obok niej w błysku srebrnych szprych i jaskrawego kasku, odbitych w niebieskim świetle lamp. Klik, klik, klik. Rowerzysta zmienił bieg i znikł w ciemności.

A więc to to! Dźwięk, który słyszała setki razy.

Wariujesz, Benchet, pomyślała, uspokojona widokiem swojego samochodu, jedyne w tej części parkingu. Przebiegła przez popękany asfalt, otworzyła samochód i wślizgnęła się za kierownicę. Weź się w garść! Włączyła silnik i nacisnęła na gaz. Torba z zakupami, które zrobiła wcześniej, przewróciła się. - Super.

Kilka minut później była na autostradzie wiodącej za miasto. Nastawiła radio i usłyszała głos Trish LaBelle, dającej rady słuchaczom. Trish najpierw pracowała w WNAB, a potem przeszła do WSLJ. Jej program zaczynał się wczesnym wieczorem i teraz właśnie się kończył. Potem Gator Brown puszczał lekki jazz, który przechodził w popularny nocny (program doktor Sam. Audycja Trish była inna. Wcześniej nagrywała pytania od słuchaczy i przeplatała pytania i odpowiedzi muzyką.

Olivia słuchała przez kilka minut, ale przez cały czas myślała o tym, co jej powiedziała Bemadette. Że Reggie Benchet chce się z nią spotkać. Dlaczego ojciec szuka kontaktu teraz, po tylu latach? Dlaczego? [Zjechała z autostrady. Zaczęło padać, krople błyszczały w świetle reflektorów. Ledwo pamiętała ojca i nie chciała mieć z nim do czynienia. Pogrążona w myślach, zjechała krętą wiejską drogą i zatrzymała się dopiero przy końcu swojego podjazdu, by wziąć pocztę. Co powie, gdy Reggie Benchet zadzwoni? A co ma powiedzieć? Kiedy ruszyła, światła reflektorów oświetliły grube pnie cyprysów i dębów, otaczających dom, a kiedy samochód przejechał mały mostek, ujrzała niewielki budynek, który nazywała domem przez tyle lat. Dom pozbawiony ojca, a często i matki.

Miała jednak babkę. Boże, jak bardzo brakowało jej teraz tej drobnej kobiety.

Zaparkowała, pozbierała rozrzucone zakupy i włożyła je do papierowej torby razem z pocztą. Kiedy szła do drzwi, słyszała przeraźliwe szczekanie Hairy'ego S. Dziś jego idiotyczne zachowanie wcale jej nie przeszkadzało.

Wciąż myślała o wydarzeniach ostatnich kilku dni. Przez głowę przelatywały jej obrazy wypalonego domu, w którym zginęła dziewczyna, księdza z długim mieczem, ojca Jamesa wyprostowanego na drabinie, Posiniaczonej twarzy matki. I pocałunek Bentza, tutaj, w tym domu. Długi namiętny pocałunek, który dotknął jej serca i przyprawił o dreszcze.

Boże, jest niepoprawną romantyczką. Przecież chodzi o gliniarza, faceta od morderstw, który traktuje ją jak wariatkę.

Położyła pocztę na stole w pokoju i przywitała się z psem, gładząc go i drapiąc za uchem, gdy kręcił się jak oszalały przy jej nogach.

- Chcesz wyjść? - spytała, wieszając płaszcz. Pies zaskomlał. Otworzyła drzwi balkonowe wychodzące na tylną werandę. Pies, szczekając wściekle, wypadł na dwór, tropiąc jakąś wiewiórkę, oposa czy co tam mieszkało w krzakach. - Uważaj na krokodyle, dobrze?! - zawołała za nim i mrugnęła do Chii. - To głupek, nie?

Papuga zaskrzeczała i przeskoczyła z jednej żerdki na drugą. Jej oczy rozszerzyły się i znów zwały się nad jaskrawym, czerwono-złotym upierzeniem wokół dzioba.

- My, kobiety, jesteśmy znacznie mądrzejsze - powiedziała Olivia. Chia wydała z siebie uspokajający dźwięk, nastroszyła pióra i pokazała czarny język. - Znacznie.

Akurat. To skąd to całe zamieszanie z mężczyznami w twoim życiu? Zamiast słuchać natrętnego głosu w głowie, Olivia odsłuchiwała automatyczną sekretarkę. Pierwszy telefon był od przedsiębiorcy, z którym skontaktowała się w sprawie alarmu. Obiecał, że przyjedzie i przedstawi jej ofertę w poniedziałek po Świącie Dziękczynienia. Druga wiadomość była od Sary.

- Olivio, zadzwoń, jak będziesz miała chwilę czasu. Nadal nie mam wiadomości od Leo i wiem, że rozmawiałam z tobą zaledwie parę dni temu... Przymuszczałam nic mu się nie stało,, ale znalazłam w łóżku kolczyk... Możesz to sobie wyobrazić? W moim łóżku? Cholera! Co za pętak! Miałaś rację... Wiem, wiem. - Olivia usłyszała ból w głosie przyjaciółki. Upokorzenie. - No, to zadzwoń, jak będziesz mogła, dobrze?

Po telefonie Sary nastąpiła długa pauza, jakby ten, kto dzwonił, nie wiedział, co powiedzieć i w końcu odłożył słuchawkę. To dziwne, pomyślała i jeszcze raz odsłuchiwała taśmę. W tle grała muzyka. Jakaś znajoma piosenka? Tak, z przeszłości, piosenka Springsteena... Poznała. *Tunel miłości*, ulubiony utwór Teda.

- Do diabła! - Poczula zimny dreszcz. Czy były narzeczony ją znalazł? Był okropnie zły, kiedy go zostawiła, pojechał za nią do Tucson, ale w końcu się odczepił. Kiedy go postraszyła, że poskarży się policji.

Zignorowała to nagranie. Następny telefon był od sekretarki doktora Leedsa z pytaniem, na kiedy chce się umówić. Ostatni dzwonił Bentz z prośbą, aby zadzwoniła do niego rano do komisariatu. Jego telefon dotyczył sprawy służbowej, ale uśmiechnęła się na dźwięk głosu Bentza i odsunęła od siebie dziwne uczucie spowodowane głuchym telefonem.

- Jesteś głupia - powiedziała na głos i zadzwoniła na komisariat, gdzie powiedziano jej, że Bentz już wyszedł.

Przez moment pomyślała, że mogłaby zadzwonić do niego do domu albo na komórkę, ale zrezygnowała. Spojrzała na zegar. Było za późno,

aby złapać kogoś na uniwersytecie, postanowiła więc zadzwonić na wydział psychologii rano i wykrciła numer Sary. Odpowiedziała jej sekretarka. Nagrała się i zobaczyła, że pies podskakuje szaleńczo przy tylnych drzwiach.

- Już idę. - Otworzyła drzwi. - Głodny? Hairy S zatańczył nad miską. Nasypała mu jedzenia, rozpakowała zakupy i wstawiła mrożone danie do mikrofalówki.

- Indyk w pomarańczach - poinformowała psa. - Tylko sześć gramów tłuszczu.

Hairy, z nosem w misce, chyba jej nie słyszał. Co za dzień, pomyślała, kiedy zadzwonił dzwonek mikrofalówki. Ostrożnie zdjęła plastikowe przykrycie i poczuła zapach pomarańczy. Jeszcze puszka dietetycznej coli i obiad z głowy. Rzuciła okiem na swoje zdjęcie z babką, które wcześniej pokazywała Bentzowi. Nie miała wtedy żadnych trosk i naprawdę nie potrzebowała ojca. Jeszcze nie zaczęła chodzić do szkoły, nikt się z niej nie wyśmiewał, nie dowiedziała się od Connie Eamhardt, że ma ojca kryminalistę.

Prawie nie pamiętała tego „dawcy nasienia”. Pamiętała tylko stare fotografie mężczyzny w mundurze marynarza, przystojnego atlety, który zawrócił w głowie siedemnastoletniej Bemadette Dubois. Niezbyt dużo wiedziała o tym szalonym romansie. Yirginia Dubois była bardzo niezadowolona. Olivia, już jako uczennica szkoły średniej, usłyszała fragmenty rozmowy, nieprzeznaczonej dla jej uszu. Stała przy schodach, z bijącym sercem, z rękami zaciśniętymi na poręczy, wyciążając słuch.

- Porzucił cię, już zapomniałaś? - powiedziała babka, smażąc bekon. Zapach wędzonki rozchodził się po domu, plasterki skwierczały na patelni. -I byłaś w ciąży.

- Nie wiedział... - zaprotestowała Bemadette z płaczem. - Nie powiedziałam mu.

- I bardzo dobrze. Prawda i tak wyszła na jaw. Mówiłam wtedy i powtarzam teraz, że Reginald Benchet to zero i zawsze nim będzie. -Babka westchnęła ciężko. - Zostało ci jedno dziecko, Bemadette - dodała i wrzuciła na gorący tłuszcz garść cebuli. Olivia nie widziała tego, co się działo, ale znała cały rytuał. Plasterki cebuli uderzyły z sykiem o patelnię, rozpryskując tłuszcz. - Zajmij się Liwie. Zapomnij o Reg-giem. Urodził się zły. Naznaczony przez diabła. Mówię ci. Znałam jego matkę i babkę. Obie łatwe, z moralnością ulicznych kocic, a jego oj-^ec... samo zło.

-Nic podobnego - zaprzeczyła Bemadette i wydmuchała nos.

- Właśnie że tak. Widziałam, do czego ten człowiek jest zdolny.

- Jak... Och, na litość boską, nie mów, że miałaś te swoje wizje.

Zapadła cisza i Olivia słyszała jedynie skwierczenie tłuszczu i dziecięcia, który stukał w ścianę domu. Przygryzła dolną wargę i obserwowała koronkowe firanki, trzepoczące na wietrze.

- To wszystko, prawda? - oburzyła się Bemadette. - Myślisz, że coś widziałas, a to ci się tylko przyśniło. Opowiadasz głupstwa i obie o tym wiemy. I to jest szkodliwe dla Liwie. Opowiadasz jej te bzdury i teraz już i ona zaczyna bąkać o tym, że coś widzi... Tak jak zobaczyła, że jej siostra umarła, zanim Chandra utonęła. To twoja wina.

- Dziecko może ma dar.

- Dar, dar, nie mów o tym głupim darze. On nie istnieje, a ja już nie mogę tego słuchać. Spójrzmy prawdzie w oczy. Liwie twierdzi, że widziała, jak Chandra umarła, bo to ona ją zabiła.

- Cicho! Bzdury odpowiadasz.

- Nieprawda. Były się, nie? Liwie była starsza. Większa. Popchnęła Chandrę do brodzika i... i... moja dziecina utonęła. O, tu - powiedziała, łkając. Olivia, ze łzami w oczach, wiedziała, że matka pokazywała oskar-życielsko palcem na podwórko za domem. Nawet teraz, po kilku latach, ta scena była dla niej tak wyraźna, jak tego dnia, kiedy zdarzył się „wypadek”. Wciąż widziała twarz Chandry pod wodą. Źdźbła trawy i martwe żółte owady pływały na powierzchni, a szeroko otwarte niebieskie oczy Chandry wpatrywały się w niebo. Wpadła do basenu, uderzając się w głowę i Olivia nie potrafiła jej uratować.

- Dość! - powiedziała szorstko babka. - To był wypadek. Zapamiętaj to sobie.

- A ty uważasz, że to moja wina? Bo spałam. Boże, mam, przecież wiem, że mnie o to winisz. Widzę to za każdym razem, kiedy patrzę ci w oczy.

- Ty nie spałaś, ale leżałaś kompletnie pijana. Olivia usiłowała cię obudzić. Ach, nieważne... Było, minęło. Tylko nie zrzucaj winy na Oli-vię. A jeśli ona mówi, że ma dar, to ja jej wierzę.

- Mówi tak, żeby ci sprawić przyjemność. To głupie gadanie i mam go dość, słyszysz?! - krzyczała Bemadette. - Czy zdajesz sobie sprawę, jakie miałam okropne życie jako dziecko? Nazywano mnie córką wariatki, dzieciakiem, którego matka przepowiadała przyszłość za mamę dwa dolce. Ludzie uważają cię za stukniętą, a ja nie chcę, żebyś mieszała do tego moją córkę. Przestań jej mącić w głowie, słyszysz?

- Przestaną, kiedy zaczniesz się zachowywać jak matka. Zajmiesz się nią. Przestaniesz latać za każdym facetem, który na ciebie spojrzy.

-Nie zamierzam tego słuchać.

-I nie będziesz ściagała majtek i rozkładała nóg przy lada okazji.

| — Mamo!

Zapadła cisza. Olivie rozbolały palce, tak mocno zaciskała je na poręczy schodów.

- Pilnuj Olivii - ciągnęła babka. Słysząc było skrobanie widelca po żelaznej patelni. - Trzymaj ją z daleka od Reggiego. Nie pozwól mu tu przychodzić.

- Nie przyjdzie. Jesteśmy rozwiedzeni.

- A ty jesteś zaręczona z innym mężczyzną. Lepiej o tym pamiętaj. - Olivia wyobraziła sobie babkę, wymachującą przed nosem córki poczeriałymi zębami widelca z kościanym trzonkiem. - Ja będę robiła to, co uważam dla Liwie za najlepsze. Dopóki mi nie udowodnisz, że potrafisz być dobrą matką.

Wycierając po cichu wierzchem dłoni łzy, Olivia weszła na górę i położyła się na łóżku, przykrywając głowę koldrą.

Nigdy więcej nie widziała już ojca. Ani Bemadette, odkąd ta wyszła za mąż. I nagle ta dzisiejsza wizyta. Bardzo dziwne.

Po umyciu kilku naczyń, Olivia zagwizdała na psa i poszła na górę, do pokoju, w którym spała w dzieciństwie. Pod pochyłym sufitem nadal stało wąskie łóżko z zapadniętym materacem i, po drugiej stronie pokoju, składane łóżko, na którym sypiała czasem matka. Toaletka z okrągłym lustrem stała między drzwiami a szafą, a pod oknem, obok regału z książkami, znajdowało się biurko, przy którym kiedyś odrabiała lekcje. Dziś stał na nim komputer i drukarka.

' Usiadła przy komputerze. Zamierzała się pouczyć. Następnego dnia miała dwie godziny zajęć, ostatnich przed Świętem Dziękczynienia. Kiedy jednak zdjęła z półki podręcznik, poczuła przenikliwie zimno, to samo okropne zimno, które czuła, gdy zginęła tamta dziewczyna. I tego drugiego wieczoru, kiedy dzwoniła do Bentza.

O, Boże, czy on znów to robił? Tak szybko? Usiłując pokonać strach, wyjrzała przez okno w ciemną noc. Cienki rożek księżycy, widoczny między bezlistnymi gałęziami drzew, wisiał nisko na niebie. Może się myli... Przecież niczego nie „zobaczyła”, nie, to było tylko odczucie, ponure wrażenie, które sprawiło, że dostała gęsiej skórki. Poruszenie. Tak, czuła go. Poruszał się.

Znowu polował.

Ciemność zamknęła się nad nim i poczuł, że -jak u każdego nocnego korzenia - wyostrajają mu się zmysły. Wybraniec słyszał bicie własnego

serca, czuł w wilgotnym powietrzu zapach perfum i dymu papierosowego, doświadczył ostrego przypływu pożądania, pulsującego w krwi.

Znajdź ją. Weź ją... Już czas.

Bezszelstnie przemierzał mokry trawnik kampusu. Z otwartych okien akademika płynął jazz. W ciemnych alejkach snuły się grupki studentów, pachniała słodko marihuana. Skręcił za róg, do bardziej wyludnionej części, w tylną uliczkę, używaną czasem jako skrót do miasta.

Włożył rękę do kieszeni, sprawdzając, czy broń jest na swoim miejscu i uśmiechnął się z zadowoleniem. Paralizator. Cichy. Szybki. Doskonały przy porwaniu. Wiedział, że ona nadejdzie właśnie tędy. Słyszał jej rozmowę na zajęciach.

Jednak do zabójstwa musi dojść gdzie indziej... Potrzebuje prywatności, czasu na stworzenie rytuału. Zaszło mu w gardle i poczuł, mimo biegu, rosnącą erekcję. Na samą myśl o tym, że będzie błagała o litość, kiedy jej los jest z góry przesądzony.

Zobaczył ją z daleka.

Samą.

Z pochyloną głową. Padał deszcz i wiał wiatr.

Zacisnął palce na paralizatorze, przekradając się w ciemności, czekając na odpowiedni moment. Obliznął wargi i nakazał sobie cierpliwość. Nie może popełnić błędu. Nie dziś.

Nigdy.

Przecież zawarł pakt z Bogiem.

Podniosła głowę, kiedy się zbliżył. Uśmiechnęła się na jego widok. Zaczęła coś mówić, gdy wyciągnął broń i wystrzelił. Jęknęła. Upuściła torebkę. Złapał ją, nim upadła. Kaptur zsunął jej się z głowy i czarne włosy obramowały śmiertelnie bladą twarz.

- Co...? - szepnęła ochryple. -Nie... - Z trudem chwytła powietrze.

Uśmiechnął się, biorąc ją na rękę i niosąc do starego samochodu.

- Uspokój się, Catherine - szepnął - bo znów będę cię musiał ukarać.

-Nie... Nie jestem...

Postawił ją na ziemi i ponownie poraził. Jęknęła, a on znowu wziął ją na rękę.

-Uważaj. Zachowuj się.

Jęczała cicho, przerażona. Przypuszczalnie zasika mu cały samochód.

Otworzył bagażnik. Walczyła z nim w miarę swych wątłych sił, a to go jeszcze bardziej podnieciło. Pomyślał, że tym razem ją posiadzie, ale wiedział, że Bogu to się nie spodoba.

Musi pamiętać o swojej misji.

- Nie! - zawołała i jeszcze raz użył paralizatora, podniecony, gdy jej [ciało zadrżało i zobaczył wygiętą białą szyję. Będzie doskonałą ofiarą. [Zatrzasnął klapę bagażnika.

Bóg będzie zadowolony.

- Hej, człowieku, nie idziesz do domu? - zapytał Montoya, przechodząc obok pokoju Bentza i wkładając kurtkę. - Jest niedziela wieczór.

-Aty?

| Bentz odchylił się na krzesło, które zaskrzypiało w proteście. Okno [było uchylone i do środka wpadały dźwięki miasta - klaksony samocho-|dów, rozmowy, smutna muzyka saksofonisty. | Montoya uśmiechnął się zabójczo i wszedł do pokoju. Oparł się o biur-|ko Bentza.

- Wolę się bawić.

- Tak ci się zdaje.

- Wiem.

Bezczelny pętał. A raczej młody beczelny pętał. Nauczy się. Mon-|toy jest dobrym gliniarzem, ale nadal na tyle młodym, że wydaje mu się, | że potrafi zmienić świat, że to co robi ma znaczenie, że sprawiedliwość | zwycięży. Jest niegłupi, choć wciąż kieruje się bardziej jajami niż mó-|zgiem.

| - Skoro tak mówisz. Myślałem, że masz dziewczynę... | - Tak, ale to nie znaczy, że nie mogę się rozglądać, prawda? - Montoya spojrział na zegarek. - Skończ już tę robotę. Postawię ci piwo. Nawet to gównie bez alkoholu, choć nie wiem, po co je pijesz.

- I twoje damy miałyby czekać? - Bentz uniósł brew. - Innym razem.

Montoya zacmokał, idąc do schodów.

- Nie wiesz, co tracisz! - zawołał przez ramię i znikł.

- Niech ci będzie - mruknął pod nosem Rick i rzucił okiem na monitor komputera. Pracował nad kilkoma sprawami. W jednej maltretowana kobieta postanowiła nie dać się dłużej bić i zastrzeliła męża z jego wła-^ej strzelby. Inna dotyczyła kolejnego podpalenia, jeden z właścicieli domu zginął w pożarze. I walka na noże między członkami gangu, w wy-^iku której jeden zmarł, a drugi był ciężko ranny.

Ale Bentz teraz nie mógł się skupić na innych sprawach. Kiedy ko-^Jny raz przerzucił dane związane z pożarem, w którym zginęła niezna-i "a młoda kobieta, przypomniał sobie, co wówczas przyszło mu do głowy.

Medaliki z wizerunkami świętych.

To nie było pierwsze miejsce zbrodni, gdzie zostawiono łańcuszek z medalikiem. Znał dwa takie przypadki, choć może były takie, o których nie wiedział. Znalazł odpowiedni plik i po paru sekundach na ekranie monitora pojawiły się zdjęcia. Zacisnął zęby na widok nagiego ciała kobiety, niewiele starszej od jego córki. Ofiarę znaleziono w jej mieszkaniu w Garden District. Data śmierci - dwudziesty drugi lipca. Nazywała się Catherine Adams, ale znano ją także jako Cassie Aleksę lub Księżniczkę Aleksandrę. W zależności od tego, czy ktoś znajajako ładną studentkę z Tulane czy seksowną egzotyczną tancerkę z Bourbon Street, czy prostytutkę. Tak czy inaczej została zamordowana. Udużona. I upozowana. Leżała na brzuchu na dywanie, z rozpostartymi rękami, z głową w pobliżu ściany, na której wisiał krucyfiks. Nogi wskazywały na przeciwną ścianę z portretem Martina Luthera Kinga. Miała ogoloną głowę, kosmyk własnych włosów w palcach, a jej ciało koloru kawy pachniało paczulą.

Na pierwszym miejscu listy podejrzanych figurował Marc Duvall, jej przyjaciel alfons, który od czasu do czasu ją bił. Wyjechał z miasta, może nawet z kraju. Rozpłynął się w powietrzu. Albo też nie żył.

Druga sprawa była jeszcze bardziej zagadkowa. Nieznana z nazwiska ofiara, spalona tak, że nie można jej było zidentyfikować i podrzuciona pod pomnikiem Joanny d'Arc w Quarter. Do tej pory nikt nie rozpoznał tych spalonych szczątków. Przerzucił obrazy na ekranie i, mimo że wiele już widział, widok spalonego zniekształconego ciała u stóp wspaniałego posągu świętej Joanny na koniu robił na nim wrażenie. Nie przy-szłoby mu do głowy łączyć tych spraw, gdyby niejedna rzecz: łańcuszek z wizerunkiem świętej.

Trzy zamordowane kobiety.

Każda w inny sposób.

Ale zawsze w pobliżu ciała leżał medalik.

Zbieg okoliczności?

Zdaniem Bentza na pewno nie. Wcześniej nie łączył tych dwóch spraw. Nie miały wiele wspólnego ani nie pasowały do sposobu zabijania Różańcowego Zabójcy. Nie skojarzył medalików, ponieważ uważał, że należały do zabitych osób. Mylił się. Związek istniał cały czas. A teraz to samo po raz trzeci. Był pewien, że na ulicach Nowego Orleanu znów grasuje seryjny zabójca.

Prasa się na to rzuci, ale ludzie mają prawo wiedzieć i mieć się na baczności. Ponadto należy zawiadomić FBI, żeby przeszukali swoje komputery pod kątem podobnych zabójstw w innych stanach.

Wiedział, że wszyscy będą sobie zadawali to samo pytanie. Czy Różańcowy Zabójca zmartwychwstał?

Czy też w mieście pojawił się kolejny zboczeniec? Związany w tajemniczy sposób z Olivią Benchet?

Rozdział 17

W poniedziałek rano wykaz dowodów i raport lekarza sądowego leżały na biurku Bentza. Popijając kawę, tak gorącą, że parzyła wargi, Bentz uważnie czytał dokumenty. To, czego się dowiedział, nie zaskoczyło go. Stwierdzono, że ofiara zmarła, bo ktoś próbował odciąć jej głowę. Lekarz stwierdził, że względu na sposób przecięcia kości, że ofiarę uderzono w szyję więcej niż raz, jakimś nożem o długim ostrzu, maczetą lub mieczem.

Tak jak twierdziła Olivia Benchet. Co nie powinno go dziwić.

Co to za szaleniec? Kiedy pracował w policji w Los Angeles, widział różne akty przemocy, a jeszcze więcej ostatniego lata w Nowym Orleanie. Różańcowy Zabójca był okrutny na swój sposób i z całą pewnością związany z Kościołem katolickim, ale on nie żył. Bentz o to zadbał.

Tak mu się przynajmniej wydawało.

Ciała nigdy nie znaleziono na bagnach, gdzie został zastrzelony. Czyżby zmartwychwstał?

-Skurwysyn.

Myśl, że Ojciec John, jak lubił siebie nazywać, mógłby żyć, była przerażająca. Ale to, co się działo, nie przypominało działań Ojca Johna.

A co z opowieścią Olivii o kobiecie więzionej w katakumbach, a po¹tem zabitej? Kolejny koszmar? Chyba nie. Skopiował stronę z notatnika Olivii i, wbrew przepisom, pokazał ją jednemu ze swoich dobrych znajomych, który kiedyś pracował dla CIA i uwielbiał szyfry, zagadki, szarady, kryptogramy i najróżniejsze gry słowne. Bud Dęli miał największe szansę, żeby coś z tego wynioskować, choć specjaliści policyjni także nad tym pracowali.

Jak na razie nikt niczego nie odkrył.

Zadzwonił telefon. Podniósł po drugim dzwonku.

- Detektyw Bentz.

- Mówi Olivia. - Bentz nie potrafił powstrzymać uśmiechu. - Dzwoniłeś wczoraj wieczorem.

- Tak, sprawdzałem, czy wszystko w porządku. - Odchylił się na krzesło, naciągając sznur od telefonu. - Nie miałaś więcej wizji?

- Wczoraj nie.

- To dobrze.

- Bałam się, że znalazłeś następną ofiarę.

- Nie - odparł i wyobraził sobie twarz Olivii.

- To dobrze. Zadzwoń tylko, żeby sprawdzić, co się dzieje?

- Ostatnio byłaś dość wystraszona. Tak, chciałem się przekonać, czy wszystko w porządku.

- Och... - Zawahała się. - Dziękuję.

- Dzwon, jeśli będzie się działo cokolwiek, co cię zaniepokoi, dobrze?

- Tak - obiecała, wciąż najwyraźniej zaskoczona jego troską. Szybko się jednak opanowała i powiedziała niespiesznie: - Uważaj na siebie. - I odłożyła słuchawkę.

Bentz wpatrywał się w telefon. Co się z nim dzieje, do diabła? Wczoraj zadzwonił do niej, bo chciał z nią porozmawiać, sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Nie podobało mu się, że mieszka sama, pośrodku bagien, jedynie z tym wątpliwym w roli obrońcy psem. W dodatku miała naprawdę bardzo dziwne wizje i obawiał się, że jej życie jest w poważnym niebezpieczeństwie.

Być może Kristi miała rację, mówiąc, że Bentz jest paranoicznym gliniarzem, ale nie mógł się pozbyć wrażenia, że Olivia, z powodu jakiegoś związku z mordercą, też jest zagrożona.

Po raz setny zastanawiał się, jakiego rodzaju może to być związek. Skąd Olivia zna mordercę, bo przecież musi go znać? Z namysłem podrapał się po brodzie. Mówiła, że zabójca tropi kolejną ofiarę, ale nie widziała żadnego morderstwa. Natomiast były nowe tropy - neon z kieliszkiem martini. Jak się to wszystko łączy?

A może się nie łączy? Może jego nagła wiara w wizje Olivii nie ma żadnego uzasadnienia. Ta sprawa powoli stawała się obsesją, czego dowodem był wczorajszy telefon do Olivii, zupełnie wbrew zasadom, których zawsze się trzymał.

Zaczynał się czuć osobiście zaangażowany, a to z pewnością było błędem.

Jeszcze raz przestudiował zestaw dowodów i zatrzymał się w połowie strony, gdzie wymieniono łańcuszek z medalikiem. W laboratorium policyjnym stwierdzono, że medalik przedstawia świętą Cecylię. Nadpalony łańcuszek wisiał na sitku prysznic, tak jak mówiła Olivia. Cecylia. To imię wymieniała Olivia.

Ponownie zajrzał do dokumentów. Medalik znaleziony na ciele ofiary pod pomnikiem świętej Joanny przedstawiał, naturalnie, świętą Joannę, ale ten u Cathy Adams w Garden District Marię Magdalene. O co, w tym wszystkim chodzi? Zauważył także coś, na co wcześniej nie zwrócił uwagi: każda kobieta miała wygoloną część głowy. Wprawdzie Cathy Adams miała ogoloną całą głowę, ale pozostałe kobiety, nim je spalono, straciły część włosów. Albo za sprawą mordercy, który zabierał kosmyki na pamiątkę, albo obie należały do jakiejś sekty, w co wątpił.

Coś kołatało mu się w głowie, coś ważnego, choć nie mógł uświadomić sobie co. Miało to coś wspólnego z „zabójstwami różańcowymi...”

Zadzwonił telefon i stracił wątek, zajęty rozmową z asystentem prokuratora okręgowego o pchnięciu nożem koło kanału, niedaleko kasyna. Sprawa Cecylii musi poczekać.

Kristi rzuciła plecak na podłogę. Przyszła na basen wcześniej niż zwykle i przez następne pół godziny mogła się przygotowywać na spotkanie z Brianem na zajęciach u Zarostera. Później powinna się pouczyć. Następnego dnia ma test z psychologii, referat z angielskiego, powtórkę do testu z matematyki i referat z filozofii. Wszystko przed wyjazdem na Święto Dziękczynienia.

I... co więcej... ma znów spotkać się z Brianem. Uparł się, żeby uczyli się w niedzielę i mogli się spotkać dziś wieczorem, przed jej wyjazdem do domu.

Tamtego wieczoru coś między nimi zaskoczyło. Kiedy już przestała się złościć za jego spóźnienie i pobiła go w strzałki. Zastanawiała się, czy nie przegrał celowo i czy nie powinna nalegać, aby w zamian został jej niewolnikiem, czy coś w tym rodzaju, ale w końcu zgodziła się na kolację w drogiej restauracji i powiedziała mu, że nadal jest jej dłużnikiem. W tym momencie zaproponował „podwojenie stawki albo zero” i natychmiast się zgodziła, gdyż miała naturę hazardzistki. Poza tym „podwojenie stawki albo zero” bez żadnych ograniczeń stwarzało nowe możliwości...

Brian różnił się od innych chłopaków, z którymi się spotykała. Był bardziej dojrzały, głęboki, myślący. Spędzili razem prawie cały sobotni wieczór, rozmawiając i pijąc. Dowiedziała się, że dorastał gdzieś w okolicach Chicago, zrobił studia licencjackie w Notre Dame i przyjechał na studia magisterskie do Ali Saints. Był skomplikowanym mężczyzną, a nie Prostym chłopakiem, który chciałby się ożenić, mieć dzieci, najlepiej sy-“ów, którzy graliby w piłkę, i w przyszłości odziedziczyć zakład dekarSKI ojca.

Stanowczo wyrosła już ze związku z Jayem.

Na pewno jednak nie dorastała do pięt Brianowi. Był taki... dojrzały... doświadczony. Zadrzała na wspomnienie jego pocałunków. Całował tak, jakby to miał być ostatni pocałunek w jego życiu.

Kristi uśmiechnęła się. Ściągnęła bluzkę i ujrzała w lustrze swoje odbicie w czarnym staniku. Nieźle, pomyślała, wykręcając się, żeby się lepiej widzieć.

Oczywiście wolałaby mieć większe piersi, ale nie zamierzała brać hormonów ani robić operacji plastycznej, więc na razie musiała się zadowolić szczupłą talią i płaskim brzuchem. Mimo że miała ramiona szersze niż większość dziewczyn, zapewne od lat pływania, i ważyła kilka kilogramów więcej niż jej koleżanki w akademiku, wyglądała całkiem dobrze. Same mięśnie. Bez tłuszczu. Sportowy wygląd. Poza tym nie podobały jej się anorektycz-ne modelki i nie zamierzała wyglądać tak jak one. Nie chciała osiągnąć takiego efektu, paląc papierosy czy zażywając narkotyki. Owszem, lubiła czasem wypić drinka czy zapalić trawkę, ale nie zamierzała się w to wciągać. Dość się naeksperymentowała w szkole. Próbowala ekstazy i grzybków halucynogennych, przysparzając ojcu siwych włosów.

A czego można się spodziewać, gdy w wieku kilkunastu lat człowiek dowiaduje się, że ojciec nie jest ojcem, a matka... Nie myśl o tym. To już skończone. Rick jest porządnym facetem. Naprawdę bardzo porządnym i sama o tym wiesz. Jest twoim ojcem. *Zawsze* się tobą opiekował. *Zawsze*. Choć wiedział, że nie jesteś jego dzieckiem. Zmarszczyła brwi i skoncentrowała się na odbiciu w lustrze. Podobało jej się to, co widzi. Potrząsnęła głową i kaskada rudobrazowych włosów opadła jej na twarz, zupełnie jak w reklamach szamponu.

Znów się uśmiechnęła. Miała długie, gęste, wycieniowane włosy koloru mahoni. Jesienią wykosztowała się na pasemka i włosy błyszczały w słońcu rudym odcieniem. Brianowi bardzo się to podobało. W sobotni wieczór kilka razy wtulał w nie twarz i mówił, że są piękne. Pozwoliła mu zdjąć z siebie bluzkę i pieścić piersi tak, że jeszcze teraz robiło jej się gorąco. Lekkie jak piórka pieczyoty, które budziły sprzeczne emocje. .. Chciała to z nim zrobić, ale nie zrobiła.

Porządne katolickie wychowanie, pomyślała. Ojciec nie nalegał na chodzenie do kościoła, kiedy jednak żyła matka, Kristi uczęszczała do szkół parafialnych i nigdy nie opuściła niedzielnej mszy ani lekcji religii. Choć sama Jennifer nie pozostała przecież wierna sakramentowi małżeństwa.

Przynajmniej tak twierdził Rick Bentz, który doszedł do wniosku, gdy ukończyła szkołę średnią, że powinna poznać prawdę. Opowiedział

jej wszystko, wyjaśnił, dlaczego małżeństwo się popsuło, że jej matka związała się z innym mężczyzną, który był jej biologicznym ojcem. Jennifer sypiała z tym facetem, kiedy poczęła Kristi, zerwała z nim, a potem znów do niego wróciła, piętnaście lat później, tuż przed śmiercią.

Kristi początkowo nie chciała wierzyć, że Rick Bentz nie jest jej ojcem. Kiedy jednak zobaczyła dowód, w formie listu, który matka napisała dwa dni przedtem, jak uderzyła samochodem w drzewo, uwierzyła. List był adresowany do Kristi, ale Bentz postanowił, że jego córka pozna prawdę dopiero, gdy skończy szkołę.

Drań, pomyślała, znów wściekła.

Wycierając łzy, przypomniawszy sobie każde słowo listu, napisanego na pojedynczej poźółkłej kartce. Linijki wbite w pamięć nadal pobudzały ją do płaczu.

Tak mi przykro, kochanie. Wierz mi, że kocham Cię nad życie. Ale



znowu wróciłam do mężczyzny, który jest Twoim prawdziwym ojcem i obawiam się, że to zniszczy moje małżeństwo i złamie serce Rickowi...

- Dzięki, mamó. Stokrotne dzięki. - Kristi głośno pociągnęła nosem. Nie zamierzała się załamywać. Była przekonana, że Jennifer popełniła samobójstwo. Nafaszerowała się proszkami i wjechała na drzewo dwa dni po tym, jak mąż przyłapał ją w łóżku z innym facetem. Zdaniem Kristi Jennifer wybrała drogę tchórza, pisząc ten list i wsiadając do samochodu.

Kristi, odkąd dowiedziała się całej prawdy, na początku zeszłego lata, była wściekła jak diabli na matkę, na faceta, który ją wychował i na tego przekłętą skurwysynę, który nie mógł trzymać łap przy sobie, tego, który ją spłodził. Żalossne, to wszystko było naprawdę żalossne.

Teraz nie chciała o tym myśleć. W ogóle nie chciała o tym myśleć. Nigdy. Miała dość zajęć z psychologii, aby wiedzieć, że znajduje się w sferze wypierania rzeczywistości, ale jej to nie przeszkadzało. Wołała myśleć o sobotnim wieczorze i o Brianie. Po fatalnym początku spędzili wspaniałe chwile.

Wciągając sweter, pożałowała, że jedzie do Nowego Orleanu na Święto Dziękczynienia. Wiedziała wprawdzie, że miło spędzi czas z ojcem, ale teraz miała kogoś nowego. Prawdziwego przyjaciela.

Dorosłego mężczyznę.

Jej nadopiekuńczy ojciec chyba by zwariował, gdyby się dowiedział. Wyciągnęła włosy przez otwór swetra i uśmiechnęła się. Nadal lubiła trochę ojca podrażnić.

Ciekawe, co by było, gdyby przedstawiła ojcu Briana i poinformowała go, że zaprosiła przyjaciela na święta? Wyglądało na to, że nie bardzo

ma dokąd pojechać. Z drugiej strony, niewiele o nim wiedziała, poza tym że pracuje na uczelni i pisze doktorat.

A więc dziś kolacja z Brianem, a potem... Kto wie? Na jej ustach pojawił się cyniczny uśmiezek. Już nie mogła się doczekać.

- Sprawdź to - powiedział Montoya, wchodząc rozkołysanym krokiem do pokoju Bentza, tuż przed dziesiątą. Uśmiechał się szerokim uśmiechem kota z Cheshire, jego kolczyk połyskiwał w świetle jarzeniówek, a czarna skórzana kurtka błyszczała, jakby była całkiem nowa.

-Co?

Bentz pił drugą kawę, czekając na telefon z policji w Covington. Zaginęła sekretarka firmy ubezpieczeniowej. Zaginięcie zgłosił jej przyjaciel Dustin Townsend. Odkąd zawiózł Stephanie Jane Keller do miasta w piątkowy wieczór, nikt jej później nie widział. Stephanie miała metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, ważyła około sześćdziesięciu kilo i regularnie grywała w tenisa. Niebieskie oczy, jasne włosy. Townsend mówił przez telefon zdenerwowanym głosem i niechętnie podał Bentzowi nazwisko dentysty Stephanie. Policja poprosiła ojej kartę dentystyczną i teraz Bentz sprawdzał przesłany faksem dokument. Townsend był w drodze na komisariat, ze zdjęciami Stephanie.

- Mam interesujące informacje o pani Benchet - oznajmił Montoya, przysiadając na biurku Bentza. Bentz poczuł, jak napinają się mięśnie pleców. - A właściwie o jej matce, Bemadette Dubois. Wychodziła za mąż pięć razy, nie licząc dwóch facetów, z którymi była zaręczona. Nieźle, jak na pięćdziesięcioparoletnią kobietę. Między innymi była żoną ojca Olivii, Reggiego Bencheta.

- Przestępcy.

- Byłego przestępcy.

- Ja nadal uważam go za przestępcę - stwierdził Bentz.

- Aha. Napaść. Opór policji. Morderstwo drugiego stopnia. Jeszcze parę rzeczy. Niezły z niego numer. W każdym razie Bemadette miała dość rozumu, aby się z nim rozwieść po urodzeniu dzieci. Ale on był pierwszy, po nim przyszli następni. Porzucała każdego z nich. Aktualnie stara się o rozwód z ostatnim panem Bemadette, niejakim Jebem Marti-nem. Pracuje w firmie naftowej w Houston. Pobrali się cztery lata temu i najwyraźniej szczęście małżeńskie nie trwało zbyt długo. Martin wpada w szal, kiedy pije, wiele razy był aresztowany.

- Wygląda na to, że Bemadette gustuje w określonym typie mężczyzn. - Bentz wiedział, że jego partner do czegoś zmierza.

- Numer jeden i numer pięć są podobni, a trzeci mąż. Bili Yates, kierowca ciężarówki, chyba trafił się przypadkowo i małżeństwo trwało zaledwie półtora roku. Numer cztery to Scott Lafever, muzyk, który nie przeżył ostatniego przedawkowania. Ale zgadnij, kto był drugi?

- Po ojcu Olivii?

Montoya kiwnął głową i rzucił bombę:

- Nasz dobry przyjaciel, Oscar Cantrell.

- Właściciel Benchmark Realty? - upewnił się Bentz.

- We własnej osobie. - Zadowolony z siebie Montoya gładził kozią [bródkę. - Nie wiem, co myślisz, ale moim zdaniem musi tu być jakiś [związek, jeśli firma Oscara wynajmowała dom, w którym zabito tę ko-

| bietę.

| - Może powinniśmy z nim porozmawiać?
l - Próbowałem. Zadzwoiłem do niego do domu, nikt nie odpowiadał, włączyła się maszyna, parę minut temu zadzwoniłem do firmy i rozmawiałem z sekretarką Cantrella, chyba ją poznałeś.

- Marlene jakaś tam.

- Andersen.

- Tak. Gaduła - powiedział Bentz, przypominając sobie rozmowną l brunetkę w czerwonych okularach.

l - Właśnie. Twierdzi, że szef wyjechał w interesach i wróci dopiero | po świątecznym weekendzie, w przyszły poniedziałek. | -l ona nie może go złapać? - zdziwił się Bentz. - Gość nie ma komórki?

- Też się dziwię. Usiłowałem ją przekonać, a kiedy to nie poskutkowało, trochę postraszyć, ale to nic nie dało. Obcięła mnie.

- Naprawdę? - Bentz się uśmiechnął. Większość kobiet topiła się jak masło na słońcu, kiedy Reuben Diego Montoya zaczynał je czarować. Może gadatliwa Marlene Andersen wcale nie była głupią gęsią.

- Trudno uwierzyć, ale tak - burknął Montoya.

- A więc związek polega na tym, że jeden z przelotnych ojczymów Olivii Benchet jest właścicielem domu, w którym popełniono morderstwo?

- Masz coś lepszego?

Bentz poczuł palący ból w żołądku. Sięgnął do górnej szuflady biurka, znalazł buteleczkę z lekarstwem i wyjął dwie ostatnie tabletki. Włó-ł je do ust i zaczął ssać.

- Nie wiem. Czekam na identyfikację zabitej kobiety. - Podał Mon-tol informacje o Stephanie Jane Keller. -Jej przyjaciel zaraz się tu zjawi. Ze zdjęciami.

-Na wypadek konfrontacji?

Bentz skinął głową, choć miał inny pomysł. Test dla Olivii. Chciał wziąć zdjęcia od kilku pracownic komisariatu, dołączyć zdjęcie Stepha-nie i sprawdzić, czy Olivia wybierze je spośród innych. Mimo że powoli zaczynał wierzyć w jej wizję, jego pragmatyczna policyjna natura nadal nie przyjmowała tego do wiadomości.

- Sądysz, że przyjaciel jest w to zamieszany? - spytał Montoya.

- Zawsze istnieje taka możliwość. Jeśli nasza ofiara okaże się Ste-phanie Keller, sprawdzimy przyjaciela, rodzinę, innych znajomych, żeby się przekonać, czy oprócz osoby mordercy łączyło ją coś jeszcze z Cathy Adams.

-I Olivia Benchet.

- To też sprawdzę.

- Tak myślałem. - Montoya zmrużył ciemne oczy. - Wiesz, Bentz, gdybyś nie był takim twardzielem, mógłbym pomyśleć, że coś cię łączy z naszą miejscową wariatką.

- Już od dawna nie zadaję się z kobietami.

- Tak, tak. - Montoya pokiwał głową. - Z powodu byłej żony. Człowieku, musiała ci wywinąć niezły numer. Co to było? Złapałeś ją w łóżku z innym facetem?

Bentz milczał.

- O to chodzi, co? Kto to był?

- Stara historia. Wszystko zdarzyło się bardzo dawno temu - powiedział w końcu Bentz, nie chcąc się wdawać w wyjaśnienia.

Minęło osiemnaście lat od chwili, kiedy Jennifer przyznała, że dziecko, które nosi, nie jest jego. Rozmyślając o tym, dochodził do wniosku, że przyznała się tylko na wypadek, gdyby się okazało, że dziecko potrzebowałoby operacji. Miała problemy z ciążą i Jennifer, która zawsze lubiła przesadzać, obawiała się, że przy operacji wyjdzie na jaw grupa krwi dziecka i może się okazać, że jest inna niż jej i Ricka. Dlatego przyznała się do wszystkiego, przysięgła, że zakończyła romans, że kocha Ricka, że chce uratować ich małżeństwo, że biologiczny ojciec dziecka nie jest nim zainteresowany, że nie jest w stanie go utrzymać i że nic ich już nie łączy. Zaskoczony Bentz wpadł w alkoholizm, ale został przy Jennifer i nigdy nie żałował, że uznał Kristi za swoją córkę.

- Posłuchaj - powiedział Montoi - to, co się wydarzyło, nie ma już dla mnie żadnego znaczenia.

Montoya prychnął z niedowierzaniem.

- To dlaczego nie związałeś się z inną kobietą?

- Może nie miałem czasu.

- Dlaczego? Z powodu pracy? Jezu, Bentz, wszyscy potrzebujemy |
towarzystwa.

- Naprawdę? - Odchylił się do tyłu, aż krzesło zaskrzypiało.

- Tak i nie truj, że jesteś za stary. Wiem lepiej.

- Guzik wiesz.

- Musisz częściej wychodzić, spotykać się z ludźmi.

- Ty to robisz za nas dwóch.

- Już nie. O, nieeee - odparł, puszczając oko. - Mówiłem ci. Liczy się
tylko jedna kobieta.

-Ach, tak?

- Naprawdę. Poznałem świetną babkę. Świeeeeetną.

- Poznajesz je średnio raz w tygodniu.

-Ta jest inna.

- Do przyszłego tygodnia.

Montoya skrzywił się, ale nie oponował.

- Dobrze, skoro już doszedłeś do wniosku, że w naszym pięknym mieście
znów grasuje seryjny morderca, co z mediami?

- Jaskiel siedzi teraz z rzecznikiem prasowym. Po południu będzie
konferencja prasowa i wydamy komunikat.

- Będziesz na konferencji?

- Jeżeli mnie zaproszą. Ale Jaskiel sama się tym zajmie. Dopilnuje, żeby
podano właściwą informację.

Nie musieli głośno mówić, że nawet jeśli opinia publiczna dowie się o
mordercy, policja i tak zachowa dla siebie najważniejsze fakty, aby schwycić
właściwą osobę i nie musieć zwracać sobie głowy wariatami, twierzącymi,
że to oni zabili, tylko po to, aby zwrócić na siebie uwagę. Bentz pochylił się do
przodu i postukał ołówkiem w blat biurka.

- A co nowego w sprawie wideo z pożaru?

- W laboratorium wciąż nad nim pracują. Widziałem zdjęcia. Nic. Facet,
który nakręcił film, chce zachować prawa. Wiesz, na wypadek, gdyby film miał
jakieś znaczenie dla sprawy.

-I żeby mógł go sprzedać?

- Tak, to jego główne zmartwienie. Na ulicy mówi się o seryjnym
mordercy i nagle Henderson jest przekonany, że ma coś tak cennego, jak film
Zaprudera o zabójstwie Kennedy'ego.

- Super. A podpisał zgodę na wykorzystanie nagrania?

- Jasne, ale teraz wziął adwokata. Wydaje mi się, że narobi hałasu po
konferencji prasowej.

- Niech sobie robi - mruknął Bentz. W tej samej chwili zadzwonił |
telefon. Podniósł po drugim dzwonku. - Słucham, Bentz.

Sekretarka poinformowała go, że przyszedł Dustin Townsend.

- Proszę go tu przysłać.

Po chwili w drzwiach stanął zdenerwowany mężczyzna, mniej więcej trzydziestoletni, przedwcześnie łysiejący, z początkiem brzucha. Miał zaczerwienione oczy.

- Czy może mi pan coś powiedzieć? - spytał, gdy wymienili nazwiska.

- Dopiero jak zrobimy testy porównawcze. W tej chwili sprawdzają uzębienie.

- O, Boże, to nie może być Stephanie! - zawołał z poszarzałą twarzą i drżącą brodą. - Przecież widziałem się z nią w piątek po południu. Nie... Musi być jakieś inne wyjaśnienie.

- Mam nadzieję - powiedział Bentz, nie patrząc na Montoyę. Ile razy słyszeli te słowa, wypowiedane przez członków rodziny?

Niestety, każda ofiara miała rodzinę, przyjaciół, rodziców, dzieci, kogoś, komu zależało na jej życiu.

- Czy to jest zdjęcie Stephanie? - zapytał, wskazując na kopertę, którą Townsend trzymał kurczowo w palcach.

- Ach... tak. Przyniosłem kilka fotografii. Podał kopertę Bentzowi. Razem z kompletem odcisków palców, gdyby były potrzebne.

- Dziękuję. Niech mi pan je pokaże.

Townsend chętnie wyjął trzy zdjęcia ślicznej, pełnej życia dziewczyny. Na jednym miała na sobie dzinsy biodrówki i obcisłą bluzkę, na drugim - szorty i bluzkę bez rękawów, spoconą twarz i raketę na ramieniu. Trzecie zdjęcie było profesjonalnym portretem, na którym Stephanie odwracała się przez ramię, spoglądając uwodzicielsko.

- Ładna.

Townsend skinął głową i usiadł na krześle, z dłońmi między kolanami. Cichym głosem odpowiadał na pytania Bentza. Albo był niewinny, albo doskonale kłamał. Wyszedł po pół godzinie. Montoya pokręcił głową i sięgnął do kieszeni po papierosy.

- To nie jest nasz facet.

- Też tak uważam. Ale sprawdź jego alibi. Powiedział, że podwiózł ją do warsztatu, gdzie mieli coś naprawić w jej taurusie, później wybierała się na wieczorne zajęcia na uniwersytecie i zamierzała spędzić weekend z przyjaciółmi. Do przyjaciół nie dojechała i w końcu skontaktowali się z Townsendem. Wczoraj zgłosił się na policję w Covington. Jej samochód jest w warsztacie, tak jak mówił. Właściciel ją zapamiętał. Tył® wiemy. Mam dostać listę studentów, z którymi chodziła na zajęcia. POZ³

| tym dzwoniłem już do jej profesora, żeby sprawdzić, kto ją widział ostatni. Sprawdzenie zębów powinno nam wyjaśnić, czy to ona jest naszą ofiarą.

-A jeśli tak?

- Wtedy przyjrzymy się bliżej przyjacielowi. - Bentz sięgnął po 1 marynarkę, gdy Montoya wysuwał papierosa z paczki. - Jadę na uniwersytet. Jeśli Stephanie Keller jest tą niezidentyfikowaną ofiarą, to znaczy, że dwie zamordowane kobiety uczęszczały na uniwersytet.

- Wybiera studentki.

- Sam mógł studiować na którejś uczelni. Albo tam pracuje.

- Czy Loyola to katolicki uniwersytet?

- Mhm. Ponad sto lat temu połączył się z jezuicką uczelnią Niepokalanego Poczęcia. Teraz jest to największy katolicki uniwersytet na Południu.

- A Tulane?

- Początkowo szkoła medyczna, obecnie mają dużo zajęć z biznesu i zarządzania.

- Skąd ty wiesz takie rzeczy? - zdziwił się Montoya. Zazwyczaj sam był najlepiej poinformowany, zwłaszcza na temat tego, co się działo na komisariacie, ale Bentz zawsze miał lepsze informacje dotyczące przestępstw.

- Sprawdziłem. Jak tylko się okazało, że kolejna ofiara może być studentką, trochę poszperałem. Tutaj to jest. - Rzucił broszurę o Nowym Orleanie na zasłane papierami biurko.

- Dobra, zobaczę, czego się dowiem o Oskarze Cantrellu i Bema-dette Dubois. A ty? Już wiem. Na pewno zechcesz znów pogadać z naszą wizjonerką- powiedział Montoya, idąc do drzwi.

- Pomyślałem, że pokażę jej zdjęcia tej dziewczyny i paru innych kobiet. Zobaczymy, czy wybierze Stephanie jako ofiarę, którą podobno widziała. Po drodze zrobię kopie. Masz jakiś lepszy pomysł?

Montoya uśmiechnął się szeroko.

- Nie. Uważam, że to cholernie dobry plan. - Zapalił papierosa. -Cholernie dobry.

Rozdział 18

Zadzwoił dzwonek nad drzwiami. Olivia ustawiała towar na półkach na zapleczu. Odstawiła pudełko z zapachowymi świecami i weszła do sklepu przez zasłonę z koralików. Bentz szedł wąskim przejściem Między koszykami z kadzidelkami, płynami do kąpieli i świecami.

- Wczesne zakupy świąteczne?

Spojrzał na kilkunastocentymetrową piramidkę z kryształu. Obok znajdował się miniaturowy japoński ogród piaskowy. Na następnym stoliku stał maleńki wodospad.

- Chyba nie.

- Mogę ci zaproponować lekko używane karty do tarota - zażartowała, nie mogąc się powstrzymać. Bentz musnął ramieniem srebrną gwiazdę, która była częścią kompletu wietrznych dzwoneczków. Dzwoneczki zadzwoniły cicho do wtóru hinduskiej muzyki, rozbrzmiewającej w głośnikach, rozmieszczonych na najwyższych półkach.

- Innym razem.

- Rozumiem, że to nie jest wizyta towarzyska - powiedziała na widok poważnego wyrazu twarzy Bentza. - Złapaliście go - zgadła, zaciskając kciuki.

-Niestety nie, ale może potrafimy zidentyfikować ofiarę.

-Kto to jest?

-Nie mogę powiedzieć. Najpierw musimy być stuprocentowo pewni i powiadomić rodzinę.

- To po co przyszedłeś? - spytała, i głupio, przez ułamek sekundy, pomyślała, że przyszedł, bo chciał ją zobaczyć. Serce zabiło jej mocniej. Przypomniała sobie pocałunek, zastanawiając się, czy na nim też zrobił tak wielkie wrażenie.

Sięgnął do kieszeni i wyjął brązową kopertę. Znajdowały się w niej kolorowe zdjęcia kilku kobiet, w wieku między dwadzieścia pięć a trzydzieści pięć lat, jedne uśmiechnięte, inne poważne, wszystkie wyglądały zdrowo i atrakcyjnie. Podał zdjęcia Olivii.

- Czy to są zaginione kobiety? - zapytała przerażona. Boże, tylko nie mów, że potwór zabił je wszystkie.

- Nie, zastanawiałem się tylko, czy któraś z nich wygląda jak ktoś z twoich wizji.

- Co takiego? Ach, rozumiem. Sprawdzasz mnie, tak? - Była rozczarowana. - Ciągłe jesteś sceptyczny, prawda?

- Muszę.

- Chyba tak. - Przejrzała fotografie, studiując każdą twarz i znieruchomiła, kiedy doszła do zdjęcia kobiety o beżowej cerze, uśmiechniętej, w kostiumie bikini. - Wydaje mi się, że już ją widziałam - powiedziała niepewnie. - Ale to nie jest... Och, Boże! - Wpatrywała się w zdjęcie młodej kobiety z rakieta tenisową. Przeszył ją zimny dreszcz. - Ta-szepnęła, rzucając pozostałe zdjęcia, jakby ją parzyły. - To jest kobieta, którą nazywał Cecylią. Jestem pewna. — Oczami wyobraźni znów zobaczyła

kłęczącą kobietę, która błagała o litość, czepiając się szaty księdza. Pod Olivią ugięły się kolana. Odetchnęła głęboko i oparła się o ladę. Bentz szybko przytrzymał ją za ramię.

- Uwaga - powiedział.

Drzwi otworzyły się i weszła Tawilda z torbą na zakupy.

- Hej, Liwie, co jest? - spytała, podchodząc pospiesznie. Bransoletki dźwięczały na jej rękach. - Kim pan jest, do cholery?

- Wszystko w porządku. On... Bentz pokazał odznakę policyjną.

- Rick Bentz. Policja nowoorleańska.

- Policja? Co się stało? Ktoś nas napadł, czy co?

- Pani Benchet pomaga nam w dochodzeniu.

- Jakim dochodzeniu? - Tawilda spoglądała na nich oczami okrągłymi ze zdumienia. - Nic mi nie mówiłaś. Co się dzieje?

- Pani Benchet nie może o tym mówić — wtrącił Bentz. - Byłbym zobowiązany, gdyby zajęła się pani sklepem, a ja mógłbym zamienić kilka słów z panią Benchet na osobności. - Rzucił okiem na Olivię. - Postawię ci kawę.

Olivią odsunęła jego rękę.

- Czy pan ją aresztuje? Chyba najpierw musi jej pan przeczytać, do czego ma prawo.

-Nie aresztuję jej.

- Wszystko w porządku, Tawildo - powiedziała w końcu Olivią z wymuszonym uśmiechem. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wyjdę z nim porozmawiać.

- Mam. Dlaczego o niczym nie wiem? - warknęła Tawilda. - Wiedziałaś, że coś jest z tobą nie tak. Przez ostatnie parę dni zachowywałaś się bardzo dziwnie. Myślałam, że to ma związek z przyjazdem twojej mamy, ale to coś więcej, prawda? - Obrzuciła Bentza uważnym spojrzeniem. - Dobrze, idź. - Ręką pokazała Olivii i Bentzowi, żeby wyszli ze sklepu. -I tak powinnaś już kończyć. Zrób to, co masz zrobić, ale więcej niczego przede mną nie ukrywaj, słyszysz?

- Tak jest - powiedziała Olivią. - Mam wobec ciebie dług wdzięczności.

- Milion długów, ale kto by liczył.

- Ty. Żadnego nie pomijasz.

- Może. - Tawilda wzniosła oczy do góry. -I odbiorę je sobie.

-Nie wątpię. Daj mi minutę na zebranie rzeczy - powiedziała Bentzowi i weszła na zaplecze, gdzie z szafki wyjęła torebkę. Założyła kurt^K?, przeczesła palcami włosy i przeszła obok pudełek z towarami, które

należało zinwentaryzować i poustawiać na półkach. Przez zasłonę z paciorków wróciła do głównej części sklepu.

Bentz czekał przy suszonych głowach aligatorów w czapkach Świętego Mikołaja.

- Doskonały prezent dla kogoś, kto ma wszystko - rzuciła Olivia, gdy otworzył przed nią drzwi.

Dwie kobiety w średnim wieku wpadły do sklepu razem z podmuchem zimnego powietrza.

- Pomyślę o tym w Wigilię, kiedy wybiorę się na zakupy. Ciotce Ednie w ogóle nie da się nic kupić. Zamierzałam kupić jej czekoladki albo nowe kapcie, ale założę się, że wolałaby łeb aligatora w czerwonej czapce.

- Każdy by wolał.

Olivia włożyła ręce do kieszeni. Zimny wiatr przywiewał z rzeki intensywny błotnisty zapach.

- Chciałeś mnie sprawdzić? - spytała, gdy ruszyli w stronę Decatur Street.

Na chodnikach pełno było pieszych, wychodzących i wchodzących do sklepów i restauracji. Samochody, ciężarówki i wózki ciągnięte przez muły sunęły ulicami. Na rogu nieruchomo stał mim. Kapelusz przed nim, z kilkoma banknotami i monetami, zachęcał do datków.

- Chciałem sprawdzić, czy jesteśmy na właściwym tropie.

- Ta dziewczyna z rakieta tenisową jest właśnie tą?

- A druga? Skąd ją znasz?

- Nie znam - odparła, zastanawiając się gorączkowo. Ciągle miała przed oczami zdjęcia. - Jej wizerunek nie był taki wyraźny, mam jednak wrażenie, że już ją widziałam. Tak, w moich snach. Zeszłego lata, kiedy opiekowałam się babką. Śniły mi się wtedy różne koszmary. O niej. Takie kawałki, ale... Jestem pewna, że to ta kobieta. Ktoś golił jej głowę, potem ją dusił...

Bentz wprowadził ją do kawiarni, znanej z mocnej kawy i jeszcze mocniejszych alkoholi. Usiedli przy stoliku blisko okna, na którym migotała mała sztormowa lampka. Przez okno widać było ulicę.

- Czy dusił ją ten sam facet, którego widziałaś ostatnio, ten ksiądz?

- Nie wiem - przyznała. - Widziałam tylko fragmenty.

- A mężczyzna w jaskini z kobietą, która umarła z głodu?

- Już ci mówiłam, że nie jestem pewna. - Pokręciła głową. Kelnerka przyjęła zamówienie i przeszła do następnego stolika. - Musi być, choć nie pamiętam księdza. Było w nim coś znajomego... Obok przerażonej kobiety leżał naszyjnik albo łańcuszek. Taki jak ten, który widziałam tamtej

nocy, ten, który ksiądz zawiesił na prysznicu. - Zadrżała na wspomnienie zapachu strachu i dymu. Spojrzała na Bentza siedzącego naprzeciwko, z twarzą skrytą w cieniu, mimo migoczącej lampki. Miał ciemnoszare oczy. Wyraziste. Podejrzliwe, choć... W stalowej głębi widać było coś więcej. Nie wspomniała wcześniej o łańcuszku, teraz jednak wydał się ważny. - Musisz mi wierzyć, Bentz. Przecież sobie tego nie wymyślam. Nie potrafiłabym wymyślić czegoś takiego.

- Wiem. - Skinął głową kelnerce, która przyniosła kawę.

- Coś jeszcze? - spytała kelnerka, mniej więcej osiemnastoletnia dziewczyna żująca gumę. Bentz spojrzał na Olivię.

- Chcesz coś?

-Nie, dziękuję. - Objęła dłonią filiżankę z kawą. Kelnerka, strzelając gumą, odeszła. -I co? Przeszłam test? - spytała Olivia. - Wybrałam właściwe zdjęcie?

Skinął głową. Wokół słychać było dźwięk mieszających kawę łyżeczek i ciche rozmowy.

- Dokładnie.

j - I teraz się zastanawiasz: Skąd ona to wie? To niemożliwe, żeby | w grę wchodziły jakieś przecucia, a więc musiała skądś się dowiedzieć, I co się wydarzyło. Tak?

- Coś w tym rodzaju - przyznał.

Olivia wpadła w złość. Zerwała się na równe nogi, trącając stolik i wylewając kawę.

j - Jak już to sobie wykombinujesz, to daj mi znać, dobrze? Mnie też | pomożesz. Przystanę mieć wrażenie, że wariuję.

- Nie wariujesz. Usiądź, proszę. - Olivia niechętnie usiadła. - Chcę z tobą porozmawiać o czymś jeszcze.

- O czym? - spytała, mając niejasne przecucie, że nie będzie zachwycona tematem. Serwetką wytarła rozlaną kawę.

- O twojej matce.

- Co takiego?

- Była żoną Oscara Cantrella.

- Była żoną wielu ludzi - mruknęła Olivia i natychmiast pożałowała ironicznego tonu. - Tak, przez krótki czas była żoną Cantrella.

- Znasz go?

- Poznałam go na ślubie, więcej go nie widziałam. Nie utrzymujemy z matką bliskich stosunków. Chyba już ci to mówiłam. - Rzuciła mokrą serwetkę na stolik.

- Posłuchaj mnie - zaczął. Olivia miała wrażenie, że zmierza do czegoś, co jej się nie spodoba. - Okazuje się, że dom, w którym zginęła

kobieta tamtej nocy, należy do ludzi, którzy mieszkają w innym stanie. Wynajmują dom za pośrednictwem agencji Benchmark Realty. Czekala, ale milczał.

-I co?

- Benchmark Realty należy do Oscara Cantrella.

- Co takiego? - szepnęła z niedowierzaniem. - Myślisz, że on ma z tym coś wspólnego?

- Sprawdzamy - odparł zwięźle Bentz.

- Jak już mówiłam, poznałam Cantrella na ślubie. Był niski, miał najwyżej metr sześćdziesiąt pięć, i nie był zbudowany jak mężczyzna, którego widziałam.

- Mógł schudnąć.

To wszystko nie miało sensu. Przypomniała sobie Oscara. Niedźwiadek z dużym nosem, czerwonymi policzkami i szerokim uśmiechem. Typowy komiwojazer. Zupełnie inny od skupionego, powstrzymującego gniew mordercy.

- Dlaczego Oscar korzystałby z miejsca, o którym wiadomo, że jest z nim związane? To głupota. - Była pewna niewinności Cantrella. - Nie ma alibi? - Spojrzała na Bentza, który pił kawę i przyglądał jej się znad brzegu filiżanki.

- Sprawdzamy to.

- Wydaje mi się, że matka była jego żoną niespełna dwa lata. No, może dwa i pół. Jeśli więc sądzisz, że to przez niego mam z tym jakiś związek, mylisz się. I widziałam go tylko raz.

- Poznałaś kogoś z jego rodziny? Brata? Ojca?

- Nie. W tym czasie, gdy matka była jego żoną, mieszkałam u babki.

- Mieli dzieci?

-Nie! Nie mam żadnego przyrodniego rodzeństwa. Miałam siostrę, ale ona umarła dawno temu.

Skinął głową na znak, że rozumie, jednak Olivia dostrzegła w jego oczach cień.

- O co chodzi? - spytała. - Nie wierzysz mi?

- Usiłuję to wszystko poskładać do kupy.

- Czy ty nikomu nie ufasz? Co jest z tobą, Bentz? Czy jesteś taki zblazowany, że nie potrafisz nikomu uwierzyć, czy to jeszcze coś innego? Coś osobistego?

Wargi mu zadrżały.

- Ty mi powiedz. Masz dar.

Tym razem przebrał miarę. Usiłował ją sprowokować od chwili, gdy wszedł do sklepu i nie krył się ze swymi podejrzeniami.

- Wychodzę - oznajmiła Olivia, zabierając torebkę spod stolika.

-Zaczekaj.

Inni klienci odwrócili się w ich stronę.

-Nie ma mowy. Mam dość twoich podejrzeń. Wiem, że nie potrafisz wczuć się w moją sytuację. Ja też tego wszystkiego nie rozumiem. Ale tak jest. Myślałam... To znaczy... Nie wierzysz mi? A mówiłeś... Och, do jasnej cholery, nieważne!

Ruszyła do wyjścia, zastanawiając się, dlaczego w ogóle próbowała coś wyjaśniać temu głupiemu gliniarzowi. Usłyszała, jak rzucił pieniądze na stolik i po chwili poczuła, że łapie ją za ramię.

- Olivio...



- Odczep się, Bentz. Nie wiem, co chcesz powiedzieć i nie chcę wiedzieć. Zrobiłam swoje, jak porządny obywatel, i teraz mam już dosyć twoich podejrzeń i obraźliwych uwag. Dostyc.

-Nie możesz mieć pretensji, że jestem sceptyczny. Odwróciła się i wpadła na niego.

- Właśnie, że mogę. Uwierz w to, co mówię, albo daj mi święty spokój, do jasnej cholery!

Trochę przesadziła, ale nie przejęła się tym. Co on sobie właściwie wyobraża? I jeszcze stroi żarty. Więcej się po nim spodziewała i wciąż ją rozczarowywał. Raz sprawia wrażenie, jakby jej wierzył, ufał, nawet ją pocałował, a za chwilę znów wraca do roli cynicznego gliniarza z tymi wszystkimi pytaniami.

Przebiegła na drugą stronę ulicy, między samochodami, kierowcami, którzy na nią trąbili. Oczekiwała, że Bentz dogoni ją i wlepi jej mandat, ale spokojnie wróciła do sklepu, niezatrzymywana, a nie chciało jej się obejrzeć, by sprawdzić, czy nadal stoi po drugiej stronie ulicy.

To nie miało żadnego znaczenia.

Bardzo chciała, żeby jej uwierzył. Była zdesperowana. Nie tylko dlatego, że to pomogłoby złapać mordercę, ale także dlatego, że chciała zrobić na nim wrażenie. To było niepotrzebne i głupie. Wyszła na idiotkę. Przez faceta.

I to się musi skończyć. Jak najszybciej.

Wybraniec zaczynał się niecierpliwić. Denerwować. Chodził zirytowany po swojej kaplicy. Czytał w gazetach o pożarze w Bayou St. John. Nie było wzmianki o ofierze. Tylko o tym, że kobieta zginęła w ogniu. Jakby stała się przypadkową ofiarą.

Aaa... Cecylia. Co za uroda.

Oczywiście policja nie ujawniała wszystkiego, ale to kretyni. Widział, jak przyjechali, godni pożałowania głupcy, którzy wciąż nie znaleźli powiązania między jego „przestępstwami”. Tak ci idioci je nazywali: przestępstwa. Jakby był jakimś pospolitym kryminalistą. Nie mieli pojęcia o jego misji, o tym, że działa w imię Boga. I że jeszcze nie skończył.

Żadna modlitwa nie mogła go uspokoić. Sięgnął do szafy i po kolei dotykał palcami paznokci, maleńkich trofeów, wspominając każde spotkanie. Widział się w lustrach, które ustawił na ołtarzu, tak jak widział strach i błagania swoich ofiar i mistrzostwo w tym, co robił. Pożądał każdej z nich, cierpiał, marząc, aby pojąć ich grzeszne pogańskie ciała. Wszystkie te jawnochrześcijańskie wydawały się niewinne, a w gruncie rzeczy były uosobieniem zła. I tyle ich było.

Jedna ważniejsza od innych. Córka gliniarza. To była sprawa osobista. Pomyślał o niej z uśmiechem... Już niebawem...

Głęboko w schowku znalazł warkocz, który tak starannie splatał z kosmyków różnokolorowych włosów, błyszczących w świetle świec... Brązowe, czarne, blond... Brakowało rudych. Błąd, który trzeba naprawić. Przesunął warkocz między palcami, wyobrażając sobie przerażone twarze kurew, kiedy obcinał im włosy, kiedy jeszcze miały nadzieję, że ujdą z życiem, kiedy modliły się za grzechy, których, we własnym mniemaniu, nie popełniły, kiedy chował kosmyk za kombinezon, blisko ciała. Głupie kurwy. Córki szatana.

Powoli rozsunął poły szlafroka i pozwolił mu opaść na ziemię. Jego członek był twardy. Przesunął po nim warkoczem. Pieszczota była miękka i podniecająca jak usta ladacznicy. Zesztywniał, odczuwając nagłą potrzebę wyzwolenia. Krew prędko krążyła w żyłach, dudniła w uszach, boleśnie napływała do krocza. Ach, choć jeden pocałunek... Jeden diabelski pocałunek... Chciał się dotknąć, wyzwolić, ale nie zrobił tego. Nie podda się tak prymitywnej potrzebie.

Znów zaczął wyobrażać sobie twarze kurew. Piękne. Uwodzicielskie. Złe. Ze łzami strachu, błagające, aby mogły go wyzwolić i uratować życie. Uśmiechnął się. Pot spływał mu po twarzy i po plecach. Umierając, należały do niego. Czyż nie wiedziały, że je zbawił? Unieśmiertelnił?

Potrzebował następnej duszy do zbawienia... Następnej jawnochrześcijańscy w haremie zmarłych... Następnego kosmyka włosów do warkocza... Dziś.

Miał miejsce. Prymitywny ołtarz, ale nadawał się na złożenie ofiary. Ukryty. Ciemny. Broń była przygotowana.

Czas wyznaczył wcześniej. Spojrzał na kalendarz. Dwudziesty piąty listopada, dzień świętej Katarzyny z Aleksandrii, patronki panien... filozofów... księży... studentów... Doskonale. Tak, naprawdę doskonale.

To się musi zdarzyć dzisiaj.

Przed północą.

Bóg czeka.

Rozdział 19

Olivia wciąż myślała o kłótni z Bentzem. Co w nim takiego jest, że doprowadza ją do szaleństwa? Dlaczego przejmuje się tym, co myśli? Zamknęła sklep i zamierzała pozbierać swoje rzeczy, gdy zadzwonił telefon. Oczywiście mogła się włączyć automatyczna sekretarka, ale Olivia odruchowo podniosła słuchawkę.

- Halo, Trzecie Oko. Mówi Olivia. Czym mogę służyć?

Nikt się nie odzywał, lecz Olivia wiedziała, że ktoś jest po drugiej stronie.

- Halo, kto mówi? - spytała, wyglądając przez okno na ulicę. Sklep był ciemny, świeciła się tylko lampka alarmowa. - Halo?

- Olivia? - Chropawy męski głos.

- Tak. - Przecież się przedstawiła. - Czy mogę w czymś pomóc?

- Mam nadzieję. - Sekunda wahania, jakby zbierał myśli. - Mówi ojciec.

Serce zabiło jej mocniej. Milczała. Nie mogła wydusić słowa.

- Przypuszczalnie mnie nie pamiętasz. Długo mnie nie było, ale mam nadzieję, że moglibyśmy się spotkać.

Olivia oparła się o ścianę. Nerwowo rozglądała się po ciemnym wnętrzu, jakby spodziewała się, że Reginald Benchet wyskoczy zza świątecznej maski czy regału z książkami o czarownicach.

- Chyba... Chyba to nie jest dobry pomysł.

- Dlaczego?

- Zostawmy wszystko tak, jak było do tej pory. - Czuła na twarzy krople potu.

- Na tym właśnie polega problem, Liwie - powiedział i fakt, że użył dzieciennego zdrobnienia jej imienia, sprawił, że dostała gęsiej skórki. -Długo mnie nie było i miałem dużo czasu na myślenie. Na zastanowienie 81? nad życiem. Nie zadzwoniłem do ciebie od razu, nie skontaktowałem

się z twoją matką, nawet nie przyjechałem na pogrzeb twojej babki, choć czytałem jej nekrolog w gazecie. Pomyślałem, że wszystkim nam trzeba trochę czasu, aby się przyzwycząić do tego, że jestem wolnym człowiekiem.

Nigdy się do tego nie przyzwyczaję.

- Dlaczego miałyby to robić jakąś różnicę?

- Boja się zmieniłem, Liwie. Spędziłem mnóstwo czasu samotnie, czytałem, myślałem, nawet filozofowałem. Pozwoliłem Jezusowi wrócić do mojego życia, do mojego serca, i nie tylko spłaciłem dług wobec społeczeństwa, lecz także odpokutowałem za moje grzechy i przyjąłem Jezusa Chrystusa jako osobistego zbawcę.

- To dobrze... - Okręcała sznur od telefonu wokół palców i zastanawiała się, jak przerwać tę rozmowę. Nie potrzebowała teraz ojca, nie takiego ojca, jakim był Reggie Benchet.

- Jasne. I chcę się zrehabilitować.

-Jak?

- Pracując na chwałę Boga. Głosząc jego słowo. Jestem teraz duchownym i postanowiłem zobaczyć się z moją córką. Jesteś jedynym dzieckiem, które mi zostało. Pozostałe straciłem. Kiedy człowiek siedzi tak długo w więzieniu, uczy się, co jest w życiu najważniejsze. Rodzina, Liv-vie. Rodzina i Bóg.

-Nie jestem na to przygotowana.

- Przemyśl to sobie. Jeszcze czego.

- Dobrze - skłamała.

- Niech Bóg będzie z tobą. - Odłożył słuchawkę. Olma na moment zamknęła oczy.

To twój ojciec, mówił wewnętrzny głos, ale nie chciała go słuchać. Dawca spermy, nic więcej.

Zmienił się. Zaczął nowe życie.

W to też nie wierzyła. Wiedziała, że Reggie Benchet jest oszustem pierwszej klasy, kimś, kto potrafiłby zdjąć skórę z żywego grzechotnika. Nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

A jeśli zachoruje i nie będzie miał pieniędzy? Co wtedy? Jesteś jego jedynym dzieckiem.

Postanowiła, że ktoś musi jej pomóc rozeznaczyć się w tym wszystkim-W torebce znalazła wizytówkę, którą dostała od ojca Jamesa McClarena po rozmowie w katedrze.

- Co za niespodzianka - powiedział szczerze James, podnosząc głowę znad biurka. Sekretarka już wyszła, podobnie jak ojciec Roy, a przed nim stała Olivia Benchet, piękna kobieta z potarganymi włosami i tajemniczymi oczami. W ciągu ostatnich paru dni nieraz o niej myślał. Częściej, niż powinien. I jego myśli nie były czyste. O, nie. Ale to był jego osobisty krzyż, demony, z którymi musi walczyć.

- Chciałabym z kimś porozmawiać - powiedziała, zatrzymując się w drzwiach.

- Proszę, niech pani wejdzie. - Wstał i wskazał na jedno z dwóch krzeseł po drugiej stronie biurka, z drewnianymi wypolerowanymi siedzeniami, wysiadywanymi od pięćdziesięciu lat przez ludzi szukających pocieszenia. - Przyszła pani do mnie?

-Tak.

- Do księdza?

Zawahała się, siadając. Przez rozcięcie w spódnicy zauważył krągłą łydkę. Szybko przeniósł wzrok na nagie gałęzie dębu, widoczne przez okno w niebieskim świetle ulicznych lamp. Na jednej z niższych gałęzi siedziała wrona, z głową schowaną pod skrzydłem.

- Tak i... Od dawna nie byłam na mszy.

- Może w tym tkwi problem.

Uśmiechnął się i zobaczył, że zadrżały jej usta.

- Jeśli tak, to jest to tylko czubek góry lodowej.

- Co się z panią dzieje, Olivio?

Znów chwila wahania. Przygryzła dolną wargę, jakby się zastanawiała, ile może powiedzieć.

- Chyba powinnam zacząć od mojej rodziny - stwierdziła w końcu i spojrzała mu w oczy. - Choć to może potrwać parę dni. Uniósł brwi.

- Niech pani zacznie, a potem się przekonamy, dokąd nas to zaprowadzi i jak długo potrwa. Mam dużo czasu.

- Nawet słudzy Boga potrzebują snu.

- Co panią niepokoi, Olivio?

Wszystko, pomyślała, choć powiedziała tylko:

- Poszukuję porady ze względu na ojca. Właściwie to go nie znałam. Rodzice rozwiedli się, gdy byłam mała i przez resztę czasu przebywałam w więzieniu. Za morderstwo. - Ojciec James nawet nie mrugnął okiem. - "yszedł na początku tego roku, o czym nie miałam pojęcia. Matka poinformowała mnie o tym dopiero niedawno i teraz on chce się ze mną zobaczyć. Zadzwonił, twierdząc, że jest innym człowiekiem, kimś w rodzaju "uchownego, natomiast ja w ogóle nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

- Ale... - odpowiedział ksiądz.

- Ale nawet jeśli myślę o nim wyłącznie jako o dawcy spermy, faktem jest, że łączą nas więzy krwi. Jestem jego jedynym dzieckiem i moje porządne katolickie wychowanie daje o sobie znać. Powiedział, że tylko ja mu zostałam.

Coś jej się w tej wypowiedzi ojca nie podobało, coś ją zaniepokoiło.

Ksiądz słuchał uważnie, opierając brodę na rękach i przyglądając się Olivii niebieskimi oczami. Na brodzie miał ciemny zarost, nosił czarną koszulę i koloratkę. Był stanowczo za przystojny, aby poświęcić życie Bogu. Coś w jego postaci kojarzyło jej się z kimś innym, ale w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć z kim. Przypuszczalnie z jakimś przystojniakiem z telewizji albo aktorem z podrzędnych filmów, który nigdy nie wyrobił sobie nazwiska.

Nie wyglądał na księdza. Mimo ubrania i tego, że siedział w starym pokoju, za dużym biurkiem z otwartą Biblią, i z gotyckim oknem z widokiem na kościelny podwórzec. Ojciec James McClaren wyglądał raczej na piłkarza czy żeglarza.

Uśmiechnął się, pokazując proste białe zęby.

- Chyba powinienem pani poradzić, aby zajrzała pani do własnego serca, własnej duszy i znalazła w sobie odwagę, żeby przebaczyć ojcu za grzechy przeciwko pani.

- Mam nadstawić drugi policzek i zapomnieć o tym, co zrobił?

- Spłacił dług wobec społeczeństwa. Według prawa zakończył karę i zostało tylko to, co zrobił pani, czyli porzucenie pani i pani matki.

-Tak.

- Nie mam zamiaru trywializować problemu. W porzuceniu nie ma nic trywialnego, zwłaszcza dla dziecka. Jestem pewien, że konsekwencje tego były wstrząsające. I nawet teraz, jako osoba dorosła, odczuwa pani ból. Mówi pani, że to już stare dzieje, że przypuszczalnie wszystko dobrze się skończyło, ale blizny wciąż bołą. A jeśli się do tego wraca, tak jak teraz, gdy ojciec się z panią skontaktował, to tak jakby się zrywało strup i rana znowu zaczyna boleć. Grozi powtórny krwawieniem. Pali. Przynosi stare przykre wspomnienia, choć mieliśmy nadzieję, że dawno zostały zapomniane.

Spojrzał na Oliwię bez uśmiechu i nagle zdała sobie sprawę, jak ciemno jest w pokoju, oświetlonym wyłącznie latarnią zewnątrz i małą lampką, z zielonym abażurem na biurku.

Pokój stał się jakby mniejszy, atmosfera się zagęściła.

- Nie mogę pani powiedzieć, co robić - stwierdził ojciec James. -Mogę jedynie zasugerować, aby się pani modliła i rozmawiała z Bogiem.

Zobaczyła, co On doradzi. - Rozłożył ręce. - Przypuszczalnie nie takiej odpowiedzi pani szuka, ale to wszystko, co mogę powiedzieć.

- Naprawdę?

- Coś pani powiem. Niech pani wróci do domu i pomyśli nad tym. I A potem przyjdzie tu za parę dni i znowu porozmawiamy.

- A na razie? Jeśli znów zadzwoni?

- Niech pani idzie za głosem serca.

- A jeśli moje serce podpowiada, żebym go zwymyślała od najgorszych? - spytała.

Ojciec James się uśmiechnął.

- Może raczej niech pani pomyśli o radach zawartych tutaj. - Dwoma palcami postukał w okładkę Biblii, leżącej na rogu biurka.

- Ksiądz by tak zrobił?

- Staralby się. - Westchnął. - Wie pani, noszę koloratkę, ale to nie znaczy, że znam wszystkie odpowiedzi. Jestem tylko człowiekiem.

- A ja myślałam, że działa ksiądz pod wpływem Boga.

- Chyba powinienem odpowiedzieć, że wszyscy mamy działać pod wpływem Boga. - Uniósł brwi. - Proponuję, aby pani z Nim porozmawiała. I posłuchała. Na pewno odpowie.

Nie była tego pewna, ale nie oponowała. W końcu przyszła po radę do ojca McClarena. Mogła go przynajmniej wysłuchać.

- Dziękuję za to, że poświęcił mi ksiądz swój czas.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Błysk w oku i ciepły uścisk dłoni potwierdzały jego słowa. - Odprowadzę panią. - Obszedł biurko, wziął ją lekko za łokieć i przeprowadził przez przedsionek do głównych drzwi. Dziesiątki wotywnych świec migotały w ciemnej nawie, a kilka lamp oświetlało witraże.

- Może zobaczę panią w niedzielę na mszy - powiedział, otwierając ? drzwi kościoła. Do środka wpadł zimny powiew wiatru. Płomyki świec zatańczyły.

- Zastanowię się - obiecała. Przelotnie dotknął jej dłoni.

-Niech pani do mnie przyjdzie po rozmowie z Bogiem.

Spojrzała mu w oczy... Niebieskie... Uwodzicielskie. Zaprzeczają-
Ge pobożnym słowom.

- Dobrze - powiedziała.

Ojciec James cofnął się o krok, choć czuła na sobie jego wzrok, gdy

°tulała się kurtką i, omijając kałuże, szła do samochodu. Kiedy usiadła za

-"erownicą, uniósł rękę. Olivia odpowiedziała gestem dłoni, włożyła klu-^k do stacyjki i nacisnęła gaz. Silnik zgrzytnął dwa razy. Zawahała się

i spróbowała jeszcze raz. Zmęczony silnik zawarczał i Olivia wyjechała z parkingu, podskakując na wybojach.

Serce waliło jej jak młotem.

Ojciec McClarennej dotknął. Nie na powierzchni, lecz w głębi. Dotknął jej duszy.

-Nawet o tym nie myśl - ostrzegła się na głos, spoglądając we wsteczne lusterko. Nie mogła sobie pozwolić, aby spodobał jej się ksiądz. Ani gliniarz. Obaj mężczyźni byli poza konkurencją. I może właśnie na tym polega mój problem, pomyślała, dodając gazu na autostradzie. Może podobają jej się jedynie mężczyźni, którzy są niebezpieczni. Tacy, z którymi pod żadnym pozorem nie powinna się zadawać.

To dlaczego nie powiedziałaś ojcu McClarenowi o swoich wizjach? Dlaczego mu nie zaufałaś? Boisz się, że weźmie cię za wariatkę, tak jak Bentz?

Na przednią szybę spadły duże krople deszczu. Włączyła wycieraczki. Nie mogła opowiedzieć wszystkiego księdzu. Jeszcze nie. Wyszłaby na głupią. Wiedział już o ojcu przestępcy i niedługo z pewnością opowie mu o licznych małżeństwach matki, na razie więc nie powinna wspominać o babce, która praktykowała wudu i katolicyzm, ani o morderstwach, które widziała w wizjach... Przynajmniej nie o tym popełnionym przez księdza.

Na pewno by ją skreślił, gdyby powiedziała o tym drobnym szczególe.

Na razie musi trzymać język za zębami.

Rozdział 20

Bentz pomyślał o imionach świętych. Święta Cecylia.

Święta Joanna.

Święta Maria Magdalena.

Każda inna. Każda upamiętniona na medaliku, celowo zostawionym na miejscu zbrodni.

Dlaczego? - zastanawiał się, gdy drukarka komputera wypluwała kolejne strony informacji o każdej z męczennic. Co to oznacza? Zakręcił się na obrotowym krześle i wziął pierwszą stronę o świętej Cecylii, patronce muzyków, poetów i grzeszników. Rzucił okiem na życiorys młodej Rzy' mianki, a potem przeszedł do opisu śmierci. Cecylia została skazana na śmierć za to, że nie chciała wyrzec się religii chrześcijańskiej. Miała umrzeć

od wyziewów z łazienkowego piecyka, a kiedy to się nie udało, została trzykrotnie uderzona mieczem w szyję. Zmarła dopiero po kilku dniach.

- O, Boże - mruknął, gdy uświadomił sobie podobieństwo szczegółów ze śmiercią kobiety w Bayou St. John: dym w łazience, głowa odcięta trzema uderzeniami miecza, jak stwierdziła sekcja i Olivia Benchet. Ten szaleniec, który ją zamordował, wzorował się na męczeństwie świętej Cecylii. W swojej wizji Olivia słyszała, jak szeptał to imię.

Bentz poczuł gęsią skórkę.

Wiedział, że Joanna d'Arc zginęła na stosie i że ciało niezidentyfikowanej kobiety zostało mocno poparzone, nim podrzucono je pod pomnikiem Joanny d'Arc w French Quarter.

Ale Maria Magdalena... To nie całkiem pasowało. Nie wiedział, jak umarła, choć wiedział, że była grzesznicą, prostytutką, podobnie jak Cathy Adams, którą znaleziono martwą w jej mieszkaniu w Garden District. Cathy miała ogoloną głowę i w mieszkaniu czuć było zapach paczuli. Z życiorysu Marii Magdaleny zapisanego przez świętego Łukasza w Nowym Testamencie wynikało, że wytarła Chrystusowi nogi swoimi włosami i natarła je olejkami.

Bentza znów przeszedł dreszcz.

Czy zabójca zmienił tę historię z życia Jezusa w coś groteskowego?

Zadzwoił telefon. Koroner z kostnicy.

- Z karty dentystrycznej wynika, że ofiara pożaru w Bayou St. John i Stephanie Jane Keller to jedna i ta sama osoba - powiedział.

Bentz i tak był już przekonany, że dziewczyna, która zginęła w pożarze, była przyjaciółką Dustina Tonwsenda.

- Jesteś pewien?

- Na sto procent. Parę lat temu miała plombowanych sporo zębów. Sprawdziłem zdjęcia rentgenowskie i rozmawiałem z dentystą. To twoja dziewczyna.

- Dzięki. - Bentz odłożył słuchawkę i postukał długopisem o notes leżący przy telefonie. Zrobiło mu się niedobrze. Widział w życiu wiele trupów, ale te zabójstwa były niewyobrażalnie makabryczne, dokonane przez jakiegoś religijnego maniaka. Przez księdza? Niemożliwe.

Myśl, Bentz, myśl. Złap go, zanim znowu uderzy.

Co łączyło trzy kobiety oprócz faktu, że zostały zamordowane w okrutny, dziwny sposób?

Wszystkie były młode, poniżej trzydziestki, dwie białe, choć Cathy -^{ams} była Mulatką. Morderca przekroczył bariery rasowe, co samo^w sobie było dziwne, ale się zdarzało. Zapisał to.

Dobrze, co jeszcze?

Dopóki nie zostanie zidentyfikowana kobieta spod pomnika Joanny d'Arc, ma tylko Cathy Adams i Stephanie Jane Keller. Musi porównać tryb życia, znajomych i ich przeszłość. Obie miały przyjaciół, chociaż Marc Duvall, sutener i przyjaciel Cathy Adams, znikł z miasta mniej więcej w tym czasie, kiedy została zamordowana i nadal jest podejrzanym.

Obie ofiary mieszkały same, Cathy w Garden District, Stephanie w Covington, niecałe dwa kilometry od mieszkania przyjaciela. Cathy studiowała w Tulane i dorabiała jako tancerka egzotyczna, Stephanie pracowała jako sekretarka w firmie ubezpieczeniowej i chodziła na studia wieczorowe w Loyola.

Blisko uniwersytetu w Tulane.

Zbieg okoliczności?

Bentz nie wierzył w zbiegi okoliczności. Zanotował to i pomyślał o trzeciej ofierze. Czy też studiowała na jednej z uczelni w Garden District?

Olivia Benchet studiuje w Tulane.

Zacisnął zęby. Nie podobało mu się to wszystko. Przerazała go myśl, że Olivia mogła mieć kontakt z zabójcą.

A ksiądz?

Księżda widziała jedynie Olivia w swojej wizji. Nie rzucaj się na głęboką wodę, Bentz. Potrzebujesz więcej dowodów, aby uwierzyć, że te kobiety zabija jakiś ksiądz.

To nie miało sensu. Jeszcze raz przejrzał notatki, które zrobił podczas rozmów z Olivia. Znalazł stronę z dziwnymi literami i symbolami. Zmrużył oczy. Znów coś związanego ze świętymi? Czy też wysnuwa za daleko idące wnioski... Chciał coś znaleźć za wszelką cenę. Dlaczego ksiądz miałby zabijać kobiety na wzór zamęczonych świętych? To nie miało sensu. Dlaczego Olivia widziała właśnie te morderstwa? W jaki sposób? Coś umykało Bentzowi, coś ważnego.

Przesunął dłonią po twarzy. Dobiegał go szum komputerów i rozmów. Jeszcze raz spojrział na notatki o świętej Cecylii. To samo. Oprócz... Poczł skurcz w żołądku, gdy zauważył datę. Dzień świętej Cecylii przypadał dwudziestego drugiego listopada. Tego dnia została zamordowana Stephanie Jane Keller.

Morderca zabił ją dwudziestego drugiego listopada nie ze względu na rocznicę zabójstwa prezydenta Kennedy'ego, lecz dlatego, że był to dzień świętej Cecylii.

Przerzucił notatki o Joannie d'Arc. Jej dzień wypadał trzydziestego maja. Niezidentyfikowaną ofiarę znaleziono o stóp pomnika trzydziestego pierwszego maja, ale mogła zginąć przed północą, czyli trzydziestego.

Spalona na stosie? Gdzie? Cholera! Z kim mieli tym razem do czynienia? Z kolejnym psychopata?

I kiedy znów uderzy? Boże, jeśli Bentz dobrze pamiętał z lekcji religii, prawie codziennie przypada dzień jakiejś świętej.

Pot wystąpił mu na czoło. Nie ma zbyt wiele czasu.

O ile się nie mylisz. Może łączysz ze sobą fakty, które nie istnieją?

Akurat. Wiedział, że ma rację. Szaleniec wykorzystywał dni świętych patronów do swoich brudnych celów.

Nagle Bentz poczuł, że musi się napić. I zapalić.

Wysunął szufladę biurka i poszukał kawałka gumy nikotynowej. Nie dostawał takiego kopniaka, jak przy zaciągnięciu się camelem, ale musiało wystarczyć. Na razie. O drinku nawet nie ma mowy.

Złapał marynarkę, plakietkę identyfikacyjną i pistolet, wyłączył komputer i powiedział sekretarce, żeby Montoya zadzwonił do niego, jeśli jeszcze się pokaże. Wyszedł na zalane deszczem ulice i z komórki zadzwonił na pa-ger partnera, otwierając jednocześnie dżipa. Postanowił pojechać w jedyne miejsce w mieście, którego przez bardzo długi czas udało mu się unikać.

Z zaciśniętymi zębami i głową pełną gorączkowych myśli przejechał przez miasto, zniecierpliwiony dużym ruchem. Jak na ironię miejsce, którego unikał, stało się teraz tak ważne, że ryzykował przekroczeniem prędkości, aby się do niego dostać. Wycieraczki zmiatały strugi deszczu z szyby, radio policyjne nadawało komunikaty, ale Bentza na drodze do celu zatrzymałaby tylko informacja o złapaniu w Nowym Orleanie szatana.

Wreszcie zobaczył przed sobą kościół. Miejsce wiary. Jego kościół parafialny, o ile należy do jakiejś parafii. Odkąd przeprowadził się do Nowego Orleanu, był tu może z pięć razy. Zawsze z Kristi. Na Boże Narodzenie, czasem na Wielkanoc. Jedynie przy tych okazjach, a i to nie zawsze. Wszystko zależało od tego, jaki miał stosunek do Boga, kiedy nadchodziły święta. Zaparkował na ulicy i spojrzał na wysoką wieżę kościoła świętego Łukasza. Podświetlona reflektorami, wieża wyrastała w noc, jakby przecinała chmury, niepokonana deszczem.

Co za ironia, że James tutaj wylądował, pomyślał.

Chyba że sam poprosił o przeniesienie.

To byłby szczyt wszystkiego. Kilka razy zastanawiał się, dlaczego J^o przyrodni brat zamieszkał właśnie w tym mieście.

Schował kluczyki do kieszeni i nie stawiając kołnierza, podbiegł do głównych drzwi. Ktoś, dawno temu, powiedział mu, że Bóg jest cierpli-^{wv} - Miał nadzieję, że mówił prawdę.



Wybraniec miał poważny problem. A tym problemem była kobieta. Czuł jej obecność i wiedział, że to tylko kwestia czasu, nim przywiedzie do niego policję. Znał jej imię i nazwisko. Olivia Benchet. Uważała się za osobę ze zdolnościami parapsychofizycznymi. Tak jak jej babka, kapłanka wudu. Wybraniec wiedział wszystko o Yirginii Dubois.

Przeprowadził dokładne badania. Konieczne, żeby zrozumieć wroga. Tylko tak można było zwyciężyć.

Stojąc pod gorącym prysznicem, skrzywił się pogardliwie na myśl o policji. Głupcy. Idioci. Z całym tym swoim wyszukaniem sprzętem, komputerami i ludźmi nadal kręcili się w kółko. Słuchał konferencji prasowej, podczas której ostrzegano mieszkańców miasta przed maniakiem zabójcą i zapowiadano podanie dodatkowych szczegółów w niedługim czasie.

Co za żart. Policjanci nie chcieli zdradzać zbyt wiele z obawy, że ktoś zacznie go naśladować albo przyzna się do morderstw, których nie popełnił.

Dlatego byli ostrożni.

I głupi.

Wziął brzytwę i zaczął się golić. Najpierw jednym cienkim ostrzem, potem drugim i w końcu trzecim. Brzytwy były ostre, precyzyjne i delikatnie pieściły skórę, usuwając wszelkie ślady włosów. Zaczął od linii włosów, twarz, szyja, klatka piersiowa, pachwiny - wszędzie, gdzie rósł choćby jeden włos. Szczególnie uważał na wrażliwe okolice krocza. Starannie ogolił też nogi, przyglądając się, jak ciemne włosy, wraz z pianą, spływają do odpływu.

Obok prysznicza zainstalował duże lustro i przez szklane drzwi kabiny widział swoje odbicie - nagie i czyste, ze skórą czerwoną od gorącej wody, z mięśniami pod naciągniętą skórą, widocznymi dzięki codziennym ćwiczeniom. Miał mokre włosy i zastanowił się, czy nie ogolić też głowy. Powinien to zrobić, bo zdradziłby go nawet pojedynczy włos zostawiony na miejscu morderstwa. Jednak taka zmiana wyglądu wzbudziłaby podejrzenia, a poza tym duma i próżność wygrały z ostrożnością. Na razie tego nie zrobi. Zaczesał mokre włosy do tyłu. Może kiedyś...

Kiedy wyszedł spod prysznicza, nie wytarł się, lecz pozwolił, by chłodne powietrze wysuszyło skórę. Znalazł następną ofiarę. Miał duży wybór spośród licznych grzesnic, ale ta ruda nadawała się doskonale. Obserwował ją od kilku tygodni, zastanawiając się, czy warta jest złożenia w ofierze. Nabrał pewności, kiedy się do niej odezwał. Gdyby tylko wiedziała, jak zmieni jej duszę. Podszedł boso po gładkiej drewnianej podłodze do szafy i sięgnął po medalik, bardzo specjalny medalik na cienkim łańcuszku.

Święta Katarzyna z Aleksandrii.

Na myśl o posłannictwie krew zaczęła szybciej krążyć w jego żyłach. Dziś... Przed północą. Wyobraził sobie, jak błaga o litość, modli się i wyrzeka grzechu, płacze, ofiarowuje mu siebie... Niezależnie od wszystkiego jej krew popłynie.

Zawiesił łańcuszek na rękę i ponownie spojrzął w lustro. Dziś będzie dobrze. Tak, kolejna ofiara...

Ale później będzie musiał ocenić wszystko na nowo. Ponieważ wnuczka Yirginii Dubois, córka tej kurwy, Bemadette, mogła popsuć mu plany. | Chyba żeby została jedną z męczennic.

Uśmiechnął się. Musi umrzeć. Stanowi zagrożenie, a poza tym musi ją zabić z powodów osobistych, o których ona sama nie ma jeszcze pojęcia. Były oczywiście inne kobiety, przeznaczone do wcześniejszych ofiar, lecz w tym szeregowym przypadku może zmienić plany.

Święta Olivia. Ładnie brzmi.

Bardzo ładnie.

Rozdział 2 1

Ktoś przyszedł do księdza... Policjant - powiedziała Wanda, sekretarka, jednocześnie stukając do drzwi i je otwierając.

Ojciec James McClaren spojrzął znad okularów i w uniesionych białych brwiach Wandy zobaczył ciekawość. Chuda i pomarszczona, z okrągłymi sowimi oczami za grubymi szklami, nerwowo oblizwała wargi.

- Nazywa się... Jak? - Odwróciła się i James usłyszał głęboki męski głos, który natychmiast rozpoznał. - Ach, tak, Richard Bentz - dodała, spoglądając na ojca McClarena.

Jamesa ścisnęło coś w piersi. Cicha klasyczna muzyka, której słuchał, gdzieś odpłynęła. Co sprowadza tu jego przyrodniego brata? Coś najgorszego. Kristi. Jamesowi zaschło w ustach.

-Niech wejdzie - powiedział, odwracając się od monitora komputera. Kazanie na przyszły tydzień musi poczekać.

Wanda odsunęła się, żeby przepuścić Bentza. James wiedział, że nie czeka go nic przyjemnego. Każda rozmowa z Bentzem kończyła się kłótnią.

- Witaj, ojcie - powiedział Bentz, witając go skinieniem głowy. Ja-nies, stojąc, zmusił się do uśmiechu.

- Dziękuję pani - rzucił, spoglądając kątem oka na kobietę, wciąż tkwiącąw drzwiach. Zrozumiała aluzję i wyszła, zamykając za sobą drzwi. James wyciągnął rękę przez biurko. Trochę się uspokoił. Gdyby naprawdę coś stało się Kristi, widziałby to na twarzy Bentza. Tymczasem przyrodni brat wyglądał na zaniepokojonego, ale nie na zrozpaczonego.

- Dawno cię nie widziałem. Jak się masz, Rick? Bentz uścisnął jego dłoń krótko, lecz silnie.

- W porządku.

Usiadł na jednym z krzeseł dla gości. James jako chłopiec podziwiał starszego brata. Byli ze sobą bardzo związani i zawsze mógł liczyć na Ricka. Kiedy dorastali, brat nauczył go grać w bejsbol, strzelać i podkradać ojcu alkohol. Rick wyśmiewał pobożność Jamesa, ale kiedy chłopaki w szkole, pod przewodnictwem Freddy'ego Masona, sprowokowali bójkę, nazywając go maminsynkiem, Rick pogonił wszystkich i później sam dołożył bratu, stwierdzając, że faktycznie jest maminsynkiem i że nie powinien afiszować się ze swoim Bogiem i Kościołem oraz nauczyć się bić.

W następnym tygodniu James poprosił Ricka, żeby nauczył go boks i rok później, gdy urosł piętnaście centymetrów i przybyło mu piętnaście kilo, potrafił sam się obronić. James zawsze podziwiał swojego silnego przyrodniego brata, dzieciaka, który nie znał ojca, policjanta zabitego na służbie.

Mimo tego, drogi Jamesa i Ricka rozeszły się w końcu, a później James zdradził brata. I od tamtej pory za to płacił.

- A co u ciebie? - spytał Rick zdawkowo i bez uśmiechu. — W porządku?

- Nie narzekam. - Wciągając powietrze, James zadał pytanie, które męczyło go od wielu miesięcy. - Jak się ma Kristi?

- Dobrze.

- Uczy się?

- Tak. - Wyzywający wzrok Ricka prowokował go do dalszych pytań.

- Studiujecie w Ali Saints?

- Zgadza się.

-I wszystko u niej w porządku?

- Już mówiłem.

- Przyjedzie do domu na Święto Dziękczynienia? — James zainteresowany był każdym najmniejszym fragmentem informacji z życia córki, która jeszcze kilka miesięcy temu wierzyła, że jest jej stryjem.

-Tak.-Na twarzy Bentza zadrgał mięsień, jakby i on pomyślał o tamtej scenie, gdy wręczył Kristi list od matki oraz zostawił wiadomość Ja-

mesowi na temat tego, co zrobił. James spodziewał się jakiegoś odzewu ze strony Kristi i boleśnie się rozczarował, gdyż dziewczyna powiedziała mu, żeby się odpięprzył, kiedy do niej zadzwonił. Te słowa wciąż dźwięczały mu w uszach.

„Nie dzwoń do mnie więcej, dobrze? Jesteś cholernym hipokrytą! nie chcę też, żebyś się za mnie modlił. Daj mi spokój!” - krzyknęła i rzuciła słuchawkę.

Modlił się za nią godzinami. W nadziei, że ją zobaczy. Że z nią porozmawia i wyjaśni... Gdyby tylko wiedziała, jak bardzo kochał jej matkę... Może bardziej niż Boga. Kiedy Jennifer powiedziała mu, że jest w ciąży i że to jego dziecko, zaofiarował się, że przestanie być księdzem, przyjmie na siebie wściekłość brata, wściekłość Boga i nawet wykluczenie z Kościoła, ale ona odmówiła... Nie chciała skandalu, więc przez jakiś czas wszystko ukrywali. Teraz w dalszym ciągu odczuwał ten sam wstyd i wyrzuty sumienia.

Rick spoglądał na niego wściekłym wzrokiem.

- Nie przyszedłem rozmawiać o Kristi - rzucił szorstko. James skinął głową, starając się zignorować uczucie pustki, jakie ogarniało go za każdym razem, gdy myślał o córce.

- Wiem. Cieszę się, bo już się bałem, że coś jej się stało i dlatego tu jesteś.

- Nie chodzi o nią.

- Dobrze, ale... - Rozłożył ręce, zastanawiając się, dlaczego tak wiele ich dzieli. Liczył na boską pomoc, ale z jakiegoś powodu Bóg nie zamierzał pomagać ich rodzinie, i to także było winą Jamesa, ponieważ nigdy nie zapomniał Jennifer i po latach od urodzenia Kristi



on i matka tego dziecka znów zgrzeszyli. Odchrząknął. - Martwiłem się... Wiesz, Kristi nie odpowiada na moje listy ani na e-maile.

- Daj jej spokój - powiedział Bentz, zaciskając usta.

-Ale...

-Powiedziałem: daj jej spokój. Skontaktuje się z tobą, jeśli zechce. Do tego czasu zostaw ją w spokoju.

-Modliłem się i...

Bentz prychnął w sposób typowy dla niedowiarków, jednak James nie czuł się wywyższony przez wiarę. Takie poczucie wyższości było grzechem. Nawet ci, którzy desperacko potrzebowali bożej miłości, czasami odrzucali próby Jamesa doprowadzenia ich do Boga. Wobec tych, którzy nie umieli odnaleźć wiary, odczuwał

rozpacz, a czasem, niestety, wyższość. Ale nie dzisiaj. Nie kiedy dotyczyło to Kristi. James nie mógł polegać na wierze, ponieważ obraził Boga i zranił swojego brata. Nic dziwnego, że

Bóg nie chciał go słuchać. Kiedyś Rick Bentz był idolem, którego James podziwiał i naśladował.

To się jednak zmieniło, gdy James poznał Jennifer. Tamten weekend na zawsze odmienił ich życie.

- Przyszedłem służbowo - wyjaśnił Bentz, pochylając się nad biurkiem. - Mamy kolejnego zbrojnego, seryjnego mordercę.

- Widziałem w wiadomościach.

- Są takie rzeczy, o których nie mogę mówić, rzeczy, których nie zdradzamy publicznie i jestem tu jako... penitent czy ktoś, kto przychodzi do spowiedzi, czy jak to się dziś u was nazywa. - Machnął lekceważąco ręką. - Chcę się tylko upewnić, że to, co powiem, nie wyjdzie poza ten pokój. To sprawa między tobą, mną i Bogiem.

- Jeżeli tak sobie życzysz...

- Owszem. - Rick był śmiertelnie poważny. James to znał. Bentz zawsze przybierał ponury skupiony wyraz twarzy, czy to przed bójką w szkole, czy wtedy, kiedy walnął Jamesa pięścią w twarz i złamał mu nos. James w ogóle się tego nie spodziewał, nie wiedział jednak, że Jennifer przyznała się Rickowi, że ojcem dziecka jest jego przyrodni brat. To jedno uderzenie stało się symbolem rozłamu. James usilnie się starał naprawić stosunki między nimi, odgrywać rolę stryja wobec własnej córki, na co Rick niechętnie pozwolił, przypuszczalnie tylko po to, aby ukryć prawdę przed Kristi.

- Dobrze, zapewniam cię, że wszystko zostanie między nami. Bentz zacisnął usta, ale nie skomentował słów brata.

- Morderca zabił trzy kobiety. O nich wiemy, ale być może jest ich więcej. Wszystkie mają ze sobą coś wspólnego, ale najważniejsze jest to, że, moim zdaniem, zostały zamordowane w dni świętych patronek.

- Co? - James sądził, że się przesłyszał.

- Wygląda na to, że celowo były mordowane w określone dni. Mam na to dowody.

- O, Boże - szepnął James i szybko się przeżegnał. - Ale to może oznaczać dziesiątki, setki ofiar. - Wskazał na kalendarz, który wisiał nad biurkiem. - Dziś jest dzień świętej Katarzyny z Aleksandrii, patronki panien, filozofów, studentów i kaznodziejów.

- W jaki sposób zginęła? - spytał Bentz.

- Straszny. Jak zresztą wszyscy męczennicy. Proszę... - Przez chwilę szukał czegoś w biblioteczce, zanim znalazł grubą księgę, poświęconą świętym. Bentz podejrzewał coś ohydneho, zbrodni nie tylko wobec ofiar, lecz także wobec Kościoła. Sama myśl, że ktoś mógłby w taki sposób wykorzystać męczeństwo świętych, wydawała się nieprawdopodobna. Wprost diabelska.

James włożył okulary, otworzył księgę, spojrzął na spis treści i, przerzucając strony, znalazł to, czego szukał.

- Proszę. - Przesunął otwartą księgę po blacie biurka. Bentz zbladł.

- Torturowana na kole nabitym żelaznymi kolcami.

-Tak.

- Boże - szepnął Bentz, czytając opis. - Jej więzy w tajemniczy sposób się rozluźniły i żelazne kolce wypadły i zabiły tych, którzy na to patrzyli.

- Kiedy ta tortura się nie udała, ścięto jej głowę.

Bentz powoli pokiwał głową, nie mogąc oderwać oczu od tekstu.

- Podobno jej krew była biała jak mleko. - James podrapał się w szyję pod koloratką. - A wszystko dlatego, że nawracała ludzi na chrześcijaństwo. Obawiam się, że jeśli faktycznie zabójca naśladuje morderstwa świętych, będziesz miał pełne ręce roboty. I nie ograniczy



się tylko do kobiet. Mężczyźni i dzieci też są zagrożeni. Są setki świętych... Tysiące. - James zadrżał i spojrzął bratu prosto w oczy. - To niemożliwe.

- W imię Boga popełniono wiele niemożliwych rzeczy.

-Wiem.

Bentz przerzucał strony księgi z ponurym wyrazem twarzy.

- Czy mogę to pożyczyć?

- Oczywiście.

- Dziękuję. Jest jeszcze coś. Mam nadzieję, że pomożesz mi to wyjaśnić.

- Spróbuję.

Bentz sięgnął do kieszeni i wyjął kopie notatek, które Olivia zrobiła po swojej „wizji”, przedstawiającej kobietę przykutą łańcuchem w krypcie.

- Czy rozumiesz coś z tego? - spytał. - Czy te znaki mają coś wspólnego z którąś ze świętych? - postukał palcem w księgę.

James poprawił okulary. Z początku litery i symbole wydały mu się niezrozumiałe.

- Czy możesz powiedzieć o tym coś więcej?

- Tak... Jeśli są związane ze świętą, to jej dzień wypada w lecie. Chyba w sierpniu. Albo w lipcu.

- Filomena - powiedział James, kiedy zaczął łączyć litery. Wziął

książkę, ale jeszcze nim zaczął ją kartkować, wiedział, co w niej znajdzie.

- LUMENA, PAXTE, CUMFI. To po łacinie, ale trochę poplątane. Podobno te słowa znaleziono napisane czerwonymi literami w grobowcu

świętej Filomeny. Kiedy je przedstawiono, powstał napis: *Pax tecum, Filumena*, czyli „Pokój z tobą, Filomeno”.

- A symbole? - zapytał Bentz.

- Też pochodzą z grobowca. - James rzucił okiem na tekst. - Można je różnie interpretować, ale grobowiec tej młodej Rzymianki znaleziono w 1802 roku. Oprócz liter były tam rysunki lilii, palmy, strzał, kotwicy i bicia. Spójrz... - Pokazał prymitywne rysunki. - To jest lilia, która oznacza, że Filomena była dziewicą. Palma symbolizuje jej martyrologię, a broń tortury, którym ją poddano. - Wskazał strzały. - Nawet te krzywe kreski nad strzałą mają symbolizować ogień, ale, oczywiście, to są spekulacje, bo nie wiemy niczego pewnego. W grobowcu znaleziono także fiolkę z zaschniętą krwią, przypuszczalnie Filomeny.

- Z jej własną krwią? Dlaczego? James wzruszył ramionami.

- To jest tajemnica Filomeny. Niewiele o niej wiadomo. Mimo że miała lojalnych popleczników, Kościół się wahał; chyba nawet we wczesnych latach sześćdziesiątych podawał w wątpliwość jej świętość. Później znów ją odzyskała i dużo osób zwraca się do niej w potrzebie.

- Czyni cuda? - spytał sceptycznie Bentz.

- Tak. - James podał książkę bratu. - Uznano ją za świętą wyłącznie na podstawie jej wstawiennictwa.

- Chcesz powiedzieć, że spełnia prośby zawarte w modlitwach?

- Tak.

- A tobie jakąś spełniła? - zapytał Bentz, wstając i chowając do kieszeni kawałek papieru z symbolami i literami.

- Musiałbym najpierw poprosić. - James przesunął książkę z żywotami świętych. - Czy mogę ci jeszcze w czymś pomóc?

- Tak. - Bentz ruszył do drzwi. - Módl się.

- Zawsze to robię.

To go zaskoczyło. Obejrzał się i obrzucił Jamesa surowym spojrzeniem.

- Ja osobiście nie potrzebuję twojej modlitwy, chodzi mi wyłącznie o tę sprawę.

- Trudno jest przezwyciężyć stare przyzwyczajenia. - James obszedł biurko. - Daj mi znać, jeśli będę mógł ci w czymś pomóc.

- Dobrze. - Bentz położył rękę na klamce.

- I powiedz Kristi, że... Że jej dobrze życzę. Bentz zeszytniał i się odwrócił.

- I co jej z tego przyjdzie? Kristi wie, że jesteś kimś więcej niż jej stryjem. Rozumie tę sytuację. I niech sama decyduje. - Ból w jego oczach

przyćmił gniew. - Wystarczy, że dzieciak się dowiedział, że mężczyzna, który ją wychował, nie jest jej ojcem. A w dodatku jej prawdziwym ojcem okazał się stryj, który jest księdzem. To dość dla jednego dziecka, prawda?

- Tak... Wiem... To znaczy... - Wróciło stare cierpienie. - Bardzo mi przykro. Rozmawiałem z Bogiem. Gdybym mógł cofnąć czas...

- To co? Nie zadałbyś się z moją żoną? Nie zrobiłbyś jej dziecka? Kristi by się nie urodziła? - Bentz umilkł nagle, a żyły na szyi stały się mniej widoczne. - Przestań, James. I następnym razem pozwól, że to ja się będę modlił. Co ty na to? Ja pomodłę się za ciebie, dobrze? Wydaje mi się, że tobie jest to sto razy bardziej potrzebne niż mnie.

Z tymi słowami wyszedł, omal nie przewracając Wandy, która kręciła się w pobliżu drzwi. James westchnął, przeżegnał się i odmówił krótką modlitwę o przebaczenie. Tak jak robił to codziennie od osiemnastu lat.

Ale jego przyrodni brat miał rację. Gdyby nie uwiódł Jennifer, Kristi nie zjawiłaby się na świecie. Kiedy poznał żonę brata, studiował w seminarium. I pewnego razu, kiedy Jennifer i Rick byli w krótkiej separacji, zupełnie się zapomniał. Wciąż pamiętał smak słonej wody na jej skórze, gorący piasek plaży w Newport... Te wspomnienia towarzyszyły mu latami i gdy Jennifer znów mu siebie ofiarowała, wiele lat później, kiedy jej małżeństwo się sypało. Nie chciała już dłużej być żoną gliniarza, który niechcący zastrzelił dzieciaka w wieku Kristi, a potem zaczął pić... James starał się ją pocieszyć i w końcu wylądowali w łóżku, w domu jego brata.

Niestety, przyłapał ich in flagranti.

Nie minął miesiąc, a Jennifer Nichols Bentz nie żyła. Czy popełniła samobójstwo? James tak podejrzewał, choć orzeczono nieszczęśliwy wypadek. Jednak środki przeciwdepresyjne, alkohol i dobra pogoda nie wyjaśniały, dlaczego jej samochód zjechał z drogi i uderzył w drzewo.

Jamesa ścisnęło w gardle. Nic dziwnego, że brat go nienawidzi. Kristi miała rację. Jest hipokrytą, który powinien odejść z Kościoła. Tymczasem przez ostatnie osiemnaście lat błagał Boga o wybaczenie.

Nie mogłeś zostawić jej w spokoju, co? Nie mogłeś się powstrzymać. I umarła. Bóg pokarał nie tylko ciebie, lecz także twego brata i twoją córkę.

Ktoś cicho zastukał do drzwi i James podniósł głowę, spodziewając się, że to Bentz czegoś zapomniał i wrócił. Tymczasem do środka wszedł wielebny O'Hara. Był to wysoki elegancki mężczyzna o łagodnym głosie ¹ sposobie bycia, który wyróżniał go spośród innych. Delikatnie zamknął ^ sobą drzwi.

- Wszystko w porządku?

Co za żart. Nic nie jest w porządku.

- Chyba tak.

- Pani Landry powiedziała mi, że był u ciebie policjant. Oczywiście Wanda Landry uważała za stosowne o wszystkim go poinformować. Była plotkarką, pobożną plotkarką i czerpała przyjemność z rozprawiania o kłopotach innych ludzi. James podejrzewał, że zaangażowała się w łańcuszek modlitwy głównie po to, aby dowiadywać się o problemach bliźnich i przekazywać je dalej.

- Ten policjant jest moim przyrodnim bratem.

- Ach, tak. - Wielebny O'Hara zmarszczył czoło. - Nie wiedziałem, że masz tu rodzinę.

- Nie utrzymujemy bliskich kontaktów.

- Może to się zmieni...

- Może.

James nie zamierzał rozwodzić się na ten temat. Rodzina była jego sprawą. Ojciec Bentza pracował jako policjant i zginął na służbie. Jego żona wyszła za partnera męża, który traktował Rickajaka własnego syna. Ale chłopiec nosił nazwisko rodzzonego ojca, co było jednocześnie przywilejem i obciążeniem.

- A zatem nie ma żadnych problemów? - spytał O'Hara, uśmiechając się powściągliwie. Wielebny, mimo że przekroczył pięćdziesiątkę, regularnie ćwiczył i jego ciało nie miało ani grama zbędnego tłuszczu. Wydawał się szczerym, choć zamkniętym w sobie człowiekiem. James zdał sobie sprawę, że niewiele wie o swoim wieloletnim partnerze w parafii.

- Niema.

- To dobrze... Dobrze. Zobaczymy się później.

O'Hara uniósł rękę i wyszedł szybko, jakby nie chciał słyszeć o żadnych nieprzyjemnych sprawach. James został sam, siedząc za biurkiem w świetle lampy z zielonym abażurem. W pustym biurze rozbrzmiewały dźwięki wiolonczeli. Usiłował się modlić, ale nie znalazł ukojenia w rozmowie z Bogiem. Podszedł do okna i spojrzał na ciemne ponure niebo. Zerwał się wiatr i gałąź magnolii przy wejściu do kościoła znów uderzała o ścianę, jakby to Bóg nią poruszał, przypominając, że wie o wszystkim. James dobrze o tym pamiętał.

Oparł czoło o szybę i próbował wyobrazić sobie potwora chodzącego ulicami miasta. Człowieka zabijającego kobiety na wzór świętych męczennic. To obrzydliwe. Nienormalne. Kto mógłby wpaść na taki pomysł? I dlaczego, na litość boską?

Podejrzewał, że przyrodni brat nie zdradził mu wielu szczegółów. Czuł to, wpatrując się w ciemną noc. Rick musiał być naprawdę przejęty, skoro przyszedł do niego po pomoc.

A może to Bóg stara się coś mu powiedzieć? Może skierował do niego Ricka, żeby pokazać Jamesowi, że jest potrzebny. Ksiądz podszedł do biblioteczki i znalazł inną książkę poświęconą żywotom świętych. Jej strony były tak cienkie od wielokrotnego czytania, że niemal przezroczyste.

Opierając się o biurko, zaczął kartkować książkę, zerkając na wizerunki świętych. Malowane przez mistrzów, kanonizowane kobiety wydawały się cnotliwe, miłe i piękne. Takie, jakich pragnąłby każdy mężczyzna. | Jak Olivia Benchet.

I Dlaczego wciąż o niej myśli? Kilkanaście razy od ich ostatniego spotkania przypominał sobie jak wygląda i wyobrażał sobie rzeczy zdecydowanie nieprzy stojące księdzu.

| Znowu spojrzął na książkę. Olivia była tak samo piękna, jak wszystkie męczennice. | Przestań!

| Zamknął książkę, zastanawiając się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy tę kobietę. Na myśl o kolejnym spotkaniu, nawet krótkim, serce zabiło mu mocniej. Była uosobieniem niewinności połączonej ze słodkim i grzesznym urokiem, jedną z niewielu kobiet, która potrafiła zburzyć solidny mur, jaki wybudował wokół swego serca.

I Wiedział, że jest przystojny. Często mu to mówiono. Słyszał żarty | O tym, że szkoda marnować taki męski czar. Niektóre kobiety zastanawiały się, czy przypadkiem nie jest gejem. Udzielając porad wątpiacym, | cierpiącym czy smutnym, miał wiele okazji, aby złamać celibat. Młode wdowy szukały pocieszenia, kobiety porzucone kogoś, dzięki komu mogłyby sobie udowodnić, że nadal są atrakcyjne, notoryczne flirciary okazji do zaliczenia nowego i atrakcyjnego faceta. Nie przekraczał żadnych drzwi wiodących na pokuszenie. Nawet kiedy pokusa była tak silna, że musiał przez wiele godzin na zmianę stać pod zimnym prysznicem i klęczeć na zimnych kamieniach przed ołtarzem, modląc się o siłę do przezwyciężenia pożądania. I za każdym razem mu się udawało. Z wyjątkiem żony brata. Do dziś odczuwa bolesny wstyd.

Jeszcze przed kilkoma dniami z grzeszną dumą myślał, że już nikt nie odwiedzi go od ślubów celibatu.

I Bóg po raz kolejny udowodnił mu, że jest słabym i grzesznym człowiekiem.

Ponieważ wszystko się zmieniło, gdy spojrzał w brązowozłote oczy Olivii Benchet. I teraz obawiał się, że jest skazany na następny grzech.

Rozdział 2 2

Tak, święta Filomena, jedenastego sierpnia - powiedział Bentz do telefonu komórkowego. - Sprawdź, czy mniej więcej w tym czasie nie zgłoszono zagnięcia jakiejś studentki.

Boże, nie chciał w ogóle myśleć o tych młodych kobietach. Studentkach. Tak jak Kristi. Ona także studiowała stosunkowo niedaleko Nowego Orleanu. To go przerażało.

- Już zacząłem sprawdzać - odparł Montoya tak wyraźnie, jakby siedział tuż obok Bentza. - Naprawdę myślisz, że to jest związane z dniami świętych?

- Założę się o policyjny pistolet mojego taty.

- Cholera.

Przez ostatnie trzy godziny, odkąd wyszedł z kościoła świętego Łukasza, Bentz zajmował się morderstwem Stephanie Keller. Teraz jechał do Ouarter.

- Rozmawiałem z mechanikiem, który widział Stephanie Jane Keller, kiedy przyjaciel odwiózł ją do warsztatu. Pracował do dziewiątej i był w domu z żoną i z dziećmi piętnaście po dziewiątej. Pamięta tylko, że Stephanie spieszyła się na zajęcia. Ale nigdy nie dotarła na uniwersytet, jak twierdzi jej profesor. Na razie mechanik jest ostatnią osobą, która widziała ją żywą.

- Niech to szlag.

Bentz miał dokładnie takie same odczucia.

- Rozmawiałem z kilkorgiem z jej przyjaciół. Wszyscy uważają, że na pewno wybierała się na wykłady, co by się zgadzało, bo ani w samochodzie, ani w jej mieszkaniu nie ma książek i notatek, które ze sobą zabrała. Jej znajomi też są w porządku. Poprzedni facet, z którym się spotykała przed Townsendem, pracował razem z nią. Zerwali, bo przeniósł się do Bostonu. Ma alibi.

- Fantastycznie - mruknął Montoya zmienionym głosem, bo akurat zaciągał się papierosem. - A co z samochodem?

-Ekipa go sprawdza. Odkurzają, biorą odciski palców, szukają śladów krwi.

- Może coś znajdą.

- Wątpię - powiedział Bentz. - Moim zdaniem, facet zczekał, aż odejdzie kilka przecznic od warsztatu w kierunku uniwersytetu i ją porwał, może zaproponował, że ją podwiezie. Wydaje mi się, że on zna swoje ofiary. Musiał to być ktoś, komu ufała. Mam listę studentów z jej grupy i chcę sprawdzić, czy na pewno nie przyszła na zajęcia. W dzisiejszych czasach nie sprawdzają listy obecności.

- To źle.

- Fatalnie.

Wciąż nie było żadnych śladów, które pomogłyby w rozwiązaniu zagadki morderstwa Stephanie Jane Keller i każda upływająca godzina zmniejszała prawdopodobieństwo znalezienia zabójcy. Gdzie Stephanie go spotkała? Co się stało później? W jaki sposób została przetransportowana do domu w Bayou St. John?

- Bądź w kontakcie. Teraz jadę do radia, żeby sprawdzić, czy nie mieli jakichś wariackich telefonów. Potem jeszcze raz sprawdzę wszystko pod kątem świętych. Czy na przykład nie zaginęła jakaś studentka w dniu konkretnej świętej wiosną lub latem.

- Uważasz, że wrócił Różańcowy Zabójca? - spytał Montoya.

- Nie wiem, ale nie podoba mi się związek tych zabójstw z Kościołem. To coś w rodzaju *deja vu*. W końcu seryjni zabójcy są rzadkością, a ten facet w dodatku zostawia jasne przesłanie.

- Jego „podpis” jest inny - przypomniał mu Montoya i zaklął. W telefonie zabrzmiał klakson.

- Wiem, ale jeśli to nie jest ten sam człowiek, to istnieje szansa, że jest to ktoś, kto go znał.

-Co?

- Mentor czy ktoś w tym rodzaju.

- Hej, chyba wpadasz w przesadę.

- Może, choć mam wrażenie, że w jednym mieście nie zdarzają się dwaj seryjni mordercy, w jakiś sposób związani z Kościołem katolickim, którzy by się nie znali.

- Twoim zdaniem, należą do tego samego ekskluzywnego klubu?

- Porozmawiaj z ekspertem z FBI i ludźmi, którzy usiłują wyjaśnić znaczenie symboli świętej Filomeny.

- Cholera! Zajechał mi drogę! - Rozległ się przytłumiony szorstki dźwięk. Po chwili Montoya wrócił do telefonu. - Hej, Bentz, zgadnij, kto dziś do mnie zadzwonił.

Bentz zmienił pas.

- Nie mam pojęcia. Kto?

- Marlene, sekretarka Oscara Cantrella. Wiesz, o kim mówię? Chyba poskutkowało to, że ja wcześniej lekko postraszyłem oskarżeniem o utrudnianie pracy policji. W każdym razie dała mi numer komórki Cantrella. Nagrałem mu się. Na razie nie oddzwonił.

- Spróbuj jeszcze raz.

- Jasne. I potem ci przekażę, co powiedział. Wiesz co, Bentz, jeśli ktoś morduje kobiety w dni świątecznych męczennic, mamy przechłapanie. Prawie codziennie jest taki dzień.

- I dlatego musimy go powstrzymać. - Bentz zobaczył przed sobą budynek, w którym miała siedzibę stacja radiowa i zaparkował na miejscu dla samochodów dostawczych. Nikt już nie pracował. Wjechał na górę windą i natknął się na pracownika ochrony. Nie tak dawno radio było sterroryzowane przez szaleńca mordercę, sfiksowanego na punkcie doktor Sam.

- Dziś już nie ma wizyt - poinformował szorstko ochroniarz. Bentz pokazał mu odznakę policyjną.

- Szukam Samanty Leeds.

- Nie ma jej tu - upierał się potężny mężczyzna, nie ruszając się z miejsca.

- W porządku, Charlie - oznajmił głos za jego plecami i Bentz zobaczył chudą jak trzcina kobietę z krótkimi czarnymi włosami i ostrymi rysami twarzy.

- Jestem Trish LaBelle. Widziałam pana zdjęcie w gazecie. - Spojrzała na ochroniarza. - To jest ten policjant, który rozwiązał sprawę Różańcowego Zabójcy - powiedziała i znów zwróciła się do Bentza: - Sam przychodzi dopiero na jedenastą. Czy mogę panu w czymś pomóc? - Trish uśmiechnęła się.

- Chętnie zaprosiłabym pana do mojego programu teraz, kiedy znów grasuje kolejny morderca... Ach, to o to chodzi, prawda? - Zmrużyła oczy i Bentz wyobraził sobie, że w jej mózgu kręci się tysiące trybików. - Chwileczkę, przyszedł pan do Samanty. Dlaczego? Czy to ma coś wspólnego z Różańcowym Zabójcą? - Pstryknęła palcami. - Ciało nigdy nie znaleziono, prawda? - Nim zdążył odpowiedzieć, już wyciągała własne wnioski. - Tak! Uważa pan, że Różańcowy Zabójca zmartwychwstał. - Nie wydawała się przerażona, lecz zaciekawiona. - Proszę, niech pan wystąpi w moim programie!

-Nie teraz.

- Za parę dni? Musimy to wcześniej zareklamować we wszystkich audycjach.

-Nie.

- Proszę, niech się pan zastanowi.

- Czy mogłaby pani powiedzieć Samancie, że jej szukałem?

- Zmyłkowy Bentz! - wykrzyknął zmysłowy kobiecy głos. Bentz się odwrócił. Samanta Leeds strzepnęła krople deszczu z parasola, po czym wyprostowała się i odgarnęła z twarzy rude włosy. Mrugnęła, zadowolona z własnego dowcipu.

- Bardzo zabawne - powiedział z wymuszonym uśmiechem.

- Tak myślałam. Miło pana znów zobaczyć - stwierdziła, obrzucając go spojrzeniem błyszczących zielonych oczu. — Co się dzieje? Szuka pan darmowej porady w audycji radiowej?

- Nie w tej chwili - odparł i przeszedł do sedna: - Muszę z panią porozmawiać, jeśli ma pani chwilę czasu.

- Dla mojego ulubionego gliniarza zawsze.

Poprowadziła go labiryntem korytarzy, obok pokoi z wyposażeniem dźwiękowym i oszklonych sal studyjnych, do małej salki jadalnej. Położyła torbę na okrągłym stoliku i usiadła na jednym z plastikowych krzeseł.

- Zanim przejdziemy do poważnych spraw, niech mi pan powie, co u pana słychać?

- Nie narzekam.

-Nie?

- A pani?

- Ja też nie. Wychodzę za mąż - oznajmiła z szelmowskim uśmiechem. - W przyszłym miesiącu. Dostanie pan zaproszenie.

- Myślałem, że nie chce pani mieć nic wspólnego z mężczyznami.

- To prawda. Później poznałam Tya. Co mogłam powiedzieć?

- Przypuszczam, że „tak”. Oparła się wygodniej.

- Zwykle tak się dzieje, że kiedy ma się zamiar zrezygnować z jakichkolwiek kontaktów z przeciwną płcią, spotyka się kogoś specjalnego. Niech pan uważa, bo i panu się to zdarzy.

Chciał polemizować, ale dał spokój.

- Wierzę pani na słowo. W końcu jest pani psychoanalityczką. Jak się miewa Ty?

Uśmiechnęła się szerzej.

- Kończy książkę o Różańcowym Zabójcy. W przyszłym tygodniu Zsyłają do agenta. - Westchnęła. - Później zabierze się do przygotowań do ślubu, ale nie przypuszczam, by przyszedł pan tutaj, żeby się dowiedzieć, ile będę miała druhen i czy wynajmę firmę cateringową. Co ^ię dzieje?

Pochylił się do przodu, opierając łokcie na stole. ~ Byłem ciekaw, czy dostaje pani jeszcze te zwariowane telefony?

- Chodzi panu o te bardziej zwariowane niż zwykle? Ludzie, którzy dzwonią o drugiej czy trzeciej nad ranem, nie są całkiem normalni.

- Chodzi mi o takie telefony, jakie dostawała pani zeszłego lata od Ojca Johna.

- Nie. - Spoważniała. - Dlaczego pan pyta? Kto miałby dzwonić?

- Mam nadzieję, że nikt. - Powiedział jej to, co mógł, o najnowszej serii morderstw i mimochodem zauważył, że Trish LaBelle stoi blisko drzwi, chłonąc każde słowo. Postanowił ją zignorować. - Sposób popełniania zbrodni i ślady, które zostawia morderca, różnią się od tych Ojca Johna, mam jednak wrażenie, że istnieje między nimi jakiś związek. Seryjni mordercy są rzadkością, a teraz mamy już drugiego w ciągu pół roku. To dziwny zbieg okoliczności.

- Sądzi pan, że ktoś bawi się w naśladowanie? - spytała, marszcząc czoło.

Trish weszła do pokoju.

- On myśli, że Ojciec John nie zginął na bagnach. - Wysunęła krzesło i usiadła. - Przepraszam, mogłabym udawać, że usłyszałam niechcący, ale podsłuchiwałam.

- Pięknie - mruknęła Samanta. Bentz przypomniał sobie, że obie kobiety się nie lubią. Pracowały w rywalizujących ze sobą stacjach radiowych, prowadząc programy na żywo, a potem, zeszłego lata, Trish przeszła do WSLJ.

Trish zignorowała sarkazm Samanty.

- Muszę panu powiedzieć, że te makabryczne sprawy naprawdę mnie fascynują.

- Nie musiałaś tego przeżywać - powiedziała Samanta. Bentz spojrzał na chudą kobietę zmrużonymi oczami.

- Naprawdę? Fascynują panią?

- Mhm. - Założyła nogę na nogę i pochyliła się do przodu, opierając łokieć na stole. Na łokciu oparła brodę. - Marzę o tym, aby spędzić z panem trochę czasu, towarzyszyć panu przy pracy, jeździć na miejsca zbrodni, obserwować, jak szuka pan śladów i usiłuje schwytać przestępcę. Wie pan, takie rzeczy.

- To może być bardzo nieprzyjemne. W niektórych sytuacjach dorośli mężczyźni potrafili zwrócić obiad.

- Mnie to nie grozi - stwierdziła, unosząc brwi i uśmiechając się z fałszywą skromnością. Dopraszała się, żeby się wkręcić do sprawy, nawet z nim flirtowała, by osiągnąć cel. Samanta doskonale to widziała. Bentz przypomniał sobie spalone i okaleczone ciało ostatniej ofiary i g⁰tów był się założyć o dwutygodniową pensję, że Trish LaBelle zemdlą

by na widok martwego człowieka. - Byłoby to interesujące i pouczające. Jestem pewna, że potrafiłabym to później wykorzystać w moim programie.

-Nie sędę.

- Zadzwońię do Eleanor Cavalier. Na pewno poprze mój pomysł.

-Niech pani da sobie spokój z zwracaniem głowy szefowej. - Trzeba to było zdusić w zarodku. - Nie ma mowy o pani udziale w śledztwie. To wbrew przepisom.

Trish nie wyglądała na zniechęconą.

- Czytałam o panu, Bentz. Nie zawsze działa pan zgodnie z przepisami.

- Powiedział, że nie, Trish. Chyba możesz to zrozumieć - wtrąciła się Samanta.

Trish zmarszczyła brwi.

- Posłuchaj, chcę, żeby wziął udział w moim programie.

- Niech robi, co chce. - Samanta spojrzała na Bentza.

- Jeszcze się na nic nie zgodziłem - powiedział, wstając i kończąc rozmowę. - Niech mi pani da znać, gdyby zaczęły się jakieś niepokojące telefony.

- Czy mam się bać? - spytała Trish.

- Każdy powinien się bać. Nie mówię, że morderca jest tą samą osobą, ale nie wiem niczego pewnego. Jest na wolności, jest niebezpieczny i dopóki go nie złapiemy, nadal będzie zabijał.

L Samanta potarła ramiona, jakby przypomniwała sobie te straszne chwile z zeszłego lata. Nawet Trish spowaźniała, choć nie zamierzała się tak łatwo poddawać.

- Dlatego powinien pan wystąpić w moim programie - nalegała. -Żeby ostrzec ludzi.

- Rzecznik policji wydał oświadczenie. Trish nie ustępowała.

- Wiem, ale przez radio dotarłby pan do większej liczby ludzi. Przeprowadziłabym z panem wywiad, który częściowo moglibyśmy powtarzać w ciągu dnia, nawet w programie Samanty. WSLJ ma wielu słuchaczy.

- To usłyszą o tym w wiadomościach.

- Niektórzy wcale nie słuchają wiadomości. A moje programy są bardzo popularne. - Była teraz w swoim żywiole, żywo gestykulując, ^by mogła go przekonać samymi gestami i skromnymi uśmieszkami. -"yswiadczyłby pan przysługę mieszkańcom naszego miasta. Niech się Pan zastanowi.

- Dobrze - powiedział, podnosząc się z krzesła. - Pomyślę. Ale niech pani nie robi sobie wielkich nadziei. A panią, Samanto, proszę o kontakt, gdyby coś panią zaniepokoiło.

- Gdyby niepokoiła się dziwnymi telefonami, już dawno musiałyby zrezygnować z pracy - zażartowała Trish. Samanta zignorowała jej słowa.

- Na pewno to zrobię - obiecała. - Dziękuję za ostrzeżenie. Powiem Tyowi, że przyjdzie pan na nasz ślub.

- Nic nie byłoby mnie w stanie powstrzymać - powiedział, wychodząc, choć nie mówił prawdy. Własne doświadczenia nastawiły go sceptycznie do instytucji małżeństwa. Życzył im obojgu jak najlepiej, nie wierzył jednak w małżeńskie szczęście.

Olivia wyszła z wanny w zaparowanej i ciepłej łazience. Wytarła się i posmarowała olejkami. Miała za sobą długi dzień. Długi i męczący. Zwłaszcza emocjonalnie. Jeszcze raz przypomniała sobie rozmowy z matką, Bentzem i z księdzem McCIarenem. Nic dziwnego, że od paru godzin męczył ją uporczywy ból głowy. Połknęła cztery tabletki przeciwbólowe i weszła na pół godziny do wanny, mając nadzieję, że długa kąpiel ją rozluźni i powstrzyma atak migreny.

Niestety, nie pomogło. Wsuwając ręce w rękawy szlafroka, spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Upięła włosy na czubku głowy, ale luźne kosmyki wiły się wokół twarzy. Odbicie w zaparowanym lustrze było lekko zniekształcone, ale po chwili na szybie pojawiły się sznureczki wody, likwidując parę i dając wyraźniejszy obraz, nie tylko jej twarzy, lecz także czegoś ciemniejszego, co tkwiło pod powierzchnią.

- O, nie - szepnęła przerażona. Nie!

Zobaczyła duże drewniane koło nabite kolcami. Obracało się powoli, chwilami znikając za zaparowaną powierzchnią. Oliwię ścisnęło coś w żołądku.

-Nie... Nie...

W lustrze pojawiła się umęczona twarz kobiety. Olivia odskoczyła tak gwałtownie, że uderzyła plecami o wieszak na ręczniki. Kobieta krzyczała, oczy wychodziły jej na wierzch z bólu i przerażenia. Ciemne włosy miała zlepione krwią.

Olivia zaczęła się trząść.

Koło obracało się, znikając i wyłaniając się zza pary na szkle. Olivu brakło tchu. Ból głowy stał się nie do wytrzymania. Znieruchomiała ze zgrozy, wpatrywała się w lustro.

W miarę jak para znikąca, Olivia widziała wyraźniej mroczne wnętrza. Słyszała krzyki torturowanej kobiety i spadające krople wody, a potem zobaczyła nagą kobietę rozpiętą na kole. Ostre szpikulce wbijały się w jej ciało.

- Nie, proszę, nie...! - krzyczała. - Litości! Ból głowy jeszcze się nasilił.

- Ratunku! Na pomoc! Na litość boską, ratujcie... — Jej drżący głos wzmagając ból głowy i odbijał się echem w mózgu Olivii.

- Puść ją, ty draniu! - krzyknęła Olivia. I zobaczyła coś jeszcze. Błyszczało w wilgotnym odbiciu. Zagięty miecz z lśniącym w słabym świetle ostrzem.

-Nie! Nie! - krzyczała kobieta. - Jak możesz mi to robić? Zaufałam ci. Błagam, zrobię wszystko, co zechcesz. Ostrze spadło w dół.

- Nie! - Olivia zerwała ręcznik z wieszaka i zaczęła gorączkowo wycierać lustro, wpatrując się w odbicie własnych przerażonych oczu. Gdyby tylko mogła zobaczyć coś więcej, odkryć, gdzie to się działo... Obraz się zmienił, umęczona twarz kobiety znikła w cieniu, a na jej miejscu pojawił się nowy wizerunek. Serce jej zamarło, gdyż była pewna, że widzi przed sobą zło w najczystszej postaci. Lodowato niebieskie oczy, otoczone czarną kominiarką...

Potem usłyszała swoje imię, tak wyraźnie, jakby je naprawdę wypowiedział. Olivia.

- O, Boże. - Znów się cofnęła. Święta Olivia.

- Nie! - Rzuciła się do lustra. - Kim jesteś, zbrodniarzu?! - zawołała, waląc pięścią w zamaskowaną twarz. Kawalki rozbitego lustra wpadały do umywalki. Pozostało zniekształcone niepełne odbicie, w kawałkach, które jeszcze tkwiły w ramie. - Ty wredny, chory skurwysynu! -Ból przeszył jej dłoń. - Kim jesteś?! - krzyknęła z płaczem.

Na korytarzu Hairy S czekał jak szalony, drapiąc w drzwi łazienki.

Z ręki kapłała krew, rozpryskując się na błyszczących kawałkach szkła w umywalce.

Głowa jej pękała. Pies skowyczał. Olivia wciąż miała przed oczami obraz torturowanej kobiety, rozpiętej na obracającym się kole.

- Boże, dopomóż - szepnęła Olivia. Po jej twarzy płynęły łzy. - Boże, dopomóż. - Cofnęła się i otworzyła drzwi. Na korytarzu osunęła się na podłogę.

Hairy S zaskomlał. Wzięła go na ręce i schowała twarz w jego sier-^{SCL} Co ma robić? Jak go powstrzymać? Jak? Potarła dłonią twarz, wyciekać łzy i rozmazując krew na policzkach.

Coś musi zrobić... I to szybko.

Morderca znów dziś zabił.

I będzie dalej zabijał.

Święta Olivia.

Słyszała to tak wyraźnie, jakby morderca naprawdę się odezwał. Zamierza ją zabić. Była tego pewna. Zamierza ją zamordować. Bestialsko zamordować.

Chyba że... Och, Boże... Chyba że znajdzie sposób, aby go powstrzymać.

Rozdział 25

Bentz znów był w drodze i rozmawiał przez telefon komórkowy. Udało mu się złapać Norma Stowella.

- Ma pan poważny problem - powiedział specjalista od profiliw psychologicznych, gdzieś z Arizony. On także rozmawiał przez komórkę i czasem tracił zasięg. - Większość seryjnych morderców zaczyna w wolniejszym tempie i przeżywa to, co zrobili przez kilka tygodni, a nawet miesięcy, nim znów czują potrzebę zabijania- poinformował Norm. Bentz zahamował za ciężarówką z jednym tylnym światłem. - W miarę upływu czasu wspomnienie nie wystarcza na długo i morderca skraca czas między kolejnym zabójstwami. Tutaj jednak jest inaczej. Jeśli ma pan rację co do związku z dniami świętymi, pański morderca ma zielone światło. Każdy dzień poświęcony świętej jest dla niego odpowiedni i dopasuje go do swojego planu.

Bentz nie chciał w to wierzyć.

-Ale morderstwa są zaplanowane. Wymagają rekwizytów i miejsca. Musi namówić swoją ofiarę, żeby z nim poszła albo wpuściła go do siebie. Szalenie ryzykuje. Weźmy na przykład pożar na Esplanade. Jakiś przechodzień z psem mógł go zauważyć wcześniej i zabójca byłby złapany. A podrzucenie ciała nieznanej kobiety pod pomnikiem na głównej ulicy miasta? To przecież ryzykowne.

- On z pana szydzi. Mówi: „Zobacz, co mogę zrobić”. Chce, żeby pan go szukał. Lubi się pokazać, uważa, że jest sprytniejszy. To może być ktoś związany z policją. Niech pan szuka mężczyzny związanego z firmą ochroniarską albo z policją.

- Świadek mówi, że to ksiądz.

- Na pewno nie zwykły ksiądz. Niech pan szuka księdza, który ma kontakty z policją. I niech pan nie zapomina, że on sądzi, iż wypełnia jakąś bożą misję. Czuje się mocny, myśli, że ma Boga po swojej stronie, czuje się niezwyciężony. Tym większa szansa, że popełni jakiś błąd.

- Mam nadzieję.

Bentz wyminął wielką ciężarówkę bryzgającą błotem i włączył wycieraczki.

- Mam wrażenie, że morderca zna swoje ofiary. To część jego gry, to go podnieca. Udaje mu się sprawić, aby mu zaufały. Nie było śladów włamania u tej dziewczyny z Garden District, prawda? To musi być czarujący człowiek, kobiety się go nie boją, a on zaczyna o nich myśleć jak o świętych albo żeby zrobić z nich święte. Mówił pan, że dwie z jego ofiar były studentkami? To jest ślad. Nie zaczepia przypadkowych kobiet. Ma z nimi wcześniej kontakt. I przez cały czas się przygotowuje. Nie ma śladów kontaktów seksualnych?

-Nie.

Zapadła dłuższa chwila ciszy, gdy słyszał jedynie szmer kół dzipa i hałas ulicy.

- To dziwne. Przypuszczalnie ma coś wspólnego z celibatem. Albo jest impotentem. Przeważnie morderstwo podnieca zabójcę. Zakładam, że jest pan w kontakcie z okolicznymi uczelniami?

Bentz z całej siły zacisnął palce na kierownicy. Żołądek palił go na myśl o śledzonych i torturowanych studentkach. Pomyślał o Kristi i poczuł się jeszcze gorzej.

- Usiłujemy sprawdzić, czy te dwie ofiary się znały, spotykały na zajęciach. Chodziły na wydziały, które są blisko siebie i mogły mieć wspólne wykłady.

- Faceci?

- Jeden wyjechał z miasta, drugi ma alibi.

- Stuprocentowe?

- Sprawdzamy. Na razie niczego nie znaleźliśmy.

- Niech pan sprawdza wszystko dwa razy. Zwłaszcza jeśli to biały mężczyzna, prawdopodobnie w wieku między dwadzieścia pięć a trzydzieści pięć lat, ktoś kto miał zatargi z prawem, może jeszcze w szko-^w, był aresztowany za maltretowanie zwierząt albo za podpalenia, kłopo-
&z kobietami, coś w tym rodzaju.

- Sprawdzamy pod każdym kątem.

- Dobrze. Prześlę panu faksem to, co jestem w stanie wywniosko-ać.

~ Dziękuję.



Bentz zmienił pas. Stowell się rozłączył. Bentz nie czuł się wcale lepiej niż wtedy, kiedy wyszedł z kościoła. Irytowało go, że musiał znów spotkać się z bratem, ale wiedział, że James będzie się starał pomóc. Pobożny gnojek. Oprócz Kristi James był jego jedynym krewnym, nie licząc dalekich pociotków w innych stanach. I James był jedynym człowiekiem, który wbił mu nóż w plecy. Więcej niż raz.

Po paru minutach, kiedy zjeżdżał z autostrady niedaleko domu Olivii, zadzwonił telefon.

- Słucham, Bentz.

- Mówi Olivia. Muszę się z tobą zobaczyć - powiedziała drżącym głosem, z trudem łapiąc oddech. - On znów zabija.

Bentz poczuł śmiertelne zimno. Spodziewał się jej telefonu, jechał do niej, ponieważ wiedział, że zabójca uderzy w dzień świętej Katarzyny z Aleksandrii. Albo jakiejś innej świętej.

- Jestem w drodze do ciebie. Będę za dziesięć minut.

- Dzięki Bogu.

- Trzymaj się. - Wyłączył telefon i nacisnął gaz.

W tej części miasta ulice były puste. Nie zatrzymał się przy znaku STOP i wziął ostry zakręt w wiejską drogę, która wiała się bagnistym terenem. Księżyc ledwo było widać, a wilgotny wiatr miotał gałęziami cyprysów i dębów, które wyrastały z ziemi i wody jak duchy. Dżip pędził przez długi niski most, choć Bentz uważał, że jedzie za wolno. Prawie przejechał skręt, ale w ostatniej chwili gwałtownie zakręcił kierownicą. Samochód zatrzęsł się, zwolnił i wjechał między drzewa traktu prowadzącego do domu Olivii. Liście rozwiały się na wszystkie strony, kiedy dżip przemknął przez mały mostek.

Bentz gwałtownie zahamował.

Drzwi domu otworzyły się równie gwałtownie.

Wciągnął powietrze.

Stała w drzwiach w białym puszystym szlafroku, z potarganymi, jak zawsze, włosami. Serce zabiło mu mocniej. W tym momencie zorientował się, że w ciągu zaledwie paru dni zaczęło mu zależeć na tej zwariowanej kobiecie, która twierdzi, że ma wizje i paranormalne umiejętności. Teraz doświadczał dziwnego wrażenia powrotu do domu. A przecież od lat nie miał prawdziwego domu.

W jednej sekundzie wyskoczył z samochodu i zaczął biec. Jej głupi pies wyskoczył na ganek.

- Hairy! - krzyknęła Olivia, biegnąc w jego stronę i nie zwracając uwagi na błoto i mokre liście. - Dzięki Bogu, że już jesteś! - zawołała i rzuciła mu się w ramiona. Zanim ukryła twarz na jego piersi i objęła za

szyję, zauważył ślady łez na policzkach. Przytulił ją mocno, wdychając zapach jaśminu i bzu poprzez podmuch wiatru, który niósł zgnity zapach bagien. Olivia miała wilgotne włosy i twarz bez śladu makijażu. Przytulała się do niego, drżąc. Podejrzywał, że pod puszystym szlafrokiem niczego nie ma, ale prędko odegnał tę myśl.

- Widziałam go. Znowu. Zabijał kobietę... Na kole z okropnymi gwoździami. .. O, Boże, Boże, Boże! - zawołała, chwytając go za kołnierz, jakby nie miała zamiaru już nigdy go puścić. Z trudem łapała powietrze, walcząc z płaczem i czkawką. - A potem... Potem... Chyba miał miecz i...

- Ciii. - Początkowo Bentz czuł się niezręcznie. Jego dłonie były takie duże w porównaniu z drobnym ciałem Olivii. Co on robi? To wszystko nie ma sensu.

Przytuliła się do niego i Bentz rozluźnił się w końcu do wtóru wiatru wzdychającego w drzewach. Jedną ręką objął ją za kark, drugą w pasie. Przez moment zastanawiał się, jakby to było się z nią kochać i przypomniał sobie niedawny pocałunek. Dotknął wargami jej czoła i poczuł na szyi miękki oddech. Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Z najwyższym trudem powstrzymał się od pocałowania kuszących, lecz zdecydowanie przestraszonych ust.

- Chodźmy do środka.

- Przepraszam - szepnęła, jakby nagle zdała sobie sprawę z tego, co robi.

- Nic się nie stało. Naprawdę. - Udało mu się uśmiechnąć, a potem zagwizdał na psa, który zainteresował się nogawkami jego spodni. Gdy wchodzili po schodach, Bentz opiekuńczo objął Olivię.

- Boże, jak ja tego nienawidzę.

- Czego?

- Wszystkiego. - Spojrzała na niego kątem oka, wchodząc do domu. ~ Sam wiesz, tego, że zachowuję się jak bezbronna i słaba kobietka.

- Przestraszyłaś się.

- Śmiertelnie się bałam. Nadal się boję - powiedziała, ale łzy znikły, a czkawka przeszła.

- Opowiedz mi, co widziałaś.

Hairy S, niuchając i prychając, wszedł do środka. Bentz zamknął drzwi i przekręcił klucz. Poszedł za Olivia do kuchni i dopiero tam zauważył gruby bandaż na prawej dłoni i krople krwi na szlafroku.

- Co się stało?

- Szkoda, że nie mogę powiedzieć, że skaleczyłam się przy goleniu. ~ Uśmiechnęła się drżącymi wargami. Zamrugła parę razy, żeby nie dać Popłynąć łzom. - Uderzyłam rękaw lustro w łazience.

- Celowo? - Nie mógł w to uwierzyć.

- Tak. To głupie, ale chciałam walnąć w tego skurwysyna i... - Zamilkła i opadła na krzesło. Poły szlafroka rozsunęły się. Olivia nie zwracała uwagi na to, że Bentz widzi jej nagie piersi. Niechętnie odwrócił wzrok. - Chyba powinnam zacząć od początku - powiedziała i spojrzała przez okno w ponurą noc.

- Tak byłoby najlepiej.

- To było chyba godzinę temu. Kąpałam się. Miałam okropny dzień. No, wiesz, pokłóciliśmy się, a potem zadzwonił mój ojciec...

- Zadzwonił do ciebie Reggie Benchet? - powtórzył, słysząc w głowie ostrzegawczy sygnał. Ojciec nie ojciec, ale facet był przestępcą.

- Tak i... Jakoś musiałam sobie z tym poradzić. Dziwne. Nie zamieniłam z nim słowa, odkąd byłam dzieckiem. Tak czy inaczej rozmawialiśmy krótko, a potem wzięłam się do nauki, bo chciałam się czymś zająć i zapomnieć o ojcu. Ale mi się to nie udało. Postanowiłam więc wziąć kąpiel i pójść wcześniej spać. Kiedy wychodziłam z wanny, zerknęłam do lustra i zobaczyłam ją i to... To straszne koło. - Pocierając ramiona, opisała mu wizję, odegranie męczeństwa świętej Katarzyny z Aleksandrii. Zdrową dłonią potarła skroń. Miała wymizerowaną twarz i puste oczy, jakby wciąż widziała tę straszną scenę. - Nic nie mogłam zrobić -zakończyła i łzy znów popłynęły po jej policzkach. - Czuję się taka bezużyteczna.

Położył jej rękę na ramieniu, a ona dotknęła jego palców.

- Jeśli ci to w czymś pomoże, to wiedz, że ci wierzę. I zaczynam rozumieć te morderstwa. - Palce Olivii znieruchomiały, gdy zaczął jej wyjaśniać, że morderca zabija kobiety, wzorując się na śmierci świętych męczennic w dniach im poświęconych. -I dlatego mamy świętą Joannę, świętą Marię Magdalene, świętą Cecylię. Tyle ciał znaleźliśmy.

- Chcesz powiedzieć, że może ich być więcej? - spytała, blednąc.

-Nie wiem, ale wspominałaś o kobiecie w krypcie. Myślę, że miała przypisaną rolę świętej Filomeny. Teraz mamy nową.

- Katarzynę z Aleksandrii. Bentz zmarszczył brwi.

-Nie wiemy, ilu jeszcze kobiet to dotyczy ani od jak dawna morderca zabija.

- O, Boże -szepnęła, przelękając ślinę. - A ile jest świętych?

- Za dużo. - Prychnął. - Nigdy bym się nie spodziewał, że powiem coś takiego.

Spojrzeła na niego zaniepokojona. Rzęsy wciąż miała wilgotne od łez-

- Co za zboczony maniak robi takie rzeczy?

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć. - Mocniej ścisnął ją za rękę.
Uspokajająco. - Znajdziemy go, ale będę potrzebował twojej pomocy.

- Możesz na mnie liczyć. Uśmiechnął się.

- Wiem. Muszę teraz zadzwonić. - Spojrzał na zegarek. Było późno, po jedenastej, ale mimo to zadzwonił do Montoi i na komisariat, nagrywając się na automatyczne sekretarki, a potem poszedł na górę, do łazienki. Kawałki szkła leżały wszędzie - w umywalce, na półeczce, na podłodze. W umywalce i na kafelkach widniały też ślady krwi. - Wygląda jak pole bitwy - zażartował.

- Byłam wściekła - przyznała. -1 bałam się. Patrzył wprost na mnie i chyba mnie widział, tak jak ja widziałam jego.

Przyniosła szcztokę z szufelką i razem posprząтали. Kiedy zeszli na dół, Olivia zaparzyła herbatę... W każdym razie zaparzyła płyn, który pachniał imbirem i smakował jak kwiaty. Bentz nie narzekał. Wypił napar, żalując, że nie jest to piwo. Siedzieli przy małym stoliku w kuchni, ptak gadał coś cicho, pies zasnął na dywaniku, a Olivia w kółko opowiadała o swojej wizji. Bentz zadał jej dziesiątki pytań. Nie zawsze potrafiła na nie odpowiedzieć, ale był pewien, że widziała kolejne morderstwo. Jeszcze cztery dni wcześniej by w to nie wierzył, dziś jednak traktował każde jej słowo jak ewangelię. Było dobrze po pierwszej, gdy wstał.

- Muszę iść. Nic więcej nie przychodzi ci do głowy?

- Morderca ma niebieskie oczy. Lodowato intensywnie niebieskie - przypomniało jej się nagle.

- Poznałabyś go?

- Nie. Znowu miał na głowie kominiarkę.

- Kolor oczu to już coś. - Oczywiście mógł nosić szkła kontaktowe.

- On wie, jak mam na imię.

-Co?

- Słyszałam go... Spojrzał wprost na mnie i jakbym słyszała jego głos albo jego myśli, ale nazwał mnie Olivia. Świętą Olivia.

- Jezu Chryste. - Bentz wyjrzał przez okno na ciemne bagna. Ponu-rc, puste, niebezpieczne. Gdyby morderca się tu zjawił, nikt by go nie widział. I znał Olivię.

- Wiesz co, jeśli ci to nie przeszkadza, zostanę tu, dopóki się nie rozjaśni. | Zawahała się.

- Jasne... To znaczy, dobrze... Tylko nie myśl, że jestem jakąś bezbronną kobietą, która boi się własnego cienia...

- Masz już ten alarm?

-Nie, dopiero po Świącie Dziękczynienia, ale...

- Zostaję.

-No...

- Nie jesteś bezbronną kobietą, która boi się własnego cienia. Choć powinnaś się bać. Twoje życie jest w niebezpieczeństwie. Potrzebna ci ochrona.

- Nie mieszkam w mieście.

-Nie szkodzi. Poza tym może chcę tu zostać. - Odetchnął głęboko i na widok jej pytającego wzroku postanowił wyznać prawdę. - Byłem dla ciebie za ostry. Nie tylko wtedy, kiedy przyszedłaś na policję, lecz także w kawiarni. Przepraszam. Pomyliłem się.

- To prawda. - Nie zamierzała protestować. - Poważnie się pomyliłeś. Ale już mi przeszło. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Przyjmuję przeprosiny. I nie musisz zostawać. Nic mi się nie stanie.

- No... - Uśmiechnął się. Podmuch wiatru załomotał okiennicą. -Może chciałbym zostać - powiedział i w oczach Olivii coś zabłyśło. Coś interesującego i trochę nieprzyzwoitego. Coś, czego nie chciał zobaczyć.

- A, to co innego. Pewnie kłamiesz, ale to zmienia sytuację.

- Idź spać, Olivio. Ja się położę na kanapie. Pokręciła głową.

- Mam pokój gościnny. Chodź. Już późno. - Zgasiła światło i ruszyła w kierunku schodów. - O ile nie przeszkadza ci bałagan.

- Nie przejmuj się. - Sprawdził, czy wszystkie drzwi i okna są zamknięte. - Nie byłaś u mnie.

- Może kiedyś będę.

Nie odpowiedział i ruszył za nią na górę. To był błąd. Kolejny. Dom robił zbyt przytulne wrażenie, a Olivia wyglądała i pachniała tak pociągająco...

W pokoju gościnnym, w którym zwykle pracowała, sprzątnęła kilka książek i pochyliła się nad łóżkiem, żeby poprawić poduszki. Starał się nie patrzeć na jej kształty pod szlafrokiem i ignorować rosnące pożądanie.

- Proszę - powiedziała, odwracając się do niego z zaczerwienioną twarzą. - Spij dobrze. - Stanęła na palcach i pocałowała go lekko w usta.

Tego tylko brakowało. Potrafił się oprzeć tak jawnemu zaproszeniu, w końcu dość często znajdował się w sytuacji, w której kobiety chciały się do niego zbliżyć seksualnie, ale ta... bezczelność, swawolny uśmiech i błysk w oczach, wyzwanie, jakie zobaczył na jej twarzy... Wziął ją w ramiona i pocałował. Mocno.

Odpowiedziała. Jakby czekała, aż zrobi pierwszy ruch. Westchnęła cicho, otwierając usta, a on wsunął język między jej wargi. Był podniecony i wszystkie myśli o tym, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo i złapać szaleńca przed kolejnym morderstwem odpłynęły w dalekie rejony jego umysłu.

Przesunęła dłońmi po jego plecach, a on nie odrywał warg od jej ust, jednocześnie prowadząc ją do sypialni. Zatrzymał się dopiero, gdy dotknęła nogami ramy łóżka.

Rozwiązał pasek szlafroka i jedną ręką sięgnął pod materiał, przesuając ręką po jej żebrach, talii i biodrach. Sztywny członek napierał na materiał spodni. Olivia nie przerywała namiętnego pocałunku, od czasu do czasu jęcząc cicho.

Chciał tej kobiety.

Koniecznien.

Nie, Bentz. Nie rób tego.

Przesunął dłoń do przodu, na wznórek między nogami. Zaczęła szybciej oddychać, gdy jego palce wślizgnęły się delikatnie do środka. Gdyby go teraz odepchnęła, jeszcze mógłby się wycofać.

Powietrze w pokoju zgęstniało od niewypowiedzianego pytania. Jej ciało drżało pod dotykiem jego dłoni.

Znów jęknęła.

Zapraszająco.

Nadał się wahał. Jedną ręką trzymał ją za kark, drugą wodził powoli po podbrzuszu. Bolał go wyprężony członek.

- To może być niebezpieczne - szepnął w ciemności.

- Wiem.

- Nie mam pojęcia, jak się będę czuł rano - przyznał, z trudem wydobywając głos.

- Ja też nie.

Pocałował ją, a ona położyła mu rękę na rozporku. Z jękiem pchnął Jana łóżko. Upadli, całując się, dotykając i ściągając z siebie ubrania.

Olivia miała jedwabistą skórę i pachniała jaśminem i lawendą. Jej usta smakowały imbirem. Język dotykał języka Bentza.

Zsunął jej szlafrok i całował szyję i ramiona. Szarpnęła się, ściągnęła z niego koszulę i rozpięła rozporek. Pieściła go szybkimi dzikimi ruchami. Ściany i okna stały się niewidzialne, jakby pokój zasnuła mgła. Zsunęła mu z bioder spodnie i bokserki, a on ukrył twarz w jej piersiach, ocałując i pieścąc, jednocześnie błędząc rękami po całym ciele.

O, Boże, jeśli nie zwolnią, zrobi to, nim Olivia będzie gotowa. Zła-
P^jazaręce.

- Powoli, Liwie, mamy dużo czasu.

Olivia westchnęła. Nie była w stanie myśleć, z trudem oddychała, kiedy jej dotykał, całował, poruszał się rytmicznie. Świat wirował. Jakaś jej część wiedziała, że popełnia błąd, ale wstyd, wyrzuty czy żal pojawią się dopiero ze światłem poranka. Teraz chciała się zatracić w ramionach tego mężczyzny. Czy go kocha? Jasne, że nie... Ledwo go zna, ale szaleńczo pragnie. To już tak długo... Tak bardzo długo... Płonęła. Topiła, jak gorący wosk. Całował jej piersi, bawił się nimi, gryzł lekko.

Drobny ślad bólu pomieszany z przyjemnością. Pot spływał jej po plecach, a serce waliło jak oszalałe. Wtulała się w niego, wbijając palce w żylaste mięśnie pleców. Chciała więcej, o wiele więcej... Chciała go całego.

Twarde dłonie pogłaskały jej biodra, rozsunęły uda i powoli znalazły drogę do samego wnętrza. Poruszała się pod nim, chcąc coraz więcej.

-Och, Boże...

- Tak, Liwie - szeptał. - Tak.

Złapała go za włosy i czuła fale rozkoszy, które doprowadzały ją do krawędzi, aby zatrzymać się w ostatniej chwili.

- Och... Nie... Jeszcze...! - krzyknęła. Położył się na niej, rozdzielając muskularnymi udami jej kolana i, lekko się unosząc, wszedł w nią głęboko. Była mokra. Gorąca. Chętna. Uniosła w górę biodra. Poruszała się w tym samym rytmie, pokój odpływał, wszechświat koncentrował się w tym jednym miejscu, w którym byli złączeni, jej ciało pulsowało pożądaniem.

Dyszał ciężko, w końcu krzyknął, a ona niemal natychmiast mu zawtórowała, zadrżała od orgazmu, wykrzyknęła jego imię, gdy opadł na nią ciężko, ze skórą śliską od potu.

-Rick... Mój Boże... Wielkie nieba...

Z trudem chwytala powietrze. Nadal mocno obejmowała Bentza. Z jej oczu płynęły łzy. Nie łzy smutku czy wstydu, lecz łzy ulgi. Milczeli przez kilka sekund. Noc, gęsta i ciepła, otuliła ich ciała. W końcu ich oddechy się uspokoiły.

- Noooo - powiedział przeciągle, a w jego głosie słyszała uśmiech. -Jak było?

- Nieźle - zażartowała i oboje się roześmiali.

- Tylko nieźle? - Oparł się na łokciu i wpatrywał się w nią w ciemności. - Czy mam się bardziej postarać?

- Tylko żartowałam. Było fantastycznie.

- Ale... - Powędrował dłonią wzdłuż jej uda. Olivia zachichotała.

- Nie musisz mi niczego udowadniać, Bentz.

- Może sobie muszę coś udowodnić.
- Wydaje ci się, że jesteś trójboistą?
- Przynajmniej dwuboistą.
- Maratończykiem?
- Zaraz zobaczymy.

Znów poszukał wargami jej ust. Tym razem kochali się wolniej, mniej gwałtownie. Niecierpliwe pożądanie zastąpiło oczekiwanie. Wyniósł ją na takie same wyżyny rozkoszy, jak za pierwszym razem, równie intensywnie i namiętnie. Olivia zatraciła się całkowicie, gdy połączył ich ciała, wciągając jąna siebie i mocno przytrzymując rękami jej biodra, gdy znalazła właściwe miejsce. Oddychała płytko, krew w niej wrzała, skóra ją paliła, aż w końcu wybuchła zaledwie kilka sekund przed jego gwałtownym wyzwoleniem.

- Oooh - westchnął. Przyciągnął ją do siebie.
- Lepiej - szepnęła. - Następnym razem...
- Następnym razem? Kobieto!

Wtuliła się w jego ramiona i znieruchomiła. Na czole poczuła delikatny dotyk jego ust. Była pewna, że rano wszystkiego pożałuje, ale na razie nic jej to nie obchodziło.

- Nie powinniśmy... - powiedziała kobieta z rozjaśnionymi słońcem włosami i złotymi oczami. - Nie możemy.

Szła szybko ścieżką przez oświetlone słońcem pole, w przezroczystej sukience, wirującej wokół nóg. Spod przezroczystego materiału prześwitywały piersi z ciemnymi brodawkami. Nie miała na sobie stanika ani majtek. Nie miała niczego pod przejrzystym błyszczącym materiałem.

James był boleśnie podniecony.

- Wiem... ale... z tobajest inaczej.

- Jesteś księdzem - przypomniała, wskazując na koloratkę. Bezskutecznie usiłował zerwać jaz szyi. Miał na sobie tylko koloratkę. Poza tym był nagi. Słońce piekło nagą skórę, a wysokie suche źdźbła traw smagały go po nogach.

Zaczęła biec. Koniki polne uskakiwały jej z drogi. Biegł za nią.

- Aleja się w tobie zakochałem.

- Zakochałeś się? - Odchyliła głowę i roześmiała się głośno. Nie Wracała uwagi na to, że jest nagi i podniecony. - Ty kochasz Boga. Tyl-gko Boga.



Złapał ją na szczycie wzgórza i przewrócił na ziemię. Wciąż się śmiejąc i ciężko dysząc, spojrzała mu w oczy.

- Nie powinniśmy - powtórzyła, ale w jej oczach widział zachętę. -Wiesz, że to grzech.

Przez głowę przeleciały mu wątpliwości i wspomnienie ślubów, co nie przeszkodziło mu w podsunięciu do góry cienkiej sukni i rozkoszowaniu się słodkim kobiecym zapachem.

Gdzieś rozdzwonił się dzwonek.

Leżał na niej ze sztywnym niecierpliwym członkiem.

Dzwonek zadzwonił ponownie, natarczywie. Spojrzał w górę na wieżę kościelną... Wypalony słońcem tynk i dach z czerwonych dachówek... Wokół wysokiej iglicy krążyły gołębie, a rozpalony krzyż wbijał się w bezchmurne niebo. Ale wieża była pusta, bez dzwonu.

- Proszę... - szepnęła kobieta i kiedy na nią spojrzał, okazało się, że to już nie jest Olivia. Pod nim leżała Jennifer Bentz. Naga. Z ciałem błyszczącym od potu. Patrzyła na niego błagalnie, z niemą prośbą, aby ją posiadał.

Dryń!

James otworzył oczy.

Pościel była mokra od potu. Sen powoli odchodził. Panie Boże, co też mu przychodziło do głowy? Wciąż był boleśnie podniecony i miał w oczach wizerunek Olivii Benchet, nagiej pod cienką suknią.

Dzwonek znów zadzwonił.

Odszukał po omacku słuchawkę. Która może być godzina? Spojrzał na zegarek. Piętnaście po drugiej. Co się stało? Ktoś umarł?

- Mówi ojciec McClaren - wymamrotał, zapalając światło. Okazało się, że trzyma słuchawkę do góry nogami. Odwrócił ją drugą ręką przetarł twarz.

- Wybacz mi, ojcze, bo zgrzeszyłem. Męski głos. Szept.

- Co? - Ktoś chce się wyświadczyć? Teraz? Może to głupi dowcip? Jakiś dzieciak. Już się to zdarzało. Zamrugał kilka razy, usiłując pozbyć się resztek snu.

- Dziś wieczorem zabiłem - powiedział ochrypły głos.

- Słucham? - James usiadł wyprostowany na łóżku, pewien, że się przesłyszał.

- Dla Boga. W hnię Ojca. Grzesznica odpokutowała i dzięki mnie została świętą.

- Spowiadasz się, synu? - Jamesa oblał zimny pot, gdyż zdał sobie sprawę, że ten człowiek mówi poważnie. Śmiertelnie poważnie. - Zamordowałeś kogoś?

- To moje pojednanie. Między księdzem, mną i Bogiem - oznajmił stłumiony głos. James o mało nie upuścił słuchawki. Poczł zimny jak serce szatana dreszcz.

-Chwileczkę...

- Wybacz mi, ojczcie, bo zgrzeszyłem.

Rozdział 24

T) oranne słońce przeświecało przez firanki. *L Łóżko*

było puste.

Puste.

Olivia wbiła wzrok w sufit i przygryzła wargę.

Co ona zrobiła?

Przez głowę przelatywały jej wydarzenia ostatniej nocy. Intensywne erotyczne obrazy, które sprawiły, że się zaczerwieniła. Poszła do łóżka z Bentzem. Kochała się z nim. Więcej niż raz.

Co jej przyszło do głowy? O czym myślała?

W tym cały problem, idiotko, że nie myślałaś. Nawet przez minutę!

Wzdrygnęła się. Popelniła cholerny bład.

Teraz jednak nic już na to nie mogła poradzić. Co się stało, to się nie odstanie. Nie mogła cofnąć czasu, a nawet gdyby mogła, to nie wiadomo, czy zachowałyby się inaczej. To, co przeżyła, było tego warte. Z całą pewnością.

Z dołu doleciał zapach gorącej kawy; usłyszała dźwięk zamykanej szafki w kuchni. A więc nadal tu jest. Jak to dobrze.

Dobrze?

Biały szlafrok leżał na podłodze, tam, gdzie go rzuciła. O, Boże. Wsunęła ręce w rękawy, mocno zawiązała pasek i szybko zeszła boso po schodach. Dojrzała swoje odbicie w lustrze przy drzwiach i skuliła się zażenowana, po czym zdrową ręką przeczesła włosy i weszła do kuchni. W maszynie bulgotała kawa, a na stole leżała otwarta duża książka. Drzwi^{do} ogrodu były szeroko otwarte, do środka wpadało zimne poranne powietrze i zapach dymu.

Bentz, w ubraniu z poprzedniego wieczoru, wpatrywał się w mgłę unoszącą się nad bagnami. Koszula ciasno opinała ramiona, gdy stał oparty l° balustradę. W jednym ręku trzymał palącego się papierosa.

l . ~ Dzień dobry - wykrztusiła, prostując się i powoli zdejmując przykry-l^ z klatki Chii. Ptak powiedział coś, poczochnął sobie pióra i rozprostował

nogi. -I tobie życzę dobrego dnia - dodała, gdy papuga przeskoczyła z jednej żerdki na drugą.

Bentz odwrócił się do Olivii. Wyraz jego twarzy mówił wszystko.

Serce jej zamarło. To, że żałuje, widać było wyraźnie w kącikach ust i szarych oczach.

- Dobry. - Udało mu się krzywo uśmiechnąć. - Kawa gotowa.

- Widziałam. - Złożyła przykrycie klatki. - Nie wiedziałam, że palisz - dodała, wskazując na papierosa.

- Nie palę. - Spojrzał w dół, wzruszył ramionami i zaciągnął się głęboko.

Odłożyła przykrycie na półkę, powstrzymując się przed zadaniem oczywistego pytania.

- Trzymam paczkę papierosów samochodzie, a drugą w szufladzie w pracy na wszelki wypadek. - Wypuścił dym nosem.

- Na wszelki wypadek?

- Kiedy naprawdę muszę zapalić. - Rzucił niedopałek na podwórko. Niedopałek zasyczał i zgasł.

- Przy takich okazjach jak ta?

- Tak, zwłaszcza przy takich okazjach. - Znowu na nią spojrzął. -Poza tym musiałem pójść do samochodu po to. - Pokazał gruby tom na stole.

-Co to jest?

- Lista wszystkich świętych.

- Rozumiem. - Księga była otwarta na żywocie błogosławionej Olivii. - Och. - Coś ścisnęło jąza gardło. Żywot nie zawierał wielu informacji, tylko to, że za wiarę i modlitwę została uwięziona i uniknęła śmierci na stosie, nawracając niedoszłych oprawców. W końcu obcięto jej głowę. Olivia zadrzała i oparła się o stół. Oczami wyobraźni ujrzała zakrzywione ostrze, które ścięło głowę biednej kobiecie w jej wizji. - Co za miły początek dnia.

- Na szczęście jej dzień przypada dopiero dziesiątego czerwca.

- Dlaczego jest nazwana błogosławioną, a nie świętą?

-Nie wiem. Jest wymieniona jako święta. Jest jeszcze druga święta Oliva, bez drugiego „i”. - Przerzucił strony, aż znalazł to, czego szukał. Olivia przeczytała o świętej Olivie. Niewiele. Była męczennicą i została zabita. Jej dzień przypada piątego marca.

- Teraz wiem, kiedy spróbuje mnie zabić - powiedziała z sarkazmem.

- Fantastycznie.

-Niekoniecznie. Zastanawiałem się nad tym. Morderca nazywa SWOJC ofiary imionami świętych, niezależnie od tego, jak naprawdę się nazywa

ją. Może więc zmienić twoje imię na jakieś inne, które jest znacznie wcześniej w kalendarzu. - Spojrzał na nią zaniepokojony. — Niektóre zginęły naprawdę straszną śmiercią.

- Czy ktoś ci już mówił, że rano jesteś czarujący? - mruknęła. - Weź sobie kawy albo coś. I nie mówmy już o tym.

- To nie są żarty.

- Wiem, wiem. - Objęła się w pasie.

- Musisz być bardzo ostrożna.

- Jestem - odparła. Bentz nie wyglądał na przekonanego. Chia zaskrzeczała w klatce i Olivia pomyślała o ostatniej nocy. O tym, że przespała się z gliniarzem. O tym, że jeśliby na to pozwoliła, mogłaby dla niego stracić głowę.

- Masz rację - powiedziała z westchnieniem, opierając się o brzeg stołu.

- Dobrze. - Przesesał włosy palcami. - Dzwoniłem do znajomego. Nazywa się Ole Olsen. To właściciel firmy ochroniarskiej. Jest mi winien przysługę. Jego ludzie przyjadą dziś rano.

- Zamówiłam już faceta na przyszły tydzień.

- Odwołaj go. Ole zrobi to lepiej i nie zapłacisz więcej niż gdzie indziej.

- To musi być niezła przysługa - powiedziała, trochę zła, że Bentz zaczyna planować jej życie.

- Wystarczy. Posłuchaj, to co się zdarzyło... - Urwał, jakby się spodziewał, że mu przerwie. Nie miała najmniejszego zamiaru. Chciała posłuchać, co ma do powiedzenia.

- Co takiego?

Wsunął ręce do kieszeni spodni i zacisnął usta.

- Powinnaś wiedzieć, że jedną z moich zasad jest nieangażowanie się, jeśli to ma związek z pracą.

- Właśnie złamałeś tę zasadę.

-Mhm.

- Ale to się nie powtórzy?

-Nie. To był błąd.

- Aha. Niezły z ciebie czaruś, Bentz. Nie dał się sprowokować.

- Chciałem, żebyś wiedziała. Na wypadek...

- Na wypadek, gdybym miała jakieś romantyczne rojenia na temat tjtaszczych wzajemnych stosunków? - podsunęła.

- To, co zaszło między nami, więcej się nie powtórzy.

- To mi wygląda na wyzwanie. Bentz pokręcił głową.

-Nie mogę pozwolić, by emocje zakłócały osąd rzeczywistości.

- Czy to możliwe? - spytała, podchodząc bliżej. - Naprawdę masz jakieś emocje?

Spojrzał na nią zimno.

- Muszę jechać do miasta.

- Obowiązki służbowe? - powiedziała ostrzej, niż zamierzała. Wiedziała o co mu chodzi, ale nie mogła przejść do porządku dziennego nad tym, co powiedział.

- Tak. - Był spięty. - Dzięki za...

- Przestań! - przerwała, podnosząc rękę, jakby chciała bronić się przed uderzeniem. - Przestań. Jestem dużą dziewczynką. Dorosłą. To nie jest uczucie nastolatki czy jakaś fascynacja faktem, że jesteś gliniarzem. Chcę, żebyś zrozumiał. Ta noc nam się po prostu przydarzyła.

Z niedowierzaniem uniósł krzaczaste brwi.

Sama nie wierzyła w to, co mówi. Nie miewała przygód na jedną noc i wolała związki monogamiczne, nawet krótkie. Tak było od czasów pierwszego poważnego chłopaka w ostatniej klasie szkoły średniej. Nie miała jednak zamiaru go o tym informować. Nie teraz.

- Dobra, powiedziałaś, co ci leżało na wątrobie. Rozumiem. - Podniosła dumnie głowę i wsunęła ręce w kieszenie szlafroka.

- Jesteś wściekła.

- Trochę. Chodzi o to, że... Przypadkowy seks mnie nie interesuje.

- Mnie też nie.

- Ale nie zamierzam wyrzucać zeszłej nocy „do śmieci, bo mi nie pasuje do tego, co sobie postanowiłam.

Przez chwilę patrzyła mu w oczy.

- Muszę mieć do wszystkiego właściwą perspektywę. W nocy straciłem kontrolę. To do mnie niepodobne.

- A może jednak podobne, tylko nie chcesz się do tego przyznać. Spojrzał na nią ostro. Zrozumiała, że trafiła w czuły punkt.

- Ktoś ci wyciął numer, co?

-Nieważne.

- Pieprzysz. Nie wiem, czy zauważyłeś, aleja tu byłam w nocy - powiedziała, podchodząc bliżej i szturchając go w pierś wskazującym palcem skaleczonej dłoni. - I sporo zauważyłem. Zbudowałeś wokół siebie mur; Bentz. Wysoki mur. Założę się jednak, że kiedy ktoś zaczyna z niego wyciągać kamienie, ty na nowo prędko odbudowujesz mur albo uciekasz.

- Mówiłem, że to nieważne.

-I tu się mylisz. - Była zła i nie potrafiła się pohamować. - Może to, co się wydarzyło w nocy, jest przypadkowe, a może tak miało być. Kto wie? Wszystko zależy od twojego kosmicznego podejścia lub jego braku.

Nie przypominam sobie jednak, abym cię prosiła o deklaracje miłosne czy dowody zaangażowania, nie zachowuj się więc, jakbym była małą biedną kobietką ze złamanym sercem. Dobrze? Mówię, że coś między nami zaistniało. Jeśli tylko na jeden raz, dobrze. Dam sobie z tym radę, tylko nie udawaj, że jesteś ponad to z powodu jakichś względów zawodowych, bo i tak nie uwierzę. Zawahał się.

- Czego ty ode mnie chcesz?

- Uczciwości.

- Kobiety nigdy nie chcą uczciwości.

- Z jakiej ty planety pochodzisz? - spytała urażona. - Większość kobiet chce być traktowana uczciwie, Bentz, i ja jestem jedną z nich.

- Proszę. Krótko i węzłowato. Nie mogę wchodzić w żadne związki. Z nikim. Ostatnia noc była błędem. Nie twoim. Moim. Dopóki zajmuję się tą sprawą, nie mogę ci pozwolić...

Uniosła brwi.

-Na co?

- Żebyś była zbyt blisko.

- A jak zakończysz sprawę?

- Nie wiem - odparł, marszcząc czoło.

- Nic się nie zmieni - powiedziała. Zaczynała rozumieć. - Nadal nie pozwolisz mnie, ani żadnej innej kobiecie, być zbyt blisko.

- Może słuchasz za dużo doktor Sam.

- Skłaniam się do mojej teorii, że ktoś ci wyciął poważny numer. Była żona!

Bingo! Bentz na moment zmrużył oczy.

- Lepiej jej do tego nie mieszajmy - mruknął i wziął ze stołu księgę z żywotami świętych.

Olivia jeszcze nie skończyła.

- Wyjaśnijmy sobie jedno. Nie jestem kobietą, która będzie siedziała i czekała. Wyobraź sobie, że ja też mam swoje życie.

- To dobrze.

- Jasne.

Zawahał się, mruknął coś pod nosem i ruszył do drzwi.

- Zadzwoń... To znaczy, jeśli coś się wydarzy. Tego samego oczekuję od ciebie.

Pies deptał mu po piętach.

- Oczywiście.

Olivia policzyła w duchu do dziesięciu i odprowadziła Bentza do wyjścia. Dzięki temu opanowała gniew. Odrzucenie nie było końcem

świata, nieraz już go doświadczyła. Dlaczego Rick Bentz miałby się różnić od innych mężczyzn, którzy ją porzucali?

Ty do niego zadzwoniłaś. Ty go zaprosiłaś na górę. Ty chciałaś, żeby się zdarzyło to, co się zdarzyło. Wiedziałaś, jakie masz szansę. Nie bądź dzieckiem.

Odechrząknęła i powiedziała:

- Posłuchaj, nie miałam zamiaru zachować się jak ostatnia sekutni-ca. Dziękuję za to, że podzieliłeś się ze mną swoimi odczuciami i... za to, że przyjechałeś wczoraj wieczorem. Byłam załamana.

Uśmiechnęła się blado.

- Nic dziwnego. Każdy by się załamał. Porozmawiam w biurze szeryfa i załatwię dodatkowe patrole, aty...- pokazał palcem na psa - masz jej pilnować, dobrze? Nie zachowuj się jak szczekający idiota, lecz jak prawdziwy pies obrounny.

Hairy S podkułił ogon, spuścił łeb i wsunął się za Olivię.

- Woli być złodziejem. Kradnie rzeczy i je chowa.

- Pięknie. Będziesz miała wyрекę - mruknął Bentz, otwierając drzwi, a potem zatrzymał się na moment. - Uważaj na siebie, dobrze? - Dotknął dłonią jej brody, a głupie serce Olivii aż podskoczyło. - Będę w kontakcie. - Wyszedł na werandę, potrącając ramieniem dzwoneczki, i pobiegł do samochodu.

Stojąc w drzwiach, Olivia patrzyła, jak wsiada do dżipa, jeszcze raz macha do niej ręką, włącza silnik i odjeżdża, rozpryskując błoto i liście. Powinna pomyśleć: „Krzyż na drogę”. Ale nie pomyślała.

Czubkami palców dotknęła miejsca na brodzie, którego wcześniej dotknął Bentz. Ten gest oznaczał czułość, ale bez zbytniej bliskości.

Nie potrzebowała takich głupot.

Przyglądała się, jak odjeżdża gliniarz, który za dużo w życiu widział i nie potrafi nikogo pokochać. Taki mężczyzna nie jest jej do niczego potrzebny.

Co z tego, że jest przystojny? Przystojniaków nie brakuje. A to że jest dobry w łóżku? Wielkie rzeczy. Ciekawe, gdzie się tego nauczył? To, że przyjeżdżał, kiedy się coś działo, nie miało większego znaczenia. W końcu na tym polega jego praca.

No więc poszła z nim do łóżka i kochała się z nim z dzikim zapamiętaniem. Ludzie robią to codziennie.

Ale nie ty, Olivio. To coś nowego dla ciebie. Ziemia nieznana. Jesteś idiotką. Zbyt wiele ryzykujesz. Emocjonalnie i fizycznie. Nie masz pojęcia, czy nie jest w związku z jakąś kobietą. To, że nie jest żonaty, n¹⁶ oznacza, że nie ma gdzieś na boku przyjaciółki. Albo nawet dwóch.

Nie, w to nie wierzyła. Bentz nie miał czasu na kobiety. Samochodu dawno już nie było widać, gdy zamknęła drzwi. Dom wydał jej się nagle pusty. Zimny. Jakby uciekło z niego życie.

- Przestań -jęknęła, idąc na górę, by się przebrać. Kiedy była w połowie schodów, zadzwonił telefon. Olivia wpadła do kuchni, z rozwianymi włosami szlafroka, i gwałtownym ruchem złapała słuchawkę.

- Halo? - powiedziała, spodziewając się usłyszeć głos Bentza. Może czegoś zapomniał...

- Ach, nareszcie cię złapałam. Myślałam, że spróbuję wcześniej rano - powiedziała zdyszczanym głosem Sara.

- Co się stało? - spytała Olivia, choć, oczywiście wiedziała, że Sara dzwoni w sprawie Leo. Sięgnęła do szafki i wyjęła pudełko z nasionami słonecznika, które zwykle sypała do jednego z naczyń Chii.

- Leo jest w Nowym Orleanie.

-Co?

- To prawda. Zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem, nie chciał powiedzieć, gdzie jest, ale w zeszłym tygodniu zainstalowałam sobie to urządzenie, które pokazuje numer dzwoniącego i rozpoznałam kod.

- Co on tu robi?

-Nie mam pojęcia... To znaczy mam, ale mi się to nie podoba. W zeszłym roku pojechał na zjazd do Nastwille i od tamtej pory się zmienił. Ciągłe siedzi przy komputerze i sprawdza e-maile. Kiedy chciałam zobaczyć, o co chodzi, nie mogłam wejść do jego poczty, bo zmienił hasło. Próbuję się włamać, ale na razie mi się nie udało.

- Dlaczego zadzwonił?

- Nie wiem. Z początku myślałam, że chciał mnie uspokoić, powiedzieć, że nic mu się nie stało, ale teraz... Wiesz, natknęłam się na jego sejf i się włamałam.

- I co znalazłaś?— spytała Olivia, nieszczerze pragnąc się tego dowiedzieć.

- Wyciągi bankowe z konta, o którym nie wiedziałam i... dokumenty rozwodowe - powiedziała drżącym głosem. - Nie mogę w to uwierzyć. Po tylu latach i tych wszystkich zdradach teraz uważa, że może się ze mną rozwieść? Nie ma mowy. Absolutnie wykluczone.

- Och, Sara, tak mi przykro. - Olivia naprawdę jej współczuła. Wesoły zwykle głos przyjaciółki teraz przepełniony był bólem i rozpaczą. Olivia nienawidziła Leo Restina za to, co robił żonie. Chciała powiedzieć, że rozwód może być najlepszym rozwiązaniem, ale ugryzła się w język - Sara za bardzo cierpiała i na pewno miałyby odmienne zdanie.

- Tak, mnie też - powiedziała Sara łamiącym się głosem. - Zastanawiałam się, co sądzisz o gościu? Mam na myśli siebie... nie Leo. - Roześmiała się przez łzy. Sara знаła zdanie Olivii o Leo, bo dość często je wyrażała. - Mogłybyśmy spędzić razem Święto Dziękczynienia.

- A ty szukałabyś Leo?

- Och, zrobiłabym przerwę na świąteczny obiad - zażartowała Sara.

- Chyba że coś już zaplanowałaś. Och, Boże, co ja plotę, może masz z kim spędzić święta?

- Nie przejmuj się, nie mam innych planów. - Olivia oparła głowę o półkę i, kręcąc w palcach sznur od telefonu, zastanawiała się bezsensownie, co Rick Bentz będzie robił w Święto Dziękczynienia. Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Potem przypomniała sobie mężczyznę z katedry.

- Wiesz co, wydaje mi się, że widziałam Leo... - Boże, czy to naprawdę było wczoraj?

- Gdzie? - zapytała Sara z napięciem w głosie.

- W katedrze świętego Ludwika.

- Chyba żartujesz? Leo od lat nie był na mszy.

- Może mi się przywidziało.

- Leo był tak wściekły, kiedy go wyrzucili ze szkoły parafialnej, że nigdy więcej nie wszedł do kościoła - wyjaśniła Sara.

- Chodził do katolickiej szkoły? - zdziwiła się Olivia, spoglądając przez okno na oświetlone słońcem drzewa.

- Przez parę lat. Grał w drużynie piłki nożnej i to im się podobało, ale przyłapali go na paleniu trawki na boisku szkolnym i wyrzucili. Już wtedy nie przestrzegał zasad. Choć ja go zawsze idealizowałam. - Roześmiała się. - Głupie, co?

- Wszyscy robimy głupie rzeczy, kiedy jesteśmy zakochani. - Znowu pomyślała przelotnie o Ricku. Ale przecież nie była w nim zakochana i nie zamierzała się zakochiwać. - Wystąpił z Kościoła? - zapytała i w jej głowie zaczęła wykluwać się straszna myśl. Leo, były katolik. Może coś poprzestawiało mu się w głowie? Był wysportowany, grał w piłkę i strzelał z łuku, miał jakieś metr dziewięćdziesiąt i niebieskie oczy oraz, z tego co wiedziała od Sary, zdecydowanie zły charakter. Ale czy mógłby być sadystycznym mordercą? Nie, nie mogła sobie tego wyobrazić.

- Prawie. Dostał szału, kiedy nalegałam na ślub kościelny i myślałam, że się wycofa. W końcu jednak się zgodził. Wydaje mi się, że zdarzyło się coś jeszcze, ale nigdy o tym nie mówił, a ja się nie dopytywałam.

- Jest twoim mężem. - Olivia pomyślała o Leo w katedrze. Był w Nowym Orleanie. Być może już od jakiegoś czasu. Miał na pieńku z Kościołem. I wybuchowy charakter. Ale od tego jeszcze daleka droga do

morderstwa. Bardzo daleka, pomyślała. Wyjęła kubek z szafki i, trzymając słuchawkę między uchem a ramieniem, nalała sobie kawy.

- Wiem, że jest moim mężem, ale wszyscy mamy jakieś tajemnice, prawda? - Zauważyła ponuro Sara. -No i jak? Dotrzymać ci towarzystwa?

- Jeszcze się pytasz? Jasne. Przyjeżdżaj, choć nie wiem, czy na twoim miejscu usiłowałabym odszukać Leo.

- Wciąż jesteśmy małżeństwem. Pamiętasz słowa przysięgi? „Dopóki śmierć nas nie rozłączy”.

-Tak.

- Ja się, w każdym razie, staram, żeby utrzymać to małżeństwo. Olivia przygotowała się na wykład o małżeństwie Sary. Zwykle narzekała na Leo, przysięgając jednocześnie, że nadal go kocha. Tym razem, zamiast wdać się w długi wywód, podała tylko godzinę przylotu, powiedziała, że wynajmie samochód na lotnisku i przyjedzie do domu na bagnach. Nie chciała słuchać wskazówek, jak dojechać i obiecała zadzwonić z komórki, gdy wyląduje.

- Jutro się zobaczymy.

- Masz bilet?

- Tak. Strasznie się wykosztowałam.

- To chyba kupię indyka i żurawiny.

-1 bataty. Robię fantastyczną zapiekankę ze słodkich kartofli - dodała Sara i się rozłączyła.

Olivii poprawił się humor. Nie chciała spędzać sama świąt i choć uważała próby odnalezienia Leo w Nowym Orleanie za poroniony pomysł, przynajmniej miała w perspektywie spędzenie kilku dni z przyjaciółką. Ciepła kawa rozgrzewała jej żołądek. Może Sara i jej problemy pozwolą zapomnieć o Ricku Bentzu?

Może.

A może nie.

Bentza niełatwo jest zapomnieć.

Poza tym mogła być pewna tylko jednego - że niezależnie od towarzystwa nie uda jej się całkiem odprężyć i zapomnieć o sadystycznym mordercy, mordercy, który zna jej imię. Spojrzała na swoje zdjęcie z babką. Och, babciu, szkoda, że cię nie ma - pomyślała, wpatrując się w starą fotografię, na której babka Gin huśtała ją w powietrzu w gorący dzień. I cień na zdjęciu. Ciemne, poważne przypomnienie mężczyzny, który je zrobił. Ojciec.

Ręka zaczęła rwać; coś zakolatało jej w głowie, coś, co tkwiło gdzieś w podświadomości, odkąd zadzwonił Reggie... Co to jest? Co takiego Powiedział, co zabrzmiało fałszywie?

Mówił, że chce się z nią zobaczyć. Nalegał. Co on powiedział?

„Wiesz, jesteś jedynym dzieckiem, które mi zostało. Pozostałe straciłem...”

Właśnie! Pozostałe! Liczba mnoga. Nie mówił tylko o Chandrze. Był ojcem jeszcze jakichś innych dzieci, o których nigdy nie słyszała. Kiedy? Z kim? Czy ponownie się ożenił, czy miał nieślubne dzieci? Kim były? A może się tylko przejęzyczył?

Może to nie ma znaczenia. Powiedział, że ich też już nie ma. Zadrzała na wspomnienie tych słów: „Pozostałe straciłem”.

Jak? Bo nie chciały utrzymywać z nim kontaktu?

Z kubkiem w rękę podeszła do zdjęcia i wbiła wzrok w cień człowieka. Czy to możliwe, że inne jego dzieci nie żyją?

Imbecyle!

Ignoranci!

Absolutni kretyni!

Wybraniec dodał nowy lok włosów do warkocza, słuchając wiadomości w radio, podawanych przez jakiegoś wazeliniarskiego gogusia, który myślał, że wszystko wie i na wszystkim się zna, i który nawet silił się na głupie dowcipy.

Wybraniec nie wiedział, kto jest głupszy - policja czy prasa. Porównywać go do Różańcowego Zabójcy! Co za obelga! Ojciec John był jedynie jego uczniem, w dodatku nie najlepszym. W końcu dał się złapać.

Wybraniec, siedząc na stołku przy oknie, zgrabnie zaplatał włosy, dołączając nowy kosmyk błyszczących czarnych włosów, gładząc je delikatnie. Zamknął oczy. Starał się powściągnąć gniew. Na myśl o ostatniej ofierze przeszył go dreszcz podniecenia. Była taka chętna, a później, kiedy się obudziła, przywiązana do koła, śmiertelnie przerażona. Święta Katarzyna... Jednak nie miała białej krwi, jak się spodziewał.

Pożądał jej. Bardzo. Pożądanie sprawiało mu ból, kiedy obserwował, jak kręciła się, z krzykiem, zbliżając i oddalając, z oczami wytrzeszczonymi przerażeniem, z twarzą bladą od bólu... Chciał być przy niej, czuć ostrza, wejść w nią, gdy koło obracało się i skrzypiało. Tak, tego właśnie chciał, tej mieszanki pożądania i bólu. Posiąść jej ciało, kiedy krzyczała i samemu poczuć ostre kolce.

Był wyczerpany. Bolała go głowa. Ból nasilał się z każdym dniem i z każdą godziną. Składanie ofiary zawsze go pobudzało, przed, w trakcie i bezpośrednio po, ale ostatnio czuł się coraz bardziej wykończony.

Komentator WSLJ wciąż plół o seryjnym mordercy. Zidentyfikowano dwie ofiary jako studentki z Loyoli i z Tulane. A więc policja zaczęła odkrywać wcześniejsze ofiary. Dobrze, bardzo dobrze. Do tej pory był sfrustrowany, że policja nie potrafiła połączyć ich ze sobą.

Identyfikacja świętych zmarłych musiała w końcu nastąpić. To, że policja poznała jego metody i dni, w których zabijał, sprawiło, że będzie mu trudniej polować, ale był na to przygotowany. Wybrał już kolejne ofiary... Kobiety, które musi wyzwolić z ziemskich więzów. Trzymając w palcach warkocz, podszedł do ołtarza, przyklęknął i spojrzał na ścianę, na której wisiał piękny kolaż z wizerunków tych świętych, które wybrał. Każde zdjęcie starego portretu pięknej młodej kobiety z aureolą będzie zakryte nowszym zdjęciem, wykonanym przez niego... Kilka z nich już było przesłoniętych nowym wizerunkiem. Święta Joanna d'Arc, piękna mała Filomena, święta Maria Magdalena, święta Cecylia, a teraz święta Katarzyna z Aleksandrii.

Tyle ich jeszcze jest. Kristi Bentz zostanie doskonałą świętą Łucją, ale co ze świętą Olivią? Do jej dnia jest jeszcze daleko... Oczywiście może to naprawić, zmieniając jej imię. Spojrzał na księgę leżącą na stole obok profilowanych nożyczek, którymi wycinał zdjęcia. Tak, znajdzie inną córkę bożą...

- Detektyw Rick Bentz z nowoorleańskiej policji...

Na dźwięk nazwiska Bentza Wybraniec podniósł głowę. Wykrzywiając się, spojrzał z nienawiścią na małe radyjko. Bentz zabrał mu ucznia, jedyną osobę, której Wybraniec powierzył swój sekret. Ojca Johna. Uważanego teraz za zmarłego. Zginął z ręki Bentza.

Ale policjant będzie cierpiał.

Wybraniec wstał i pozwolił, aby szlafrok opadł na podłogę. Powoli i delikatnie przesuwając warkoczem po nagiej skórze, wpatrując się w twarze ofiar.

Wszystkie były piękne, mądre i warte uświęcenia.

Oddychał płytko. Jego twardy członek pulsował podnieceniem. Zawiązał wokół niego warkocz, wyobrażając sobie dotyk dziesiątków palców i warg... Obiecujących grzeszne rozkosze.

Przełknął głośno ślinę i zakręciło mu się w głowie na wspomnienie 'ch strachu i błagań. Przywołał twarz Kristi Bentz... O, tak, będzie bo-^o, ale onajedna nie wystarczy. Nie, musi zbawić inne. Z ponurym uśmie-^em pomyślał o Olivii Benchet.

Powinna być mu wdzięczna za odkupienie.

Ponieważ jest córką kurwy.

Rozdział 2 5

Dobrze, na czym stoimy? - spytała Melinda Jaskiel Bentza i Montoyę. - Prasa domaga się więcej informacji, szef siedzi mi nad głową i chce wiedzieć, jakim cudem mamy kolejnego seryjnego mordercę, a ja mam spotkanie z dowódcą sił specjalnych i FBI za... - spojrzała na zegarek - ...za dwadzieścia trzy minuty.

- Rozmawiałem z dowódcą sił specjalnych i Tortoricim z FBI - powiedział Bentz.

Minęła druga po południu. Siedzieli w pokoju Jaskiel, a wcześniej Bentz spędził całe przedpołudnie, pracując nad sprawą i wyrzucając z głowy wspomnienia o nocy z Olivią.

- Czy jest jakaś szansa, że to robota Różańcowego Zabójcy? - spytała Melinda.

W granatowym kostiumie, opierała się rękami o brzeg swojego uporządkowanego biurka. Bentz i Montoya siedzieli na krzesłach dla gości. Na biurku stały zdjęcia jej rodziców i dwóch córek oraz kryształowy wazon ze świeżymi kwiatami. Gdyby nie te osobiste drobiazgi, tabliczka z jej nazwiskiem i kilka dyplomów na ścianie za biurkiem, pokój mógłby należeć do kogokolwiek. A raczej do każdego, kto ma obsesję na punkcie porządku.

- Rozmawiałem z FBI i z Normem Stowellem, który kiedyś pracował nad profilami przestępców.

- Poza komisariatem? - Jaskiel zmrużyła oczy za szklami okularów.

-Taki...

- Chwileczkę, Rambo, robimy wszystko zgodnie z przepisami.

- Oczywiście - przytaknął Bentz. - To nie wygląda na Różańcowego Zabójcę. Inny jest sposób, w jaki zostawia ciała. Jest bardziej brutalny. To nie ten sam facet.

- Ale sądzisz, że wzoruje się na opisach śmierci świętych?

- Męczeńskich śmierci - sprecyzował Bentz i poprawił się nerwowo na krześle. Im bardziej przekonywał się do koncepcji, że ktoś zabija kobiety na wzór umęczonych świętych, tym bardziej się denerwował. Niektóre z tych kobiet były studentkami, a jego córka uczęszczała na zajęcia do Ali Saints. Uczelnia o takiej nazwie musiała przyciągnąć uwagę zabójcy, nawet jeśli mieściła się w Baton Rouge.

- Same męczennice?

- Tak, to trochę ogranicza listę. Są setki katolickich świętych i ni[^] wiemy, czym się kieruje przy wyborze, ale są to te kobiety, które zmarły gwałtowną i okrutną śmiercią.

- Przypuszczam, że było ich dużo.

- Amen - mruknął Montoya, wachlując się kartkami z wydrukami z Internetu. - Wiemy o świętej Cecylii. Stephanie Jane Keller została zabita w ten sam sposób, pozbawiona głowy trzema uderzeniami miecza, po torturach. Wiemy o świętej Joannie d'Arc. Niezidentyfikowaną kobietę znaleziono pod jej pomnikiem trzydziestego maja w dniu tej świętej, choć nie wiemy, gdzie ją spalił na stosie. Cathy Adams przypuszczalnie miała być świętą Marią Magdaleną, gdyż zginęła w jej dzień, dwudziestego drugiego lipca.

Montoya podał Jaskiel kilka kartek.

Z zachmurzoną twarzą przeglądała wydruk.

- To jest jeszcze gorsze niż poprzednie zabójstwa. Bentz musiał przyznać jej rację.

- Uważamy, że zginęły jeszcze inne kobiety, co najmniej dwie.

- Dlaczego? - spytała Jaskiel, a kiedy Bentz się zawahał, powiedziała: - Rozumiem. Dlatego że Olivią Benchet widziała - palcami zaznaczyła cudzołłów - te śmierci.

- Do tej pory się nie myliła. - Montoya wciąż przeglądał papiery.

- Sprawdzamy zaginione osoby w całym stanie, zwłaszcza tutaj, w miasteczkach uniwersyteckich. Stephanie Jane Keller i Cathy Adams studiowały wieczorowo, jedna w Tulane, druga w Loyoli. - Bentz nie mógł o tym myśleć, choć pocieszał się, że morderca wybiera kobiety w Nowym Orleanie, a nie w Baton Rouge. Z drugiej strony seryjni mordercy zmieniali miejsce działania. - Olivią Benchet studiuje w Tulane. Skontaktowaliśmy się z miejscowymi szkołami, nie tylko wyższymi, lecz także z prywatnymi, parafialnymi, szkołami z internatem, żeby ostrzec nauczycieli. Ci z kolei nakazują ostrożność swoim uczennicom, doradzają chodzenie co najmniej w parach, niewychodzenie wieczorem, staranne zamykanie drzwi.

- Czy myślisz, że Olivią Benchet, nasz główny świadek, jeśli można ją tak nazwać, jest związana z ofiarami, bo sama studiuje? - spytała Jaskiel, unosząc brwi.

- Może, ale nie znała żadnej z ofiar - stwierdził Bentz. Montoya skinął głową.

- I sprawdzamy Oscara Cantrella, który był jednym z wielu ojczymów Olivii Benchet. Jego firma, Benchmark Realty, wynajmowała dom, który się spalił.

~ Czy znał ofiarę?

- Tego nie stwierdziliśmy.

~ Musimy z nim porozmawiać. - Bentz rzucił okiem na zegar. - "yjechał na urlop i starał się nam zniknąć z oczu, ale znaleźliśmy go

przez sekretarkę i wolał wrócić na rozmowę, niż być przesłuchiwanym przez policję w Dade County.

- Jest obawa, że ucieknie?

-Nasz człowiek dopilnuje, żeby wsiadł do samolotu. Ja będę czekał na lotnisku - wyjaśnił Bentz.

- Co ze świadkami? Nikt niczego nie widział? Oprócz tej psychicznej?

- Nic co miałyoby sens. - Bentz pokręcił głową. - Ostatnim człowiekiem, który widział Stephanie Jane Keller żywą, jest mechanik w warsztacie, w którym zostawiła samochód. Jest czysty, tak samo jak jej przyjaciel. Townsend ma alibi, którego nie udało nam się podważyć, z własnej woli poddał się badaniu wykrywaczem kłamstw i wypadł doskonale. To nie on. Jeśli zaś chodzi o jej samochód, nie znaleźliśmy żadnych śladów.

- Mam jednego faceta, który jest na filmie z pożaru, ale nawet przy powiększeniu komputerowym nie udało nam się go zidentyfikować. Przynajmniej na razie. Sprawdziliśmy właścicieli spalonego domu, rodzeństwo, które go odziedziczyło po rodzicach. Wygląda na to, że są w porządku i mają alibi. Brat prawdopodobnie nie może się doczekać na pieniądze z ubezpieczenia. Tamtego wieczoru pracował do późna i ma na to dowody. Druga właścicielka, jego siostra, jest zrozpaczona, bo kochała dom, w którym się wychowała. W noc morderstwa była w domu z mężem i dziećmi.

- Zabójca jakoś się tam dostał - zauważyła Melinda.

- Wciąż szukamy Reginalda Bencheffa. - Na myśl o ojcu Olivii Ben-tza nachodziły ponure przeczucia. - Ma związek z Olivią Benchet, która widzi te zabójstwa; siedział w więzieniu za morderstwo; znów jest na wolności i podczas odsiadki stał się bardzo religijny.

-I zapewne nauczył się paru sztuczek. Znasz tych facetów - dodał Montoya. - W więzieniu uczą się tego wszystkiego, czego jeszcze nie wiedzieli. Niech mi nikt nie mówi o resocjalizacji.

- Rozmawiałeś z jego kuratorem? - spytała Melinda. Bentz skinął głową.

- Jak na razie sprawuje się przyzwoicie.

- Akurat - mruknął Montoya.

- Rozmawiali z nim policjanci z Lafayette. Zamierzam wpaść tam dziś, bo jadę do Baton Rouge, a to niedaleko. Reggie Benchet usiłował ostatnio nawiązać kontakt z córką... - Bentz zawahał się, pomyślał o tym, co powiedziała mu Olivia i postanowił przekazać to Jaskiel. - Olivia zadzwoniła do mnie wczoraj wieczorem. - Wyjaśnił szczegółowo, c^o widziała i jak bardzo to przeżyła. - Tak się zdenerwowała, że stłukła



lustro i skaleczyła się w rękę. Była pewna, że zabójca zna jej imię. Jakoś wyczuła, że o niej myślał i nazwał ją „świętą Olivia”.

- Cholera - mruknęła Melinda.

- Jesteś pewien, że ona nie zmyśla? - Montoya nie zamierzał uwierzyć zbyt łatwo.

- Wierz mi, była przerażona.

Jaskiel, sfrustrowana, rzuciła papiery na biurko.

- Dobrze, sprawdźcie ojca. I załatwcie, żeby na okrągło pilnowano jej i jej domu.

- Już to zrobiłem. Z autoryzacją FBI - powiedział Bentz, spodziewając się, że go opieprzy za drogę na skróty. Tymczasem szefowa tylko skinęła głową.

- A co z tymi dwoma morderstwami, które mogły się zdarzyć? Tymi, które widziała Olivia Benchet? - spytała.

- Wczoraj był dzień świętej Katarzyny z Aleksandrii. Torturowano ją na kole, które się zepsuło i wtedy ucięto jej głowę.

- Tak jak poprzednio.

-Tak.

- Ten sam morderca?

- Na to wygląda.

- Teraz jej wierzysz? - spytała Melinda, unosząc brwi.

- Tak - przyznał. - Wierzę. Olivia twierdzi, że widziała kolejne morderstwo. Kobieta zamknięta w krypcie, torturowana i zostawiona na śmierć głodową. Spójrz. - Podał jej kartkę z życiorysem świętej Filomeny i notatkami Olivii. - Albo Olivia Benchet jest badaczką żywotów świętych i robi sobie żarty, albo to jest prawda. - Przypomniał sobie przerażenie Olivii, kiedy rzuciła mu się w ramiona poprzedniego wieczoru. - Ja uważam, że to jest prawda.

- Dobrze. - Jaskiel zmarszczyła brwi i znów spojrzała na zegarek.

— A więc współpracujesz z siłami specjalnymi i z FBI?

- Tak. Trudno jest pogodzić odpowiednie jurysdykcje, ale uważamy, że może ten człowiek zrobił to samo w innym stanie. Jeden z sił specjalnych bada stare niewyjaśnione zabójstwa, popełnione w okolicach dni świętych męczennic, ale nawet przy pomocy FBI i ich programów komputerowych to zabierze trochę czasu.

~ Którego nie mamy.

~ I szczęścia - dodał Bentz. - Którego też nam brakuje.

Montoya prychnął.

~ Sprawdzam producentów mieczy. Mamy broń z pożaru w Bayou¹- John, oczywiście bez odcisków palców, ale taki miecz jest dość rzadki.

Domyślam się, że został kupiony na jednym z tych pokazów broni i amunicji. Prawdopodobnie nie da się tego zweryfikować- Ale popytam miejscowych handlarzy.

- A związek z księdzem?

-Na razie nic nie mamy, oprócz tego, co mówi Olivia. Sprawdzamy wszystko, co znaleźliśmy na miejscu zbrodni, jednak cały materiał jest nadpalony i to też musi potrwać. Nie mamy próbek żadnych włókien. Nic zza paznokci ofiary. Obawiam się, że morderca wyszedł z tego czysty -przyznał Bentz.

Jaskiel nerwowo zastukała palcami o blat biurka.

- Potknie się. Musi. A kiedy to zrobi, złapiemy go. Tymczasem co mam powiedzieć dziennikarzom? - spytała i sama odpowiedziała: -Nic... W każdym razie nic o powiązaniu ze świętymi, bo za chwilę każdy religijny wariat z okolicznych parafii będzie wymyślał nowe sposoby tortur. Będziemy się trzymali tego, co już mówiliśmy: seryjny morderca, należy uważać, nie konkretnego...

- Może zrobi coś głupiego, jeśli zachowamy spokój - zasugerował Bentz. - Czasami seryjny morderca, kiedy nie zwraca się na niego uwagi, staje się bezczelniej szy. Kontaktuje się z policją.

Melinda wyprostowała się.

- Pod warunkiem że frustracja z powodu braku uwagi nie prowadzi do kolejnego morderstwa. To byłoby trudno wytłumaczyć opinii publicznej.

- Co robisz w Święto Dziękczynienia? - spytała Kristi, popijając colę i zastanawiając się, czy chce „to zrobić” z Brianem Thomasem.

Był naprawdę niesamowicie przystojny z ciemnymi włosami, intensywnie niebieskimi oczami i tajemniczą aurą, która tak podniecała Kristi.

- Oprócz wyrażania wdzięczności? - Odsunął tacę i oparł się łokciami o porysowany stół. Szkolny sygnet błysnął w świetle jarzeniówki. Żartował sobie z niej, widziała to w jego oczach.

- Będę uroczyście poprawiał testy.

- To nic przyjemnego.

- Nie? Nie podnieca cię esej na temat filozoficznych i politycznych implikacji działalności Kościoła katolickiego w Rzymie podczas...

- Daj spokój. - Przewróciła oczami. -Nie, to mnie zupełnie nie podnieca.

- A co? - Sięgnął przez stół, wziął ją za rękę i zaczął delikatnie gładzić jej ramię. Kristi mocniej zabiło serce. - Może się przekonamy?

- Teraz?

- Nie. Za pół godziny zaczynam zajęcia, ale później... Mam butelkę wina. Wprawdzie dość taniego, ale skutecznego. Moglibyśmy też pójść do baru.

Kristi westchnęła.

- Ja pasuję. Tata przyjeżdża po mnie po ostatnich zajęciach. Uśmiechnął się łobuzersko.

- Nie możesz zadzwonić i powiedzieć, żeby przyjechał jutro? Powiedz, że musisz się uczyć.

- Za dobrze mnie zna. - Brian puścił jej rękę i dreszcze, które czuła wcześniej, ustały. Gryzła biało-czerwoną słomkę. - Pamiętaj, że mieszkał ze mną przez osiemnaście lat.

- Mogłaś się zmienić.

- Nie uwierzy. Jest gliniarzem. Oficerem śledczym - przyznała niechętnie. Ile razy jakiś chłopak się o tym dowiadywał, natychmiast zrywał znajomość. Nikt nie chce mieć do czynienia z córką gliniarza.

Brian jednak nawet nie mrugnął.

- Tata ci nie ufa.

- Nikomu nie ufa, a teraz będzie jeszcze gorzej. Czytałam w gazecie, że w Nowym Orleanie grasuje kolejny seryjny morderca. Tata nie wytrzyma. Zobaczysz. Każe mi wrócić do domu albo zainstalować system alarmowy w pokoju, albo nosić przy sobie olbrzymi pojemnik z gazem łzawiącym.

Brian roześmiał się, choć jego oczy pozostały poważne.

- Jest paranoikiem.

-Zgadza się. Widzi te wszystkie rzeczy na co dzień i wariuje. -Zgniotła słomkę zębami. - Mam szczęście, co? A jacy są twoi rodzice? Nigdy o nich nie mówisz.

Przestał się uśmiechać.

- Nie ma o czym mówić.

- Nie jedziesz do domu na święta?

-Nie mam domu.

- Daj spokój. - Uważała, że znów sobie z niej żartuje, ale zauważyła napięte żyły na jego oszyi. - Twoi rodzice się rozwiedli?

- Ze mną.

- Co to znaczy?

- Zerwali ze mną kontakt, gdy skończyłem osiemnaście lat. Wpadłem w... kłopoty i nie umieli sobie z tym poradzić.

- Jakie kłopoty? - spytała ostrożnie. Hałasy z kuchni, szcękanie ^sztućców, brzęk tac i rozmowy z sąsiednich stolików nagle przycichły. "nań przyglądał się swoim rękoma, nie patrzył jej w oczy.

-No, przyznaj się. Ja ci powiedziałam o tacie.

-" To co innego.

- Wystarczy, że do niego zadzwonię i tak cię sprawdzę, że nawet sobie nie wyobrażasz.

Brian zeszytywniał i spojrzał na nią zmrużonymi oczami.

- Zrobiłabyś to?

-Nie, ale bym mogła. No, powiedz. - Wyciągnęła rękę i spłotła swoje palce z jego palcami. - Co się stało?

- To było dawno temu. Stara historia.

- Przecież nie będę ci miała za złe.

- Nie możesz tego wiedzieć.

- Coś bardzo złego? - spytała. Wyraz jego oczu ją zaskoczył.

- Sama zdecyduj. Dziewczyna... Dziewczyna, z którą się spotykałem przez pół roku, oskarżyła mnie o gwałt.

- Co? - Pożałowała, że w ogóle pytała. Gwałt? Wielki Boże! Cofnęła rękę, a Brian się skrzywił, jakby się tego spodziewał.

- Gwałt ustawowy - wyjaśnił. - Ja miałem osiemnaście lat, ona nie skończyła szesnastu. To, oczywiście, była bzdura i prokurator umorzył śledztwo. Zostałem oczyszczony z zarzutów, całkowicie, ale moi rodzice stracili do mnie zaufanie. Pokłóciliśmy się o to o jeden raz za dużo i wyrzucili mnie z domu.

- Tak po prostu?

- A co? - wzruszył ramionami. - Mieli jeszcze pięcioro innych dzieci. Ja byłem przysłowiową czarną owcą. Zawsze miałem kiepski kontakt z ojcem. Nawet kiedy byłem dzieckiem. - Zagrzechotał kostkami lodu w szklance i wychylił resztkę swego drinka.

Kristi była zaszokowana. Wiedziała, że Brian ma w sobie coś dzikiego, niebezpiecznego, ale nie spodziewała się czegoś takiego i po raz pierwszy, odkąd go poznała, zaczęła się zastanawiać, czy nie angażuje się w coś, z czym nie potrafi sobie poradzić.

-1 co zrobiłeś, kiedy cię wyrzucili?

- Najpierw byłem przez parę lat w wojsku, ponieważ nigdy nie zo-stałem formalnie oskarżony o przestępstwo. Ale nie widziałem się w roli zawodowego wojskowego, więc pomyślałem, że pójdę do seminarium.

- Żeby zostać księdzem? - szepnęła, myśląc o pieszczotach i pocałunkach, o namiętym pożądaniu, jakie w nim wyczuwała. Ksiądz? - ^"chyba obowiązuje celibat?

- Tak. To był problem i moje plany szybko się zmieniły. Zaczął®"1 studiować, później parę lat wykonywałem pracę, której nie cierpią®"1" i w końcu wylądowałem tutaj, na studiach doktoranckich.

- To ile masz lat? Czterdzieści? Roześmiał się.

- Nie, ja działałam szybko. Trzydzieści jeden. Zatkąło ją. Trzydzieści jeden? Staruszek. Nie to jednak było najgorsze. Myślała o gwałcie i studiach w seminarium.

- Dla mnie jesteś człowiekiem, który by się nadawał do ślubów z Bogiem.

- Wszyscy przechodzimy w życiu różne fazy, zwłaszcza my, starsi faceci - powiedział sarkastycznie. Najwyraźniej poczuł się urażony jej słowami.

-Nie mówiłam, że jesteś stary.

- Tylko myślałaś, że mam czterdzieści lat. W każdym razie, kiedy poszedłem do seminarium, usiłowałem jakoś uporządkować swoje życie. Chyba szukałem rodziny, swojego miejsca... Ach, kto to wie i kogo to obchodzi?

Zmiał serwetkę i rzucił na stół. Wracił ponury nastrój. Jego zimne oczy pociemniały.

- Mnie - powiedziała nagle. - Mnie obchodzi.

-I dlatego jesteś niezwykła, Kristi. — Uśmiechnął się. - Jesteś pewna, że musisz dzisiaj wyjechać? Moglibyśmy się zabawić.

-Niestety. - Miała wielką ochotę zadzwonić do ojca i wymyślić jakiś pretekst, by zostać w Baton Rouge. Mogłaby powiedzieć, że musi napisać referat, czy coś w tym rodzaju. - Naprawdę powinnam pojechać do domu.

- Nie ma sposobu, żebyś została? - Jego ręka była bardzo ciepła.

- No... Mam test na zajęciach u doktora Northrupa i referat dla doktora Suttera.



- Z psychologii?

- Tak.

- Chodziłem wcześniej na zajęcia do Suttera. Niespecjalnie mnie lubił.

- Naprawdę? Dlaczego miałby cię nie lubić?

Brian cofnął rękę.

- Uważałem, że ściągnąłem niektóre z moich teorii z Internetu. To była bzdura i tak mu powiedziałem. ~ Co się stało?

-Nic. Nie mógł mi niczego udowodnić. Ale wyszedł na kretyna. Stał przed nami z czerwoną twarzą i z nerwowym tikiem w oku. Wydaje mi się, że bardzo go denerwuje fakt, że wróciłem tu na studia doktoranckie.

~ A tobie się to podoba?

- Zasluguje na to, żeby go trochę przykrócić. Głupi osio! Zawahała się, ale zobaczyła w jego oczach dumę.

- Zrobiłeś to?

- Co? Ukradłem? Popelnilem plagiat? Nie. - Prychnął, jakby sam pomysł był absurdalny. - Gdybym to zrobił, wszystko bym zepsuł. Moje plany na przyszłość, szansę na pracę.

- Pod warunkiem, że by cię złapali - powiedziała, grając rolę adwokata diabła. Potrząsnęła szklanką i dopiła resztę coli. Nie spuszczała z niego oczu.

- Uważasz, że mógłbym oszukać?

-Nie wiem. A mógłbyś? - Zauważyła, że jej serce zaczęło bić szybciej i lekko się spociła, jakby się bała jego odpowiedzi. Dlaczego tak na nią działał?

- Nie. Sutter chciał mi dokopać. - Wydawało się, że chce cofnąć to, co powiedział. - Zachowuję się jak paranoik, co? Najpierw moi rodzice, a potem doktor Sutter. Uwaga, bo cały świat jest przeciwko Brianowi Thomasowi.

- Naprawdę tak uważasz?

-Nie. - Ściszył głos, bo kelner zaczął sprzątać z sąsiedniego stolika. - Naprawdę. Uważam też, że chciałbym, żebyś została na weekend. Poznalibyśmy się trochę lepiej...

- Mamy czas.

- Skoro tak mówisz... - Odchylił się na krześle i Kristi poczuła, że bliskość gdzieś się ulatnia. Nagle wydał jej się odległy i obcy. Fakt, że nie ma rodziny, że odrzucili go jego rodzice, zmartwił ją, ale nie mogła zawieść ojca.

A może mogła?

Może jest jakiś sposób?

- Muszę iść - powiedział, rzucając okiem na zegar nad kasą, przy której kilku studentów płaciło za kanapki. - Cholera, mam pięć minut, żeby dotrzeć na zajęcia. - Odepchnął krzesło i wstał.

Nie chciała, żeby odszedł, nie teraz, kiedy był na nią zły. Choć nie zrobiła niczego złego. Wiedziała, że usiłuje sprawić, by czuła wyrzuty sumienia za jego krzywdę, za samotność, ale nie miała zamiaru się temu poddać, chociaż naprawdę go polubiła.

- Zobaczymy się, jak wrócę.

- Jasne - odparł z roztargnieniem, biorąc plecak i idąc do wyjścia. I jakby się zorientował, że był dla niej niemiły, cofnął się, pochylił i szepnął jej do ucha: - Bądź gotowa, jak wrócisz.

Poczuła dreszcz.

-Naco?

- Przekonasz się - powiedział z uwodzicielskim uśmiechem.

Rozdział 26

Czy potrzebuję adwokata? - spytał Osear Cantrell. Wyszedł z budynku lotniska z zaczerwienioną twarzą i niezapalonym cygarem w zębach. Był wściekły i agresywny.

- Niech pan sam osądzi - poradził mu Bentz.

- Jestem o coś oskarżony? - Cantrell, niski mężczyzna z dużym brzuchem, bakami, w słonkowym kapeluszu, rzucił Bentzowi ostre spojrzenie. Na Bentzu nie zrobiło to wrażenia. Niech się podenerwuje. Wyszedł po Cantrella do bramki dla pasażerów, pokazał mu odznakę i doprowadził do dżipa.

- Nie. Muszę tylko zadać panu kilka pytań.

- Hej, co jest, mam tu własny samochód. - Cantrell przełożył podróżną torbę na drugie ramię. - Nie muszę jechać z panem.

- Niech mi pan zrobi tę przyjemność. Potem pana tu odwiozę.

- Gnojek - mruknął pod nosem Cantrell, ale się nie sprzeciwił. Niechętnie, z poczerwieniałą twarzą, usiadł na tylnym siedzeniu dżipa. Bentz włączył silnik i zerknął we wsteczne lusterko.

- Niech mi pan opowie o byłej żonie.

- Której?

- O Bemadette Dubois.

Cantrell prychnął i przesunął cygaro w kącik ust.

- Święta Bemadette - mruknął ironicznie. Bentz zeszytniał.

- Tak pan ją nazywał?

- Tak. Zna ją pan? - spytał Cantrell, a kiedy Bentz pokręcił głową, dodał: - Zawsze są z nią problemy. I to poważne. Piękna kobieta, wspaniała, ale manipuluje ludźmi. Chce więcej, niż mężczyzna jest w stanie Jej dać. - Oparł się wygodnie. - Ma jakieś kłopoty z policją? To o to chodzi?

- Chcę panu zadać kilka pytań.

-Na jaki temat?

- Na temat pożaru w domu w Bayou St. John, który wynajmował pan Przez swoje biuro.

- Tak myślałem. - Cantrell wyglądał przez okno, żując cygaro. - Nic o tym nie wiedziałem. Nic. Niech pan spyta moją sekretarkę. Wyjeżdżałem z miasta. Z... przyjaciółką. Może pan do niej zadzwonić.

- Zrobię tak - zapewnił Bentz, choć wiedział, że Cantrell mówi prawdę. Jeszcze jeden ślepy zaułek. - Zna pan jej córkę?

- Olivię? Tak, widziałem ją parę razy. - Cantrell zdjął kapelusz i otarł czoło chustką. - Jej druga córka umarła. Chyba nigdy sobie nie poradziła z wyrzutami sumienia. Spała, kiedy dzieciak wpadł do basenu i się utopił. Bemadette obwiniła Olivię, ale wiem, że w głębi ducha czuła się winna. Ta kobieta stale miała jakieś problemy.

-Naprawdę? - Bentz nie spodziewał się, że Cantrell będzie taki rozmowny. - Dlaczego?

- Nie mam pojęcia. Jej ojciec nie żył, matka była półwariatką, ze swoim wudu i innymi bzdurami. Nic dziwnego, że miała trochę nie po kolei w głowie. Przypuszczalnie zaczęło się od dziecka.

- Olivii?

-Nie.

- Od tej dziewczynki, co się utopiła? Chandry?

- Skądże znowu - powiedział zirytowany Cantrell. - Mówię o pierwszym dziecku.

Bentzowi coś zaskoczyło w głowie. Ponownie spojrzął we wsteczne lustro.

- Jakim pierwszym?

- O jej synu... To miała być wielka tajemnica, ale któregoś wieczoru Bemadette się upiła. Jeszcze nie widziałem jej tak pijanej. I nagle zaczęła opowiadać o synu. Przez długi czas marudziła, że zaszła w ciążę i musiała oddać dziecko. Jej matka Virginia wymogła to na niej.

- Kto był ojcem?

- Oczywiście Benchet. O to właśnie poszło. Babka Olivii uważała go za łajdaka. - Bentz podchwycił w lusterku leniwe spojrzenie Cantrella. -Po tym jednym razie Bemadette nigdy już do tego nie wracała. Ja też nie. W końcu to nie moja sprawa. Wydaje mi się jednak, że nigdy nie powiedziała Reggiemu.

- Jemu nie, a panu tak? - Bentz był sceptyczny.

- Rum rozwiązał jej język. Człowieku, ta kobieta nie mogła się p^o zbierać. I od tego się chyba wszystko zaczęło. Od oddania dziecka.

- Kiedy co się zaczęło?

- Wariactwo... To u nich rodzinne. - Wyjął cygaro z ust i wymachiwał nim dla podkreślenia tego, co mówi. - Stara kobieta przekazała j6 następnym pokoleniom. Od Yirginii do Bemadette i Olivii. Trzy piękⁿ

kobiety, seksowne jak diabli, czarujące, ale nie całkiem w porządku, mówię panu. Inne niż normalne kobiety, jeśli wie pan, o co mi chodzi.

Niestety, Bentz wiedział. Wystarczyło, żeby wrócił myślą do poprzedniej nocy.

Olivia pracowała rano przez kilka godzin w Trzecim Oku, a potem wróciła do domu, gdzie czekała na nią ekipa Olego Olsena.

Usiłowała się uczyć w gościnnym pokoju, podczas gdy robotnicy kręcili się po domu, ciągnęli przewody, rzucali polecenia, wyłączali prąd, a potem, na próbę, włączali alarm. Siedziała na łóżku, przerzucając strony skryptu, od czasu do czasu udzielając odpowiedzi robotnikom, którzy stukali do zamkniętych drzwi. Nie potrafiła się skoncentrować. Zresztą nie tylko ze względu na zamieszanie w domu. Noc spędzona z Bentzem wydawała jej się nierzeczywista, a ich poranna kłótnia kolejną niedopasowaną częścią układanki, jaką było jej życie.

Kiedy włączono prąd, zapomniała o pracy i weszła do Internetu. Przez kilka godzin zbierała informacje o życiu i śmierci niektórych świętych. Chciała powiedzieć Bentzowi, że jego teoria jest fałszywa, ale kiedy przeczytała o świętych, o których wspominał, i przypomniała sobie zamordowane kobiety, nabrała pewności, że mają ze sobą coś wspólnego.

Ale co? Dlaczego właśnie te święte? W jaki sposób dotyczy to jej?

Kiedy większość robotników wyszła, było już prawie ciemno. Założono podstawowy system alarmowy, który reagował za każdym razem, kiedy ktoś otwierał okno albo drzwi.

- Chce pan powiedzieć, że już nigdy nie będę mogła spać przy uchylonym oknie? - spytała Olsena, wysokiego mężczyznę o nordyckiej urodzie, z szeroką twarzą i krótkimi siwymi włosami.

- Może pani wyłączać alarm w pewnych częściach domu, ale ja bym odradzał. Proszę spojrzeć... — Pokazał jej panel kontrolny i wyjaśnił działanie czujników ruchu, alarmy, czas, który musi minąć między ustawie-ⁿⁱem alarmu i jego uaktywnieniem.

- Kiedy czujnik ruchu jest włączony, pies musi być w innym pomieszczeniu, tak?

- Chyba że zależy pani na czymś takim. - Nacisnął guzik, włączając

alarm, a dom wypełniły przeraźliwe dźwięki. Hairy S zaskomlał. Olivia

znowu nauczyła się wyłączać alarm.

~ Czasem nienawidzę takich nowoczesnych urządzeń - mruknęła. ~ Ja też. -

Olsen uśmiechnął się, pokazując złotą koronkę. - Ale usze pamiętać, że tak zarabiam na życie i nie powinienem narzekać. —

Zostawił jej swój ą wizytówkę, grubą książeczkę z instrukcją gwarancją oraz zaskakująco niski rachunek, który, jak wyjaśnił, zawdzięczała Ben-tzowi. - Znamy się od ładnych paru lat - powiedział. - Pomógł mojej córce, kiedy wplątała się w narkotyki. Niech pani dzwoni, gdyby coś się psuło - dodał, idąc do samochodu. - Bentz kazał mi się panią zająć i zamierzam spełnić jego życzenie.

- Jestem pewna, że sobie poradzę - zapewniła i pomachała ręką na pożegnanie, nim wróciła do swojego bezpiecznego domu. Ciekawe, co by pomyślała babka Gin.

Przypuszczalnie, że jest głupia. Mogła sobie wyobrazić, jak babka przewraca się w grobie i mruczy: „Po cholere płacić za te wszystkie dzwonki i gwizdki. Ufaj Bogu, Liwie, i naucz się używać strzelby. Niczego więcej nie potrzebujesz”.

- To nieprawda, babciu - szepnęła Olivia, siadając przy kuchennym stole i przeglądając instrukcję. - Nieprawda.

Pies zaskomlał i Olivia podrapała go za uchem. Zostawiła instrukcję otwartą na siódmej stronie i poszła do pokoju. Kątem oka zauważyła, że Hairy S wskoczył na krzesło, na którym przed chwilą siedziała, porwał instrukcję i zaniósł ją do pralni.

- O, nie! - zawołała, biegnąc za psem i wrywając mu książeczkę, nim zdążył ją zagrzebać w swoich skarbach pod kocem. - Może mi być potrzebna. - Schowała instrukcję do szafki i ruszyła z powrotem do pokoju.

W tej samej chwili poczuła, że coś w atmosferze domu się zmieniło.

Jakby powiał zimny ostry wiatr.

-Nie -jęknęła, czując przyspieszone bicie serca.

Nie mógł przecież znów tego robić. Nie po wczorajszym wieczorze. Zimna igła strachu wbiła się w jej mózg. Spojrzała w lustro w przedpokoju, spodziewając się, że zobaczy w nim zamaskowaną twarz księdza i jego okrutne niebieskie oczy, ale widziała tylko swoje odbicie: bladą kobietę z potarganymi włosami i przerażonym spojrzeniem.

Hairy S zaskomlał, ale nie pobiegł do drzwi ani do okna, jak to zwykle robił, gdy słyszał coś na zewnątrz. Kręcił się koło niej, drżąc, jakby wyczuwał jakąś diabelską obecność.

- Ciii. Wszystko w porządku - szepnęła, biorąc psa na ręce i przytulając. - Jesteśmy bezpieczni. - Pies wrywał jej się z rąk. Postawiła go na podłodze, a on pobiegł, skrobiąc pazurami po deskach, do wejścia do kuchni, a potem odwrócił się i spojrzał na nią. - Hairy, nic ci nie jest?

Pies zawodził żałośnie.

- Okropny z ciebie tchórz - powiedziała, ale nie mogła się oprzeć. Wrażeniu, że stało się coś strasznego. Nie w jej wizjach, lecz tu, w domu. Pomyślała o słowach babki, o jej wierze w Boga. Babka wyznawała nieszkodliwą mieszankę katolicyzmu i wudu. Znajdowała pociechę w Biblii. Tej samej, która leżała na górnej półce. Gruby, oprawny w skórę tom, który był w jej rodzinie od wieków i miał swoje miejsce pod starym owalnym lustrem.

Hairy zaszczeakał i cofnął się.

- Przestań.

Pies nie przestawał szczeakać, kiedy wzięła do ręki Biblię, która sama otworzyła się na psalmie dwudziestym trzecim. Ulubionym psalmie babki. Olivia przeczytała znajomy tekst i przypomniała sobie, że babka często szeptała jej te słowa, kiedy układała ją do snu.

Choćbym nawet szedł ciemną doliną

*Zła się nie ulęknę... **

Olivia zamrugala, by odpędzić łzy, napływające jej do oczu na wspomnienie babki, która gładziła jej włosy, szepeząc słowa psalmu. Dziwne, Olivia sama nigdy nie czytała Biblii, to była domena babki.

Hairy znów warknął. Najwyraźniej psalm go nie uspokoił.

- Heretyk - mruknęła Olivia i odłożyła Biblię. Tym razem otworzyła się na stronie, na której pokolenia Dubois zapisywały każde urodziny, małżeństwo i śmierć w rodzinie w ciągu ostatnich stu dwudziestu lat. Babka pilnowała tego równie starannie, jak jej teściowa i wszystkie kobiety przed nią.

Olivia sprawdziła, gdzie urodziła się jej matka. Oprócz niej było jeszcze troje dzieci, z których żadne nie żyło dłużej niż tydzień. Były za słabe, by przeżyć.

Bemadette była wyjątkiem.

Pod nazwiskiem matki widniała lista jej małżeństw i dzieci, które urodziła.

Olivia znieruchomiła.

Palcem dotknęła swego imienia i daty urodzenia. Krótkie życie Chandry też zostało zapisane. Ale nad jej imieniem był jeszcze jeden zapis.

Chłopiec. Bez imienia. Syn Bemadette i Reggiego Bencheta. Jeśli to "e błąd, ten bezimienny brat był zaledwie o rok starszy od Olivii. Brat? Ma brata? Co się z nim stało?

* Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Brytyjskie Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1990 (przyp. red.).

Rozbolała ją głowa. Jeszcze raz przeczytała zapiski, myśląc, że czegoś nie zauważyła, ale nie znalazła daty śmierci chłopca. Nigdy o nim nie słyszała.

Jakby w ogóle nie istniał.

Czyżby to był błąd, bezimienne dziecko zapisane w nieodpowiednim miejscu? Nie, zapis zrobiła babka, to był jej charakter pisma. Ona na pewno by się nie pomyliła.

Jeśli nie umarł, to co się z nim dzieje?

Poczuła zimny dreszcz i kiedy spojrzała w lustro, oprócz własnego odbicia zobaczyła przesuający się bezkształtny cień.

Upuściła Biblię i zrobiła krok w tył. Omal nie potknęła się o własne nogi.

Serce jej waliło, dłonie miała mokre od potu.

Poza odbiciem zobaczyła coś diabelskiego i śmiertelnego.

Znów się cofnęła, tłumacząc sobie, że to tylko gra wyobraźni, że podziało tak na nią dziwne zachowanie psa. Poczowała gęsią skórę i zabrakło jej tchu.

Weź się w garść, Olivio! Niczego nie widziałaś. Niczego! Masz zbyt wybujałą wyobraźnię.

Oddechnęła głęboko kilka razy, podeszła szybko do telefonu, znalazła w górnej szufladzie książkę adresową i przesuając palcem po kolejnych numerach, znalazła w końcu telefon Bemadette.

Prędko wykręciła numer, usiłując powstrzymać falę paniki. Bentz powiedział, że musi istnieć jakiś związek między nią a mordercą. Coś w jej genach... Czy to możliwe? O, Boże, o, Boże, Boże.

Telefon dzwonił. Raz, drugi, trzeci.

- Odbieraj, do diabła!

Po czwartym dzwonku włączyła się automatyczna sekretarka.

Co ma powiedzieć?

- Bemadette... Mówi Olivia. Zadzwoń do mnie, proszę, jak...

- Liwie? - przerwał jej głos matki. Olivia poczuła, że nogi się pod nią uginają. Oparła się o półkę. - Co za niespodzianka.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Pod warunkiem że to nie będzie wykład o moim mężu. Wprawdzie myślałam, żeby od niego odejść, ale Jeb i ja staramy się jakoś porozumieć.

- Zwą... - Olivia ugryzła się w język i policzyła w myślach do dziesięciu. - Znasz moje zdanie, ale dzwonię w innej sprawie.

Zapadła długa chwila ciszy i Olivia zastanawiała się, jak zadać pyt⁸ nie. Czy ma oskarżyć matkę o ukrywanie prawdy przez ponad trzydzieści lat?

- Przeglądałam Biblię - zaczęła. - Wiesz, tę babci.

- Wiem.

- To bardzo dziwne... Nie miałam pojęcia, że jest tam strona, na której zapisane są wszystkie narodziny, śluby i śmierci w rodzinie.

Czy tylko jej się wydawało, czy Bemadette naprawdę głośno odetchnęła?

-Tak?

Nie było sposobu, by złagodzić pytanie.

-Zauważyłam daty urodzin Chandry i moje, ale nie jesteśmy jedynymi dziećmi. Jest tam wpisany jeszcze jakiś chłopiec. Bez imienia. Urodzony rok przede mną. Mój starszy brat.

Cisza.

- Mamo?

Pauza i długie westchnienie.

- To nie twoja sprawa, Liwie.

- Miałam brata, o którym nikt mi nigdy nie powiedział i to nie jest moja sprawa? - powtórzyła zdumiona i przerażona. - Oczywiście, że to moja sprawa.

- Jakie to ma dziś znaczenie?

- Bemadette... To mój brat. Czy żyje? Cisza.

- Żyje? - powtórzyła Olivia, zaciskając aż do bólu palce na słuchawce.

-Ja... nie wiem.

- Nie wiesz?

- To skomplikowana sprawa.

-Na litość boską, Bemadette! Gdzie on jest? Co się stało? Kto to jest?

- Powiedziałam już, że nie wiem - warknęła Bemadette. - Byłam młoda, ledwo skończyłam szkołę - dodała ciszej. -Nie miałam męża... Wtedy nie akceptowano nieślubnych dzieci. Nie tak jak dzisiaj. Musiałam powiedzieć matce, a ona... Ona zorganizowała prywatną adopcję. Nie znam jego imienia, nie wiem, co się z nim stało. Nic nie wiem.

- Ale... - Olivia oparła się o ścianę. W głowie jej się kręciło od tych ^zystkich kłamstw. Co jeszcze przed nią zatajono?

- Jeśli o mnie chodzi, to dziecko nigdy nie istniało - stwierdziła Bemadette, choć jej głos drżał z emocji. -Nie spodziewam się, że mnie zro-^miesz, Liwie, ale mam nadzieję, że nie będziesz mnie osądzała.

-Nie miałam zamiaru... Chcę tylko poznać prawdę.

- Prawda jest bardzo prosta. Zaszłam w ciążę, kiedy jeszcze chodzi-^{am} do szkoły, a twój ojciec... wypłynął na morze, nie mieliśmy ślubu,

więc oddałam dziecko do adopcji i tego nie żałuję. Nie mam powodu. Dziś pewnie nazywałoby się to odrzucenie. Niech będzie. To wiele wyjaśniało.

- O wszystkim wiedziała jedynie twoja babka i ja. To była prywatna adopcja. Nie znałam adwokata, który się tym zajmował, ani nazwiska rodziny, która go adoptowała. Nie chciałam o niczym wiedzieć wtedy ani nie chcę teraz. Nie mówiłam twojemu ojcu.

- Nie jest moim ojcem.

- I kto tu mówi o odrzuceniu? Zostaw to, Olivio. Masz gdzieś brata, ale jakie to ma znaczenie?

- Nie jesteś ciekawa, co się stało z twoim synem?

- Nie, Liwie. Daj mi spokój.

Olivia nie mogła tego tak zostawić. Pomyślała, że tak czy inaczej musi się dowiedzieć, kim jest jej brat. Nawet gdyby okazał się mordercą.

Bentz, siedząc za biurkiem w komisariacie, zerknął na zegarek i zaklął. Ledwo starczało mu czasu, żeby dojechać po Kristi do Baton Rouge. Od Oscara Cantrella nie dowiedział się niczego nowego oprócz faktu, że „święta Bemadetta” oddała do adopcji syna, którego ojcem był Reggie Benchet. Uczucie, jakie Cantrell żywił kiedyś dla żony, znikło, gdy zaczęła się „puszczać”. „Była prawdziwą dziwką i chętnie szła do łóżka. Oczywiście na początku to mi się w niej podobało,..ale od żony wymaga się więcej, prawda?” - stwierdził Cantrell.

Bentz uważał, że tam musiało być coś jeszcze, ale na razie nie wiedział co. Zrobiło się późno. Włożył marynarkę, wsunął pistolet do kabury i ruszył do wyjścia, lawirując między biurkami.

- Bentz! - zawołała Penny, jedna z recepcjonistek. - Dzwoni Mon-toya. Mówi, że to ważne.

- Powiedz mu, żeby zadzwonił na komórkę. - Bentz był w połowie schodów. Gdy dochodził do samochodu, telefon już dzwonił.

- Bentz - rzucił, zapinając pas.

- Znaleźliśmy ją. - Montoya miał głos zimny jak śmierć.

- Kogo?

- Świętą Katarzynę z Aleksandrii.

- Co? - Bentz znieruchomiał z ręką na kierownicy. - Co to znaczy? Gdzie?

- To nie wszystko. Ona nie jest sama.

Rozdział 2 7

Co za dzień!

Chyba najgorszy w moim życiu, pomyślała Kristi, wpisując jakąś idiotyczną odpowiedź na ostatnie pytanie testu z angielskiego. A miało być łatwo. Ale doktora Northrupa uważano za najbardziej wymagającego profesora na wydziale anglistyki, prawdziwego perfekcjonistę, a zdaniem Kristi,

prawdziwego kretyna. Był zbyt drobiazgowy, zbyt nadęty. W dodatku nosił eleganckie garnitury i fryzury prosto od fryzjera. Zapewne nie miał więcej niż trzydzieści pięć lat, choć wyglądał starzej.

Kristi doszła do wniosku, że już nic więcej nie wymyśli i wrzuciła test do specjalnego koszyka przy biurku Northrupa. Wkładał właśnie płaszcz i obrzucił ją przelotnym spojrzeniem.

- Jedzie pani do domu na święta? - spytał.

Zaskoczył tym Kristi, bo przez cały semestr ani razu się do niej nie odezwał. Do studentów, którzy oddali testy przed nią, też nie powiedział ani słowa.

- Tak. - Skinęła głową i zarzuciła plecak na ramię. - Dzisiaj. Uśmiechnął się, choć trochę sztucznie, jakby z musu. Ale facet był tak sztuczny, jak trzydolarowy banknot.

- Życzę pani miłych świąt, panno Bentz - powiedział i odwrócił się, żeby poinstruować asystenta.

- Nawzajem - mruknęła, idąc do wyjścia. Nawet nie przypuszczała, że zna jej nazwisko. Specjalnie jej to nie zachwyciło. Facet był naprawdę zakrecony, skoncentrowany na sobie, jakby dzięki doktoratowi stał się kimś specjalnym i godnym szacunku.

Jej zdaniem zachowywał się głupio, ale wszyscy profesorowie byli lekko szurnięci. Kristi, wychodząc na listopadowe zimno, zaczęła się zastanawiać, czy inni wykładowcy w Ali Saints też mają fioła, czy tylko jej w tym semestrze trafili się najwięksi ekscentrycy na uczelni.

Z ciemnego nieba padał deszcz. Trzeci dzień z rzędu Kristi zapomniała parasola. Wyzywając się w duchu od idiotek, postawiła kołnierz kurtki i ruszyła biegiem przez kampus. Wąskimi ścieżkami, biegnącymi wokół wysokich budynków z cegły, przez uniwersyteckie trawniki szło niewiele osób. Do wieczora było jeszcze daleko, ale już się ściemniło.

Kristi przeskoczyła przez kałużę i przyspieszyła kroku, myśląc o profesorach. Doktor Zaroster od filozofii był nerwowym wymagającym człowiekiem, który wykrzykiwał rozkazy pod adresem Briana i traktował studentów z wyższością, podobnie jak Northrup.

Może takie podejście jest wynikiem pozycji w światku akademickim?

Profesorka od matematyki, pani Wilder, nosiła zbyt obcisłe swetry i zbyt mocny makijaż, ale poza tym była w porządku. Doktor Sutter od psychologii udawał, że jest wyluzowany, choć tak naprawdę wcale nie był. Raz wziął ją na bok i powiedział, że mogła napisać lepszy referat.

„Jestem pewien, że gdyby spędziła pani nad nim więcej czasu, zaskoczyłaby pani samą siebie”.

Ciekawe skąd wiedział. Tylko dlatego, że miał doktorat z psychologii... Ciekawe, czy mógł od ręki zrobić psychoanalizę?

Panna Pratt od zajęć sportowych. Lesbijka. Niewątpliwie. Usiłowała ją

namówić, żeby zapisała się do drużyny pływackiej, ale Kristi miała wrażenie, że ją podrywa. Czasem myślała nawet, że panna Pratt jest facetem. Zawsze kręciła się przy basenie i w szatni, udając, że jest zajęta, a naprawdę obserwując wszystkich i wszystko, co się tam działo.

Kristi nigdy nie miała problemów z nagością i rozbierała się i chodziła pod prysznic na szkolnych lekcjach gimnastyki bez zahamowań, ale panna Roberta Pratt to zmieniła. Lesbijka ją denerwowała.

Nie ona jedna. Ostatnio denerwowali ją wszyscy.

A teraz na dodatek ojciec się spóźniał. Zadzwoił do niej na komórkę i mętnie mówił coś o przełomie w sprawie, zaproponował nawet, że przyjedzie po nią ktoś inny.

Jeszcze czego.

Facet, o którym myślał ojciec, zapewne był kolegą z policji i zajechałby policyjnym samochodem. Tylko tego jej było trzeba. Niech cały świat wie, że jest córką gliniarza.

Na samą myśl o tym robiło jej się niedobrze. Powiedziała Bentzowi, że na niego zaczeka. Obiecał, że przyjedzie tylko „parę godzin” później. Cokolwiek to znaczyło. Za dobrze go znała, by uwierzyć.

Postanowiła, że nie będzie czekała w nieskończoność. Jeśli Bentz nie zjawi się o rozsądnej porze, zadzwoni do Briana. Uśmiechnęła się. Kiedy skręcała w lewo przy posągu świętej Marii pośrodku placu, wydawało jej się, że słyszy za sobą kroki. Ktoś jeszcze umykał przed deszczem. Obejrzała się przez ramię, ale nikogo nie spostrzegła. Kampus był praktycznie wymarły.

I trochę przerażający w ponurych ciemnościach.

Och, daj spokój.

Przeszła na skróty przez bibliotekę, wbiegając po dwa stopnie i energicznie popychając stare oszklone drzwi. Biblioteka, zwykle pełna ludzi, teraz wydawała się opustoszała. Przy starych dębowych stolikach

siedziało parę osób. Kilku studentów przeglądało książki na regałach. Przy przyciemnionych światłach budynek sprawiał ponure wrażenie.

Wyszła na dwór i przeszła przez mokry trawnik przed Cramer Hali. Znów jej się wydawało, że słyszy kroki, że ktoś za nią biegnie. Obejrzała się. Tym razem zobaczyła w cieniu wysokiego mężczyznę. Kogoś jej przypominał, ale po ciemku nie widziała dokładnie, a on po chwili znikł w gęstej kurtynie deszczu, odwracając głowę.

Przez moment Kristi zastanawiała się, czy przypadkiem nie szedł za nią celowo, ale to było śmieszne. Komu by się chciało śledzić ją taki deszcz?

Jesteś taką samą paranoiczką, jak twój stary. Na litość boską, facet leciał jak szalony, żeby się jak najszybciej schować przed deszczem. Czego tu się bać? Uspokój się!

Przez chwilę myślała, że to Brian, mężczyzna był mniej więcej tego samego wzrostu, ale Brian przecież by ją dogonił. Dlaczego miałby się odwracać i chować w cieniu? Nie, to bez sensu.

Ciekawe, gdzie on się podziewa, pomyślała zirytowana. Otwierając drzwi, starała się opanować gniew. Przypuszczalnie był jakiś normalny powód, dla którego nie odbierał telefonu.

- Gnojek - mruknęła pod nosem.

Wbiegła na drugie piętro, ocierając deszcz z twarzy, a potem wyszarpnęła z kieszeni komórkę. Nic. Nikt nie dzwonił od czasu, kiedy ojciec zawiadomił ją, że się spóźni.

Super!

Drzwi do pokoju były otwarte. Lukrecja leżała na łóżku, przeglądając najnowszy numer „Modem Bride”. Kristi z obrzydzeniem rozpoznała pismo. Lukrecja zajmowała się wyłącznie nauką i marzeniami o wyjściu za mąż po skończeniu studiów. Kristi ugryzła się w język, powstrzymując od złośliwego komentarza, i zaczęła ściągać mokrą kurtkę i dzinsy.

- Nikt nie dzwonił? - spytała, wyciskając wodę z włosów i szukając w małej szafie suchych ubrań.

-Jay.

Lukrecja popijała colę i zajadała ciasteczka, oglądając stronę z wyszukаныmi tortami weselnymi. Kristi wzdygnęła się.

- Pytał, kiedy jedziesz do domu.

- Rozmawiał z nim? - zapytała Kristi. Spojrzała do lustra i zobaczyła czerwoną od zimna twarz i skręcone deszczem włosy. - Dlaczego ^{nie} pozwoliłaś mu się nagrać?

~ Podniosłam słuchawkę, nie sprawdzając, kto dzwoni. - Na widok wykrzywionej twarzy Kristi Lukrecja przewróciła oczami. - Przepraszam,

ale on się nadal uważa za twojego chłopaka. Nic się nie stało. — Wzruszyła ramionami i wzięła kolejne ciasteczko. - Prosił, żebyś do niego zadzwoniła.

- Zaczekam, aż wrócę do domu.

- Jak chcesz.

- Nikt więcej?

- Nie. - Lukrecja spojrzała na nią niezwykle z siebie zadowolona. To doprowadzało Kristi do szału. - Nikt więcej. Nawet Brian.

Kristi nie mogła się już doczekać, kiedy odpocznie od swojej świętoszkowatej współlokatorce. Lukrecja nie paliła, nie piła, nie brała narkotyków, nawet nie słuchała normalnej muzyki, tylko jakie chrześcijańskie stacje. Marzyła o tym, żeby zostać żoną i matką. Nuuda. Kristi spojrzała na zegarek, zastanawiając się, jak długo przyjdzie jej czekać na ojca.

Bentz zaparkował za bramą. Wysiadając z dżipa, pokazał odznakę policyjną zastępcy szeryfa, który stał na posterunku. Za starym rozpadającym się parkanem stał opuszczony młyn.

Montoya rozmawiał z innymi policjantami. Odszedł od stojącej w deszczu grupy i skinął ręką na Bentza.

- Co tu mamy? - spytał Bentz.

- Dwie kobiety. Martwe. - Montoya zaciągnął się papierosem. W oczy rzuciły się jego wyostrome rysy twarzy i błyszcząca od deszczu kurtka. Zapadał zmrok. Deszcz bębnił o ziemię i o daszek czapki Bentza z logo drużyny Saintsów. - Zadzwonił do mnie kumpel z biura szeryfa i przyjechałem. Ciała znalazła dwójka dzieciaków. ~ Pokazał na chłopców, stojących nieopodal z oficerem policji i starszą kobietą.

- Co oni tu robili?

- Polowali. Wyszli z domu bez wiedzy matki. Upolowali więcej, niż się spodziewali.

Bentz spojrzał na młyn, który wyglądał jak dekoracja do starego horroru. Okna były zabite deskami, cementowe ściany poczerniały ze starości. Winorośl i krzaki jeżyn pięły się aż po dach, a mech porastał okap. Część starego młyńskiego koła tkwiła nieruchomo w strumieniu.

- Kto jest właścicielem? - spytał Bentz.

- Wciąż szukamy, ale szeryf uważa, że właściciel młyna mieszka w innym stanie.

- Jak się nazywa?

- Sprawdzamy to. Miejscowi nazywają to miejsce „Miejscem Starego Kaylera”. Jakiś Kayler, którego rodzina przybyła tu w czasie wojny

domowej, był właścicielem ziemi sto pięćdziesiąt lat temu i tak już zostało. Później postawiono młyn, ale też już nie działa od co najmniej dwóch pokoleń. Przypuszczalnie zamknięto go w czasie drugiej wojny światowej. Najbliżsi sąsiedzi mieszkają kilometr stąd.

- Wygodnie.

- I nie tak niebezpiecznie jak w domu przy Esplanade.

- Albo w mieszkaniu w Garden District.

Bentz spojrzął na młyn. Wszędzie pełno było policji. Reflektory oświetlały rozpadające się ściany. Snopy światła z ręcznych latarek chwiały się i przecinały ciemność, gdy policjanci, przeszukując każdą piędź mokrej grząskiej ziemi, szli wolno przez wysokie trawy i krzaki.

- Przepytałeś dzieciaki? - spytał Bentz, rzucając okiem na chłopców.

- Tak. Nic nie wiedzą.

- Będę chciał z nimi porozmawiać, jak zobaczę, co tam jest. - Bentz znów spojrzął na młyn. Budynek otaczała żółta taśma. - Zabezpieczono ślady?

- Na tyle, na ile się dało.

- Ofiary bez możliwości identyfikacji. - To nie było pytanie.

- Nie ma lekko - odparł Montoya. - Przynajmniej nie z tym sukinsynem. Weźmiemy odciski palców, zrobimy zdjęcia, pobierzemy krew, no i zawsze mamy zęby.

Bentz postawił kołnierz kurtki.

- Zobaczymy, co jest w środku.

- Nic ładnego - ostrzegł go Montoya. Przydeptał niedopałek, podniósł go i schował do kieszeni.

Bentz minął dwóch policjantów, szukających na zablokowanej drodze śladów opon, przygotowany na najgorsze. Kolejny policjant omiatał teren snopem światła z latarki.

- Jesteś pewien, że to nasz facet? - spytał Bentz.

- Nie ma wątpliwości.

Weszli przez rozpadające się drzwi i od razu za progiem uderzył Ben-[^] zapach śmierci, jak cios pięścią w żołądek. Na obrzydliwy odór nakładał się metaliczny zapach świeżej krwi.

Spod jego nóg prysnęły szczury. Bentz zacisnął zęby. Jego żołądek jak zawsze się buntował i Bentz musiał walczyć z odruchem wymiotnym.

Pośrodku dużego pomieszczenia nagie, pozbawione głowy ciało wciąż było przywiązane do groteskowego koła z kolcami. Na brudnej podłodze dniała kałuża krwi, a głowa kobiety była upozowana na odwróconym ⁰ góry nogami, zardzewiałym wiadrze, które stało na długiej ławie. Gło-

l miol- —, -i • . • • ...

fc ^a miała zamknięte oczy i wyrwany kosmyk włosów.

- O, Boże - szepnął Bentz na widok łańcuszka owiniętego wokół kikutu, który był kiedyś kobiecą szyją. Na cienkich ogniwach wisiał medalik.

- Święta Katarzyna z Aleksandrii. Zgadłem?

-Tak.

Bentz zazgrzytał zębami.

- To chory, zboczony człowiek! - krzyknął Montoya, ponad szumem odkurzacza, którym jeden z policjantów z ekipy śledczej zbierał dowody. Fotograf robił zdjęcia ciała i otaczających je przedmiotów pod każdym możliwym kątem. Ktoś inny kręcił film kamerą wideo. Błyskały flesze, ukazując fragmenty zatechłych ścian z czarnymi zaciekami z deszczu i brudu, spływającymi latami przez dziurawy dach.

- Przytulne miejsce, co? - mruknął Montoya, rozglądając się dookoła. - Myślisz, że mógłby znaleźć coś bardziej makabrycznego?

- Chyba nie, choć widać, że się stara.

Montoya przykucnął, wpatrując się w drewniane koło.

- Ktoś musiał to sam zmajstrować. Nie da się czegoś takiego kupić w miejscowym sklepie.

- Albo w Intemecie.

- Dlatego albo nasz morderca ma warsztat i furgonetkę, którą mógł to przywieźć, albo zbudował to tutaj, na miejscu. A może kupił od kogoś, kto ma talent do konstruowania narzędzi tortur.

Montoya pochylił się jeszcze bardziej i kręcił głową, oświetlając promieniem latarki dolną część koła.

- Założę się, że zbudował to tutaj. Użył grubej sklejki, wywiercił kilka dziur, włożył w nie największe gwoździe, jakie mógł dostać i umocował całość na obracającej się głowicy.

- Wygląda na takie coś, czego używają w warsztatach samochodowych do wyważania kół.

- Popychasz i się kręci. - Bentz stanął przy młodszym koledze, kiedy Montoya oświetlił podmurówkę, gdzie w kawałku cementu umocowano oś. Metalowe ramiona podpierały splamioną krwią sklejkę. - Złota rączka z niego.



- A skąd ty się znasz na takich sprawach?

- Stąd, że zbudowałem raz coś podobnego, tylko moje koło zamiast gwoździ miało wieszaki i było przeznaczone na szkolny karnawał, kiedy Kristi miała dziesięć lat. Dzieciaki kręciły kołem, żeby wygrać jakąś nagrodę: gwizdek, balon, zabawkę i będzie tam...

- Jak w programie *Jaka to cenal*

- No, tak, ale nazywało się *Koło Fortuny*.

- Możesz być z siebie dumny.

- Nie zamierzam. - Bentz nawet się nie uśmiechnął. - Tu jednak | mamy przekłete Koło Cierpienia. | - Zbudowane przez księdza majsterkowicza. | - Który ma dostęp do starych części z warsztatu samochodowego a oraz medalików ze świętymi. - Bentz wyprostował się i zauważył trochę dalej duże lustro. Było gładkie, prawie niezakurzone. W przeciwieństwie do innych rzeczy, które pokrywała gruba warstwa brudu.

- A to co? - zapytał, ale sam znał odpowiedź, nim skończył pytanie. - Nasz morderca lubi na siebie patrzeć, kiedy pracuje.

- Cholera. Masz rację. Co za egocentryk.

- Albo narcyz. Wzięli odciski palców z lustra?

- Oczywiście - powiedziała policjantka, urażona podejrzeniem o nie- dbałość. W gumowych rękawiczkach sprawdzała dokładnie wszystkie powierzchnie. - Też coś. - Mruknęła jeszcze coś pod nosem o gliniarzach z miasta i zajęła się swoją pracą.

Bentz nie dał się sprowokować.

- Spróbujmy znaleźć producenta lustra - powiedział do Montoi. -Może uda nam się znaleźć kogoś, kto kupił coś takiego w ciągu ostatniego miesiąca. To samo z częściami koła i medalikami. Niektóre święte są bardzo popularne, ale gdzie można dostać medalik ze świętą Katarzyną z Aleksandrii?

- Przypuszczalnie przez Internet albo w sklepie z dewocjonaliami. - Montoya pogładził się po brodzie. - I to, na czym jest osadzone koło. Może zostało ukradzione z jakiegoś warsztatu? Ale wygląda na dość stare, te dzisiejsze urządzenia są sterowane komputerowo.

-Nie każdy warsztat w Luizjanie używa komputerów. A to urządzenie powinno mieć swój numer, który można odszukać, chyba że został spiłowany.

Bentz jeszcze raz spojrzął na miejsce zbrodni. W jednym miejscu kałuża krwi była większa niż inne. Najwyraźniej ofiara znalazła się tutaj, na wprost lustra, kiedy morderca ściął jej głowę. Mógł obserwować to, co robi. Przypuszczalnie odczuwał przy tym satysfakcję peksualną.

Bentz znów musiał powściągnąć chęć pozbycia się obiadu i gwał-ownie

przełknął ślinę.

- Czy znaleziono broń?

- Na razie nie. - Montoya nadal oglądał koło w świetle latarki, które °dbijało się w lustrze.

- Mówiłeś o drugiej ofercie.

- Tak. - Oświetlając drogę latarką, Montoya poprowadził Bentza przez mały korytarzyk do drugiego, mniejszego pomieszczenia, zapewne kiedyś przeznaczonego na magazyn.

- Boże - szepnął Bentz.

Do jednej z walących się ścian przymocowane były szczątki kobiety, niewątpliwie zamordowanej zeszłego lata w dniu świętej Filomeny. Ciało było w stanie ostatecznego rozkładu i identyfikacja nie byłaby możliwa. To, czego nie zjadły szczury i inne drapieżniki, dokończyło gorąco i robaki. Bentz przyłożył chusteczkę do nosa. To była krypta, którą widziała Olivia.

Tu także odcięta głowa leżała na zardzewiałym wiadrze. Z miejsca, gdzie kiedyś była szyja, zwisał łańcuszek z medalikiem, błyszcząc w świetle latarki.

Pomieszczenie wyglądało tak, jak opisała je Olivia. Na ścianie widniał duży napis: LUMENA PAXTE CUM FI. Wokół liter znajdowały się rysunki, których znaczenie wyjaśnił mu brat: strzały, palma, lilie, kotwica, płomień i bicz.

- Pokój z tobą, Filomeno - mruknął Bentz.

- Wątpliwy pokój - dodał Montoya, drapiąc się po brodzie. - Litery wyglądają tak, jakby napisano je krwią, a nie czerwoną farbą, jak mówił opis w książce o świętych. Jestem pewien, że krwią ofiary. Jeśli to, co mówi Olivia Benchet, jest prawdą, nasz morderca trzymał tu ofiarę przez dłuższy czas, potem obciął jej głowę i użył jej krwi, żeby zrobić napis i napełnić to. - Wskazał na małe gliniane naczynie leżące na podłodze.

Bentz musiał się z nim zgodzić.

- Z głową coś robiono.

- Co chcesz powiedzieć?

- Ruszano ją. Teoria jest taka, że głowa spadła albo była ściągnięta z wiadra przez jakieś zwierzę. Kurz na stole jest rozmazany i są tam ślady krwi, włosy i kawałki ciała. Jednak wygląda na to, że później głowa wróciła na swoje początkowe miejsce spoczynku. Przypuszczalnie położył ją tam zabójca. Zapewne przyszedł tu, aby zbudować koło albo przyprowadzić ostatnią ofiarę i przy okazji sprawdził to, co zrobił wcześniej. I ustawił wszystko z powrotem tak, jak chciał.

- Tak jak chciał, żebyśmy je znaleźli - dodał Bentz.

- Właśnie. Skurwysyn jest z siebie dumny. Uważa się za artystę. Bentzowi bardzo się to wszystko nie podobało. Miał wrażenie, jakby morderca się z nimi drażnił. Rozejrzał się po pomieszczeniu w poszukiwaniu lustra. Tym razem znalazł nie jedno, lecz pięć wąskich luster, zawieszonych na krzywej ścianie.



-Nie spieszyło mu się. Spójrz. Odległości między lustrami są precyzyjnie odmierzone.

- Facet jest perfekcjonistą.

-I lubi się oglądać w trzech wymiarach, i Na ścianie naprzeciwko luster łańcuchy ofiary wmontowane były w grubą drewnianą belkę.

- To dlatego Olivia widziała tylko fragmenty - powiedział Bentz. -Myślałem, że to z powodu jej częstych wyjazdów. Czasem znajdowała się daleko, w Tuscon. Ale jej widzenie było rozszczerzone.

- Z powodu krzywej ściany. Nie mógł znaleźć dostatecznie dużej równej płaszczyzny na wszystkie lustra.

- Co za skurwysyn. - Bentz spojrział na wąskie lustro. - Sprawdźmy producenta i dystrybutora, wszelkie miejsca w całym stanie i Inter-net. To, że jedna osoba kupowała pięć identycznych luster, musiało zwrócić czyjąś uwagę. Cofniemy się do lata. Przed jedenastym sierpnia. Może będziemy mieli szczęście - rozmyślał na głos, po raz pierwszy z nadzieją, że uda się znaleźć mordercę. - Sprawdźmy wszystkich mężczyzn, którzy kupowali lustra, medaliki, sutanny, kominiarki, narzędzia i broń.

- To niełatwe - zauważył Montoya.

- Może łatwiejsze, niż ci się zdaje - stwierdził Bentz, kiedy szli korytarzem i przez większe pomieszczenie młyna wyszli na zewnątrz. Deszcz padał, błyszcząc w światłach reflektorów. - FBI powinno nam pomóc. -Rzucił okiem na Montoyę. - Gdzie oni się podziewają?

- Są w drodze.

Bentz podszedł do policyjnego samochodu, obok którego stali pod parasolami dwaj chłopcy i czterdziestoletnia kobieta. Chłopcy, w bluzach z kapturami, dżinsach i sportowych butach, wyglądali na śmiertelnie przerażonych.

- Kenny i Donny Sawtell - przedstawił Montoya. -I ich matka Lin-da. To jest oficer Bentz. - Montoya gestem wskazał na starszego chłopca.

- Opowiedz panu Bentzowi, co się stało.

Obaj chłopcy, jedenastoletni i dwunastoletni, byli bladzi jak kreda. 'rzestraszeni rozmową z policjantem tak samo, jak tym, co zobaczyli. 'tarszy, Kenny, mówił więcej, Donny wspierał go, kiwając głową. Histo-

•a była prosta. Chłopcy, którzy mieszkali jakieś pięć kilometrów dalej, dyszli na polowanie bez wiedzy matki. Wzięli dwie strzelby i idąc za ^oim psem, Roscoe, tropili jelenia w lesie, aż doszli do

starego młyna. zignorowali napis „Wstęp wzbroniony” i przeszli przez dziurę w płocie. Loscoe wyczuł coś, więc weszli do budynku, sądząc, że mogą tam sobie

urządzić kryjówkę. To, co zobaczyli, potwornie ich przeraziło. Pobiegli do domu i powiedzieli matce, a ona zawiadomiła policję.

- Byliście tu przedtem? - spytał Bentz i obaj chłopcy stanowczo pokręcili głowami. Mimo parasoli i kapturów krople deszczu kapały im z nosów.

-Nigdy nie przechodziliśmy przez drogę - zapewnił go Kenny, a Donny pokiwał głową. - W każdym razie nie w tym miejscu...

- Nigdy nie łaziliście po starym młynie?

-Nie, proszę pana.

-I nigdy nikogo tu nie widzieliście, żadnych samochodów, ciężarówek, znanych albo nieznanych? -Chłopcy w milczeniu zaprzeczyli. Bentz uniósł brwi. - A pani? - spytał matkę.

-Nigdy. Rzadko tu bywam. To nie jest trasa, którą jeżdżę do pracy czy do szkoły chłopców. - Z włosami skręconymi od deszczu, stała obejmując synów za ramiona, jakby się bała, że policja zabierze ich do więzienia za wtargnięcie na cudzy teren. - Zazwyczaj jadę na wschód albo na południe, nie na północ. A nawet jeśli jadę główną drogą, to nie tędy.

Bentz jej wierzył. Aby skręcić do młyna, trzeba było jechać jakieś pół kilometra wiejską drogą, która odchodziła od głównej szosy. Młyn stał na uboczu i prawdopodobnie tylko najstarsi mieszkańcy o nim pamiętali.

Oprócz mordercy. Jakimś sposobem znalazł Miejsce Starego Kayle-ra i dwa razy wykorzystał je do swoich ohydnych celów.

- Czy chciał pan o coś jeszcze zapytać? Mąż niedługo wróci do domu i muszę przygotować kolację. Porozmawia z nimi o wyjściu z psem i z bronią. - Rzuciła synom ostre spojrzenie i zacisnęła palce na ich ramionach.

- Dziękuję, to wszystko. - Wyjął wizytówkę z portfela. - Gdyby wam się coś przypomniało, proszę zadzwonić.

- Dobrze - obiecała Linda i zabrała synów do polejeźarówki zaparkowanej za bramą.

- I co sądzisz? - zapytał Montoya.

- Chłopcy mówią prawdę. Potwornie się wystraszyli.

- Sprawdź, do kogo należy młyn. Ludzie szeryfa przepytują sąsiadów. Jeśli ktoś coś widział, dowiemy się.

- Ale kiedy?

- Uważasz, że zabija coraz częściej?

- Tak - przyznał Bentz, spoglądając na młyn. - Nie mam co do tego wątpliwości.

Rozdział 28

Mówię ci, że nie mam pojęcia o żadnym dziecku płci męskiej oddanym do adopcji - stwierdził stanowczo Ramsey John Dodd.

- Babka nigdy o nim nie wspominała? - dopytywała się Olivia, ciągnąc za sobą sznur od telefonu, żeby nalać wody psu. Nie zdziwiłaby się, gdyby ten gnidowaty prawnik kłamał jak z nut.

- Mnie nie.

- Zdaję sobie sprawę, że jest pan za młody, żeby to pamiętać - powiedziała Olivia, odkręcając kran. - Myślałam jednak, że może wspomniała coś o dziecku albo podała panu nazwisko prawnika, którego zatrudniała wcześniej.

- Nie wiem, czy kogoś miała - odparł gładko Ramsey John - ale coś ci powiem. Zjrzę do akt i zobaczę, czy czegoś tam nie znajdę.

- Byłabym zobowiązana. - Olivia wyobraziła sobie prawnika, odchylonego na krześle, z nogami na biurku w swoim obskurnym biurze. -Dzięki, RJ. - Zakręciła kran.

- Nie ma za co. *Zawsze do usług.*

Odłożył słuchawkę. Olivia postawiła naczynie z wodą na podłodze.

To, że masz brata, nie oznacza, że jest mordercą. Bentz wysnuł teorię, że morderca musi być kimś blisko z tobą związanym, spokrewnionym. Ale to tylko teoria.

Pomasowała szyję.

Z drugiej strony to może być prawda.

Nie udało jej się dowiedzieć, czy brat żyje.

Komu babka mogła o tym powiedzieć? Prawnikowi nie. Może siostrze? Nikt z nich już nie żył. Olivia postukała palcami o blat. Bemadette twierdziła, że nie ma pojęcia, co się stało z jej synem. Reggie podobno nawet nie wiedział o jego istnieniu. Coś tu jednak nie pasuje... Przecież powiedział, że została mu tylko ona, że stracił pozostałe dzieci. Czy wiedział, co się stało z dzieckiem? Czy miała schować honor do kieszeni i Jeszcze raz porozmawiać z tym „dawcą spermy”?

Po rozmowie z matką Olivia była pewna, że nie istniały żadne oficjalne dokumenty związane z urodzeniem dziecka, a tylko na to liczyła.

Lepiej zadzwoń do Bentza. Jest policjantem i łatwiej mu zdobyć informacje.

Znów sięgnęła po telefon, ale duma powstrzymała ją przed podnieceniem słuchawki. Zaledwie kilka godzin wcześniej, w tej samej kuchni, Powiedział jej wyraźnie, że nic ich nie łączy. Jedna noc... Uśmiechnęła

się smutno, kiedy przypomniła sobie, jak leżała w jego ramionach. Przez krótki czas czuła się dobrze i bezpiecznie, gdy trzymał ją i obejmował, gdy słyszała jego oddech i spokojne bicie serca.

Było i się skończyło. Nie krył tego.

Wyjęła ze schowka szczotkę i zaczęła zamiatać. Kiedy zadzwonił telefon, umieściła słuchawkę między uchem a ramieniem, nie przerywając zmiatania łupinek spod klatki Chii.

- Mówi Bentz. - Zimny oficjalny ton. Serce zabiło jej mocniej. Odstawiła szczotkę. Z odgłosów w tle, szumu silnika i trzeszczenia policyjnego radia wynioskowała, że dzwoni z komórki. - Znaleźliśmy następne ofiary.

O, Boże!

- Tak szybko? Poczekaj, jakie ofiary? Ile?

- Dwie niezidentyfikowane kobiety. Tak jak je opisałaś — przyznał nieco łagodniej. - Jedna przykuta do ściany z wypisanymi symbolami, druga przywiązana do koła.

-I obie...

- Tak, z odciętymi głowami.

Przewróciło jej się w żołądku. Podbiegła do zlewu, myśląc, że zwymiotuje. Powinna czuć satysfakcję, że miała rację, a sceptycy jej nie wierzyli. Tymczasem czuła tylko przerażenie. Ślepe otepiałające przerażenie.

- Obie ofiary znaleziono w tym samym miejscu - dodał. Poczula ucisk w piersi na wspomnienie kobiet i ich cierpienia. Odsunęła nogą krzesło i usiadła. Bentz podał jej skróconą i zapewne złagodzoną wersję tego, co zastał na miejscu zbrodni.

- Wszystko wyglądało tak, jak opisałaś. Dokładnie. Poza tym, że krypta była starym magazynem w młynie.

Poczula się słaba i bezsilna, na granicy lez. Bardzo wyraźnie pamiętała te wizje, momenty, gdy kobiety traciły życie. A ona nie mogła nic zrobić, tylko się przyglądać. Drżącymi rękami trzymała słuchawkę. Prawą rękę nadal miała zabandażowaną.

- Dostaniemy go, Liv... Olivio - obiecał Bentz.

- Kiedy?

-Nie wiem.

Ile jeszcze torturowanych i zabijanych kobiet będzie musiała ogl[^] dać? Łzy spływały jej po policzkach i kapały na stół.

- Posłuchaj, wiem, że to trudne...

Zamrugła gwałtownie. Nikt nie jest w stanie tego zrozumieć. NIK •

- Załatwiłem ci całodobową ochronę. - Przełknęła ślinę i wierzchem dłoni otarła łzy. - Czy był Ole Olsen ze swoimi ludźmi?

- Tak. - Skinęła głową, rozglądając się po kuchni, choć wiedziała, że nie może jej widzieć. Chia ostro zagwizdała. Olivia zmusiła się do uśmiechu, na który nie miała ochoty.

- To nie był alarm, tylko komentarz Chii, ale wierz mi, że mam więcej dzwonek i gwizdków, niż potrzeba. Chyba musiałabym być inżynierem, żeby się w tym rozeznąć.

- Pamiętaj, żeby go włączać.

- Dobrze... O ile mi się uda.

Weź się w garść, Olivio. Siedzenie i płkanie nie pomoże ofiarom i na pewno nie pomoże tobie.

- Jesteś mądrą kobietą, dasz sobie radę - powiedział, ale nie wyczuła ani odrobiny ciepła w jego głosie.

Gina kobiety, a ona nie może nic zrobić. Nic.

- Olivio? Jesteś tam? Wszystko w porządku? Zacisnęła zęby.

-Nie, nie w porządku. W jakiś sposób czuję się za to wszystko odpowiedzialna.

- To nie twoja...

- Wiem, wiem, ale mimo wszystko jest mi ciężko. - Bezskutecznie usiłowała się opanować. - Właśnie miałam do ciebie dzwonić. Pytałeś, czy mam rodzeństwo i powiedziałam, że nie, ale zajrzałam do rodzinnej Biblii i odkryłam, że mam brata.

- Wiem. Zesztywniała.

- Wiesz?

- Słyszałem, że Bemadette urodziła syna, nim wyszła za twojego ojca. Oddała go do adopcji. Na lewo. Jak na razie nie znalazłem żadnego dokumentu.

-1 nic mi nie powiedziałeś?! - Czują rosnący gniew. Może wcale



nie zna Bentza? Zaakceptowała fakt, że nie mogą być kochankami. Doszła do bolesnego wniosku, że Bentz zrywa ich krótkotrwały związek nie tylko dlatego, że przeszkadza mu to w życiu zawodowym, lecz także dlatego, że nie chce, aby zbliżyła się do niego jakakolwiek kobieta. Został zraniony, i to bardzo boleśnie. Powinien jednak mieć tę odrobinę przyzwoitości i powiedzieć jej o bracie. - Nie sądziłeś, że chciałabym wiedzieć?

- Dlatego między innymi dzwonię. Dowiedziałem się dopiero dziś P^o południu, przed wyjazdem na miejsce morderstwa. Teraz wreszcie udało mi się chwilkę czasu, żeby do ciebie zadzwonić.

Policzyła w myślach do dziesięciu. Starła się uspokoić. Nie podziałało.

- Skąd się dowiedziałeś?

- Od jednego z byłych mężów twojej matki. Oscara Cantrella.

- Tego, który jest właścicielem Benchmark Realty?

- Tak. Pewnego wieczoru Bemadette za dużo wypła i się wygadała. Muszę z nią porozmawiać.

- To strata czasu. - Olivia oparła się o stół i patrzyła na werandę. Po balustradzie skakała wrona. - Już z nią o tym rozmawiałam. Albo nie wie, albo nie chce powiedzieć, kto go adoptował. Nie mam pojęcia, czy załatwiła to przez adwokata, czy też babka sama się tym zajęła.

- Przeszukujemy dokumenty miejscowe i stanowe. Sprawdzamy także szpitale i kliniki.

- Nie sądzę, by Bemadette urodziła w szpitalu - stwierdziła Olivia. - Babka robiła w życiu różne rzeczy. Między innymi była położną, choć bez papierów.

- A więc sądzisz, że matka w ogóle nie chodziła do lekarza ani nie robiono jej badań prenatalnych?

- Bardzo w to wątpię.

- Muszę kończyć, ktoś mnie wywołuje pagerem. Uważaj na siebie. Jeśli coś zobaczysz albo będziesz miała wrażenie, że coś ci grozi, dzwoń.

- Dobrze - obiecała. - Ale złap tego mordercę.

- Cały czas nad tym pracuję.

- Pospiesz się, Bentz. Pospiesz się.

Kristi była wściekła. Usiadła na miejscu dla pasażera w dziupie ojca i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Trzy godziny - wyciedziła, kiedy włączył silnik. - Czekałam trzy godziny!

- Dzwoniłem - przypomniał jej Bentz. - Uprzedzałem, że się spóźnię.

Ze złością wyjrzała przez okno, po raz nie wiadomo który żalując, że ojciec jest gliniarzem. Nienawidziła jego zawodu. Bycie córką gliniarza jest do dupy.

Wyjechał z parkingu koło Cramer Hali. W kampusie nie było wielkiego ruchu, większość studentów pojechała już do domów.

- Proponowałem, że ktoś po ciebie przyjedzie.

- Sama znalazłabym okazję - mruknęła. - Jeśli nie miałeś czasu...

- Zdarzyło się coś ważnego.

- Zawsze jest coś ważnego - odparowała. Cholera, szkoda, że nie została.

W tej chwili piliby piwo z Brianem i całowali się w jego pokoju,



udając, że się uczy. A teraz musiała spędzić pięć nudnych dni z ojcem, unikając telefonów od Jaya i żalując, że nie jest w Ali Saints. O tej porze roku większość studentów tęskni za domem, ale Kristi już żałowała, że jedzie do tego beznadziejnego mieszkania, z którego Rick obiecywał się wyprowadzić. Akurat. Lubił je i teraz, kiedy jej nie ma... Poczła lekkie wyrzuty sumienia. Płacił za jej studia. Kupę szmalu. Dopóki się uczy, na nic lepszego go nie stać. Wciąż jednak była wściekła. Strasznie wściekła. Osunęła się na siedzeniu i wyglądała przez okno.

- Mama nigdy się nie spóźniała, kiedy miała po mnie przyjechać. Kątem oka zauważyła, że zacisnął usta. Tak, jak się spodziewała. Rzadko posługiwała się bronią pod tytułem „mama”, tylko wtedy, kiedy była porządnie wkurzona. Tak jak dziś. Otworzyła wymyśloną szufladę i wyciągnęła długi nóż, którym mogła trafić ojca w samo serce. I jeszcze przekreślić go w ranie.

- Nienawidzę twojego zawodu. Mama też nienawidziła.

- Wiedziała, że będę policjantem, kiedy za mnie wychodziła. - Włączył wycieraczki.

- Aleja nie miałam wyboru.

- Nikt z nas nie wybiera sobie rodziców - stwierdził, ledwo poruszając wargami. Spojrzał na nią kątem oka, jadąc wąskimi uliczkami miasteczka uniwersyteckiego. - Ty miałaś szczęście.

Żartuje? Nie. Ani śladu uśmiechu. Na tym polega problem. Oficer Rick Bentz jest zawsze taki cholernie poważny. Prawie się nie uśmiecha. Prawdę mówiąc, ostatnio nie dawała mu powodów do radości. Kiedyś, dawno temu, był pogodniejszy. Znów poczuła wyrzuty sumienia, że tak go potraktowała. Złość powoli mijała. W końcu naprawdę starał się być dobrym ojcem i chciał, żeby ich stosunki były jak najlepsze.

- Dzwonił Jay. Chyba chce cię zaprosić na świąteczny obiad. Wypuściła powietrze.

- Zrywam z nim.

- Ach, tak? - Zwolnił przed znakiem „stop”. - On już wie? Pierścionek w kieszeni zaczął nagle ciążyć jak kamień.

- Chcę mu powiedzieć osobiście.

- Dobry pomysł. - Zmarszczył brwi, jakby sam przeszedł przez coś podobnego. Akurat. Nie facet ożeniony z pracą. - Zrób to delikatnie. Ojciec daje jej rady dotyczące spraw sercowych! To śmieszne!

- Kim jesteś? Doktor Sam czy Ciotką Abby? ~ Jay jest porządnym

chłopakiem.

- Myślałam, że go nie lubisz.

-Nie lubię nikogo, z kim się spotykasz.

- Jakbym nie wiedziała - mruknęła. Zastanawiała się, czy powiedzieć mu o Brianie, ale miałby pretensję, że najpierw nie zerwała z Ja-yem, a poza tym na pewno by mu się nie podobało, że spotyka się z facetem koło trzydziestki. Dostałby szału. Przypuszczalnie sprawdziłby go przez swoje policyjne kanały, albo, co gorsza, spotkałby się z nim i odpowiednio potraktował. Nie, dziękuję. Pora zmienić temat.

- Zajmujesz się sprawą tego seryjnego mordercy, tak?

-Tak.

- Takie okropne jak ostatnim razem?

- Wszystkie te sprawy są okropne. - Wyjechali z kampusu i ruch od razu się zwiększył. Światła reflektorów rozpraszały ponurą ciemność. -Ale tak, wydaje mi się, że to jeszcze gorsze od Różańcowego Zabójcy.

- Dlaczego? Zawahał się.

- Mnie możesz powiedzieć.

- Jakoś bardziej mnie dotyczy. Niektóre z tych zamordowanych były studentkami.

- Tak myślałam. - Wiedziała, że będzie się tym przejmował. - Słyszałam, jak ludzie rozmawiali i na uniwersytecie mówili nam, żeby bardziej uważać.

- Ja też ci to mówię.

Przewróciła oczami, ale nie powiedziała, żeby nie wtrącał się do jej życia.

- Złapiesz tego faceta?

- Jasne.

-I znowu będziesz sławny.

- Albo niesławny.

Uśmiechnął się do niej i nacisnął na gaz, wjeżdżając na autostradę. Nic nie powiedział, kiedy zmieniła stację na „swoją” zamiast tego głupiego WSLJ, którego zawsze słuchał. Starocie. Jazz. Dziwna muzyka, której nie było na CD i oczywiście ten talk-show, który tak go fascynował. *Wyznania o północy*, audycja prowadzona przez doktor Sam. Ojciec słuchał jej od zeszłego lata, kiedy działał Różańcowy Zabójca. Niesamowite. To Kristi powiedziała mu o doktor Sam i nawet, choć Bentz nic o tym nie wiedział, dzwoniła kilka razy po poradę do ich psychologa.

Kto by nie szukał rady po tym, czego się dowiedziała o sobie, o matce, o człowieku, którego uważała za stryja i tym, który ją wychowywał. Wszyscy żyli w kłamstwie. Pewnie dlatego matka zginęła. Dlaczego miałyby nagle tracić panowanie nad kierownicą i wpadać na drzewo? Na pewno nie była pijana. Jennifer Bentz nienawidziła pijaństwa prawie tak

samo, jak tego, że jej mąż był policjantem. Dzień był pogodny. Na drodze mały ruch. Ale w jej krwi znaleziono ślady valium...

Kristi zaczęła także wierzyć, że matka nie lubiła samej siebie. Za wszystkie błędy, jakie popełniła w życiu. Im więcej Kristi dowiadywała się na zajęciach z psychologii u dziwnego doktora Suttera, tym bardziej nabierała przekonania, że matka nienawidziła siebie. Dlaczego? Bo narobiła tyle głupstw. Załapała się na szwagra, w dodatku księdza, zaszła w nim w ciążę i żyła w kłamstwie. Kto by od tego nie zwariował? I potem, po latach, znów się zadała z ojcem Jamesem. Jakby był jakąś siłą nie do pokonania albo zakazanym owocem. Nic dziwnego, że zaczęła chodzić do psychoanalityka, a ojciec wpadł w alkoholizm. Potem był ten wypadek, kiedy Bentz zabił dzieciaka, którego podejrzewał o to, że chce zastrzelić jego partnera. To wszystko wydarzyło się w Los Angeles.

Przeprowadzili się na wschód. Do Nowego Orleanu, jedyne miejsce, gdzie chcieli ojca zatrudnić w policji. Tak, to miało sens. Czasem Kristi żałowała, że nie mieszkają gdzieś w środku kraju, w Kansas czy Oklahomie. Chciała, żeby mama żyła, zajmowała się ogrodem. Ojciec mógłby pracować w ubezpieczeniach albo w handlu nieruchomościami, jak normalni ludzie. Mieliby fajny piętrowy dom z drewnianym parkanem, psa i kota, a ona miałyby starszego brata, który by się nią opiekował, i młodszą siostrę, z którą by się kłóciła i której by się zwierzała. Byłby grill, może huśtawka przed domem...

Bądź realistką, dziewczyno!

Spojrzała na człowieka, który pełnił rolę jej ojca. Kiedy mrużył oczy, pojawiały się zmarszczki, a zaciśnięte usta świadczyły o tym, że rozmyśla o sprawie. Nic dziwnego.

W gruncie rzeczy nie jest złym facetem.

Jak na paranoika, byłego alkoholika i policjanta od morderstw.

Wybraniec szalał.

W głowie pulsowało mu tak, jakby za chwilę miała eksplodować. Ani biczowanie, ani modlitwy nie przynosiły ukojenia. Sam w swoim sanktuarium, stał nagi i drżący obok małego stolika, prze-"zucając nerwowo kartki książki. Serce mu waliło, w głowie czuł potworny ból. Dzień świętej Olivii wypada w czerwcu... Nie, to niemożliwe. Nie może t^ekać tak długo na jej ofiarę. Olivia nie była nawet kanonizowana... Nie, "e... Zaczął się pocić. Serce biło mu coraz szybciej. Jest jeszcze Oliva... Piątego marca, nie, nie... Kręciło mu się w głowie... Odetchnął głęboko... Uspokój się.

Myśl racjonalnie.

Kobiety, które poświęcał, nie miały imion świętych, którymi się stały, prawda?

Musiał im te imiona nadawać.

Będzie się trzymał swojej metody i ochrzci Olivie właściwym imieniem. To wszystko. Zaczynał się mylić. Zapominać o swojej misji. Czasami wątpił w to, co robi... Gdyby tylko mógł się komuś zwierzyć. Miał ucznia, z którym dzielił się... Ale to się już skończyło i teraz musi polegać na spowiedniku... Kiedy wątpliwości stawały się nie do zniesienia, mógł się wypowiadać i niczym nie przejmować.

Zamknął oczy i pomodlił się krótko o jasność umysłu. Tego teraz potrzebował. Od ostatniej ofiary brakowało mu jasności. Sam rytuał, jak zwykle, wprowadził go w stan bliski boskości, ale później, za szybko tym razem, wpadł w otchłań rozpacz, wątpiąc w swoją misję.

Usiłował przypomnieć sobie akt ofiary. Widział twarz świętej Katarzyny z Aleksandrii, kiedy unosił miecz, ale nawet to nie przyniosło euforii i podniecenia. Przez tę kobietę, Olivie. Była coraz bliżej. Wyczuwał ją. Wiedział, że go obserwuje. Że chce go powstrzymać.

To jest próba. Bóg zawsze rzuca ci wyzwanie i możesz się zawahać.

- Trwaj - powiedział sobie, a potem, oddychając gęęboko, znów zaczął przewracać kartki książki, przebiegając wzrokiem każdą stronę. Ma wiele świętych do wyboru... Musi jedynie znaleźć najlepszą. Tak, jest, Bóg przemówił. To musi stać się szybko. Tak... Tak...

Święta Bibiann... Vivian... Imię podobne do Olivii, kilka tych samych liter, choć to nie ma znaczenia, ale... O, tak... Sposób, w jaki została poświęcona. Czytał szybko, planując, co zrobi. Świętą Vivian zamknęto w domu wariatów i regularnie chłostano. W końcu rzucono ją psom na pożarcie, ale psy, dziwnym trafem, nie były nią zainteresowane.

Postukał palcem w stronicę.

Najwyraźniej nie były to właściwe psy, nieodpowiednio wytresowane... Nie dość głodne.

Będzie musiał coś sprawdzić w bibliotece. Rottweiler? Pitbull? Czy też krzyżówka z wilkiem? To byłoby doskonałe... Wiedział, że są szumowiny, które hodują takie zwierzęta, bez papierów, bez zezwolenia... Miejsce... To już znalazł... Miał bat.. Spojrzał na ścianę, gdzie obok obrazu Madonny wisiała dziewięciorzemienna dyscyplina. O, tak!

Wybraniec wreszcie odzyskał spokój. Ból głowy zelzał. Znów my" siał jasno. Uśmiechnął się, przeżegnał przed ołtarzem i wziął nożyczki, żeby wyciąć zdjęcie obrazu świętej Vivian... Pięknej... Pobożnej ••• O gładkiej skórze... Takiej jak Olivia Benchet.

Rozdział 2 9

Nie chce mi się wierzyć, że jesteś! - wykrzyknęła Olivia, otwierając drzwi. Zbliżało się środowe południe i Sara Restin stała na frontowej werandzie z dwiema torbami. - Boże, jak się cieszę, że cię widzę! - Olivia objęła przyjaciółkę. - Nie zwracaj uwagi na psa. - Hairy S z dzikim ujadaniem biegał dookoła, prowokując wrony i wiewiórki schowane na drzewach.

- Mówiłam, że przyjadę, prawda? - powiedziała Sara, omijając psa szerokim łukiem. Olivii przypomniało się, że Sara nie lubi zwierząt, a zwłaszcza psów. W dzieciństwie pies ugryzł ją w nogę, gdy jechała na rowerze. -Miałam szczęście i dostałam bilet na bardzo wczesny samolot. - Sara podejrzliwie przyglądała się psu.

- Ale najpierw miałaś zadzwonić.

- Znalazłam wskazówki, jak dojechać, w Intemecie i pomyślałam, że zaryzykuję. Tu jest fantastycznie - dodała, sięgając po torbę. - Inaczej...

- ...niż w Tucson?

- Tak,chyba tak.

Sara schudła, odkąd Olivia widziała ją po raz ostatni. Miała krótsze i bardziej rude włosy, a wokół oczu siateczkę zmarszczek.

- Ten dom stoi na takim odludziu...

- Ale jest mój - odpowiedziała z dumą Olivia. Sara spojrzała na nią uważnie.

- Fantastycznie wyglądasz.

- Ty też.

- Nie kłam. Wiem, jak wyglądam. - Wniosły torby do domu. Kiedy przechodziły obok regału, Sara rzuciła okiem w lustro.

- Brrr, tylko spójrz. W ciągu ostatniego roku postarzałam się o dwadzieścia lat. - Pokręciła głową. - Cała ta historia z Leo mnie zabija. Nie mogę uwierzyć, że chce się rozwieść.

- Nie rozmawiajmy teraz o tym. Mamy mnóstwo czasu. - Olivia podeszła do schodów. - Chodź, zaprowadzę cię do twojego pokoju. ~ Jak portier u Ritza.

- Właśnie.

Sara się roześmiała. Weszła na górę i zostawiła swoje rzeczy w po-^Ju. Ale parę minut później, kiedy siedziały na dole, popijając kawę Wzmocnioną likierem, znów wpadła w ponury nastrój.

~ Jeśli nie uda mi się dopaść Leo, będę musiała wziąć adwokata -^stchnęła i spojrzała przez okno na bagna. Słońce usiłowało przedostać

się przez rzadkąmgiełkę unoszącą się pomiędzy nagimi gałęziami dębów i cyprysów.

- I tak powinnaś to zrobić, żeby wiedzieć, co ci się należy. Musisz mieć kogoś po swojej stronie.

- Chyba tak - powiedziała niepewnie Sara. Jedną ręką podrapała psa za uchem. Hairy S wyciągnął szyję, wdzięczny za okazywaną uwagę. -Nigdy w życiu nie przypuszczałabym, że się będę rozwodziła. Nie uznaję rozwodów.

- Wiem, ale Leo praktycznie uniemożliwia ci utrzymanie małżeństwa. - Olivia dopiła kawę. Chia wydała z siebie głęboki dźwięk.

- Masz tu niezłą menażerię.

- Oba zwierzaki odziedziczyłam po babci. Choć dziś już nie mogłabym bez nich żyć.

Hairy S jakby rozumiejąc, że o nim mowa, uderzył ogonem o podłogę.

- Ja... nie bardzo lubię zwierzęta - przyznała Sara.

- Wiem, ale moje są naprawdę niegroźne. No, chyba że za bardzo zbliżysz nos do klatki Chii.

- Za żadne skarby. A on? - Pokazała palcem psa.

- Łagodny jak baranek, tylko mu tego nie mów - powiedziała Olivia teatralnym szeptem. - To mu psuje jego dobre mniemanie o sobie, a nie stać mnie na psiego psychoanalityka.

- Bardzo śmieszne.

- Tak myślałam. O, cholera! - Olivia spojrzała na zegarek. - Przykro mi cię zostawiać, ale muszę popracować kilka godzin w sklepie, a potem podjechać na uniwersytet i oddać książki do biblioteki. Wrócę koło szóstej.

-I tak powinnam pojechać do miasta. Mam kwitek z motelu, w którym mieszkał Leo. Zobaczę, czy uda mi się go znaleźć.

- Jesteś pewna? Mam złe przeczucia...

- Jest moim mężem - przypomniała jej Sara i dopiła kawę. Stanowczym ruchem odstawiła filiżankę na stół, jakby wreszcie podjęła ważną decyzję. - Postaram się go odszukać, przekonać się, czy ma odwagę spojrzeć mi w oczy i postarać się z nim porozmawiać, sprawdzić, czy potrafimy się jeszcze porozumieć. Powinnam wrócić za parę godzin. Albo zadzwonię.

Bez związania jej, zamknięcia na klucz w pokoju i zostawienia psa na straży, Olivia niewiele mogła zdziałać.

- Dobrze, ale proszę cię, uważaj. Grasuje tu seryjny morderca.

- Czytałam nagłówki gazet na lotnisku. Okropność. - Sara jednak byw bardziej zainteresowana Leo niż zabójcą na ulicach Nowego Orleanu.

-Naprawdę musisz uważać.

- Czy ktoś już ci powiedział, że za bardzo się wszystkim przejmujesz?

- Nie mówię tego bez powodu. Mam kontakt z mordercą. Widzę, jak zabija.

- Widzisz? Boże święty!

- No, nie bezpośrednio. Mam wizje.

- Och, daj spokój, Olivio.

- Kiedy ja to naprawdę widzę.

Coś w tonie jej głosu musiało przekonać Sarę, że mówi prawdę, bo przestała się sprzeczać.

- Widzisz to w takich samych wizjach, jakie miałaś w Tucson, i po których tak cię bolała głowa?

- Te są bardziej intensywne. Sara popatrzyła na nią sceptycznie.

- I co z tym zrobiłaś?

- Rozmawiałam z policją i zainstalowałam system alarmowy.

- Żartujesz!

- Nie, pokażę ci, jak działa.

Zademonstrowała Sarze działanie alarmu i podała jej kod do czujników, aby przyjaciółka mogła bez problemu wchodzić i wychodzić z domu.

- W porządku, już wiem - powiedziała Sara, choć Olivia nie była do końca przekonana, czy przyjaciółka wszystko zrozumiała.

- Obiecuj, że będziesz ostrożna. Mówię poważnie. Policja sądzi, że mogę stać się kolejną ofiarą.

- Z powodu tych widzeń? Daj spokój... Naprawdę, Olivio, stanowczo za bardzo się przejmujesz. A ja jestem już dużą dziewczynką i potrafię o sobie zadbać.

- Saro...

- Dobrze, dobrze, przecież powiedziałam, że będę uważała. Obiecuję. A teraz przestań się martwić. Spędzimy fantastyczne święta.

Następny kwadrans Sara poświęciła na „naprawianie szkód” w makijażu i fryzurze, nieustannie mówiąc o tym, jak bardzo jest wściekła na Leo. Potem wzięła torebkę i odjechała wynajętym samochodem.

Olivia wyruszyła kilka minut później.

Jadąc do miasta, zastanawiała się, jak dużo powinna powiedzieć przyjaciółce. Poinformowała ją o wizjach i usiłowała skłonić do zachowania drożności, ale czy mówić coś więcej? Sara potrafiła być bardzo lekkomyślna.

Są też inne problemy, pomyślała Olivia, włączając się do ruchu nie-^{ale}0 autostrady. Samochodu Sary już nie było widać. Czy powinna

przyznać się przyjaciółce do przygody z Bentzem? Do tego, że była zafascynowana nie tylko nim, ale także pewnym księdzem? Albo do tego, że gdzieś żyje jej brat, o którego istnieniu nie miała pojęcia?

Zaciskając palce na kierownicy i rzucając okiem we wsteczne lustro, postanowiła trzymać na razie język za zębami. Sary to i tak nie interesowało. Olivia przestrzegła ją przed mordercą, teraz mogła jej zaoferować współczucie, gdyż miała wrażenie, że Leo Restin złamie żonie serce.

Chyba że Olivia go powstrzyma.

Jak?

A może Sarze przydałaby się przyjacielska rada, nie od Olivii, lecz od kogoś, komu mogłaby opowiedzieć o swoich kłopotach, komuś, kto pomógłby jej znaleźć spokój?

Po raz pierwszy tego ranka poczuła się lepiej. Wiedziała, z kim Sara powinna porozmawiać. Przecież jest katoliczką. I może zaufać ojcu Ja-mesowi McClarenowi.

„Dzisiaj odebrałem komuś życie”.

To wyznanie nie opuszczało ojca Jamesa od dwóch dni, od kiedy usłyszał je przez telefon. Od tamtej nocy nie zmrużył oka. Spodziewał się, że telefon znów zadzwoni i ten zimny cichy głos będzie szukał ukojenia.

James, bardzo zmęczony, wszedł do kościoła. Odczuwał wielki niepokój. Zastanawiał się, czy fakt, że zadzwonił do niego morderca, fakt, że nie może o tym nikomu powiedzieć, to pokuta wyznaczona przez Boga za grzechy, które popełnił wobec brata. Kościoła i samego Boga. Jeśli tak jest, to Bóg ma okrutne poczucie humoru. James modlił się żarliwie, szukał rady u wielebnego Roya i ciągle słyszał to samo: „Rozmawiaj z Bogiem, Jamesie. To jest twoje wyzwanie. Musisz wytrwać w wierze i ufać. Nie możesz nikomu powiedzieć o grzechach tego, kto dzwoni. To część twojej umowy z Bogiem”.

Wielebny Roy uśmiechnął się miło, ale za tym pogodnym wyrazem twarzy kryło się coś jeszcze. Coś ciemnego i nieokreślonego.

James wystarczająco długo studiował psychologię i doradzał tak wielu parom, że potrafił rozpoznać strach i poczucie winy.

Zatrzymał się przy ołtarzu i spojrzał w górę na wielki krucyfiks: cierniowa korona i krople krwi na czole Chrystusa, rana w boku, czerwona i ciekąca krwią, dokładnie wyrzeźbione paznokcie.

- Pomóż mi - szepnął James i przyklęknął.

Kiedy się wyprostował i odwrócił, zobaczył, że ktoś stoi koło drzwi-
To była syrena z jego marzeń.

Olivia Benchet.

Serce zabiło mu mocniej, ale zaraz przypomniał sobie swoje postanowienie, że nigdy już nie popełni błędu. Olivia jest tylko jedną z parafianek. Nikim więcej. Zmuszając się do ciepłego uśmiechu, podszedł do niej energicznym krokiem.

- Olivia - powiedział, wyciągając rękę - miło mi panią widzieć.

- Ja też się cieszę. - Zaczerwieniła się lekko, co tylko podkreśliło jej duże złote oczy i rozwichrzone kręcone włosy.

- Czym mogę pani służyć?

- Muszę z kimś porozmawiać - szepnęła, speszona.

- Przyszła pani w dobre miejsce. Jak to teraz mówią: działamy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu. Szef tak właśnie lubi.

Uśmiechnęła się, pokazując białe zęby, trochę zachodzące na siebie.

- Jeśli ma książkę chwilę czasu... Rzuciła okiem na kościół, na puste ławki.

- Myślę, że Bóg zarezerwował tę porę dla pani. Proszę za mną. - Zaprowadził ją do biura i przepuścił przodem. - Proszę wejść i usiąść. — Kiedy przechodziła obok niego, poczuł prowokującą woń jaśminu. Zacisnął szczęki i nadaremnie usiłował zignorować ten zapach. Wiedział, że powinien zająć miejsce za biurkiem, ale usiadł na jego skraju, bliżej Olivii: - Co panią gnębi?

- Po pierwsze, zastanawiałam się, czy... Czy są jakieś dokumenty z adopcji załatwianych przez Kościół?

- O co pani chodzi?

- O kobietę, młodą dziewczynę, która oddała dziecko do adopcji jakieś trzydzieści lat temu. Znam datę, znalazłam w rodzinnej Biblii. - Sięgnęła do torebki i podała mu kawałek papieru, na którym zapisała datę i godzinę urodzin.

- Wydaje mi się, że to było załatwiane przez Kościół, a nie przez sąd. Może nawet osobiście przez księdza. I mogło nie być do końca legalne.

Uniósł brwi.

- Nielegalne, przez księdza?

- Tak, ponieważ załatwiała to moja babka. Dziecko, o którym mówimy, jest moim bratem. To było przed... Przed ślubem moich rodziców i ojciec chyba nawet nie wiedział o tym dziecku, przynajmniej nie na Początku. Później przypuszczalnie się dowiedział.

- A matka? - zapytał James. Olivia pokręciła głową, a jej loki z jarymi pasemkami zatańczyły w miękkim świetle lampy. ~ Nie wie.

- Albo nie chce powiedzieć. Być może chce uciec od tak bolesnych wspomnień.

Złożył ręce na kolanie i starał się nie zwracać uwagi na to Jak Olivia unosi brwi i przygryza dolną wargę.

- Myślę, że Bemadette naprawdę nie wie, a babka nie żyje. Adwokat babki, który zajmował się jej posiadłością, jest za młody i chyba też nie ma o niczym pojęcia. - Spojrzała mu w oczy, a on nie odwrócił wzroku. Było w niej coś eterycznego, a jednocześnie bardzo pierwotnego. Zakazane myśli rozgrzały mu krew. - Nie wiem, gdzie szukać jakiegoś dokumentu, w której parafii, ale wydaje mi się, że chyba mniej więcej w tym czasie musiał być chrzest... Myślę, że ludzie, którzy go adoptowali, byli bardzo religijni. Katolicy. Babka miała dziwne poglądy, jednak była bardzo związana z wiarą katolicką. - Czuł się jak zahipnotyzowany, rozmyślając o rzeczach, o których absolutnie nie powinien myśleć. - Muszę odnaleźć brata, ojciec - szepnęła błagalnie. - To bardzo ważne.

James pomyślał o swoim bracie, o ich oddaleniu, o tym, że chciałby wrócić do czasów, kiedy sobie ufali. Został zerwany tak silny związek. Z powodu jego słabości. Może Bóg daje mu szansę, aby mógł pomóc komuś innemu? Może to jest jego pokuta?

- Zajmę się tym.

- Naprawdę? - Jej twarz się rozjaśniła. - Dziękuję księdzu.

- Nie mówię, że mi się uda, ale spróbuję.

- Dobrze. Mam jeszcze drugą prośbę.

- Co takiego?

- Chciałabym, żeby ksiądz poznał moją przyjaciółkę.

- Przecież wie pani, że księża nie chodzą na randki - zażartował i zaraz zgañił się za to w duchu, ale Olivia uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Wiedziała, że to żarty. - Naturalnie, że się z nią spotkam. Niech pani powie gdzie i kiedy.

- Przyleciała dziś rano i chyba by mnie zabiła, gdyby wiedziała, że rozmawiam o niej z księdzem, ale ma problemy małżeńskie. Wydaje mi się, że powinna się kogoś poradzić.

- Nie ma spowiednika? - zapytał rozczarowany, bo był zainteresowany Olivia, a nie jej przyjaciółką.

- Ma w Tucson, ale teraz jest tutaj i miałam nadzieję, że będzie ksiądz mógł poświęcić jej trochę czasu. Doradzić, co ma robić. Ja radzę jej, żeby odeszła od męża, a ona nie chce o tym słyszeć. Sara, to znaczy moja przyjaciółka, i Leo są katolikami, i może byłoby lepiej, gdyby porozmawiała z kimś z Kościoła.

- Czy nie uważa pani, że to do niej należy decyzja?

- Tak, ale... - Pokręciła głową. - Myślałam, że znajdzie ksiądz sposób, żeby jej pomóc, czy raczej im, w uratowaniu małżeństwa. Pomóc Leo, jej mężowi, w osiągnięciu porozumienia, o ile to jest możliwe, choć nie sądzę. - Usiadła wygodniej w fotelu. - Och, to chyba głupi pomysł.

- Nie. To dowód na to, że obchodzi pani los przyjaciółki. - Uśmiechnął się. - Tylko nie chcę, aby efekt był odwrotny. Przyjaciółka może pomyśleć, że posunęła się pani za daleko i że wtrąca się pani w jej życie.

Olivia westchnęła i zabębniła palcami o poręcz fotela.

- Może powinniśmy działać bardziej delikatnie. - Spojrzała na niego z błyskiem w oku. - Na przykład mógłby ksiądz przyjść do mnie z wizytą.

- No, może... - mruknął, nie bardzo wiedząc, czy mu się to podoba. Trochę przypominało spisek nastolatków.

- Jeśli zechce z księdzem porozmawiać, to dobrze, a jak nie, to nie. Obiecałam jej, że nie będę na nią naciskała.

- To niezły pomysł - stwierdził z ulgą. - Ale jeżeli Sara nie zechce żadnych rad, to musimy zaakceptować jej decyzję.

- To znaczy ja będę musiała zaakceptować?

- Potrafi pani?

- Jasne. Chcę jedynie dać jej szansę. - Olivia uśmiechnęła się do własnych myśli.

- Kiedy? - spytał, spoglądając na otwarty kalendarz na biurku.

- Może w Święto Dziękczynienia? Chyba że ma ksiądz inne plany, no, oczywiście, na pewno... - Przerwała, zawstydzona, i dodała szybko:

- Ojciec McClaren, czy zechciałby ojciec zjeść z Sara i ze mną obiad w Święto Dziękczynienia?

Zawahał się, po czym spojrzał jej w oczy. To było niebezpieczne. Czuł rosnące między nimi napięcie, jednak nie potrafił się oprzeć.

-Z największą chęcią- powiedział i, niestety, tak myślał.

- ...I ja tego nie rozumiem -jęknął Jay i Kristi, która siedziała na brzegu łóżka, aż się wzdrygnęła, trzymając słuchawkę przy uchu. - Dlatego nie możesz przyjść do nas na obiad?

- Bo nie chcę zostawiać taty samego. ~ Myślałem, że nie jesteście w dobrych stosunkach — mruknął Jay. ~ To było kiedyś. Teraz się staram.

~ Świetnie, ale i tak mogłabyś przyjść. Musimy się zobaczyć. Tak ohigo cię nie było.

Powiedz mu. Zerwij z nim teraz.

- Tęskniłem za tobą.

-JayJa...

- Kocham cię, skarbie.

Czuła się obrzydliwie, a mimo tego nie mogła wydusić słów prawdy.

- Posłuchaj, musimy porozmawiać... Zapadła cisza. Słyszała bicie własnego serca.

-Jay?

- Powiedziałem, że cię kocham.

-Wiem, ale...

- Co się stało, Kristi? Odkąd zaczęłaś studiować w Ali Saints, zmieniłaś się. To dziwne miejsce i dziwnie na ciebie działa.

- Może odnajduję prawdziwą siebie.

- Gadasz głupoty i sama o tym wiesz. Tak mówią ludzie, kiedy nie chcą powiedzieć, o co chodzi. „Odnajduję siebie” - zapisał fałszem. -Jestem w kontakcie z moim kobiecym ego. Potrzebuję nowych doświadczeń. Ja uważam, że to bzdury - dodał normalnym głosem.

- Może masz rację. - Nie było sensu się z nim spierać. - Rzeczywiście tam jest trochę dziwnie, inaczej niż w szkole, ale tak ma być. To uniwersytet.

- Tak, a ty poszłaś na parę zajęć z głupiej psychologii i filozofii, i teraz szukasz samej siebie. Nie poznaję cię. Posłuchaj, może powinniśmy zerwać.

- Też tak uważam.

- No, wiesz, Kristi, przecież się kochamy - zachnął się.

- Nie wiem, Jay - przyznała, opierając się o wezglowie łóżka i czując na policzkach palące łzy. Myślała, że go kocha. Kiedy chodzili jeszcze do szkoły. Zanim się dowiedziała, że ojciec naprawdę nie jest jej ojcem, a stryj... O, Boże... Wiedziała, że uciekła na uczelnię przede wszystkim po to, żeby się od tego wszystkiego oderwać. Unikanie i zaprzeczanie - dwa pojęcia, o których dziwny doktor Sutter mówił przez cały czas... Pod tym względem Jay się nie mylił. Niektórych wykładowców w Ali Saints, zwłaszcza doktora Suttera, doktora Franza i doktora Northrupa, trudno było nawet nazwać „ekscentrykami”. Biorąc pod uwagę ich, oraz zwariowaną Lukrecję, tego durnego Williego Davisa, który zawsze siadał za nią na psychologii i się gapił, a także lesbijkę od pływania, w Ali Saints było niezwykle zagęszczenie oszołomów.

- Nie wiesz - powtórzył zdeglustowany Jay. - Nie wydaje ci się, że powinnaś dojść do jakiegoś wniosku? O, cholera, rozumiem. Poznałaś kogoś, prawda? Wyjechałaś zaledwie parę miesięcy temu i już mnie zdradzasz. Kristi, co jest z tobą?

- Właśnie usiłuję do tego dojść - odparła, także ze złością, po czym trzasnęła słuchawką, wstała i kopnęła worek treningowy. A więc to jest początek końca. Wielkie rzeczy. Prawdę mówiąc, wyrosła z Jaya. Lepiej niech sobie poszuka kogoś innego.

Ona ma Briana.

Włączył się alarm.

Olivia usiadła wyprostowana na łóżku.

O, Boże, ktoś się naprawdę włamuje do domu. Wskoczyła z łóżka. Hairy S, ujadając, stał przy drzwiach, gotów pędzić na dół.

Strzelba... Cholera! Strzelba jest na dole, w szafce za płaszczami przeciwdeszczowymi i butami... O, nie... W głowie jej się trochę rozjaśniło i przez uporczywy dźwięk alarmu przebił się głos wołający ją po imieniu oraz stek przekleństw, który zawstydziłby nawet marynarza.

Sara!

Olivia wypadła z pokoju i popędziła na dół, gdzie czerwona na twarzy Sara, zalatująca dżinem, stała przy panelu alarmowym. Klnąc, naciskała po kolei wszystkie przyciski.

- Jak, do cholery, to się wyłącza?! - zawołała.

- Tutaj...

Ktoś załomotał w drzwi.

-Otwierać! Policja!

- Cholera jasna - jęknęła Sara, gdy Olivia wystukała kod i alarm nagle się wyłączył.

- Wszystko w porządku! Już idę! - krzyknęła Olivia i w tym samym czasie dwóch policjantów w cywilnych ubraniach wyłamało drzwi i wpadło do środka, trzymając broń gotową do strzału. Sara krzyknęła. Hairy S nadal szczeakał jak najęty.

Olivia i Sara podniosły ręce do góry.

-Nic się nie stało. Ona nie wiedziała, jak wyłączyć alarm. Policjanci powoli opuścili broń.

- Jest pani pewna, że wszystko w porządku? - spytał potężniejszy z dwóch mężczyzn z krótko ostrzyżonymi włosami.

- Tak! Nie widzieli panowie, jak Sara przyjechała? - Olivia opuściła ręce.

Sara, z jedną ręką na sercu, oparła się o ścianę.

- Jezu! - szepnęła. - Jezu!

~ Widzieliśmy, że podjechała pod dom, ale alarm się wyłączył. Nie
"^\glisimy ryzykować - powiedział młodszy z kwadratową szczęką.

- Co tu się dzieje? - zapytała Sara.

- Pilnują domu - wyjaśniła Olivia, nie wiedząc, czy się złościć, czy cieszyć. Z jednej strony była wściekła, że zakłócono jej prywatność, z drugiej była wdzięczna, że policja jest tak blisko. - Mówiłam ci, że mogę stać się ofiarą seryjnego mordercy.

- Mówiłaś poważnie? O, Boże - szepnęła Sara, blednąc.

- Nic nam się nie stało - zapewniła Olivia policjantów. - System jest nowy, moja przyjaciółka przyjechała z wizytą i nie jest przyzwyczajona do tego... - gestem wskazała na panel alarmowy.

- Jeśli jest pani pewna...

- Jestem pewna.

Policjanci wstawili drzwi, choć widać było, że trzeba będzie naprawić framugę i zmienić zamek. Kiedy wyszli, Sara poszła za Olivia na górę. Kilka minut później, ubrana w piżamę w tygrysie cętki, myła zęby w łazience. Olivia opuściła klapę sedesu i usiadła, podciągając nogi pod brodę.

- O mało nie zrobiłam w majtki — przyznała Sara, z ustami pełnymi piany. - Jezu, to było niesamowite. Jesteśmy pod obserwacją policji.

- To część planu Bentza.

- Kto jest Bentz? Olivia zawahała się.

- Oficer, który szuka zabójcy.

- Opowiedz mi o nim - zażądała Sara, mrużąc oczy. Ostatni raz przejechała szczotką po zębach i splunęła do umywalki.

Olivia opowiedziała, co się działo przez ostatni tydzień i skąd wziął się Bentz, choć pominęła fakt, że poszła z nim do łóżka. Ale Sara spojrzała na nią w lustrze, a potem schyliła się i nabrała wody do ust. Gdy ją wypluła, zapytała:

- Podoba ci się ten facet, prawda?

- Jest w porządku.

- Wydaje mi się, że naprawdę ci się podoba. Jak mężczyzna kobiecie.

- Już mówiłam, że jest w porządku.

- Nie gadaj. - Odwróciła się i skrzyżowała ręce na piersiach. — Zakochałaś się w gliniarzu! Boże, Olivio, czyś ty zwariowała?

- Wcale się nie zakochałam.

- Bzdura! Sprzedałam już tyle magicznych koralików miłości doktor Mirandy zakochanym nastolatkom, że umiem rozpoznać symptomy. O¹¹ cer Bentz wpadł ci w oko. Tylko mi nie mów, że zabawiasz się kajdankami i tymi dziwnymi rzeczami, które sprzedają w sklepie.

-Nie. To nie twoja sprawa. Od kiedy jesteś taką ekspertką od miłości?

- No... - Sara westchnęła i pokręciła głową. - Może nie jestem. — Wypłukała usta po raz ostatni i wytarła rękawem piżamy. -Nie zmieniaj tematu. Chciałabyś się załapać za gliniarza.

- Nie dojdzie do tego - zapewniła Olivia, podciągając nogi pod brodę i stawiając stopy na skraju deski. Czuła się jak nastolatka nocująca u koleżanki i omawiająca nowego chłopaka. - Co robiłaś dziś wieczorem?

- Nic ciekawego.

- Znalazłaś Leo? Sara pokręciła głową.

- Myślę, że był u niej, u tej suki, którą poznał na zjeździe w Nashville.

- Jesteś pewna?

- Nie, ale zadzwoniłam do niej.

- Co?! - krzyknęła Olivia. To nie wróżyło nic dobrego.

- Tak, wypiliśmy parę martini i nabrałam odwagi. Zadzwoniłam do niej do domu. - Odwróciła się do lustra i wyrwała jeden włos z brwi.

- Nie wierzę.

- Mówię ci. To w końcu mój mąż. - Sara była z siebie dumna. Olivia jęknęła.

- Nawet nie chcę dalej słuchać.

- Powiedziałam jej, żeby się odczepiła.

-!?

- Odłożyła słuchawkę. Zadzwoniłam drugi raz, ale nikt nie podnosił. Chyba wyłączyła telefon.

-Naprawdę uważasz, że Leo jest u niej?

- Prawdopodobnie. Tchórz. - Westchnęła smutno i zamknęła oczy. -Och, Olivio -jęknęła, opierając czoło o lustro. - Co ja mam zrobić?

- Na razie idź do łóżka. Jest późno. Porozmawiamy rano. Może wszystko się wyjaśni.

- Wątpię, ale zaczynam myśleć, że masz rację - stwierdziła, opuszczając ramiona. - Muszę jakoś zapomnieć o Leo. To emocjonalne tornado mnie zabija.

- Zrobimy burzę jedzenia na świąteczny obiad. Sarah uśmiechnęła się lekko.

- Indyk, zapiekanka ze słodkich ziemniaków... Jedzenie na pociechę.

- Może przygotuję niespodziankę - zapowiedziała Olivia i puściła oko do przyjaciółki, gasząc światło w łazience.

Biorąc pod uwagę stan nerwów Sary, nie można było niczego planować, ale ojciec James McClaren może odegrać pozytywną rolę.

- Idziesz do pracy w święto? -jęknęła Kristi spod kołdry.

- Ktoś musi pilnować porządku, żeby uczciwi obywatele mogli spokojnie świętować, proszę pani. - Bentz stał w drzwiach jej pokoju, spoglądając na pagórek pośrodku łóżka, który był jego córką.

- Przestań.

- Tylko na parę godzin.

- O, tak, jasne, już to kiedyś słyszałam.

- Wróć na czas, żeby włożyć indyka do piecyka.

- Naprawdę sam gotujesz? - Odsunęła brzeg kołdry i otworzyła zaczerwienione oko. Bentz wciągnął powietrze. Czasem, w odpowiednim świetle, Kristi wyglądała zupełnie jak jej matka. - Myślałam, że pójdziemy do restauracji, a potem do kina, czy coś takiego - powiedziała, ziewając.

- Nie widziałaś indyka w lodówce?

- Myślałam, że to tylko na pokaz. Jak fałszywa fasada budynku. I że chcesz zrobić na mnie wrażenie.

- Jest jak najbardziej prawdziwy, I co? Zrobiłem?

- Wrażenie? Nie - mruknęła, ale zachichotała jak mała dziewczynka i to przypomniało Bentzowi szczęśliwsze czasy. - No dobrze, jestem pod wrażeniem. A teraz zostaw mnie w spokoju. Która godzina? - Podniosła głowę.

- Piętnaście po ósmej? W święto? Czy ty zwariowałeś, tato?

- Niektórzy ludzie tak myślą.

- Mają rację! -Naciągnęła kołdrę na głowę i przekreśliła się na drugi bok. - Spróbuj mnie obudzić koło południa.

- Możesz na mnie liczyć. Będziesz musiała utnie kartofle. Kristi znowu jęknęła. Bentz wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Dobrze było mieć jaz powrotem, nawet jeśli marudziła. Tęsknił za nią. Kiedy mieszkali razem, wciąż się kłócili: o godzinę powrotu do domu, o stopnie, o chłopaka, o zachowanie. Wytykała mu, że też nie jest bez winy. Pracował w beznadziejnym zawodzie, kazał jej sprzątać pokój, bo miał „średniowieczne poglądy”, nie wiadomo dlaczego nie zgadzał się, by miała własny samochód, a fakt, że ją podejrzewał o to, że uprawia seks, był naruszeniem podstawowych zasad zaufania. Kiedy zostawił J6J na szafce kilka prezerwatyw, obraziła się i zarzuciła mu zazdrość, bo sam „nikogo nie ma”.

Ostatnie trzy miesiące przed jej wyjazdem na uczelnię były piekłem, ale mimo to za nią tęsknił.

Pojechał na komisariat i przyłączył się do tych osób, które zgodziły się pracować w święta. Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, był raport o tym, że poprzedniej nocy u Olivii włączył się alarm. Policjanci napisali, że . jakaś przyjaciółka włączyła go przez pomyłkę i nie potrafiła wyłączyć o wpół do drugiej nad ranem.

Bentz wykręcił numer Olivii. Miała zaspany głos.

- Halo?

Serce zabiło mu mocniej.

- Mówi Rick. Słyszałem, że miałaś kłopoty z alarmem.

- Och, nie... Przyjechała Sara, moja przyjaciółka z Tucson. Wróciła późno i nie umiała go wyłączyć. - Jej niski senny głos przypominał mu noc, kiedy trzymał jaw ramionach, czując jej zapach i słysząc cichy oddech.

- Chciałem się tylko upewnić, że u ciebie wszystko w porządku.

- Tak, tak - powiedziała i wyjaśniła mu, co się stało. Jej opowieść zgadzała się z raportem. Obiecała, że po świętach naprawi drzwi i w końcu podziękowała mu za telefon i życzyła wszystkiego najlepszego, ale w jej głosie usłyszał nieufność. W jakiś sposób poradziła sobie ze świadomością, że tego, co przeżyli tamtej nocy, nie da się powtórzyć. Nie podobało mu się to. Fakt, że nic się już między nimi nie wydarzy. Świat stał się trochę zimniej szy, gdy odłożył słuchawkę.

Żeby nie zawracać sobie głowy romantycznymi bzdurami, sprawdził pocztę internetową i papiery na biurku oraz wykonał parę telefonów, mając nadzieję, że uda mu się zidentyfikować najnowsze ofiary. Na razie nie dostał nawet wyników sekcji, ale przyczyny śmierci były dość oczywiste, poza tym był pewien, że czas zabójstwa pokrywa się z wizjami Olivii. Jeśli mieli szczęście, tym razem morderca popełnił jakiś błąd i ekipa śledcza znajdzie na miejscu zbrodni ślad: włos, kawałek ubrania, naskórek pod paznokciami ofiary, zostawiony nieostrożnie odcisk palca, ślad opon, świadka, który widział auto... Cokolwiek.

Potrzebowali jednego małego śladu. Czegoś konkretniej szego niż widzenia Olivii.

Chociaż do niej zadzwonił, ze wszystkich sił starał się o niej nie "łysieć. Zwłaszcza o wspólnie spędzonej nocy. Tym niemniej niepokoił ^{s1?} i sprawdził, czyjej dom nadal jest pod obserwacją policji. Modlił się, zęby morderca znów kogoś nie zabił.

Popijając gorzką kawę, spojrział do notesu, w którym wypisał wszystkie święte na najbliższe dni. Niestety, prawie każdy dzień poświęcony l"ył jakiejś świętej męczennicy. Bentz podkreślił te, które, jego zdaniem, •mogły przyciągnąć zabójcę.

Drugi grudnia- dzień świętej Vivian lub Bibianny, wychłostanej i zostawionej psom na pożarcie; dziewiąty grudnia - świętej Gorgonii, rzuconej pod kopyta stada mułów, które połamały jej kości i zdeptały na miazgę wnętrzości. Przeżyła nie tylko atak kopyt, lecz także jakiś rodzaj paralizu i zmarła „z przyczyn naturalnych”. Trzynasty grudnia - święta Łucja. Rzucono ją stada wołów, które jej nie tknęły. Kiedy okazało się, że woły nie chciały zdeptać jej na śmierć ani rozerwać na kawałki, torturowano ją, wylupiając oczy i podpalając. Najwyraźniej przeżyła i to, bo w końcu została zadżgana nożem.

Wszystkie śmierci brutalne, obrzydliwe, okrutne.

Ksiądz?

Chyba nie.

Odsunął na bok notatki. Dni, które wybrał, dotyczyły jedynie najbliższego okresu, do połowy grudnia. A przecież było ich więcej, znacznie więcej...

Masując kark, Bentz wstał i wyjrzał przez okno na szary mokry dzień. Za oknem latały gruchające gołębie, przysiadając na dachu.

Tego dnia w Nowym Jorku odbywała się tradycyjna parada, a w całym kraju ludzie zasiadali do rodzinnego obiadu, a potem oglądali w telewizji mecze.

Jednak tutaj, w Nowym Orleanie, grasował morderca. Który znów gotów był zabijać.

Rozdział 50

T już mówiłem, że nic nie wiem o żadnych morderstwach i nie podoba mi się, że ściągnęliście mnie tutaj w Święto Dziękczynienia. - Reggie Benchet siedział w pokoju przesłuchań, a jego oczy błyszczały gniewnie w świetle jarzeniówki. Chudym tyłkiem przysiadł na skraju krzesła, łokcie opierał o stół. Wychudzony, wyglądający na więcej niż sześćdziesiąt osiem lat, wypłuł przeżuty tytoń do soplawczki. - Czy potrzebuję adwokata? Chcecie mnie o coś oskarżyć czy mnie stąd wypuścicie? - Wycelował sękaty palec w Bentza. - Znam moje prawa. Nie możecie mnie zatrzymać bez powodu, więc jeśli nic nie macie, zamierzam się udać na świąteczny obiad.

- Dokąd?

- To nie ma znaczenia, ale idę do mojej przyjaciółki.

Bentz sprawdził w notesie.

- Do Claudette Du Fresne?

- Tak, ale nie zwracajcie jej dziś głowy, nie w święto. Ma chore serce i nie potrzeba jej kłopotów.

- Była aresztowana za handel kokainą- przypomniał Bentz, przeglądając dwie strony akt, w których było wszystko: od prostytucji do handlu narkotykami. -Niezła przyjaciółka.

- To było parę lat temu. Teraz żyje uczciwie i ma w sercu Jezusa. Jest dobrą chrześcijanką, opiekuje się chorą matką i pracuje w domu starców w Lafayette. - Pogrzebał w kieszeni koszuli i wyjął paczkę cameli. — Mogę zapalić? - Nie czekając na odpowiedź, zapalił papierosa. Wymarzony klient producentów tytoniu.

- Pan też odnalazł Boga, co?

- Tak, i możecie być spokojni, że będę się za was modlił.

- Nie jest pan księdzem - rzucił Montoya ze swojego miejsca przy drzwiach. Stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z wyjątkowo niechlujnie przyciętą bródką i niedowierzającym wyrazem twarzy.

- Nie, jasne, że nie. Narodziłem się na nowo. Znalazłem Chrystusa w kiciu... Kurczę, to brzmi jak piosenka country, co nie? - Zakaszłał, śmiejąc się z własnego dowcipu.

- Ale był pan katolikiem?

-Nie, to moja żona. Przepraszam najmocniej, była żona. Bemadette. - Gwałtownie potrząsnął głową, jakby chciał wylać wodę z ucha. - To jest kobieta, z którą nigdy nie powinienem się zadawać.

- Porozmawiajmy o niej.

- Stare dzieje.

- Miał pan z nią troje dzieci. Przestał się uśmiechać i znów splunął.

- Wiemy, że przeżyła jedna córka, druga utonęła w dzieciństwie. Miał pan także syna....

- Dużo mi z tego przyszło. Nikt mi nie powiedział o chłopcu. Choć ja coś podejrzewałem, znalazłem stare rachunki od lekarza, już po ślubie, ale ona zawsze się wypierała i mówiła, że poroniła. Dużo później, kiedy siedziałem w więzieniu, przyznała się do wszystkiego. Chyba męczyły ją wyrzuty sumienia i napisała do mnie list, że chłopak gdzieś żyje, chociaż nie wie gdzie. Staralem się coś zrobić, ale co można zrobić z więzienia? Usiłowałem wydebić więcej informacji od niej i od jej matki, nawet od lekarza. Ale lekarz już nie żył. Niczego się nie dowiedziałem.

-I tak pan to zostawił?

Zawahał się, zaciągnął papierosem i wydmuchał pod sufit kółko dymu.

- Nie ma mowy. To mój jedyny syn i zabrano mi go. Trzydzieści lat temu.

Wcale nie skończyłem go szukać.

- Możemy panu pomóc - zaproponował Bentz.

- Niby dlaczego?

- My też go szukamy. Reggie natychmiast się zjeżył.

-Po co?

- Chcemy z nim porozmawiać, tak samo jak rozmawiamy z panem - wyjaśnił Montoya.

Reggie uniósł brwi.

- Nie rozumiem. Jak nie wiecie, kim jest, to dlaczego chcecie z nim rozmawiać?

- Sądzimy, że mógłby nam pomóc. Reggie nie wyglądał na przekonanego.

-Nie ma mowy...

- Myślałem, że chciałby pan poznać syna. Niech pan powie, czego się pan dowiedział.

Wahając się i grając na zwłokę, Reggie przydusił niedopałek, który jednak wciąż się tlił.

-I przestaniecie się mnie czepiać?

- Jeśli nie zrobił pan nic złego...

- Pewnie, że nie zrobiłem. Zapytajcie mojego kuratora.

- Co pan wie?

Prychnął i wzruszył ramionami.

- Niewiele. Już mówiłem. Tyle, co mi powiedziała Virginia. Że to była prywatna adopcja, co na pewno znaczy, że była nielegalna i nikt niczego nie wiedział. Wszystkim zajął się ksiądz katolicki, który przysiągł, że nikomu nie powie. Ale jak siedziałem w więzieniu, jeden więzień opowiadał mi o ojcu Harrisie czy Henrym, który wpadł w kłopoty. Nie dosyć, że sprzedawał niemowlaki i zgarniał kasę dla siebie, to jeszcze złapali go na gorącym uczynku z jakimś piętnastoletnim chłopakiem.

- Był skazany? - zainteresował się Bentz. Wreszcie do czegoś doszli.

W oczach Montoi zabłysło zainteresowanie.

- Chyba nie. Ten kumpel, Yictor Spitz, mówił, że chłopak dostał forszę, nie było żadnej sprawy, a księdza przeniesiono do innego stanu.

- Miał na imię Henry albo Harris?

-Tak słyszałem.

- To imię czy nazwisko?

- Nie wiem. - Reggie pokręcił głową. - Tyle mogę powiedzieć. -Spojrzał na zegarek. - A teraz odwiedźcie mnie do Lafayette, bo obiad wystygnie i dostanę opieprz.

- Nie zrobiłaś tego! Nie zaprosiłaś na obiad księdza! - zawołała wstrząśnięta Sara. Mieszała grzanki z gotowanymi jarzynami, podrobami z indyka i ostrygami, co podobno było „sławnym” nadzieniem jej matki. - Dlaczego?

Olivia obierała ugotowane kartofle.

- Mogłabym skłamać i powiedzieć, że jest samotny i że go lubię, i to nie byłoby kłamstwo, ale tak naprawdę zrobiłam to dla ciebie, bo jesteś w depresji i pomyślałam...

- Że co? Że powinnam się wyspowiadać? Jezus Maria, Liwie, jak mogłaś?

- Nie musisz się do niego odzywać.

- To dobrze, bo nie mam zamiaru. - Sara była wściekła. Energicznie zamieszała podroby.

- Chciałam tylko pomóc.

Sara odłożyła łyżkę i westchnęła głęboko.

- Tak, wiem i doceniam to, naprawdę, ale... Muszę porozmawiać zLeo.

Olivia nie zamierzała się z nią sprzeczać.

Dwie godziny później, kiedy zadzwonił dzwonek i Hairy S pobiegł, szczekając, do drzwi, pomyślała, czy przypadkiem nie zrobiła głupstwa.

- Przyszedł ksiądz - oznajmiła Sara, schodząc z drogi psu. - Tylko tego nam trzeba.

- Spodoba ci się.

-Och, przestań...

- Nie denerwuj się. Najważniejsze, żeby było miło. Olivia otworzyła szeroko drzwi. Ojciec James, w spodniach, swetrze i krótkiej skórzanej kurtce, pochyłał się nad uszkodzonym zamkiem. Obok, na wycieraczce, stała butelka wina.

- Kłopoty? - spytał, podnosząc wzrok, a Olivia pomyślała, że jest stanowczo zbyt przystojny jak na księdza. Mocno zarysowana szczeka, gęste włosy, szerokie ramiona i zabójczy uśmiech.

- Nic takiego. Problem z alarmem.

- Alarm wyważył drzwi?

~ Policja - wyjaśniła. Na pewno pomyślał, że firma ochroniarska Wezwała policję. No i dobrze, nie było sensu tłumaczyć. - Proszę wejść.

Ksiądz, nadal pochylony, wyciągnął rękę, żeby pies mógł ją obwą-
chać.

- To jest Hairy S, odziedziczyłam go razem z domem.

- To na pewno dodatkowa zaleta domu. — Niebieskie oczy błysnęły
wesoło.

- Zależy od punktu widzenia. Wyprostował się i otrzepał ręce.

- Mogę to naprawić - powiedział.

- Prawda, jest ksiądz także złotą rączką. Byłoby świetnie, ale może
później. Teraz zapraszam do domu. Chciałabym, żeby ksiądz poznał mojego
gościa.

Sara stała w korytarzu koło półki z książkami.

- Sara Restin, ojciec James McClaren.

- Ksiądz? - zapytała sceptycznie Sara, obrzucając podejrzliwym
spojrzeniem jego cywilne ubranie.

- Tak, ale zostawiłem albę w samochodzie - żartował i podał jej rękę. -
Miło mi panią poznać.

- Mnie... Mnie też - wyjąkała. Zaskoczona, obejrzała go dokładnie od stóp
do głów, gdy Olivia zaprowadziła ich do kuchni. Ojciec James podał jej
butelkę wina.

- To mój wkład do obiadu.

- Dziękuję. Będziemy jedli za pół godziny. Tymczasem może ksiądz
otworzyć wino. - Olivia podała mu korkociąg.

Wypili po kieliszku wina. Zastrzeżenia Sara zniknęły powoli. Ojciec James
pokroił indyka, Olivia nakryła do stołu, a Sara zapaliła świece. Hairy S usiadł
na swoim miejscu koło tylnego wyjścia. Ojciec James przysunął krzesła obu
kobietom, a potem sam usiadł przy stole, pochylił głowę i odmówił krótką
modlitwę. Przy obiedzie rozmawiali o wszystkim i o niczym, a Olivia po raz
kolejny pożałowała, że James McClaren jest księdzem. Byłby naprawdę
dobrym mężem i fantastycznym ojcem.

James żartował, chwalił posiłek i pomógł sprzątnąć ze stołu, po czym
poprosił Olivię o pudełko z narzędziami jej dziadka i poszedł naprawić
drzwi wejściowe.

- Nie jest podobny do żadnego ze znanych mi księży - powiedziała Sara,
ubijając śmietaną do ciasta, gdy Olivia zawijała resztki jedzenia w folię. -
Mógłby grać w serialach. Przynosi wino, a potem bierze się do naprawiania
drzwi... Gdybym się nie orientowała w sytuacji, powiedziałabym, że jest na
ciebie napalony.

- „Napalony”? Daj spokój, jest ożeniony z Kościołem. - Olivia P⁰¹ czuła,
że się czerwieni.

- Kościół Kościołem, a on jest mężczyzną. - Sara wyrzła na korytarz i przygryzła wargę. - Założę się, że byłby świetny w łóżku - powiedziała, starając się mówić cicho, mimo hałasującego miksera.

- Przestań, Saro!

- Nigdy się nie zastanawiałaś, jak by to było z księdzem?

-Nie!

- Dlaczego? Bo jesteś zakochana w gliniarzu?

- Nie jestem w nikim zakochana. - Chia zagwizdała głośno. Olivia wytarła ręce w ścierkę i nalala kawę. - Bądź cicho! Sara uśmiechnęła się szelmowsko.

- Mówię ci, że gdybym nie była mężatką i gdyby ktoś patrzył na mnie tak, jak on na ciebie przy obiedzie, to chyba bym się nie powstrzymała.

- Przestań natychmiast! - Spojrzała gniewnie na przyjaciółkę i Sara, wznosząc oczy do nieba, zajęła się bitą śmietaną.

- No, chyba skończyłam... Zobacz, ubita na sztywno.

- Na sztywno?

Sara roześmiała się i wyłączyła mikser.

- Jesteś niemożliwa - westchnęła Olivia.

- Wiem.

Oblizła śmietaną z końcówki miksera i mrugnęła do Olivii.

- Przestań! - Mimo wszystko Olivia się roześmiała.

- Co jest takie śmieszne? - spytał ojciec James. Stał w drzwiach kuchni, wycierając ręce w chusteczkę.

Obie kobiety zaśmiały się jeszcze głośniej.

- Widzę, że straciłem dobry dowcip.

- Nic takiego, wygłupiamy się. - Olivia rzuciła przyjaciółce ostrzegawcze spojrzenie. - Mój gość ma bujną wyobraźnię. - Zęby zmienić temat, wyszła na korytarz i spojrzała w stronę drzwi. - Udało się naprawić?

- Są jak nowe. - Pokazał jej, co zrobił i wyjaśnił, jak naprawił zamek. - Trochę farby i nikt się niczego nie domyśli.

- Jak mogę się księdzu odwdzińczyć? - spytała i zauważyła kątem oka, że Sara prowokująco uniosła do góry jedną brew.

- Zjadłem pyszny obiad - powiedział, uśmiechając się lekko. - Może wóglbym panią przekonać do przyjścia na mszę od czasu do czasu.

- Ma ksiądz duże wymagania - zażartowała. - Jasne. Może. Zapra-^am na deser do pokoju. Może znajdzie ksiądz coś dobrego w radiu, a ja l'ozpalę w kominku.

- Ja to zrobię, tylko proszę mi pokazać, gdzie jest komórka z drew-"em. Byłem kiedyś skautem.

- Czemu mnie to nie dziwi?

Przez następną godzinę rozmawiali przy płonącym ogniu i muzyce jazzowej nadawanej przez WSLJ, która płynęła ze starego radia babki. Ojciec James był tak samo czarujący jak zawsze, ale Olivia zauważyła, że pod warstwą życzliwości i spokoju kryje się napięcie, niepokój, coś ciemnego w niebieskich oczach.

Sara miała rację. Jest bardzo przystojny. Po prostu zachwycający. Olivia dostrzegła też coś w jego wzroku, za każdym razem, gdy na nią spoglądał, choć starała się to ignorować. Było to jakby niewypowiedziane pytanie. Gdyby je знаła, przeraziłoby ją śmiertelnie.

To jej przeszkadzało. Na litość boską, przecież to ksiądz! Jakikolwiek związek między nimi jest po prostu nie do pomyślenia. Może działa tylko jej bujna wyobraźnia? Nie potrafiła myśleć o ojcu Jamesie McClarenie inaczej niż o słudze bożym. Nie potrafiła i nie chciała.

Najpierw gliniarz, teraz ksiądz.

O, nie! Usiadła na jednym końcu starej kanapy, ojciec James - na drugim. Sara, odprężona po raz pierwszy od przyjazdu do Nowego Orleanu, zrzuciła buty i z podwinionymi nogami usiadła w bujanym fotelu.

Olivia pomyślała o tym, co mówiła przyjaciółka, jak by to było pójść do łóżka z księdzem?

Na litość boską, zaledwie kilka dni temu byłaś w łóżku z Bentzem. Czowała, że się czerwieni, ale starała się brać udział w rozmowie, która obracała się wokół Sary i jej życia w Tucson. Sara, gestykulując, wyjaśniła, że do spółki z Olivia miały sklep i że odkąd Olivia wyjechała do Luizjany, wszystko się zmieniło.

To była dobra okazja, żeby wyjść i zostawić Sarę sam na sam z księdzem. Olivia przeprosiła i powiedziała, że pójdzie pozmywać, rezygnując z pomocy pod pretekstem, że kuchnia jest za mała i sama doskonale sobie poradzi.

Sara nie upierała się za bardzo i kiedy Olivia spojrzała przez otwarte drzwi, zobaczyła, że przyjaciółka przeniosła się na kanapę i jest pogrążona w rozmowie z ojcem Jamesem. Od czasu do czasu dotykała chusteczką oczu.

Olivia pozmywała, wytarła naczynia i pochowała do szafek, wytarła blat i stół, a nawet pozamiatała. Słyszała głos Sary na tle cichej muzyki. Jej słowa przerywane płaczem, a potem głęboki spokojny głos ojca Jam⁶;-
są. Olivia zacisnęła kciuki i pomodliła się w duchu, by Sara doszła jako do porozumienia z tym kretynek Leo i uratowała swoje małżeństwo. Olivia miała im właśnie zaproponować poobiedniego drinka, k' zadzwonił telefon. Przez ułamek sekundy pomyślała, że dzwoni Ben

- Halo?

- Halo, skarbie. - Zesztywniała. Poznała go po głosie. Jej serce zmieniło się w kamień. Co ma do powiedzenia ojcu? - Chciałem ci złożyć życzenia. Wszystkiego najlepszego.

- Wzajemnie - mruknęła, choć niczego dobrego mu nie życzyła.

- Nie mam czasu, żeby wpaść dziś do ciebie, a i ty masz na pewno inne zajęcia, ale któregoś dnia musimy się spotkać i porozmawiać. Jestem teraz sługą bożym. Pastorem. Możesz ze mną porozmawiać.

- Nie ma o czym, Reggie.

- Sama widzisz. Właśnie o to mi chodzi. Musimy jak najszybciej wyjaśnić stare nieporozumienia, skarbie.

- Nie mów tak do mnie. Nigdy. Możesz nazywać mnie Olivia.

- Do diabła, to nie jest zabawne.

Była wściekła, że zakłócił jej świąteczny dzień.

- Jak na pastora, za dużo przeklinasz.

- Może należę do Kościoła Mówienia Prawdy. Zadzwoń, żeby złożyć ci życzenia.

Czuła, że zaraz odłoży słuchawkę i pożałowała twardych słów. W końcu było Święto Dziękczynienia.

- Zaczekaj - powiedziała. - Posłuchaj, mam nadzieję, że będziesz miał dobry dzień. - Na tyle mogła się zdobyć.

- Dziękuję, Olivio.

- Reggie, chciałam cię o coś zapytać. - Skoro zadzwonił, może z tego skorzystać. - Szukałam czegoś w rzeczach babci Gin i znalazłam notatkę, z której wynika, że mam starszego brata. Bemadette to potwierdziła, ale nie umiała mi powiedzieć, gdzie on jest i czy w ogóle jeszcze żyje. Pomyślałam, że może ty coś wiesz.

- A to dobre. Ani słowa o dzieciaku przez trzydzieści lat, a teraz dwa razy jednego dnia. Nie wiem nic więcej poza tym, co powiedziałem temu gliniarzowi, który był na tyle bezczelny, żeby mnie ciągnąć w święta do Nowego Orleanu. Powiedziałem mu to, co wiem, a wiem niewiele. Istnienie chłopaka trzymano przede mną w tajemnicy. Twoja cholerna matka nigdy nie dała mi szansy, żebym mógł poznać własnego syna! - Był zdenerwowany i mówił ochrypłym głosem. - Dlaczego nagle wszyscy chcą wiedzieć?

- Bo do tej pory to była tajemnica. ~ A gliniarz?

~ To już wasza sprawa. Zakładam, że chodzi o jakieś śledztwo. ~ Jasne. Miał czelność mnie spytać, gdzie byłem, kiedy zginęły te obiety. Skąd mam wiedzieć! Raz się poślizgniesz i system nie wypuści

cię z łap. Nigdy nie będę wolny, choć swoje odsiedziałem. Za każdym razem, kiedy się coś dzieje, gliniarze przychodzą do mnie. Posłuchaj, jak znajdziesz tego swojego brata, powiedz mu, że ma ojca, prawdziwego, który chciałby go poznać. Cała pieprzona rodzina interesuje się bardziej nim niż mną. Do widzenia, Olivio - rzucił ze złością i tak głośno odłożył słuchawkę, że Olivia podskoczyła.

Postanowiła nalać sobie drinka. Przeszukała szafki i znalazła butelkę black velvet. Wlała whisky do kawy.

- Na zdrowie - mruknęła. Na tle cichych dźwięków jazzu wciąż słyszała monotony głos Sary. Dobrze. Z uśmiechem upiła łyk kawy. Niezła. Nucąc pod nosem, skończyła chować naczynia.

Znowu zadzwonił telefon.

A teraz kto? Wiedziała, że to głupie, ale znów miała nadzieję, że dzwoni Bentz.

- Olivio, poproś Sarę do telefonu - zażądał Leo Restin bez żadnego „cześć” czy „halo”. - Wiem, że jest u ciebie. Wczoraj wieczorem dzwoniła do mojej znajomej. Daj ją tu.

-Leo...

- Już! - krzyknął.

Olivii nie podobał się ton jego głosu. Spojrzała na słuchawkę, a potem odłożyła ją na widelki.

- Gnojek - szepnęła i napiła się kawy. Znowu zabrzmiał ostry dzwonek telefonu. Przez moment rozważała, czy go nie wyłączyć. Wypiła do końca kawę. Podniosła po czwartym dzwonku.

- Halo? - rzuciła słodko.

- Nie odkładaj słuchawki, Olivio - syknął Leo.

- Nie jesteś miły, Leo. Nie możesz rozstawiać ludzi po kątach. -Odsunęła słuchawkę od ucha.

- Olivia!

Leo dusił się z wściekłości.

- Chcę rozmawiać z moją żoną i jeśli jej nie poprosisz do telefonu, przyjadę tam i...

Znów odłożyła słuchawkę i zastanowiła się nad kolejnym drinkiem^
Zadzwonił telefon. Odebrała i nim zdążyła powiedzieć słowo, odezwał się Leo:

- Proszę, zawołaj Sarę do telefonu.

Był zdenerwowany, mówił przez zaciśnięte zęby.

- Bądź grzeczny, Leo. Dziś jest Święto Dziękczynienia.

- Nie masz prawa...

- Ach, tak?

- Dobrze, dobrze, poproś ją.

Olivia rozważała ponowne odłożenie słuchawki, kiedy podniosła oczy i zobaczyła w drzwiach kuchni ojca Jamesa. Przyglądał jej się uważnie.

- Problemy?

- Nic poważnego. Dzwoni Leo Restin. Chce rozmawiać z Sarą. Sara wpadła do kuchni, jakby od dobrej chwili podsłuchiwała.

- Mówiłaś coś o Leo? - spytała oskarżycielsko. Na rzęsach miała łz, ale spojrzała na Olivię wzrokiem, który oznaczał: Jak śmiesz kontrolować moje telefony, i wyrwała jej słuchawkę. - Halo? - zawołała i łzy popłynęły jej po policzkach. - O, Boże, Leo, gdzie jesteś? Tak się denerwowałam...

Odwróciła się bokiem do Olivii, która pokręciła w milczeniu głową i nalala sobie i ojcu Jamesowi kawy. Sięgnęła do szafki i pytająco uniosła w górę prawie pustą butelkę black velvet. Ku jej zdumieniu, ksiądz skinął głową. Olivia nalala do każdej filiżanki sporą porcję whisky i zaniósła kawy do pokoju. Sara szeptała, płakała i pociągała nosem.

Hairy S spał pod oknem, pochrapując z cicha.

- Udało się księdzu do niej trafić? - spytała Olivia, gdy usiedli na kanapie.

Ojciec James napił się kawy z whisky.

- Tajemnica zawodowa - powiedział.

- Chciałabym pomóc.

- Zrobiła pani, co mogła. Reszta zależy od Sary i Leo.

- Gnojek - mruknęła Olivia. Chciała opowiedzieć, jakim wstrętnym, wrednym i nieuczciwym mężczyzną jest Leo Restin, ale ograniczyła się do tego jednego słowa. Nim zdążyła coś wyjaśnić, Sara wyszła z kuchni.

- Muszę jechać. Leo chce się ze mną zobaczyć. - Uśmiechała się drżącymi wargami, a w jej oczach błyszczała nadzieja.

Olivia była przekonana, że serce przyjaciółki znów zostanie złamane,

- Jesteś pewna?

- Tak! I nie mam czasu na pouczenia. Opowiem ci wszystko, jak wrócę... - Ruszyła do schodów, ale coś jej się przypomniało i wróciła Pospiesznie do pokoju, wyciągając rękę do ojca Jamesa. - Dziękuję księdzu. Naprawdę mi ksiądz pomógł. - Biegiem wpadła na górę, przez chwilę krzątała się po pokoju i zbiegła po schodach. - Do zobaczenia później! -zawołała do Olivii i puściła do niej oko. - Chyba że będę miała szczęście.

Wyszła z domu, nim Olivia zdążyła cokolwiek powiedzieć.

~ To przegrana sprawa.

- Jej decyzja.

- Wiem, wiem, ale przyjechała tutaj kompletnie załamana.

- Może nie tak kompletnie. - Ojciec James popijał kawę do wtóru starej piosenki Franka Sinatry. Na rozżarzonych czerwonych węgielkach syczał ogień. Whisky zaczęła działać. Olivia rozluźniła się i zsunęła pantofle. Patrząc na księdza, który siedział na drugim końcu kanapy, z wyciągniętymi nogami, pomyślała, że cieszy się z jego obecności. Bez koloratki wydawał się taki rzeczywisty. Przystępny. Niesłychanie męski.

Wpatrywał się w ogień ze ściągniętymi brwiami i zaciśniętymi ustami.

- Coś księdza niepokoi?

- Mnie? - Podniósł głowę i się uśmiechnął. -Nie.

- Wiem, że tak jest i niech ksiądz nie zaprzecza. Mam zdolności parapsychiczne. - Kiedy się nie odezwał, dodała: - Naprawdę. Moja babka wróżyła z kart tarota i fusów, i choć była dobrą katoliczką, bawiła się także w wudu.

- Jak można się „bawić” czymś takim? - spytał.

- Wudu nie polega na zabijaniu kurczaków i wbijaniu szpilek, żeby rzucić na kogoś urok.

- Wiem. Studiowałem różne religie oraz teologię i to nie tylko w seminarium. To jedna z moich pasji.

- Ma ksiądz inne? Roześmiał się.

- O, tak... - odparł cicho, ale na tym poprzestał. - A pani?

-Nie rozmawiamy o mnie. Powiedziała, że coś księdza niepokoi, a ksiądz chce zmienić temat.

- Nawet księża mają problemy - przyznał. Blask ognia oświetlał ostre rysy jego twarzy. Tak, coś go niepokoiło, był w nim jakiś smutek, który pragnął ukryć.

- Może mogłabym pomóc?

- Już mi pani pomogła. - Przysuwając się trochę bliżej, wziął ją M rękę. Ze zdumieniem wyczuła odciski na jego dłoni. - To, że pani mnie zaprosiła, pozwoliła stać się częścią małego przyjacielskiego kręgu, bardzo mi pomogło. Przypomniało, jak to jest należeć do rodziny. - Przytrzymał jej dłoń nieco dłużej, niż należało, po czym puścił.

- Zaprosiłam księdza ze względu na Sarę. Poza tym ksiądz ma rodzin? - Jego oczy stały się jeszcze ciemniejsze.

-Zgadza się.

-Gdzie?

- Och, tu i tam. Ale moi rodzice już nie żyją, zmarli jedno po d^{1111^1111}. w odstępie roku. Mam przyrodniego brata, którego nie widuję z Y^

często. - Przypatrywał jej się bardzo intensywnie przez dłuższą chwilę i Olivia czuła, że toczy ze sobą jakąś walkę. - Lepiej już pójdę. - Położył ręce na kolanach i wstał szybko, jakby się bał, że się rozmyśli. - Mam dyżur.

- Praca księdza nigdy się nie kończy.

- Amen, sostro.

Roześmiali się i napięcie opadło. Olivia, odprowadzając go do drzwi, znów mogła odetchnąć.

- Dziękuję za wizytę i rozmowę z Sarą.

- Zawsze i o każdej porze - powiedział miękko i Olivia wiedziała, że nie było to zapewnienie zdawkowe.

Może Sara miała rację, pomyślała, podając mu kurtkę i przyglądając się, jak wsuwa ręce w rękawy. Ciemne włosy opadły mu na czoło, a kiedy na nią spojrział, jego przenikliwy wzrok sprawił, że jej serce omal nie stanęło. Miała ochotę pocałować go na pożegnanie, musnąć wargami policzek, ale się nie odważyła.

Sięgnął do kieszeni.

- Omal nie zapomniałem - powiedział, wyciągając złożony kawałek papieru. - To są jawne sprawy i nie łamię żadnych kościelnych przepisów. Tutaj ma pani listę ochrzczonych dzieci z okresu, o który pani pytała. Ograniczyłem go w czasie ze względu na datę urodzenia. Mam nadzieję, że w czymś to pani pomoże.

- Na pewno - obiecała, kiedy podał jej komputerowy wydruk. - Dzieję-

- Przynajmniej tyle mogłem zrobić. - Tym razem pomyślała, że się pochyli i pocałuje ją w czoło, ale się powstrzymał, nawet jeśli miał taki zamiar. - Do widzenia, Olivio. - Uścisnął jej dłoń. - Niech się pani odzywa. Drzwi do domu bożego zawsze stoją otworem.

Patrzyła za nim, kiedy postawił kołnierz kurtki i pobiegł do samochodu.

James czuł na sobie wzrok Olivii, jakby przepalał mu kurtkę. Zacinając zęby, przebiegł całą drogę do samochodu. Załamał się, patrząc jej w oczy i jego podniecenie było tego dowodem. Co się z nim, do diabła, dzieje? Wsiadł do samochodu, uruchomił silnik i pomachał do niej ręką. •^akby nie myślał tylko o tym, żeby wrócić na werandę, wziąć ją na ręce ' Gnieść na górę, do łóżka. Tego chciał. Zedrzeć z niej ubranie i wejść w "łatak głęboko, jak tylko się da. Zaryzykował ostatnie spojrzenie na

Oliwię. Wzięła psa na ręce i przyciskała szpetne stworzenie do piersi, opierając się o balustradę.

Nie chciał tylko seksu. Chciał wszystkiego. Bolało go serce. Piękna kobieta, przytulny domek w lesie i mały kundel. Wszystkie te *rzeczy*, z których zrezygnował. Dla powołania. Dla Boga. Bo wierzył. Zawsze wierzył i w głębi serca wiedział, że swój ą wiarą może pomóc innym, że to jest jego cel w życiu, to, co Bóg dla niego zaplanował.

Zaciskając zęby, nacisnął na gaz. Przejechał przez mały mostek i wjechał na porytą koleinami, zasypaną liśćmi alejkę. Nie mógł sobie pozwolić na wątpliwości. Nie teraz. Nigdy. Niewiele brakowało, by znów przekroczył próg grzechu. Skręcił w główną drogę, a później na autostradę. Deszcz uderzał o szybę, a James zaczął się modlić.

Przegrywał z pożądaniem.

Rozdział 51

Kristi zakręciła się na pięcie, kopnęła z całej siły, a potem walnęła pięścią w worek treningowy, zwisający z sufitu w jej pokoju. Łup! Worek przyjął uderzenie. Zawirował i wrócił po następne.

-Nie masz jeszcze dość? Proszę!

Była spocona i miała zupełnie mokre włosy, ale ruchy taekwondo, których nauczyła się w dzieciństwie, szybko jej się przypomniały. Jak jazda na rowerze, pomyślała.

Worek treningowy wirował. Nie był to, jak by powiedział Master Kim, jej dawny instruktor, przeciwnik wart walki, ale wystarczał do treningu, zarówno fizycznego, jak psychicznego. Jeszcze jeden kopniak z biegu, jeden z boku i w końcu uderzenie.

- Umieraj - powiedziała workowi.

Złość na ojca prawie jej przeszła.

Prawie.

To co, że wrócił późno z pracy? To co, że w Święto Dziękczynienia. Wszystko po staremu. Doprowadzał matkę do szału tą swoją pracą. Wtedy Kristi tego nie rozumiała, była tylko dzieckiem. Jednak wyczuwała napięcie, które rosło między rodzicami za każdym razem, kiedy ojciec⁰ tkwił po uszy w jakimś śledztwie. Nigdy się nie zmienił. Praca zawsze była na pierwszym miejscu.



Nie, to nieprawda. Ona była na pierwszym miejscu. Rick Bentz kochał ją niezależnie od tego, czy był jej „prawdziwym” ojcem, czy nie. Dziwne, że stryj, ksiądz, był jej biologicznym ojcem, a Rick, mężczyzna, który ją wychował i którego nadal uważała za ojca, był jej stryjem. Coś obrzydliwego! Kopnęła w worek jeszcze parę razy i zakończyła uderzeniem w gardło. Gdyby worek miał gardło, już by nie żył.

Bentz zajął do pokoju.

- Chodź, Cassius, pora zrobić puree.

- Kto?

- Cassius Ciay, no, wiesz. ^-Ach, tak, Ali. Ten najlepszy.

-Nie, to jest Gretsky.

- Hokeista.

-Najlepszy był Muhammad Ali.

- Za dużo wiesz o tym gów... O tych bzdurach. Idę pod prysznic i zaraz będę gotowa. - Kiedy chciał zaprotestować, pomachała mu palcem przed nosem. -Nawet nie próbuj ruszać moich kartofli, rozumiesz? Wyjdę z łazienki za dziesięć minut. Mogą zaczekać.

Nim zdążył coś powiedzieć, weszła do łazienki, przekręciła klucz i puściła wodę. Nie zmieściła się w dziesięciu minutach, ale przed upływem pół godziny zdążyła się umyć, włożyć ulubiony dres, związać włosy w koński ogon i utłuc te cholerne kartofle.

Bentz pokroił ogromnego indyka, który za długo siedział w piekarniku i choć nadzienie było zbyt rozgotowane, a sos wyglądał, jakby chorował na trądzik, żurawina z puszki, ciasto z dyni i czekoladowe eklery, które kupił w piekarni, poprawiały nieco sytuację. Starał się. Kristi musiała to przyznać. Wstawił świeże kwiaty do wazonu przy łóżku w jej pokoju, położył na poduszce jej ulubioną przytulankę, szarego szopa pracza bez jednego oka, i nawet zapalił na małym kuchennym stole dwie świece, żeby „zrobić nastrój”. Usiedli przy stole podsunętym do ściany. Na blacie i w zlewie pełno było brudnych naczyń, ale to nie miało znaczenia.

Najlepsze zaś było to, że nie wypił ani kropli wild turkey, czy co tam wlewał w siebie w każde święta. Paskudne czasy. Teraz zrozumiała dlaczego. Pił bardzo dużo, odkąd pamiętała, przypuszczalnie odkąd się dowiedział, że nie jest jego dzieckiem, ale po tym wypadku, kiedy zastrzelił dzieciaka, stale był pijany. Pamiętała kłótnie rodziców, każde święto, które ^nienialo się w

piekło, inne dzieci czekały na Boże Narodzenie, ale Kri-¹
najchętniej przespałaby wszystko. Potem umarła Jennifer. Rick
przeszedł pić. Naprawdę zasłużył na medal.

Skończyli główne danie, kiedy Bentz zapytał:

- Rozmawiałaś już z Jayem?

Kristi podłubała widelcem w kartoflach.

- Tak. Przez telefon. Pokłóciliśmy się.

- Wytłumaczyłaś mu, o co chodzi?

-Nie.

Nie chciała myśleć o Jayu. Nie teraz.

- Nie uważasz, że powinnaś to zrobić?

- Sama wybiorę odpowiedni moment, dobrze? - powiedziała zaczepnie.

Widząc uniesione brwi ojca, westchnęła i odłożyła widelec. - Zobaczą się z nim jutro albo w sobotę. Nie chciałam robić sceny i psuć mu świąt.

Ojciec skinął głową, choć nadal przyglądał jej się ze zmarszczonym czołem.

- Słusznie. A ja nie powinienem się wtrącać.

- Dobry pomysł. - Wycelowała w jego stronę widelec. - Na pewno porozmawiam z nim przed wyjazdem. - Zjadła parę kęsów indyka i uznała, że może wspomnieć o Brianie. Ojciec i tak prędzej czy później się dowie. - Spotykam się z kimś.

- Z kimś? Myślałem, że spotykasz się z różnymi chłopakami. Ukroił kawałek indyka i nadział na widelec.

- No... Byłam przecież wstępnie zaręczona z Jayem.

- Dziwne określenie.

- Dlatego nie rozglądałam się za nikim, ale ten facet... Jest asystentem.

Tylko się nie przerażaj, jest ode mnie troszeczkę starszy.

- Co to znaczy „troszeczkę”? - Bentz przestał jeść i patrzył na nią przenikliwie.

Może nie powinna była nic mówić.

- Parę lat i to nic poważnego, dobrze?

- Mam nadzieję. Nie wiedziałem, że asystenci mogą się umawiać ze studentkami.

-Nie powinni, jeśli studentka jest z ich grupy. Domyślam się, o co chcesz zapytać. Tak, Brian prowadzi zajęcia w mojej grupie, ale to nie ma żadnego wpływu na moje stopnie z filozofii. Wprost przeciwnie, nawet się poprawiłam.

Bentz nachmurzył się jeszcze bardziej. Cholera, niepotrzebnie się odzywała.

- Posłuchaj, tato, nie przejmuj się, mam dobre stopnie, choć może nie wybitne. Zajęcia Zarostera są trudne. Filozofia religii. Boże, po co Ja się na to zapisałam? W gruncie rzeczy wszystkie przedmioty, które wy'

brałam, są trudne. Na uczelni jest inaczej niż w szkole. Zaroster, Sutter i Northrup są najbardziej wymagającymi profesorami na całym uniwersytecie i ze wszystkimi trzema mam zajęcia.

- To nieźle - powiedział, znów zabierając się do nadzienia. - Trzeba wymagać od studentów.

- A co powiesz o dziwakach? Przysięgam, że wylądowałam z najdziwniejszymi profesorami w Ali Saints. Nawet pani Wilder, nauczycielka matematyki, jest niesamowita. Założę się, że mieszka z dwunastoma kotami i robi im sweterki na drutach. - Kristi roześmiała się z własnego żartu, w nadziei, że odwróci uwagę ojca od tego, o czym mówili wcześniej. To się, oczywiście, nie udało. Nawet się nie skrzywił.

- Dlaczego uważasz, że twoi profesorowie są dziwni? - spytał, odkładając widelec.

- Nie wiem. Bo tak. Jacy ludzie są w stanie spędzić całe życie nad jednym problemem, w dodatku w towarzystwie innych naukowców? Muszą być lekko szurnięci. - Wzruszyła ramionami. - Może już starczy tego wypytywania, co? Mam nieźle stopnie. Nie myślmy o tym teraz. W końcu jest święto.

Zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale się powstrzymał.

- Jasne. Cieszę się, że przyjechałaś do domu.

- Też się cieszę, choć mało brakowało, abym została. Kiedy się spóźniałeś, miałam ochotę zrezygnować.

- Ze względu na tego asystenta? Briana?

- Częściowo.

- On ma jakieś nazwisko?

- Tak... - Zawahała się, ale doszła do wniosku, że ojciec przez swoje znajomości w policji i tak znajdzie tę informację. - Thomas. Musisz mi coś obiecać. Przysięgnij, że nie będziesz go sprawdzał. Nie należy wtrącać się w jego prywatne życie. Wystarczy, że ja mam przechlapane.

-To nie...

- Owszem, tato. I nie tylko dlatego, że jesteś policjantem, ale w dodatku paranoikiem i samotnym ojcem.

- Paranoikiem?

Zadzwoił telefon i Kristi podskoczyła na krześle. Nieustannie myślała o Brianie, a przed wyjazdem dała mu swój nu^{me}n. Z drugiej strony to mógł być Jay.

- Halo? - powiedziała szybko. Chwila ciszy.

- Kristi?

-Tak.

- Mówi stryj... James.

Zrobiło jej się niedobrze. Spojrzała na Bentza. Wpatrywał się w nią.

- Cześć - wykrztusiła. - Co słychać?

- Chciałem ci życzyć wszystkiego najlepszego z okazji Święta Dziękczynienia.

- Dobra. Wzajemnie. - Myślała tylko o tym, żeby jak najszybciej zakończyć rozmowę. Nie chciała mieć z nim do czynienia. Nigdy. Co za wredny typ. I pomyśleć... Nie, nawet nie chciała o tym myśleć. Kiedyś mu ufała. Kiedy jeszcze wierzyła, że jest jej stryjem i nie rozumiała pełnego dystansu zachowania Bentza wobec własnego brata i błysku zazdrości w jego oczach. Teraz wiedziała i nie chciała z nim rozmawiać. Bentz był i będzie jej ojcem. Kropka. Zawsze mogła na nim polegać. Zawsze. Nawet w najgorszych czasach, kiedy pił, nigdy nie wątpiła w jego miłość. Oczywiście doprowadzał ją do szału, ale który ojciec tego nie robił? Ja-mes jest wstrętnym gnojkiem. Nie chce go widzieć. A teraz zadzwonił, taki cholernie spokojny i łagodny. Zbierało jej się na wymioty.

- Chciałbym cię zobaczyć - powiedział. - Niedawno rozmawiałem z twoim ojcem, który sugerował, żebyś nie naciskał na kontakt z tobą, ale chciałem tylko powiedzieć, że myślę o was obojgu. I modłę się za was.

- Fajnie. Dzięki. - Szybko odłożyła słuchawkę. Spocily jej się dłonie, serce waliło, a kiedy spojrzała w lustro, zobaczyła, że jest blada jak kreda.

- Jay? - spytał Bentz.

Kristi pokręciła głową i usiadła.

- Ojciec McClaren.

- Cholera! Mówilem mu, żeby... - urwał.

- Chciał nam obojgu złożyć życzenia. Wiesz co, tato, nie powinnam się czuć zagrożona.

- Nie masz powodu.

- To dziwne, jestem naprawdę wytrącona z równowagi. My chyba jesteśmy najbardziej dysfunkcyjną rodziną na świecie. Roześmiał się i rzucił serwetkę na talerz.

-Nie jesteśmy nawet w pierwszej dziesiątce w tym mieście. Kiedy myślę, że mnie już nic nie zdziwi, zawsze jeszcze się coś trafia. Wierz mi, nasza rodzina to wzór normalności.

- Akurat. - Trudno jej było w to uwierzyć. - Tak mówisz, bo masz do czynienia z kanałiami.

- Właśnie.

• t do To Kristi nie przekonało.

Wiedziała, że ich rodzinie daleko JCSI

normalności. Przecież jej biologiczny ojciec jest jej stryjem, a facet,

ryjąwychował, gliniarzem i alkoholikiem, który niechcący zastrzelił dzieciaka, natomiast matka przypuszczalnie nałykała się pigulek i popełniła samobójstwo, wjeżdżając samochodem na drzewo. Nie, wcale nie byli normalni.

Bentz tylko się oszukuje.

James trzymał kurczowo słuchawkę jeszcze kilka sekund po tym, jak Kristi się rozłączyła. Odtwarzał w myślach krótką rozmowę. Niczego innego się nie spodziewał. Czas, potrzebuję więcej czasu.

Mieszkał w małym domku niedaleko kościoła świętego Łukasza i postanowił pójść wcześniej do kościoła i porozmawiać z wielebnym O'Hara. Odłożył słuchawkę.

Ojciec James, do którego tyle osób zwracało się po radę, potrzebował kogoś, komu mógłby się zwierzyć. Miał tyle problemów.

Po pierwsze i przede wszystkim - Kristi. Jego dziecko. Kiedyś chciał odejść z Kościoła, ożenić się z Jennifer i uznać Kristi. Później liczył przynajmniej na jakiś kontakt. Teraz już wiedział, że nigdy nie będzie formalnie jej ojcem, ale nadal mógłby odgrywać rolę stryja... Gdyby mu pozwoliła.

Nie zamierzał zabierać jej Rickowi. Bentz świetnie ją wychował. A samotne wychowywanie dziecka to nie jest prosta sprawa.

Problem Olivii. Może jedynie prosić o pomoc Boga.

James podszedł do biurka i wziął Biblię. Kiedyś należała do jego matki. Na cienkich kartkach odnajdywał pociechę. Gdzie jest ten fragment... Przerzucał strony Biblii, kiedy zadzwonił telefon, tak głośno, że go przestraszył.

Podniósł słuchawkę, nadal przebiegając wzrokiem strony, szukając tekstu, który przyniósłby mu spokój.

- Wybacz mi, ojcze...

Nocny penitent zadzwonił znowu. Zegar na ścianie odmierzał sekundy. James spocił się, ściskając kurczowo słuchawkę.

- Co mogę dla ciebie zrobić, synu? - wydusił.

- Muszę... Muszę dokończyć misję... Choć czasem mam wątpliwości.

- Wszyscy mamy wątpliwości. Jaka jest twoja misja? ~ Pochodzi od Boga.

Szukanie świętych. I wysyłanie ich do nieba. Nie, to niemożliwe.

James usiadł w fotelu. Czyżby naprawdę rozmawiał z seryjnym mor-"srcą? Zabójcą, którego szuka Bentz?

- To nie zależy od ciebie, kto powinien być błogosławiony lub kanonizowany - stwierdził ostrożnie.

- Bóg wybrał mnie, abym je znajdował i Mu ofiarowywał. Ojciec James poczuł zimny dreszcz.

- Źle zrozumiałeś jego słowa. Odbieranie życia jest grzechem. Pamiętaj, jedno z przykazań mówi: „Nie zabijaj”. Bóg nie każe ci grzeszyć.

- On do mnie mówi, ojczu. Mówi mi, kogo mam wybrać. To jego wola. A ta spowiedź dotyczy tylko mnie i ciebie, ojczu. Jaka jest moja pokuta?

James myślał gorączkowo.

- Mój synu, masz odmówić różaniec i zgłosić się na policję. Zapadła cisza.

James myślałby, że mężczyzna odłożył słuchawkę, gdyby nie słyszał cichej chóralnej muzyki. Nie, to kolęda, instrumentalna wersja *Cichej nocy*. Coś ścisnęło go w żołądku.

- Różaniec - powtórzył w końcu penitent. - Mam odmówić różaniec?

- Tak i więcej nie zabijaj. Zgłoś się na policję.

- Żeby mnie wsadzili do więzienia za wypełnianie woli bożej? Żebyś nie musiał dźwigać ciężaru mojej spowiedzi? - W głosie nieznanego zabrzmiał gniew.

- Żebyś więcej nie grzeszył. To jest twoja pokuta. Musisz... Klik. Odłożył słuchawkę. James zamknął oczy i zakrył twarz dłońmi. Nie udało mu się. Morderca znów będzie zabijał. W imię Boga. A James nie może nic zrobić.

Kiedy Bentz przyjechał do pracy w piątek rano, Montoyajuż na niego czekał. Wyraz jego twarzy wyraźnie mówił, że nie ma dobrych wiadomości. Wyglądał bardzo źle. Mimo że, jak zwykle, miał na sobie czarną skórzaną kurtkę i czarne dżinsy, straszyl potarganymi włosami i rozwichrzoną bródką oraz absolutnym brakiem uśmiechu.

- Wszystko w porządku?

-Tak.

-Ale...

- Powiedziałem, że w porządku.

Błysk ciemnych oczu wskazywał, że tylko czeka na najmniejszą pr⁰wokację. Bentz odwiesił płaszcz. Montoya oparł się o szafkę.

- W poniedziałek wieczorem zgłoszono zaginięcie trzech kobiet. Je⁰ na wróciła później do domu. Okazało się, że miała dość rodziny i chcia odpocząć od męża i nastoletnich synów. O drugiej nadal nic nie wiado-

mo, a trzecia, Leslie Franz, jest prawdopodobnie ofiarą, która zginęła na kole. Jest bezdzietną mężatką, przedszkolanką. Jej mąż jest profesorem na uniwersytecie Loyola.

- A ona też tam studiowała?

- Zgadłeś.

Bentz zazgrzytał zębami i pomyślał o Kristi.

- Potwierdzono już jej tożsamość?

- To kwestia czasu. - Montoya wskazał na komputer Bentza. - Przeskanowałem zdjęcia tych kobiet. Leslie Franz ma dwa tatuaże, na kostce prawej nogi i na lewym ramieniu.

-Tak?

- Tak. Delfin i krzyżyk.

Bentz usiadł za biurkiem i kliknął ikonkę na ekranie komputera. Montoya tymczasem, z rękami w kieszeniach, podszedł do okna i wyjrzał na ponury świat na zewnątrz. Szare chmury wisiały nad domami, deszcz bębnił o szyby.

Bentz znalazł plik i wyświetlił zdjęcie, z którego uśmiechała się święta Katarzyna z Aleksandrii. Trzymała się relingu na jachcie, jasne włosy miała związane w koński ogon, a jej uśmiech był tak jasny, jak słońce na błękitnej wodzie. Bentza ścisnęło coś za serce. Kobieta ze zdjęcia była ofiarą mordercy. Chyba że miała siostrę bliźniaczkę.

- I znowu wszyscy jej znajomi mają stuprocentowe alibi, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Jej mąż Bertrand jest od niej starszy, ma koło pięćdziesiątki. Leslie to jego druga żona. Pierwsza jest profesorem w Ali Saints.

Bentz zeszywniał. Cholera!

- Tam poznał drugą żonę. Leslie Jones była jego studentką. Wybuchł wielki skandal. Rozwiódł się z pierwszą żoną, ożenił z drugą i przeniósł na wydział psychologii w Tulane.

- Do doktora Leedsa.

Bentzowi bardzo się to nie podobało. Dlatego, że tam studiuje Kristi, dlatego, że tam uczęszczał na zajęcia Różańcowy Zabójca i dlatego, że "czelnia nosi imię Ali Saints - Wszystkich Świętych. Zbieg okoliczności? Niemożliwe. Sięgnął do górnej szuflady biurka i wyjął zaczętą paczkę tabletek przeciw zgadze.

- Stary Bert, kiedy żenił się z Leslie, miał czterdzieści osiem lat, ^a ona dwadzieścia cztery. Bardzo nieładnie.

Bentz wziął dwie tabletki i popił łykiem wczorajszej kawy. ~ Musimy sprawdzić byłą żonę, choć nie sędzę, żeby miała z tym coś Wspólnego.

- Już się do tego zabrałem. Nazywa się Nanchoise i ma pełno różnych dyplomów i nagród. Raczej mało prawdopodobna podejrzana.

- Pamiętasz faceta, który napisał *Dietę Scarsdale*⁹ Zastrzeliła go porzucona kochanka, która była dyrektorką elitarniej szkoły. Takie rzeczy się zdarzają. Jak mówi to stare powiedzenie? „Wzgardzona kobieta jest gorsza od diabła”.

- Coś w tym rodzaju. - Montoya podrapał się po brodzie i nadal wpatrywał się w widok za oknem. Przez lekko uchylone drzwi wpadały hałasy z drugiego pokoju. Dzwonił telefon, rozmawiali ludzie. Czasem ktoś krzyknął.

- Co cię gryzie? - spytał Bentz. - Kiepski indyk? Świąteczna depresja? Co? Montoya zacisnął zęby.

- Kobieta.

- Co? Nie wierzę, Diego.

- Uwierz mi - powiedział ponuro Montoya. Zmrużył oczy, a na jego skroni pulsowała żyłka. - Ta druga kobieta, o której mówiłem. Która się wciąż nie odnalazła, pamiętasz?

-Tak...

- To moja dziewczyna Marta Vasquez. Ja zgłosiłem zaginięcie. W poniedziałek wieczorem pokłóciliśmy się u mnie. Nigdy nie dojechała do domu. Odjechała spod mojego domu i nikt więcej nie widział ani jej, ani jej samochodu. - Obejrzał się. Jego ciemne oczy straciły blask. - Byłem ostatnią osobą, która ją widziała i nie mam pojęcia, co się z nią stało. A najgorsze jest to, że chodziła na zajęcia do Loyoli.

Bentz spojrział znad biurka i gestem zaprosił Olivię do środka. Na jego twarzy nie pojawił się nawet cień uśmiechu i słaba nadzieja, że ucieszy się na jej widok, opuściła Olivię.

- Cześć - powiedziała. Zadzwoił telefon. Skinął jej głową i podniósł słuchawkę.

- Bentz. - Przybrał jeszcze bardziej ponury wyraz twarzy i uniósł palec, wskazując, że to chwilę potrwa, po czym zakreślił się na krześle i odwrócił do niej plecami, naciągając sznur od telefonu.

-Nie... Jeszcze nie... Czekamy na wyniki sekcji... - mówił szybko. - Tak, mamy nadzieję, ale, jak na razie, nic z tego... Po uszy w tym gównie... Zobaczą, co da się zrobić...

Pokój wyglądał tak samo, jak za pierwszym razem, kiedy tu przy' szła. Czyżby to było zaledwie tydzień temu? Tyle się wydarzyło. Na biur

ku nadal leżały papiery, poczta, akta, notatki, zdjęcia córki. Przez uchylone lekko okno chłodny listopadowy wiatr niósł hałas z ulicy.

- Zadzwoń, jak tylko będę coś wiedział... Tak, masz rację... Ty też.

Odwrócił się i odłożył słuchawkę.

- Jak się masz? - spytał bezbarwnym głosem.

W jego stalowych oczach nie znalazła śladu ciepła.

- Dobrze.

- Udane święta?

- Tak, miałam gości. A u ciebie?

- Tylko Kristi i ja. Wszystko dobrze. Co mogę dla ciebie zrobić? To tyle, jeśli chodzi o wymianę uprzejmości.

- Pomyślałam, że się z tobą czymś podzielę. - Wyjęła z torebki kartkę, którą dostała od Jamesa. - Poprosiłam znajomego księdza o przysługę. Bentz uniósł brew.

- Nie wiedziałem, że znasz jakichś księży. Ostatnio słyszałem, że pojawiają się w twoich koszmarach.

- Jeden ksiądz - uściśliła i podała mu listę imion. - W każdym razie ojciec McClaren zrobił to dla mnie...

- Ojciec McClaren? - Bentz zmrużył oczy. - Ojciec James McClaren z kościoła świętego Łukasza?

- Tak. Znasz go? - spytała zaskoczona.

- Kristi i ja chodzimy tam czasem na mszę.

- Nigdy nie wspominałeś...

- Raczej rzadko. Skąd go znasz?

- Po pożarze szukałam jakichś informacji. Kościół świętego Łukasza jest najbliżej mojego domu...

- I co wymyślił ojciec McClaren? - spytał Bentz, a w jego głosie wyczuwało się napięcie. To ją wkurzyło. Poszli do łóżka i nie był w stanie przejść nad tym do porządku dziennego? Przynajmniej mógł się przyzwoicie zachowywać.

- To jest lista chrztów - wyjaśniła. - Z okresu trzech miesięcy od urodzenia mojego brata. Byłeś przekonany, że musi być w to zamieszany Jakiś krewny, pomyślałam więc, że można to sprawdzić.

- Owszem. - Spojrzał na kartkę. Sześćdziesiąt trzy nazwiska. - Któ-'YŚ z nich został księdzem?

-Nie wiem. Nie pytałam.

- Czy on wie, że szukasz księdza, który może być mordercą?

- Nic nie wie o morderstwach. Pytałam go tylko o brata. I trochę ^zmawialiśmy. Dał mi parę rad. Bentz uniósł brwi.

-Na przykład jak sobie radzić z policjantem twardzielem, który zamyka się emocjonalnie za każdym razem, kiedy ktoś chce się do niego zbliżyć.

Na ustach Bentza pojawił się cień uśmiechu.

-I co ci poradził ojciec McClaren?

- Żebym kazała mu iść do diabła.

- To dokładny cytat?

-Nie, moja interpretacja - warknęła.

- Może wie, o czym mówi. - Bentz pochylił się nad biurkiem. Opierając się łokciami o otwarty segregator z aktami, spojrzał jej w oczy. -Przykro mi, Olivio.

- Akurat.

- Naprawdę. - Na sekundę opadła maska i ujrzała człowieka, a nie zimnego policjanta twardziela. - Ale jednak najlepiej byłoby...

- Tak, tak, wiem, zrozumiałam, już mi to tłumaczyłeś - powiedziała, wstając. - Dam ci znać, jak będę miała jakieś widzenie.

- Byłoby dobrze.

- Nie, Bentz, to byłoby straszne. - Poprawiła na ramieniu pasek torebki. - Jak najszybciej znajdź tego faceta. Wtedy nie będziesz mi musiał wyjaśniać, dlaczego nie możemy się widywać.

Doszła do drzwi, ale Bentz w sekundę zerwał się z krzesła i zastąpił jej drogę. Nacisnęła na klamkę, ale on z hukiem zatrzaskał jej drzwi przed nosem i przytrzymał je. Stał tak blisko, że czuła zapach jego płynu po goleniu.

-Nie używaj wobec mnie tych waszych kobiecych sztuczek - wycedził. - Tamtej nocy popełniliśmy błąd i tyle. Nie zamierzałem posunąć się tak daleko, a ty nie zamierzałaś się tak angażować. Przypadek.

- Dla mnie nie.

- Tamtej nocy tak.

Nie protestowała. Nie mogła.

- Z tego powodu jest mi przykro. Ale my nie możemy sobie na nic takiego pozwolić. Musimy współpracować. Myślałem, że ci to jasno wytłumaczyłem.

- Ależ tak. Wszystko jest jasne jak słońce.

- Dasz sobie z tym radę?

- Bez problemu. - Oboje wiedzieli, że kłamie. Opuścił rękę i OliYi^ otworzyła drzwi, dodając: - Zadzwoń, jak będziesz potrzebował kogoś ze zdolnościami parapsychicznymi. Gdy patrzę w twoją przyszłość, widzę tylko cholerną samotność.

Psy znów wyły. Przywiązane łańcuchami, w kagańcach, głodne, hałasowały tak, że mogłyby obudzić umarłego. Wybraniec nakazywał sobie spokój, gdyż nikt oprócz niego nie mógł usłyszeć psów. Dzień imienin świętej Vivian zbliżał się i psy dostaną to, co im się należy.

Kupił je od jakiegoś wsioka, który mieszkał w starej zardzewiałej przyczepie, splotał przezutym tytoniem i przechwalał się, że łamie prawo, bo handluje krokodylami, pędzi bimber i sprzedaje kundle i koguty do walk każdemu, kto płaci żywą gotówką.

Transakcja odbyła się prawie w ciemności, jedyne oświetlenie pochodziło z reflektorów zniszczonej półciężarówki i suwa. Żaden z samochodów nie miał tablicy rejestracyjnej. Wybraniec odkręcił tablicę z kradzionego forda, nim tu przyjechał. Właściciel psów przypuszczalnie w ogóle nie przejmował się takimi drobiazgami. Obaj mężczyźni czuli się lepiej, nie widząc swoich twarzy, a po wymianie gotówki na „psa i najzłośliwszą sukę w tej części Arkansas” Wybraniec przywiózł psy tutaj i pojechał z powrotem pod uniwersytet, gdzie zaparkował forda niedaleko miejsca, skąd go ukradł, przykręcił tablice i pobiegł do swojego samochodu. I przyjechał do sanktuarium.

Był z siebie dumny. Ze swojej pomysłowości. Znalazł psy, czytając ogłoszenia w miejscowej gazecie, pełnej anonsów o tanich rzeczach na sprzedaż - od używanych materacy i sprężyn do narzędzi rolniczych i egzotycznych zwierząt. Psy opisano jako „psy obronne - mieszankę dobermana i rottweilera”. Doskonałe.

Pomijając nieustanne wycie w piwnicy. Wprawdzie tu nie mieszkał, ale spędzał dużo czasu. Zajmował ciasne mieszkanie niedaleko uniwersytetu. Tam trzymał książki, meble i ubrania. Zostawił także kilka rzeczy, które świadczyłyby o tym, że przyjmuje kobiety i to było najbardziej podniecające, gdyż były to kolczyki, wisioriki czy nawet apaszki tych, które uczynił nieśmiertelnymi.

Teraz rozwiązał pas i alba opadła na ziemię. Stał nagi przed ołtarzem, ale nie mógł się skoncentrować, bo psy za głośno ujadły. Nie pomogła muzyka ani nawet pieszczota pejcza biczującego ciało. Jego modlitwy zdawały się puste i pozostawały bez odpowiedzi, a kiedy głaskał palcami warkocz i powoli ocierał go o członek, wyczuwał ledwo ślad podniecenia. Zamykając oczy, wyobraził sobie świętą Katarzynę z Alek-^ndrii obracającą się na kole, krew kapiącą z jej białego ciała, przerażenie w oczach na widok wyciągniętego miecza... Nie, nie miał erekcji, nie ^uł obecności Boga, wróciły wątpliwości.

Szczekanie nie ustawało. Kiedy jedno zwierzę się uspokajało, drugie zaczynało koncert. Podeszedł do podestu i krzyknął:

- Cisza!

Te mieszańce były nasieniem szatana. Ból głowy pulsował z każdym skowytym.

Może znów powinien je zbić? Wychłostać skórzanym biczem, aż będą gotowe rzucić się na niego. Dostawały wodę i kości z resztkami mięsa, ale żadnego solidnego pożywienia. Chciał, żeby były gotowe dla świętej Vivian.

Wraz z bólem głowy czuł niewyraźną potrzebę pokuty. Czasami miał w głowie chaos. Bóg chciał, aby wypełnił jego wolę. Tak, oczywiście, ale... Ten ksiądz nalegał, żeby skończył z zabijaniem, mówił, że to, co robi, jest grzechem. Jednak ksiądz go nie rozumiał. Nie mógł zrozumieć.

„Odmów różaniec i zgłoś się na policję”.

Jakim księdzem jest ojciec James?

Przy ołtarzu Wybraniec upadł na kolana i pochylił głowę. Modlił się aż do bólu kolan, do bólu karku. Bezskutecznie. Musi się wypowiedzieć, choć telefon mu nie wystarcza. Nie, musi pójść do konfesjonału i usłyszeć oddech ojca Jamesa, poczuć przez cienką ściankę ciepło jego ciała... Tak, to było niebezpieczne, lecz konieczne.

Bóg tego oczekuje.

Rozdział 52

Bar w Lafayette, jeden w Baton Rouge, dwa w Nowym Orleanie i jeden w Cambrai - wymieniał właściciel firmy Niek's Neon Lighting. Bentz, siedząc za biurkiem, ze słuchawką między ramieniem a uchem, robił notatki. - Tylko w tych miejscach widziałem taki neon, jaki pan opisał, różowy kieliszek martini. Chętnie przefaksuję panu te informacje.

- Bardzo proszę.

Bentz podał mu numer i z irytacją przeczesał włosy palcami. Ta sprawa coraz bardziej dawała mu w kość. Sprawdzał każdy najmniejszy ślad i miał do pomocy mnóstwo ludzi, ale nadal czuł, że stoi w miejscu.

Teraz w dodatku okazało się, że jeden neonowy kieliszek martini ozdabia bar w Baton Rouge, tylko parę przecznic od miejsca, gdzie studiuje Kristi. Ali Saints. Mimo że ten sam neon występował także w innych barach, Bentz skoncentrował się na tym jednym. Nie podobało mu się to. Ani trochę.

^ . •

Kiedy dostał faks, przekazał go swoim ludziom, tak jak wcześniej podał im listę nazwisk od Olivii. Ekipa sortowała je, porównując nazwi



ska z danymi dotyczącymi urodzin, numerów ubezpieczenia, danych z wydziału ruchu i informacji na temat problemów z prawem. Szukali uczniów, studentów, absolwentów, pracowników uczelni. FBI porównywało morderstwa z innymi, jakie mieli w bazie danych, szukając podobieństw w całym kraju, na wypadek, gdyby morderca działał już wcześniej w innym stanie.

Założono gorącą linię telefoniczną i przekazano więcej faktów prasie, aby można było łatwiej wyłapywać jakieś podejrzone działania.

W ciągu tygodnia przebadano wszelkie dowody, ale żaden nie prowadził do mordercy i Bentz miał wrażenie, że zaczyna brakować mu czasu. Nadchodziły kolejne dni świątecznych i każdy z nich zapowiadał morderstwo.

Rozpiął kołnierzyk i po raz kolejny przeczytał listę, którą dostał od Olivii, czując, że wśród tych ponad sześćdziesięciu nazwisk musi być nazwisko mordercy.

- Kim jesteś, draniu? - spytał na głos.

Czy któreś z tych dzieci zostało księdzem? Czy któreś z nich ukończyło szkołę w sąsiedztwie? Ile z nich mieszka teraz w okolicy Nowego Orleanu? Komputery miały to wszystko zbadać i porównać.

Zapukała sekretarka, przyniosła faks i pocztę, już otwarte. Nic ważnego. Rzucił okiem na faks z Nick's Neon Lighting i przesłał do koordynatora ekipy śledczej. Żaden bar nie znajdował się w pobliżu miejsca zamieszkania ofiar ani miejsca ich pracy, ani nawet miejsca, gdzie były ostatni raz widziane.

Poza barem Dive w Baton Rouge. Tylko trzy przecznice od miasteczka uniwersyteckiego Ali Saints. Cholera, nie mógł się pozbyć złego przeczucia. Spojrzał na zdjęcia Kristi, potem przypomniał sobie, jak leżała pod kołdrą w świąteczny poranek. Później zastał ją na ćwiczeniach z workiem. Przy obiedzie dzielnie udawała, że jego wysiłki nie poszły na nianie.

Uśmiechnął się. Kristi jest w porządku. Przesadza z tymi paranoicznymi myślami. Nie wyobrażał sobie, że mógłby ją stracić. Darłby pasy z każdego, kto powiedziałby, że nie jest jego córką. Była jedynym stałym punktem w życiu Bentza. To dla niej przestał pić i spotykać się z kobietami.

Wiedział, że powinien dać jej wolność i przez cały czas się starał. Nieustannie go odpychała, radząc, aby zajął się własnym życiem. Rozej- "zał się po małym zagraconym pokoju, w którym spędzał więcej godzin, "z chciałby się do tego przyznać.

Segregatory i puste kubki po kawie zaśmiewały biurko. Zdjęcia z miejsc zbrodni wisiały na tablicy. Na paru °brazkach, jakie powiesił na ścianie, zbierał się kurz. To nie jest życie.

Kiedy wracał do domu, niewiele się zmieniło. Tyle że oglądał programy sportowe i czasami walił w worek.

Rzucił ołówek na biurko i zamknął oczy. Miała rację. Potrzebuje czegoś więcej.

Czegoś czy kogoś takiego jak Olivia Benchet?

- Cholera! - Nie ma czasu dla kobiet. Zwłaszcza nie dla takiej, która zaprzyjaźniła się z ojcem Jamesem.

Właściwie dlaczego nie? Hej, Bentz, przyszła do ciebie z gałązką oliwną, a ty potraktowałeś ją jak śmiecia.

Zacisnął szczęki aż do bólu. W tej chwili nie chciał myśleć o żadnym związku, nawet o związku z Olivia. Kiedy się to wszystko skończy, kiedy szaleniec znajdzie się za kratami, może przyjdzie czas na kobietę w jego życiu.

Tak jak w życiu Montoi? Bentz skrzywił się. Przyjaciółka Montoi nadal się nie odnalazła. Znikła bez śladu. Rozesłanie listu gończego nie dało rezultatów. Nikt nie widział jej ani jej samochodu. I także studiowała zaocznie.

Musi istnieć jakiś związek... Coś chodziło mu po głowie, coś ważnego... Sięgnął do szuflady, znalazł paczkę gumy nikotynowej i wsunął kawałek do ust. Uniwersytety, to wszystko łączy się ze studentkami...

Wziął do ręki kartkę z informacjami na temat Briana Thomasa. W ciągu dwudziestu czterech godzin dowiedział się, że Thomas ma trzydzieści jeden lat, nie utrzymuje kontaktu z rodzicami, we wczesnej młodości dziewczyna oskarżyła go o gwałt, służył w wojsku oraz spędził jakiś czas w seminarium.

W tej informacji było za dużo znaków ostrzegawczych. W widzeniu Olivii to ksiądz obciął głowę Stephanie Jane Keller, mężczyzna mniej więcej tego samego wzrostu i wagi co Thomas, wysportowany, z niebieskimi oczami. Z wojska Thomas wyniósł umiejętność posługiwania się różnego rodzaju bronią, a później zamierzał zostać księdzem. Zrezygnował z seminarium i w końcu wylądował na uczelni pod wezwaniem Wszystkich Świętych, a ofiary ginęły na wzór świętych męczennic.

A jeśli to on jest mordercą? Dlaczego spotyka się z Kristi? Czy tak poznaje swoje ofiary? Podrywając je i proponując spotkanie? Wydawało się to mało prawdopodobne i niebezpieczne. Zabójca wiele by ryzykował, gdyby widywano go z późniejszymi ofiarami. Do tej pory nikt nie wskazał na mężczyznę, który mógłby być znajomym zamordowanych kobiet.

O ile ci wiadomo. Może jest mądrzejszy. Może spotykał się z tynii kobietami w przeszłości?

Dla Bentza za dużo było w tym wszystkim zbiegów okoliczności. Przyszła pora na rozmowę z chłopakiem Kristi. Bez wiedzy córki, oczywiście.

Jeśli się dowie, będzie na niego wściekła. Trudno. Przynajmniej nie zostanie zamordowana.

- No i tak. Muszę się z tym pogodzić. Leo chce rozwodu i niewiele mogę na to poradzić oprócz znalezienia najlepszego adwokata w Tuc-son... pardon, w Phoenix - powiedziała Sara.

Wróciła o piątej rano, spała do drugiej, a później tłukła się po łazience przez dziesięć minut i zjawiła się w kuchni ze spakowanymi torbami. Miała zapuchnięte oczy i wyglądała, jakby nie zmrzyła oka, ale nie płakała. Była spokojna i opanowana.

- Chce się z tą suką ożenić, wyobrażasz sobie? Jest - zaznaczyła w powietrzu cudzysłów - zakochany. Wcale tego nie chciał, tak jakoś samo wyszło.

Wzięła filiżankę kawy, którą podała jej Olivia.

- Co za syf. Jak sobie przypomnę te wszystkie lata, kiedy udawałam, że nie zwracam uwagi na jego wyczyny, wierzyłam w jego kłamstwa, sądziłam, że w końcu wydorosleje... Boże, ależ ze mnie idiotka!

- Byłaś jego żoną. Przestań się katować.

- A najlepsze jest to, tylko posłuchaj. On i ta dziwka już planują ślub. Jak tylko rozwód się uprawomocni. Leo rezygnuje z pracy w Tucson, zresztą przypuszczalnie już go z niej wyrzucili, i przeprowadzi się do niej. Oni... - Sarze zadrgała broda. Schowała nos w filiżankę i napiła się kawy. - Mówią o dziecku. Jej dzieciaki mają sześć i osiem lat. Dziewczynki. Chcieliby mieć syna.

-Na litość boską, Saro... Sara podniosła dłoń.

- Do tego wszystkiego ona ma męża, który dowiedział się o wszystkim dopiero w zeszły weekend i jest w szoku. Nie miał pojęcia, że go oszukiwała.

- Są siebie warci.

- Wiem... - Odstawiła niedopitą kawę na blat. - Posłuchaj, muszę wracać do domu, szukać adwokata, zająć się sklepem, znaleźć sobie kota. ¹ chyba zapiszę się na te randki internetowe.

- Jesteś pewna? Kot? Randki internetowe?

-Nie jestem pewna niczego oprócz tego, że mam już dość siedzenia ¹ °płakiwania mojego męża nieudacznika. Kot będzie lepszym towarzyszem. Zamierzam też spotykać się z mężczyznami. Gdzieś musi istnieć Jakiś przyzwoity facet. - Broda znów jej zadrzała, a oczy wypełniły się

łzami. - Cholera, dlaczego w ogóle się przejmuję? Leo to wstrętny cham. Zawsze taki był.

- A ty wygrywasz. Nie zapominaj o tym. I dzwoń do mnie, dobrze? Na pewno musisz wyjechać? - spytała Olivia, dotykając ramienia przyjaciółki. - Masz tu pokój, pamiętaj o tym.

- Dzięki, ale muszę sobie jakoś zorganizować życie. A ty... Dojdź do ładu. Z gliniarzem albo z ojcem Jamesem.

-Co? Nie jestem...

- Ciii. - Sara pokręciła głową i podniosła rękę. - Nie kłam. Wiem, że czujesz coś do tego policjanta, ale widziałam, jak ojciec James na ciebie patrzy.

- Zapomniałaś, że jest księdzem?

- Jest mężczyzną, który jest także księdzem. I w dodatku bardzo przystojnym.

- Chyba zwariowałaś.

Przyjaciółka uśmiechnęła się smutno.

- Być może - przyznała. - Zapewne powinnam zweryfikować swoje wcześniejsze cele. Najpierw adwokat, potem sklep, kot, agencja matrymonialna i wizyta u psychiatry. Tak lepiej?

- Tak. - Oliwię zasmucił wyjazd Sary. Przyjemnie było znów dzielić z kimś dom. Uściskały się i westchnęły, po czym Olivia pomogła Sarze zapakować rzeczy do bagażnika wynajętego samochodu. Z drzewa przypatrywała im się gniewnie wiewiórka. Hairy S zajazgotał, gdy mały samochód zniknął za mostem wśród drzew.

- Ona wróci - stwierdziła Olivia, rzucając okiem na psa. - A ty uważaj. Sara specjalnie za tobą nie przepada. Chodź. - Zagwizdała, a pies gnał za wiewiórką. - Hairy, wracaj!

Zadzwoił telefon.

- Hairy, chodź tu!

Pies ją zignorował. Telefon zadzwonił powtórnie.

- Dobra! - Zostawiła otwarte drzwi i wpadła do kuchni, kiedy włączyła się już sekretarka. - Tu Olivia. Albo mnie nie ma, albo... - Złapała słuchawkę. - Halo?

- Cześć, mówi James. - Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie jego męską, przystojną, trochę zmartwioną twarz. - Cieszę się, że panią złapałem.. . Głupio się przyznać, ale wydaje mi się, że zostawiłem u pani portfel. Może wypadł, kiedy szukałem czegoś w skrzynce z narzędziami, albo gdy siedziałem na kanapie... Nie pamiętam.

- Zaraz sprawdzę. Chwileczkę. - Olivia szybko zajrzała do skrzynki z narzędziami, w której nie było nic oprócz śrubokrętów, obcęgow i młot

ków dziadka. Na kanapie leżało kilka monet, kłaczki kurzu i parę ziaren prażonej kukurydzy. Kiedy jednak zajrzała pod przykrycie na legowisku psa, w części werandy przerobionej na pralnię, znalazła cienki portfel z czarnej skóry. Z prawa jazdy spojrzała na nią twarz ojca Jamesa McClarena.

- Mam - powiedziała, kiedy wróciła do kuchni i wzięła słuchawkę. -Mój pies to złodziej. Znalazłam portfel na jego posłaniu. Mogłabym przynieść go jutro. I tak muszę pojechać do miasta.

- Obawiam się, że będzie mi potrzebny wcześniej, gdyby więc to pani nie przeszkadzało, przyjechałbym po niego po wieczornej mszy.

- Dobrze. - Olivia oparła się o ladę. Za tylnymi drzwiami pojawił się Hairy S. - Chciałam zaoszczędzić księdzu jazdy. - Przekreśliła klucz i uchyliła drzwi. Hairy S pędem wbiegł do środka.

- Do zobaczenia. Mniej więcej o wpół do dziewiątej, może być?

-Tak.

- Jak się czuje Sara?

- Właśnie wyjechała. - Olivia westchnęła. - To długa historia. Opowiem księdzu później.

- Do widzenia.

Olivia odłożyła słuchawkę i położyła portfel na ladzie, skąd pies nie mógł go ściągnąć.

- Wstydz się - powiedziała, zamykając drzwi. - Okradać księdza!

To gorzej, niż go pożądać.

Nakarmiła psa i papugę, po czym, mówiąc sobie, że wrażenia Sary na temat ojca Jamesa nic jej nie obchodzą, przebrała się w czarne spodnie i sweter, poprawiła makijaż, bez większych efektów spróbowała ujarzmić włosy i spryskała się perfumami.

Skarciła się w duchu. Zachowuje się, jakby się szykowała na randkę. Włączyła telewizor. Na ekranie pojawiła się dziennikarka, Afroamerykanka, na tle starego zrujnowanego budynku, otoczonego krzakami i drzewami. Samochody policyjne stały bezładnie wokół jakiegoś magazynu i Olivia po chwili zorientowała się, że to stary młyn, w którym popełniono ostatnie morderstwo.

Głośno przełknęła ślinę. To w tej rozpadającej się ruinie zmarły ostatnie ofiary.

- Jak państwo widzą, policja nadal tu jest i szuka śladów. Zeszłej nocy znaleziono ciała dwóch kobiet...

Olivia, jak zahipnotyzowana, opadła na kanapę. Przez kilka dni nie oglądała wiadomości, nie chcąc myśleć o morderstwach, teraz jednak, widząc stary młyn i wiedząc, co się stało, słuchała jak porażona, gdy reporterka ostrzegała mieszkańców przed brutalnym seryjnym mordercą.

- Mimo że policja nie podała szczegółów, ostrzega się obywateli...

Na ekranie pojawiły się inne obrazy. Fotografie ofiar i taśmy z archiwum, pokazujące dom w Garden District, gdzie znaleziono nagie ciało Cathy Adams, pomnik Joanny d'Arc i spalony dom w Bayou St. John, gdzie zginęła Stephanie Jane Keller.

- I teraz, tutaj, dwie kobiety. Anonimowe źródło mówi o makabrycznym, brutalnym, rytualnym morderstwie przypominającym Różańcowego Zabójcę, który grasował w Nowym Orleanie zeszłego lata.

Na ekranie pojawił się Bentz rozmawiający z dziennikarzami. Spocony, odpowiadał na pytania i zapewniał widzów, że Różańcowy Zabójca nie żyje.

- Ale czy nie jest prawdą, że nigdy nie odnaleziono jego ciała? - dopytywał się reporter.

Na ekranie pojawiło się studio telewizyjne z dwójką prezenterów. Mężczyzna spojrzał poważnie w kamerę.

- A teraz, zaledwie pół roku później, ulice Nowego Orleanu znów przemierza seryjny morderca. Czy wrócił Różańcowy Zabójca? Czy to nowe zagrożenie? Dalsze informacje i inne wiadomości o...

Olivia wyłączyła telewizor. Widok Bentza tylko ją rozzłościł. Owszem, rozumiała jego zasady, ale w końcu przecież nie oczekiwała, że zaproponuje jej małżeństwo. I tak by nie przyjęła takiej propozycji. Unikała związków, które mogłyby prowadzić do małżeństwa. Odkąd dowiedziała się, że narzeczony zdradził ją z najlepszą przyjaciółką, doszła do wniosku, że małżeństwo jej nie interesuje, przynajmniej w przewidywalnej przyszłości, a zegar biologiczny może na razie przestać tykać.

I dlatego wybierasz niewłaściwych mężczyzn?

- Nie - powiedziała głośno. Hairy S warknął.

Przestała myśleć o Bentzu i przez następne dwie godziny przygotowywała się do zajęć na uczelni. Zeszła na dół, kiedy zobaczyła przed domem światła samochodu. Otworzyła drzwi, nim ojciec McCiaren zdążył zastukać.

- Czekałam na księdza - wyjaśniła. Tym razem oprócz czarnych spodni, czarnej koszuli i skórzanej kurtki, ksiądz miał na sobie także koloratkę.

- I jest pani jasnowidzem. Tak jak babka. Sama pani o tym mówiła.

- Czy mówiłam też, że to okropnie męczące? Proszę wejść. - Poszła przodem do kuchni, gdzie wręczyła mu portfel i, rzucając okiem na psa,

dodała: - Wydaje mi się, że nie zdążył uszkodzić kart kredytowych, ale może użył ich w Intemecie. Niech mnie ksiądz powiadomi, jeśli dostanie rachunek za obrozę przeciw pchłom i ciasteczka dla psów, a ja już załatwię, żeby zwrócił księdzu pieniądze. James się uśmiechnął.

- Będę bardzo uważnie czytał wszystkie wyciągi.

- Czy mogę czymś jeszcze księdzu służyć? Zawahał się i przez sekundę myślała, że powie coś nieoczekiwanego... a może ryzykownego...

- Nie, dziękuję.

- Może ksiądz napije się wina? - spytała. Chciała, żeby został jeszcze chwilę.

W niebieskich oczach znów pojawiło się wahanie.

- Chętnie. Jeden kieliszek. - Rozejrzał się. - Mówiła pani, że Sara wyjechała. Na dziś wieczór?

- Nie, wróciła do Tucson. - Olivia otworzyła lodówkę. - Leo zażądał rozvodu. Ma już na podorędziu kandydatkę na drugą żonę.

Podawała ojcu Jamesowi butelkę i korkociąg, wyjęła kawałek sera i paczkę przeterminowanych krakersów.

- Jak to przyjęła? - zapytał, nalewając wina do dwóch kieliszków.

- Lepiej niż się spodziewałam. Może dlatego, że wcześniej rozmawiała z księdzem.

- Wątpię. - Podał kieliszek Olivii i dotknął go brzegiem swojego. -Na zdrowie.

- Za nowych przyjaciół.

-I za szczęście.

- Czy mogłabym namówić księdza, żeby rozpałił w kominku? Świetnie to ksiądz zrobił w Święto Dziękczynienia.

- Pochlebstwami daleko pani zajędzie. Zobaczą, co da się zrobić. Razem zanieśli kawałki suchego dębowego drewna do pokoju. Olivia przygotowała stare gazety, a ojciec James ułożył szczapki, podpałkę i papier, po czym zapalił zapałkę.

- Doskonale - pochwaliła, gdy głodne płomienie rozpelzły się po suchym drewnie.

- Zobaczmy, trzeba chwilę zaczekać... Czasami szybko się rozpała, ^a potem gaśnie. Trzeba być ostrożnym. I cierpliwym.

-Naprawdę?

- Mhm. - Spojrzał na nią kątem oka. Nie była pewna, czy nadal "łowi" o ogniu.

- Tak należy postępować ze wszystkim, prawda?

- Ze wszystkimi dobrymi rzeczami.

Popijali chardonnay, rozmawiali o drobiazgach, ojciec James rozluźnił się i nawet przyjął drugi kieliszek wina.

- Mógłby ksiądz jeszcze coś dla mnie zrobić? — zapytała nieśmiało.

Uniósł brwi.

Serce w niej zamarło.

Wielki Boże, co jej chodzi po głowie? Dlaczego z nim flirtuje?

- Co takiego? - spytał i na jego ustach pojawił się zuchwały uśmiech, zupełnie niepasujący do koloratki.

-Nic. takiego, przez co mógłby ksiądz wpaść w kłopoty.

- Szkoda.

- Czy pomógłby mi ksiądz zawiesić świąteczne światełka nad kominkiem?

-A ja myślałem, że mnie pani karmi i poi zupełnie bezinteresownie.

Jedynie ze względu na moje towarzystwo.

- Nie ma tak dobrze.

Odstawiła kieliszek i ze schowka pod schodami delikatnie wyjęła karton ze starymi ozdobami, odkładając na bok strzelbę babki.

- Czy to trochę nie za wcześnie? - zapytał, pomagając jej zanieść do pokoju dwa pudełka ze światełkami.

- Po Świącie Dziękczynienia już nie jest za wcześnie - stwierdziła i żeby poprzeć swój punkt widzenia, włączyła radio. W WSLJ już w tydzień po święcie nadawali co godzinę jedną bożonarodzeniową piosenkę. Po dziesięciu minutach, nim skończyli zawieszać lampki, w radiu rozległa się instrumentalna jazzowa wersja *Niech pada śnieg*.

- Nie mówiłam?

Zgasiła lampę na stole i pokój, oświetlony jedynie lampkami i ogniem z kominka, stał się ciemny i przytulny.

- To nie jest kolęda.

- Ale utwór bożonarodzeniowy. W lipcu tego nie puszczają. Roześmiał się.

- Święta są wtedy, kiedy słyszę *Białe Boże Narodzenie*.

-Ale...

- Naprawdę. - Usiadł przy niej na kanapie i spojrzał na ogień. -*Mroźny bałwan* i *Zimowa cudna kraina* to nie to samo.

- Purysta - mruknęła, popijając wino.

- Nie, po prostu to się łączy.

W jego oczach tańczyły zielone i czerwone światełka.

- A to nie - powiedział, podnosząc do góry kieliszek.

-Nie?

- Nie. Z całą pewnością. ~ Mimo że pokręcił głową, dolał wina do obu kieliszków. - Szkoda byłoby zmarnować. To importowane wino -dodał.

- Tak?

- Aż z Kalifornii. To przecież inny kraj.

- Skąd ksiądz wie?

- Kiedyś tam mieszkałem.

- Naprawdę?

- Tak, proszę pani. I łączy się z tym pewna tajemnica. — Uśmiechnął się uwodzicielsko. Olivia usiadła wygodniej na kanapie.

- Jaka tajemnica?

- Jeszcze z czasów, nim zostałem księdzem.

- Oho, coś złego.

- Można to tak nazwać. - Roześmiał się. - Zanim odnalazłem powołanie, byłem surferem.

-Niewierze!

- Tak, tak... Szkoda, że mnie pani nie widziała przy dziesięciostop-niowym wietrze.

- No nie! - zaśmiała się, czuła, że wino zaczyna uderzać jej do głowy.

- Może któregoś dnia pokażę pani.

Na samą myśl o ojcu Jamesie, w koloratce i powiewającej sutannie, ujeżdżającym deskę surfingową na wzburzonych falach, dostała ataku śmiechu. Śmiała się tak bardzo, że aż się zakrztusiła.

-Nie... wierzę...

Zaczął klepać ją po plecach.

- W porządku?

-Tak... Nie...

- Olivio... - klepnął ją mocniej. - Niech pani oddycha.

- Czy... Czy papież wie o surfingu? - zapytała, ciągle nie mogąc złapać tchu.

Roześmiał się głośno i przyciągnął ją do siebie.

- Czyżbym wyczuwał lekceważenie?

- U mnie? - Udawała, że jest zaszokowana. Pokręciła głową. Zauważyła, że ksiądz ją obejmuje. — Skądże znowu.

- Jest pani niewiarygodna - powiedział szeptem, przestając się uśmiechać.

Olivia zdała sobie sprawę, że niemal dotykają się nosami, że czuje Jego zniewalający zapach, że przywiera do niego piersiami. To szaleństwo. Niebezpieczne szaleństwo. Uwóżaj, Olivio. Zatrzymaj się, nim zrobisz coś,

czego będziesz żałowała. Zanim popełnisz największy błąd w życiu. Jednak nie odsunęła się. Nie była w stanie.

Głośno przełknęła ślinę. Ojciec James spojrzał na jej szyję. Nie otworzył ust, ale mogłaby przysiąc, że jęknął.

- Chyba powinienem już pójść - wyszeptał, nie ruszając się z miejsca. - Na pewno - dodał niewyraźnie.

- Raczej tak - westchnęła. - Ale...

- Olivio, nie mogę... - urwał, jakby zobaczył smutek w jej oczach. Jakby dokładnie wiedział, o czym myśli. - Do diabła! - jęknął. - Proszę mi wybaczyć. - Spojrzał na jej usta i mocno pocałował. Bez cienia wahania.

W głowie Olivii rozchodziły się dzwonki alarmowe. To jest złe. Bardzo złe. Oboje o tym wiedzą. Przecież próbował to powiedzieć. Jednak odwzajemniła pocałunek. Pod wpływem wina, nastrojowego światła i poczucia, że oboje potrzebują kogoś bliskiego, odsunęła wszelkie wątpliwości, choć ciągle słyszała w głowie:

Na litość boską, to ksiądz. I w dodatku lekko pijany.

Jak się będziesz czuła jutro?

A on?

Nie odrzucaj przyjaźni, jaką ofiarowuje... To grzech, Olivio, grzech!

Myśl!

Serce waliło jej jak młotem, miała dreszcze i gdzieś głęboko w środku czuła rozchodzące się ciepło.

Nie mogła się zatrzymać. Nie chciała.

On był chętny, gdy przekroczył już tę niewidzialną barierę. Przesuwał dłońmi pod jej swetrem, gładząc ciało i wsuwając je pod stanik. Roztopiała się jak masło, choć wiedziała, że popełnia ogromny błąd.

Nie rób tego, Olivio. Na litość boską, opanuj się!

Ściągnął jej sweter i zaczął całować ją całą: policzki, szyję, piersi. Ustami wypalał ścieżkę, dotykając i pieszcząc szorstkim językiem. Wyobraźnia podpowiadała jej, co się za chwilę stanie, traciła nad sobą kontrolę.

Ustami znalazł brodawkę piersi, a Olivia wsunęła palce w jego gęste włosy i mocniej przyciągnęła go do siebie.

Jęknął z samego środka duszy.

O, Boże, pomyślała, zamykając oczy i poddając się temu, co czuła. Chciała go aż do bólu, czekała na każde kolejne dotknięcie. I nie była rozczarowana. Zlany potem rozpiął jej spodnie. Suwak zjechał w dół z *cichym* sykiem. Rozebrał ją do naga, pieszcząc pośladki i uda, a żar roś z każdym pocałunkiem.

Była mokra od potu.

- Jesteś taka piękna - szepnął, rzucając jej majtki na podłogę.

Była teraz, w półmroku, całkiem naga, gdy on nadal całkowicie ubrany, łącznie z koloratką, oznajmiającą całemu światu, że jest księdzem, człowiekiem, który przysiągł Bogu celibat. Zauważył jej spojrzenie i jednym ruchem zerwał z szyi koloratkę i znów namiętnie ją pocałował.

Odwzajemniła pocałunek, zamykając oczy i starając się nie myśleć, że prowadzi go do grzechu. Ich języki się spotkały. Szarpnięciem rozpięła guziki jego koszuli i zsunęła ją ze szczupłych, twardych, umięśnionych ramion. Pod palcami czuła mocne mięśnie pleców, a przez spodnie erekcję. Chciała go, ajednak... To było złe... Nie tylko dlatego, że jest księdzem. Przez oślepiający ułamek sekundy pomyślała o Ricku Bentzu i o tym, co do niego czuje. To było coś innego, nie chodziło o miłość, lecz o seks, zakazany seks, dziki seks; w ten sposób chciała się na Bentzu odegrać.

Pod wpływem pocałunków przestawała myśleć o Bentzu, który przecież ją odepchnął. Kiedy jednak odszukała dłoń suwak spodni Jamesa i on zaczął kierować jej rękę do środka, nagle się zatrzymała.

- Ja... Nie możemy - wychrypiała.

W jego oczach pojawił się gniewny błysk i poczuła się jak idiotka, jakby kusił ją specjalnie, a potem nagle się wycofała. Owinęła się kocem.

- Olivio... - zaczął, odsuwając się lekko.

- Wiem... Przepraszam... Nie chciałam, żeby sprawy zaszły tak daleko - wyjąkała przez łzy. Na widok bólu w jego oczach pożałowała swojego zachowania. - Wydaje mi się... Nie, wiem, że chciałam cię wykorzystać. Zostałam zraniona i... - broda jej zadrżała -... sam chyba wiesz, że jesteś za przystojny na księdza. Zbyt pociągający.

Jęknął, ale udało mu się lekko uśmiechnąć.

- Czy to ma być pociecha? - spytał zachrypniętym głosem.

- Nie. - Pokręciła głową, odetchnęła głęboko i ciaśniej owinęła się kocem.

- To komplement. Za bardzo cię lubię, żeby sobie na coś takiego pozwolić.

- Wybacz, ale to brzmi jak banał. Ja tego nie kupuję. Westchnęła, obejmując rękami kolana.

- Dobrze, no więc czuję się źle. Jednak nie robiłam niczego celowo. Naprawdę. Lubię cię. Bardzo. Ale gdybyśmy posunęli się jeszcze dalej, °boje byśmy tego żalowali. Może nawet jeszcze dziś.

- Jesteś zakochana w kimś innym?

-Byłam... Tak... Już nie...

Podał jej majtki i stanik.

- Oszukujesz sama siebie - powiedział z sarkazmem, patrząc jej w oczy. -
I oboje o tym wiemy. Teraz się ubierzemy i pójdę, zanim zmienię zamiar.

Olivia złapała go za rękę.

- Nie powinieneś prowadzić. Możesz tu przenocować. Mam pokój gościnnie. Pusto się tu zrobiło po wyjeździe Sary.

- Czyja wiem... Faktycznie trochę mi się kręci w głowie.

- Obiecuję ci najwspanialsze śniadanie, jakie w życiu jadłeś - dodała, chcąc, aby został, chcąc przypieczętować ich przyjaźń, chcąc się upewnić, że dadzą sobie radę z tym, co się stało. - Langusta, omlet z krewetkami, placek z sosem... Ulubione potrawy mojej babki.

Zawahał się i rozejrzał po przytulnym pokoju ze światełkami i trzaskającym ogniem na kominku.

- Dobrze, nie mogę się oprzeć pokusie. Co już chyba udowodniłem -dodał poważnie. Olivia ubrała się.

- O tym zapominamy, prawda?

-Tak.

- Dobrze. - Pocałowała go w czoło. - Dziękuję, James. Za zrozumienie.

- Nie ma problemu - odparł, choć była pewna, że kłamie. - To część mojej pracy.

„

Rozdział 55

Zwariowałeś? - spytała Kristi, pakując do plecaka zapasowe buty do biegania.

- Miałabym nie wracać do szkoły? Daj spokój, tato, myślałam, że ci zależy, żebym miała wyższe wykształcenie.

Rzuciła okiem na ojca, który stał w drzwiach z zaciśniętymi ustami. Boże, dlaczego zawsze musi odgrywać takiego twardziela? Miała zły humor. Rano dostała okres, była też po przeprawie z Jayem. Zrobił się czerwony i zaczął płakać, kiedy na parkingu przed sklepem z lodami oddała mu pierścionek. W dodatku Brian nie zadzwonił ani razu przez te cztery dni i musiała przygotować dwa referaty. Jeden dla Zarostera, drugi dla Suttera. I teraz ojciec wyskakuje z tymi swoimi pomysłami.

Nie miała ochoty słuchać takich bzdur.

- Nie rozumiem, co by szkodziło, gdybyś została tu jeszcze przez parę dni
- powiedział Bentz, wchodząc do pokoju z groźną miną. Jakby to mogło wpłynąć na jej decyzję.

- To jest uniwersytet, tato. Nie sprawdzają listy obecności, ale muszę niedługo oddać różne prace i nie mogę sobie pozwolić na opuszczanie zajęć. Wiesz, że nie jestem taką znów genialną studentką.

Zapięła plecak i jeszcze raz rozejrzała się po pokoju. Łóżko nadal było niepościelone, tak jak wtedy, kiedy mieszkała w domu. Wiedziała, że ojca doprowadzało to do szału. Bez większego entuzjazmu zarzuciła kołdrę na poduszkę i zauważyła bukiet wciąż świeżych goździków i róż na stoliku przy łóżku.

- Wiem, że się denerwujesz, że po ulicach chodzi morderca, ale ja mam swoje życie.

- Chyba nie rozumiesz, jak bardzo niebezpieczna jest sytuacja. Bandyta kręci się po miasteczkach uniwersyteckich. Są powiązania z Ali Saints.

- To fakt czy tylko teoria? Myślałam, że jego ofiary studiowały w Tu-lane i w Loyoli.

- To prawda, ale teren jego polowań jest większy.

- Teren polowań? Chyba przesadzasz.

- Nie przesadzam, taka jest prawda - stwierdził poważnie. - Te kobiety nie zostały po prostu zabite, Kristi. Były torturowane. Rzecznik policji poda więcej informacji na temat mordercy, żeby ostrzec ludzi i poprosić o pomoc.

- To dobrze. Szybciej go złapicie. Zarzuciła plecak na ramię.

- Chodźmy.

- Chciałbym, żebyś miała ochroniarza. - Nie dawał za wygraną.

- Co? Nie ma mowy! - Widziała, że mówi poważnie. - Wyobrażasz sobie, że wszędzie będą za mną łązić jacyś faceci, jakbym była córką prezydenta, czy kimś takim? Nie, Bentz. Nie zgadzam się. I nie zajmuj się moimi znajomymi. Nie sprawdzaj ich. To nic nie da. Chodź, tato, naprawdę muszę już jechać. - Zauważyła napięcie na jego twarzy. - Już to zrobiłeś, co? Sprawdziłeś... O, nie, tylko nie mów, że sprawdziłeś Briana. Nie *uwie-fzę*. - Zobaczyła potwierdzenie w jego oczach. - Nie jesteś taki wredny!

- Wiedziałaś, że miał problemy z policją?

- Tak, mówił mi. Oskarżenie o uwiedzenie nieletniej. I nie utrzymuje kontaktów z rodzicami. Tak, wszystko wiem. A teraz już chodźmy. - Szybko wyszła z pokoju. - Najwyższy czas.

Psy doprowadzały go do szaleństwa. Wyły od świtu do nocy.

Wybraniec pocieszał się, że to już niedługo. Do drugiego grudnia został zaledwie tydzień... Przez ten czas musi chłostać Bibianę. Psy z dnia na dzień były coraz bardziej głodne.

Przeżegnał się przed ołtarzem i przebrał w zwykłe ubranie, po czym przejrzał się w lustrze i uśmiechnął na myśl o kolejnej misji. Bardziej osobistej niż inne... Bibiana... Siostra... Przyszedł czas, aby się poznały... Jakim cudem jego matka, nazwana na cześć świętej Bemadetty z Lourdes, stała się taką dziwką? Kobieta, która potrafiła oddać własne dziecko, jedynego syna, a potem wyjść za ojca tego syna i mieć z nim dzieci, córki, które zatrzymała. Ani razu nie próbowała się z nim skontaktować. Wyjaśnić. Jakby nigdy nie istniał.

To była zbrodnia. Grzech.

I kto wziął jej syna? Prostacy! Wiejskie głupki! Bezdietne małżeństwo farmerów, które potrzebowało chłopaka, żeby zasował od rana do wieczora. Ludzie, których ortodoksyjna interpretacja katolickich dogmatów została wypaczona potrzebą przetrwania. Syna, którego tak bardzo pragnęli, karali chłostą i przeklinali, zmuszali do ślepego posłuszeństwa i nieustannie wytykali mu koszty parafialnej edukacji, na którą, zresztą, sami nalegali. Była to bardzo surowa szkoła, tylko dla chłopców, bez żadnych rozrywek, skoncentrowana wyłącznie na nauce. Uczył się świetnie, dostawał stypendia. Tam się dowiedział, że ma innego rodzaju powołanie, że Bóg wybrał go, aby cierpieć. Ojciec Wszelkiej Mądrości wybrał go, żeby oczyścić ziemię z grzeszników... Najpierw z rodziców, ale powoli, żeby wszystko wydawało się naturalne...

Najpierw „wypadek” z traktorem, po którym ojciec został kaleką. Później, rozłożone w czasie, powolne działanie nawozów sztucznych dodawanych do lekarstw ojca, dosypywanych do wysokich szklanek słodkich substancji, od syropów na kaszel do środków przeczyszczających. Z matką też poszło łatwo, ze względu na jej wiarę w zioła. Podmieniał jej też tabletki. Na wpół niewidoma, wymagała opieki. Nikt niczego nie podejrzewał. Kiedy go adoptowali, mieli pod pięćdziesiątkę i gdy Bóg do niego przemówił, gdy odnalazł swoje powołanie, byli już starymi ludźmi.

Freda umarła w fotelu, oglądając telewizję. Tom na atak serca niecały rok później.

Proste.

Dobra robota.

Ale to był zaledwie początek, pomyślał teraz. Psy wyły do wtóru miękkich dźwięków muzyki klasycznej. Bach. Zwykle go uspokajał. nie dziś.

Dziś był niespokojny. Musi znaleźć Bibianę, namówić ją na spotkanie, pokonać jej opory... Wie, czym ją skusić...

Poprawiając marynarkę, zszedł do piwnicy, gdzie świeciła się czerwona żarówka, nadając starym piwnicznym ścianom lekki odcień purpury.

Naga kobieta na sianie wciąż nie odzyskała przytomności. Miała związane z tyłu ręce i była przykuta łańcuchem do ściany. Zostawił jej kubek, do którego mogła się załatwiać i dość wody, aby nie umarła z pragnienia. Niestety, na jej twarzy widniał duży siniak. Nie spodziewał się z jej strony oporu. Głupia suka. Dziwka. Piła i flirtowała... Mężatka. Utrzymają przy życiu. Na jakiś czas. Dopóki dzięki niej nie zwabi tu świętej Bibianny. Zacisnął dłonie na myśl o siostrze. Olivia Benchet, uprzywilejowana.

Wkrótce zostanie poświęcona.

Bóg na nią czeka.

, Psy czekały i jazgotały w klatkach. Zauważył, że widać im zębra. Z pysków cieknie ślina. Położył każdemu po kości z supermarketu. Rzuciły się na resztki mięsa z morderczym błyskiem oczu.

Kobieta jęknęła. Musi się nią zająć. Wyjął jej knebel z ust i dał wody... Głupia dziwka...

Otworzyła jedno oko, zamrugała, popatrzyła na niego, a potem szybko odsunęła pod ścianę. W jej oczach pojawił się strach. Pies zawarczał i kobieta odwróciła głowę, zobaczyła psy, i jeszcze mocniej przylgnęła do ściany.

Podniecił go jej strach. Pomyślał o tym, co mógłby kazać jej robić... O tym, co go rajcuje... Łatwo byłoby ją upokorzyć. Pokazać jej, że jest brudną dziwką... Nie, nie potrafił. To byłoby nieczyste.

Przyjemność cielesna nie jest częścią misji. Ból głowy narastał. Zaczęła drgać mu powieka. Tracił przekonanie co do celowości swojej misji.

Musisz się wyświadczyć.

Więźniarka utkwiała wzrok w jego drgającej powiece, a kiedy ją tym przyłapał, przeniosła oczy na wypukłość w spodniach. Była przerażona... Czy na pewno? W jej oczach widział coś jeszcze... Zimną kalkulację. Planowała ucieczkę. Nawet przy takim stanie umysłu. Przez moment rozważał, czy by jej znów nie potraktować paralizatorem, ale postanowił, że Powinien dać jej szansę, by mogła zastanowić się nad swoim losem. Jeden z psów zawył dziko. Spojrzała na niego ze strachem. Nienawidziła tych psów. I słusznie.

Wybraniec odwrócił się do schodów i za plecami usłyszał jęk. Niedługo będzie błagała o litość, obiecywała, że zrobi wszystko, czego on

zażąda. Zyska nad nią władzę absolutną. Na trzecim stopniu odwrócił się i spojrzął w dół na piwnicę bez okien, zalaną czerwonym blaskiem. Przysunęła się bliżej w błagalnym poddaniu.

Zaczyna pojmywać. To on jest panem. Tylko on decyduje o jej przeznaczeniu. Rozczuliła go jej uwięziona nagość. Jednak ma misję do wypełnienia. Czas mija. Przez moment odczuwał coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Czasami misja wydawała się czymś złym... Kiedy indziej miał pewność, że postępuje słusznie. Głowa bolała go potwornie.

Pamiętaj, że Bóg kazał ci oczyścić ziemię z grzesznych kobiet. Pamiętaj o czystości. I o karze boskiej.

Wybraniec walczył z bólem i wątpliwościami przeszywającymi mózg. Potrzebował rady, ukierunkowania w swoich działaniach. Potwierdzenia, że czyni słusznie. Wciągnął powietrze, walcząc z bólem głowy. W przeciwieństwie do słodkiego kąsania bicia, przyjemności, jakiej dostarczał pocałunek skórzanych rzemyków, to była czysta agonía. Ból go ogłupiał, oślepił, oszalał. Musi z kimś porozmawiać. Z ojcem Jamesem...

Kobieta znów jęknęła i Wybraniec odwrócił się od niej. Nim zgasił światło, jeszcze raz zerknął za siebie. Znała tylko strach, nie wiedziała, że uczyni ją nieśmiertelną, że zostanie świętą.

Miał naprawdę ciężki krzyż do dźwigania. Zgasił światło i powiedział:

- Dobranoc, Saro.

- ... Wszystko będzie w moim raporcie — powiedział Calvin Smith, jeden z policjantów przydzielonych do ochrony Olivii - ale pomyślałem, że może chciałbyś o tym wiedzieć od razu. Oprócz przyjaciółki Sary Re-stin, która już pojechała na lotnisko, panią Benchet odwiedzał jeszcze ktoś. Był w Święto Dziękczynienia, przyszedł też następnego wieczoru i został na noc. Nie przejąłem się tym, ponieważ widziałem, jak go przywitała, ale teraz zaczynam myśleć, że to trochę dziwne.

- Został na noc? - powtórzył Bentz z napięciem.

- Tak i to jest właśnie dziwne. Niedawno sprawdziłem tablice rejestracyjne samochodu, którym przyjechał i okazuje się, że samochód należy do Kościoła.

- Co takiego? - szepnęła Bentz. Zazdrość zastąpił lęk. - Do Kościoła? -Nie!

- Mhm. Ten facet jest księdzem.

Bentz zerwał się na równe nogi. Najchętniej udusiłby tego człowieka. Ogarnęło go przerażenie.

»- Jak się nazywa?

Wyobraził sobie Olivię uwięzioną, torturowaną. Przez głowę przeleciały mu obrazy Leslie Franz przywiązanej do koła i Stephanie Jane Keller przywiązanej łańcuchem do umywalki.

- Ojciec James McClaren - odparł ze śmiechem policjant. - Nawet księża muszą sobie od czasu do czasu popołgować. Bentz zacisnął zęby.

- Dlaczego nie zadzwoniłeś od razu?

- Jak to?

- Nie wiesz, że szukamy księdza? Że seryjny morderca...

- Boże, nie! Byłem na urlopie. Dopiero co wróciłem i dostałem to zadanie. Mój partner nie przekazał mi, że podejrzany jest księdzem.

- Gdzie ona teraz jest?

- Nie wiem. Skończyłem służbę.

- Cholera, dowiedz się i zadzwoń. Na moją komórkę. Szybko. - Podał idiotcie numer. - Zapisaleś?

-Tak.

- Powtórz. Smith powtórzył.

- Co mam teraz zrobić?

- Pomódł się, Smith, a potem siedź cicho. Już dość zrobiłeś. Bentz, z przekleństwem na ustach, rzucił słuchawkę. Wpadł z pokoju i zbiegł po schodach. W ciągu paru minut siedział w dziupie. Wrzucając biegał, widział oczami wyobraźni straszne obrazy. Olivia i James jako kochankowie... Tak jak James i Jennifer... Nie ma mowy! Uderzył pięścią w kierownicę i włączył światła. Przejechał bez zatrzymania obok znaku „stop”, zastanawiając się nad dowodami. James? James miałby być mordercą? Był odpowiedniego wzrostu, wysportowany, mniej więcej we właściwym wieku, jeśli założyć, że Norm Stowell się nie mylił, miał niebieskie oczy... Ale dlaczego Olivia wplątałaby się w związek z księdzem po swoich strasznych wizjach? To bez sensu. Co powiedziała wcześniej? Że poszła do świętego Łukasza, bo to był kościół najbliższy miejsca, gdzie zginęła w pożarze Stephanie Jane Keller. I że poprosiła ojca Jamesa, księdza z tego kościoła, aby przygotował jej listę dzieci ochrzczonych mniej więcej w tym czasie, kiedy urodził się jej brat.

Bentz wyminął nieprzepisowo zaparkowany samochód. Czyżby nie miał racji? Zakładał, że morderca jest w jakiś sposób związany z Olivią, ^e jeśli się pomylił... I teraz Olivia zapłaci życiem za jego błąd... Nacinał klakson, gdy kierowca w średnim wieku, jadący bmw, zajeżdżał mu drogę.

Zadzwoiła komórka. Odebrał, przygotowany na najgorsze. Że znaleziono kolejną ofiarę, że morderca dopadł Olivię...

- Bentz - warknął.

- Rick? Mówi Olivia. - Miała wystraszony głos. O, Boże, nie...

-Gdzie jesteś?

- W pracy... Ale coś jest nie w porządku... - powiedziała. - On jest zaniepokojony. Zdezorientowany. Chce z kimś porozmawiać...

- Z kim? - Poczul ulgę. Przynajmniej jest bezpieczna. Nic jej się nie stało.

-Nie wiem... Mam wrażenie, że chce się komuś zwierzyć zrobi coś gorszego... Jest zdesperowany.

- Nie ruszaj się. Będę u ciebie za pięć minut.

Skręcił na następnym skrzyżowaniu i ruszył w stronę French Quarter.

Wybraniec przemykał się zacienionym wnętrzem świętego Łukasza. Był tu już wcześniej i poznał zakamarki i przejścia, miejsca, w których, w razie potrzeby, można się było schować albo wyjść. Znał klasztor i ogród. Wcześniej już wykorzystywał kawałek bezbarwnego szkła w witrażu, aby zajrzeć do środka.

Bezszelestnie przeszedł przez prezbiterium i nagle, kiedy wzrok przyzwyczaił się do ciemności, zatrzymał się.

Nie był sam.

Ministrant, wciąż w komży i w czarnej sutannie, znalazł wino w zakrystii i popijałje teraz ze złotego kielicha. Chuligan miał ogoloną głowę i kolczyk, który błyszczał w przyciemnionym świetle.

Wybraniec wślizgnął się do ciemnej wnęki. Znow zaczynała go boleć głowa.

Zignoruj chłopaka. Nie jest częścią planu.

A może...?

Bezczelnie nadużywając swojej pozycji, czternastoletni złodziejaszek dolał wina do kielicha - kielicha! - i, jakby miał do tego prawo, przyłożył błogosławione naczynie do ust i złopał niczym uliczny pijak.

Świętokradztwo!

Szarganie świętości!

Wybraniec doszedł do wniosku, że przyszedł tu nie do spowiedzi, lecz dlatego, że ma zadanie do wykonania. Bóg przysłał go, aby ukarał heretyka w przebraniu ministranta. I... jeszcze z innego powodu, mocniej związanego z jego misją. Tak... Chłopak będzie doskonałą zmyk^ dla policji...

Wyciągając z kieszeni niewielki nóż, szybko i cicho wyszedł z wnęki. Heretyk, pogrążony w grzechu, niczego nie zauważył. Ani nie usłyszał kliknięcia wysuwanego ostrza. Usta miał poplamione winem i uśmiechał się, niewątpliwie na myśl o tym, jak się będzie przechwalał przed kolegami.

Był bez szans.

Wybraniec szarpnął głowę chłopca do tyłu, odsłaniając białą szyję. Chłopak krzyknął. Za późno. Wybraniec jedną dłonią w rękawiczce zatkał mu usta, drugą podciął gardło. Popłynęła krew. Kielich upadł na podłogę, turlając się i błyszcząc w słabym świetle. Chłopiec prawie się nie opierał, kiedy Wybraniec ciągnął go przed ołtarz i zostawił tam, nie tylko jako ofiarę, lecz także jako ostrzeżenie.

Wycierając nóż o czarne ubranie chłopca. Wybraniec uśmiechnął się. To jest jego cel. Uwolnić świat od grzeszników. Adrenalina przyspieszyła krążenie krwi, kiedy zamykał nóż i wychodził w noc. Na zewnątrz, oddychając powietrzem pełnym zapachu Missisipi, poczuł, że ból głowy minął.

- Nieee!

Pod Olivia ugięły się nogi. Polerowała w sklepie małe piramidy, kiedy zobaczyła swoje odbicie w oknie. Ale za własną twarzą zauważyła jakiś ciemniejszy zniekształcony wizerunek. Wizerunek diabła. Dostrzegła mały ostry nóż. Nóż ciął. Łała się krew. Upadła, rozrzucając świece, naczynia na kadzidełka i ramki do zdjęć.

- Co tu się dzieje?! - zawołała Tawilda, odgarniając zasłonę z paciorków. Olivia osuwała się na podłogę, trzymając się za głowę. - Olivia! Jezus Maria, nic ci się nie stało? Czy mam dzwonić po pogotowie? - Wyciągnęła z torebki komórkę i ukłękła obok Olivii. - Słonko...

- Nie, nic mi nie jest - szepnęła Olivia. Bolała ją głowa i łzy napłynęły jej do oczu, ale dopóki morderca grasuje na wolności, nie może się poddać.

- Złe wyglądasz. Jakbyś zobaczyła ducha. Dzwonię... W tym samym momencie drzwi wejściowe otworzyły się z brzękiem dzwoneczków. Rick Bentz rozejrzał się, przeskoczył przez wózek z ozdobami choinkowymi i znalazł się przy Olivii.

- Co się stało?

- Przewróciła się - powiedziała Tawilda. - Co pan tu robi? Myślałam, że kazała się panu odczepić.

- Nic ci nie jest? - spytał Olivie, ignorując Tawildę.

- Nie, ale on znów działa - szepnęła, drżąc. Bentz objął ją, a OHvia mocno się w niego wtuliła.

- Patrzcie państwo - mruknęła Tawilda.

- Powiedz, co widziałaś - zażądał Bentz.

- Zabił kogoś. Szybko, nożem. To chyba nie było zaplanowane. - Oddychała z trudem. - Coś nieoczekiwanego... Nie miał maski... Widziałam jego twarz. - Zadrżała i znów przytuliła się do Ricka.

- Zabił kogoś? O czym ty, do diabła, mówisz? - wtrąciła się Tawilda. OHvia nie zwracała na nią uwagi.

- Ale tym razem obraz był zniekształcony. Jakby on patrzył w takie krzywe lustro w wesołym miasteczku. Miał niebieskie oczy i ciemne włosy i... - Mocno zacisnęła oczy. - Coś na palcu.

- Obrączkę?

- Nie... To znaczy nie wiem... Jakiś pierścionek z kamieniem. -Cała się trzęsła. - O, Boże, wydaje mi się... Ofiara chyba była dzieckiem... - Trzymała się go kurczowo, a po policzkach jej płynęły łzy. -Dziewczynka w długiej czarnej sukience z fartuszkciem... Albo... Uniosła brwi i potrząsnęła głową. - Nie... Nie jestem pewna.

- Sprawdźmy - obiecał, chcąc ją uspokoić, choć oczywiście to nie miało sensu. Czas uciekał. - Czy możesz opisać, gdzie to się stało? Skinęła głową.

- Mam wrażenie, że w kościele... Zabił dziecko w jakimś zamkniętym pomieszczeniu i zaciągnął je przed ołtarz. - Nie, coś tu nie pasuje, ofiara nie miała włosów. Przełknęła ślinę i spojrzała za plecami Bentza na sznury specjalnych koralików na ostatki, choć Bentz wiedział, że widziała tylko to, co wcześniej zobaczyła w swojej wizji. - Nie wiem dlaczego, ale to mi coś przypominało... Widziałam jedynie fragmenty... Morderca działał gwałtownie i brutalnie... Był wściekły. - Zadrżała i kiedy zdała sobie sprawę, że Bentz ją obejmuje, delikatnie się odsunęła. Przygryzła wargę. - Wydaje mi się, że to się zdarzyło w kościele świętego Łukasza - powiedziała. Oczy jej pociemniały. - Widziałam jaskrawe kolory, kolorowe witraże ze świętego Łukasza. Zniekształcone, ale jestem prawie pewna.

- Lepiej to sprawdzę.

Sięgnął po komórkę, aby zadzwonić na komisariat, gdy Olivia złapała go za rękę.

- Jadę z tobą.

- Nie sądzę.

- Słyszał pan - wtrąciła się Tawilda. - Biorąc pod uwagę, co się z dzieje, uważam, że powinien wziąć ją pan ze sobą.

-I tak za tobą pojedę. Nie! -dodała, kiedy w końcu zrozumiała. -To nie była sukienka. Rodzaj sutanny. Jakie noszą chórzyści. Albo... ministranci.

Spojrzała mu w oczy i w jej wzroku wyczytał strach. Chociaż głośno tego nie powiedziała, ona też myślała, że James może być w jakiś sposób powiązany z mordercą.

Była wstrząśnięta.

A zatem zrezygnujesz z bycia księdzem? Porzucisz święcenia? Na zawsze zmienisz swoje życie z powodu jednej kobiety?

Ojciec James doszedł do kościoła. Tylne drzwi były uchylone. Znowu. Wielbny O'Hara często zapominał je zamknąć, a kiedy James przypominał mu o bezpieczeństwie, odpowiadał tym samym sloganem: „Drzwi do domu Boga są zawsze otwarte”.

Użyłeś tych samych słów, aby namówić Olivię do przyjścia na mszę.

Olivia. Ta jedyna wspólna noc, kiedy o mało się nie kochali, zraniła mu serce. Rano, gdy spotkali się w kuchni, Olivia, z rękami w kieszeniach szlafroka, przeprosiła go za swoje zachowanie, a poczucie winy w jej wielkich złotych oczach odzwierciedlało jego wyrzuty sumienia. Wypił kawę, zjadł przygotowane przez nią śniadanie, rzucił kilka nie-śmiesznych dowcipów, których do dziś się wstydził, i wyszedł w zimowy poranek. Przez całą drogę do kościoła myślał tylko o niej, nie zwracając uwagi na to, co się wokół niego dzieje.

Wchodząc teraz do kościoła zauważył, że nikt nie naruszył zamka. Będzie musiał porozmawiać z wielbnym O'Harą. Teoria „otwartych drzwi do domu Boga” była sympatyczna, ale niepraktyczna. Zawsze mógł wejść przez nie złodziej czy chuligan. Ojciec James wolał nie stwarzać niepotrzebnych okazji.

Oprócz okazji dotyczących pięknych kobiet.

Przeszedł przez korytarz i coś go zaniepokoiło. Chłód. W zakrystii na podłodze zobaczył kielich i wylane wino... Co się stało? Przeszedł go dreszcz. Podniósł kielich i przykucnął przy plamach... Wino, tak... Ale... Na ścianach też widniały purpurowe ślady... Serce zabiło mu mocniej. To nie wino, lecz krew!

Zrywając się na równe nogi, wyczuł w domu Boga diabelską obecność i z bijącym sercem i wyschniętym gardłem ruszył śladem krwi, czerwonych plam prowadzących do ołtarza, gdzie...

- Wielki Boże!

James znieruchomiał. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Ciało ministranta przed ołtarzem. Krew wyciekała z rany na szyi. James podszedł

szybko, kiedy jednak zobaczył bladą twarz chłopca i plamy na komży, wiedział, że już za późno.

- Nie, Boże, nie! - zawołał.

To był Mickey Gains... Twardy dzieciak, który nie miał łatwego dzieciństwa. James bezskutecznie szukał pulsu. Z ust nie wydobywał się oddech.

Ojciec James już nieraz był świadkiem śmierci, pocieszał umierających, ale nigdy nie widział czegoś tak straszego. Potykając się, pobiegł do biura i wystukał 911. Miał krew na rękach, na ubraniu, na słuchawce.

- Ratunku! - krzyknął. - To chłopiec... Nie żyje. Mickey Gains został zamordowany tutaj u świętego Łukasza - krzychał do słuchawki. -Boże, przślijcie kogoś. Niech przyjedzie Rick Bentz! Natychmiast przślijcie tu Bentza!

Rozdział 54

R>mórka Bentza zadzwoniła, gdy był zaledwie pięć przecznic od ko-cioła świętego Łukasza.

- Detektyw Bentz - powiedział, a potem zaklął i przyspieszył, wymijając samochody. - Tak, już dojeżdżam. Góra dwie minuty. Zadzwoń do Montoi! - Rozłączył się i znów zaklął. Jednym ruchem włączył światła i syrenę. - Wygląda na to, że miałaś rację - powiedział do Olivii, nie odrywając oczu od jezdni i prawie nie hamując na zakrętach. Opony zapiszczały, kiedy wymijał zaparkowaną na rogu ciężarówkę.

- Nie... - Nie chciała mu uwierzyć, choć znała prawdę.

- Ministrant.

- U świętego Łukasza?

Olivia oparła się o drzwi. Była jak sparaliżowana. Pusta. Obraz mordowanego dziecka ciągle tkwił w jej głowie i miała poczucie winy, jakby mogła zapobiec w jakiś sposób tragedii. Łzy napłynęły jej do oczu. Dziecko. Potwór zabił dziecko!

- Jakie sątwoje powiązania z kościołem świętego Łukasza? - spytał, spoglądając na nią kątem oka.

Olivia miała wrażenie, że serce przestało jej bić. Wyrzuty sumienia wróciły ze zdwojoną siłą.

- Już ci mówiłam, że znam księdza stamtąd. To ten, który dał mi listę tych ochrzczonych chłopców.

Wyjrzała przez okno na ulice oświetlone latarniami. Kościół świętego Łukasza, z białymi ścianami, wieżą i dzwonnica górował nad sąsiednimi budynkami.

Olivia zawsze szukała w kościele potwierdzenia wiary, pociechy; dziś przedstawiał on wszystko co na świecie ciemne i złe. Zadrzała i mocniej objęła się rękami, gdy Bentz skręcił na parking przed kościołem i stanął.

Z daleka słyhać było syreny.

Bentz otworzył drzwi.

- Zostań w samochodzie.

- Nie ma mowy. - Otworzyła drzwi po swojej stronie i wysiadła. Szybko dogoniła Bentza i wbiegła po schodach do głównego wejścia.

Na parking wjechał samochód policyjny, a tuż za nim karetka z migającymi światłami i włączoną syreną. Załoga karetki wyskoczyła z samochodu i biegiem ruszyła za policjantami.

Umundurowany policjant usiłował ją zatrzymać.

- Jest ze mną. - Bentz pokazał odznakę.

-Ale...

- Powiedziałem, że jest ze mną! - Policjant odsunął się. - Zostań przy drzwiach i niczego nie dotykaj - powiedział cicho. Popychając ramieniem drzwi, Bentz złapał ją za łokieć. W środku było jasno. Popchnął ją stroną stolika z broszurami. -Nie ruszaj się - rozkazał, obiema rękami ściskając ją za ramiona. Wyraz jego twarzy nie zostawiał miejsca na dyskusję. Teraz on rządził.

- Ale... - Spojrzała w stronę ołtarza, gdzie sanitariusze zajmowali się ofiarą. Chłopcem. W przesiąkniętej krwią komży. Ojciec James, w koszuli czerwonej od krwi, wpatrywał się ponuro w ofiarę. Poczła ukłucie w sercu. O co w tym wszystkim chodzi?

- Nie kłóć się ze mną. - Bentz mocniej zacisnął palce na jej ramionach. Poczła metaliczny zapach świeżej krwi. - Jeśli mamy złapać tego skurwysyna, musisz mi pomóc. Dobrze? Nie ruszaj się. Albo wyjdź. Możesz też zaczekać w samochodzie.

- Nie żyje - stwierdził jeden z sanitariuszy.

Olivia przełknęła łzy. Ojciec James szepnął coś i się przeżegnał. Kiedy podniósł głowę, spojrzał wprost na nią. Był zaskoczony jej widokiem, ale po chwili na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju ulgi. Ruszył między pustymi ławkami.

- Co ty tu robisz? - James, który wpatrywał się w Olivie, przesunął lekko wzrok i dostrzegł Bentza. Zatrzymał się gwałtownie, jakby natrafił na niewidzialną barierę. Bentz opuścił ręce. - Znać się? - spytał zaskoczony James.

Na zewnątrz syreny radiowozów przecinały ciszę nocy.

- To ja powinienem ciebie o to zapytać - wycedził Bentz. James zacisnął zęby i Olivia wyczuła, że łączy ich coś znacznie głębszego niż związek księdza z parafianinem.

- Chwileczkę.

- Jezus Maria, ciągle masz problemy z kapłańskim przyrzeczeniem, co, James? - Bentz przysunął twarz do twarzy księdza.

I wtedy Olivia zobaczyła, że są do siebie podobni - te same ciemne włosy, silnie zarysowane szczęki, wysokie kości policzkowe. Ale było coś więcej niż tylko podobieństwo fizyczne, coś w ruchach, w reakcjach. Jakby byli kuzynami, bo przecież nie braćmi. O, Boże, tylko nie to... Zrobiło jej się niedobrze. Nie, to niemożliwe, nazwaj się inaczej.

- Nie mam czasu na bzdury. Kim jest ofiara? - spytał Bentz, posyłając Olivii ostrzegawcze spojrzenie.

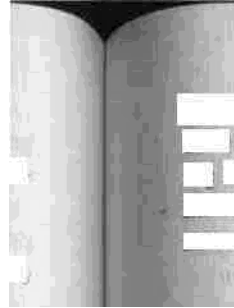
- Mickey... Mickey Gains. Nie używaj imienia boskiego nadaremno...

- Ty go znalazłeś?

- Tak. - James odgarnął włosy z oczu i oderwał wzrok od Olivii. - Znalazłem go tutaj, przy ołtarzu, jakieś dziesięć... może piętnaście minut temu. Ma czternaście lat, mieszka niedaleko stąd, jego rodzina od lat należy do naszej parafii... - James znowu spojrzał na Olivię. Szybko odwróciła wzrok, bojąc się, że Bentz zauważy malujące się na jej twarzy poczucie winy. - Przyszedłem, żeby dokończyć papierkową robotę i porozmawiać z Bogiem. Mam... Mam pewne sprawy do załatwienia. Chciałem poszukać rady - wyjaśnił ojciec James. - I wtedy... Wszedłem tylnymi drzwiami i w zakrystii zobaczyłem rozlane wino i plamy krwi. Poszedłem ich śladem i znalazłem Mickeya... W tym miejscu.

- Chodźmy - powiedział Bentz i wyciągnął rękę do Olivii. - Jeśli chcesz, oficer Ciarke odwiezie cię do domu. - Wskazał na rudowłosą policjantkę, która właśnie weszła do kościoła. Oficer Ciarke, najwyraźniej przyzwyczajona do wykonywania rozkazów Bentza, skinęła głową. W ręku trzymała telefon komórkowy.

- Zastanowię się. - Olivia stała w cieniu rzucanym przez chór, obserwując



dwóch mężczyzn, którzy stali się jej bliscy. Oficera policji i księdza. Podeszli do miejsca zbrodni, a potem odsunęli się, aby przepuścić ekipę śledczą. Policjanci zabezpieczyli teren i zaczęli szukać dowodów.

To był koszmar. Zamordowany chłopiec. Bentz. Ojciec James. Zamiast wyklócać się z policją, Olivia wyszła na dwór. Zimno przenikało przez sweter i kurtkę. Przyjechała ekipa telewizyjna.

Policja nie dopusz

czła do kościoła reporterów i gapiów. Olivia przystanęła przy samochodzie Bentza i patrzyła na ciemne ulice. Gdzieś tam, w ciemnościach, czaił się morderca, ktoś kto jest związany z nią i z dwoma ważnymi mężczyznami w jej życiu; dwoma mężczyznami, których dopuściła do swojego serca.

- Pomyślałem, że może się umówimy na dziś wieczór - powiedział Brian.

Kristi, leżąc na dolnym łóżku, z nogami do góry, uśmiechnęła się. Była zła, że nie dzwonił przez te parę dni, odkąd wróciła, na zajęciach zachowywał się z dystansem i zastanawiała się, czy przypadkiem nie przestał się nią interesować.

Najwyraźniej niepotrzebnie się przejmowała.

- Dobrze. O której? -Nie mogła się doczekać, kiedy znów się z nim zobaczy i wszystkie zapewnienia o pilnych lekturach i referatach, którymi częstowała ojca, poszły w zapomnienie.

- O wpół do jedenastej?

Spojrzała na zegar. Piętnaście po dziewiątej.

- Może być. - Wprawdzie jutro zaczynała wcześniej zajęcia, ale co tam.

- Spotkamy się w Dive?

- Dobrze.

Zaczęła myśleć o tym, w co się ubrać. Wcoś seksownego. I na wszelki wypadek weźmie prysznic i włoży czarną bieliznę. Odłożyła słuchawkę i zaczęła podśpiewywać. Ciekawe czy to, co czuje, oznacza, że się zakochała? Wyjęła z szafy swoją ulubioną czarną spódnicę mini i długie buty. Do tego miała rdzawoczerwony sweter z golfem bez rękawów, który doskonale pasował do krótkiej czarnej kurtki.

Zamierzała swoim wyglądem powalić Briana Thomasa.

- I to wszystko, co wiesz? - Bentz miał ochotę udusić brata jego własną koloratką. Co on sobie, do diabła, wyobraża? Książdz, który nie potrafi trzymać łap z daleka od kobiet? Od kobiet Bentza.

Nieprawda, Bentz, sam odrzucił Olivię, przypomniał mu wewnętrzny głos.

Ekipa śledcza nadal zbierała dowody. Montoya, przed kościołem, rozmawiał z prasą i sąsiadami, mając nadzieję, że ktoś coś widział. Cokolwiek.

James powtórzył swoją opowieść kilku policjantom. W takiej samej wersji. Bentz prawie mu uwierzył. Prawie. James siedział w kościelnym biurze, zmartwiony, zdenerwowany, zaniepokojony i naprawdę przejęty. Nie mógł być mordercą.

Jest księdzem, ma niebieskie oczy i ciemne włosy, nosi sygnet z ciemnym kamieniem... Zna Oliwię, jak się okazuje, dość dobrze, nie przestrzega celibatu. Znalazł ciało, a jego ubranie jest poplamione krwią ofiary-

- A twoi parafianie? Wszyscy mają równo pod sufitem?

- Skądże. Niektórzy, starsi, cierpią na demencję i mamy kilku inteligentnych inaczej, ale czy znam kogoś, kto jest obłąkanym sadystą, kto mógłby zabić? Nie... Oczywiście niektórzy są dziwni, innych aż tak dobrze nie znam, lecz nikt z nich... - Zamilkł. - Nie wiem.

- Na pewno wiesz. Jeśli są dobrymi katolikami, to chodzą do spowiedzi.

James znieruchomiał na moment. Zacisnął zęby i przekręcił sygnet na palcu. Bentz trafił w czuły punkt. Czekał.

- Dobry katolik nie popełni morderstwa—powiedział w końcu James.

- A zły?

James przełknął nerwowo ślinę.

- Wszystkie dzieci boże...

Bentz pochylił się nad biurkiem i złapał Jamesa za czystą koszulę. Zakrwawioną zabrali policjanci.

-Nie wygłaszaj mi tu tych głupich świątobliwych sloganów, dobrze? Nie wszystkie dzieci boże są dobrymi ludźmi, którzy zblądzili. Niektórzy są źli. Obłąkani. Chorzy. Mają poprzestawiane w głowach. Są źli. Nie gadaj bzdur! Znasz kogoś, kto mógłby zabić Mickeya Gainsa lub którąkolwiek z pozostałych ofiar?

- Ja... Nie mam żadnych dowodów.

- A przecucia? instynkt? Cokolwiek, James! Mówimy o ludzkim życiu. Czy chcesz, żeby to, co spotkało tego chłopaka - ręką pokazał na drzwi, ogarniając gestem kościół i ołtarz- spotkało następną ofiarę? Wiesz, co myślę? Ty mi wyjaśniłeś, w jaki sposób męczennice zostawały świętymi. Założę się o emeryturę, że dziś działał tu ten sam facet. Pomóż mi, dobrze?

- Chciałbym, ale nie mam pojęcia, kto to zrobił. - James patrzył na niego zmęczonym wzrokiem, z twarzą nagle postarzałą o wiele lat.

- Ty coś wiesz! - oskarżył go Bentz, plując ze złości śliną. James pokręcił bezradnie głową.

- Nie mogę ci nic powiedzieć.

- Ty pobożny głupi hipokryto! Ludzie giną! Mordowani w nieludzki sposób. Mickey Gains jest zaledwie czubkiem góry lodowej. - Zaciśnął palce na miękkim materiale koszuli brata. - Musisz mi pomóc, żeby powstrzymać zbrodniarza.

- Zrobię, co mogę.

-Nie wierzę! - Bentz opuścił rękę, ale nadal stał tak blisko, że prawie dotykał nosem jego twarzy. - Powiedziałeś, że chciałeś coś przedyskutować z Bogiem.

- Tak. - James oblizał wargi.

-Co?

Mięsień zadrgał w twarzy Jamesa.

- Co? - powtórzył Bentz, mrużąc oczy.

- Celibat - mruknął James.

Bingo! Bentz poczuł się tak, jakby mu ktoś przyłożył w żołądek.

-Coś jeszcze?

- Nie wystarczy?

- Coś cię łączy z Olivią Benchet. - To nie było pytanie. Zapadła cisza. Tak głęboka, że hałas z ulicy zdawał się wdzierać przez zamknięte okna.

- Skąd ją znasz? - spytał w końcu James.

- Nie mówiła ci? - Bentz spojrzał na niego zmrużonymi oczami. James pokręcił przecząco głową, a potem oparł się na krześle i przekręcił tak, że siedział teraz twarzą w kierunku okna i nie musiał patrzeć na brata.

- I nie wspomniałeś jej, że jesteśmy przyrodnimi braćmi? - Bentz odsunął się, stwarzając między nimi bezpieczny dystans, aby nie rzucić się na brata i porządnie mu nie przyłożyć. Dziś w jego żyłach krążyła wyłącznie adrenalina wywołana wściekłością.

- Po co? Wie tylko, że mam przyrodniego brata, z którym nie utrzymuję stosunków. - Wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu. - A ty? Dlaczego jej nie powiedziałeś?

-Nie było okazji.

James prychnął powątpiewająco. W tym samym momencie drzwi biura otworzyły się z trzaskiem.

Bentz omal nie wyskoczył ze skóry. Do pokoju wszedł dostojny starszy ksiądz.

- Co tu się dzieje? - zapytał. Miał władcze niebieskie oczy, niski zirytowany głos i był bardzo pewny siebie. - Dlaczego policja i prasa łążą po domu Boga? Zadzwoń! Pani Flanders z naszej ulicy i powiedziała, że coś się tu stało...

Zatrzymał wzrok na Bentzu, który już otwierał portfel z odznaką policyjną.

- Popelniono morderstwo, wielbny ojcie. Tutaj, w kościele - wyjaśnił James. — Zginął Mickey Gains.

Wielebny zbladł i ugięły się pod nim nogi.

- Nie... Dopiero co go widziałem... Miał zamknąć kościół... -Umilkł, oparł się o ścianę, zamknął oczy i przeżegnał się. Wydawało się, że lada chwila straci przytomność. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Zostawił ksiądz otwarty kościół — zarzucił mu James.

- Wiesz, jakie mam zasady... Mickey? Mój Boże! - Mrugając gwałtownie, jakby chciał w ten sposób lepiej zrozumieć, co się stało, przeżegnał się szybko i znów pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Proszę mi powiedzieć wszystko, co ksiądz wie. - Bentz otworzył notes.

- Nic... To jeden z chłopców, który służy do mszy... - Głos mu się załamał. Ukrył twarz w dłoniach. - Nie mogę uwierzyć... Nie Mickey., Nie Mickey.

Ktoś zastukał do drzwi i do środka zajrzał Montoya.

- Czy wielbny O'Hara? - zapytał.

Wielebny skinął głową i nawet znalazł siły, aby się wyprostować.

- Tak, o co chodzi?

Montoya spojrział ciemnymi oczami na Bentza.

- Była taka sprawa parę lat temu. Chłopiec w Jąckson, w stanie Missisipi.

Ojciec O'Hara zbladł jeszcze bardziej. Bentz znał tę sprawę. Reggie Benchet powiedział mu o pedofilu, wobec którego w końcu zrezygnowano z oskarżenia. Chodziło o ojca Harrisa czy Henry'ego... A może o O'Ha-rę?

- To była pomyłka - powiedział wielbny O'Hara, ale w kącikach ust zebrała mu się ślina, a ręce drżały. - Nieprawdziwe oskarżenia złośliwego chłopaka. Sprawę umorzono z braku dowodów. Mnie przeniesiono. Tutaj.

- Czy wycofano oskarżenie z braku dowodów, czy dlatego, że rodzina dostała pieniądze? - spytał Montoya.

- Rodzina doszła do wniosku, że chłopak kłamał. Przyłapałem go w szatni, kiedy robił rzeczy nie do pomyślenia... To była pomyłka.

- To znaczy, że ksiądz może pojechać ze mną na komisariat i złożyć oficjalnie zeznanie. - Montoya przeniósł ciemne oczy na ojca Jamesa. -I ksiądz też.

- Bardzo chętnie - odrzekł James.

Montoya wyszedł z księżmi. Bentz jeszcze raz się rozejrzył. Był święcie przekonany, że to robota tego samego obłąkanego mordercy, który zabija kobiety w dni świętych patronek. Na pewno. Chyba że ktoś tutaj go naśladował. Ktoś, kto zabił Mickeya Gainsa, miał dość informacji z prasy, żeby popełnić własną chorą i okrutną zbrodnię, na tyle podobną, by narobić zamieszania.

To też się już zdarzało.

Dwaj mordercy związani z Kościołem katolickim?

Czy tylko jeden?

Rozejrzył się po kościele. Był pusty, jeśli nie liczyć kilku policjantów.

Bentz nie był religijny i nie bardzo wiedział, jaki właściwie ma stosunek do Boga, ale został wychowany w wierze katolickiej i to była jego parafia. Przychodził do świętego Łukasza na Boże Narodzenie i Wielkanoc, od czasu do czasu bywał na niedzielnej mszy, zwykle razem z Kristi. Uczestniczył w ślubach dwóch kolegów policjantów przy tym samym ołtarzu, przy którym zamordowany został Mickey. Raz był tu na pogrzebie i raz nawet zaproszono go na chrzest.

Dwóch morderców?

Niemożliwe.

Ojciec Roy O'Hara, pedofil?

Ojciec James McClaren, ksiądz, który nie potrafi poradzić sobie z celibatem, przyrodni brat Bentza?

Brian Thomas, młody człowiek zainteresowany Kristi, który studiował kiedyś w seminarium i miał na pieńku z Kościołem i rodzicami?

Brat Olivii, kimkolwiek jest? Genetyczny związek mógłby tłumaczyć jej wizje i to, że oglądała zbrodnię oczami mordercy.

Student któregoś z uniwersytetów, który znał swoje ofiary?

Profesor?

Nancois Franz?

Ślad musi być tutaj, w tym kościele... Morderca przyszedł tu z jakiegoś powodu. Jakiego?

Jeśli zabójca nie jest księdzem, to po co przyszedł do kościoła? Pomodlić się? Wypowiadać? Czuć obecność Boga? Czy szukać kolejnej ofiary?

Bentz marzył o papierosie i drinku. Potrzebował czasu, by usiąść i pomyśleć, z papierosem w popielniczce, z whisky z lodem w szklance "a stoliku. Nikotyna i alkohol - tylko trochę, żeby móc się zrelaksować i skoncentrować... Teraz przyglądał się zmrużonymi oczami wielkiej figurze ukrzyżowanego Chrystusa, sięgającej do sufitu. Witraże błyszczą-fy w świetle lamp. Koło ołtarza czerwieniła się krew.

Popelniono morderstwo.

W domu bozym.

W mieście Bentza.

Dlaczego tutaj? Dlaczego nie w katedrze świętego Ludwika? Dlaczego nie w innym kościele? Musiało być jakieś wyjaśnienie.

Ciekawe, czego by się dowiedział, gdyby założył podsłuch w telefonach obu księży. Pocierając popołudniowy zarost, zastanawiał się nad możliwymi opcjami. Może pójść do prokuratora okręgowego i do sędziego, ale nie ma dość dowodów. Z drugiej strony sam potrafi założyć podsłuch i ma w domu niezbędne wyposażenie. Zająłoby mu to najwyżej dwie godziny. Poza tym ma kumpla w dziale dochodzeniowym firmy telefonicznej. Larry na pewno by mu pomógł, nieraz pomagał w przeszłości. Za sześciopak.

„Będziemy działali ściśle według przepisów”, powiedziała Melinda Jaskiel, ale, jak na razie, przepisy niewiele pomagały. Miał u Jaskiel dług wdzięczności. Parę lat temu zaryzykowała, dając mu pracę. Teraz miał jej odpłacić zainstalowaniem podsłuchu i nielegalnej kamery, a po ich zdemontowaniu, na podstawie uzyskanych informacji, złapać mordercę. Nikt, oprócz Larry'ego Diiisa, niczego by nie wiedział. Nawet Montoya. Jeśli Bentz ma ponieść konsekwencje, to poniesie je sam.

Może podsłuch niczego nie da?

A może da. Ruszył do drzwi, żeby poszukać Olivii, wmawiając sobie, że podsłuch nie ma nic wspólnego z jej kontaktami z Jamesem. To go przecież nie obchodzi. Chce tylko złapać mordercę.

Marzył o papierosie.

Wyszedł w noc i w środek domu wariatów. Samochody policyjne, prasa, ciekawscy sąsiedzi, dziennikarze z mikrofonami, dziesiątki pytań. Nigdzie nie widać Olivii.

- Czy może nam pan powiedzieć coś więcej o morderstwie, detektywie Bentz?

- Rzecznik prasowy wyda oświadczenie.

- Czy to najnowsza ofiara tego samego zabójcy?

-Nie wiem.

- Czy ofiara to kolejna studentka?

- Bez komentarza.

- Morderstwo popełniono w kościele. Czy to może być Różańcowy Zabójca?

Bentz spojrział na grupę ożywionych dziennikarzy i kamerzystów, przeważnie w okolicach trzydziestki, którzy chcieli jak najszybciej uzyskać sensacyjne informacje i bardziej interesowały ich fakty, a nie ofiara.

- Rzecznik wyda oświadczenie—powtórzył znów jak zakłęcie. - Nie mogę wcześniej niczego komentować. Dziękuję państwu.

Podszedł do dżipa, wyciągając po drodze gumę z kieszeni. I dostrzegł Olivię.

Skulona na siedzeniu pasażera, obserwowała go przez przednią szybę. Była zmęczona. Wykończona. To go nie dziwiło. Otworzył drzwi, usiadł za kierownicą i włożył kluczyk do stacyjki.

- Przepraszam, że to tak długo trwało. Myślałem, że oficer Ciarke odwiezie cię do domu.

- Chciała, ale odmówiłam. - W jej oczach pojawił się błysk. - Dlaczego, do jasnej cholery, nie powiedziałaś mi, że ojciec James jest twoim bratem? - spytała ostro i dodała, nim zdążył się odezwać: - Tylko mi nie mów, że nie było okazji, dobrze? Przecież rozmawialiśmy o nim, kiedy dałam ci listę tych chłopców.

- Nie uznałem tego za ważne - odparł, przekręcając kluczyk.

- Nie uznałeś tego za ważne? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Daj spokój, Bentz. Jest twoim bratem, prawda?

- Przyrodnim. - Wycofał się i ruszył przez dziury i kałuże, lawirując między zaparkowanymi chaotycznie samochodami.

- Och, przyrodnim. I dlatego nie uważałeś za stosowne o tym wspomnieć? Powoli tracił cierpliwość.

- A więc jesteście kwita. Ty nie raczyłaś mi powiedzieć, że z nim sypiasz.

Olivia zeszywniała, mruknęła coś pod nosem, a potem szturchnęła Bentza.

- Nie twój interes, Bentz. Wyraźnie powiedziałaś, że między nami nic nie będzie. To, co robisz i z kim jest wyłącznie moją prywatną sprawą.

- Nawet jeśli sypiasz z księdzem, który jest głównym podejrzanym w sprawie?

- Co? - oburzyła się. - Ojciec James? Nie jest...

- Śpisz z nim i nadal nazywasz go ojcem Jamesem?

-Nie śpię z nim.

- Ale spałaś.

Otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Kątem oka widział, że usiłuje się opanować.

- Prawie się z nim przespałam, jeśli chcesz wiedzieć. I nie muszę się przed tobą tłumaczyć. To był błąd. - Skrzyżowała ręce na piersiach. -Ostatnio popełniam same błędy.

- A to skurwysyn. - Bentz zwolnił, a potem skręcił.

- Zrobisz, co ci każe? - spytał i tym razem kobieta się nie zawahała. W jej oczach widział całkowitą uległość.

- To dobrze. Chodźmy. Mam dla ciebie zadanie. - Zdjął jej z nóg kajdanki, ale ręce nadal miała związane. Pomógł jej wstać i wejść po schodach na górę. - Jeżeli zrobisz coś, co mi się nie będzie podobało, będę zmuszony aktywować obrożę i... tak, użyć paralizatora. Pamiętasz jego działanie? Nie podobało ci się, prawda?

Potrząsnęła głową. Aż za dobrze pamiętała ten moment, kiedy podszedł do niej, gdy oddała już wypożyczony samochód i nim zdążyła dojść do terminalu na lotnisku.

W dzinsach, swetrze i marynarce nie wyróżniał się z tłumu, kiedy wyceLOWał w nią paralizator, złapał, zanim się przewróciła i zaciągnął do samochodu, ukradzionego w kampusie. Padał ulewny deszcz i wykorzystał parasol, żeby nie tylko chronić ich przed ulewą, lecz także przed ciekawskimi spojrzeniami. Zdążyła krzyknąć, ale paralizator i nóż przekonały ją, by była cicho. Potem ją zakneblował, związał ręce i nogi, i przywiózł tutaj.

Była doskonałym okazem i przypuszczalnie mógłby ją wykorzystać na ofiarę. Idąc za nią po schodach, obserwował mięśnie jej pośladków, napięte i krągłe, czując mile bolesną erekcję... Tak, zabicie jej byłoby prawdziwą przyjemnością. Zatrzymał Jana korytarzu, nim doszła do wejścia. Nikomu nie wolno było wchodzić do jego sanktuarium. Oprócz Boga.

- Zaczynamy - powiedział. Ustawił ją na tle zasłoniętej ściany i zrobił kilka zdjęć polaroidem. - Jeśli będziesz grzeczna... Bardzo, bardzo grzeczna, następnym razem cię wypuszczę. Będę miał dla ciebie znacznie trudniejsze zadanie - dodał, myśląc o jej komórce. - Na razie musisz jednak wrócić na dół.

Pokręciła głową.

- Tylko na krótko - obiecał, patrząc na jej lzy. - Później wyjdiesz stamtąd na dobre. Choć musisz przysiąc, że mi pomożesz. - Bez wahania pokiwała głową. Rękami kurczowo trzymała go za albę, sięgając ornatu, usiłując wpleść palce w gładkie fałdy. - Rozumiem - stwierdził. - Wiem, że to trudne, ale nic dobrego nie przychodzi łatwo. Musimy cierpieć ból i poświęcenie. Teraz... idź już. - Kiedy znów zaczęła kręcić głową, wyjął z kieszeni pilota. - Bądź grzeczna - ostrzegł.

Odwróciła się szybko i jej bosa brudna nogi zaklapały na schodach. Miał ochotę puścić trochę prądu, ale się pohamował.

Sara musi zrozumieć różnicę między nagrodą a karą.

- ...Wybacz mi, ojcze, bo zgrzeszyłem... James poczuł, że kolana się pod nim uginają. Minął ponad tydzień, od kiedy ostatni raz słyszał ten zachrypnięty głos.

- O co chodzi, mój synu? - spytał, siadając na brzegu biurka w swoim mieszkaniu. Był spięty, serce waliło mu jak młotem.

- Od mojej ostatniej spowiedzi minął tydzień i popełniłem następujące grzechy...

James przygotował się na najgorsze.

- Wymawiałem imię boskie nadaremnie i żywiłem w sercu pożądanie.

To jeszcze nic złego.

- Za pokutę odmów dziesięć razy *Zdrowaś Mario* i pięć razy *Ojcze nasz*. - Jamesowi zaschło w gardle i prawie nie mógł oddychać. Przecież ten człowiek nie mógł znów zabić... A jednak.

-1 zgrzeszyłem przeciwko piątemu przykazaniu. Zabiłem. James czuł szum krwi w uszach.

- Znowu?

Ojciec O'Hara złożył zeznania na policji i został zwolniony, gdyż miał alibi. Oczywiście wybuchł okropny skandal, szeroko omawiany przez media i kler... Nazwisko O'Hary na zawsze będzie kojarzone z morderstwem, choć był niewinny. Jednak adwokat rodziców Mickeya wniósł oskarzenie o nieprzyzwoite zachowanie, sodomie i gwałt... A teraz to...

- O, tak, znalazłem grzesznika w domu bożym.

- Grzesznika? - Jamesowi zrobiło się niedobrze.

- Ministranta, który znieważył kościół - zagrzmał głos w telefonie. - Chuligana, który ukradł wino i miał czelność pić je z kielicha, udając pobożność. Tak, z przyjemnością go zabiłem. Niech to będzie lekcja dla wszystkich, którzy sprzeciwiają się Bogu, którzy nie szanują Jego domu, którzy popełniają grzechy.

Ten człowiek jest szalony. Wszystko mu się myli.

- Posłuchaj, synu - powiedział błagalnie James, choć miał ochotę udusić tego mężczyznę. Boże, daj mi siłę, abym znalazł sposób, żeby go powstrzymać.

- Ja też szukałem rady Boga. Powiedział mi, że musisz przestać zabijać, że to nie jest jego wola. Nie wolno ci już nikogo zabić.

- Ojciec? - W głosie zabrzmiała pogarda. - Ojciec rozmawiał z Bogiem?

- Wiele razy.

-1 słyszał ojciec jego głos?

- Wiem, czego chce i na pewno nie chce przemocy. W słuchawce rozległo się prychnięcie.

- Świat jest miejscem pełnym przemocy, ojcze. Ojciec tego nie zauważył?
I od początku popełniano okropności w imię religii.

- Nie rób tego więcej. Nie grzesz.

- Aleja naprawdę rozmawiałem z Bogiem, słyszałem jego głos i moja misja jest jasna. Mam czynić dla niego ofiary. Dla męczenników. Żeby potwierdzić ich męczeństwo.

- Co takiego? - spytał James. Bentz miał rację.

- Ojciec nie rozumie, prawda? Od razu wiedziałem, że nie mógł ojciec rozmawiać z Bogiem.

I zaczął opowiadać o swojej misji, o tym, jak znajdował najdoskonalszą osobę do poświęcenia w dzień świętej patronki, dokładnie tak, jak to wyedukował Rick Bentz. Mówił bez wytchnienia, jakby był zadowolony, że wreszcie może się wygadać. Wyrażał się jak wykładowca... Jakby był przyzwyczajony do tego, że ludzie go słuchają. Ksiądz? Polityk? Prezes rady nadzorczej? Nauczyciel? Ginęły studentki, znikwały w okolicach terenów uniwersyteckich. Profesor?

- Czy dostanę pokutę? - zapytał w końcu.

- Oczywiście... Oczywiście... Taką samą, jak przedtem. Odmów różaniec i zgłoś się na policję...

- Ludzie nie będą mnie sądzili! Spowiadam się tylko Bogu za ojca pośrednictwem.

Rozłączył się, a James trwał ze słuchawką przy uchu. Rzucił ją, nie zdając sobie sprawy, że się rozłączył i że słuchawka wisi na brzegu biurka.

James padł na kolana i modlił się tak, jak jeszcze nigdy w życiu.

Bentz nagrał całą rozmowę. Odczuwał ulgę, że James nie jest mordercą, ale dźwięk ochryplego głosu przyprawiał go o dreszcze. Wziął kilka pastylek gumy i wykręcił numer do kumpla w centrali telefonicznej. Może Larry będzie miał dla niego jakąś wiadomość. Może uda mu się złapać mordercę. Może będzie miał szczęście.

- O co chodzi, do diabła? - spytał Brian Thomas, gdy otworzył drzwi i zobaczył na progu dwóch policjantów.

Jeden miał ciemną cerę i wyraz twarzy, który mówił: „Nie ze mną te numery”, drugi był starszy, czujny, ale... O, cholera, rozpoznał ojca Kri-sti ze zdjęcia, które nosiła w portfelu.

- Chcielibyśmy porozmawiać - wyjaśnił Bentz.

- Nic nie zrobiłem pana córce.
- A więc wie pan, kim jestem? - Miał uśmiech zimny jak śmierć.
- Mówiła, że na pewno się pan do mnie odezwie.

Cofnął się i wpuścił ich do mieszkania. Jedyne pokój był mamie umebłowany i dość zabałaganiony, ale głównie go to obchodziło. Gliniarze nie mogli się do niczego przyczepić. Całą trawkę wypalił poprzedniej nocy i nie miał w domu niczego mocniejszego. Ale pocił się i niewątpliwie obaj gliniarze, którzy przyglądali się teraz półce z książkami... O, cholera! Fajka do palenia trawki. Zostawił ją przy łóżku razem z puszkami po piwie i Bentz, oczywiście, zauważył je i zacisnął usta.

- Musimy zadać panu parę pytań - powiedział i wskazał fotel przy oknie. - Niech pan siada.

Brian pocił się coraz bardziej. Co takiego mają na niego gliniarze? Już raz, dawno temu, miał do czynienia z policją. Pamiętał aresztowanie, ręce skute kajdankami, przesłuchania ciągnące się godzinami, zdejmowanie odcisków palców, wrzucenie do celi z najgorszymi bandytami... Zacisnął zęby i usiłował się skupić. Nie zrobił niczego złego. Niczego mu nie udowodnią.

- Kristi mówiła, że w końcu pan do mnie przyjdzie. Że każdy, kto się z nią spotyka, musi się liczyć z jakimś przesłuchaniem.

- Tylko kilka pytań - powiedział Montoya. - Nic wielkiego, człowieku. Nie denerwuj się i zaraz skończymy.

- Może powinienem zadzwonić po adwokata?

- Potrzebuje pan adwokata? - spytał Bentz, unosząc podejrzliwie brwi.

-Nie wiem.

- Jeśli nie zrobił pan niczego złego, adwokat nie będzie potrzebny - stwierdził Montoya i nogą podsunął sobie kuchenne krzesło. -Niech pan siada. Spokojnie. Tylko parę pytań.

Głównie prawda, pomyślał Brian, ale usiadł w fotelu, zastanawiając się, czy czują zapach trawki wiszący w powietrzu. Bentz nie usiadł. Nie ukrywał też, że nie ufa Brianowi. Najwyraźniej nie podobało mu się to, że spotyka się z jego córką i Brianowi nagle przypomniały się filmy, w których gliniarze podrzucali u kogoś w mieszkaniu dowody, a potem grozili konsekwencjami, dopóki przesłuchiwany się do czegoś nie przyznał. Przełknął głośno ślinę. Nawet gdyby się wybronił, jego kariera na uniwersytecie się zakończy.

Mądrzej będzie współpracować.

Zadali mu milion pytań. Niektóre dotyczyły wydziału i studentów, ale dużo wiązało się z doktorem Franzem i jego dwiema żonami. Gdy

wybuchł skandal, Brian studiował w Ali Saints i wykonywał pewne prace dla pierwszej żony, doktor Nanchoise Franz. Pytali go także o kobiety, o których czytał w gazetach: Leslie Franz, Cathy Andersen i Stephanie Jane Keller - ofiary seryjnego mordercy. Przez chwilę gapili się na dwa miecze nad łóżkiem, a potem spytali o broń i co robił w wojsku. Powinien zadzwonić po adwokata, najwidoczniej uważają, że jest związany z mordercą.

Albo, co bardziej prawdopodobne, Bentz się na niego wziął za to, że spotyka się z jego ukochaną córeczką. Czy policja nie ma nic lepszego do roboty niż czepianie się niewinnych ludzi, na litość boską?

Przecież chyba nie sądzą, że ma z tym coś wspólnego? To idiotyzm. Nawet nie znał tych dziewczyn.

Bentz spytał go o oskarżenie o gwałt i studia w seminarium. Pytali też o jakieś święte. O co im chodzi? Bentz wiedział też, że przed przeniesieniem się do Ali Saints Brian studiował w Tulane psychologię pod kierunkiem doktora Leedsa.

- To kompletny głupek - stwierdził Brian, wycierając spocone dłonie o dzinsy. - Strasznie nadęty i przekonany o własnej ważności. Przez niego i przez doktora Suttera rzuciłem psychologię i postanowiłem zrobić doktorat z filozofii. Doszedłem do wniosku, że ludzie interesują się psychologią, kiedy z nimi jest coś nie w porządku. Mają problemy, idą do psychiatry, rozkoszują się gadaniem o sobie i postanawiają zarabiać, słuchając innych...

Brian umilkł. Po co tyle gadać? Dawno temu, przy okazji kłopotów z oskarżeniem o gwałt na nieletniej, adwokat powiedział mu, żeby odpowiadał dokładnie na pytania i nigdy sam z siebie nie dodawał żadnych informacji.

Dzięki Bogu gliniarze wreszcie poszli, po jakiejś półtorej godzinie. Brian podszedł do okna i wyjrzał przez brudne szyby na parking. Wsiadli do dżipa, Bentz usiadł za kierownicą. Po co tu w ogóle przyjechali? I czy naprawdę o coś go podejrzewali? Poczul się trochę nieswojo.

Pomyślał, że zadzwoni do Kristi i ją ochrzani za wizytę tatusia, ale w końcu zrezygnował. Postanowił jednak, że wieczorem się z nianie spotka. Bentz prawdopodobnie odwiedzi córkę i Brian nie miał najmniejszej ochoty znów go widzieć. Nie, potrzebuje trochę czasu, żeby się zastanowić. A w ogóle, to po co się umawiał z córką gliniarza?

Wyjął z lodówki piwo i właśnie je otwierał, kiedy znowu ktoś zadzwonił do drzwi. Cholera! Jeszcze raz policja? No, nie! Pociągnął duży tyk i wyjrzał przez okno. Dżip odjechał. Bardzo dobrze.

Kto dzwoni? Uśmiechnął się na myśl, że zna odpowiedź.

Złość już mu trochę przeszła. Po powrocie Kristi z domu spotykali się trochę rzadziej, nie dlatego, że nie chciał jej widywać, lecz postanowił, że pewna rezerwa dobrze jej zrobi. Wyczuł, że lubi wyzwania i zamierzał to wykorzystać. Może wtedy wreszcie się z nim prześpi. Ciekawe, jakby się to spodobało tatusiowi?

Dzwonek znów zadzwonił.

- Idę! - zawołał. - Nie podniecaj się tak - dodał pod nosem. Przeczesał palcami włosy i otworzył drzwi. Uśmiech przylepiony do twarzy znikł, gdy zobaczył, kto stoi za drzwiami. - Co pan tu robi? - spytał i wtedy zobaczył paralizator. - Hej, co jest?

Za późno. Upadł, patrząc, jak piwo leci na podłogę.

- Czy on jest podejrzany, tato? Aresztujesz go? - dopytywała się Kristi, ignorując hot doga i colę, które kupił jej ojciec. Razem z Montoyą zabrali ją na szybki posiłek do baru koło uniwersytetu i zaskoczyli informacją, że rozmawiali z Brianem. Grupa studentów tkwiła przy ladzie i Kristi spuściła głowę. Nie chciała, żeby ktoś widział ją z ojcem, kiedy jest na służbie.

- Powiedzmy, że jesteśmy nim „zainteresowani”. - Bentz usiadł naprzeciwko niej przy stoliku z plastikowej imitacji drewna.

- Zainteresowani? Co to właściwie znaczy?

- Że będę go śledził.

- Nie. - Miała ochotę powiedzieć coś ojcu do słuchu. - Chcesz mi zrujnować życie? To właśnie robisz! - Rzuciła okiem na Montoyę. - Prześladowuje Briana, bo się z nim spotykam, tak?

- Nie. Facet jest podejrzany. - Montoyą zachowywał się inaczej niż zwykle. Był bardziej zasadniczy, zły. Cała ta sprawa jemu też dała w kość.

- A co z zasadą, że każdy jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy? Takie jest prawo w tym kraju. Daj mi pożyczyć, tato.

- Ten człowiek jest niebezpieczny.

- Morderca jest niebezpieczny. Nie Brian. Znam go. Nie jest zabójcą.

- Akurat. Chcę, żebyś wróciła ze mną do domu. Teraz. - Bentz wstał. - Tutaj jest niebezpiecznie.

- Dla kogo? Dla wszystkich? Czy tylko dla mnie? Zamierzasz odesłać do domu wszystkich studentów, bo wydaje ci się, że jeden z asystentów może coś wiedzieć o morderstwach?

Bentz zacisnął zęby.

- Nie, tego nie mogę zrobić, ale mogę go aresztować. Mam dość Poszlak, by go na jakiś czas zatrzymać - powiedział, wiedząc, że naciąga prawdę. Nie miał niczego konkretnego. Wyłącznie przeczucie. W dodatku

facet spotyka się z jego córką. Widział u niego w mieszkaniu fajkę do palenia trawki i puszki po piwie. Mógł zamknąć gościa za narkotyki, a jeśli zapraszał do siebie niepełnoletnich studentów, za podawanie alkoholu. - Albo wrócisz ze mną do domu, albo go aresztuję. Co wolisz.

- Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej.

- To niesłychane. Zrobiłbyś mi coś takiego?

- Bez namysłu, jeśli uznałbym, że cię w ten sposób uchronię przed śmiercią.

Broda jej zadrżała, ale po sekundzie się opanowała.

- Jeżeli to zrobisz, nie wybaczę ci nigdy w życiu. Nigdy. Spojrzał na zegarek.

- Masz godzinę, żeby oddać referaty i się spakować. Możesz codziennie dojeżdżać na zajęcia. Razem z ochroniarzem.

- Jeszcze czego. Mam osiemnaście lat. Nie możesz mnie zmusić... Wyraz jego oczu sprawił, że umilkła. Była umówiona z Brainem w bibliotece za pół godziny.

Będzie mogła mu wszystko wyjaśnić, ale jeśli teraz zbyt szybko skapitułuje, ojciec nabierze podejrzeń.

- A więc mam do wyboru zostawić studia albo się kompletnie pogрузić. Brian mnie znienawidzi tak czy inaczej.

- Przeżyjesz to.

- Potrafisz się zachować jak ostatni drań. Wiesz o tym, prawda? Znowu spojrzał na zegarek.

- Masz pięćdziesiąt osiem minut.

Olivia wybiła cenę na kasie, szybko zawinęła w bibułkę świecę o zapachu porzeczkowym i podała je postawnej kobiecie z siwymi loczkami, która uśmiechnęła się i życzyła jej wesołych świąt. Mrugnęła, wkładając torbę pod pachę.

- Już niecały miesiąc. Jutro jest pierwszy grudnia.

- Zgadza się. Pani też życzę wszystkiego najlepszego. Kobieta wyszła ze sklepu. Zadzwończy dzwoneczki, które Tawilda powiesiła nad drzwiami najaskrawoczerwonej kokardzie.

Olivia spojrzała na zegarek... Jeszcze godzina do zamknięcia. Zamierzała spędzić kilka godzin w bibliotece, a potem wrócić do domu i wziąć długą kąpiel. Nie zachwycała jej myśl o Bożym Narodzeniu. W tym roku po raz pierwszy miała je spędzić bez babki, w dodatku sama w Lui-zjanie, a nie z przyjaciółmi w Tucson.

A propos przyjaciół. Była wściekła na Sarę. Czasem nie odzywała się przez tydzień czy dwa, ale to, że nie zadzwoniła, żeby powiedzieć, iż dotarła do domu, że dobrze się bawiła u Olivii, że naprawdę kocha Leo i nie wyobraża sobie rozwodu, nie było do niej podobne. Dzwoniła do Sary już dwa razy, za każdym razem nagrywając się na automatyczną sekretarkę.

Może Sara wpadła w depresję? Nieuchronność rozwodu i zbliżające się święta mogły ją przytłoczyć.

A ty? Co robisz na Boże Narodzenie? Z kim spędzisz te święta?

Z Rickiem Bentzem? Na pewno nie. Ich rozmowy dotyczyły wyłącznie spraw służbowych, a w dodatku wciąż miała do niego pretensję, że nie powiedział jej o ojcu Jamesie McClarenie.

A ojciec James? O, Boże, nawet nie chciała o tym myśleć. Omal nie poszła z nim do łóżka, zaledwie w tydzień po tym, jak kochała się z jego przyrodnim bratem. Nie, najlepiej jej było bez mężczyzn. Da sobie radę. Przypuszczalnie będzie musiała latami chodzić na psychoterapię po dwóch ostatnich mężczyznach w jej życiu. Już Bentz dał jej w kość, a potem jeszcze ksiądz... Czy naprawdę jest aż tak zdesperowana? James McClaren to dobry, miły człowiek, a ona omal nie sprowadziła go na drogę grzechu... Nie, nawet nie będzie o tym myślała.

Dzięki Bogu, że się w ostatniej chwili opamiętali i zdali sobie sprawę z tego, że mało brakowało, a popełniliby błąd, który zniszczyłby im życie.

Zadzwęczały dzwonki, gdy weszły kolejne klientki. W tym samym momencie zadzwonił telefon.

- Trzecie Oko - powiedziała Olivia.

- Cześć, Liwie, udało ci się Święto Dziękczynienia? - spytała Bernadette.

- Tak - odparła automatycznie Olivia, starając się zachować spokój.

Matka wyciągała do niej rękę. To dobrze. Tylko nie pozwól się zdenerwować. ~ Przyjechała moja przyjaciółka Sara, z Tucson.

- To dobrze.

-A ty?

- W porządku... Nie, to nieprawda. Jeb i ja się rozstajemy. Doszłam do wniosku, że masz rację. To mi nie jest potrzebne. Pojechałam do San Antonio, spędziłam samotny weekend i wszystko sobie przemyślałam. Jakiś czas temu wypełniłam papiery, ale wstrzymałam się z rozwodem... Chyba już nigdy nie wyjdę za mąż.

Olivia omal się nie roześmiała.

- Jesteś z tych kobiet, co nie mogą żyć bez małżeństwa. - W przeciwieństwie do mnie, dodała w myśli. - A więc jednak rozwód?

- Tak - stwierdziła stanowczo Bemadette. -l mam nadzieję, że nasze stosunki się poprawią. Wiem, że nie byłam najlepszą matką, ale może teraz, kiedy jesteś dorosła, zostaniemy przyjaciółkami?

Olivia była zdumiona. To mówi jej matka? Egoistyczna Bemadette?

- Byłoby miło... - powiedziała Olivia i zobaczyła, że jedna z kobiet, niska i szczupła, w granatowym żakiecie, chowa do kieszeni szklany przycisk do papierów. - Muszę kończyć, mam.

- Poczekaj chwilę...

Złodziejka obejrzała się przez ramię, sięgając po kolejną rzecz, kryształowego renifera, i kiedy dostrzegła, że Olivia jej się przygląda, obejrzała ozdobę i odstawiła na półkę. Olivia słuchała matki jednym uchem.

- Dzwonię właściwie dlatego, że przypomniało mi się nazwisko związane z adopcją mojego syna.

- Co? - spytała Olivia, nie zwracając więcej uwagi na złodziejkę.

- Thomas.

- Thomas?

- Tak, jestem pewna. Mojego syna zaadoptowało małżeństwo Tho-masów.

- Jakich Thomasów?

- To było ich nazwisko... Ale może się myłę... - Bemadette zawahała się. - Słyszałam, jak twoja babka mówiła kiedyś coś na ten temat i wspomniała o jakichś Thomasach. Tak mi się wydaje. Mam nadzieję, że ci to pomoże.

- Tak, mam, dziękuję. - Złodziejka szła do drzwi. - Chwileczkę! - zawołała Olivia i rzuciła słuchawkę. - Pani coś wzięła... - Kobieta błyskawicznie wypadła ze sklepu. Olivia ruszyła za nią, ale kiedy znalazła się na ulicy, kobieta zniknęła w tłumie. Było ciemno, padał deszcz i jej granatowy żakiet wtopił się w mrok. Świąteczne światła oświetlały Jack-son Square, ale Olivia nie była w świątecznym nastroju.

- Super - mruknęła. Nie powinna opuszczać sklepu, Tawilda miała wrócić z obiadu dopiero za piętnaście minut.

Olivia ruszyła z powrotem, ale nagle zobaczyła swoje odbicie w szybie wystawowej. Miała potargane włosy i bladą twarz. Robiąc krok do wejścia, po raz pierwszy w tym tygodniu wyczuła jego obecność... Za swoim odbiciem dostrzegła mgnienie twarzy...

Nie!

Ludzie przechodzący ulicą skurczyli się, hałas ucichł, zaczęła boleć ją głowa. Był tam, gapił się na nią, niebieskooki, ciemnowłosy, kościsty, w pewnym sensie podobny do niej, jednak to nie ojciec James, nie, i..-Odwrócił wzrok, jakby go ktoś zawołał. Skupił się na kimś innym i Olivia zobaczyła twarz kobiety. Tępy ból rozsadał jej głowę. Młoda dziew

czyna z długimi kasztanowymi oczami, pewna siebie... Twarz, którą Olivia już widziała. Na fotografii oprawionej w podwójną ramkę, na biurku oficera Ricka Bentza.

Rozdział 56

Gdzie podziewa się Brian? Miał się z nią spotkać już piętnaście minut temu. Kristi stała na krużganku biblioteki, wpatrując się w strugi deszczu. Choć dopiero minęła piąta, dzień był już ciemny i ponury.

Zostało jej tylko siedemnaście minut do spotkania z ojcem. Zdążyła umówić się z Brianem na pięć minut przed jego przyjazdem. Brian, przez telefon, wydawał się dziwny, jakby się napalił trawy, był przestraszony czy wściekły. Trudno się mu dziwić, skoro nagle odwiedził go ojciec dziewczyny, gliniarz, i zaczął przesłuchiwać. Na samą myśl poczerwieniała ze złości. Czasami nienawidziła ojca.

To przecież nie jest twój prawdziwy ojciec.

Może na tym polega problem? W każdym razie Bentz namieszał w jej stosunkach z Brianem i jeszcze bardziej je skomplikował.

Odkąd wróciła po Święcie Dziękczynienia wszystko się zmieniło. Brian był humorzasty i spięty. Coś mu doskwierało. Twierdził, że to dlatego, że kończy się semestr i że Zaroster daje mu w kość, jednak Kristi wyczuła, że chodziło jeszcze o coś innego.

Kilka razy zaczynali coś, co mogłoby się skończyć w łóżku, ale Kristi zawsze przerywała pieszczoty, bo miała wątpliwości, chociaż nie potrafiłaby określić czego właściwie dotyczyły. Myślała o Jayu. On ją kocha, a Brian nie. Wiedziała o tym i wydawało jej się, że... To brzmiało dość anachronicznie, lecz miała wrażenie, jakby chciał ją wykorzystać, zapisać na swoim koncie jeszcze jeden podbój.

To było takie konserwatywne myślenie. Równie dobrze mogła wszystko odwrócić i spojrzeć od innej strony, wtedy by się okazało, że to on jest jej zdobyczą. Akurat. Pogódź się z tym, że myślisz inaczej. Spojrzała na ulicę i zobaczyła nadjeżdżający samochód Briana. Nie wystawił jej do wiatru, tylko znowu się spóźnił. Pomachała mu ręką, naciągnęła kaptur i mrużąc oczy przed deszczem, pobiegła przez kałuże do miejsca, gdzie zwolnił.

- Cześć! - wsiadła do samochodu, zatrzasnęła drzwi i pochyliła, żeby go pocałować. Nie zareagował i ze wzrokiem wbitym przed siebie nacisnął na gaz. Dopiero wtedy zauważyła, że z tyłu siedzi jakiś facet w kominiarce. Na moment wstrzymała oddech. Cholera! Brian miał na szyi coś

w rodzaju obroży. - Co tu się dzieje? - spytała, sięgając do klamki. Facet z tyłu wyciągnął rękę między siedzeniami i wymierzył w nią pistolet. -Nie! - zawołała. Ostatnią myślą było to, że ojciec miał rację. Była idiotką. -Nie...

Jej ciało przeszył prąd.

Bentz spojrział na zegarek w tej samej chwili, kiedy zadzwoniła jego komórka. Stali w podwójnym rzędzie zaparkowanych samochodów przed Cramer Hali, czekając na Kristi. Spóźniała się już dziesięć minut. Bentz złapał telefon.

-Bentz.

- Mówi Olivia. On znów poluje - wyrzuciła z siebie. - Szuka Kristi. Widziałam to jego oczami.

Rick poczuł lodowate zimno przenikające do serca.

- O czym ty mówisz?! - Nie, to nie może być prawda. Przecież Kristi pakuje się w akademiku. Ruszył biegiem, trzymając przyciśnięty do ucha telefon. Montoya biegł za nim. Przepchnął się przez grupkę zaskoczonych dziewcząt, które schodziły po schodach.

- Mówię, że jej szuka, może już jama.

- Nie, to niemożliwe. - Bentz nie mógł uwierzyć.

- Chwileczkę! - zawołała za nim kobieta z recepcji.

- Jestem w jej akademiku - powiedział do telefonu.

-Znajdź ją!

- Na pewno to zrobię.

- Jeszcze jedno, Bentz. Dzwoniła matka. Powiedziała, że ludzie, którzy adoptowali mojego brata, nazywali się Thomasowie.

- Cholera!

- Mogę go zidentyfikować. Widziałam jego twarz - dodała.

- Jedź na policję, niech ktoś sporządzi portret pamięciowy, i obejrzyj zdjęcia Briana Thomasa. To facet, który spotykał się z Kristi. - Rozłączył się, ruszył na górę, przeskakując po dwa stopnie i rzucił telefon Montoi. - Zadzwoń po posiłki. Poślij kogoś do mieszkania Briana Thomasa. Olivia go zidentyfikowała. - Sięgnął po broń, znalazł pokój Kristi i otworzył drzwi.

- Co pan tu robi? - zapytała jej współlokatorka, obracając się na krześle.

- Szukam córki. Gdzie ona jest? - Panika dusiła go za serce. Lukrecja wzniosła oczy do nieba.

- Wiedziała, że ma pan przyjechać? Wyszła jakieś pół godziny tepiu-

-Dokąd?

—Nie wiem. Chyba mówiła coś o bibliotece. Wydaje mi się, że się umówiła z Brianem Thomasem, asystentem z filozofii. Niech jej pan powie, że będzie miała kłopoty, bo studentom nie wolno spotykać się z...

Nie słyszał reszty. Był już w połowie korytarza.

- Nie, to nie on - upierała się Olivia, patrząc na zdjęcie Briana Thomasa i kręcąc głową.

- To musi być on. - Bentz, siedząc za biurkiem, spojrzął na nią wściekłym wzrokiem. Biurko zarzucone było aktami i zdjęciami z miejsc zbrodni, które Olivia widziała w swoich wizjach, ofiary upozowane na święte: Cecylia, Maria Magdalena, Joanna d'Arc i inne. A teraz morderca miał Kristi. Olivii zrobiło się słabo, usiadła na krześle przy biurku.

Bentz postukał palcem w zdjęcie i przechylił się nad biurkiem.

- Popatrz jeszcze raz - rozkazał. - To musi być ten człowiek. Ponownie przyjrzała się fotografii, ale to nic nie dało.

- Przykro mi, Rick, ale to nie on. Jestem pewna - dodała z przekonaniem, wytrzymując wściekły wzrok Bentza. W jego oczach dostrzegła strach, wiedziała, że umiera z niepokoju o córkę. Olivia umierała razem z nim. Nie wiadomo było nawet, czy Kristi jeszcze żyje. Albo czy nie jest poddawana jakimś strasznym torturom. Olivia miała wrażenie, że jej krew zmieniała się w lodowatą wodę. - Chciałabym ci pomóc, ale...

- To próbuj, do cholery! Podaj mi jego nazwisko. Twoja matka powiedziała, że jej syna adoptowali jacyś Thomasowie, a więc to musi być ten człowiek. - Uderzył pięścią w biurko i zapomniana kawa wylała się z filiżanki. - Niech to szlag trafi! - Wytarł powiększającą się ciemną plamę chusteczką.

- Weź się w garść, człowieku - powiedział Montoya, wchodząc do pokoju.

- Idź do diabła! - Bentz wymierzył wskazujący palec w partnera.

- Ty pierwszy.

- Ja już jestem w piekle.

- Ja też - warknął Montoya.

Bentz wsunął palce w potargane włosy.

- Zabierz ją na dół - powiedział, wskazując Olivię. Przez moment patrzyli sobie w oczy i w jego wzroku Olivia dostrzegła nie tylko strach, lecz także głęboką nieufność. - Niech ten pieprzony artysta weźmie się do roboty i da mi rysunek, portret komputerowy, cokolwiek. Byle szybko!

Rzucił okiem na zdjęcia Kristi na biurku. Zgarbił się, ale tylko na moment. Za sekundę znów był wściekły, wyszły mu żyły na szyi, zacisnął usta.

- Musimy znaleźć tego skurwysyna, nawet gdybyśmy mieli rozwalić tę uczelnię. - Pokazał palcem na Montoyę. - Przynieś mi zdjęcia wszystkich mężczyzn powyżej dwudziestki, którzy kiedykolwiek przebywali na terenie Ali Saints w ciągu ostatnich dwóch lat. - Wbił wzrok w Olivię. -Może kogoś rozpoznasz - stwierdził zimno, jakby jej nie ufał. Tak jak wtedy, gdy przyszła do niego parę tygodni wcześniej. I jakby nie mógł znieść jej widoku, rozkazał Montoi: - Zabierz ją na dół.

Zadzwonił telefon i Bentz podniósł słuchawkę, odwracając się do niej plecami. Zrozumiała, że nie chciał nawet być z nią w tym samym pomieszczeniu.

- Chodźmy do artysty - powiedział Montoya. Wstała, wyprostowała się, i na uginających się nogach poszła na dół.

Trzy godziny później, gdy policyjny artysta do spółki z komputerem stworzył w miarę sensowny portret pamięciowy, wyszła na rozjarzone światłami ulice Nowego Orleanu. Całe miasto udekorowane było na święta, łącznie z komisariatem policji, ale Olivia nie potrafiła wykrzesać z siebie świątecznego nastroju. Ani odrobiny. Wsiadła do samochodu, przez moment pomyślała o tym, żeby wrócić i stawić czoło Bentzowi, ale wiedziała, że tylko będzie przeszkadzała.

Miała nadzieję, że uda mu się odnaleźć mordercę i uratować córkę. Mordercę, którym mógł być jej brat.

Niech to diabli wezmą!

Komórka zadzwoniła, gdy włączyła silnik.

- Halo? - powiedziała, sprawdzając, czy może wyjechać z parkingu.

- Olivia? - zapytała Sara drżącym głosem.

- Sara! - zawołała Olivia z ulgą. - Gdzie jesteś? Dzwoniłam do ciebie wiele razy i stale odzywała się sekretarka.

- Nie wróciłam do Tucson.

- Co? - Sara mówiła dziwnym głosem. Może jest zmęczona? Tak przynajmniej wydawało się Olivii, gdy usiłowała usłyszeć głos przyjaciółki przez warkot silnika, odgłosy ruchu ulicznego i trzaski w telefonie. — Nie wróciłaś? Ale przecież wyjechałaś ponad tydzień temu.

- Wiem. Myślałam... Miałam nadzieję, że dojdę do porozumienia z Leo.

- Zaczekaj chwileczkę. - Olivia wyłączyła urządzenie do odmrażania szyb z nadzieją, że będzie lepiej słyszała. - Mówiłaś, że zgodziłaś się na rozwód.

-Byłam... Jestem... No, sama nie wiem...-To by wyjaśniało dziwny ton jej głosu. - Miałam nadzieję, że spotkamy się u świętego Łukasza i że będziemy mogły porozmawiać z ojcem Jamesem.

Na myśl o księdzu Olivia przygryzła wargę.

- To może być na razie niemożliwe - powiedziała, czując dreszcze, gdy przypomniała sobie zamordowanego chłopca. - W zeszłym tygodniu mieli kłopoty.

- Wiem, słyszałam, ale... Rozmawiałam właśnie z ojcem Jamesem. Chciałby, abyś przyszła do kościoła.

-Naprawdę? - spytała ze zdumieniem Olivia.

Nie widzieli się od tego wieczoru, gdy zginął Mickey Gains. Poza tym James chyba wolałby porozmawiać z Sara w cztery oczy. Czyżby jednak chciał ją zobaczyć?

- Proszę cię -jęknęła Sara rozpaczliwie. To ją przekonało. Przyjaciółka jej potrzebuje.

- Kiedy chcesz się tam ze mną spotkać?

- Niedługo. Jak... Jak najszybciej. - Głos Sary zadrżał, jakby miała się za chwilę rozpłakać. - Ojciec James już idzie do kościoła.

Olivia zerknęła na zegar w samochodzie. Dochodziła dziewiąta i była śmiertelnie zmęczona. Jednak Sara jej potrzebuje. Olivia domyśliła się, że zdenerwowanie przyjaciółki brało się z poczucia wstydu, z tego, że musiała zadzwonić i przyznać się do kłamstwa.

- Mogę tam być za piętnaście minut.

- Dzięki, Liwie.

- Jadę. - Olivia wyłączyła telefon i wrzuciła bieg. Co się stało Sa-rze? Olivia wiedziała, że przyjaciółka nie chce rozwodu, ale kiedy wyjeżdżała po Święcie Dziękczynienia, była pewna siebie i przekonana do swojej decyzji. Może chodziło jeszcze o coś innego. Olivia odniosła dziwne wrażenie, że Sara ma znacznie głębszy problem. Albo sama już wpada w paranoję. Te wszystkie morderstwa sprawiły, że stała się bardzo podejrzliwa. Tym niemniej, kiedy włączyła odmrażanie i szyba zrobiła się na tyle czysta, aby się włączyć do ruchu, Olivia jeszcze raz wzięła telefon i nacisnęła guzik. Na ekraniku pojawił się numer ostatniej osoby, która do niej dzwoniła. Rozpoznała numer komórki Sary. Teraz podejrzewasz już nawet najlepszą przyjaciółkę.

Wyjechała na ulicę, starając się strząsnąć z siebie złe przeczucie, które czepiło jej się tak, jakby miało pazury. Co to takiego? Dlaczego ma pewność, że coś jest nie w porządku? Problem polegał na tym, że ostatnio Olivia miała wyłącznie złe przeczucia. Głowa bolała ją od wizji i wciąż denerwowała się z powodu Kristi. Była spięta i jednocześnie rozdygotana.

„Dzięki, Liwie”, powiedziała przyjaciółka. Dziwne. Nigdy nie mówiła do niej inaczej niż „Olivia”. Chyba że sobie z niej żartowała... Ale dziś Sara była w dziwnym nastroju.

Olivia zatrzymała się na czerwonym świetle i niecierpliwie postukała palcami w kierownicę. Gdzie podziewała się Sara przez ostatni tydzień?

Zamieszkała u Leo? Czyżby znów się zesłi? To skąd to wahanie i... strach, tak, strach w jej głosie? Boże, chyba Leo jej nie pobił!

Światło zmieniło się na zielone i Olivia nacisnęła na gaz, rozpryskując wodę w kałużach. Zacisnęła zęby na myśl o wrednym mężu przyjaciółki. Przejechała przez żółte światło na następnym skrzyżowaniu i skręciła. Przed sobą widziała już kościół świętego Łukasza. Reflektory oświetlały białą dzwonnice i mały żłóbek pod drzewem magnolii. Mędracy, aniołowie, pasterze, Maria, Józef i mały Jezusek w stajence na sianie. Sam kościół był ciemny, oprócz paru zewnętrznych lamp i ciepłego odbłasku podającego zza witraży przy ołtarzu.

Mjmo szopki bożonarodzeniowej okolica była opustoszała, ulica pusta, większość okien w domach ciemna. Olivia wjechała na wyżłobiony koleinami parking i rozejrzała się za wynajętym samochodem Sary, ale nigdzie go nie dostrzegła. Może przyjaciółka jeszcze nie dojechała?

Dziwne. Sara umawiała się z nią tak, jakby była już blisko kościoła albo w samym kościele... Być może oddała już samochód do wypożyczalni.

. Olivia wysiadła z samochodu i schowała kluczyki do kieszeni, starając się nie wejść w kałużę. Ogarnęła ją ciemna noc. Usiłowała nie myśleć o ostatnim swoim pobycie tutaj, o biednym, małym Mickeyu Gainsie okrutnie zamordowanym w świątyni.

Ciaśniej otuliła się kurtką i ruszyła do głównego wejścia. Wiatr, niosący zapach rzeki, jęczał w drzewach, a poświata z ulicznych lamp rzucała niesamowite rozproszone niebieskie światło. Idąc chodnikiem, poczuła nagły dreszcz, ale postanowiła ignorować wszelkie przeczucia. Jednakże nie mogła się pozbyć wrażenia, że dzieje się coś złego.

Była już blisko wejścia do kościoła, gdy usłyszała szum silnika i pisk opon zbliżającego się samochodu. Sara!

Odwróciła się i dostrzegła tył czarnego europejskiego auta, zakręcającego za rogiem i hamującego przed kościołem. Coś tu jest nie w porządku. I to bardzo. Sięgnęła do klamki kościelnych drzwi i zobaczyła przez okno samochodu Sarę na siedzeniu dla pasażera.

- Dzięki Bogu - szepnęła i ruszyła do samochodu... Ale coś niedobrego działo się z Sara. Nie wysiadła z mercedesa. Nieruchomo opierała się o drzwi. Błada i chuda, patrzyła na Olivię ciemnymi zaszczytymi oczami. Powoli pokręciła głową.

- Sara! Co się stało? - Olivia zrobiła dwa kroki w stronę samochodu i dopiero wtedy spojrzała na kierowcę. To musiał być ojciec James. Ale samochód... Kierowca otworzył gwałtownie drzwi i wysiadł. W ciemności jaśniała jego alba.

Olivia natychmiast zorientowała się, że popełniła błąd. To nie Janies. Przecież nie chodzi na co dzień w albie! Cholera!

Krew zastygła jej w żyłach. Patrzyła prosto w niebieskie oczy mordercy.

- O, Boże... Nie! - Dlaczego Sara jest z nim? Co się dzieje? - Odjeżdżaj! - zawołała nagle Olivia, jakby przebudzona z hipnozy. Zaczęła biec. Mężczyzna okrążył samochód.

- Saro, odjeżdżaj!

Dlaczego przyjaciółka nawet nie drgnęła?

Olivia biegła coraz szybciej w kierunku parkingu.

- Ratunku! Na pomoc! Ratunku! - krzyczała, słysząc jego kroki za plecami. Lekkie, szybkie kroki, coraz bliższe. Strach pomógł jej przyspieszyć. Szybciej, szybciej, biegnij szybciej! Sięgnęła do torebki w poszukiwaniu komórki. Do samochodu miała zaledwie parę metrów. Może pięć. Cholera, on był coraz bliżej. Słyszała jego ciężki oddech.

- Pomocy! Ratunku!

Nigdzie nie zapaliło się ani jedno światło.

Jej samochód był już naprawdę blisko. Gdyby tylko mogła się dostać do środka. Rzuciła okiem na telefon i udało jej się wystukać 911.

Potworny ból przeszył jej ciało. Z trudem łapiąc oddech, osunęła się na zderzak i przewróciła na ziemię. Torebka i telefon gdzieś poleciały. Szminka, pióra i portfel rozsypały się na asfalcie.

Strzelił do mnie, pomyślała. Była obolała, niezdolna do ruchu. Zastrzelił mnie... Przynajmniej szybko umrę... Bez koła tortur, palenia na stosie, obcinania głowy... Zamglonym wzrokiem dostrzegła, że podchodzi bliżej i zauważyła jego broń. Serce w niej zamarło, gdy rozpoznała paralizator. To nie kule ją obezwładniły, lecz prąd. I nie umrze szybko. Usiłowała krzyczeć i nie mogła wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

- Chodź - powiedział spokojnym głosem. - Mamy dużo pracy, Bi-bianno.

- Nie... - szepnęła, kręcąc słabo głową, gdy zatrzasnął jej na szyi obrozę i pociągnął do samochodu.

-Nie... Nie... Nie... - Jej palce drapały po krzywym chodniku, krew kapiała z brody, świat wirował, kiedy bezskutecznie usiłowała skoncentrować się na twarzy tak podobnej do jej własnej. Brat... Uosobienie zła w białej szacie. - Drań - jęknęła. Uderzył ją wierzchem dłoni w twarz i otworzył tylne drzwi samochodu.

Sara nawet nie drgnęła.

- Pomocy! -jeszcze raz zawołała Olivia.

Gdyby Sara pomogła, miały szansę, żeby go pokonać, jednak przyjaciółka siedziała bez ruchu, oparta o boczną szybę.

Chciała go kopnąć. Nie trafiła. Zaczekał karcąco i wepchnął ją na tylne siedzenie.

- Wredna suka!

Olivia poczuła uderzenie elektryczności, które oparzyło ją w szyję i wygięło ciało w łuk. Krzyknęła. To była kara za sprzeciw.

- Spokój! - warknął. Padając na tylne siedzenie, zauważyła, że coś poruszyło się w cieniu.

Pomocy! Usiłowała krzyżeć, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust. Ból przyszywał całe ciało.

Zatrzaskał drzwi.

Parszywy morderca, jej brat, usiadł za kierownicą i szybko odjechał spod kościoła. Olivia, leżąc na gładkim skórzanym siedzeniu, wyglądała przez tylną szybę. Wiedziała, że jeśli prędko czegoś nie zrobi, potwór zabije ją, Sarę i Kristi.

Daj mi siłę, modliła się w duchu do ciemnego nieba. I miała nadzieję, że Bóg jej słucha.

- Mówię pani, że ma Olivie! - James wrzasnął na dyspozytorce z komisariatu policji. Jadąc szaleńczo zatłoczoną autostradą, umierał ze strachu. - Niech pani mnie przełączy do Ricka Bentza. Morderca ma Olivie Benchet. Jadę za nimi, ale boję się, że ich zgubię. Jestem na autostradzie, jadę w stronę Baton Rouge.

W ciemności widział tylne światła mercedesa. Między nimi były trzy inne samochody. James nie miał pojęcia o śledzeniu pojazdów, ale wiedział, że nie może jechać bezpośrednio za swoim celem. Z drugiej strony jego wiedza pochodziła z filmów i nie wiedział, jak się ma do rzeczywistości.

- Czy mógłby pan...

- Zawiadomcie Ricka Bentza - upierał się James. - Natychmiast! Niech pani mu powie, że dzwonił jego brat James McClaren i że morderca porwał Olivie. Koło kościoła świętego Łukasza. Jej samochód wciąż tam jest. Jestem na autostradzie numer 10, w kierunku północnym. Na litość boską, kobieto, wezwij pomoc.

-Proszę pana...

- On ma czarnego mercedesa... Stary model, tablice z Luizjany, ale nie widzę numeru. Nie mogę podjechać do niego za blisko.

James wyszedł z kościoła bocznym wyjściem i zobaczył, jak ubrany w białą albę mężczyzna wpycha do samochodu oszołomioną kobietę. W ciągu sekundy rozpoznał Olivie i dostrzegł na pustym parkingu jej samochód. Sam zaparkował za rogiem ulicy. Słyszając odjeżdżającego mercedesa, rzucił się do swojego szewroleta. Mruczając pod nosem wszelkie znane mu modlitwy, usiadł za kierownicą i ruszył za czarnym samochodem, ignorując ograniczenia prędkości. Na szczęście mercedes mu

siał się zatrzymać na czerwonym świetle na pierwszym skrzyżowaniu i James mógł za nim pojechać. Głowa rozbolała go ze strachu, trzymał kierownicę rękami mokrymi od potu.

- Musi pani kogoś tu przysłać! - krzyczał do dyspozytorki. - Przecież mogę ich zgubić. I koniecznie niech pani zawiadomi Ricka Bentza-zdążył jeszcze zawołać, nim jego telefon komórkowy zapiszczał i wysiadła bateria.

- Niech to wszystko... Ojcze, jeśli mnie słuchasz, pomóż mi ją uratować. Błagam cię.

Odłożył telefon, a potem skoncentrował się najeździe za czerwonymi światłami mercedesa.

Z całej siły zaciskał palce na kierownicy. Nie Olivia, myślał rozpaczliwie. O, Boże, tylko nie ona. Czy to ma być jego kara? Za wszystkie grzechy? Nie, Boże, nie... Szybko się przeżegnał. Gorące łzy paliły policzki.

- Proszę, Ojcze, weź mnie, a ją uratuj... Błagam cię... Niech ja zginę najpierw.

Powinam go była rozpoznać, pomyślała Olivia, kiedy samochód zjechał z gładkiej drogi i zaczął podskakiwać na wybojach. Suche gałęzie uderzały o maskę, a koła z trudem pokonywały żwir. Sara siedziała nieruchomo. Kierowca milczał. Kilka razy usiłowała otworzyć drzwi, ale były zablokowane. Kim jest ten człowiek i dokąd je wiezie? Zorientowała się, że jadana północ, w stronę Baton Rouge, kiedy jednak zjechał z autostrady, w ciemności straciła orientację. Światła miasta dawno zostały za nimi i teraz znaleźli się w tej pustej okolicy... Spojrzał na nią w lusterku. Znieruchomiała. Za każdym razem, kiedy się poruszyła, palący ból przeszywał jej ciało i sprawiał, że krzyczała głośno i łzy napływały jej do oczu. Szarpnęła za obrożę, ale to nic nie dało, a on obserwował ją w lusterku, wyczuwając każde jej poruszenie i rażąc prądem. A może tylko tak się z nią bawił, żeby ją nastraszyć lub wprowadzić w stan otępienia, jak Sarę?

Tak! Gry umysłu... Wyuczone zachowanie... Psychologia... Na moment zamknęła oczy, ale wciąż intensywnie myślała. Przywołała nazwiska ochrzczonych dzieci z listy, którą dostała od ojca Jamesa. Czytała je tyle razy... Thomas... Brian Thomas był jedynym dzieckiem na liście, które nosiło to nazwisko.

- Kim jesteś?! - zawołała. Stopą znowu sięgnęła do drzwi. Ból przeszył jej gardło. Krzyknęła.

- Nie pytaj - rozkazał. — Nie odzywaj się. Gdy samochód skręcił gwałtownie i podskoczył na wyboistej drodze, Sara zaczęła pojękiwać.

- Ty też się zamknij! - warknął.

Thomas... Znów przebiegła w myśli nazwiska z listy księdza. Bili i Monica Trent, Seth i Rosemary Bailey, Raiph i Primrose Stafford... Ale... Czy nie było tam... Nagle ją to uderzyło. Tom i Frieda Sutter ochrztili syna. Tom jak zdrobnienie od Thomasa, a chłopiec miał na imię... William, nie, Warren... Warren Sutter. To nazwisko coś jej mówiło. Gdzieś je słyszała. Czy też tylko to sobie wyobraziła? Głowa j ą bolała, bolały ją mięśnie, jakby zza mgły dotarła do niej świadomość, że samochód zwalnia. Warren Sutter... O, Boże! Słyszała to imię i nazwisko w Tulane. Wspomnił je doktor Leeds, kiedy spóźnił się na spotkanie z Olivią. Powiedział coś, że zagadał się z doktorem Sutterem. Jej brat, sadystyczny morderca, nie ksiądz, lecz profesor.

Sucha trawa drapała podwozie samochodu, kiedy jechał krętą, długą i ciemną drogą. Serce Olivii tłukło się jak przerażony ptak w klatce. Wiózł je w jakieś odległe opuszczone miejsce... Tak jak kobiety, które znaleziono zamordowane w starym młynie. Boże... Jak ma się uratować? A Sa-ra? Kristi? Gdzie jest córka Bentza? Kilkanaście okropnych scenariuszy przeleciało jej przez głowę. Czy Kristi jeszcze żyje?

Koła mercedesa zazgrzytały na żwirze, gdy samochód zwolnił, a potem stanął. Kierowca wyłączył silnik. Sara zajęczała. Z zewnątrz dochodziły inne dźwięki: ponure wycie wiatru, stłumione szczekanie psów.

Sara drżała na przednim siedzeniu, wpatrując się w mrok. Najwyraźniej była tu już od wielu dni, prawdopodobnie od tygodnia, i to, co widziała. .. Olivią wbiła wzrok w wysoki budynek. Wyrastał z ziemi, ciemny, ze spiczastymi szczytami i ostrym dachem. Ze środka dobiegało wycie psów.

Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, do czego był zdolny ten człowiek.

Olivii zaschło w gardle.

Cokolwiek znajdowało się w środku, oznaczało pewną śmierć.

Wysiadł z samochodu, obszedł go i otworzył tylne drzwi.

- Wysiadaj, Bibianno. A może wolisz być nazywana Vivian? - spytał i zaraz sam sobie odpowiedział: - Nie, ja wolę Bibiannę. Jesteś w domu, Lucy czeka.

- Nie znam żadnej Lucy - wychrypiała, ale serce w niej zamarło. Wiedziała, co ją czeka.

- Ależ, oczywiście, że znasz. Jesteś sprytna, prawda? I masz te swoje wizje. Wiesz, kim jest Lucy, nie ma sensu zaprzeczać.

- Kristi - szepnęła i zrobiło jej się niedobrze. Choć czegoś takiego się spodziewała. Córka Bentza. Przynajmniej jeszcze żyje. Zapewne j ą torturował. Może okaleczył...

- Wiedziałem, że się domyślisz. - Z pilotem wycelowanym w szyj? wyciągnął z samochodu najpierw Olivię, a potem Sarę. - Jeden fałszywy

krok i puszczam prąd. To samo dotyczy twojej przyjaciółki. Jeśli spróbujesz uciekać, inne kobiety będą cierpiały. Strasznie.

Olivią przygryzła wargę. Wiedziała, że on nie rzuca słów na wiatr. Ale to wszystko było przerażające. Pomyśleć, że córka Bentza ma być poświęcona jako święta Łucja... Jej dzień wypada dopiero za ponad tydzień, prawie dwa. Może Kristi uda się uciec, nim ją zabije. Olivią jakoś jej pomoże.

Jej śmierć jest bliższa, ale dla Kristi będzie można powalczyć.

- Pospiesz się, Bibianno, twój los musi się spełnić. Wiesz, co cię czeka, prawda?

Wszystko jej się przypomniało. Czytała żywoty świętych na nadchodzące miesiące. Święta Bibianna umarła w straszny sposób, ćwiczona pejczem do krwi, a potem rzucona psom na pożarcie.

Znowu usłyszała skowyt psów, głębokie wycie, które odbiło się echem pośród nocy. Przeszył ją paniczny strach. Nikt jej nie musiał mówić, że psy są głodne, a nawet zagłodzone.

Sara zajęczała i skurczyła się, kiedy popędził je obie w stronę budynku.

Nie było ucieczki. Wokół nich zamknął się las, ogarnął je gęsty zatechły zapach rzeki. Z drzew kapały krople deszczu. Za każdym razem, kiedy Olivią schodziła z wytyczonej ścieżki, porażał ją prądem i słabła.

- Szybciej! - warknął niecierpliwie. Musi odebrać mu paralizator i wykorzystać przeciw niemu. W odpowiednim momencie. Wepchnął je przez drzwi do długiego korytarza bez okien. Na drugim końcu psy warczały i drapały w drzwi.

Olivią omal nie zwymiotowała.

Spróbuj go pokonać. Nie pozwól się tam zamknąć, bo wtedy na pewno zginiesz.

Serce jej waliło, bolała ją broda, była słaba, ale mogła przynajmniej próbować.

Sutter popchnął je do przodu.

-Szybciej!

Spróbuj, Olivio! Nie masz wyboru. W przeciwnym razie wszystkie trzy jesteście martwe.

Sara jęczała coraz głośniejsze. Łzy spływały jej po twarzy.

- Nie... Nie... Nie... - Zatrzymała się i popchnął ją mocniej, otwierając drzwi i zapalając światło. Teraz!

Olivią rzuciła się naprzód. Drapiąc, wbijając paznokcie, walcząc. Sara krzyknęła i wpadła do okropnego pomieszczenia.

- Na litość boską, Saro! Musisz mi pomóc! - zawołała Olivią. Warren nacisnął pilota i Olivię przeszył ból nie do zniesienia. Rzuciła mu się do oczu, drapiąc po policzkach.

Wepchnął ją do pokoju.

- Ty głupia kurwo!

Upadła na podłogę i rozbiła kolano. Choć się nie ruszała, znów poraził ją prądem. Ból przeszył wszystkie mięśnie. Krzyknęła.

Znowu nacisnął ten przeklęty guzik. Jej ciało podskoczyło. Ból przeszył kręgosłup. Krzyknęła.

Znów!

-Nieeeee! -Nie mogła oddychać.

Znów!

Robił to raz za razem, aż płacząc, z trudem chwyciła powietrze. Gardło bolało ją od krzyku i czuła każdy nerw ciała. W końcu opadła bezwładnie na brudną podłogę. Na resztkach słomy zobaczyła psy... Przywiązane łańcuchami. Były bardzo blisko.

- Bądź posłuszna, Bibianno, bo spuszczę psy - warknął.

Olivia nie miała siły, aby mu się sprzeciwić. Z trudem uniosła głowę, żeby rozejrzeć się po ogromnym pomieszczeniu. W świetle czerwonej żarówki dwa psy chodziły w kółko po metalowych klatkach, a do przeciwległej ściany przykuta była naga dziewczyna.

Kristi.

Olivia zwymiotowała.

Jak maje ocalić? Jak?

Pomieszczenie bez okien było groteskową salą tortur. I przerażającym sanktuarium. Na ścianach, między pejcami, łańcuchami i mieczami, w nagim, świętokradczym kontraście, wisiały krucyfiksy i symbole religijne, łącznie z obrazem najświętszej Marii. Jakby tego było mało, na jednej ze ścian wisiało kilkadziesiąt luster, błyszczących w czerwonym świetle, odbijających każdy centymetr wstrętnego miejsca. W lustrach widziała siebie i to, co się działo za nią. To było chore... Obrzydliwe...

Strach, jakiego nigdy jeszcze nie czuła, wykręcił jej wnętrzności. To, co miało się tu stać, zapowiadało się strasznie.

- Gdzie jest Brian, Sutter? - spytała Kristi, napinając łańcuchy. W przeciwieństwie do spokojnej Sary, była wściekła. - Na litość boską, ty wredny skurwysynu, co zrobiłeś Brianowi?

- Lucy, co za wyrażenia. - W oczach Suttera zabłysło okrucieństwo. - Nie możesz używać imienia Pana Boga swego nadaremno - ostrzegł. Och, nie...

- Nie jestem żadną pieprzoną Lucy, dobrze, i... Och! - Jej ciało wygięło się w łuk i opadło na brudne siano. - Ty bandyto! - Kolejne porażenie prądem i znowu podskoczyła z krzykiem. - Jesteś zwierzęciem! Czymś jeszcze gorszym! Gorszym od tych wstrętnych psów. Podniecasz się torturowaniem kobiet, co? Posłuchaj! Mój ojciec cię zabije. To, co mi zrobisz,

jest niczym w porównaniu z tym, co on zrobi tobie. Zobaczysz, ty obrzydliwy skurwysynu! Przekonasz się, ale będzie za późno.

Poraził ją paralizatorem, a potem nacisnął jeszcze pilota. Kristi krzyknęła, a jej ciało zadrgało. Psy wyły i warczały, a Sara jęczała cicho.

- Zamknij się! - wrzasnął Sutter i uderzył Sarę w twarz. Upadła na ścianę. - Mam dość twoich jęków.

Zakleił jej usta kawałkiem taśmy, która wisiała na ścianie i przymocował łańcuch do obroży. Alba była już brudna, a Sutter się pocił. Od potu świeciła mu się twarz.

Olivia przysunęła się do schodów i została nagrodzona kolejnym porażeniem prądem.

- Rozbieraj się! - rozkazał, po czym zerwał z Sary ubranie. Przerażona zaczęła krzyczeć, więc znowu potraktował ją prądem, jej ręce i nogi tańczyły jak u marionetki.

Olivia nie ruszyła się.

- Powiedziałem: rozbieraj się - powtórzył i spojrzał na nią zmrużonymi oczami. - Czy wolisz, żebym ja to zrobił, siostrze? - spytał, wykrzywając wargi w okrutnym uśmiechu. W jego oczach żarzyły się czerwone punkciki pożądania.

Musiała go posłuchać.

Na razie.

Ale tylko na razie. Już czuła powracającą siłę... Potrzebuje jeszcze trochę czasu.

- Już! - wrzasnął.

Drżąc ze strachu, rozmyślając gorączkowo nad sposobem ucieczki, zaczęła rozpinąć bluzkę. Udawała, że nie widzi jego erekcji pod brudną alba. Wredny, chory zboczeniec - pomyślała, zdejmując bluzkę i otrząsając się z obrzydzeniem.

Wydostanę się stąd i zabiorę je obie ze sobą, choćbym cię miała zabić własnymi rękami - przysięgła w duchu. Nie może pozwolić, aby strach ją pokonał. Musi zachować trzeźwość i przytomność umysłu. I znaleźć sposób ucieczki.

Rozdział 57

Zabiję go gołymi rękami - mruknął pod nosem Bentz, gdy jego dżip zjechał z autostrady na zapomniany przez Boga kawałek porośniętej krzakami ziemi. Płaskiej i ciemnej, z kępami dębów i sosen. - Jeśli do-

tknie choć jednego włosa na głowie Kristi lub Olivii, przysięgam Bogu, że urwę mu łeb.

Montoya wpatrywał się wściekłym wzrokiem w mglistą noc, paląc papierosa i słuchając policyjnego kanału.

- Nie będziesz miał szans, człowieku. Ja go najpierw dopadnę. -Poklepał swoją broń.

Czy to wystarczało? Bentz modlił się w duchu, aby udało im się ocalić Kristi i Olivię.

Wysłuchał nagrania rozmowy z Jamesem; policjanci z różnych komisariatów zbierali się teraz w pobliżu rzeki, nie dalej niż dwadzieścia parę kilometrów od Baton Rouge. Powiadomiono policję z Baton Rouge i funkcjonariusze przeszukali dom Suttera, gdzie znaleźli adres innej posiadłości - starej farmy nad rzeką, która kiedyś należała do Toma i Frie-dy. Jego przybranych rodziców. Ale Bentz ich wszystkich wyprzedził. Dzięki specjalnemu urządzeniu, które ukradkiem umieścił przy tylnym zderzaku samochodu Jamesa, był już blisko farmy. Z daleka słyszał sygnały innych radiowozów.

Modlił się, żeby nie było za późno.

Żeby tylko Olivia i Kristi żyły. Córka była dla niego wszystkim. Wszystkim. Jeśli ją straci... Ścisnęło go w gardle. Nigdy sobie tego nie wybaczy. Dlaczego jej nie uratował, kiedy miał szansę? Dlaczego pozwolił jej samej pójść do akademika? Dlaczego, dlaczego, dlaczego? Uderzył pięścią w kierownicę. Montoya wyrzucił przez okno niedopałek. Bentz powiedział sobie, że nie może zakładać najgorszego. Kristi żyje. Musi żyć. I Olivia. Przeszywał go ból na myśl, że i ona trafiła w łapy mordercy. Był dla niej taki oschły. Bezwzględny i nieprzyjemny. Widział w jej oczach błaganie, milczącą prośbę o bliższy kontakt, i odrzucił to. Ponieważ bał się o córkę. Ponieważ był wściekły, że zadaje się z Jamesem.

A teraz... Może już za późno. Rozbolała go zaciśnięta szczeka i paliło w gardle. Olivia... Dlaczego jej nie ufał? Nie wybaczył? Nie powiedział, że ją kocha, nim było za późno? Teraz dwie kobiety, na których najbardziej mu zależało, znalazły się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. I to on je zawiódł.

A co z Jamesem? Według urzędnika pojechał za Sutterem na farmę. Także jego życie było w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Wszystkie bliskie Bentzowi osoby wplątane były w tę sprawę. Bentz usiłował nie myśleć o potwornościach, jakie popełniał Sutter, o fotografiach z miejsc krwawych kaźni.

- Sukinsyn już jest skończony - powiedział Montoya, kiedy wzięli zakręt. Skunks, schwytyany w światła samochodu, szybko schował się w jamie. - Jeśli ma Martę, pożałuje, że kiedykolwiek ją widział. - Mon

toya rzucił okiem na Bentza i po raz pierwszy wydawał się pozbawiony zwykłej pewności siebie. Na jego twarzy, oświetlonej światłami z tablicy rozdzielczej, malowała się zaciętość. - Jest skończony - powtórzył. - Nawet jeśli ja też zginę.

- Damy sobie radę - powiedział Bentz i zmienił bieg, kiedy zobaczył przed sobą drogę prowadzącą do farmy Suttera. W unoszącej się mgłę reflektory oświetliły otwartą zardzewiałą skrzynkę na listy. Bentz znowu poczuł skurcz serca.

Oby nie było za późno.

- Pomóż mi. Boże - szepnął James, przekradając się przez mokrą trawę i wysokie krzaki otaczające budynek. Mgła go chroniła, strach nie opuszczał. Z wysokiego, ponurego budynku dobiegało szczekanie psów. Rozpacz przepelniała serce Jamesa, ale zmuszał się do nieustannego marszu. Jego kroki tłumili mokre liście i wysoka trawa. To z pewnością jest test. Bóg wystawia na próbę jego odwagę.

Po swojej stronie miał element zaskoczenia, ale brakowało mu jakiegokolwiek broni, oprócz telefonu z wy czerpaną baterią i płynu do czyszczenia szyb, którym mógł prysnąć w oczy mordercy. Głupota. Jeszcze jeden telewizyjny trik. Ale to wszystko, co ma.

Pamiętaj o Danielu w jaskini lwa.

Może znajdzie coś w środku... Strzelbę, nóż albo... Czy potrafi kogoś zabić? To grzech... Doszedł do drzwi i starał się pozbyć wszelkich wątpliwości. Musi uratować Olivię. Nic innego się nie liczy. Szybko się przeżegnał, chwycił za klamkę i popchnął drzwi.

Otworzyły się. Z mięśniami bolącymi od napięcia wszedł po cichu do ciemnego wnętrza, na końcu którego widział czerwoną poświatę... Drżącą czerwoną kreskę na poziomie podłogi, czerwone światło przenikające zza drzwi. Stamtąd dolatywał hałas, jazgotanie psów, głosy. Rozejrzał się. Nie widział niczego, co mogłoby mu posłużyć za broń, ale dojrzał schody, które prowadziły w spokojną ciemność. Czy ma czas na poszukiwania? Czy odważyłby się poświęcić kilka cennych chwil, żeby wejść na górę i znaleźć jakąś broń? Musi, bo w przeciwnym razie nie ma żadnych szans.

Za drzwiami szaleńczo ujadły psy i James wiedział, że ma bardzo mało czasu.

- Boże, dopomóż - szepnął i bezszelestnie, przeskakując po dwa stopnie, wbiegł na górę.

Olivia, stojąc twarzą w twarz z bratem, dygotała ze strachu.

- Zachowałem to dla ciebie - powiedział Warren i zdjął ze ściany okropny pejcz: niewielki, z mnóstwem skórzanych rzemyków. - Wiesz, co to jest? - Machnął w powietrzu pejczem. Sara podskoczyła. W milczeniu. - Dziewięciorzemienna dyscyplina... Doskonała. - Warren z niekłamaną przyjemnością trzymał, pieścił gładką rączkę. Wskazał pejczem na Olivię. Rzemyki zakreśliły się wokół jego ręki. - Odwróć się i nie ruszaj. Tak, przy psach. Ale nie rób niczego głupiego, bo nie tylko znów będę musiał skorzystać z paralizatora, lecz również poświęcę twoją przyjaciółkę. Jeszcze nie wybrałem dla niej świętej, więc mogę ją wyeliminować w każdej chwili.

Tylko taśma na ustach nie pozwalała Sarze krzyknąć. Miała oczy wytrzeszczone z przerażenia.

- Ciii... Jestem pewien, że święta Bibiana będzie dobrą pokutnicą. - Nacisnął jeden z guzików pilota i Sara osunęła się na podłogę i zalała łzami.

- Ty bezlitosny łajdaku! - krzyknęła Olivia, nie mogąc się powstrzymać. Teraz, kiedy poczuła się mocniejsza, nie potrafiła udawać słabej i pokornej. - Jak możesz robić takie rzeczy w imię Boga? To bluźnierstwo. Herezja. Chore bzdury.

- Bluźnierstwo? - powtórzył rozbawiony.

- Przebierasz się za księdza, rzucasz biblijnymi cytatami, wieszasz krzyże razem z pejczami i zabijasz niewinne kobiety i dzieci, mordujesz je. To nie są działania w imię Boga, lecz wbrew niemu.

- Ratuję grzeszników - powiedział. Zaczęła drgać mu powieka.

-Przed niczym ich nie ratujesz. Przed niczym. Jesteś chory i wszystko przeinaczasz w tym swoim chorym mózdzku - wycodziła, odwracając się do niego. - To tylko pretekst. Lubisz zabijać. Jesteś tak zбочony, że lubisz zadawać ból, lubisz władzę. - Tik był coraz wyraźniejszy. Zaczęła drgać mu warga. - Jesteś żalosnym tchórzliwym mordercą, chowającym się za szatą, do której nie masz prawa i usiłujesz usprawiedliwić swoje nienormalne postępowanie.

- Rozmawiam z Bogiem. • - Bzdura.

- Jestem Wybrańcem. — Powieka drgała bez przerwy.

- Jesteś szaleńcem.

- Ojciec mówi do mnie.

- Jesteś zбочeńcem! - zawołała Kristi.

- Cicho - ostrzegła ją Olivia. Ona może prowokować potwora, lecz nie zamierzała ryzykować życia Kristi.

- Chcesz ją chronić, co? - Olivia milczała z obawy o życie Kristi. Warren znów się uśmiechnął, tik spowolniał. - Oczekiwałem od ciebie

walki, siostrze, ale najwyraźniej jesteś sprytniejsza, niż myślałem. Teraz odwróć się i spójrz na psy... Zawahała się.

Wybraniec - Warren - podszedł o krok bliżej do Kristi. Olivia szybko zrobiła, co kazał, ale przez cały czas rozmyślała gorączkowo. Nie zamierza stać się posiłkiem dla wygłodzonych psów. W lustrze zobaczyła, że unosi w górę pejcz. Przygotowała się na najgorsze.

Trzask.

Poczuła potworny ból. Dziewięć ran na ciele. Wzdrygnęła się. Przygryzła wargi, żeby nie krzyknąć.

- Nie ruszaj się! - rozkazał.

W jednym z luster dostrzegła jego wściekły wzrok. Zmrużył oczy w oczekiwaniu. Znowu się zamachnął.

Poczuła następne uderzenie i falę bólu. Nawet nie mrugnęła i wytrzymała jego spojrzenie w lustrze. Końcem języka zwilżyła wargi. Wpatrywał się w poranioną skórę. Był zboczonym szaleńcem. Ale może uda jej się to wykorzystać...

Trzask.

Pałący ból. Wciągnęła powietrze przez zęby. Łzy napłynęły jej do oczu. Musi go powstrzymać. Nagle coś usłyszała. Kroki? Nie, to niemożliwe. Psy nadal czekały, ale odwróciły się do drzwi. Warren obejrzał się przez ramię. Panowała cisza. Nie może liczyć na żadną pomoc.

Wszystko zależy od niej. Co robić? Nie wystarczy się odwrócić i rzucić na niego. Ale... Gdyby potrafiła znieść ból, aż do właściwej chwili... Gdyby mogła zmobilizować całą odwagę i energię, żeby zwinąć się w kłębek i staranować go, kiedy podnosił w górę pejcz. Wtedy mogłaby zwalić go z nóg, złapać paralizator i porazić.

Albo on wcześniej ją zabije.

Z drugiej strony i tak ma zamiar to zrobić.

To był jedyny sposób. Jedyna szansa. Musi spróbować. W przeciwnym wypadku zginie powolną śmiercią, wykrwawiona i rzucona psom na pożarcie. Albo morderca przykuje ją do ściany i zostawi na następną sesję. Bez niej Kristi i Sara nie mają żadnych szans.

Trzask.

Pejcz ciął japo plecach niczym milion małych nożyków. Podskoczyła. Udało jej się nie upaść.

- Twarda jesteś, co? Prawdziwa córka Reggiego Bencheta - warknął. W jednym z luster zauważyła oczy Kristi.

Spójrz na mnie, Kristi! Spójrz na mnie. Musimy działać razem. Kristi spojrziała w lustro. Jeden z psów zawył i odwrócił się do drzwi.

Olivia usłyszała jakiś dźwięk...

Trzask.

Ból znów eksplodował na plecach Olivii. Zrobiło jej się ciemno przed oczami, kolana się pod nią ugięły. Nie ma wiele czasu.

Sutter się pocił. Jego erekcja nadal była widoczna, koncentrował się na poślądkach Olivii.

Kristi niemal niezauważalnie skinęła głową i Olivia odpowiedziała jej tym samym. Sutter uniósł rękę. Teraz, to ostatni możliwy moment! Pejcz świsnął w powietrzu i palącym bólem opadł na plecy Olivii. Skuliła się, rzuciła do tyłu i skoczyła jednym płynnym ruchem, jednocześnie chwytając za rączkę pejcza.

- Ty suko! - krzyknął zaskoczony Sutter i zrobił krok w tył. Znalazł się na tyle blisko Kristi, że dziewczyna mocno kopnęła go w pierś. Żebra pękły mu z trzaskiem.

- Ty wredna kurwo! - zawołał.

Psy zawyły. Rozległy się czyjeś kroki. Ktoś ich wreszcie odnalazł.

- Na dole! - krzyknęła Olivia. - Pomocy! - Skoczyła na Suttera, ale jemu udało się wycelować w nią pilota i z wściekłością nacisnął guzik.

Potworny ból przeszył jej kręgosłup. Ciało wygięło się w łuk. Oślepiąca bólem po omacku skoczyła na niego. Znowu się cofnął. Kristi przekręciła się, mierząc w krocze.

Wybraniec upadł, a pilot wyleciał mu z ręki.

Drzwi otworzyły się i wpadł James. W jednym ręku trzymał bicz, drugą wyciągnął przed siebie.

- Proszę natychmiast przestać! - zawołał. Był śmiertelnie blady.

- Co jest?! - zawołał Wybraniec, zrywając się na nogi.

- Przestań! Kristi! Na litość boską, to się musi skończyć!

- Ratunku! - krzyknęła Olivia i upadła, porażona prądem.

Sutter znowu trzymał w ręku paralizator.

Olivia, upadając, skręciła nogę w kostce. Przed sobą miała złote oczy suki.

- Nie ruszaj się - rozkazała psu.

Suka warknęła groźnie, drugi pies stanął za nią. W lustrze widziała Suttera, który jedną ręką trzymał się za żebra, drugą ścisnął paralizator.

- Ojczy McCIaren, proszę odłożyć mój bicz - powiedział, ale widać było, że traci siły. W kącikach jego ust gromadziła się ślina. - Popęłnił ojciec fatalny błąd, przychodząc tutaj.

- Pomóż nam, ojczy! - zawołała Kristi.

- Dobrze, skarbie. - Powoli szedł naprzód, wpatrując się w Suttera. Psy kręciły się w kółko i łapały zębami za smycz. - Dobrze. Proszę natychmiast przestać. Nie wiem, dlaczego to robisz, ale na pewno nie z woli Boga. Wypuść te kobiety i żałuj za grzechy. Pomogę ci z policją i z Kościołem, ale proszę, błagam na wszystkie świętości... '

Warren wycelował w Jamesa.

- Co ty wiesz o świętości, ty świętoszkowaty durniu? -warknął i nacisnął guzik. James krzyknął i upadł na podłogę.

Nie! To się musi skończyć! Olivia zerwała się na nogi. Z bolącą, skręconą kostką skoczyła na brata i poczuła prąd, choć jeszcze zdążyła uderzyć go w twarz. Wybraniec zachwiał się i zrobił krok w tył. Kristi wskoczyła mu na plecy. Zarzuciła mu na szyję łańcuch i usiłowała go zacisnąć, krzycząc z bólu, gdy raził jąprądem, przyciskając broń do uda. Sutterowi udało się w końcu odrzucić Kristi na ścianę i gorączkowo szukał nowej broni. Chwytał krucyfiks, krzyż z czarnego kutego żelaza z ostrym końcem. James wstał, zachwiał się, złapał równowagę i rzucił się na Suttera.

- Uważaj! - krzyknęła przerażona Olivia, z trudem wstając i wpadając między dwóch mężczyzn.

Za późno. James parł do przodu.

- Niiieee! - krzyknęła Kristi.

Wybraniec zamachnął się i krucyfiks wbił się w pierś Jamesa.

James cofnął się. Z rany wokół krzyża sączyła się krew.

-Nie! Nie! Nie! - krzyczała Olivia z płaczem, starając się doczołgać do ojca Jamesa. - Och, Boże, nie! - Przysunęła się do niego, ale było za późno. Z ust ciekła mu krew.

- Wybacz mi. Ojczy - szepnął i padł na kolana.

Bentz usłyszał krzyki. Wyskoczył z dżipa, nim samochód się zatrzymał. Za późno! Potwór robi to, co sobie zaplanował. Wobec Olivii. Wobec Kristi. Wobec wszystkich, których Bentz kocha.

Z Montoyą deptającym mu po piętach, do wtóru policyjnych syren rozlegających się wokół nich w ciemnościach, pobiegł do budynku z wyciągniętą bronią. Nie może ich stracić. Nie teraz. Dobry Boże, nie teraz. Serce waliło mu jak młotem. Niech się okaże, że żyją, modlił się w duchu. I żeby dobrze strzelił. Tylko tego potrzebuję.

Policjanci otaczali budynek. Bentz popchnął drzwi i znalazł się w długim korytarzu ze schodami. Przed sobą, przez uchylone drzwi, w krwistoczerwonym świetle ujrzał widok z piekła rodem.

- Nie! - krzyknęła Kristi, szarpiąc z całej siły za łańcuch zaciśnięty na szyi mordercy. Zabił stryja Jamesa... O, Boże... - Gdyby mogła, natychmiast by go zatłukła.

Na widok upadającego mężczyzny, który był jej ojcem, odżyła nienawiść i cierpienie. Nie może umrzeć! Nie! Nie! Nie on! Kątem oka zauważyła,

że Olivia zdejmuje ze ściany miecz. Ona też była już na wpół martwa. Kiedy bandyta znów wycelował w nią paralizator, skoczyła naprzód, zamachnęła się i cięła go po ręce. Broń upadła na brudną słomę.

Olivia cofnęła się, żeby uderzyć go w głowę, ale Sutter odwrócił się, i Kristi, leżąca mu na plecach, stała się tarczą.

- Zeskakuj! - rozkazała Olivia, z wymierzonym w nich zakrwawionym mieczem. Sutter zrobił krok w tył, próbując za pomocą lustra nadziać Kristi na miecz. Kristi znowu go kopnęła. Olivia upuściła broń.

Rozległy się kroki. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i stanął w nich Bentz.

- Rzuć broń! Policja!

- Puść go, Kristi! - krzyknął, wpadając do środka.

- Tato - szepnęła z ulgą i upadła na podłogę. Rozplakała się. Przyszedł, by ją ocalić. Aby je ocalić.

Wybraniec podniósł paralizator i wycelował w Bentza.

- Uważaj, Rick! - zawołała Olivia.

Bentz strzelił.

Wybraniec upadł z okropnym krzykiem, w ostatniej chwili strzelając do Bentza z paralizatora. Bentz drgnął i skoczył naprzód, strzelając jeszcze raz do leżącego Suttera.

-Tato... Och, tato...

W mgnieniu oka Bentz dopadł do córki, podniósł ją z brudnej podłogi i bardzo mocno przytulił. Wtuliła twarz w jego szyję i płakała.

- Stryj James... Nie żyje - wykrztusiła z rozpaczą.

Człowiek, którego odrzuciła. Stryj, który ją uwielbiał. Mężczyzna, który dał jej życie, a ona była dla niego taka zła. On tylko chciał ją kochać. Przypomniała sobie wszystkie prezenty, którymi ją obdarzał, jego cierpliwość i dobroć... Ona do końca go nie zaakceptowała, kiedy zadzwonił ostatni raz, rzuciła słuchawką... A teraz... Teraz... Zamknęła oczy, ale ta straszna chwila, gdy Sutter wbił mu krzyż w pierś, odcisnęła się w jej głowie. Dygocąc, przytulała się do Bentza, jakby już nigdy nie miała go puścić.

I Bentz nie zamierzał się z nią rozstawać, choć jednocześnie zaczął wydawać rozkazy, kiedy do środka wbiegli policjanci. Na szyi czuł ciepłe łzy Kristi.

Olivia... wyglądało na to, że przeżyje, jednakże James... Bentz wpatrywał się z przerażeniem w brata i w krzyż, który tkwił w jego piersi. Wciąż trzymając w objęciach córkę, przysunął się do Jamesa.

- Słyszysz mnie? - zapytał.

Rozbłysły światła, psy szczekały, policjanci wykrzykiwali rozkazy. Jedni zajęli się psami, inni zaczęli przeszukiwać pomieszczenia, jeszcze inni oglądali ranne kobiety.

- Zabierz mu klucze - powiedział Bentz, wskazując na mordercę. -I wezwij karetkę. Już!

Policjantka przyklekła przy Jamesie.

- Niech ojciec wytrzyma - powiedziała cicho. Montoya sprawdził puls Suttera i wsunął rękę do jego kieszeni. Znalazł pęk kluczy i rzucił je Bentzowi.

- Zaraz cię stąd zabiorę - obiecał Kristi, rozkuwając córkę. Kiedy się rozejrzył po śmierdzącym brudnym pomieszczeniu, załapała go wściekłość gorąca jak piekielny ogień.

Spojrzał na Olivię, która siedziała skulona w kącie. Oparta o ścianę, naga, w obroży na szyi, drżąca, z trudem łapiąca powietrze. Jej twarz i ręce pokrywały sińce i rany.

Kristi jęknęła, kiedy opadły łańcuchy.

- Ciii, skarbie. Wszystko będzie dobrze. Obiecuję ci... - szepnął, wiedząc, że kłamie i podszedł do Olivii. Nadal trzymając w objęciach córkę, ukląkł i znalazł klucz, który otwierał obrożę.

- W porządku?

-Nie... Tak... - Ona też płakała; łzy spływające po jej twarzy błyszczały czerwienią od światła żarówki. Bentz jedną ręką zdjął marynarkę i otulił Olivię. Zadrżała z bólu. Wtedy zobaczył na jej plecach czerwone głębokie rany.

- Co za skurwysyn.

- Nic mi nie będzie - stwierdziła dzielnie, choć broda jej drżała.

- Chciałbym go jeszcze raz zabić. - Przesunął dłonią po jej policzku. -Tak mi przykro... Złapała go za rękę.

- Później... Teraz James... - powiedziała, zacinając się. Podszedł policjant i podał Bentzowi koc, którym okrył Kristi.

Bentz spojrzał na brata, którym wciąż zajmowała się policjantka. James drżał, twarz miał śmiertelnie bladą.

- Cholera... - Bentz, z Kristi na rękach, przeszedł na drugą stronę pomieszczenia. - James, nie... - Ukląkł na jedno kolano. - Proszę cię, trzymaj się - powiedział i krzyknął: - Gdzie jest karetka, do diabła?! - Położył rękę na ramieniu brata. - Wszystko będzie dobrze, słyszysz?

James, na pół przytomny, spojrzał zamglonymi oczami na Bentza. Krucyfiks tkwił głęboko w jego piersi, blade wargi plamiła krew. Bentzowi zrobiło się niedobrze.

- Nie... Już za późno... - James oddychał z trudem. Na piersi rozlewała się plama krwi. - Nie potrzebuję lekarza, lecz księdza, Rick - powiedział z łagodnym uśmiechem.

-Nie mów tak! - Bentz poszukał wzrokiem Montoi. - Gdzie jest ta cholerna karetka?

- Jest tutaj.

- Wybacz mi, Rick. Skrzywdziłem cię - wydusił James urywanym głosem. Z jego płuc wydobywało się rżenie. Zwrócił oczy na Kristi. -I ciebie też... Kocham cię. Bardzo.

Oczy zaszyły mu mgłą. Bentz przypomniał sobie małego chłopca, który nie odstępował go na krok. Kiedy dorastali, spędzili wiele godzin na rozmowach o bejsbolu, o polowaniach, o dziewczynach. Coś ścisnęło go w gardle.

- Nie mam ci czego wybaczać, James. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

-Ale Jennifer...

- Stara historia. I mam... Mamy Kristi. - Bez zdrady Jamesa Bentz nie miałby córki.

- Proszę cię, nie umieraj, stryju - błagała Kristi. James uśmiechnął się lekko. - Tato.

- Bóg woła mnie do siebie.

- Jeszcze nie! Walcz, James! -rozkazał Bentz, trzymając w dłoniach głowę brata i czując pod palcami jego jedwabiste włosy. - Walcz, do cholery! Potrzebujemy cię. Ja cię potrzebuję, I Kristi. Nie poddawaj się, słyszysz?

Kristi płakała rozpaczliwie. James powoli zamknął oczy.

- Nie mogę - wycharczał.

- Nie poddawaj się! James! James! Nie poddawaj się! - Bentz odwrócił się.

- Dawajcie tu lekarza! - wrzasnął z wilgotnymi oczami.

Jeden z psów szczekał i warczał, gdy policjant zapędzał go do klatki.

Nie może stracić Jamesa. Nie w ten sposób. Nie z ręki seryjnego mordercy, którego Bentz powinien był wcześniej złapać. Mają sobie tyle do powiedzenia, tyle do zrobienia, tyle rzeczy do wyjaśnienia...

Sanitariusze ze sprzętem medycznym wbiegli do obskurnego pomieszczenia i rozeszli się między rannymi.

- O, mój Boże - szepnął jeden z nich na widok Jamesa.

- Tutaj, ona jest w szoku. - Jeden z sanitariuszy zajmował się kobietą przykutą do ściany.

- Sara! - zawołała Olivia, ale przyjaciółka nie zareagowała.

- Ja się nią zajmę - rzucił młody policjant, rozkuwając Sarę i zrywając jej taśmę z ust.

- Ten nie żyje. - Kolejny pracownik pogotowia pochylił się nad Warrenem Sutterem. Ślady kuł znaczyły albę, biały materiał był ciemny od krwi.

Sanitariusz kazał Bentzowi odsunąć się i zajął się Jamesem.

- Potrzebuję pomocy. Tracimy go!

- Nie! - krzyknęła Olivia. Udało jej się wstać i dojść do Jamesa. Zaciskała palce na policyjnym kocu. - Nie, James - szepnęła. - Proszę... Proszę... - Dotknęła jego nieruchomej ręki i łzy trysnęły jej z oczu.

Bentz z rozpatrzą patrzył, jak James na moment podnosi powieki.

- Bądź dobra dla Ricka. To porządny człowiek... Zaslługujesz na kogoś, kto... Kto potrafi cię kochać... Całkowicie. - Olivia nie ukrywała łez. - A Bentz... potrzebuje silnej... kobiety. Ciebie. - Głos Jamesa załamał się.

Krzyk Kristi odbił się echem w wilgotnym ciemnym pomieszczeniu.

Bentz płakał. Było za późno.

- Och, tato, on nie może...

Lecz lekarz pokręcił tylko głową. Bentz czuł wyrzuty sumienia i gniew.

- Koniec, dziecko - szepnął, trzymając córkę w objęciach i nie powstrzymując łez. Córkę Jamesa. Ich córkę.

- Ale stryj James...

- Ciii. Jest teraz z Bogiem.

- Przecież ty nie wierzysz w Boga, tato. Sam mówiłeś.

-Kłamałem.

- Zaraz przyjedzie następna karetka. - Montoya zamknął klapkę telefonu komórkowego i rozejrzał się, jakby widział wszystko po raz pierwszy. Psy zagoniono wreszcie do klatek, lecz lustra i broń błyszczały w czerwonym świetle, dodatkowo oświetlone policyjnymi reflektorami. - Jezus Maria!

Bentz, z córką w ramionach, podszedł do Olivii. Spojrzała na brata i pokręciła głową. Z oczu płynęły jej łzy i trzęsła się broda w niemej próbie opanowania emocji. Bentz objął ją wolną ręką.

- Damy sobie radę - zapewnił. - Razem.

- Nie wiem jak.

- Musisz uwierzyć. To James pojechał za tobą i zadzwonił do nas -wyjaśnił.

- Ocalił ci życie. - Drugą ręką mocniej przygarnął do siebie córkę. -1 Kristi.

- Skąd wiedziałeś, gdzie nas szukać?

- Założyłem podsłuch w jego mieszkaniu, telefonie i w samochodzie. - To mu przypomniało, że podejrzewał własnego brata, że czuł wobec tego dobrego, choć czasem słabego człowieka, gniew i zazdrość. -Fantastyczny ze mnie brat, co? - Nienawidził się za te podejrzenia. -Chyba nie ufam nikomu. - Spojrzał Olivii w oczy. - Ale postaram się to zmienić. Obiecuję.

Daleko, w ciemności, zawyły kolejne syreny.

- Chodźmy - powiedział Bentz do Olivii i Kristi, kiedy wnoszono worki na zwłoki. - Trzeba wracać do domu.

-Nie, tato - zaoponowała Kristi. - Musimy znaleźć Briana. Ten bandzior gdzieś go tu zamknął.

- Za późno - wtrącił Montoya, z ponurą twarzą. Wyglądał, jakby postarzał się nagle o dwadzieścia lat. - Znaleźliśmy go w bagażniku mercedesa.

-Nic mu nie jest?

- Przykro mi, Kristi - mruknął Montoya.

Kristi zadrżała, zaczęła kopać powietrze i krzyczeć!

- Nie! Nie! Nie! - Bentz mocno ją trzymał. - On nie może nie żyć. Nie przeze mnie! Neeeeee!

Wydała z siebie żalony krzyk, głośniejszy niż wycie psów i syrena karetki. Bentz zastanawiał się, czy kiedykolwiek o tym zapomni. A Oli-via? Spojrzała mu prosto w oczy.

- Ciii - uspokajał córkę. - On już nie cierpi. To się skończyło.

- Nigdy się nie skończy - protestowała Kristi, łkając.

- Masz rację. -Nie spuszczał wzroku z Olivii. Kristi zdołała się trochę opanować. - Ale będzie lepiej - obiecał, chociaż nie był pewien, czy wierzy własnym słowom. - Znacznie lepiej. Dla nas wszystkich. Przysięgam Bogu, że jakoś przez to przebrniemy. Chodźmy. Pora wracać do domu.

Epilog

Ogłaszam was mężem i żoną. Oto państwo Tylerowie Wheelerowie. - Pastor uniósł w górę ręce, a para odwróciła się do niewielkiej grupki rodziny i przyjaciół. Samanta, w długiej kremowej sukni, z promienną twarzą, przeszła między gośćmi siedzącymi na wielkim tarasie hotelu St. Suzanne w French Quarter. Jej świeżo poślubiony mąż, w czarnym smokingu, wysoki i przystojny, był autorem książki o Różańcowym Zabójcy, która miała się ukazać w przyszłym roku.

Fantastyczna sceneria, pomyślała Olivia.

W sobotę po Bożym Narodzeniu stary hotel, przerobiony z dawnego burdelu, wciąż był udekorowany girlandami i wieńcami. Miliony świateł błyszczały wśród liści, a grzejniki ogrzewały taras oraz przyjaciół i rodzinę doktor Sam i jej męża.

Olivia spojrzała przez liście palm i paproci na ciemne niebo. Migotały gwiazdy i świecił rózek księżycy. Obok niej, szarpiąc węzeł krawa

ta, Rick Bentz przyglądał się ceremonii. Minął prawie miesiąc od tamtej strasznej nocy w siedzibie Wybrańca i Bentz, zgodnie z obietnicą, starał się, żeby ich związek miał lepsze perspektywy. Oliwię trudno było przekonać. Bardzo dużo rozmawiali i wcale nie była przekonana, czy może znów mu zaufać, jednak z pewnością na nim zależało. A nawet chyba go kochała, choć wiedziała, że to głupie. Uśmiechnęła się na tę myśl.

Sprawy wcale nie toczyły się gładko. Sara Restin była pod opieką psychiatry i brała leki antydepresyjne. Kristi także nie mogła otrząsnąć się z szoku, ale miała wrócić na uczelnię po zimowej przerwie. Olivia naprawiła stosunki z matką. Jednak zainteresowanie sprawą Wybrańca nie znikło. Prasa podtrzymywała je dłużej, niż należało.

Powoli wyjaśniały się poszczególne wątki. Nieznana kobieta, zostawiona u stóp pomnika świętej Joanny d'Arc, została zidentyfikowana jako przejezdna z El Paso. Nikt z jej rodziny nie zgłosił się po szczątki. Święta Filomena była nastolatką, która uciekła z domu w Detroit. Znaleziono nawet powiązania obu kobiet z uniwersytetem, ponieważ widziano je w kampusie Ali Saints. Kobieta z El Paso pracowała przez tydzień jako sprzątaczką, uciekiniarką przyszła niezaproszona na jakieś party.

Jedyną kobietą, której nie udało się odnaleźć, była Marta Vasquez, przyjaciółka Montoi. Rozpłynęła się w powietrzu.

Bentz obawiał się, że Wybraniec porwał ją, a potem zabił w jakimś innym miejscu, ale jak na razie, dzięki Bogu, niczego nie znaleziono. Wszystko, co doktor Warren Sutter posiadał i czego dotyczył, przeszukano bardzo dokładnie, łącznie z małą farmą na odludziu, którą rodzina Sutterów kupiła dawno temu. Tam miał swoje sanktuarium z ołtarzem. I miejsce tortur.

Olivia wzdygnęła się. Policja znalazła nie tylko straszny kalendarz z polaroidowymi zdjęciami ofiar, lecz także szafę z ubraniami kapłańskimi i trofeami, wraz z obrzydliwym warkoczem, który splatał z włosów obciętych zamordowanym kobietom.

Bentz podejrzewał, że morderca znajdował miejsca do popełniania zbrodni, szukając w okolicy pustych budynków, takich jak ten w Bayou St. John.

Olivia jednak nie chciała rozmyślać o przeszłości. Jej wizje przepadły wraz z bratem i teraz próbowała stworzyć związek z bardzo ostrożnym mężczyzną. Chyba jej uwierzył, że mimo zażyłych stosunków, nie poszła do łóżka z Jamesem, choć była pewna, że nie miałby jej tego za złe. Olivia ze swej strony wybaczyła mu, że odepchnął ją, kiedy prowadził śledztwo.

Wszystko należało do przeszłości.

Zaczynali od nowa, a przynajmniej się starali. Teraz obserwowała parkiet i rozpoznawała ludzi, o których opowiadał jej Bentz. Przyszli pracownicy z WSLJ, gdzie pracowała Samanta, rodzina jej i Tya, przyjaciele i sąsiedzi. Jedna z kobiet ośmieliła się nawet przyjść z psem, mopsem o imieniu Hannibal, choć zostawiła go w klatce przy recepcji. Ojciec Samanty odprowadził córkę do ołtarza. Jej brat Peter nie zjawił się. Nie przyszła też najlepsza przyjaciółka, Corky Griffith, która nie mogła przylecieć do Nowego Orleanu ze względu na atak serca swojej matki.

Samanta wyglądała czarująco, jej rude włosy błyszczały w świetle lampek, a suknia migotała w tańcu. Szepnęła coś do męża. Ty zaśmiał się i poderwał ją do góry.

- Może zatańczymy? - zaproponowała Olivia.

- Nie tańczę.

-Nigdy?

-Nigdy.

- Nie mów, że to twoja kolejna zasada. - Wzniosła oczy do nieba.

- Owszem - mruknął Bentz, puszczając do niej oko i rozluźniając węzeł krawata. - Ale dla ciebie gotów jestem złamać kilka z nich. Tylko nie narzekaj, że ci depczę po palcach.

- Do tej pory nie narzekałam. - Roześmiała się. - Mam wrażenie, że jeszcze nieraz nadepniesz mi na palce.

- Zgadłś.

- Och, Bentz, wierzę, że jesteś tego wart. Być może.

- Czy nikt ci nie mówił, że jesteś wariatka? — spytał, zdumiewająco zgrabnie obracając nią w tańcu.

- Tylko ty, Bentz. - Uśmiechnęła się i mrugnęła do niego znacząco. -Tylko ty.

Podziękowania

Przede wszystkim chciałabym podziękować policji z Nowego Orleanu za okazaną mi pomoc i uprzejmość, mimo że trochę zmieniałam zasady, aby pasowały do mojej historii.

Chciałabym także podziękować następującym osobom, które zaoferowały mi poparcie, wiedzę i znajomość rzeczy, bez których ta książka nie mogłaby powstać. Dziękuję Nancy Berland, Nancy Bush, Matthew Crose 'owi, Michaelowi Crose 'owi, Alexis Harrington, Mary Ciare Kersten, Carol Małoy, K.C. McNeeley, Arii Melum, Kenowi Melumowi, Ari Okonie, Betty i Jackowi Pedersonom, Sally Peters, Robin Rue, Jonowi Sale-mowi, Johnowi Scognamigliemu, Larry 'emu i Lindzie Sparksom, Laurze Stanulis, Markowi i Celi Stinsonom oraz Jane Thornton. Bardzo przepraszam, jeśli kogoś pominęłam.